



LaVyrle Spencer

Smak marzeń

ROZDZIAŁ 1

1917

Linnea Brandonberg, ni to śpiąc, ni to czuwając w nieokreślonym rozmarzeniu wywołanym rytmicznym stukotem niosącym się po podłodze pociągu, raz po raz spoglądała na swe starannie złączone stopy, by podziwiać najpiękniejsze buciki, jakie kiedykolwiek widziała: sztyblety, jak je nazywano, z lakierowanymi wąskimi czubkami przechodzącymi w gładkie cholewki z gienzowej skórki, które obejmowały nie tylko stopę, ale sięgały wysoko nad kostkę. Cudowne było w nich to, że nie miały guziczków ani sznurówek, lecz przylegały do stopy dzięki wszytym po obu stronach głębokim, elastycznym klinom biegnącym od połowy łydki aż pod kostkę. Ale najwspanialszą ich zaletę stanowiły wysokie obcasy. Były to pierwsze buciki na wysokich obcasach, jakie miała, i choć owe obcasy dodawały jej zaledwie jeden cal wzrostu, z pewnością czyniły ją poważniejszą i doroślejszą o kilka lat. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Będzie na nią czekał na stacji. Szarmancki kurator w eleganckim dwuosobowym powozie zaprzężonym w lśniące pełnokrwiste kłusaki...

— Panna Brandonberg? — Jego głos był dźwięczny i kulturalny, na urodziwej twarzy jaśniał olśniewający uśmiech, a uprzejmie zdjęty kapelusz odsłonił włosy koloru żyta o zachodzie słońca.

— Pan Dahl?

— Do usług. Jesteśmy doprawdy zachwyceni, że w końcu pani do nas dotarła. Pozwoli pani, że wezmę walizkę. — Kiedy układał jej neseser w powozie, dostrzegła nieskazitelnie skrojony czarny płaszcz zarzucony na szerokie, kształtne ramiona, a kiedy się odwrócił, by pomóc jej wsiąść,

odnotowała, iż jego celuloidowy kołnierzyk jest nowiutki, więc zapewne przypięty właśnie na tę okazję. — Proszę uważać. — Miał wspaniałe ręce o długich palcach, które troskliwie zamknęły się na jej dłoniach, gdy wsiadała do powozu.

Cienki jak trzcina bat trzasnął nad łbem kłusaka i gdy ruszyli, jego łokieć lekko otarł się o łokieć Linnei.

— Po lewej ujrzy pani gmach opery, nasze najnowsze osiągnięcie. Mam nadzieję, że przy pierwszej okazji razem wybierzemy się na spektakl.

— Opera! — wydała z siebie wytworne westchnienie i eleganckim gestem delikatnie uniosła dłoń ku szyi. — W rzeczy samej nie spodziewałam się, że będzie tu teatr operowy!

— Młoda dama z pani urodą przyćmi wszystkie artystki.

— Jego uśmiech wydawał się zaćmiewać słońce, gdy z uznaniem ogarniał wzrokiem jej wąskie buciki, nowy wełniany kostium i kapelusz; pierwszy kapelusz Linnei bez dziecinnej szerokiej wstążki do wiązania pod brodą. — Mam nadzieję, iż nie uzna mnie pani za nazbyt zuchwałego, jeśli powiem, że jest pani niezwykle elegancka...

— Panno Brandonberg...

Dźwięczny baryton brzmiący w duszy Linnei ucichł, ustępując miejsca głosowi budzącego ją konduktora, który pochylił się, by dotknąć jej ramienia.

— Dojeżdżamy do Alamo w Północnej Dakocie.

— Dziękuję — odpowiedziała, prostując się i uśmiechając do starszego mężczyzny, który dotknął daszka konduktorskiej czapki i uklonił się, zanim poszedł dalej.

Za oknem roztaczała się preria; płaska i bezkresna. Nigdzie nie było widać ani śladu miasta. Rozległ się gwizd parowozu i pociąg zwolnił, potem z westchnieniem ruszył dalej, znów wydając z siebie tylko stukot kół podskakujących na łączeniach szyn.

Serce Linnei biło z emocji, ale gdy tym razem położyła na nim dłoń, niczego nie udawała. Niebawem zobaczy miejsce, które dotychczas było dla niej jedynie punktem na mapie. Wkrótce pozna ludzi, którzy staną się częścią jej codziennego życia jako uczniowie, znajomi, może nawet powiernicy. Każda nowa twarz, jaką tu spotka, będzie całkiem obca, toteż po raz setny żałowała, że nie zna w Alamo chociaż jednej osoby. Chociaż jednej.

Nie ma się czego bać. To zwyczajny niepokój, trema, zdenerwowanie...

Uniosła dłoń do karku, sprawdzając fryzurę, w której układaniu nie była jeszcze dość biegła. Kunsztownie upięte wokół głowy loki wydawały się rozplatać. Drżącymi palcami zacisnęła kilka spinek, następnie sprawdziła szpilkę kapelusza, wygładziła spódnicę i z resztką pewności siebie spojrzała na czubki bucików akurat wtedy, gdy pociąg wydał z siebie ostatnie znużone westchnienie, zadygotał i stanął.

Boże, gdzież jest to miasto?

Zdejmując z półki neseser, wyjrzała przez okno, ale zdołała przez nie zobaczyć jedynie typową prowincjonalną stacyjkę: drewniany budynek pomalowany na kolor zielonkawoziemisty, z oknami po obu stronach drzwi wiodących na peron z dachem podtrzymywanym przez cztery słupy.

Wyszędłszy z mrocznych głębi pociągu pasażerskiego w jaskrawe wrześnie słońce, ponownie rozejrzała się wokół. Metalowe stopnie wagonu zadzwoniły pod jej eleganckimi nowymi bucikami.

Wypatrując kogoś, kto mógłby wyglądać jak kurator szkół, stłumiła w sobie przerażenie odkryciem, że w zasięgu jej wzroku znajduje się tylko jedna osoba: mężczyzna stojący w cieniu wiaty. Jego strój wskazywał, iż nie jest człowiekiem, którego szuka. Ale mógł się okazać rodzicem któregoś z jej uczniów, obdarzyła go więc krótkim uśmiechem. On jednak trwał w bezruchu z rękami w kieszeniach prążkowanego kombinezonu, kryjąc oczy w cieniu runda przepoconego słomkowego kapelusza.

Ze śmiałością na twarzy przemierzyła peron i weszła do budynku stacji, lecz zastała tam tylko kasjera, pracowicie stukającego w telegraf za szybą okienka.

— Przepraszam... — Odwrócił się, przesuwając na czole zielony celuloidowy daszek.

— Słucham panią? — rzekł z uśmiechem.

— Mam się tu spotkać z panem Frederikiem Dahlem. Czy pan go zna?

— Wiem, kto to jest, ale nie widziałem go tutaj. Proszę usiąść, prawdopodobnie wkrótce się zjawi. Zaczęło ją ścisnąć w żołądku. Co ja teraz zrobię?

Zbyt zdenerwowana, by siedzieć spokojnie, postanowiła czekać na zewnątrz. Po drugiej stronie wiaty, z dala od stojącego tam farmera, postawiła neseser. Mijały kolejne minuty, lecz nikt się nie zjawiał. Spojrzawszy na nieznanego i zobaczywszy, że się jej przygląda, z zakłopotaniem skierowała uwagę na pociąg. Lokomotywa sapała i syczała, z każdym oddechem wyrzucając z siebie kłęby pary, ale najwyraźniej potrzebowała więcej czasu, by znowu ruszyć w drogę.

Zaryzykowała ponowne zerknięcie na mężczyznę, ale w chwili gdy ich oczy się spotkały, ten ruszył szybko ku drzwiom wagonu pasażerskiego.

Teodor Westgaard wpatrywał się w stopnie wagonu. Czekał na nowego nauczyciela, minęły wszakże całe trzy minuty, a jedyną osobą, która wysiadła z pociągu, była ta szczupła panna odgrywająca dorosłą w kapeluszu i butach swojej matki. Po raz drugi powędrował ku niej wzrokiem, ale znów na niego spojrziała, więc zakłopotany przeniósł uwagę na drzwi wagonu. Wychodźże, Brandonberg, i jedźmy. Mam masę pracy przy żniwach.

Sięgnął do kieszeni kombinezону po zegarek i sprawdzając godzinę, niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Dziewczyna znowu na niego zerknęła, lecz zanim ich spojrzenia się spotkały, umknęła oczami ku torom,

splatając dłonie pod płaszczem, który trzymała w rękach.

Przypatrzył jej się ukradkiem.

Mniej więcej szesnaście lat, pomyślał, boi się własnego cienia, ale ma nadzieję, że nikt tego nie dostrzega. Ładne dziewczątko, chociaż ten kapelusz z ptasimi skrzydłami wygląda niedorzecznie, gdyż wciąż powinna nosić warkocze i trzewiczki na płaskich obcasach.

Ku zaskoczeniu Westgaarda nim ktokolwiek inny wysiadł z pociągu, konduktor podniósł ruchomy schodek, wsunął go do wagonu i dał maszyniście znak do odjazdu. Pociąg powoli ożył i potoczył się w dal, zostawiając za sobą narastającą ciszę, zakłócaną jedynie bzyczeniem muchy wokół nosa dziewczyny.

Trzepnęła ją ręką i udawała, że Westgaarda tam nie ma, podczas gdy w nim narastała złość, że wyprawę do miasta odbył na próżno. Zdjął kapelusz i podrapał się w głowę, potem nasunął go jeszcze głębiej, by osłonić oczy, i zaklął pod nosem. Mieszczuch. Nie ma pojęcia, ile dla farmera znaczy każda godzina o tej porze roku.

Gniewnie ruszył do środka.

— Cleavon, jeśli ten szczeniak przyjedzie następnym pociągiem, powiedz mu... zresztą, do diabła! Chyba i tak będę musiał na niego poczekać.

Alamo nie miało przedsiębiorstwa wynajmu koni, jakże więc nowy nauczyciel dotrze na farmę, gdy w końcu tu przyjedzie?

Kiedy ponownie przekroczył drzwi, znów stała przed nim ta dziewczyna ze sztywnymi ramionami i przerażeniem malującym się na twarzy. Wciąż ścisnęła płaszcz, a teraz otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła i odwróciła się.

Chociaż nie potrafił rozmawiać z nieznanymi dziewczętami, ta wydawała się spłoszona i bliska płaczu, podszedł więc i zapytał:

— Czy ktoś miał tu na panią czekać? Obróciła się ku niemu niemal

desperacko.

— Tak, ale zdaje się, że coś go zatrzymało.

— Taaa... tak samo jak gościa, którego ja miałem tu spotkać. Nazywa się

L. I. Brandonberg...

— Och, dzięki Bogu! — westchnęła, a jej twarz nagle znowu rozjaśniła się uśmiechem. — To ja nazywam się Brandonberg.

— Pani! — na jej uśmiech odpowiedział jękiem. — Ależ to niemożliwe!

L. I. Brandonberg jest mężczyzną!

— On nie jest... to znaczy ja nie jestem mężczyzną

— zaśmiała się nerwowo, potem przypomniała sobie o manierach i wyciągnęła rękę. — Nazywam się Linnea Irena Brandonberg i jak pan widzi, z całą pewnością jestem kobietą.

Szybko przesunawszy wzrokiem po jej kapeluszu i włosach, wydał z siebie lekceważące parsknięcie.

Poczuła, że krew napływa jej do twarzy, lecz uparcie wysuwała rękę.

— Z kim mam przyjemność? — domagała się odpowiedzi. Zignorował wyciągniętą dłoń.

— Nazywam się Westgaard — odparł nieuprzejmie

— i żadna kobieta nie będzie mieszkać w moim domu! Nasza rada szkolna zatrudniła osobę o nazwisku L. I. Brandonberg, sądząc, że to mężczyzna. A zatem to był Teodor Westgaard, w którego domu miała się stołować i mieszkać. Zniechęcona opuściła dłoń, której nie chciał uścisnąć.

— Przykro mi, że pan się zawiódł, ale zapewniam, że nie zamierzałam nikogo oszukiwać.

— Ha... Jak kobieta może nazywać siebie L. I.!

— Czy istnieje przepis zabraniający kobietom posługiwania się inicjałami jako częścią podpisu? — zapytała cierpko.

— Nie, ale powinien! Takie miejskie panienki jak pani pewnie czują, że

rada szkolna wolałaby mężczyznę, mimo to przyjeżdżają, aby rozmyślnie wszystkich oszukać.

— Niczego takiego nie zrobiłam! Podpisałam...

— Nauczanie w tutejszej szkole — przerwał jej nieuprzejmie — wymaga czegoś więcej niż tylko gryzmolenia liter na tablicy, panienko! Nauczyciel ma do szkoły milę, musi rozpalać w piecu i odgarniać śnieg. A zimy są tutaj surowe! Ja zaś nie mam czasu, by zaprzęgać i podwozić do szkoły cieplarniane dziewczątko, kiedy jest trzydzieści stopni poniżej zera, a z północnego zachodu nadciąga śnieżycy!

— Z pewnością pana o to nie poproszę! — Była teraz rozwścieczona, jej twarz pałała. Jak mogli przysłać na jej powitanie takiego gbura! — I nie jestem cieplarnianym dziewczątkiem!

— Czyżby? — spojrzał na nią taksująco, zastanawiając się, jak długo taka osóбка wytrwałaby tutaj, gdyby wiejący z Alaski północno-zachodni wiatr uderzył ją w twarz, a śnieg zacinał tak mocno, że nie zdołałaby odróżnić ciepła od zimna na własnym czole. — No cóż... — wydusił z siebie w końcu z mrukliwym niezadowoleniem. — Jedno jest pewne: nie życzę sobie żadnej kobiety pod moim dachem.

Słowo „kobieta” wymówił tak, jak kowboj wymawia słowo „grzechotnik”.

— Zamieszkać zatem u kogoś innego.

— Ciekawe u kogo?

— Ja... na razie nie wiem, ale porozmawiam o tym z panem Dahlem.

Wydał z siebie jeszcze jedno pogardliwe mruknięcie, które zrodziło w niej ochotę, żeby walnąć go w nos.

— Tu nikogo innego nie ma. Nauczyciele zawsze mieszkali z nami, bo nasz dom jest najbliżej szkoły. Bliżej mieszka tylko mój brat John, ale jest kawalerem, więc o jego domu nie ma mowy.

— Cóż więc zamierza pan zrobić ze mną? Zostawić mnie na stacji?

Usta ściągnęły mu się jak zwarzona na mrozie jagoda, a brwi zmarszczyły w wyrazie surowej nagany, gdy spojrział na nią spod ronda słomianego kapelusza.

— Żadna kobieta nie będzie mieszkać pod moim dachem — powtórzył uparcie, krzyżując ramiona.

— Nie to nie, ale jeśli chce pan uniknąć procesu, proszę mnie zawieźć do kogoś mniej świętoszkowatego, u kogo z przyjemnością zamieszkać. — Skąd, u licha, przyszło jej to do głowy? Nie miała pojęcia, ale musiała coś wymyślić, by pokazać temu nieokrzesanemu gburowi jego miejsce!

— Proces! — Westgaard rozłożył ramiona. Nie umknęło mu słowo „świętoszkowaty”, ale ta mała żmijka rzucała groźby tak szybko, że musiał powiedzieć cokolwiek, byle natychmiast.

Linnea wyprostowała się, czyniąc co w jej mocy, by myślał, że jest odważna i bywała.

— Podpisałam kontrakt, panie Westgaard; kontrakt, który stwierdza, że mieszkanie i utrzymanie stanowi część mojego rocznego wynagrodzenia. Ponadto mój ojciec jest adwokatem w Fargo, więc moje koszty sądowe byłyby wyjątkowo umiarkowane, gdybym postanowiła oskarżyć radę szkoły w Alamo o zerwanie kontraktu, a pana wskazać jako...

— Dobrze, dobrze! — uniósł w powietrze obie duże dłonie. — Dość tego gadania, moja panno! Podrzucę pannę do Oskara Knutsona i niech robi z panną, co mu się podoba! Skoro chce być przewodniczącym rady szkolnej, niech na to zasłuży!

— Nazywam się Brandonberg, a nie pannica! — z rozdrażnieniem lekko strzepnęła spódnice.

— Taaa... wspaniała pora na prezentację. — Odwrócił się ku czekającym koniom i wozowi, pozostawiając ją w zacierzewanym milczeniu.

Podrzuci mnie Oskarowi Knutsonowi, coś podobnego!

Rzeczywistość nadal drwiła z jej romantycznych złudzeń i snów na jawie. Nie było eleganckiego dwuosobowego powoziku ani lśniących pełnokrwistych kłusaków. Zamiast tego Westgaard poprowadził ją ku wiejskiemu wozowi zaprzężonemu w parę potężnie umięśnionych koni o wątpliwym pochodzeniu i wspiał się na kozioł, nie ofiarując jej pomocnej ręki, wobec czego Linnei nie pozostało nic innego, jak unieść spódnicę i z wysiłkiem wdrapać się na miejsce.

A co do dżentelmenów w pilśniowych kapeluszach... ha! Ten grubianin nie wiedziałby, co zrobić z pilśniowym kapeluszem, nawet gdyby takie nakrycie głowy spadło mu na spalony słońcem nochal! Jakimże trzeba być zuchwalcem, aby traktować ją, jakby była... jakby była... zbędna! Ona, która z takim trudem zdobyła dyplom nauczycielki w Seminarium Pedagogicznym w Fargo! Ona, kobieta z wykształceniem, podczas gdy on ledwie dukał zdania jak nieuczony gamoń! Rozczarowanie Linnei pogłębiło się jeszcze, gdy szarpnął lejce, pokrzykując na konie. Ciężkie perszerony wiozły ich przez jedną z najbrzydszych mieścin, jakie widziała w całym swoim życiu. Opera? Czy naprawdę marzyła jej się opera? Okazało się, iż najbardziej „kulturalnym” przybytkiem w tym miasteczku jest sklep spożywczy połączony z pocztą, która niewątpliwie sprowadzała do Alamo „kulturę” za pośrednictwem katalogu domu wysyłkowego. Największymi budowlami zaś były elewatory zbożowe stojące obok torów kolejowych. Pozostałe budynki, nieliczne zresztą, wyglądały jak niewielkie sześciany o ozdobnych frontonach. Naliczyła też dwa magazyny narzędzi, dwa bary, jedną restaurację, sklep spożywczy, hotel, bank oraz połączenie apteki z drogerią i zakładem fryzjerskim. Serce w niej zamarło.

Westgaard gapił się prosto przed siebie, trzymając lejce w dłoniach, których palce były wielkości serdelków, a skóra przypominała skórę starego

Indianina... Jakże różniły się od długich białych palców z jej wyobrażeń!

Nie patrzyli na siebie, Linnea zauważyła jednak te mocne, ogorzałe dłonie, Westgaard zaś jej buciki na wysokich obcasach. A kiedy ruszyli, poczuła, że zerka na nią spod tego okropnego kapelusza. On poczuł natomiast, że usiadła, jakby połknęła kij, i spogląda z przesadną elegancją spod nedorzecznych ptasich skrzydeł na kapeluszu.

Jakie to okropne, pomyślała, że kiedy ludzie się starzeją, popadają w takie dziwactwo.

Jakie to śmieszne, pomyślał, że kiedy ludzie są młodzi, zawsze próbują zrobić co w ich mocy, by wydać się starszymi. Ale żadne nie powiedziało ani słowa.

Przejechali kilka mil na zachód, potem skręcili na południe, ale ziemia wokół wyglądała tak samo: płaska, złota i falująca. Z wyjątkiem miejsc, gdzie przejechały już kosiarki. Tam było płasko, złoto i spokojnie.

Po upływie pół godziny Westgaard zajechał na podwórze farmy wyglądającej identycznie jak wszystkie inne, które wcześniej minęli: naruszony zębem czasu, szalowany deskami dom z bawełnianym wiatrochronem od zachodu, karłowate drzewa lekko wyciągające się ku południu, stodoła sprawiająca wrażenie utrzymanej lepiej niż dom, prostokątne spichlerze, sześciokątny silos i jedyna przyjaźnie wyglądająca osobliwość, która górowała nad wszystkim — wolno obracający się wiatrak.

W drzwiach pojawiła się jakaś kobieta, wsuwająca pasmo włosów w węzeł upięty na karku. Uniosła rękę na powitanie i uśmiechnęła się szeroko.

— Teodor! — zawołała, schodząc po dwóch drewnianych stopniach i przecinając skrawek trawy, która wydawała się równie złota jak otaczające ich pola. — Witaj! Kogo tu masz? Myślałam, że pojechałeś do miasta po nowego nauczyciela.

— To on, Hildo. Ale nosi buty na wysokich obcasach i kapelusz z

piórami na głowie.

Linnea się zjeżyła. Jak śmie drwić z jej stroju! Hilda podeszła do wozu i zmarszczywszy brwi najpierw spojrzała na Westgaarda, potem na Linneę.

— To on?! — zapytała, przysłaniając ręką oczy, aby spojrzeć po raz drugi, później klasnęła i roześmiała się gderliwie. — Och, Teodorze, żarty sobie z nas robisz, co?

— Nie — odparł Westgaard, po czym wskazał kciukiem swoją pasażerkę. — To ona sobie z nas zażartowała. Oto L. I. Brandonberg.

Zanim Hilda Knutson zdołała odpowiedzieć, Linnea, na nowo rozzłoszczona nieuprzejmością Westgaarda, który nie dokonał stosownej prezentacji, wychyliła się z wozu i wyciągnęła rękę.

— Miło mi panią poznać. Nazywam się Linnea Irena Brandonberg.

Hilda machinalnie uściśnęła wysuniętą dłoń.

— Kobieta... — powiedziała skonsternowana. — Oskar zaangażował kobietę...Stojący obok niej Westgaard wydał z siebie gardłowy odgłos rozbawienia.

— Wydaje mi się, że Oskar zaangażował dziewczynkę przebraną w stroje matki i udającą, że jest kobietą.

Hilda zapanowała nad oszołomieniem.

— No cóż, Teodorze, nauczyciele zawsze mieszkali u ciebie. Któż inny da jej dach nad głową?

— Nie wiem. Tym razem nie ja. Właśnie o tym chciałbym porozmawiać z Oskarem. Gdzie on jest? — wzrok Westgaarda wędrował po horyzoncie.

— Nie wiem dokładnie. Rano zaczął od zachodniego pola żyta, ale trudno powiedzieć, gdzie jest teraz. Może zobaczysz go z drogi, jeśli pojedziesz w tamtą stronę.

— Pojadę, ale ją zostawię tutaj. Nie przyjechała do mnie, więc równie dobrze może zostać u was, zanim nie znajdziecie jej innego miejsca.

— Tutaj! — Hilda przycisnęła obie ręce do piersi. — Ależ ja nie mam wolnych pokoi, wiesz o tym. Przecież nie można ulokować nauczycielki z dziećmi! Zabierz ją, Teodorze.

— Nigdy, Hildo. Pod moim dachem nie zamieszka żadna kobieta.

Linnea była wściekła. Ci bezczelni ludzie traktowali ją, jakby była nocnikiem, którego nikt nie chce wynieść.

— Przestańcie! — krzyknęła, zamykając oczy i unosząc obie dłonie niczym kierujący ruchem policjant. — Zawieźcie mnie z powrotem do miasta. Jeśli nie jestem tu potrzebna, z najwyższą przyjemnością wsiądę do najbliższego pociągu.

— Co to, to nie!

— No widzisz, co narobiłeś, Teodorze? Zraniłeś jej uczucia.

— Ja?! To Oskar ją zaangażował. Oskar nam powiedział, że przyjedzie mężczyzna.

— No to porozmawiaj z Oskarem! — Z oburzeniem wzruszyła ramionami, po czym z opóźnieniem przypomniawszy sobie o dobrych manierach, jeszcze raz wymieniła z Linneą uścisk dłoni i poklepała ją po ręce. — Niech pani nie zwraca uwagi na Teodora. Znajdzie pani jakieś mieszkanie. Teraz jest wściekły, bo traci czas, gdy na polu stoi nie zebrane zboże — powiedziała, a następnie władczo zwróciła się do mężczyzny: — No, Teodorze, opiekuj się tą młodą osobą, skoro się zgodziłeś!

Po tych słowach wróciła do domu. Pokonanemu Westgaardowi nie pozostało nic innego, jak wyruszyć na poszukiwanie Oskara z niechcianą podopieczną u boku.

Podobnie jak większość gospodarstw w Dakocie farma Knutsona była ogromna. Jadąc żwirową drogą, widzieli wokół ciągnące się aż po horyzont jego pola pszenicy, owsa i żyta. Nigdzie jednak nie było ani śladu żniwiarzy i maszyn. Westgaard siedział prosto i ze zmarszczoną brwią przeszukiwał

wzrokiem ów ocean złota, uporczywie wypatrując jakichś oznak ruchu na odległym krańcu pola, lecz poruszało się jedynie samo zboże i stado kosów, które fruwały nad ich głowami, tworząc coraz to inne wzory, nim zdecydowały się wylądować gdzieś w owsie na biesiadę. Wóz toczył się wzdłuż pola i rozciągających się jak okiem sięgnąć łąnów. Schnące w słońcu zboże przesycalo słodką wonią roziskrzzone powietrze. Delikatnymi ruchami cugli Westgaard skierował konie ze zwirowej drogi na trawiasty trakt między jednym polem, z którego zebrano już plon, a drugim, z prawej strony, na którym zboże stało jeszcze nie zżęte. Trakt był nierówny, wytyczono go bowiem głównie po to, by uzyskać dostęp do pól. Gdy wóz nagle się przechylił, Linnea mocno przytrzymała kapelusz, byłby jej bowiem spadł. Westgaard spojrział na nią bez słowa i na chwilę jeden kącik jego ust uniósł się ku górze, podczas gdy ona, opuściwszy brodę, gorliwie mocowała szpilkę nieszczęsnego nakrycia głowy.

Wóz kołysał się i podskakiwał na wyboistej drodze aż do lekkiego wzniesienia.

— Prrr! — zawołał Westgaard, kiedy na nie wjechali.

Konie posłusznie stanęły w miejscu, oni zaś wciąż wpatrywali się w rozległe pola Oskara Knutsona, nie widząc nigdzie ani śladu właściciela.

Westgaard, trzymając lejce w jednej ręce, drugą zdjął kapelusz i podrapał się w głowę, gderliwie mruknął coś pod nosem i nałożył go ponownie.

Tym razem uśmiechnęła się Linnea. Dobrze mu tak, gburowi jednemu! Zgodził się dać mi dach nad głową i utrzymanie, to niech mnie teraz znosi, czy mu się to podoba czy nie!

— Będzie pani musiała pojechać do mnie, zanim nie znajdę jakiegoś rozwiązania — powiedział z ubolewaniem i trzepnąwszy lejcami skierował konie w ściernisko.— Zatem pojedę.

Rzucił jej krótkie miażdżące spojrzenie, ale siedziała sztywno

wyprostowana, wpatrzona przed siebie. Ten jej niedorzeczny kapelusz był lekko przekrzywiony. Teodor uśmiechnął się do siebie.

Ruszyli więc ponownie, kierując się najpierw na południe, potem na zachód. Zewsząd dochodził ich szelest wysuszonych słońcem zbóż. Ciężkie kłosa unosiły się ku niebu tylko na krótką chwilę, po czym nisko przyginały pod własnym ciężarem.

Linnea i Teodor zamienili ledwie dwa zdania, choć jechali już ponad godzinę.

— Jak daleko od Alamo pan mieszka? — zapytała.

— Dwanaście mil — odparł.

Potem znów zapadła cisza, w której słyhać było tylko ptaki, zboża i rytmiczny stukot końskich kopyt. Trzy razy widzieli też w oddali kosiarki ciągnięte przez konie, które wydawały się maleńkie z łbami kiwającymi się rytmicznie w ciężkim znoju.

Linnea ponownie przerwała milczenie, gdy po prawej pojawił się niewielki, niegdyś biały budynek z wieżyczką. Objęła wzrokiem tyle szczegółów, ile zdołała: długie wąskie okna, kamienne schodki, płaski dziedziniec obsadzony krzewami bawełny, pompa. Westgaard nie zatrzymał się jednak, prowadząc zaprzęg tym samym krokiem, uchwyciła się więc oparcia i obejrzała, gdyż budynek oddalił się zbyt szybko, by zdążyła zobaczyć wszystko, co chciała.

— Czy to szkoła?

— Taaa... — mruknął, nie odrywając oczu od końskich karków.

Wstrętny typ! Zacisnęła pięści, kipiąc ze złości.

— Mógł mi pan powiedzieć!

Spojrzał w jej stronę, wyginając usta w sardonicznym grymasie.

— Nie jestem przewodnikiem turystycznym.

Była bliska wybuchu, lecz zacisnęła zęby i zostawiła wszystkie uwagi

dla siebie. Pokonali jeszcze niewielki odcinek drogi, a kiedy po lewej minęli farmę, Teodor widać postanowił zirytować Linneę jeszcze bardziej.

— To farma mojego brata Johna.

— Cudowna! — odparła sarkastycznie, nawet nie patrząc w tamtą stronę.

Niespełna dziesięć minut później wjechali w długi, wijący się podjazd wiodący najwyraźniej do domu Westgaarda, choć ten nie pofatygował się, by ją objaśnić. Domostwo osłonięte było od północy długim parawanem starych drzew i biegnącym równolegle rzędem gęstych krzewów, które tworzyły nieprzebytą ścianę zieleni. Gdy objechali ów parawan, oczom Linnei ukazał się dziedziniec farmy. Dom mieszkalny stał po lewej stronie pętli podjazdu, wszystkie zaś budynki gospodarcze, z wiatrakiem i zbiornikiem na wodę, znajdowały się po stronie prawej, między leciwą stodołą a kilkoma innymi przybudówkami — jak mniemała, spichlerzami i kurnikami.

Dom był piętrowy i podobnie jak wszystkie, które minęli w drodze z miasta, pozbawiony jakichkolwiek ozdób. Wydawało się, iż kiedyś pomalowano go na biało, ale teraz miał kolor popiołu ze śladem bieli, która tu i ówdzie prześwitywała jako pozostałość lepszych czasów. Nie było werandy, która łagodziłaby jego pudełkowy wygląd, ani okapów, które ocieniałyby okna przed palącym słońcem. Po obu stronach drzwi wejściowych znajdowały się wąskie okna nadające frontonowi wygląd twarzy zwróconej ku rozległym polom.

— Oto mój dom — obwieścił Westgaard i pochyliwszy się, okręcił lejce wokół drążka hamulca, po czym zeskoczył, pozostawiając Linneę samej sobie. Jednakże w tej samej chwili od drzwi domu dobiegł władczy głos:

— Teddy! Gdzie twoje maniery? Pomóż młodej damie zejść z wozu!

Teddy, pomyślała Linnea. Teddy?!

Ścieżką od kuchennych drzwi jak wicher spieszyła, potrząsając karcąco palcem, niewysoka drobna kobieta o kędzierzawych siwych włosach

splecionych na karku i w okrągłych okularach w drucianej oprawce.

Teodor Westgaard posłusznie zawrócił do wozu i podał Linnei rękę, lecz na jego twarzy malowała się udręka.

Linnea przyjęła pomoc, a zeskakując na ziemię, pozwoliła sobie na szyderstwo zabarwione słodyczą: — Och, dziękuję. Jest pan doprawdy nazbyt uprzejmy.

Westgaard natychmiast wypuścił jej dłoń, kiedy dobiegła do nich owa zaaferowana drobna kobieta, przy której Linnea, licząca niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, poczuła się jak olbrzymka. Siwowłosa kobieta miała nos nie większy niż napałek, wyblakłe brązowe oczy, którym najwyraźniej nic nie umykało, usta proste i wąskie niczym wierzbowy listek. Chodziła z wysuniętą do przodu brodą, zamasyście kołysząc ramionami. Choć plecy miała już lekko pochylone, wciąż udawało jej się sprawiać wrażenie osoby nadzwyczaj zabieganej. Braki w posturze nadrabiała energią, a gdy tylko otworzyła usta, Linnea zrozumiała, że nie jest osobą, która cokolwiek owija w bawełnę.

— A więc to jest nowy nauczyciel! Nie wyglądasz mi na mężczyznę! — Przytrzymała Linneę oburącz, obejrzała od rąbka spódnicy po kapelusz i pokiwała głową, po czym odwróciła się do Westgaarda, żądając odpowiedzi. — Co się stało z tym jegomościem?

— Ona nim jest — odpowiedział zwięźle. Kobieta wstrząsnął krótki paroksyzm śmiechu.

— Cóż, czas na zmiany... — Opanowała się szybko i wyciągnęła rękę do Linnei. — Ten dom ich potrzebuje. Powinnam nauczyć syna lepszych manier. Skoro nas sobie nie przedstawił, przedstawię się sama: jestem jego matką. Możesz mi mówić Nissa.

Jej dłoń sprawiała wrażenie zbudowanej z kruchych kostek, ale była silna.

— Nazywam się Linnea Brandonberg. Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Linnea...

— Linnea... Porządne norweskie imię. Uśmiechnęły się do siebie, jednakże uśmiech Nissy trwał

krótko. Było oczywiste, że ona niczego nie robi długo. Poruszała się jak wróbel, a każdy kolejny ruch był szybki i ekonomiczny.

— Wejźmy do środka. — Ruszyła pospiesznie do domu, machnąwszy ręką w stronę syna. — Nie stój tak, Teddy, weź bagaż.

— Ona tu nie zamieszka.

Linnea wzniosła oczy ku niebu. Znowu to samo! Jakież jednak było jej zaskoczenie, gdy Nissa Westgaard odwróciła się i ze zdumiewającą siłą trzepnęła syna w kark.

— Co to znaczy: „nie zamieszka”? Oczywiście, że zamieszka, więc wybij sobie z głowy swoje teorie. Wiem, co masz na myśli, ale ta dziewczyna jest nową nauczycielką, a ty lepiej zacznij zważać na maniery w jej towarzystwie albo sam będziesz sobie tu gotować i prac! Wiesz przecież, że w każdej chwili mogę zamieszkać u Johna!

Linnea zasłoniła dłonią usta, aby ukryć uśmiech. Przypominało to oglądanie chudego koguta szarżującego na niedźwiedzia. Nissa czubkiem głowy sięgała synowi zaledwie pod pachę, ale gdy natarła mu uszu, nie odezwał się ani słowem. Poczzerwieniał tylko jak burak i widać było, że mocno zacisnął szczęki. Zanim jednak Linnea zdołała nacieszyć się widokiem jego porażki, Nissa znów się zakręciła, chwyciła ją za rękę i pociągnęła ku domowi.

— Zawzięty uparciuch — gderiała. — Za długo mieszka bez kobiety. Przez to nie pasuje do towarzystwa.

Linnea miała ochotę powiedzieć, że podpisując kontrakt nie godziła się na nic więcej, roztropnie jednak ugryzła się w język. Przyszło jej też na myśl, że Nissa jest kobietą, ale w tych stronach posiadanie „kobiety” w domu nie

oznaczało mieszkania z matką.

Przez szeroko otwarte tylne drzwi Nissa wepchnęła Linneę do kuchni, w której pachniało octem.

— Nie mamy zbyt dużo miejsca, lecz dom jest ciepły i suchy. Mieszka nas tu tylko troje, będziesz więc miała własny pokój, co już stwarza znacznie lepsze warunki, niż miałybyś w jakimkolwiek innym domu w okolicy.

Linnea obróciła się zdumiona.

— Troje? — zapytała.

— Nie powiedział ci o Kristianie?

Linnea, oszołomiona nieco tempem rozmowy i władcym tonem Nissy, jedynie pokręciła przecząco głową.

— Co za utrapienie z tym człowiekiem! Kristian to chłopak Teodora, jego syn, a mój wnuk. Teraz go nie ma. Pracuje w polu. Wróci w porze kolacji.

Linnea rozejrzała się wokół, daremnie szukając wzrokiem brakującego ogniwa, czyli żony i matki. Przekonała się również, że nie pozna przyczyny jej nieobecności. — To jest kuchnia — mówiła dalej Nissa. — Musisz wybaczyć mi bałagan, właśnie robię przetwory. — Na wielkim, okrągłym dębowym stole stały w szeregu słoje z owocami, Linnea jednak ledwie zdążyła rzucić na nie okiem, a już Nissa ruszyła do następnych pomieszczeń. — To pokój frontowy. Ja tu śpiam - oświadczyła, po czym wskazała drzwi do kolejnej izby. - A to pokój Teodora. Ty i Kristian macie sypialnie na górze.

Zawróciła do kuchni.

Gdy przefruwały przez nią ku drzwiom wiodącym na piętro, Linnea ujrzała w przelocie Teodora wchodzącego do domu z jej walizką. Odwróciła się od niego i podążając za Nissą, wąskimi schodami weszła na piętro. Z ciasnego podestu wchodziło się do dwóch pokoi, jednego po prawej stronie, drugiego po lewej. Ten pierwszy miał być pokojem Linnei.

Nissa otworzyła drzwi i weszła do środka.

Był to najsurowszy pokój, jaki Linnea kiedykolwiek widziała. Niczego nie było na ścianie, gdyż nie miał ścian, a tylko ostro opadający strop. Z dołu wyraźnie widać było legary, belki i wiązania, sufitu bowiem nie osłaniał ani tynk, ani boazeria. Pionowe były jedynie dwie trójkątne przegrody po bokach, podobnie jak sufit również nie wykończone. Na wprost drzwi znajdowało się małe, podzielone na cztery części, wychodzące na wschód okno z białymi koronkowymi firankami przypiętymi do surowego drewnianego karnisza. Teraz, późnym popołudniem, przedzierało się przez nie niewiele światła, ale padające przez wąski podest popołudniowe słońce z bliźniaczego okna lekko ogrzewało pokój.

Podłogę okrywało linoleum z wzorem stulistnych róż na ciemnozielonym tle, niecałą jednak, tak że po brzegach widać było szeroki pas nieheblowanych desek. Na prawo od drzwi, wciśnięte pod pochyły dach, stało okryte szydełkową jaskraworóżową narzutą wąskie łóżko o pomalowanej na biało żelaznej ramie. W stopach łóżka leżała patchworkowa kołdra, a przed nim, na linoleum, domowej roboty chodnik wiązany zieloną osnową. Na stojącym u wezglowia kwadratowym stoliku z toczonymi nóżkami, na białej szydełkowej serwetce umieszczono lampę naftową. Pod przeciwległą pochyłą ścianą kryła się sięgająca piersi szafa, na której udrapowano haftowaną zasłonkę ze śnieżnobiałej bawełny wykończoną szydełkową koronką. W rogu na lewo od drzwi widać było szeroką rurę kominową biegnącą na dach z położonej niżej kuchni. Przy oknie na blacie niskiej szafki ustawiono dzbanek i miednicę, a za jej drzwiczkami bez wątplenia ukryto naczynie nocne. Obok umywalki wisiało lustro z umocowaną do ramy mydelniczką i wieszak na ręczniki, tuż przy oknie zaś stał wielki dębowy fotel na biegunach z zielonymi i różowymi perkalowymi poduszkami na siedzeniu i oparciach.

Linnea wędrowała wzrokiem od fotela do grubych belek nad głową, tłumiąc rozczarowanie. Jej pokój w domu rodzicielskim był ozdobiony

kwiecistą tapetą, dwa duże okna wychodziły na przeciwne strony. Każdej wiosny wszystkie framugi i futryny malowano na kolor kości słoniowej, dębowe parkiety woskowano, aż lśniły. Po całym domu równomiernie rozchodziły się strumienie ciepła z węglowego centralnego ogrzewania, a na parterze właśnie zainstalowano łazienkę z bieżącą wodą.

Rozglądała się po mrocznym poddaszu, szukając właściwych słów. Nissa wyraźnie czekała na jakąś oznakę aprobaty, Linnea zaś spoglądała na śnieżnobiałą zasłonkę na niskiej szafie i na ozdobną serwetkę, które wykrochmalono i odprasowano z widoczną starannością, a także na ręcznie robiony kilimek i na linoleum, które wyglądało tak, jakby je rozłożono dla nowego nauczyciela.

— Ten pokój jest... jest... taki duży!

— Taaa... duży... Ale będziesz uderzać głową o krokwie.

— Jest znacznie większy niż pokój w moim rodzinnym domu, który zresztą musiałam dzielić z dwiema siostrami. — Kiedyś chciałaś być aktorką, Linneo, i właśnie masz okazję, by pokazać, co potrafisz. Skrywając rozczarowanie, przemierzyła pokój i spojrzała przez ramię. — Pozwolisz, że spróbuję?

Nissa skrzyżowała ręce na piersiach i z zadowoleniem patrzyła, jak nowa nauczycielka siada w wyłożonym poduszkami fotelu i buja się na nim, wyrzucając stopy wysoko w powietrze. Linnea dla większego efektu śmiała się i głaskała wygięte poręcze.

— W domu, mieszkając w trójkę w jednym pokoju, nie miałyśmy dość miejsca na fotele na biegunach — powiedziała, starając się, by zabrzmiało to wystarczająco prawdopodobnie, po czym uniosła brodę, by wyrzeć przez miniaturowe okno, jakby rozpierała ją radość. — Nie będę wiedziała, co zrobić z tym zaciszem własnego pokoju! — zakończyła, szeroko rozkładając ramiona.

Gdy znów skierowały się na dół, Nissa promieniała z dumy. Kuchnia

była pusta, Teodor zostawił jej walizkę przy drzwiach. Rzuciwszy na nią okiem, Linnea po raz kolejny doznała uczucia przykrości. Nie był nawet na tyle uprzejmy, by zaoferować jej wniesienie bagażu na górę, co z pewnością uczyniłby każdy dżentelmen.

Nissa zaproponowała pomoc, Linnea wszakże poczuła się nagle przytłoczona jej podejrzenie serdecznym przyjęciem w tym domu.

— Nisso, nie chcę być przyczyną konfliktu między tobą i synem. Może byłoby lepiej, gdybym...

— Nonsens, dziewczyno! Zostaw mojego syna mnie! — zawołała Nissa. I z pewnością osobiście zaniósłaby walizkę na górę, gdyby Linnea jej nie uprzedziła.

Kiedy znalazła się sama w owym dziwnym pokoju pod krokwiemi, postawiła walizkę na wytartym dywaniku i pośepnie opadła na łóżko. Miała ściśnięte gardło, piekły ją oczy. To tylko jeden mężczyzna. Tylko jeden zrzędlivy, zgorzkniały, leciwy mężczyzna. Jestem wykwalifikowaną nauczycielką i cała rada szkolna mnie zaaprobowała. Czyż to nie powinno znaczyć więcej niż jego świętoszkowate przekonania?

A jednak bolało.

Wymarzyła sobie, jak to będzie, gdy tutaj przyjedzie: miłe uśmiechy, serdeczne uściski rąk, powszechny szacunek... Ach, tego pragnęła najbardziej, gdyż ukończywszy lat osiemnaście czuła, że w istocie zasługuje na prawo do szacunku nie tylko jako nauczycielka, lecz także jako dorosła kobieta. A teraz siedzi tu, becząc jak idiotka, ponieważ powitanie nie odpowiadało jej oczekiwaniom. No cóż, oto co otrzymujemy, gdy pozwalamy się porwać niemądrej wyobraźni. Łzy kapały na walizkę, stulistne róże i domowej roboty kilimek.

Musiałeś to zepsuć, Teodorze Westgaard?

Ale ja ci jeszcze pokażę.

Ja ci pokażę!

ROZDZIAŁ 2

Ta pannica wciąż była na górze, gdy wracał na pola. Kobiety! Gorsze niż kobieta są tylko dwie kobiety. A on właśnie miał dwie kobiety w domu! I to jakie!

Był rozwścieczony, że matka tak go potraktowała w obecności tej dziewczyny, ale czy miał wybór? Mógł tylko stać tam i słuchać. I jak długo będzie musiał się godzić z jej despotyzmem? Jeszcze teraz twarz płonęła mu z zażenowania.

Nie miała prawa upokarzać go w ten sposób! Był dorosłym, trzydziestoczteroletnim mężczyzną. A jeśli chodzi o jej nieustanne pogroźki, iż wyprowadzi się do Johna, to... wielkie nieba, jakże pragnął, by to uczyniła! Tyle że u Johna nie miałyby komu ciosać kołków na głowie, o czym dobrze wiedziała.

Wciąż zirytowany dotarł do miejsca, skąd widać było w oddali dwie postaci kierujące dwoma zaprzęgami zbierającymi pszenicę. Przystanął i czekał na skraju pola. Obserwowanie, jak John i Kristian pracują, niesło ukojenie. Ostrza kosiarki wcinały się w gęste zboże, które wydawało się oblane złotem, po skoszeniu zaś matowiało. Posuwali się miarowo niemal ramię w ramię, John lekko ze swą kosiarką wysunięty do przodu, Kristian tuż za nim, zostawiając za sobą podobny schodkowy wzór na zżętym łanie. Kiedy stali się punktami na horyzoncie, zawrócili w stronę Teodora i z każdym krokiem końskich kopyt byli coraz wyraźniejsi. Gdy znaleźli się bliżej, dobiegł go łagodny klekot drewnianych drążków stykających się z podstawą noży kosiarki. Wpatrywał się w podcinane kłosa i głęboko zaciągał ich wonią... Nie

ma nic słodsze od woni pszenicy suszonej w słońcu. Słodką była też cena, jaką miała osiągnąć tej jesieni. Wojna tocząca się w Europie sprawiła, że każde ziarno było czystym złotem nie tylko pod względem koloru. Stojąc w słońcu i obserwując zniwiarzy, pomyślał, że świętokradztwem jest, by coś tak pięknego skończyło w czymś tak okropnym jak wojna. Mówiono, że nadejdzie dzień, gdy ta pszenica będzie żywić amerykańskich żołnierzy, ale sprawy toczyły się inaczej. Chociaż obozy szkoleniowe pełne były niecierpliwych się rekrutów, niosła się wieść, że nie mają ani mundurów, ani karabinów. Uzbrojeni w kije od mioteł odbywali musztry w cywilnych ubraniach. W całym kraju śpiewano piosenkę „Nie po to chowałam syna, żeby był żołnierzem”, wydawało się więc, że jedyną wojną, o jaką Teodor musi się martwić, jest batalia między nim a tą młodą impertynencką nauczycielką.

Wciąż rozważał tę myśl, gdy podjechał ku niemu brat.

— Prrr, dziewczynki! — zawołał do klaczy, ściągając lejce, po czym ociężale zszedł z żelaznego siedziska. Konie zatrzęsły łbami, wypełniając ciche popołudnie brzękiem uprząży. — Wróciłeś — stwierdził, zsuwając słomiany kapelusz i ocierając ramieniem czoło pod rzadziejącymi włosami.

— Taaa... wróciłem.

— Przywiozłeś go?

— Taaa...

John po swojemu akceptująco skinął głową. Był zadowolonym z siebie człowiekiem, nieszczególnie bystrym i nieszczególnie myślącym. Miał trzydzieści osiem lat, był od Teodora trochę szerszy w ramionach, mniej tęgi w rozumie i znacznie wolniejszy we wszystkim — od codziennej harówki po złość. Potężnie zbudowany i silny, poruszał się z osobliwym brakiem pośpiechu i wdzięku. Jego postać doskonale pasowała do kombinezonu, roboczych butów i grubej flanelowej koszuli. W najgorętsze dni lata nosił ją zapiętą pod szyją i w nadgarstkach i nigdy nie uskarżał się na upał, gdyż nigdy,

przenigdy, nie uskarżał się na nic. Jego zainteresowania Sprowadzały się do granic pól, na których zarabiał na swój chleb powszedni we własnym, niespiesznym rytmie. Dopóki mógł to robić, niczego więcej nie oczekiwał od życia.

— Żniwa idą dobrze — zauważył. — Teraz, we trzech, powinniśmy skończyć tę część przed zmrokiem. — Po tych słowach ukucnął i żując ziarno pszenicy, ogarniał wzrokiem pole. Teodora jak zwykle zdumiewało, że brata nie obchodzi nic z tego, co dzieje się wokół. Nic a nic. Był tak zadowolony, że nie przychodziło mu na myśl, by pytać lub wątpić. Prawdopodobnie właśnie z powodu owej nieokreśloności charakteru Teodor kochał go bez zastrzeżeń i otaczał opieką. Co ci chodzi po głowie, John, kiedy tak kucasz w bezruchu i wpatrujesz się w horyzont?

— On okazał się nią — poinformował Teodor starszego brata.

John popatrzył nań nie rozumiejącym wzrokiem, lecz nie powiedział ani słowa.

— Jest kobietą — wyjaśniał dalej Teodor.

— Kto jest kobietą? — To pytanie padło z ust Kristiana, który nie pozostając w tyle zeskoczył ze swojej kosiarki z szybkością całkowicie różną od tej, z jaką uczynił to jego wuj.

Podobnie jak pozostali mężczyźni odziany był w prążkowany kombinezon na szelkach, spod którego widać było nagie plecy. Nie nosił też kapelusza. Na mocnych, opalonych ramionach rysowały się wypukłości bicepsów, dostrzegalne dopiero w ostatnim półroczu. Kristian szybko teraz rósł, toteż szyję miał chwilowo guzowato-patykowatą, grdyka bowiem rozwinęła się szybciej niż otaczające ją mięśnie. Pociągła kanciasta twarz chłopca z każdym dniem stawała się jednak urodziwsza. Miał brązowe oczy ojca, chociaż brakowało im cynizmu, który tak często zakradał się do oczu Teodora, i zmysłową dolną wargę matki, nieco pełniejszą od górnej.

— Nowy nauczyciel — odparł jego ojciec, po czym zrobił przerwę i zastanowił się, zanim dodał: — Właściwie nie całkiem kobietą. Raczej dziewczyną, która udaje kobietę. Nie wygląda na wiele starszą od ciebie.

Oczy Kristiana rozszerzyły się ze zdumienia.

— Naprawdę?— Przełknął ślinę i spojrzawszy w kierunku domu, zapytał: — I co?... Zostaje? — Doskonale wiedział, że ojciec żywi jakąś niechęć do kobiet. Wielokrotnie słyszał, jak dorośli o tym rozmawiali, sądząc, że „małych uszek” nie ma w pobliżu.

— Babcia zabrała ją na górę i pokazała jej pokój... Kristian znów wszystko pojął: skoro babcia powiedziała, że ona zostaje, to zostaje!

— Jak wygląda?Na twarzy Teodora odmalowała się dezaprobata.

— Gada jak najęta. Kristian roześmiał się szeroko.

— Ale jak wygląda?

— Co cię obchodzi, jak wygląda? — burknął Teodor.

— Tylko zapytałem — odparł Kristian, czerwieniąc się lekko.

— Jak chuda mysz. — Swarliwy pomruk Teodora wyraźnie się pogłębił.

— Tak jak twoim zdaniem powinna wyglądać nauczycielka. A teraz wracaj do pracy.

W porze żniw kolacja zaczynała się później, gdyż dopóki nie zniknął ostatni promień słońca, ludzie pracowali na polach, robiąc jedynie popołudniowe przerwy na udój i zjedzenie kanapek, które pozwalały wytrwać do chwili powrotu.

Chociaż Linnea uprzejmie zaproponowała pomoc w przygotowaniu kolacji, Nissa nie chciała o tym słyszeć, oświadczywszy zwięźle:

— Nauczyciel ma tu mieszkanie z utrzymaniem. To część twojej pensji, czyż nie?

Linnea postanowiła więc zbadać najbliższą okolicę, choć nie było tu wiele do oglądania. Za dwoma ustawionymi w literę L spichlerzami znalazła

niewidoczny z domu chlewik. Kurnik, szopa z narzędziami, silos na kukurydzę i pszenicę nie były szczególnie atrakcyjne, zainteresowała ją dopiero stajnia. Była ogromna i przestronna, lecz najciekawsza okazała się siodlarnia. Nawet w wypożyczalni koni w Fargo nie widziała tylu skórzanych akcesoriów! Zebranych tu siodeł i uprzęży wystarczyłoby na wyposażenie pułku kawalerii. A rozwieszane na ścianach setki pętli i lin świadczyły o zgoła pajęcznej systematyczności i funkcjonalności, podobnie jak poręcznie poustawiane ławy i kozły do cięcia drewna.

Siodlarnia była wspaniała!

Miała charakter. I zapach. I nastrój, który kazał Linnei zaciekawić się mężczyzną utrzymującym to miejsce w tak nabożnym porządku. Ani jedne lejce nie były oplecione na wąskim metalowym ćwieku, na którym mogłyby się skurczyć lub popękać — wszystkie wisiały na grubych drewnianych wieszakach, umieszczone tak przemyślnie, by ich końce nie dotykały betonowej posadzki. Mniejsze pojedyncze skórzane cugle bez okuć były zwinięte tak samo starannie jak lassa, bez żadnych splątań ani supłów. Kolekcja chomąt zdobiła ścianę, para siodeł spoczywała na koźle do cięcia drewna okrytym grubą płachtą owczej skóry mającą chronić ich spody. Na prostej ławce, równiutko jak na półce aptekarza, stały puszki z płynami do konserwacji skóry, olejem i mydłem do czyszczenia siodeł. Haki do usuwania kamieni z kopyt, nożyce i zgrzebła powieszono na odpowiednich ćwiekach z fanatyczną wręcz pieczołowitością. Nieopodal małego okna stał stary, poczerniały od plam fotel z powyginanym oparciem i poręczami. Na wklęsłym siedzeniu wytarły się dwa jaśniejsze miejsca, nogi zaś już dawno umocowano drutem. Na jednej z jego poręczy wisiał jakiś splamiony gałgan, złożony dokładnie na pół i udrapowany z taką starannością, z jaką kobieta przewiesza kuchenną ściereczkę na przeznaczonym dla niej wieszaku.

Pedant, wydedukowała Linnea. Tylko praca, żadnych rozrywek...

Skonstatowanie perfekcyjności w tak drażliwym i wybuchowym człowieku było dziwnie irytujące. Czekanie, aż ów człowiek i jego syn wrócą z pola, przedłużało się. Linnei zaczęło z głodu burczeć w brzuchu. Wyobraziła sobie, jak pewnego dnia osadzi go na miejscu.

Z tą myślą poszła do swojego pokoju, by umyć ręce i poprawić uczesanie przed kolacją. Ze szczotką w dłoni przysunęła się do owalnego lustra w wąskiej malowanej ramie.

Lepiej traktujesz swoje konie niż kobiety. Prawdę mówiąc, lepiej niż kobiety traktujesz nawet końskie uprzęże!

Wyimaginowana odpowiedź tak ją poruszyła, że uniosła rękę i przyłożyła dłoń do serca.

Powinien pan wiedzieć, że starał się o mnie londyński aktor i brytyjski lotnik! Odrzuciłam siedem... nie, osiem razy... Zmarszczyła czoło, w końcu zuchwale machnąwszy szczotką, błysnęła przez ramię triumfalnym uśmiechem. Och, jakąż doprawdy różnicę czynią jedne oświadczyzny mniej czy więcej?... Roześmiała się i wróciła do szczotkowania włosów opadających jej na ramiona.

Lotnik zabrał mnie na bal do pałacu, na specjalne zaproszenie królowej, w noc przed odlotem na zbombardowanie niemieckiego hangaru zeppelinów w Dusseldorfie. Uniosła spódnicę i kołysała się tanecznie, a na jej twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. Ach, cóż to była za noc... Zamknęła oczy i skłoniła się najpierw na lewo, potem na prawo. Jej odbicie błyskało w owalnym lustrze. Pod koniec tego wieczoru pojechaliśmy do domu powozem zamówionym specjalnie na tę okazję. Otrząsnęła się i opuściła spódnicę. Niestety, lotnik stracił życie w służbie dla ojczyzny. To było takie smutne... Na chwilę opadł ją smutek, zaraz jednak dzielnie się rozpromieniła. Ale przynajmniej pozostało mi wspomnienie tego, jak wirowałam w jego ramionach w walcu wiedeńskim. Z wdziękiem wygięła szyję, giętkim ruchem odgarniając włosy z twarzy. A

zresztą pan by tego i tak nie zrozumiał. Poza tym dama ani nie całuje, ani nie opowiada o swojej przeszłości. Odłożyła szczotkę i sięgnąwszy po grzebień, rozdzieliła włosy przedziałkiem na środku głowy. Potem był Lawrence... Zakreśliła się nagle i przysunąwszy biodra do umywalki, prowokacyjnie przechyliła się do tyłu. Opowiadałam panu kiedykolwiek o Lawrencie?

Trzask tłukącej się porcelany wyrwał Linneę ze świata fantazji i gwałtownie otrzeźwił. Umywalka się przechyliła, a dzban i miednica zniknęły z pola widzenia.

— Co się stało? Wszystko w porządku? — zawołała z dołu Nissa i niebawem na schodach rozległy się jej kroki.

Przerażona Linnea przycisnęła dłonie do ust i pochyliła się nad umywalką. Gdy Nissa stanęła w drzwiach, ujrzała dziewczynę wpatrzoną w kąt, gdzie leżały kawałki porcelany, które jeszcze kilka sekund wcześniej były dzbanem i miednicą.

— Co się stało?

Linnea obróciła się i spojrzała na nią z wyrazem oszołomienia na twarzy.

— Och, pani Westgaard, ogromnie mi przykro! Ja... ja rozbiłam naczynia toaletowe.

Nissa rozejrzała się wokół.

— Jakim cudem?

— No... przypadkowo zawadziłam o toaletkę. Zapłacę za tę szkodę z pierwszej pensji — zapewniła, zastanawiając się przez chwilę, ile to może kosztować.

— W porządku, byle tylko nie było bałaganu. Nic ci się nie stało?

Linnea uniosła spódnicę i spojrzała na jej mokry brzeg.

— Zamoczona...Nissa ruszyła do ustawiania umywalki we właściwej pozycji, Linnea wszakże ją ubiegła.

Odsunąwszy mebel, zobaczyła rozbite naczynia i wodę wpływającą pod

linoleum

— O Boże... — jęknęła, znów przysłaniając usta, podczas gdy w oczach wzbierały jej piekące łzy. — Jak mogłam być tak niezdarna? Prawdopodobnie zniszczyłam również linoleum.

Nissa już kierowała się ku schodom.

— Przyniosę wiadro i ścierkę..

Gdy wyszła, Linneę dobiegły z zewnątrz jakieś głosy. Wyjrzała przez okno i zobaczyła mężczyzn, którzy przyszli zapewne wtedy, kiedy ona śniła na jawie. W popłochu padła na kolana, by pozbierać kawałki porcelany i dłonią wycisnąć wodę spod linoleum. Jednakże kałuża znalazła już sobie drogę pod spód, więc uniosła róg — co okazało się błędem, woda spłynęła bowiem po wygięciu linoleum, mocząc jej spódnicę powyżej kolan.

— Pozwól, że ja to zrobię! — rozkazała Nissa od drzwi.

— Wrzuć te skorupy do wiadra.

Linnea z największą ostrożnością umieściła rozbite naczynia na dnie wiadra, jakby owa ostrożność mogła w jakiegokolwiek mierze poprawić sytuację. Z trudem tłumiąc łzy, czuła się niezdarna, zakłopotana i oburzona na siebie za to, że znów pozwoliła ponieść się dziecięcym fantazjom, które tak często wpędzały ją w tarapaty.

Gdy wszystkie kawałki zostały zebrane i Nissa przysiadła na piętach, Linnea ze smutną miną wyciągnęła rękę, by dotknąć jej ramienia.

— Naprawdę... naprawdę mi przykro — wyszeptała.

— To było głupie i...

— Oczywiście, że ci przykro. Nikt nie lubi się wygłupić w nowym miejscu. Ale dzbanki są... ojej, skaleczyłaś się!

Linnea cofając rękę zobaczyła, że zostawiła krew na rękawie Nissy.

— Och, a teraz zniszczyłam pani suknię! Dlaczego nic mi się nie udaje?

— Nie przejmuj się tak! To się spierze. Ale wygląda na to, że ręka

będzie krwawić przez jakiś czas. Lepiej przyniosę coś do zabandażowania — powiedziała Nissa, zrywając się na równe nogi, i zbiegła na dół. Po chwili Linnea usłyszała w kuchni głosy i zawstydzila się jeszcze bardziej, gdy zdała sobie sprawę, że Nissa prawdopodobnie opowiada mężczyznom, co się stało.

Po powrocie jednak starsza pani ani słowem nie skomentowała wydarzenia. Owinęła jej rękę czystym kawałkiem prześcieradła i starannie obwiązała, przed wyjściem zaś poleciła:

— Uczesz się i za pięć minut bądź na dole. Chłopcy nie lubią czekać.

Niestety Linnea w układaniu włosów w nowym stylu, polegającym na gładkim zaczesaniu ich do tyłu i upięciu, nie miała zbyt dużej wprawy nawet oburącz, a z jedną ręką zabandażowaną była wręcz bezradna. Zdenerwowana robiła, co mogła, ale efekty wciąż jej nie zadowalały, gdy Nissa zawołała, że kolacja jest gotowa. Nerwowo poprawiając fryzurę i wpychając w nią szpilki, Linnea rzuciła okiem na swoją spódnicę: mokre kolana, mokry rąbek i ani chwili na zmianę stroju! Lustro pokazywało, że zwinięte w węzeł włosy wcale nie chcą się trzymać środka głowy. A niech to!... Zdecydowanie przesunęła kok w lewo, co tylko pogorszyło sprawę, i pospiesznie wpięła jeszcze trzy szpilki.

— Panno Brandonberg! Kolacja! „Chłopcy nie lubią czekać.”

Dała spokój fryzurze i ruszyła ku schodom, mając nadzieję, że jej kroki brzmią lekko.

Gdy weszła do kuchni, wyłaniając się z mroku klatki schodowej, zaskoczył ją widok trzech mocno zbudowanych mężczyzn, którzy obrócili na nią zaciekawione spojrzenia.

Chłopcy?

Teodora oczywiście miała już nieszczęście poznać. Jednym spojrzeniem ogarnął jej zaczerwienioną twarz, niesforne włosy oraz mokrą spódnicę i cień uśmiechu uniósł mu ku górze jeden kącik ust. Lekceważąc go jako

nieokrzesanego gbura, Linnea skierowała uwagę na pozostałych.

— Ty zapewne masz na imię Kristian — powiedziała. Był o pół głowy wyższy od niej i niezwykle przystojny z ustami znacznie miłszymi i ładniejszymi niż ojciec, ale z takimi samymi głębokimi piwnymi oczami. Miał mokre, świeżo uczesane złocistobrazowe włosy, które po wyschnięciu prawdopodobnie stawały się niemal jasnoblond. Twarz błyszczała mu świeżo po kąpieli i spośród nich trzech tylko on nie miał koszuli ani białej linii przecinającej czoło. Wyciągnęła rękę.

— Witaj. Nazywam się Linnea Brandonberg.

Kristian Westgaard wręcz gapił się w twarz nowej nauczycielki. Chuda mysz?... Co stary miał na myśli? Czuł, że rumieniec oblewa mu nagi tors, serce bije jak młotem, a ręce się pocą.

Linnea widziała, jak poczerwieniały chłopak nerwowo ociera dłonie o spodnie. Grdyka poruszała mu się niczym boja na fali. W końcu miękko podał jej dłoń.

— O rany... — westchnął. — To znaczy, że będzie tu pani nową nauczycielką?

Nissa podeszła do stołu z wazą zupy.

— Zważaj na maniery, młodzieńcze! — upomniała go i rumieniec Kristiana zaognił się znowu.

— Obawiam się, że tak — roześmiała się Linnea, odpowiadając na pytanie.

— A to mój syn John — przerwała ich rozmowę Nissa.

— Mieszka po drugiej stronie pola — skinęła głową na wschód

— ale wszystkie posiłki jada z nami. — Ponownie ruszyła w stronę kuchennego pieca.

Linnea spojrzała na twarz mężczyzny bardzo podobnego do Teodora, lecz nieco starszego i z wyraźnie rzednącymi włosami. Miał nieśmiałe

orzechowe oczy, prosty kształtny nos i pełne usta w niczym nie przypominające wąskich ust Nissy. Wydawało się, że nie jest w stanie popatrzeć jej prosto w oczy ani powstrzymać się od nerwowego przestępowania z nogi na nogę. Twarz Johna była czerwienią nad linią kapelusza, a brązem poniżej, zażenowany zaś wzrok skrupulatnie omijał Linneę. Gdy Nissa dokonała prezentacji, szybko skinął głową i wyciągnął rękę, jednakże tylko do połowy, a w ślad za tym poszły dwa kolejne skinienia. Dłoń Linnei zawisła między nimi, w końcu ujął ją w wielką kościstą rękę i ścisnął mocno.

— Witaj, John — powiedziała Linnea z prostotą. Ukłonił się nieśmiało, patrząc na własne buty.

— Dzień dobry... panienko. — Jego głos brzmiał łagodnie, mrukliwie i bardzo, bardzo nisko, niczym grzmot nadchodzący z oddali.

John miał świeżo ogoloną twarz, rzędzące włosy zaczesane do góry i tyłu. Nosił wyblakłe czarne spodnie i czerwone szelki, z czerwoną kraciatą koszulę zapiął po szyję, co temu potężnie zbudowanemu mężczyźnie nadawało dość smutny dziecięcy wygląd. Jakieś ciepłe opiekuńcze uczucie musnęło serce Linnei, gdy ogromna ręka Johna ujęła jej dłoń.

Jedynym, który się do niej nie odezwał, był Teodor. Linnea czuła wszakże, iż bacznie ją obserwuje, i postanowiła, że mu nie popuści. Jeśli sądzi, że maniery stają się nieistotne, gdy człowiek się starzeje, to udowodni mu, że nigdy nie jest się zbyt leciwym, aby być uprzejmym.

— Witam ponownie, panie Westgaard. — Obróciła się i stanęła naprzeciw, nie pozostawiając mu wyboru: musiał zareagować.

— Taaa... — powiedział tylko z rękami skrzyżowanymi na niebieskiej koszuli i czarnych szelkach.

— Pańska mama pokazała mi pokój i pomogła się rozgościć. Będzie mi tu naprawdę bardzo przyjemnie — dodała uśmiechając się słodko, aby zirytować go jeszcze bardziej.

Ponieważ pozostali patrzyli na nich uważnie, zmusił się do zduszenia ostrej riposty.

— Cóż, będziemy stać tu i gadać przez całą noc czy w końcu zjemy jakąś kolację?

— Kolacja gotowa. Siadajmy — wtrąciła Nissa, ruszając po ostatni półmisek, by postawić go na okrągłym dębowym stole nakrytym śnieżnobiałym obrusem. — To będzie twoje krzesło. — Wskazała miejsce między sobą a Johnem prawdopodobnie z nadzieją, że pewien dystans między Linneą a Teodorem osłabi ich wrogość. Niestety, znaleźli się na wprost siebie i zanim jeszcze Linnea usiadła, poczuła, że oczy Teodora znów spoczywają na niej z wyczuwalną niechęcią.

Gdy wszyscy usiedli, Teodor powiedział:

— Pomódlmy się.

I złożwszy ręce, oparł łokcie obok talerza, podpierając dłońmi czoło.

Wszyscy poszli jego śladem, Linnea również, ale gdy głębokim głosem zaczął odmawiać modlitwę, otworzyła oczy, ze zdumieniem zerkając dokoła. Modlitwę odmawiano po norwesku!

Przycisnęła kciuki do czoła, obserwując, jak kąciki jego ust poruszają się za złożonymi dłońmi. Ku jej konsternacji Teodor Westgaard patrzył na nią! Ich spojrzenia spotkały się tylko na sekundę, lecz nawet tak krótkiej chwili starczyło na zawstydzenie, zanim wzrok mężczyzny powędrował ku jej zabandażowanej ręce. Z poczuciem winy szybko zamknęła oczy.

Dodała swoje „amen” do pozostałych i nim zdążyła zdjąć łokcie z obrusa, zaczęło się coś zadziwiającego: jak gdyby koniec modlitwy zasygnalizował początek wyścigu, cztery pary rąk rzuciły się do czterech półmisek, cztery łyżki do nakładania potraw uderzyły o cztery talerze, po czym w precyzyjnym szyku półmiski kolejno przesuwane były w prawo, by każdy z Westgaardów mógł sięgnąć po następny, nadchodzący z prawej.

Linnea patrzyła na to z ustami otwartymi ze zdumienia. Najwyraźniej jednak jej zwłoka w przejściu od Johna półmiska kukurydzy zakłóciła ten rytm, gdyż nagle spoczęły na niej wszystkie oczy: siedziała z pustymi rękami, podczas gdy John balansował z dwoma półmiskami w dłoniach. Gdy bez słowa trącił ją w ramię i wzięła półmisek kukurydzy, wzrok Teodora znów zatrzymał się na jej zabandażowanej ręce.

— Co jej się stało? — zwrócił się do Nissy. Nissa usypała sobie na talerzu kopiec ziemniaków.

— Rozbiła na górze dzban i miednicę, po czym skaleczyła się, zbierając odłamki.

Jak on śmie rozmawiać przy mnie tak, jakbym sama nie mogła odpowiedzieć! Linnea zaczerwieniła się, gdy cztery pary oczu skierowały się ku jej zabandażowanej ręce trzymającej półmisek z kukurydzą. Osobliwe widowisko potoczyło się dalej — znów półmiski i chochle przesuwwały się pod jej nosem. Wreszcie ich bieg skończył się równie gwałtownie, jak zaczął: cztery pary rąk odstawiły naczynia na stół, cztery głowy pochyliły się nad talerzami i czworo Norwegów zaczęło jeść z zachłannością tak prymitywną, że Linnea mogła tylko patrzeć.

Była ostatnią osobą trzymającą półmisek i poczuła się jak postać z innej sztuki. No cóż, maniery to maniery! Zademonstruje te, które wpajano jej przez całe życie, i zobaczy, czy jej przykład zainspiruje tych czworo.

Skończyła napełniać talerz. Siedziała odpowiednio wyprostowana, jedząc w statecznym rytmie i używając widelca i noża do doskonałych zrazów duszonych w wybornym sosie ze smakowitymi dodatkami. Kiedy nóż nie był jej potrzebny, odkładała go we właściwy sposób. Ziemniaki, kukurydza, surówka z białej kapusty, chleb, masło, rozmaite smakołyki... Cała rodzina jadła chciwie z serwetkami pod brodą! A wydawane dźwięki były wprost potworne!

Nikt nie mówił ani słowa, wszyscy bowiem pracowicie machali łyżkami, dopóki talerze nie zaczęły pustoszeć. Dopiero wtedy Westgaardowie po kolei zaczęli prosić, by znów podano im półmiski. Jednakże i to robili jak jaskiniowcy!

— Ziemniaki! — zażądał Teodor.

Linnea z niesmakiem obserwowała, jak odpowiedni półmisek podsuwa mu John, który ledwie podniósł wzrok, wycierając sos kromką chleba, a potem upychając ją w ustach palcami.

Po chwili odezwał się Kristian:

— Mięso!

Babcia przez stół przysunęła mu miskę z mięsem. Nikt oprócz Linnei nie widział w tym niczego niewłaściwego. Następne minuty znów upłynęły na mlaskaniu i siorbaniu.

— Kukurydza!

Linnea nie zdawała sobie sprawy, iż akcja się zatrzymała, dopóki nagła cisza nie kazała jej podnieść wzroku znad talerza.

— Powiedziałem: kukurydza — powtórzył Kristian.

— Och, kukurydza!... — Chwyliła półmisek i przesunęła go ku Kristianowi przez stół, nazbyt zmieszana, aby pierwszego wieczoru w nowym domu podjąć temat manier.

Wielki Boże, czy oni zawsze tak jedzą?

Rzucili się na dokładki, ona zaś mogła tymczasem uważnie przyjrzeć się każdemu z osobna. Także Nissie z jej okrągłymi okularkami i siwą głową pochyloną nad talerzem.

Nissa jako matka była niedbała w nauczaniu manier, ale jednocześnie miała niewątpliwą władzę nad swymi „chłopcami”. Linnea była pewna, że gdyby ona stwierdziła, iż nauczycielka nie jest mile widziana, nie siedziałyby teraz z Westgaardami przy kolacji.

John. Siedząc obok niego czuła się jak kruszynka. Czerwony rękaw flanelowej koszuli spoczywał na stole, a szerokie ramiona pochylone były do przodu niczym w jarzmie. Przypomniała sobie wahanie, z jakim uściskał jej dłoń, i rumieniec, gdy uprzejmie nazwał ją „panienką”. Johna nie musi się obawiać. Kristian. Nie umknęły jej ukradkowe spojrzenia, jakie rzucał w jej stronę podczas posiłku. Zerkał na nią, odkąd usiedli. Był taki duży! Taki wyrośnięty! Jakież to może okazać się niezręczne: być jego nauczycielką, gdy przewyższa ją o pół głowy, a ramiona ma szerokie jak niedźwiedź. Nissa mówiła o nim jako o „chłopcu Teodora”, ale był takim samym chłopcem jak jego ojciec czy wuj i najwyraźniej już się w niej zadurzył. Będzie musiała zachować ostrożność i w żaden sposób go nie ośmielać.

Teodor. Co uczyniło tego człowieka tak swarliwym i trudnym dla otoczenia? Byłoby kłamstwem, gdyby zaprzeczała, że się go boi. Jednakże nigdy nie da mu tego poznać, nawet gdyby mieszkała w jego domu pięć lat i musiała walczyć z nim wszelkimi sposobami. W każdym twardym człowieku kryje się łagodniejsza istota; wystarczy ją odnaleźć, a trafi się do jego duszy. Z Teodorem będzie to niewątpliwie trudne zadanie, ale postanowiła je podjąć.

Nieoczekiwanie podniósł wzrok, spoglądając jej prosto w oczy, i ze zdumieniem odkryła, że Teodor wcale nie jest stary. Jego brązowe oczy patrzyły przenikliwie, a wokół nich nie rysowały się zmarszczki oprócz jednej białej linii w każdym kącie, która pojawiała się, gdy je mrużył. Dostrzegłszy w tych oczach wystarczająco dużo inteligencji i awanturniczości, zastanowiła się, czego wymagałoby podsycenie pierwszej, a ujarzmienie drugiej. Włosy Teodora nie miały barwy zachodu słońca nad łanem dojrzałego zboża, jak przedtem fantazjowała — były gęste, barwy kasztana. Schły teraz po umyciu i zaczesaniu do tyłu, lecz buntowniczo wyrywały mu się na czoło niesfornymi lokami. Nie miał też zbyt dużego ani spieczonego słońcem nosa. Nos Teodora był prosty, kształtny i opalony, podobnie jak reszta jego twarzy aż do linii bieli

na czole wskazującej, iż jest farmerem. W przeciwieństwie do Johna kołnierzyk nosił rozpięty, wyłaniająca się zaś z niego szyja była mocna, o skórze niezwiotczącej. Ponieważ wpatrywał się w nią z uporem, zakłopotana spuściła oczy na jego ręce. Ręce Teodora, odmiennie niż ręce jego brata, odsłonięte były do połowy przedramienia. Miał wąskie nadgarstki, co sprawiało, że zarówno dłonie, jak i ramiona wydawały się mocniejsze. Miał czterdziestkę? Jeszcze nie. Trzydziestkę? To wydawało się bardziej prawdopodobne. Musiał więc mieć syna, gdy był w wieku Kristiana. Westchnąwszy cicho, Linnea doszła do wniosku, że miała rację: Teodor, będąc gdzieś między trzydziestką a czterdziestką, jest w istocie bardzo stary.

Podniósłszy wzrok, stwierdziła, że Teodor schylił się i je, wciąż jednak w nią wpatrzony. Gdy zakłopotana rozejrzała się wokół, stwierdziła, że Kristian obserwuje ich oboje. Błysnęła ku niemu szybkim uśmiechem i powiedziała pierwsze, co przyszło jej na myśl:

— A zatem będziesz jednym z moich uczniów, Kristianie? Siedzący wokół stołu przestali przeżuwać i wymachiwać widelcami. W głuchej ciszy patrzyli na nią, jakby wyrosły jej kły. Poczwała na twarzy rumieniec.

— Czy powiedziałam coś złego? — zapytała. Milczenie się przedłużało, w końcu Kristian udzielił jej odpowiedzi:

— Tak. To znaczy... nie, nie powiedziała pani nic złego. Tak, będzie pani moją nauczycielką.

Wszyscy ponownie wzięli się za jedzenie, spuściwszy wzrok w talerze, Linnea zaś po raz drugi przerwała milczenie:

— W której jesteś klasie, Kristianie? Westgaardowie znów znieruchomieli, zdumieni, że naruszyła rytuał. Kristian rozejrzał się ukradkiem i odparł:

— W ósmej.

— W ósmej... — Musi mieć przynajmniej szesnaście lat, pomyślała. — Straciłeś chyba z rok... Byłeś chory czy coś się stało?

Wpatrywał się w nią osłupiały, na jego policzki powoli wypełzał rumieniec.

— Nie. Ja żem nie stracił roku.

— Ja nie.

— Słucham?

— Powiedziałam: ja nie — poprawiła go.

Przez chwilę spoglądał zaskoczony, potem oczy zajaśniały mu uśmiechem.

— No właśnie. Ja też nie!

Czuła, że wszyscy na nią patrzą, ale nie mogła pojąć, co ich tak dziwi. Wszak tylko prowadziła uprzejmą konwersację. Nikt nie przejął od niej owej konwersacyjnej piłki, którą rzuciła w ich stronę. Wszyscy umilkli, napychając sobie brzuchy i wydając jedynie hałaśliwe odgłosy jedzenia. Teodor odezwał się tylko raz, gdy jego talerz był już do cna wyczyszczony.

— Co jest na deser, mamó? — zapytał, prostując się i preżąc tors.

Nissa podała chlebowy pudding, deser z kawałków posmarowanej masłem bułki przekładanych bakaliami i zapiekanych z mlekiem i jajkami. Linnea obserwowała, jak mężczyźni w milczeniu czekają, aż zostaną obsłużeni, po czym ze zdwojonym zapalem wracają do jedzenia. Przyglądała im się ukradkiem, wreszcie ją oświeciło: dla tych ludzi jedzenie było świętością, której nikt nie profanował czczymi pogawędkami! Nigdy w życiu nie potraktowano jej przy stole tak nieuprzejmie.

Gdy posiłek dobiegł końca, otoczył ją chór beknięć, zanim wszyscy oparli się i sięgnęli po kubki z kawą. Nikt nie powiedział „przepraszam”! Nikt, nawet Nissa.

Linnea zastanawiała się, jak Nissa zareaguje, jeśli poprosi, by odtąd

przynoszono jej posiłki do pokoju, nie miała już bowiem ochoty siadać z nimi do stołu i słuchać dźwięków przypominających pochrząkiwanie prosiąt w chlewie.

Teraz, jak się wydawało, ów nienaruszalny rytuał został dopełniony. Teodor rozparł się na krześle i rzekł do Linnei:

— Budynek szkoły pewnie zechce pani zobaczyć jutro.

Jutro najchętniej by zobaczyła wnętrze pociągu zabierającego ją z powrotem do Fargo. Ukryła jednak rozczarowanie i odpowiedziała z takim entuzjazmem, na jaki zdołała się zdobyć:

— Tak, chciałabym zobaczyć, z jakimi podręcznikami będę pracować i jakie przybory będę musiała zamówić.

— Dojenie mamy o piątej, a zaraz po nim jemy śniadanie. Niech pani zejdzie na śniadanie gotowa do wyjścia. Nie mam czasu, żeby schodzić z pola przed południem i prowadzić tam panią. Na wycieczkę proszę nie liczyć.

— Chętnie się sama przejdę. Wiem, gdzie jest szkoła. Popijał kawę, przełykając głośno.

— Płacą mi za pokazanie nowemu nauczycielowi szkoły i zapoznanie go z obowiązkami, jak tylko przyjedzie.

Poczuła, że nieszczęsny rumieniec znów wychodzi jej na twarz, chociaż bardzo starała się go powstrzymać. I mimo że wiedziała, iż lepiej byłoby zignorować szyderstwo, nie zrobiła tego.

— Go? — powtórzyła znacząco.

— Och... — Wzrok Teodora przesunął się lekceważąco po jej niezdarnie ułożonej fryzurze. — Jej. Zapomniałem.

— Czy to znaczy, że tu zostaję? Czy też nadal zamierza mnie pan podrzucić Oskarowi Knutsonowi, gdy tylko zdoła go pan dopaść?

Siedział rozparty leniwie, wsparłszy kostkę jednej nogi na kolanie drugiej, i manipulował wykałaczką w taki sposób, że wykrzywił sobie górną

wargę, a przy tym przez cały czas przyglądał jej się badawczo, lecz bez uśmiechu.

— W domu od Oskara nie ma dla pani pokoju — rzekł w końcu.

— W domu Oskara — wyrwało jej się, zanim nad sobą zapanowała.

Powoli wyjął z ust wykałaczkę i górna warga wróciła na swoje miejsce.

Ta uwaga wzmogła w nim złość. Linnea z satysfakcją zobaczyła, że rumieniec powoli wypełza także na jego twarz. Chociaż wiedziała, że zrozumiał, iż koryguje jego niepoprawny sposób wyrażania, nie mogła się oprzeć, by nie powtórzyć:

— W domu Oskara nie ma dla mnie pokoju.

Biały pas nieopalonej skóry poniżej linii włosów przybrał kolor jaskrawej czerwieni, gdy Teodor zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło i wymachując jej palcem przed nosem.

— On nie ma tego cholernego pokoju, więc mi pannę wlepiono! Ale niech mi panna schodzi z drogi, rozumiano?!

— Teodorze! — krzyknęła Nissa, ale zatrzasnął już za sobą drzwi.

Kiedy wyszedł, nad stołem zaległa śmiertelna cisza, a Linnea poczuła w oczach piekące łzy upokorzenia. Ukradkiem rozejrzała się dokoła. Twarze Kristiana i Johna były czerwone jak burak. Nissa zaś, wpatrując się w drzwi, pobladła z gniewu.

— Ten chłopak prezentuje okropne maniery, rozmawiając z tobą w ten sposób — oświadczyła.

— Ja... przepraszam. Nie powinnam go prowokować. To moja wina.

— Nie, nie w tym rzecz — stwierdziła Nissa wstając i gniewnymi ruchami zaczęła zbierać talerze. — Wścieka się, kiedy... — urwała i spojrzała na Kristiana, który utkwiał wzrok w obrusie. — Nie ma sensu tego zmieniać — skończyła, odwracając się.

Ku zaskoczeniu Linnei gest pojednania wykonał John. Powoli sięgnął ku

jej ramieniu, jakby chciał położyć na nim kojącą dłoń, ale zaraz się cofnął.

— On nie miał nic złego na myśli, panienko — rzekł cichym, głębokim głosem.

Popatrzyła w przyjazne, nieśmiałe oczy i nieoczekiwanie uświadomiła sobie, że to krótkie zapewnienie Johna było dla niego równoznaczne z długą oracją.

— Postaram się o tym pamiętać, gdy następnym razem się z nim zmierzę — odparła, wyciągając rękę, by lekko musnąć jego ramię. — Dziękuję, John.

Spojrzenie Johna powędrowało ku jej dłoni, a policzki pokryły się szkarłatną czerwienią. Linnea natychmiast cofnęła rękę i zwróciła się do Kristiana:

— Czy zechcesz zaprowadzić mnie jutro do szkoły? Nie musiałabym fatygować twojego ojca.

Kristian otworzył usta, ale nie wyszło z nich ani słowo. Spojrzawszy szybko na wuja, uznał, że nie będzie go kłopotał prośbą o pomoc, a w końcu nerwowo przełknął ślinę i uśmiechnął się szeroko, znów się rumieniąc.

— Tak, psze pani.

Odetchnęła z ulgą, nie uświadamiając sobie, że wcześniej wstrzymała oddech.

— Dziękuję, Kristianie. Będę gotowa zaraz po śniadaniu. Kristian skinął głową, patrząc, jak Linnea zaczyna zbierać resztę talerzy.

— Cóż, chyba byłoby dobrze, gdybym pomogła Nissie w zmywaniu.

Zanim jednak zdążyła wstać, Nissa oświadczyła:

— Nauczyciele nie zmywają! Wieczory należą do ciebie. Będą ci potrzebne na sprawdzanie zeszytów i inne nauczycielskie czynności.

— Ale nie mam jeszcze żadnych zeszytów do sprawdzania.

— No już, już! — Nissa machnęła ręką, jakby odganiała muchę. — Nie

kręć mi się pod nogami, bo chcę się zabrać za zmywanie. Zawsze to robię.

Linnea przystanąła z wahaniem.

— Jest pani pewna, że... Nissa spojrzała na nią zza swoich okrągłych okularów, sięgając po puste kubki i talerze.

— Czy wydaję ci się osobą, która nie jest pewna tego, co mówi?

To pytanie przywołało uśmiech na twarz Linnei.

— No cóż, obiecałam mamie, że napiszę do niej zaraz po przyjeździe i dam znać, czy dotarłam bez kłopotów.

— Świetnie! Ruszaj do pisania.

Znalazłszy się na górze, zapaliła lampę naftową i ponownie obejrzała pokój, ale wydał jej się równie niemiły jak przedtem. Dzbanek i miednicę Nissa zastąpiła cętkowaną niebiesko miską, której widok ponownie obudził w Linnei rozczarowanie nie tylko tym pokojem i rodziną Westgaardów, lecz także sobą. Tak bardzo pragnęła zachowywać się dojrzałe, tyle razy obiecywała sobie, że porzuci dziecinne fantazje i rojenia, które zawsze wpędzały ją w tarapaty! Z trudem tłumiała łzy. Wszak spędziła tu ledwie pół godziny i co narobiła?...

Z pierwszej pensji, wynoszącej trzydzieści dolarów miesięcznie, będzie musiała zapłacić za dzbanek i miednicę, ale co gorsza, zrobiła z siebie idiotkę. To było wystarczająco okropne, nie mówiąc o konieczności spotkania się na każdym kroku z niechęcią Teodora. To naprawdę nikczemny człowiek!

Mniejsza o niego, dumiała. Wszyscy mówili, że dorosłość nie przychodzi łatwo, i przekonujesz się teraz, że mieli rację.

Odsuwając myśl o Teodorze, sięgnęła po drewniane puzderko z papeterią i usiadła na łóżku.

„Kochani Rodzice, drogie Siostry!

Dotarłam do Alamo cała i zdrowa. Podróż była długa i monotonna. Po przyjeździe wpatrywałam się w horyzont, szukając na nim miasta, ale ku

swemu zdumieniu znalazłam tylko trzy elewatory i kilka smutnych budynków, co z trudem dałoby się nazwać tym mianem. To prawda, Tatusiu, ostrzegalesz mnie, że Alamo będzie niewielkie, lecz nie spodziewałam się, że aż tak małe!

Na stacji czekał na mnie pan Westgaard, który zawiózł mnie na swoją farmę. Wydaje się ona równie rozległa jak wszystkie tutejsze farmy, a w istocie jest tak ogromna, że kiedy próbowaliśmy znaleźć jednego z jego sąsiadów pracujących w polu, nie zdołaliśmy go odszukać. Pan Westgaard, któremu na imię Teodor, mieszka ze swoją matką Nissą (drobną, bardzo wybuchową osobą, którą natychmiast polubiłam), synem Kristianem (który będzie moim uczniem, ale przewyższa mnie o pół głowy) i bratem Johnem (który przychodzi tu na posiłki, ale mieszka na swojej farmie, położonej po sąsiedzku przy drodze wiodącej na wschód).

Zjedliśmy wspaniałą kolację: zrazy z sosem, ziemniaki, kukurydza, pieczywo, masło, pyszny deser i więcej różnych smakołyków, niż kiedykolwiek widziałam. Po kolacji Nissa nie pozwoliła mi ruszyć choćby palcem, żeby pomóc jej przy zmywaniu. Och, Carrie i Pyziu, wiem, że zzieleniałyście teraz z zazdrości, bo nie muszę zmywać! Teraz siedzę we własnym, prywatnym pokoju, gdzie nikt nie każe mi gasić światła, kiedy chcę dłużej poczytać. Pomyśleć tylko: pierwszy raz w życiu mam własny pokój!"

Rozejrzała się po owym pokoju: nagie krokwie nad głową, małe okno, pokojowa umywalka z miską w niebieskie cętki. Przypomniała sobie swój niezachwiany optymizm, jaki czuła zmierzając pociągiem do owego nowego domu, i przykre rozczarowanie, jakie towarzyszyło jej od chwili, gdy Teodor Westgaard otworzył usta, by powiedzieć: „Pod moim dachem nie zamieszka żadna kobieta!" Spojrzała na list, w którym starannie pominęła wszystkie przykrości i obawy pierwszych sześciu godzin jako „nowy nauczyciel", i nagle poczuła, że świat się na nią zawalił.

Zwinęła się w kłębek i zapłakała.

Och, mamó, tato, tak bardzo za wami tęsknię! Jakże żałuję, że nie ma mnie teraz w domu z wami wszystkimi, gdzie czas kolacji wypełniony jest wesołością, rozmowami i czułymi uśmiechami. Chciałabym znów trzymać ściereczkę do naczyń i narzekać głośno, że muszę pomagać Carrie i Pyzi, a potem znajdować jakąś wymówkę, żeby umknąć z kuchni. Chciałabym, abyśmy wszystkie trzy znów były razem, stłoczone w naszym ślicznym ukwieconym pokoiku, choć zawsze byłyście przeciwko mnie, gdy chciałam, żeby światło paliło się dłużej.

Co ja robię w samym środku tej zapomnianej przez Boga prerii, z tą obcą rodziną, pełną gniewu i powściągliwości oraz całkowitej pogardy dla dobrych manier? Żałuję, że nie słuchałam cię, tatusiu, gdy mówiłeś, że pierwszy rok powinnam spędzić bliżej domu, zanim się nie przekonam, czy naprawdę podoba mi się niezależność. Gdybym tam była, natychmiast podzieliłabym się wszystkim z tobą i mamą, zamiast skrywać ból w sobie i wypłakiwać smutek w tym brzydkim pokoiku na strychu.

Za bardzo jednak Linnea kochała najbliższych, by wyznać prawdę i obarczyć ich brzemieniem niepokoju.

Znacznie później zaś, gdy odkryła, że jej łzy spadły na zapisaną kartkę i zrobiły dwie niebieskie plamy, rezolutnie osuszyła oczy i zaczęła list od nowa.

ROZDZIAŁ 3

Zgodnie z tradycją rok szkolny oficjalnie rozpoczynał się w pierwszy poniedziałek września. Linnea przyjechała w poprzedzający go piątek, sobota zaś ledwie zaświtała, gdy obudzona jakimś dochodzącym z daleka dźwiękiem półprzytomnie rozglądała się po mansardzie oświetlonej stłumionym lawendowym światłem. Przez chwilę była zdezorientowana. Nad głową miała surowe belki stropu. Westchnęła i obróciła się na bok. Ach, tak... to jej nowy dom w Alamo. Źle spała w tym obcym łóżku. Miała ochotę zasnąć jeszcze na kilka chwil, ale właśnie wtedy usłyszała ruch na dole i przypomniała sobie zdarzenia poprzedniego dnia. No cóż, panno Brandonberg, wstawaj i pokaż im, co potrafisz.

Woda w miednicy była zimna i Linnea zastanawiała się, czy natknęłaby się na Teodora lub Kristiana, gdyby zbiegła na dół, żeby ją podgrzać. Może nie rozpalono jeszcze ognia: rzut oka przez okno powiedział jej, że jest bardzo wcześnie. Spojrzała na rurę od pieca, wyskoczyła z łóżka i dotknęła jej. Ktoś był już na nogach. Linnea włożyła niebieski flanelowy szlafrok, zapięła go pod szyją i ściągnęła w talii, po czym ruszyła na dół, zabierając ze sobą cętkowaną miednicę.

Starła się iść jak najciszej, ale schody trzeszczały.

W drzwiach pokazała się głowa Nissy. Matka Teodora była już uczesana, na prostej sukni ze spłowiałego kwiecistego perkalu miała sięgający kostek sztywny biały fartuch.

— Już wstałaś?

— Tak... Nie chcę, by ktokolwiek czekał z mojego powodu.

— Śniadania nie będzie wcześniej jak za godzinę. Chłopcy mają do wydojenia dziesięć krów.

— Czy oni... — Linnea, mocniej przyciskając do biodra cętkowaną miednicę, powędrowała spojrzeniem ponad głowę Nissy. — Czy już wyszli?

— Teren czysty, zejdź — żartobliwie odpowiedziała Nissa i zauważyła bose stopy Linnei skurczone na krawędzi schodów. — Nie masz kapci?

Linnea popatrzyła w dół.

— Obawiam się, że nie... — odparła nie wspominając, że w jej rodzinnym domu wystarczyło tylko zbiec do holu, by dotrzeć do ubikacji.

— No cóż, chyba najlepiej zrobię, jeśli przy pierwszej okazji sięgnę po koszyk do robótek. Zejdź na dół, bo spadniesz. Ciepła woda jest w bojlerze.

Mimo szorstkiego, władczego zachowania Nissy Linnea zdążyła ją polubić. Kuchnia dzięki niej stawała się miłą. Krzątała się w niej po swojemu, co Linnei przypominało szalony lot szczygła, gdyż miotła się to w jedną stronę, to w drugą tak gwałtownie, że wydawało się, iż zanim skończyła jedną czynność, już zaczynała następną.

Zdjęła fajerkę ogromnego żelaznego pieca królującego we wnętrzu, wrzuciła do niego szufłę węgla ze stojącego obok wiadra, zasunęła fajerkę i skoczyła ku spiżarni. Obserwującej ją Linnei niemal zakręciło się w głowie.

W pewnej chwili Nissa wskazała cebrzyk wody stojący na długim stole pod jedną ze ścian.

— Proszę! Użyj czerpaka! Na pewno tego ci trzeba! Nie ograniczam kąpieli nauczycielom!

Linnea roześmiała się i pomyślała, że jeśli będzie musiała pogodzić się z czyimiś dokuczliwymi humorami, Nissa zrobi wiele, by to wynagrodzić.

Znalazłszy się ponownie na górze, wykąpana, z ręką uwolnioną od bandaża i włosami uczesanymi w nieskazitelne sploty z tyłu głowy, poczuła kolejny przypływ otuchy.

Miała pięć zestawów garderoby: kostium podróżny z szarej wełny z granatową jedwabną bluzką, oblamowaną aksamitem spódnicę z brązowej

welny z kremową bluzką, zieloną spódnicę z trzema fałdami z czarną bluzką, granatową „marynarską” sukienkę z białym obszyciem wokół kołnierzyka oraz prostą szarą spódnicę z popeliny ze skromną białą bluzką nie posiadającą żadnych ozdób z wyjątkiem dwóch pasm wąskiej koronki biegnących z każdego ramienia do talii.

Ten strój był odpowiedni na niedzielę. Granatowa sukienka nadawała jej dziecięcy wygląd. Na brązową wełnianą spódnicę było jeszcze za ciepło. Zieloną zaś oszczędzała na pierwszy dzień szkoły, gdyż była podarunkiem od rodziców i stanowiła najbardziej „dorosły” z jej strojów. Zdecydowała się więc na praktyczną i wygodną szarą spódnicę z białą bluzką.

Ubrana, spojrzała na siebie uważnie. Fryzura była nieskazitelna, spódnica sucha. Bandaż zniknął, strój zaś wydawał się stateczny, a nawet poważny. Cóż można by jej zarzucić?

Nagle uświadomiła sobie, nad czym się zastanawia, i z wyrazem nieustępliwości uniosła brodę. Dlaczego miałabym się przejmować tym, czy spodoba mi się takiemu staremu zrzędzie jak Teodor? Jest moim gospodarzem, a nie panem!

Wróciła na dół, gdzie stół nakryty był do śniadania, ale mężczyźni jeszcze nie przyszli.

— Proszę, proszę! Teraz nie wyglądasz dziecinnie!

— Naprawdę? — Linnea wygładziła przód bluzki i niepewnie spojrzała na Nissę. — Czy wyglądam wystarczająco poważnie?

Nissa skryła uśmiech i obdarzyła dziewczynę uważnym spojrzeniem znad okularów w drucianej oprawce.

— Och, wyglądasz naprawdę poważnie. Powiedziałabym, że co najmniej na... no cóż... na dziewiętnaście lat.

— Naprawdę?!

Nissa robiła co w jej mocy, by nie roześmiać się z zadowolonej miny

Linnei, która ściszyła głos.

— Coś pani powiem, Nisso — rzekła w zaufaniu. — Odkąd zobaczyłam Kristiana, okropnie się boję, że będę wyglądać młodziej niż niektórzy z moich uczniów.

— Och, cóż znowu — mruknęła Nissa, spuszczać głowę. — W tej spódnicy wyglądasz nawet na dwadzieścia lat... Obróć się, żebym mogła obejrzeć cię z tyłu... — Linnea obracała się powoli, podczas gdy Nissa z powagą pocierała brodę. — Tak... z pewnością na dwadzieścia lat! — skłamała.

Linnea znów się rozpromieniła, lecz zaraz znów spoważniała, gdy ująwszy się pod boki wyglądała tak, jakby miała wyznać jakąś okropną zbrodnię. — Czasami mam pewien... jak by to powiedzieć... pewien kłopot... z dorosłym zachowaniem. Ojciec beszał mnie za marzycielstwo i zapominanie o tym, co mam robić. Jednak od kiedy znalazłam się w Seminarium Nauczycielskim, naprawdę bardzo się staram wyglądać poważnie i pamiętać, że jestem damą. Sądziłam, że ta spódnica będzie pomocna...

Nissa serdecznie polubiła tę dziewczynę, która stała teraz przed nią odziana w „dorosły” strój, próbując zachowywać się tak, jakby była gotowa stawić czoło całemu światu, gdy w istocie przenikało ją przerażenie.

— Przypuszczam, że będziesz tęsknić za rodziną. My jesteśmy obcy i będziesz się musiała przyzwyczaić do wielu nowych rzeczy.

— Ależ nie! To znaczy... chciałam powiedzieć... no cóż, tak... Z pewnością za nimi zatęsknię, ale...

— Pamiętaj o jednym — przerwała jej Nissa. — Nie ma nikogo bardziej upartego ani nieustępliwego niż gromada praktycznych i nie bawiących się w sentymynty Norwegów. I tutaj tak właśnie jest. Ale ty jesteś nauczycielką! Masz dyplom, który stwierdza, że jesteś mądrzejsza niż oni wszyscy, więc kiedy zaczną ci dogadywać, nie daj się zbić z pantałyku. Temu okażą respekt!

Zaczną dogadywać? Linnea zadrżała. Wszyscy będą tacy jak Teodor?! Jakby przywołany tą myślą Teodor wszedł do kuchni. Za nim podążał Kristian.

Zerknąwszy na nią, Teodor przystanął na chwilę, po czym ruszył w stronę cebra i miednicy. Kristian zatrzymał się w pół kroku i otwarcie wpatrywał w Linneę.

— Dzień dobry, Kristianie.

— Dzień... dzień dobry, panno Brandonberg.

— Wielkie nieba, naprawdę wstajecie bardzo wcześnie. Kristian poczuł się tak, jakby w gardle utknął mu kłęb

bawełny. Nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa, stał niczym wrośnięty w ziemię i podziwiał świeżą, młodą twarz nauczycielki z jej ślicznymi kasztanowymi włosami, schludną i wymuskaną, nad spódnicą i bluzką, która sprawiała, że jej talia wydawała się cienka jak u osy.

— Śniadanie gotowe — obwieściła Nissa, ruszając w jego stronę. — Przestań się wałkonić. Teodor namydlił ręce i twarz, po czym opłukał je i z ręcznikiem w dłoniach obrócił się, by zobaczyć syna nieruchomego jak słup, zagapionego na niewysoką pannicę, która tego ranka znów wyglądała na trzynastolatkę. Nawet stała jak dziewczynka, ze złączonymi sztywno stopami. Włosów nie miała jednak w nieładzie, gdyż były upięte w staranny damski kok, który czynił jej szyję długą i pełną wdzięku. Teodor zdusił w sobie tę myśl.

— Możesz się myć, Kristian — rzekł i ponownie odwrócił się plecami do nauczycielki.

— Dzień dobry, Teodorze — powiedziała, czym zdołała sprawić, iż poczuł się jak głupiec, który nie zdołał bąknąć nawet zdawkowego powitania.

Obrócił się ku niej.

— Dzień dobry. Widzę, że panna już gotowa.

— Punktualność jest grzecznością królów — odparła i skierowała się w stronę stołu.

Punkt... punktu... pomyślał bezradnie. Czuł się niedouczony i słusznie spostonowany, gdy patrzył, jak nauczycielka siada na swoim krześle.

— John nie pomagał wam dzisiaj? — zapytała, zmuszając go do rozmowy, choć nie miał na to ochoty.

Z wyrazem zgryźliwości na twarzy opadł ciężko na to samo krzesło, które zajmował poprzedniego wieczoru.

— John ma własny inwentarz do obrządzania. Kristian i ja doimy swoje krowy, a John swoje.

— Myślałam, że jada tutaj wszystkie posiłki.

— Za chwilę przyjdzie.

Nissa przyniosła półmisek świeżego bekonu i tacę tostów oraz pięć miseczek zawierających coś, co wyglądało jak gorąca papka. Kiedy Teodor odmawiał modlitwę, oczywiście po norwesku, Linnea wpatrywała się w swoją miseczkę zastanawiając się, co w niej jest. Jej zawartość nie miała żadnego zapachu ani koloru i wyglądała mało apetycznie. Linnea obserwowała więc gospodarzy, by zobaczyć, co powinna zrobić z kleistą mazią. Wymieszała ją ze śmietaną i cukrem, a potem dodali masła, postąpiła zatem tak samo i ostrożnie spróbowała.

Było pyszne! Smakowało jak pudding waniliowy!

John przyszedł tuż po rozpoczęciu śniadania. Choć wszyscy powiedzieli sobie dzień dobry, Linnea była jedyną osobą, która zrobiła przerwę w jedzeniu i do powitania dodała uśmiech. John poczerwieniał i niezdarnie ruszył ku swemu miejscu, nie ryzykując kolejnego spojrzenia na Linneę.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru posiłkowi towarzyszyło donośne mlaskanie, ale nikt się nie odzywał.

— To jest bardzo smaczne — głośno i wyraźnie powiedziała Linnea,

sprawdzając swoją teorię.

Wszyscy zamarli, zatrzymując łyżki w połowie drogi do ust. Nikt nie wyrzekł ani słowa. Gdy szczęki zaczęły pracować ponownie, Linnea zadała pytanie skierowane do wszystkich:

— Co to jest?

Popatrzyli na nią jak na wariatkę. Teodor zarechotał i dalej jadł.

— Jak to: „co to jest”? — odpowiedziała pytaniem Nissa. — To przecież *romograut*.

Linnea przechyliła głowę i spojrzała na Nissę.

— Co?

— *Romograut* — tym razem odpowiedział Teodor i łyżką wskazał jej miseczkę. — Nie wie panna, co to jest *romograut*?

— Gdybym wiedziała, czyż pytałabym o to?

— Żaden Norweg nie musi pytać, co to jest *romograut*.

— No cóż, a ja pytam. Jestem tylko w połowie Norweżką, po ojcu. Ponieważ w domu gotowała mama, jedliśmy wiele potraw szwedzkich.

— Szwedzkich?! — wykrzyknęli wszyscy troje jednocześnie. Jeżeli w ogóle istniała osoba pochodzenia norweskiego, która nie sądziłaby, iż jest choć trochę lepsza od jakiegokolwiek żyjącego Szweda, to z pewnością nie było jej w tym pomieszczeniu.

— To kasza manna — poinformowano Linneę. Westgaardowie spieszyli się do codziennej pracy, więc

oszczędzono jej rytuału zakończenia posiłku. Gdy tylko miseczki i półmiski były puste, Teodor odsunął krzesło.

— Zabiorę pannę teraz do szkoły — oświadczył apodyktycznie. — Niech panna włoży swój skrzydlaty kapelusz, jeśli jest potrzebny.

Zawrzało w niej. Co w tym człowieku jest? Co sprawia, że znajduje taką przyjemność w nękanii jej? Na szczęście tym razem miała odpowiedź, której

udzieliła mu z dumą:— Proszę się nie kłopotać. Poprosiłam już Kristiana, żeby mnie zawiózł.

Brwi Teodora uniosły się w wyrazie zdumienia, a jego wzrok zatrzymał się między nauczycielką a synem.

— Kristiana?...

Twarz Kristiana płonęła czerwienią, gdy nerwowo Zaszurał nogami.

— To nie potrwa długo i zaraz stamtąd wrócę na pole.

— Dobrze. Oszczędzi mi to kłopotu — zgodził się Teodor i nie dodając już słowa, wyszedł z domu.

Linnea odprowadziła go wzrokiem aż do drzwi, a kiedy się obróciła, Nissa spojrzała na nią przenikliwie.

— Będą ci potrzebne środki czystości i drabinka, by sięgnąć do okien — powiedziała krótko. — Przygotowałam ci drugie śniadanie. Zaraz wszystko przyniosę.

Kristian zawiózł ją do szkoły tym samym wozem, którym tu przybyła. Ledwie wyruszyli, całkiem zapomniała o Teodorze. Był prawdziwie niebiański poranek. Słońce dopiero co uniosło się nad horyzontem, wyzierając zza wąskiego pasma purpury, które dzieliło je niczym jaskrawa wstążka, tak że wydawało się bardziej pomarańczowe, gdy jego złote promienie rozchodziły się w górę i w dół. Ukośnie padający blask oświetlał wierzch zbożowych łąnów połyskującym złotem, nadając pszenicy wygląd jednolitej masy, niewzruszonej w bezwietrznym poranku. Powietrze pachniało zbożem. Wokół panowała cisza i spokój, taki spokój... Dobiegło ich rytmiczne przenikliwe świergotanie skowronków, na które konie zastrzygły uszami, ale posuwały się tak jak wcześniej, nie zmieniając rytmu. Na polu rozciągającym się po lewej stronie kilka słoneczników uniosło ku górze swe złote głowy.

— Och, spójrz! — zawołała Linnea, wskazując je. — Słoneczniki! Czyż nie są piękne?

Kristian spojrział na nią spod oka. Jak na nauczycielkę nie wiedziała zbyt wiele o słonecznikach.

— Mój ojciec je przeklina. Obróciła się ku niemu zdumiona.

— Dlaczego?! Spójrz na nie! Zwracając się do słońca, są wyższe niż wszystko wokół.

— Pienią się wszędzie. Wystarczy wpuścić je na pole pszenicy, a trudno się ich pozbyć.— Ach, tak... Chyba muszę się jeszcze wiele nauczyć o gospodarowaniu, farmach i tym podobnych sprawach — powiedziała po chwili. — Pewnie będę musiała zdać się w tych naukach na ciebie.

— Na mnie?! — obrócił ku niej zdumione piwne oczy.

— Masz coś przeciwko temu?

— Ale to pani jest nauczycielką.

— W szkole. Poza szkołą zaś, jak sądzę, wiele mogę się nauczyć od ciebie. Co to jest?

— Oset — odparł, idąc wzrokiem za jej palcem, ku plamie zielonkawych kwiatów.

— Aha... — Zamyśliła się na chwilę, po czym dodała:

— Nie mów, proszę. Twój ojciec przeklina go także, prawda?

— To jeszcze gorsze chwasty niż słoneczniki — potwierdził Kristian.

Wzrok Linnei podążał dalej, padając na kwiaty, które mijali.

— W wielu rzeczach można znaleźć piękno... Nawet w chwastach.

Musimy tylko uważniej im się przyglądać. Może poproszę dzieci, żeby namalowały osty przed nadejściem zimy.

Nie wiedział, co myśleć o dziewczynie... o kobiecie, która uważa, że oset jest piękny. Całe życie słyszał, że go przeklinano. Dziwne... Złapał się na tym, że odwraca głowę, by spojrzeć na ten chwast. Nauczycielka zauważyła to i uśmiechnęła się promiennie. Poczul się zakłopotany.

— To dom Johna — wyjaśnił, gdy przejeżdżali obok farmy wuja.

— Tak, wiem.

— Mam mnóstwo ciotek, wujów i kuzynów w całej okolicy

— wyjaśniał gorliwie, sam zaskoczony swoją rozmownością, bo w towarzystwie dziewcząt rzadko się odzywał. W tej rozmowie jednak znajdował przyjemność. — Chyba ze dwadzieścia, nie licząc stryjecznych dziadków...

— Stryjecznych dziadków?

— ...i babć. Ich też mam paru.

— O kurczę! — wykrzyknęła. — Dwadzieścioro?! Zaskoczony pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko.

Wcześniej nie wyobrażał sobie, żeby nauczycielka mogła mówić „o kurczę!”. Linnea uświadomiwszy sobie, co powiedziała, zasłoniła dłonią usta, a w następnej chwili, zdając sobie sprawę, że to zrobiła, opuściła dłoń i ze wzrokiem wbitym w kolana nerwowo wygładzała spódnicę.

— Chyba muszę zważyć na to, co robię, prawda? Czasami zapominam, że jestem teraz nauczycielką.

Kristian również na chwilę o tym zapomniał. Gdy wjechali na szkolny dziedziniec, była tylko dziewczyna, której chciał pomóc przy zejściu z wozu. Jednakże nigdy wcześniej tego nie robił i nie był pewien, jak mężczyzna powinien postąpić w takiej sytuacji. Czy ma powiedzieć, by została na miejscu, i obejść wóz, by znaleźć się przy niej? A jeśli go wyśmiej? Niektóre znajome dziewczęta, z pewnością by go wyśmiały... Bo dziewczęta śmiały się z najdziwniejszych rzeczy. Sama myśl o wzięciu panny Brandonberg za rękę przyprawiła go o zawrót głowy i ściskanie w żołądku.

W końcu zastanawiał się zbyt długo, toteż Linnea zwinnie zeskoczyła na ziemię, obiecując sobie, że zrobi coś w sprawie manier panów Westgaardów, nawet gdyby miało to być jej jedyne osiągnięcie tutaj.

Kristian sięgnął po umieszczoną z tyłu wozu drabinę i podążył za Linneą, podczas gdy ona niosła wiadro i ścierki.

W drzwiach odwróciła się gwałtownie, stając na wprost niego.

— Och, zapomnieliśmy klucza! Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Drzwi nie są zamknięte. W całej okolicy nikt nie zamyka drzwi — powiedział i pochyliwszy się, położył drabinę przy samym fundamencie budynku.

— Naprawdę? — obróciła się ku drzwiom. W mieście wszyscy zamykali drzwi.

— Proszę, otwarte. Można wejść.

Gdy sięgnęła do klamki, serce zabiło jej oczekiwaniem. Czekwała na tę chwilę od lat. Już jako ósmiolatka wiedziała, że chce być nauczycielką. I to nie w miejskiej szkole, ale w takiej jak taj w budynku, który w całości miałyby dla siebie; gdzie ona i tylko ona ponosiłaby odpowiedzialność za edukację podopiecznych.

Otworzyła drzwi i weszła do szatni — niskiego pomieszczenia biegnącego przez całą szerokość budynku, z surową drewnianą podłogą i oknem po każdej stronie. Tuż przed nią znajdowała się para zamkniętych drzwi. Na prawo i lewo od nich stały pokieroszowane drewniane ławki, nad nimi zaś wisały metalowe haki na płaszcze i kurtki. W lewym rogu postawiono kwadratowy, pomalowany na niebiesko stół, pod którym stał garnek z czerwoną pokrywą i drewnianą zatyczką przypominający beczułkę wina. Podłoga pod zatyczką zszarzała od kropel kapiących na nią przez wiele lat.

Popatrzyła w prawo. W rogu zobaczyła miotłę, nad którą za drewnianą rączkę zawieszono wielką szczotkę. Podnosząc wzrok, zobaczyła zwieszający się z sufitu sznur dzwonka zakończony wielkim węzłem splecionym nad szerokimi dwuskrzydłowymi białymi drzwiami, które wiodły prosto do głównego pomieszczenia szkoły.

Powoli postawiła wiadro, następnie otworzyła drzwi i zatrzymała się

skupiona. Było tu zupełnie cicho i zwyczajnie, ale pachniało kredą oraz wielkim wyzwaniem. I chociaż Linnea Brandonberg miała dziewczęcą skłonność do marzycielstwa, to jednak przyjęła wyzwanie z całą odpowiedzialnością osoby w pełni dojrzałej.

— Och, Kristianie, spójrz...

Kristian widział szkołę już setki razy. Teraz zaś patrzył na nową nauczycielkę, która szeroko otwartymi, pełnymi entuzjazmu oczami badała klasę.

Słońce wpadało do środka przez długie wąskie okna, oświetlając rzędy ławek przybitych do drewnianych listew. Między oknami wisiały kinkiety z niewielkimi lampkami. W samym środku królował żelazny piec z nowym błyszczącym kominem wyprowadzonym przez wyłożony cynową blachą sufit. Z przodu znajdowało się podwyższenie, lecz ku rozczarowaniu Linnei nie było na nim biurka, tylko duży prostokątny stół, na którym stała jedynie lampa naftowa. Było tam również drewniane krzesło, a za nim niewielka półka na książki pełna tomów, których grzbiety wyblakły, zmieniając barwy na pastelowe odcienie różu, błękitu i zieleni. Całości dopełniał globus, ciasno zwinięta mapa i wiszące na przedniej ścianie tablice.

Serce zabiło jej z ekscytacji. Ta szkoła nie różniła się od tysiąca innych w tysiącu innych identycznych prowincjonalnych miejscowości. Ale to była jej szkoła! Szkoła panny Brandonberg!

Ta myśl przyprawiła ją o zawrót głowy. Ruszyła pospiesznie przez salę, wzbijając spódnicą niemałą chmurę kurzu. Kroki Linnei spłoszyły mysz, która najpierw podbiegła w jej stronę, a potem błyskawicznie rzuciła się w przeciwnym kierunku.

Linnea przystanąła zdumiona i wstrzymała oddech.

— Och, spójrz! Zdaje się, że mamy towarzystwo. Kristian nigdy przedtem nie widział dziewczyny, która nie

piszczałaby ze strachu na widok myszy.

— Przyniosę z domu pułapkę i ustawię ją tutaj.

— Dziękuję, Kristianie. Obawiam się, że jeśli tego nie zrobimy, zje nam książki i papiery... o ile już tego nie zrobiła.

Na chybił trafił sięgnęła po jedną książkę z półki, pozwalając, by otworzyła się w dowolnym miejscu. Rozdział mówił o ropie naftowej. W jednej chwili zapomniała o dziurze wygryzionej przez mysz na krawędzi stron i obróciwszy się do Kristiana, czytała na głos:

— Spostrzeżenie, jakie poczynił Horacy Greeley, że „człowiek, który sprawia, iż dwa źdźbła trawy rosną tam, gdzie przedtem rosło tylko jedno, jest dobroczyńcą swojego ludu”, znajduje analogię w twierdzeniu, że dobroczyńcą jest także ten, kto praktycznie poszerza czas ludzkiego życia przez zwiększenie liczby godzin, kiedy człowiek może pracować lub się bawić. Dziewiętnasty wiek przyniósł więcej wynalazków, odkryć i udoskonaleń rozwijających cywilizację oraz przyczyniających się do szczęścia ludzkości niż jakiegokolwiek wcześniejsze stulecie. I chyba żaden z zastosowanych pomysłów nie był bardziej znaczący ani korzystniejszy niż rozwinięte techniki oświetlania naszych mieszkań wprowadzone głównie dzięki wykorzystaniu wspaniałego źródła światła: ropy naftowej...

Głośno zamknęła książkę i ów dźwięk niósł się przez całe pomieszczenie, a ona oddychała głęboko, stojąc wyprostowana jak świeca. Kristian patrzył na nią dziwiąc się, jak w ogóle można nauczyć się czytania takich słów, a tym bardziej rozumieć, co znaczą. Pomyślał, że nigdy w życiu nie znał mądrzejszej ani ładniejszej dziewczyny, i z radością powitał to dziwne, jasne uczucie, jakie budziła.— Spodoba mi się tutaj — powiedziała spokojnie, lecz zdecydowanie, ze stanowczością w promiennych błękitnych oczach.

— Tak, psze pani — odparł Kristian, nie mogąc wymyślić nic innego.

— Pokażę pani resztę, a potem będę musiał wrócić na pole.

— Resztę?

— Teren wokół szkoły. Chodźmy — rzekł i ruszył ku drzwiom.

— Kristianie...

Na dźwięk swego imienia stanął w miejscu i odwrócił się do Linnei.

— Nigdy nie jest zbyt wcześnie, byśmy zaczęli wzajemnie się uczyć, nieprawdaż?

— Nie, panno Brandonberg, chyba nie. Nie jest zbyt wcześnie...

— A zatem zacznijmy od najstarszej ze wszystkich reguł: najpierw damy.

Kristian, czerwony się jak burak, wyjął kciuk z tylnej kieszeni roboczego kombinezonu i cofnął się, czekając, aż Linnea wyjdzie.

— Dziękuję ci, Kristianie — powiedziała uprzejmie. — Możesz zostawić drzwi otwarte. Dawno tu nie wietrzono.

Na zewnątrz pokazał jej pompę i pustą szopę na węgiel, niewiele większą niż przybudówka naprzeciwko zachodniej ściany budynku. Od północy i wschodu aż do granic szkolnej posiadłości rozciągały się pola pszenicy, po zachodniej zaś stronie stał wysoki szereg krzewów bawełny, ponad którymi widać było drewniane wygodki z okratowanymi ściankami strzegącymi wejść. Szkolne podwórko miało dwie sznurowe huśtawki zawieszane na grubym drewnianym palu i trzecią, także domowej roboty, wykonaną z surowej deski. Po wschodniej stronie budynku znajdowała się płaska, porośnięta trawą przestrzeń, która wyglądała tak, jakby używano jej jako boiska do bejsbolu.

Gdy zbadali już cały dziedziniec, Linnea podniosła wzrok ku szczytowi dachu.

— Uderzmy w ten dzwon, Kristianie. Tylko po to, żeby usłyszeć jego dźwięk — powiedziała impulsywnie.

— Nie robiłbym tego, panno Brandonberg — odparł. — Na jego głos zaraz mielibyśmy tutaj wszystkich farmerów, którzy ruszyliby na pomoc.

— Och, czy to sygnał alarmowy?

— Tak, psze pani. Podobnie jak dzwon kościelny, ale kościół stoi trzy mile stąd.

Znów poczuła, że zachowała się dziecinnie, składając taką propozycję.

— Muszę więc poczekać aż do poniedziałku — oświadczyła. — Ilu będę mieć uczniów?

— Och, trudno powiedzieć. Kilkunastu. Może czternastu. Większość to moi kuzyni.

— Żyłeś całkiem inaczej niż ja, wzrastając z tak liczną rodziną dookoła. Wszyscy moi dziadkowie już nie żyją. Nie mam też w tej części kraju żadnych ciotek ani wujów. Ja wyrastałam w otoczeniu tylko rodziców i dwóch sióstr.

— Ma pani siostry? — zapytał zdumiony. Czuł się zaszczycony, że powiedziała mu coś tak osobistego.

— Dwie. Jedna jest w twoim wieku i ma na imię Carrie. Druga jest cztery lata młodsza i naprawdę na imię jej Paulina, ale jest w takim wieku... rozumiesz... kiedy dziewczynki są dość pulchne i pyzate. — Zrobiła zabawną minę, wydwarszy policzki, i zakołysała się, udając, że podtrzymuje tłusty brzuszek. — Więc nazywamy ją Pyzia.

Kristian roześmiał się, a Linnea mu zawtórowała.

Nie, naprawdę nie wiedział, jak dziewczęta się zmieniają. Nigdy wcześniej nie zwracał na nie uwagi. Właściwie unikał ich na każdym kroku. Aż dotąd.

Panna Brandonberg spoważniała i mówiła dalej:

— Pyzia nie lubi, gdy się z nią droczymy, i chyba czasami zbyt jej dokuczamy, ale obie, Carrie i ja, przeszłyśmy przez ten sam etap, kiedy musiałyśmy radzić sobie z drwinkami, które żadnej z nas nie zrobiły krzywdy.

Kristian nie mógł jej sobie wyobrazić jako pyzatej dziewczynki. Drobna i szczupła, była jedną z najwspanialszych kobiet, jakie znał.

— Pani nigdy nie była pyziata.

— Pызata — poprawiła go automatycznie, a potem dodała: — Ależ tak, byłam. Cieszę się, że mnie wtedy nie widziałeś! Nagle uświadomił sobie, jak długo jest z nią tutaj, marnotrawiąc czas. Spojrzał ku polom, wsunął kciuki do tylnych kieszeni i odchrząknął niepewnie.

— No cóż, jeśli nie potrzebuje pani nic więcej, to... to muszę wracać, żeby pomóc ojcu i wujowi Johnowi.

Obróciła się szybko, gestem ręki pozwalając mu odejść.

— Och, oczywiście, Kristianie. Doskonale dam sobie radę. Mam mnóstwo pracy. Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś i oprowadziłeś.

Kiedy odszedł, wróciła do środka i gorliwie zabrała się do pracy. Spędziła przedpołudnie na zmiataniu i szorowaniu podłogi, odkurzaniu ławek, myciu okien. W południe zrobiła sobie przerwę. Usiadła na frontowych schodach, by zjeść drugie śniadanie, które Nissa zapakowała jej do małej cynowej puszki po melasie. Rozkoszując się doskonałą kanapką z mięsem, jakiego nigdy przedtem nie jadła, odpoczywała w słońcu i marzyła o poniedziałku oraz o ekscytującej chwili, kiedy stanie przed pierwszą grupą swoich uczniów. Wyobrażała sobie, że niektóre dzieci będą gorliwe, inne zaś nieśmiałe i potrzebujące zachęty, a jeszcze inne mogą okazać się zuchwałe i wymagające poskromienia.

Pomyślała o Johnie i Teodorze, którzy tak bardzo różnili się od siebie. Nie psuj sobie dnia myślami o Teodorze, skarciła samą siebie. Ale kiedy powędrowała do pompy, chcąc zaczerpnąć chłodnej wody, aby popić kanapkę, złapała się na tym, iż spogląda ku zachodowi. Wszystkie pola, jak okiem sięgnąć, należały do nich dwóch. Gdzieś w dali zbierali pszenicę, a Kristian był razem z nimi.

Pola wokół były bezkresne, cały teren zaś niemal pozbawiony drzew. Komuś innemu to miejsce mogłoby się wydać odludne i niegościnne, Linnea jednak, spoglądając na bezchmurne błękitne niebo i bujne równiny, widziała tylko szczodrość i piękno. Matka często mówiła jej, że ma dar doszukiwania się we wszystkim dobra. Być może wiązało się to z jej wyobraźnią. W najgorszych chwilach zawsze „miała pod ręką” jakieś wyjście z sytuacji. Ostatnio mama w pełni zgadzała się z ojcem, że czas już porzucić dziecięce zabawy. Ale fantazja miała moc magiczną. Zabierała ją w miejsca, których inaczej nigdy by nie ujrzała. Dostarczała wrażeń, jakich inaczej nigdy by nie doświadczyła. I dawała jej szczęście. Wierzchem dłoni otarła usta z chłodnej wody i tanecznym krokiem ruszyła przez szkolny dziedziniec. Wskoczyła na sznurową huśtawkę, rozbujała ją, po czym odchylając się do tyłu, pozwoliła sobie znów poszybować do własnego magicznego świata.

— Cóż, witaj, Lawrence. Nie spodziewałam się, że tak szybko ujrzę cię ponownie.

Lawrence ubrany był dzisiaj jak prawdziwy elegant: w przewiewny słomkowy kapelusz, koszulę w białe i czerwone prążki z jaskrawoszkarlątnymi mankietami. Lubił stać z ciężarem ciała przerzuconym na jedną nogę i wysuniętym nieco biodrem, co często prowokowało ją do trzepotania rzęsami.

— Przychodzę zabrać cię na piknik.

— Och, nie bądź śmieszny... Nie mogę pędzić przez pola na piknik z tobą. Mam teraz szkołę, w której muszę uczyć, a poza tym ostatnim razem opuściłeś mnie, zanim wyjaśniliśmy pewne sprawy. Byłam z ciebie bardzo niezadowolona. — Odeła wargi najładniej, jak mogła.

Lawrence zatrzymał huśtawkę, ująwszy Linneę w talii, jakby nakazując jej zejść z drewnianego krzeselka.

— Znam miejsce, gdzie nikt nas nie znajdzie — powiedział cichym głosem, w którym brzmiało zachęcające zaproszenie.

Kurczowo chwytając sznury, roześmiała się żartobliwie, a jej śmiech poniósł się po łące...

Kurator szkół, Frederic Dahl, skierował swego konia i powozik na podjazd Szkoły numer 28 i na powitanie ujrzał prawdziwie frapujący widok. Smukła dziewczyna w szarej spódnicy i białej bluzce mocno ścisnęła nad głową sznur huśtawki, skręcając go jak precel, najpierw w lewo, potem w prawo.

Początkowo myślał, że słyszy czyjś śmiech, lecz pospieszny rzut oka na najbliższe otoczenie powiedział mu, że w zasięgu wzroku nikogo innego nie ma. Huśtawka się rozwinęła. Dziewczyna zgięła kolana i znów wprawiła ją w ruch, a potem odrzuciła głowę do tyłu.

Rozmawiała z kimś... Ale z kim?

Zatrzymał konia, związał lejce i wysiadł z powozu. Podchodząc bliżej, stwierdził, że dziewczyna jest starsza, niż sądził, bo gdy rozłożyła ramiona, dostrzegł kształt jej piersi.

— Witam! — zawołał. Linnea wyprostowała się gwałtownie i spojrzała przez ramię. O kurczę, znów mnie przyłapano!

Zeskoczyła z huśtawki i oblana rumieńcem otrzepała spódnice.

— Szukam pana Brandonberga.

— Podobnie jak wszyscy inni, ale będzie pan musiał zadowolić się mną. Nazywam się Brandonberg.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, lecz nie gniew.

— Ja zaś jestem szkolnym kuratorem, a nazywam się Dahl. Popeliłem błąd nie wyjaśniając tej kwestii w naszej korespondencji. Ale cóż, to bardzo przyjemna niespodzianka!

Kurator Dahl! Twarz paliła ją coraz bardziej. Szybko opuszczała zrolowane rękawy bluzki.

— Panie kuratorze, bardzo przepraszam. Nie wiedziałam, że to pan!

— Przyjechałem, by dostarczyć pani niezbędne artykuły i upewnić się, że rozgościła się tu pani i wszystko jest w porządku.

— Och tak, oczywiście. Proszę wejść. Sprzątałam tutaj

— śmiała się nerwowo, wskazując na dość wyplamioną teraz spódnicę
— więc przepraszam za wygląd.

Sprzątała, pomyślał zdziwiony i zmierzając w stronę budynku, rozglądał się dokoła, wciąż jednak nie znajdował tu nikogo innego. W środku zobaczył drabinę opartą o ścianę i mokrą jeszcze podłogę.

Zakręciła się, by znaleźć się z nim twarzą w twarz.

— Podoba mi się! To moja pierwsza szkoła! Taka jestem podekscytowana! — wykrzyknęła, klaszcząc w dłonie.

— Dziękuję, że zarekomendował mnie pan tutejszej radzie szkolnej.

— Zawdzięcza to pani swojemu dyplomowi. Proszę mi nie dziękować.
Czy jest pani zadowolona z mieszkania u państwa Westgaardów?

— No... — nie chciała, żeby pomyślał, iż zatrudnił malkontentkę. —
Tak, to wspaniali ludzie! Wręcz wspaniali!

— Doskonale. Mam obowiązek przeprowadzić o tej porze coroczną inspekcję obiektu, więc może pani zająć się swoją pracą, a ja przyłączę się, gdy skończę. Patrzyła za nim, uśmiechając się do prawdziwego pana Dahla, który w niczym nie przypominał buńczucznego młodzieńca, jakiego sobie wyobrażała. Miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, przypominał dużą okrągłą beczułkę na deszczówkę, łysiał zaś tak idealnie równo, że wyglądało to jak wygolona tonsura. Wianuszek włosów, których jeszcze nie stracił, miał kolor rdzawy i sterczał nad uszami niczym laurowy wieniec.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, jedną rękę oparła na brzuchu, drugą zaś zasłoniła usta i chichotała cicho. Oto rycerze w lśniących zbrojach, o których śnisz, panno Brandonberg. Najpierw Teodor Westgaard, a teraz ten!

Kurator przeprowadził inspekcję otoczenia budynku, obejrzał szopę na

węgiel, skontrolował nawet ubikacje, potem wrócił do wnętrza, by w nim zrobić to samo.

— Czy pan Westgaard wspominał o węglu? — zapytał, kończąc kontrolę.

— O węglu? — powtórzyła, nie wiedząc, o co chodzi.

— Od czasu wielkiej zamieci, jaka miała tu miejsce w roku 1888, gdy niektóre szkoły okazały się nieprzygotowane na taki kataklizm, istnieje przepis mówiący, że przed pierwszym dniem października musi znaleźć się w szkole tyle drewna i węgla, aby opału starczyło do wiosny.

Nie miała pojęcia o węglu.

— Przykro mi, nic o tym nie wiedziałam. Czy pan Westgaard dostarcza węgiel?

— W przeszłości zawsze to robił. To część umowy między nim a radą szkoły. Rada szkoły może zapłacić każdemu, komu zechce, za dostarczenie węgla, a moim obowiązkiem jest dopilnować, by dokonano takich ustaleń.

— Pan Westgaard pracuje gdzieś w polu. Może pan go znaleźć i zapytać. Kurator zanotował coś w księdze, którą miał przy sobie.

— Nie, to nie jest konieczne — odparł. — Będę tu znowu za dwa tygodnie, a teraz zrobię notatkę, żeby pamiętać, iż mam to sprawdzić. Byłbym wdzięczny, gdyby tymczasem zechciała mu pani o tym przypomnieć.

W istocie nie chciała być zobowiązana do przypominania Teodorowi Westgaardowi o czymkolwiek, skinęła jednak głową i zapewniła Dahla, że dopilnuje tej sprawy. Kurator przywiózł jej niezbędne artykuły szkolne: kredę, atrament i nowiutki dziennik. Trzymała go z szacunkiem, przesuwając palcami po twardej czerwonej okładce. Kurator, patrząc na nią uważnie, ujrzał kogoś innego niż rozbawione dziecko fantazjujące na huśtawce, gdy tu przyjechał. Jednego był pewien: Linnea miała powołanie.

— Jak pani wiadomo, szkoła pracuje od dziewiątej rano do czwartej po

południu, a pani obowiązki obejmują rozpalamie tu ognia na tyle wcześnie, by w budynku było ciepło, gdy przychodzą dzieci, utrzymywanie w nim czystości, odgarnianie śniegu. Musi też pani stać się członkiem tutejszej społeczności i uczestniczyć w jej życiu, aby poznać rodziny uczniów, co powinno być najłatwiejsze. To dobrzy ludzie. Szczerzy, otwarci i pracowici. Wierzę, iż stwierdzi pani, że są pomocni i gotowi do współpracy. Jeśli kiedykolwiek będzie pani czegoś potrzebować, a nie zdoła wystarczająco szybko dotrzeć do mnie, proszę zwrócić się do nich. Jestem pewien, iż przekona się pani, że nikt nie cieszy się tutaj większym szacunkiem niż nauczyciel.

Jeśli jest mężczyzną, pomyślała, ale oczywiście nie powiedziała tego głośno. Pożegnali się i patrzyła, jak pan Dahl wraca do swego powoziku.

— Panie kuratorze! — zawołała, zanim do niego wszedł.

— Tak? — zatrzymał się i odwrócił.

— Co się stało z nauczycielami i uczniami, którym skończył się opał w czasie tamtej strasznej zamieci?

Patrzył na nią spokojnie, podczas gdy ciepłe słońce września ogrzewało ich życzliwie.

— Cóż, nie wie pani? Wielu z nich zamarzło na śmierć, zanim zdołała dotrzeć do nich pomoc.

Przeszył ją dreszcz i przypomniała sobie napomnienie, jakie uczynił Teodor, gdy spotkali się na dworcu. „Nauczanie w tutejszej szkole wymaga czegoś więcej niż tylko gryzmolenia liter na tablicy, panienko. Do szkoły trzeba pokonywać milę, a zimy są tutaj surowe!”

Nie próbował więc tylko jej nastraszyć. Jego ostrzeżenie miało podstawy. Spojrzała w stronę falujących łąnów pszenicy, próbując wyobrazić sobie równiny pokryte śniegiem, arktyczny wiatr wiejący z północnego zachodu i czternaścioro dzieci, których życie zależy od niej w sytuacji, gdy

wszyscy czekają na mającą nadejść pomoc. Wtedy na nic nie zdałaby się fantazja. Musiałaby trzymać się mocno i zachować spokój, gdyby coś takiego kiedykolwiek się zdarzyło.

Jednakże trudno było to sobie wyobrazić stojąc w słońcu na schodach szkoły, patrząc na pręgowane susły bawiące się w swych norkach w ciuciubabkę, słysząc śpiewające skowronki i ciesząc się widokiem zień dziobiących ziarna i rozkołysanych łąnów.

Postanowiła wszakże, iż natychmiast porozmawia z Teodorem o węglu, a z Nissą o zgromadzeniu w szkole pewnej ilości racji żywnościowych... na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ 4

Bywały chwile, gdy Linnea przypominała sobie, że trwa wojna, ale brało się to głównie z irytacji bądź romantycznych fantazji. Z irytacji, gdy musiała się obchodzić bez tego, co lubiła najbardziej — jak cukier, chleb czy wołowe steki. Z romantycznych fantazji, gdy wyobrażała sobie żołnierzy całujących na pożegnanie swe ukochane i odjeżdżających pociągiem, owe ukochane otrzymujące poplamione i pogniecione listy pełne słów o niegasnącej miłości, pielęgniarce z czerwonymi krzyżami na przepaskach siedzące przy łózkach rannych...

Idąc tego dnia ze szkoły myślała o konflikcie toczącym się w Europie. Prezydent Wilson błagał Amerykanów, by jeden dzień w tygodniu spędzali „bez chleba i mięsa”, pomagając w ten sposób utrzymać dostawy do Francji. Jakie to śmieszne, że nigdy stąd nie wyjedziemy! — myślała, patrząc na bezkresne pola pszenicy i ogromne stada bydła widoczne w oddali.

Jak zwykle nawet tak krótka refleksja o wojnie była zbyt niepokojąca,

więc szybko ją od siebie odsunęła, by oddać się przyjemniejszym myślom.

Susły i pieski preriowe z zapalem oddawały się zabawom, a ich igraszki stanowiły zachwycający przedmiot obserwacji, gdy zwierzątka biegały i wpadały na siebie między brązowookimi bławatkami. Idąc sprężystym krokiem Linnea zastanawiała się nad listą uczniów swojej klasy, którą znalazła w dzienniku. Kristian nie przesadzał, mówiąc, że większość to jego kuzyni. Z czternastu uczniów ośmiu nosiło nazwisko Westgaard! Nie mogąc się doczekać, by zapytać Nissę o każdego z nich, wracała pospiesznie, chcąc jak najszybciej dotrzeć do domu.

Zanim jednak znalazła się w połowie drogi, uświadomiła sobie, że jej nowe buciki są co prawda eleganckie, za to niepraktyczne. Wydawało jej się bowiem, że czuje przez podeszwy każdą grudkę żwiru, a wysokie obcasy służą jedynie temu, by nogi chwiały się w kostkach, ilekroć stawała na kamieniach.

Gdy mozolnie dochodziła do podjazdu, stopy nie tylko ją bolały, ale na lewej, w miejscu gdzie ciasna guma łączyła się ze skórą i ocierała kostkę, czuła pęcherz. Nissa dostrzegła jej kuśtykanie i podeszła do kuchennych drzwi.

— Droga okazała się nieco dłuższa, niż się spodziewałaś?

— Wszystko przez te nowe buty. Wciąż ocierają w kilku miejscach.

Nissa obejrzała je uważnie, gdy Linnea wspięła się na schody i weszła do kuchni.

— Tutaj elegancja jest dobra, ale wygoda jeszcze lepsza.

— Zaczynam to rozumieć — przyznała Linnea, z westchnieniem ulgi padając na kuchenne krzesło. Oparła kostkę na kolanie i skrzywiła się.

Nissa stała, podparłszy się pod boki, i potrząsała głową.

— Zrobił ci się pęcherz, co?

Linnea podniosła wzrok i zakłopotana skinęła potakująco.

— No cóż, zdejmij buciki, rzucę na niego okiem. Trzeba było pewnego wysiłku, żeby je zdjąć. Miejskie

szyblety były ciaśniejsze niż nowe buty kowbojskie, ściśle opinały nogę znacznie powyżej kostki. Linnea ściągnęła je, krzywiąc się z bólu.

— Nie wiem, co byś zrobiła, gdybyś musiała w nich biec. — Nissa zaśmiewała się ubawiona. — Masz inne?

— Obawiam się, że nie — odparła Linnea z przygnębioną miną.

— Cóż, zdaje się, że będzie lepiej, jeśli cię ubierzemy od nowa — powiedziała Nissa, po czym pospieszyła do swego pokoju i wróciła z parą zrobionych na drutach pantofli z czarnej wełny oraz z katalogiem domu sprzedaży wysyłkowej. — A teraz zobaczmy ten pęcherz.

Ku strapieniu Linnei akurat wtedy, gdy Nissa poszła po gazę i maść, by opatrzyć pęcherz, mężczyźni wrócili z pola na południowy udój. Siedziała z bosą stopą uniesioną wysoko na kolano, delikatnie badając duży, nabrzmiący pęcherz, gdy poczuła, że ktoś ją obserwuje.

Podniosła wzrok i ujrzała stojącego w drzwiach Teodora z kącikiem ust drgającym z rozbawienia. Opuściła stopę tak szybko, że noga zaplątała jej się w długą spódnicę, i wtedy usłyszała trzask prujących się szwów. Rumieniec wypłynął jej na twarz, gdy przysłoniwszy jedną stopę drugą, spojrzała na niego buńczucznie.

— Przyszliśmy po skopki na mleko — powiedział tylko, zmierzając do spiżarni. Gdy po chwili Nissa wróciła ze słoiczkiem maści i przyklękła na jednym kolanie przed Linneą, wychodzący ze spiżarni Teodor zapytał: — Co jej się stało?

— Zrobiła sobie...

— Mam pęcherz z powodu nowych butów! — odparła gwałtownie Linnea, nie bacząc, że twarz zapłonęła jej czerwienią, gdy spojrzała na Teodora. — I mam też świadectwo ukończenia Seminarium Nauczycielskiego w Fargo, które stwierdza, że jestem zdolna do rozumienia pytań i samodzielnego odpowiadania na nie, jeśli to pana interesuje! — rzekła gniewnie,

zabierając maść i gazę z rąk Nissy, po czym dodała: — Potrafię zrobić to sama, Nisso, dziękuję.

Zdecydowanym ruchem odkręciła pokrywkę słoika, uniosła stopę i nie zważając na obecnych zabrała się do nakładania maści.

Matka i syn wymienili zdumione spojrzenia, po czym Nissa sięgnęła do jej stóp i wręczyła jej igłę.

— Przebij go, zanim zaczniesz smarować — poradziła sucho.

Linnea wzięła igłę, podnosząc wzrok jedynie do wysokości dłoni Nissy, która zerknąwszy na syna spostrzegła, że przygląda się Linnei z grymasem rozbawienia. Gdy popatrzył na matkę, pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Beznadziejny przypadek”, po czym wyszedł ze skopkami mleka kołyszącymi mu się po bokach.

Kiedy zamknął ze sobą drzwi, Linnea mocno tupnęła.

— Ten człowiek doprowadza mnie do wściekłości! — zawołała, po czym uświadomiwszy sobie, że rozmawia z matką Teodora, nieco złagodniała. — Przepraszam, Nisso. Chyba nie powinnam tego mówić, ale on jest czasami tak... tak... irytujący! Mogłabym po prostu... po prostu... — Nie ranisz moich uczuć. Mów, co myślisz.

— Każe mi się czuć, jakbym wciąż była małą dziewczynką! Od chwili gdy spotkał mnie na stacji i stojąc tam, wyśmiewał się z mojego kapelusza i butów. Widziałam, że myśli, iż właściwie jestem dzieckiem ubranym w dorosły strój. No cóż, nie jestem!

— Oczywiście, że nie jesteś. Ten pęcherz to tylko pech. Każdy może otrzeć sobie nogi. Nie przejmuj się Teddym. Pamiętasz, co ci mówiłam o upartych Norwegach i o tym, jak należy ich traktować? Właśnie to zrobiłaś. Należało mu się.

— Ale dlaczego on jest zawsze taki... taki zagniewany?

— Dużo by mówić... To nie ma nic wspólnego z tobą. Teodor ma taki

sposób bycia. Zrób sobie teraz opatrunek, a mnie pozwól przygotować im kilka kanapek. Jak przyjdą, nie zechcą tracić czasu.

Gdy Nissa robiła kanapki, Linnea opowiedziała jej o wizycie kuratora Dahla. Potem czytała nazwiska swoich uczniów, a Nissa udzielała jej informacji o każdym.

Pierwszy na liście był Kristian Westgaard, lat szesnaście.

— Kristiana już znam — powiedziała Linnea. — A ten następny szesnastolatek, Raymond Westgaard?

— To syn mojego najstarszego syna, Ulmera. On i Kristian bardzo się przyjaźnią. Ulmera i jego żonę, Helenę, a także wszystkich innych poznasz jutro w kościele. Mieszkają niedaleko stąd.

Linnea przeczytała dwa następne nazwiska.

— Patricia i Paul Lommen, piętnaście lat.

— To bliźnięta Lommenów. Mieszkają koło Ulmera. Oboje bardzo inteligentni. Zawsze ze sobą konkurują, jak to bliźnięta. W zeszłym roku Patricia wygrała konkurs ortograficzny.

Linnea zanotowała to obok nazwisk bliźniąt.

— Anton Westgaard, lat czternaście.

— To mały Tony. On również jest synem Ulmera i Heleny. Jest nieśmiały jak jego wujek John, ale ma wielkie serce. Kiedy był mały, dostał gorączki reumatycznej, która go osłabiła, ale ma głowę na karku.

Linnea zanotowała zdrobnienie jego imienia i zrobiła notatkę dotyczącą zdrowia.

— Allen Severt, lat piętnaście.— Allen jest synem naszego pastora.

Uważaj na niego. To utrapieniec.

Linnea podniosła wzrok, marszcząc brwi.

— Utrapieniec?

— Czasami myślę, że jest przekonany, iż wszystko mu ujdzie, bo tylko

jedna osoba cieszy się tu większym poważaniem niż nauczyciel, mianowicie pastor. Gdyby nauczyciele, jakich mieliśmy tutaj w przeszłości, traktowali go tak jak powinni i mówili wielebnemu Severtowi o niektórych błazeństwach i sprawkach Allena, prawdopodobnie nie byłby takim niesfornym dzieciakiem.

— Co to za błazeństwa?

— Och, popychanie młodszych, dokuczanie dziewczętom... nic takiego. Za to kiedy chodzi o coś poważniejszego, zawsze udaje mu się zręcznie zatrzeć własne ślady, by niczego nie można mu zarzucić. Ale uważaj na niego. Jest wygadany i zuchwały. Nie bacz na moją opinię, wyrobisz sobie własną, gdy go poznasz.

Obiecując, że tak właśnie zrobi, Linnea przeszła do następnego nazwiska.

— Libby Severt, lat jedenaście.

— To siostra Allena. Wydaje się ignorowana, bo Allen skupia na sobie całą uwagę w tej rodzinie. Sprawia wrażenie całkiem miłego dziecka.

— Frances Westgaard, lat dziesięć.

— To kolejna córka Ulmera i Helen. Ma specjalne miejsce w moim sercu. Chyba dlatego że jest powolniejsza niż reszta. Ale nigdy w życiu nie widziałaś czulszego i życzliwszego dziecka. Poczekaj tylko do Bożego Narodzenia, a przekonasz się, że pierwsza wręczy ci gwiazdkowy prezent, za którym będzie się kryło wiele uczuć.

Linnea uśmiechnęła się i narysowała kwiatek obok tego nazwiska.

— A Norma Westgaard, dziesięć lat?

— To córka mojego syna Larsa i jego żony Evie. Jest najstarsza z ich pięciorga dzieci i zawsze matkuje młodszym. Na dalszych miejscach listy znajdziesz Skippa i Roseanne, młodszego brata i siostrę Normy. — Nissa namyślała się chwilę, nim zaczęła udzielać dalszych wyjaśnień, jakby sama odpowiadała sobie na nie wyrażone na głos pytania. — Przynajmniej tak mi się

zdaje, że Roseanne zaczyna w tym roku naukę. To dobre dzieci. Lars i Evie wychowali je dobrze; podobnie jak wszystkie moje dzieci, które dobrze wychowały swoje potomstwo.

Linnea uśmiechnęła się na tę babciną słabość, pochylając głowę, by Nissa tego nie widziała. Następnym uczniem na liście był właśnie Skipp, więc połączyła jego nazwisko z rodzeństwem, zauważając, że obok Skippa są jeszcze dwa nazwiska ośmiolatków, trzecia klasa będzie więc najliczniejsza.

— Bent Linder i Jeanette Knutson.

— Bent jest dzieckiem mojej córki Clary. Clara to moja ulubienica. Poślubiła wspaniałego chłopaka, Trigga Lindera. Mają dwoje dzieci, a w lutym spodziewają się trzeciego.

— Spojrzenie Nissy pobiegło gdzieś daleko, a jej ręce na chwilę spoczęły beczynn timer. — Boże, jak ten czas leci... Wydaje się, jakby to było wczoraj, gdy Clara sama chodziła do szkoły

— westchnęła. — No cóż... Kto następny?

— Jeanette Knutson.

— Jest córką Oskara i Hildy, wiesz o tym? To przewodniczący rady szkolnej.

— Oczywiście. Mam też dwoje siedmiolatków. Roseanne i Sonny Westgaardowie.

— Są kuzynami. Roseanne, jak już ci mówiłam, jest córką Evie, a Sonny synem Ulmera. Naprawdę nosi imię ojca, ale wszyscy wołają go Sonny.

Linnei coraz bardziej wszystko się mieszało, co widać było na jej twarzy.

Nissa roześmiała się i postawiła na stole półmisek z kanapkami, po czym wycierając ręce w fartuch, wróciła do pieca.

— Wszystko ci się ułoży, jak tylko ich spotkasz. Szybko zaczniesz się do nich zwracać po imieniu i będziesz wiedzieć, z której rodziny pochodzą. Tutaj wszyscy znają wszystkich i niebawem ty też będziesz wszystkich znała.

— Tyle tych dzieci jest pani wnukami... — powiedziała Linnea z nutą lęku w głosie.

— Trzyznaścioro. Będzie czternaścioro, kiedy Clara urodzi kolejne dziecko. Zawsze się zastanawiałam, ile jeszcze miałabym wnucząt, gdyby John się ożenił i gdyby Melinda nie...

Właśnie w tej chwili do kuchni weszli mężczyźni. Nissa urwała w pół zdania. Rzuciła przezorne spojrzenie na Teodora, potem zamasyście ruszyła do kredensu, żeby schować rzeźnicki nóż.

Kim jest Melinda? zastanawiała się Linnea. Żoną Teodora? Matką Kristiana? Nissa powiedziała: „Gdyby Melinda nie”. O co chodziło?

Linnea ukradkiem przyglądała się ojcu i synowi, gdy weszli do kuchni. Próbowwała wyobrazić sobie Teodora z żoną. Jak wyglądała? Była blondynką, co tłumaczyło jasne włosy Kristiana. Ładną, dedukowała, zauważając też pociągające rysy młodego człowieka. Czy kształtne usta i pełną dolną wargę Kristian odziedziczył po matce? Z pewnością tak, usta Teodora bowiem miały inny kształt: były szerokie, zdecydowane, nie tak regularne. Trudno wyobrazić sobie, by się uśmiechały, gdyż nigdy tego nie widziała.

Ze swego miejsca przy stole obserwowała, jak zmierza do wiadra z wodą, a potem odchyła głowę, pijąc z czerpaka. Nagle odwrócił się i przyłapał ją na tym, że mu się przygląda. Ich oczy spotkały się, gdy powoli odstawił czerpak i jeszcze wolniej wierzchem dłoni ocierał dolną wargę. Poczula w piersi coś osobliwego. Krótki ucisk, jakieś napięcie, które kazało jej spuścić wzrok na listę nazwisk w otwartym dzienniku na kuchennym stole.

— Przyszedłem po kanapki—oznajmił, nie adresując tych słów do konkretnego słuchacza. Szybko przechodząc obok Linnei, sięgnął do sterty kanapek i dwie wręczył Kristianowi. — Chodźmy.

— Do zobaczenia przy kolacji — rzekł Kristian od drzwi.

— Tak, zobaczymy się wieczorem — odparła Linnea, podnosząc wzrok,

by odwzajemnić jego uśmiech.

Teodor nie pożegnał się ani słowem. Kiedy wyszedł za synem, Linnea zastanowiła się, co ją tak uderzyło. Zakłopotanie, jak przypuszczała, gdyż ten człowiek posiadał osobliwą moc wprawiania jej w konsternację, ilekroć znalazł się w pobliżu.

Nissa postawiła na rozgrzanej kuchennej płycie dzbanek z kawą i spojrzała ku drzwiom, którymi właśnie wyszedł Teodor. Linnea wzięła głęboki oddech, by dodać sobie odwagi przed zadaniem pytania.

— Kim jest Melinda?

— Chcesz zamówić te buty czy nie? — Nissa ruchem głowy wskazała leżący na stole katalog. — Za chwileczkę... — Linnea zrobiła pauzę, po czym powtórzyła cicho: — Kim jest Melinda?

— Była żoną Teodora, ale on nie lubi o niej mówić.

— Dlaczego?

Nissa zdjęła okulary, chuchnęła na szkła i z uwagą przecierając je brzegiem fartucha, zaczęła opowiadać.

— Bo uciekła, zostawiając go z rocznym dzieckiem, i już nigdy nie widzieliśmy jej w tych stronach...

— Z rocz... z rocznym dzieckiem?!

— Przecież powiedziałam, prawda?

— Z Kristianem?

— A widzisz tu jakieś inne dzieci Teodora?

— Chce pani powiedzieć, że... że po prostu... ich porzuciła?! — Linnea poczuła ukłucie żalu, a jednocześnie pragnienie, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

Nissa usiadła i kartkowała katalog w poszukiwaniu butów dla Linnei, aż znalazła właściwą stronę.

— Takie... — rozprostowała szyję, spoglądając przez wypolerowane

szkła na rząd czarno-białych rysunków. — To damskie buty sztormowe. Praktycznie sznurowane. Będą dla ciebie dobre — mówiąc to, stuknęła w wybraną stronę zgiętym palcem wskazującym, który miał pomarszczoną skórę i nie dał się już całkiem wyprostować.

Linnea delikatnie przykryła dłonią starczą rękę Nissy.

— Chciałabym dowiedzieć się czegoś o Melindzie — powiedziała miękko.

Nissa podniosła wzrok. Owalne szkła powiększały wyblakłe piwne oczy, podkreślając też zmarszczki na powiekach. W milczeniu i z namysłem przyglądała się Linnei. Z zewnątrz dobiegło krakanie wrony i oddalający się odgłos końskich kopyt. Nissa spojrzała w stronę podwórka, gdzie nie było już widać ojca ani syna, potem wysunęła rękę spod dłoni Linnei, by dwoma palcami odsunąć katalog.

— Dobrze. Chcesz wiedzieć, to ci powiem. Tyle ile wiem. Pozwolisz, że najpierw zrobię filiżankę kawy?

Czy Linnea tylko to sobie wyobraziła, czy też Nissa pierwszy raz okazała zmęczenie? Wsparłszy się o kolana, wstała, sięgnęła po filiżankę i napełniła ją. Jednakże kiedy wróciła do stołu, nie tylko zmęczenie ciążyło jej na ramionach. W oczach miała łatwy do rozpoznania wyraz smutku.— To było latem 1900 roku. Mój mąż, Hjalmar, uważał Teodora Roosevelta za najwspanialszego człowieka, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Wszyscy wokół kochali Starego Okularnika i uważali go za swego naturalnego syna, odkąd przez kilka lat gospodarował w Medorze, nie mówiąc już o tym, że ze swą ochotniczą kawalerią walczył na Kubie i zdobył wzgórze San Juan. Był bohaterem narodowym. I nikt nie podziwiał go bardziej niż mój Hjalmar. Tamtego lata Roosevelt ubiegał się o fotel wiceprezydenta wraz z McKinleyem i Hjalmar dowiedział się, że specjalnym pociągiem będzie przejeżdżał przez Williston. Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy przyszedł do domu, wołając: „Missus”—

tak mnie nazywał, kiedy był podekscytowany — „Missus, pakuj manatki, jedziemy do Williston na spotkanie z Rooseveltem!” Nie mogłam w to uwierzyć! Powiedziałam: „Hjalmar, o czym ty mówisz?! Znów się napiłeś świeżo warzonego piwa Helgesona?” Mieszkał tu kiedyś taki gość nazwiskiem Helgeson, warzył domowe piwo i obaj zawsze twierdzili, że wymaga ono spróbowania...

Oczy Nissy zajaśniały, na jej wargach pojawił się cień uśmiechu. Odchrząknęła, wypła łyk kawy i wróciła do głównego wątku opowiadania:

— Powiedział też, że żaden chłopiec, który nosi imię Teodora Roosevelta, nie powinien przegapić szansy obejrzenia swego wielkiego imiennika na żywo, gdy znajdzie się on w odległości niespełna sześciu mil, więc na spotkanie specjalnego pociągu pojechaliśmy do Williston wszyscy troje... — Nissa opuściła ściśniętą pięść na wierzch otwartego katalogu. — Tak właśnie zrobiliśmy: pojechaliśmy do Williston we troje, wynajęliśmy pokój w Manitou Hotel i wystrojeni w niedzielne ubrania, poszliśmy na stację, by oglądać wjazd tego pociągu... — powoli kiwała głową. — Powiem ci, że było na co popatrzeć! — rzekła przyciskając dłoń do serca. — Orkiestra dęta grała marsze, dzieci machały amerykańskimi flagami, potem przyjechał pociąg, cały udekorowany... A w nim sam pan Roosevelt! Stał w ostatnim wagonie z rękami podniesionymi do góry i z policzkami tak czerwonymi jak pasy na tych flagach, a orkiestra grała patriotyczne pieśni. Pamiętam, jak spojrzałam na mojego Hjalmara i zobaczyłam uśmiech na jego twarzy... Nosił wąsy, takie same jak Roosevelt... Położył rękę na ramieniu Teddy'ego i wskazując wielkiego człowieka, szeptał mu coś do ucha...

Obserwując wyraz twarzy Nissy, Linnea widziała i słyszała to wszystko. Potem Nissa podniosła wzrok, przyłapała się na rozmarzeniu i opuściła dłoń z serca na uszko filiżanki.

— No cóż, ona była gdzieś w tym pociągu. Ona, to znaczy Melinda —

mówiła dalej Nissa. — Jej ojciec pracował w Komitecie Wyborczym McKinleya i Roosevelta, a matka już nie żyła, więc córka jeździła z nim wszędzie. Jak się okazało, zatrzymali się w Williston na dłużej. Zdaje się, że mieszkał tam jakiś bogaty człowiek nazwiskiem Hagens, który wyłożył wiele pieniędzy na tę kampanię. W Williston zorganizowano również spotkanie wyborcze, na którym farmerzy mieli okazję porozmawiać z kandydatami i zobowiązać ich do różnych obietnic. Później odbyła się kolacja w Manitou Hotel, na której rozsadzono ludzi z ekipy McKinleya przy różnych stołach, żeby odpowiadali na pytania, i Melinda ze swoim tatą znalazła się przy naszym stoliku. Niewiele z tego pamiętam i może to była nasza, moja i Hjalmar a wina, że nie zwracaliśmy uwagi na młodych ludzi. Hjalmar zajęty był rozmowami o polityce, a ja podziwiałam okazałość hotelu. Pamiętam tylko, że kiedy zagrała orkiestra, trąciłam w ramię Hjalmara i powiedziałam: „Spójrz na nich”. Bo wyobraź sobie, nasz Teddy tańczył z tą panną. Oczywiście Hjalmar zajęty był dyskusją o zaletach i wadach Rooseveltowskiego projektu nowego systemu administracji państwowej i już nie pamiętam, która była godzina, gdy Teddy przyszedł i powiedział, że wychodzi z tą dziewczyną na spacer. Jasne, że byłam zaskoczona, ale Teddy miał już siedemnaście lat.

Linnea próbowała wyobrazić sobie Teodora jako siedemnastolatka, lecz nie mogła. Nie potrafiła też wyobrazić go sobie w tańcu. Starła się ujrzeć oczami duszy, jak Teodor zabiera na przechadzkę młodą dziewczynę z jej ręką na swoim ramieniu — to również jej się nie udało. Widząc jedynie drażliwość i wybuchowość tego człowieka, miała wrażenie, że podobne obrazy zupełnie do niego nie pasują.

— Siedemnastolatek czy nie, chłopak napędził nam strachu, bo nie było go do rana. Czekaliśmy i czekaliśmy, pytaliśmy nawet ojca Melindy, ale ona też nie wróciła. Zjawili się o piątej rano. Weszli do holu, trzymając się za ręce — ciągnęła Nissa i spoglądając znad okularów, skrzyżowała ręce na piersi. —

Widziałaś kiedyś, jak to jest, gdy łasiczka zakradnie się do kurnika? Tak to właśnie wyglądało, gdyśmy ich zobaczyli w hotelowym holu. Pióra fruwały na wszystkie strony. Miałam w tym swój udział, ale wielki Boże, nigdy nie słyszałam takiego płaczu i krzyku jak wtedy, gdy ojciec Melindy ciągnął ją za włosy przez hol, obrzucając oskarżeniami. Dosłownie wyła, twierdziła, że nie zrobili niczego, czego musieliby się wstydzić, i że gdyby normalnie mieszkała w domu jak inne dziewczęta, nie musiałyby wychodzić na całą noc, żeby poznawać nowych przyjaciół. — Nissa otarła usta, wpatrując się w kawę, która wystygła już w filizance. — Nie zapytałam, gdzie byli ani co robili. Prawdę mówiąc, chyba nie chciałam wiedzieć. Zaciągnęliśmy Teddy'ego do pokoju i zatrzasnęliśmy drzwi, podczas gdy dziewczyna zachowywała się jak dzika kotka, a z pozostałych pokoi wychylały się głowy innych gości. Boże, to było okropne... — westchnęła. — Cóż, myśleliśmy, że na tym się skończyło i rano zabraliśmy Teddy'ego do domu, nie pozwalając na spotkanie z Melindą.

— Mieszkaliśmy wtedy w domu Johna — opowiadała.

— Nie minął tydzień, a Melinda stanęła w drzwiach mojej kuchni, równie śmiała, jak bezczelna. Oświadczyła, że chce się widzieć z Teddym, zapytała, czy byłabym uprzejma powiedzieć, gdzie może go znaleźć. — Nissa z niedowierzaniem kręciła głową. — Jeszcze ją widzę. Minę miała taką, jakby nie miała odwagi prosić o dokładkę, ale stała w progu domagając się widzenia z moim synem... Nie podobało mi się jej zachowanie, w ogóle Melinda mi się wtedy nie podobała. Przypuszczam, że była to tylko jedna z owych szalonych chwil w życiu, przez jakie niektórzy przechodzą, gdy są trochę zdenerwowani i sądzą, że pora zademonstrować swoją dorosłość... — Nissa znowu urwała, rozmyślając w milczeniu.

— Co było dalej? — zachęciła ją Linnea.

Nissa podniosła wzrok, odetchnęła głęboko i wróciła do opowiadania.

— Ha! Pomaszerowała prosto na pola, gdzie Teddy pracował przy

zniwach z Hjalmarem i chłopcami, i oświadczyła, że przyjechała, bo zdecydowała się wyjść za niego, tak jak o tym rozmawiali. Nigdy o to nie pytałam, ale wydawało mi się, że zaskoczyła zarówno nas wszystkich, jak i Teddy'ego. On nigdy nie udaje, a łatwo było dostrzec jego zdumienie. Pobrali się szybko, Hjalmar dał im ziemię, chłopcy zbudowali dom. Zastanawialiśmy się, czy im się uda, ale mieliśmy nadzieję, że będzie dobrze. Później okazało się, że kłóciła się z ojcem, nie chcąc podróżować z nim „wyborczym” pociągiem, i przypuszczam, że konflikt wziął się stąd, iż była tylko młodą dziewczyną, której wciąż mówiono, co ma robić, a ona stwierdziła, że już tego nie chce. Wyszła więc za mojego syna, ale nie pasowała do niego. — Nissa wolno pokiwała głową.

— Była dziewczyną z miasta i nigdy nie zrozumiałam, czego chciała od wiejskiego chłopaka. Miała przecież rodzinę! Jeszcze dziś widzę, jak stoi w oknie i wpatrując się w pola pszenicy mówi, że doprowadzają ją do obłędu. Boże, jak ona przeklinała tę pszenicę!... Drzewa, mówiła, tu w ogóle nie ma drzew. I żadnych odgłosów. Słońce wywoływało u niej wysypkę, muchy wprawiały ją we wściekłość, a zapach stajni i obory przyprawiał o migrenę. Nigdy nie pojme, jak Teddy mógł sądzić, że taka kobieta może być żoną farmera... Cóż, nie miała też pojęcia o uprawianiu ogrodu, nie chciała brudzić sobie palców, nie wiedziała, jak przechowywać warzywa. Francuski piesek, taka to była kobieta. — Nissa wydała z siebie pogardliwe parsknięcie i skrzyżowała ręce, jakby wciąż była zdumiona wyborem dokonany przez syna. — Wiedziałam, że do tego dojdzie, ale nic nie mogłam zrobić. Teddy był taki szczęśliwy, kiedy tu przyjechała. A kiedy się okazało, że w drodze jest dziecko, był w siódmym niebie. Z czasem Melinda przestała narzekać, chodziła za to wiecznie rozdrażniona. Widziałam, że po przyjściu na świat Kristiana początkowo starała się być dobrą matką, tyle że jej się nie udawało. Teddy nigdy tego nie powiedział, ale Clara, która chodziła bawić się z

dzieckiem, opowiadała nam potem, że Melinda cały czas płakała. Cóż Teddy miał na to poradzić? Nie mógł przecież zmienić tych pól w lasy ani postawić miasta w środku farmerskiego obejścia... A potem pewnego dnia wstała i po prostu odeszła. Zostawiła Kristianowi liścik mówiąc, że go kocha i że jest jej przykro, ale ja nigdy tego listu nie widziałam ani o niego nie pytałam. Clara mi opowiedziała... — Nissa ponownie odbiegła gdzieś myślami.

— I później pani zaopiekowała się Kristianem? W oczach Nissy znów pojawił się smutek. — Ja i Clara. Widzisz, mój mąż, Hjalmar, zmarł tego samego roku. Pewnego wiosennego wieczoru poszliśmy do kościoła, aby jak każdej wiosny pomóc przy sprzątaniu dziedzica. Po powrocie do domu zatrzymaliśmy się przed kuchennymi drzwiami. Pamiętam, jak Hjalmar, włożywszy ręce do kieszeni, spojrzął na pierwszą gwiazdę i powiedział: „Nisso, mamy za co dziękować Bogu. Jutro będzie bezchmurny dzień...” Po czym padł martwy w progu naszego domu. Zawsze mówił do mnie: „Nisso, chcę umrzeć przy pracy”, i jego życzenie się spełniło. Pracował do ostatniej godziny, do chwili gdy zmarł u moich stóp. Bez bólu. Bez cierpienia. Myśląc o wszystkich Bożych darach i dobrodziejstwach. Powiedz, proszę, o cóż więcej mogłaby prosić kobieta, niż tylko o to, by widzieć męża umierającego tak piękną śmiercią?

W kuchni zapanowała taka cisza, że słychać było jedynie łagodny szelest popiołu opadającego w piecu. Stare, zeszywniałe ręce Nissy spoczywały pod obwisłymi piersiami, lecz jej oczy skrzyły się jasnym blaskiem wspomnień, gdy niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w czerwoną kwiecistą ceratę pod katalogiem. Linnea poczuła ucisk w gardle. Nad śmiercią dotąd się nie zastanawiała i z pewnością nigdy nie myślała o niej jako o czymś pięknym. Przyglądając się teraz opuszczonym oczom Nissy, nagle zrozumiała piękno trwającego całe życie związku i uświadomiła sobie, że dla takich ludzi jak Nissa nawet śmierć nie może go przekreślić.

Nissa podniosła do ust filiżankę nieświadoma, że kawa już wystygła.

— Bez Hjalmara dom nigdy już nie był taki sam, więc zostawiłam go Johnowi i zamieszkałam tutaj, żeby opiekować się Teddym i dzieckiem. Odtąd jestem z nimi.

— A Melinda? Gdzie teraz jest? — zapytała cicho Linnea. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wstrzymała oddech i siedząc w zupełnym bezruchu, czekała na odpowiedź.

— W Filadelfii wpadła pod tramwaj i zginęła, gdy Kristian miał sześć lat.

Ach, rozumiem... Te słowa nie padły z ust Linnei, lecz huczały jej w głowie, gdy ostrożnie wypuściła z płuc powietrze i powoli rozluźniła ramiona. Wokół wciąż panowała cisza przerywana jedynie łagodnym bezwiednym stukaniem palców Nissy o okładkę zapomnianego katalogu. Fartuch starej kobiety opadł między jej rozstawione kolana, a popołudniowe słońce oświetlało miękkie puszki na policzkach. Do kuchni jakby nagle zawitały dwie dawno zmarłe osoby i Linnea ze wszystkich sił starała się zobaczyć ich twarze, ale zdołała tylko dostrzec sumiaste siwe wąsy jednej i pochylone ramiona drugiej, która wyglądała przez okno na pola, gdzie nawet teraz Teodor zbierał plony.

Zerknęła ku oknu. A więc dlatego jesteś zgorzkniały. Byłeś taki młody, a rana tak głęboka... Naraz poczuła, jak nieestosowna była jej niecierpliwość i gniew. Żałowała, że nie może tego jakoś odwrócić, lecz nawet gdyby mogła, czyż cokolwiek by to dało? Nie zmieniłoby przecież minionych cierpień Teodora.

A Kristian?... Biedny Kristian... Dzieciństwo bez matki.

— Czy Kristian wie? — zapytała współczująco.

— Że uciekła? Wie. Ale to dobry chłopiec. Ma mnie, Clarę i wiele innych ciotek. Wiem, że to nie to samo co matka, lecz on dobrze to wszystko

znosi. Cóż... — rzuciła okiem na katalog i nastrój się rozwiął. — Nie masz takich butów, prawda?

Wybrały zapinane z przodu do połowy łydki sztormowe trzewiki z wytłaczanej czarnej cielęcej skóry i podczas gdy Linnea wypisywała zamówienie, Nissa na podsumowanie rodzinnej opowieści dodała:

— Byłabym wdzięczna, gdybyś nie mówiła Teddy'emu, że ci to wszystko opowiedziałam. On nieczęsto mówi o Melindzie i... no cóż, wiesz, jak reaguja mężczyźni. Pomyślałam, że powinnaś to wiedzieć jako nauczycielka Kristiana i w ogóle...

Linnea wszakże nie wiedziała, jak reaguja mężczyźni. Dopiero teraz miała się tego dowiedzieć. Opowieść jednak wywarła na niej wielkie wrażenie i obiecała sobie, że w przyszłości będzie traktować Teodora z większą wyrozumiałością.

Mężczyźni znów wrócili późno. Kiedy zmęczeni weszli do kuchni, Linnea uświadomiła sobie, że przygląda się Teodorowi, jakby oczekiwała, iż znajdzie w jego wyglądzie jakąś zmianę. Wydawał się jednak taki sam jak zawsze; silny, ponury i nieszczęśliwy. Przez całą kolację starannie powstrzymywał się od spoglądania w jej stronę, nie odezwał się też do niej ani słowem od chwili, gdy zganiła go po południu. John siadając do stołu skinął ku niej uprzejmie i powitał ją nieśmiało, Kristian zaś, Wydukawszy pozdrowienie, rzucał jej spod oka ukradkowe spojrzenia. Teodor natomiast skupiał się tylko na swoim talerzu.

W połowie posiłku już nie mogła dłużej znosić jego lekceważenia i poczuła gwałtowne pragnienie, by położyć kres wrogości. Być może jednak naprawdę pragnęła wynagrodzić mu w jakiś sposób postępek Melindy.

Sięgał właśnie po ziemniaki z pieczeniowym sosem, gdy popatrzyła nań i przerwała milczenie:

— Panie Teodorze, chcę przeprosić za sposób, w jaki odezwałam się

dzisiejszego popołudnia.

Szczęki Teodora przestały się poruszać, a jego wzrok spoczął na niej po raz pierwszy od owego wieczoru, gdy próbował ukryć wyraz całkowitego zaskoczenia.

— Naprawdę się cieszę, że nie widział tego żaden z moich uczniów, bo nie byłabym dla nich dobrym przykładem

— mówiła dalej. — Odezwałam się do pana sarkastycznie i zgryźliwie, a tak doprawdy nie wypada odnosić się do ludzi, gdy tak łatwo poprosić uprzejmie. Tym razem proszę więc uprzejmie: czy w przyszłości zechciałby pan, Teodorze, zwracać się wprost do mnie, gdy jestem w pobliżu, zamiast mówić nad moją głową, jakby mnie nie było?

Teodor wpatrywał się w nią przez chwilę, potem jego spojrzenie pomknęło ku Nissie i Kristianowi.

Kristian przestał jeść. W zdumieniu obserwował, jak panna Brandonberg spokojnie i uprzejmie daje jego ojcu nauczkę. Co więcej, znowu się odezwała w trakcie posiłku! Nikomu z siedzących przy stole nie chciało się rozmawiać o pustym brzuchu i Kristian widział, że ojciec chce przede wszystkim w spokoju zjeść kolację. Nauczycielka jednak wpatrywała się w niego bez przerwy, siedząc wyprostowana jak wiewiórka, twarz ojca zaś pod jej spokojnym spojrzeniem oblała się czerwienią.

— Z jakiegoś niepojętego powodu — mówiła życzliwie

— niedobrze rozpoczęliśmy naszą znajomość. Myślę jednak, że potrafimy wykazać się dojrzałością, prawda?

Teodor nie wiedział, co powiedzieć! Ta pannica go przeprosiła!... Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek jakaś kobieta go przeprosiła. Ale zdaje się, że równocześnie zasugerowała, że jest niedojrzały. On niedojrzały! Wszak niewiele brakowało, żeby mógł być jej ojcem! Zmieszany z trudem przełknął ślinę, zastanawiając, co oznacza słowo „sarkastycznie”. Nissa, John i Kristian

zastygli w bezruchu, tak że w końcu Teodor musiał coś powiedzieć!

Znów przełknął z trudem, czując, że ziemniaki utkwily mu w gardle. Spojrzał w wielkie oczy tej drobnej panienci, na jej świeżą twarz i uświadomił sobie, jaka jest śliczna.

— Taaa... chyba potrafimy. A teraz jedzmy — rzekł i z ulgą skierował całą uwagę na własny talerz.

W końcu wygrała jedną rundę. Uświadamiając to sobie, Linnea poczuła, że wciąż spoczywa na niej osłupiały wzrok Johna. Posłała mu szeroki uśmiech, który sprawił, że z zażenowaniem pospiesznie zajął się posiłkiem.

Dla Johna ta drobna panienka była zgoła niepojętym objawieniem. Potrafiła sprawić, że Teddy się rumienił i spuszczał z tonu, do czego nie był zdolny nikt oprócz ich matki. Jednakże mama robiła to zupełnie inaczej niż ta panienka. Jak jej się to udawało, tego John nie mógł pojąć. Pamiętał inną kobietę, która potrafiła zmiękczyć Teddy'ego: Melinę. Była śliczną, drobną wielkooką istotą, była jak nowo narodzone źrebiątko. Wystarczyło, by obróciła te swoje wielkie oczy na Teddy'ego, a on miękł jak wosk i czerwieniał na twarzy. Tak jak teraz, gdy ta panienka przemówiła do niego z łagodną powagą i spojrzała mu prosto w oczy. Melinda też zwykła rozmawiać przy stole. Zawsze mówiła, że nie pojmuje tych ich norweskich zwyczajów, a także tego, że wszystko w sobie duszą i nie rozmawiają o tym, co jest naprawdę ważne.

John, nie będąc człowiekiem nadmiernie rozmownym, nigdy tego nie rozumiał.

Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie mamy. Pamiętasz, John, prawda? myślała Nissa. Właśnie tak odnosił się do Melindy. Popatrzyła w prawo, na grzecznie jedzącą dziewczynę, nieświadomą, że wywołuje wspomnienia, potem na Teddy'ego pochłoniętego kolacją, lecz chmurnie spoglądającego w talerz. Myślę, mój zrzędlawy synu, że wreszcie spotkałeś właściwą osobę.

W sobotni wieczór Nissa ustawiła balię obok kuchennego pieca i zaczęła

ją napełniać gorącą wodą.

— Kapiemy się po kolei — obwieściła. — Chcesz być pierwsza? Linnea spojrzała na balie, na szeroko otwartą kuchnię oraz na wiodące do bawialni drzwi, zza których wyraźnie słyhać było głosy Johna i Teodora, potem znów na balie.

— Chyba wezmę wodę na górę w miednicy. Napełniła niewielką cętkowaną miednicę i zaniósła ją do swego pokoju. Wody było za mało, mimo to dokładniejsze mycie sprawiło jej przyjemność. Słyszała, jak John wychodził do domu, wokół robiło się coraz ciszej. Wytarła się, włożyła nocną koszulę i usiadła w bujanym fotelu, by przestudiować notatki poczynione przy nazwiskach uczniów.

Nissa wykąpała się pierwsza, później jej głos rozległ się na schodach, gdy wołała Kristiana. Linnea usłyszała, jak chłopiec zbiega na dół, a potem wraca, ubierając się po drodze. Dobiegły ją też odgłosy trzeciej kąpieli i próbując wyobrazić sobie długie nogi mężczyzny skurczone w niewielkiej balii, uśmiechnęła się. Po kilku minutach usłyszała, jak Teodor woła Kristiana, by pomógł mu wynieść balie na podwórko. Później wszelkie dźwięki umilkły.

John, Nissa, Kristian... Teodor, pomyślała, oto namiastka mojej rodziny. Każde z nich jest inne, każde, stanowiąc element całości, wzbudza tak odmienne reakcje. Polubiła ich wszystkich natychmiast. Wszystkich z wyjątkiem Teodora. Czemu więc o nim myślała najdłużej? Czemu jego pozbawiona uśmiechu twarz i niemiłe usposobienie pozostały jej w pamięci, nawet gdy zgasła światło? Czemu o jego nagich nogach skurczonych w małej balii myślała przed snem?

W domu panowała cisza. W słabo oświetlonej kuchni zapach kolacji mieszał się z wonią domowej roboty mydła, gdy Teodor i Kristian wynieśli balie na podwórko. Kiedy wylali wodę, Teodor przystanął i wpatrzony w niebo, myślał nad czymś głęboko.

— Kristian... — rzekł po długiej chwili.

— Co?

Ojciec ostrożnie badał to słowo, zanim wypowiedział je tak samo, jak zabrzmiało w ustach nauczycielki.

— Wiesz, co oznacza słowo „sarkastycznie”?

— Nie wiem. Ale zapytam pannę Brandonberg.

— Nie! — wykrzyknął Teodor i zdał sobie sprawę, że powiedział to gniewnie, więc złagodził głos. — To nieważne. Stali w ciemności i trzymając lekką teraz balię, słuchali grania wczesnojesiennych świerszczy. Na usianym gwiazdami niebie wisiał biały jak świeże mleko księżyc w trzeciej fazie, który sprawiał, że ich cienie wydłużały się i pogłębiały.

— Jest ładna, prawda? — wymamrotał cicho Kristian.

— Tak myślisz?

— Tak. I wcale nie jest myszowatym chucherkiem, jak powiedziałaś. A właściwie dlaczego tak powiedziałaś?

— A powiedziałem?

— Tak, chociaż wcale nie jest większym chucherkiem niż Isabelle, a jak pamiętam, uważałaś, że Isabelle jest w porządku.

— Lepiej przyjrzyj się Isabelle jeszcze raz, kiedy tu przyjedzie z tą swoją obwoźną kuchnią — burknął Teodor.

— No... prawda, Isabelle jest trochę... bujniejsza w porównaniu z panną Brandonberg, ale panna Brandonberg wcale nie jest myszowatym chucherkiem. Moim zdaniem wygląda całkiem dobrze.

Teodor spojrział na syna spode łba, wpatrując się w jego czysty młodzieńczy profil.

— Pilnuj się, żeby nie usłyszała, jak to mówisz, bo jest twoją nauczycielką.

— Taaa... chyba masz rację — przyznał niechętnie Kristian. Opuścił

wzrok ku ciemnej ziemi i stał przez chwilę w zamyśleniu, po czym nagle podniósł głowę. — Chcesz usłyszeć coś śmiesznego? — zapytał otwarcie.

— Co?

— Ona uważa, że osty są piękne. Powiedziała, że każe nam pójść na pola i je rysować!

Teodor mruknął coś pod nosem, potem roześmiał się za Kristianem.

— Taaa... cóż, to dziewczyna z miasta. Wiesz, że one nie znają się na tych rzeczach.

Jednakże później, kiedy już leżał w swym podwójnym łożu, w którym sypiał sam od ponad czternastu lat, próbował przywołać w pamięci oset i uświadomił sobie, że właściwie wcale nie jest pewien, jak on wygląda. Przecież w ciągu trzydziestu czterech lat swego życia widywał oset tysiące razy, ale nigdy nie patrzył na niego inaczej jak z pogardą. Gdy zobaczy go następnym razem, postanowił, spojrzy inaczej.

ROZDZIAŁ 5

Linnea nie była przygotowana na zmianę, jaką niedzielnego ranka zobaczyła w Kristianie i Teodorze. Gdy po spełnieniu swych codziennych obowiązków wrócili z obejścia, żeby zjeść śniadanie, wyglądali tak samo jak zawsze, ale później, kiedy Nissa zawołała: „Zejdź szybko, bo Buggy czeka!”, Linnea ujrzała ojca i syna na przednim siedzeniu czarnego czteroosobowego powozu w ciemnych garniturach, krawatach i świeżych białych koszulach. Podbiegła szybko, taksując odświętny czarny kapelusz Teodora i świeżo uczesane, jeszcze mokre na skroniach i lśniące w słońcu włosy Kristiana. Obydwaj mieli też bardzo ciasne kołnierzyki, które sprawiały wrażenie, jakby wcinały im się w szczęki.

— Mój Boże, ależ wyglądziecie urodziwie — powiedziała, przystając obok zaprzęgu.

Kristian się rozpromienił, a Teodor najpierw powoli zatrzymał wzrok na jej wysokim śmiesznym kapeluszu, potem na stopach obutych w owe nedorzeczne pantofle na wysokim obcasie. Dawał im najwyżej sześć tygodni na tych kamienistych drogach.

Żaden z nich jednak nie pamiętał o tym, by pomóc damom wejść do powozu. Kiedy więc Nissa uczyniła krok, by zrobić to bez pomocy, Linnea powstrzymała ją na tyle niepostrzeżenie, na ile zdołała.

— Zastanawiam się, Kristianie, czy zechciałbyś podać rękę babci. Rano dokuczały jej kolana.

— Moje kolana są równie zdro...

— Ależ, Nisso — Linnea lekko trąciła ją ramieniem. — Proszę sobie przypomnieć, jak mówiła mi pani dziś rano, że bolą tak, jakby wyskoczyły ze stawów. Ponadto młodzieniec taki jak Kristian będzie zachwycony, mogąc zaprezentować nienaganne maniery i pomóc paniom wejść do powozu.

Kristian z szerokim uśmiechem w mgnieniu oka zeskoczył z powozu, by służyć pomocą najpierw Nissie, potem Linnei. Teodor obrócił się, by to obserwować, lecz nie powiedział ani słowa. Siedział tylko i patrzył, jak ta dziewczyna fortelami pracuje nad jego synem, który wprost wychodzi ze skóry, by spełniać jej życzenia. Kiedy wszyscy już siedzieli, dostrzegł spojrzenie tej pannicy, uniósł sardonicznie jedną brew, po czym odwrócił się i cmoknął na konie.

— Wio! — trzepnął lejcami. — Wio, koniki! Chybotanie wozu ustało i pojechali kłusem.

Podróż była bardzo przyjemna, chociaż Linneę wciąż zdumiewała małomówność tych ludzi. Jej rodzina z ochotą oddawałaby się pogawędce. Zresztą sama pogoda wprawiała ją w dobry nastrój. Lekki wietrzyk szumiał w

trawach na poboczu drogi, przedpołudniowe słońce zdawało się złotą pieszczotą. I ten aromat... wyczuwalny, czysty... wyobrażała sobie, iż właśnie tak musi pachnieć w chmurach.

Podniosła wzrok. Kilka pierzastych obłoków płynęło wysoko na północ, ale zachodnie niebo było zdecydowanie błękitne barwą tak bogatą i nasyconą, że przenikała zmysły.

Na tle owego błękitu zobaczyła białą wieżę, zanim jeszcze do niej dojechali. Kościelna wieża wydawała się spoczywać na szerokim ramieniu Teodora. Z lekkim jesiennym wiatrem płynął ku nim odgłos bijącego dzwonu. Jego bicie zabrzmiało ponownie, głośniej, potem zaś jeszcze raz, ciszej, a ów dźwięk wzmagął się i słabł ulegając kaprysom wiatru. Dzwon zadzwonił dwanaście razy, wreszcie jego pieśń wprowadziła powóz na kościelny dziedziniec.

Również i tutaj, podobnie jak do szkoły, wciskały się pszeniczne łany, otaczając konie i powozy przywiązane do żerdzi. Dziedziniec pełen był wiernych, którzy korzystali z kilku wolnych minut tego cudownego przedpołudnia. Mężczyźni z kciukami w kieszonkach kamizelek stali w grupach, dyskutując o pogodzie i zbiorach. Kobiety, zgromadziwszy się razem, kiwając czepkami rozmawiały o przygotowywaniu przetworów. Dzieci w świeżo wypolerowanych butach, które już zdążyły pokryć się kurzem, biegały wokół matczynych spódnic, nieustannie napominane, by przestały, zanim buciki całkiem się zabrudzą.

Gdy powóz się zatrzymał, Linnea nie musiała przypominać Kristianowi o dobrych manierach. Był pod ręką, gorliwie pomagając im z poczuciem dumy. Kiedy wszakże ruszyli ku schodom kościoła, Nissa zawładnęła ramieniem wnuka, a Linnea znalazła się u boku Teodora. Jednakże ani ona nie ujęła Teodora pod rękę, ani on nie zaoferował swego ramienia. Szła po prostu wraz z nim przez tłum i uśmiechała się, ilekroć napotkała spojrzenie

nieznajomych.

Ludzie cofali się przed nią, by wyrazić w ten sposób szacunek należny nauczycielce, i obserwowali, jak zmierza ku drzwiom. Tutaj Teodor przedstawił ją pastorowi, wielebnemu Martinowi Severtowi, szczupłemu przystojnemu mężczyźnie po trzydziestce, i jego żonie, kanciastej, dobrze ubranej kobiecie z wystającymi zębami i otwartym uśmiechem. Państwo Severtowie wydawali się miłymi ludźmi, ich uściski dłoni były serdeczne, a powitania miłe, toteż Linnea nie mogła oprzeć się zdumieniu i ciekawości, czy ich syn naprawdę jest takim urwisem, jak mówiła Nissa.

John czekał już na nich w ławce. Linnei przypadło miejsce między Kristianem a jego ojcem. Gdy zaczęła się msza, Kristian otworzył książeczkę i pogрузił się w modlitwie, Teodor natomiast przez większą część nabożeństwa siedział z rękami ciasno skrzyżowanymi na piersi. Aż do rozpoczęcia psalmów. Była zdumiona, gdy usłyszała, jak śpiewa: z ochotą, od serca, czystym dźwięcznym barytonem. Przyłączając się do niego równie dźwięcznym sopranem, pozwoliła sobie ostrożnie podnieść wzrok. To wprost niemożliwe, uznała, by człowiek miał zawziętą minę, śpiewając psalmy.

I po raz pierwszy zobaczyła, jaka może być twarz Teodora. Jego usta, teraz szeroko otwarte w śpiewie, wydawały się mniej cierpkie i surowe niż przedtem. Żuchwa, opuszczona by utrzymać tonację, straciła swój uparty zarys. Oczy, oświetlone światłem wpadającym przez łukowate okno, błyszczały łagodnie. Stał z wyprostowanymi szerokimi ramionami i lekko stukając palcami w ławkę stojącą przed nimi, dołączał swój silny, mocny głos do innych rozlegających się wokół. Spojrzał w dół i zobaczył, że Linnea śpiewa i także zerka ku niemu. Tylko przez chwilę jego oczy wydawały się promienieć uśmiechem, w który nie mogły się ułożyć otwarte w śpiewie usta. Oczywiście znał słowa na pamięć, jednakże chwila była nadzwyczaj stosowna, by zaofiarować gałązkę oliwną. Wystarczyłby tylko lekki skręt ku Linnei, by

podać jej zbiór psalmów i zaoferować wspólny śpiew. Łokieć dziewczyny dotykał jego ramienia... Linnea wyczuła chwilowe wahanie Teodora, który po chwili obrócił się w jej stronę. Dotknął palcami brzegu śpiewnika i hymn dokończyli wspólnie. Kiedy ich głosy łączyły się w pieśni słanej ku niebiosom, raził ją jeszcze jakiś fałszywy akord, lecz zanim psalm się skończył, już go nie było. Kiedy zaś wybrzmiało „amen”, Teodor zaczekał, aż Linnea usiądzie, zanim sam zajął miejsce.

Przez całe nabożeństwo Linnea ze wszystkich sił starała się skupiać na modlitwie, a nie na zapachu mydła i pomady do włosów, który płynął ku niej z lewej strony. Tej niedzieli msza zakończyła się komunikatem wygłoszonym przez wielbnego Severta.

— Cieszymy się, że jest dziś z nami nowa nauczycielka, panna Linnea Brandonberg. Przywitajcie ją, proszę, poznajcie się i zróbcie wszystko, by dobrze się tu czuła.

Kilkanaście głów odwróciło się w jej stronę, ale Linnea była skrepowana, myśląc o tym jednym człowieku, który stał tuż obok niej. Uświadomiwszy sobie, że Teodor przygląda jej się uważniej niż kiedykolwiek, nagle zaczęła się zastanawiać, czy kapelusz się jej nie przekrzywił, czy kołnierzyk dobrze leży i czy włosy uczesane są wystarczająco starannie. Jednakże już chwilę później kościół zaczął pustoszeć i znów znalazła się w blasku jasnego jesiennego dnia. Zapominając o wyglądzie i pozorach, skupiła się na nowych twarzach i nazwiskach.

Wszyscy byli zwyczajnymi ludźmi, lecz właśnie w tej zwyczajności Linnea dostrzegła szlachetność. Potężnie zbudowani mężczyźni mieli mocne, szerokie dłonie, wszyscy odziani byli w poważne czarne ubrania i białe koszule. Kobiety zaś nosiły się prosto z wyraźnie większą dbałością o wygodę niż o elegancję czy styl. Ich nakrycia głowy, w przeciwieństwie do jej kapelusza, były niewyszukane i płaskie, a obuwie praktyczne. Wszyscy

wszakże okazywali Linnei wyczuwalny szacunek. Kobiety uśmiechały się nieśmiało, mężczyźni zdejmowali kapelusze, a dzieci czerwieniły się, gdy przedstawiano je „nowej pani”.

Poznała wszystkich swoich uczniów. Dwojga nie musiano jej przedstawiać: syna państwa Severtów, równie urodziwego jak ojciec, tyle że miał w sobie jakąś niepokojącą nerwowość, i Frances Westgaard, gdyż Nissa powiedziała, że jest nieco ociężała. Być może Linnea była urodzoną nauczycielką, wyczuwającą, kto potrzebuje jej najbardziej, gdyż już pierwsze spojrzenie na drobną dziewczynkę z piegami i koroną warkoczy sprawiło, że serce zabiło jej do tego dziecka.

Dzieci noszących nazwisko Westgaard było jednak tak wiele, że niebawem poniechała próby zapamiętania, czym są potomstwem. Z dorosłymi poszło jej trochę łatwiej. Ulmera i Larsa nietrudno było rozpoznać, gdyż bardzo przypominali Teodora, chociaż Ulmer, najstarszy, łysiał, a Lars o wiele chętniej się uśmiechał.

Potem nadeszła Clara. Chodziła ciężko z powodu zaawansowanej ciąży, a teraz roześmiała się z czegoś, co mąż właśnie szepnął jej do ucha, przy czym jej oczy uśmiechnęły się, zanim zrobiły to usta. Clara miała włosy w kolorze kawy i piękną cerę, chociaż jej rysy były o wiele mniej pociągające niż rysy braci. Nos miała trochę za długi, usta nieco za szerokie, ale kiedy się uśmiechała, owe niedoskonałości stawały się niemal niezauważalne, gdyż miała w sobie coś znacznie ważniejszego: Clara promieniała pięknem szczęścia.

Gdy tylko spotkały się wzrokiem, Linnea zrozumiała, że bardzo polubi tę kobietę.

Clara ujęła dłoń Linnei, ucisnęła ją zdecydowanie i z konspiracyjnym uśmiechem w kącikach ust rzekła:

— A więc to ty usadziłaś mojego brata! Gratuluję. Chyba mu się to

należało.

Linnea była tak oszołomiona, że nie zdołała znaleźć właściwej odpowiedzi.

— Jestem Clara... — mówiła dalej siostra Teodora.

— T... tak... — Oczy Linnei powędrowały ku mocno zaokrąglonemu brzuchowi rozmówcy. — Tak myślałam.

Clara roześmiała się, pogłaskała po brzuchu i przyciągnęła bliżej łokieć swego męża.

— A to mój Trigg — wyjaśniła. Chyba właśnie to, jak wymówiła „mój Trigg”, wzbudziło jeszcze większą sympatię Linnei. Wyraźna duma w głosie Clary była w pełni uzasadniona. Trigg Linder był chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Linnea kiedykolwiek widziała. Jego włosy błyszcząły w słońcu niczym świeżo wypolerowana miedź, błękitne oczy ocieniały rzęsy, jakich mogłaby mu pozazdrościć niejedna kobieta, nordyckie rysy zaś miały nieskazitelną symetrię i piękno. Jednakże uwagę Linnei zwróciło przede wszystkim to, iż przez cały czas, gdy żona Trigga mówiła, lekko opierał dłoń na jej karku, sprawiając przy tym wrażenie, jakby nie mógł pohamować zachwyty nad jej twarzą.

— Zatem Teddy robił ci przykrości — mówiła Clara.

— No cóż... nie, właściwie nie... Clara się roześmiała.

— Ze mną niczego nie musisz owijać w bawełnę. Znam naszego Teddy'ego. To Norweg z krwi i kości. Zawzięty i uparty... — mocniej uścisnęła dłoń Linnei. — Ale bywa wspaniały. Daj mu czas, żeby się dostosował do ciebie. Na razie, jeśli będzie się czepiał, przejdź nad tym do porządku i daj upust zdenerwowaniu w moim domu. Zawsze czeka na ciebie kawa i moje towarzystwo.

— Ojej, dziękuję, chyba skorzystam z zaproszenia.

— A mama? Dobrze cię traktuje?

— O tak!... Jest cudowna.

— Kocham ją, ale czasem doprowadza mnie do szaleństwa, więc jeśli wyda ci jeden ze swych zbyt licznych rozkazów, a ty będziesz miała ochotę ją udusić i zakneblować, przyjdź do mnie. Porozmawiamy wtedy o chwilach, gdy ja omal tego nie zrobiłam — powiedziała, po czym już na odchodnym, odwracając się, dodała: — A przy okazji... podoba mi się twój kapelusz.

Linnea nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem.

— Czy powiedziałam coś śmiesznego? — zapytała Clara.

— Powiem ci, jak wpadnę na kawę.

Clara nawet w ciąży poruszała się zwawo. Kiedy zniknęła, Linnea poczuła, że zabrakło jej tchu. A więc to jest Clara; ta, która była najbliższa Teodorowi. Ta, która знаła Melinę. I która oferowała Linnei przyjaźń. Linnea nie miała wątpliwości, że przyjmie tę ofertę. Właśnie wtedy zjawił się Kristian.

— Tata powiedział, żebym zapytał, czy jest pani gotowa. Zerknęła na dziedziniec. Nissa siedziała już w powozie,

a Teodor, wyraźnie niezadowolony, stał obok, nerwowo przytupując.

— Och, czekacie już?

— No... mamy żniwa, więc jak pogoda sprzyja, a pszenica jest dojrzała, pracujemy codziennie, we wszystkie dni tygodnia.

— Och... — westchnęła i świadoma, że dolewa oliwy do ognia, dodała:
— Pożegnani tylko z wielbnyim Severtem.

Zrobiła to szybko, mimo to idąc do powozu, dostrzegła na twarzy Teodora irytację.

— Przykro mi, że was zatrzymałam. Nie wiedziałam, że zamierzacie wyjechać dziś w pole.

— Nigdy panienka nie słyszała o zbieraniu plonów, gdy słońce świeci? Proszę wsiadać. Ruszamy. — Ujął jej łokieć i pomógł wsiąść, czyniąc to tak szorstko, że wolałaby, by nie robił tego w ogóle.

Urażona tą gwałtowną zmianą, jaka zaszła w nim po owej bliskości, którą czuła w kościele, Linnea jechała do domu niemile zakłopotana.

Gdy tylko przyjechali, mężczyźni szybko zmienili ubrania. Linnea wyciągała właśnie szpilkę z kapelusza, gdy przypomniała sobie o węglu dla szkoły. Irytowanie go tą sprawą było ostatnią rzeczą na ziemi, jakiej pragnęła, lecz nie miała wielkiego wyboru.

Zatrzymała go, kiedy wychodził ze swego pokoju ubrany w świeżo wyprany i wyprasowany kombinezon oraz w czystą jasnoniebieską kraciastą koszulę. Wkładał właśnie na głowę swój wytarty słomkowy kapelusz. Powoli opuścił rękę i przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Przypomniała sobie, jak razem śpiewali psalm i jak przez te kilka minut wydawał się... całkiem inny. Przystępny. Sympatyczny. A tu nagle tak trudna stała się rozmowa z nim... W końcu jednak odzyskała mowę.

— Zdaję sobie sprawę, jak dużo jest zajęć o tej porze roku, ale obiecałam kuratorowi, że przypomnę panu o węglu dla szkoły.

— Dahl zawsze myśli, że zamieć przyjdzie w połowie września, i boi się, że straci posadę, jeśli szopa na węgiel nie będzie pełna. Ale Dahl nie ma pszenicy do sprzątnięcia.— Ja... ja tylko powiedziałam mu, że przypomnę, więc przypominam. Przepraszam, że pana zatrzymałam.

Co takiego było w tym człowieku, że czasami wprost ją skręcało?

— Jeśli Dahl jeszcze raz będzie pannę tym niepokoił, proszę mu powiedzieć, że załatwię to, jak będę mógł. Kiedy świeci słońce, zbieram pszenicę — oświadczył i wzruszając ramionami wyszedł z domu.

Miała przed sobą długie popołudnie, więc postanowiła pójść do szkoły. Wiedząc już teraz nieco więcej o swych uczniach i mogąc połączyć kilka twarzy z nazwiskami, usiadła i naszkicowała plan lekcji pierwszego tygodnia, przyglądając się uważnie niewielkiej liczbie podręczników. Miała tylko kaligrafię, czytanki, arytmetykę, geografiię i gramatykę. Pozostałe książki na

półce nie były podręcznikami i sprawiały wrażenie podarowanych szkole w różnych latach. Na ogół, tak jak ta, którą na chybił trafił wybrała owego dnia, gdy czytała Kristianowi, zatytułowana „Nowa era gospodarki”, były o wiele za trudne, by mogła je wykorzystać w pracy z uczniami, szczególnie z najmłodszymi.

Pozostawało wszakże coś, na co dzieci nigdy nie były za małe: zasady dobrego wychowania. Do wpajania ich swoim uczniom nie potrzebowała żadnego podręcznika! A właśnie one zajmowały wysoką pozycję na liście najważniejszych jej zdaniem powinności.

Gdy plany lekcji były już gotowe, rozwinęła amerykańską flagę i zawiesiła ją na specjalnej półeczce, na tablicy zaś najpierw napisała słowa przysięgi „Na wierność sztandarowi”, potem dużymi drukowanymi literami swoje imię i nazwisko: LINNEA BRANDONBERG. Cofnąwszy się nieco, z wyraźną satysfakcją obejrzała swoje dzieło i gdy strzepywała kredę z palców, niemal kręciło jej się w głowie na myśl, że nazajutrz o dziewiątej rano dźwięk szkolnego dzwonu przywoła do porządku jej pierwszych uczniów.

Teraz było jednak dopiero niedzielne popołudnie i Linnea niechętnie myślała o opuszczeniu miłego szkolnego budynku.

Wiedziona impulsem usiadła więc i żeby uzupełnić podręczniki, zaczęła sporządzać duże plansze z kolejnymi literami alfabetu ilustrowanymi odpowiednim obrazkiem. Na planszy z literą A narysowała agrafkę, planszę z literą B ozdobiła rysunkiem balonu, a literę C zilustrowała cytryną. Lubiła rysować i nie spieszyła się z wykonaniem tej pracy. Przerywała ją często, zastanawiając się głęboko i długo, jaki symbol powinien przedstawiać każdą z liter. Dokładając starań, by zilustrować litery przedmiotami bliskimi dzieciom, przy F narysowała dość nieproporcjonalną farmę i najlepiej, jak umiała, odmalowała mysz przy M. Z uśmiechem ozdobiła S rysunkiem słońca, od początku wiedząc, że aby dokładnie narysować osiet przy wcześniejszej

planszy z O, będzie musiała zobaczyć tę roślinę.

Wyszła na drogę, gdzie słońce paliło we włosy, i snuła marzenia, którym wtórowało szemranie krzewów bawełny na lekkim popołudniowym wietrze. Zauważywszy błyszczący bursztynowy kamyk na środku drogi, pochyliła się, wzięła go w rękę i przez długie minuty kuciała z brodą wspartą na kolanach, rozkoszując się ciepłem kamienia, jego gładkością i ciężarem w dłoni. W niektórych miejscach błyszczał, a w środku miał przejrzyste pasmo podobne kolorem do oczu Teodora. Zacisnąwszy powieki, przypomniała sobie dotyk jego ramienia, gdy stał obok niej w kościele, i osobliwe uczucie jedności, jakiego doznała śpiewając wraz z nim. Nigdy przedtem nie była na nabożeństwie z mężczyzną.

Otarła lśniący kamyk kciukiem i wsunęła go do ust, smakując jego ciepło i ziemistość, a potem ułożyła w dłoni i uważnie wpatrywała się brązowe pasmo, teraz wilgotne, błyszczące i coraz bardziej zbliżone do głębokiej, bursztynowej barwy oczu Teodora. Uśmiechała się w rozmarzeniu, wciąż kucając na środku drogi. — Czyż to nie zabawne, Lawrence — mruknęła głośno — że przez cały czas naszej znajomości nie zauważyłam koloru twoich oczu?...

Wstała, zaciskając kamyk w dłoni. Spojrzała w oczy Lawrence'a.

— Ach, tak... — zauważyła z nutą rozczarowania. — Są zielone. — Zmusiła się do uśmiechu. — Cóż, chodźmy — ujęła dłoń Lawrence'a — pokażę ci oset.

Znalazła jeden w dole nieopodal drogi. Zwinął się w kulę. Zimą zwijał się tak przed stepowym wiatrem i czepiał oplecionych berberysem parkanów powodując, iż tworzyły się przy nich grube zasy. Z nadejściem wiosny trzeba go było wyrywać. Jednakże teraz, we wrześniu, był idealną kulą drobnych zielonych kwiatów, wokół której bzyczała para niebiesko-zielonych much, a po chwili nadleciał gruby trzmiel, by się w nie zanurzyć.

Linnea oparła szkicownik na brzuchu i zaczęła rysować.

— No powiedz, Lawrence, czyż nie wydaje ci się śliczna ta roślina? Spójrz, jak sycą się nią pszczoły.

Przejeżdżając grzbietem niewielkiego wzniesienia na polu pszenicy leżącym na północny wschód od szkoły, Teodor podniósł wzrok ku widocznemu w dali niewielkiemu budynkowi. Z tej odległości wydawał się nie większy niż domek dla lalek, lecz gdy konie z mozołem wspięły się na łagodny stok, zobaczył szopę na węgiel, huštawki i lśniący w słońcu dzwon. Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę i wtedy w pewnej odległości od szkoły dostrzegł postać stojącą w rowie na skraju pola. Bezwiednie wyprostował się i zdjął łokcie z kolan. Piwne oczy pod rondem kapelusza złagodniały, a na ustach pojawił się lekki uśmiech.

Co ona tam robi? Stojąc po kolana w chwastach, trzymała w dłoniach coś, czego z tej odległości nie mógł rozpoznać. Po dziecięcemu trwonila czas w rowie, jakby nie mogła spożytkować go lepiej. Wydał z siebie cichy, pobłażliwy chichot.

W pewnej chwili zrozumiał, że go zauważyła. Wyprostowała się zatrwożona, potem uniosła to, co trzymała w dłoni, by osłonić oczy. Przeniknęło go dziwne ożywienie, gdy nagle zamachała w powietrzu rękami i zakołysała nimi szerokim łukiem, podskakując kilka razy.

Pokiwał lekko głową i z uśmiechem znów wygodnie pochylił się do przodu, by z łokciami na kolanach dalej się jej przyglądać.

Takie dziecko, pomyślał, takie dziecko...

Linnea zauważyła trzy żniwiarki przecinające pole. Zmierzały w jej stronę, ale były zbyt daleko, żeby mogła powiedzieć, kto nimi kieruje. Widok był zachwycający. Żałowała, że nie ma wystarczających umiejętności, by namalować w jaskrawych żółciach i błękitach ową złocistość pszenicy i niebieskość nieba. Była jakaś wspaniałość w owych ludziach i koniach tak

niewielkich na tle majestatu całej tej ziemi rozciągającej się przed nią w niezmiernych oceanach falującego złota. To, że panowali nad nią i czynili tak piękną, potęgowało jej podziw. Coś chwyciło ją za serce z niezwykłą gwałtownością i zdało jej się, że wyraźnie słyszy słowa pieśni:

Och, piękna po bezkresne niebiosy, po bursztynowe fale zbóż...

Czy naprawdę gdzieś toczy się wojna, skoro przed nią nie widać nic oprócz piękna i szczodrości natury? A mówiono, że toczy się, by ochronić właśnie to, na co teraz patrzyła. Pomyślała o fladze, którą właśnie rozwiesiła w klasie, i o słowach, które napisała na szkolnej tablicy. Patrzyła na trzech mężczyzn posuwających się przez gęsty łąn pszenicy. Odetchnęła głęboko. I trzy razy klasnęła w czystym zachwycie. I pomachała im ręką.

A jeden z nich jej pomachał.

ROZDZIAŁ 6

Linnea zasnęła niezwykle podniecona. Nazajutrz, pierwszego dnia szkolnych zajęć, obudziło ją pianie koguta. Świt zaglądający przez kwadratowe okienko obiecywał bezchmurny dzień. Na dole Nissa hałaśliwie krzątała się w kuchni. Linnea żwawo wyskoczyła z łóżka, by wreszcie zacząć prawdziwe życie.

Uczesała się z wielką starannością, rozdzielając włosy na dole i formując z nich ciasny splot, który zaczynał się tuż za uszami i opadał na kark półokrągłym kokiem. Włożyła nową zieloną spódnicę i czarną bluzkę zapinaną wysoko pod szyją, ściągnęła szczupłą talię paskiem, wiążąc z tyłu kokardę, po czym okręciła się na palcach, by przed lustrem sprawdzić rezultat.

Chociaż spódnica ściśle przylegała z przodu, z tyłu miała mocno zmarszczone fałdy nadające jej kształt tiurniury, na której wspierała się baskinka bluzki. Widząc swoje odbicie w lustrze, Linnea poczuła się dorosła i śmiała. Stojąc na czubkach palców, przybrała poważną pozę i uniósłszy ramiona, wdzięcznie złożyła nadgarstki.

— Cóż, dziękuję ci, Lawrence. Jakże żałuję, że nie mogę, ale widzisz, dziś jest pierwszy dzień lekcji i szkoła będzie pełna dzieci... — Opuściła wzrok na piersi i zaśmiała się z ubolewaniem. — Och, zapomniałam o zegarku. Będziesz musiał mi wybaczyć, że po niego pójde.

Porzucając fantazje, wyjęła z szuflady filigranowy złoty zegarek zawieszony na delikatnej zapince w kształcie kokardy. Jego tarczę osłaniała cienka złota koperta z wygrawerowanymi różyczkami. Zegarek był prezentem od rodziców z okazji ukończenia Seminarium Nauczycielskiego i w ogóle jej pierwszym zegarkiem. Przypięła go do bluzki nad lewą piersią, po czym znów stanęła przed lustrem, by podziwiać się z dumą. Tak, teraz, panno Brandonberg, wyglądasz jak prawdziwa nauczycielka.

Z uśmiechem zeszła na śniadanie.

Mężczyźni siedzieli już przy stole, Nissa krzątała się między stołem a piecem.

— Dzień dobry wszystkim! Mmmm... wspaniale pachnie, Nisso. — Głos Linnei brzmiał równie radośnie jak poranne pianie koguta, gdy sprężystym krokiem zmierzała do swego miejsca.

John obrócił się na krześle, obdarzył ją dłuższym spojrzeniem niż kiedykolwiek przedtem, zaczerwienił się i najwyraźniej nie był w stanie powiedzieć ani słowa.

— Dzień dobry, John — pozdrowiła go, zginając kolana w lekkim ukłonie. — Witaj, Kristianie... — obróciła się do chłopca z radosnym uśmiechem i stwierdziła, że jest wprost zapatrzony w nią.

— Dzień do... — Głos przechodzącego mutację chłopca wzniósł się wysoko, tak że musiał zacząć jeszcze raz. — Dzień dobry, panno Brandonberg.

— Dzień dobry panu, Teodorze — posłała mu najszerszy uśmiech, ledwie jednak podniósł wzrok, zajęty napełnianiem talerza.

— Dzień dobry — mruknął.

Ciekawe, co tym razem zrobiłam, zastanowiła się. Prawdopodobnie nic. On po prostu taki już jest.

— Wygląda na to, że będziemy mieli śliczny dzień na rozpoczęcie szkolnych zajęć — zaszczębiotała.

Nikt nie powiedział ani słowa z wyjątkiem Nissy, która także usiadła wreszcie przy stole.

— Tak. Skoro jesteśmy już wszyscy, pomódlmy się. Teodor znów odmówił modlitwę po norwesku i chociaż

podczas posiłku Linnea kilkakrotnie próbowała przerwać milczenie, odniosła niewielki sukces. Pochwaliła przygotowane przez Nissę śniadanie, a potem wróciła do wczorajszego obiadu.— Jeśli będę jadła tak dobrze, szybko utyję. Kanapki, które dostałam w sobotę, również bardzo mi smakowały — powiedziała, ciekawie podnosząc wzrok. — Co w nich było?

— Ozór.

Linnea poczuła skurcz żołądka.

— O... ozór?!

— Wołowy ozór — uściśliła Nissa.

— Wołowy oz... — Linnea nie mogła się zmusić, by ponownie wymówić to słowo. Czując lekkie mdłości, z trudem przełknęła ślinę, podczas gdy cztery pary oczu powoli wędrowały w jej stronę.

— Nigdy przedtem nie jadłaś ozora? — zapytała Nissa.

— N... nie, na szczęście nie.

— Przecież powiedziałaś, że ci smakował.

— No tak... Ale... ozór?!

— Czyżbyś nie słyszała? Jest wojna. My tu nie marnujemy żadnej części ubitej krowy, prawda, chłopcy?

Spoczęły na niej ich rozbawione spojrzenia i nagle poczuła się głupio. Mimo to musiała zadać następne pytanie:

— Dzisiaj też z... z tym dostanę kanapki?

— Prawdę mówiąc, tak, bo to jedyne mięso na zimno, jakie mam. Mogę ci oczywiście usmażyć jajecznicę i przełożyć nią kanapki.

— Och, nie... nie... nie chcę przysparzać pani pracy. O... ozór będzie wspaniały.

Pierwszy raz tego ranka wzrok Teodora spoczął na niej dłużej niż przez ułamek sekundy. Błysnęło w nim rozbawione szyderstwo, gdy się wreszcie odezwał:

— Poczekaj panna, aż spróbujesz gulaszu z serc przyrządzonego przez mamę.

Wokół stołu przetoczył się chichot, po czym Westgaardowie wrócili do jedzenia. Linnei przełknięcie następnego kęsa wydawało się niemożliwe.

— Jeśli pozwolicie... — powiedziała, podnosząc się z krzesła. — Muszę jeszcze przygotować parę rzeczy do szkoły.

Znalazwszy tę wymówkę, umknęła schodami na górę.

Jednakże później, gdy spojrzała na zegarek i stwierdziła, że czas już iść do szkoły, nawet perspektywa kanapek z ozorem jakoś przybladła. Nissa czekała, by ją pożegnać. Kristian zapewne przebierał się w swoim pokoju, a pozostali dwaj mężczyźni wyszli już na pola.

— Kristian powiedział, żeby ci to dać — rzekła Nissa, stojąc w drzwiach. — Włożyłam ci do torebki śniadaniowej kawałek sera. Na przynętę.

Linnea spojrzała na pułapkę na myszy i ostrożnie ujawniła ją palcami, położyła na dzienniku.

— Och, pamiętał. Podziękuję mu, kiedy się zobaczymy. — Podniosła wzrok i uśmiechnęła się, potem wzięła głęboki oddech, wstrzymała go na chwilę i powiedziała: — No cóż, pora iść. Proszę życzyć mi szczęścia, Nisso.

— Nie sędzę, żebyś tego potrzebowała. Najlepiej od razu daj im do zrozumienia, kto tu rządzi, a wszystko będzie dobrze.

Linnea, rozentuzjasmowana i szczęśliwa, ruszyła w dwudziestominutową drogę. Jej krok ożywiał się z każdą chwilą marszu po zgrzytającym żwirze. Na poboczu lśniły wysokie trawy, błyszczące w rannym słońcu i chylące się ku niej w giętkich łukach, które ledwie drżały w bezwietrznym brzasku. Za przydrożnymi rowami, na daleko rozciągających się polach, zżęte zboża schły niczym świeżo umyte kobiece włosy. Wszędzie czuć było żniwa: aromat ów przypominał mieszaninę woni orzechów i duszącego zapachu słomy zwieszającej się na słońcu w pozłacanych źdźbłach.

Wysoko, unoszony prądem powietrza, szybował sokół o skrzydłach tak nieruchomych jak trawy na ziemi. I tylko czerwony ogon skręcał mu się od czasu do czasu, gdy ptak zataczał koła w poszukiwaniu śniadania. Świat był jasny i cichy, odgłosy nocy umilkły w blasku wczesnego ranka. Słońce wydawało się pomarańczową kulą ognia, gorącego i oślepiającego. Nawet mrużąc oczy nie widziała wieżyczki z dzwonem na budynku szkoły, od której dzieliło ją zaledwie pół mili.

Przechodząc obok farmy Johna, przyjrzała się uważnie niewielkiemu, nadszarpniętemu zębem czasu domowi za chroniącym go od wiatru rzędem cedrów. Obok stodoły stało kilka czarno-białych krów. Stado ćwierkających wróbli trzepotało wokół wiatraka porośniętego gęstą warstwą powojów unoszących błękitne trąbki ku równie błękitnemu niebu. W połowie drogi między domem a wiatrakiem stała stara balia ukwiecona jaskraworóżowymi i białymi petuniami. To on je tutaj zasadził? I powoje również? Poczowała ukłucie osamotnienia, jakiego musiał doznawać ten nieśmiały, cichy mężczyzna, a

potem zobaczyła przegowanego kota siedzącego na schodach z tyłu domu i myjącego szarą łapą biały pyszczek. Dopiero ów kot w dziwny sposób sprawił, że poczuła się lepiej.

John, pomyślała, jakież to prostoduszny, serdeczny człowiek.

Teodor... Zmarszczyła brwi. O nim da się powiedzieć wszystko oprócz tego, że jest prostoduszny, a z całą pewnością nie to, że jest serdeczny. Jak to możliwe, by dwaj bracia byli tak odmienni? Gdybyż ich osobowości jakoś się przemieszały! John mógłby wykorzystać nieco pewności siebie Teodora, Teodor zaś trochę nieśmiałości Johna. Dziwne, że mimo gburowatości Teodora... a może właśnie z jej powodu?... Linnea nie mogła zaprzestać starań, by nad nim zatriumfować. Czasami dostrzegała w Teodorze przeblysłk poczucia humoru, lecz zawsze je w sobie dusił. Ile dni można spędzić bez uśmiechu? Czy on nigdy nie pozwala sobie na wesołość? Z pewnością śmiał się, gdy był młody, gdy miał u boku Melinę.

Poczekaj no, Teodorze, już ja sprawię, że się uśmiechniesz.

Z tą obietnicą dotarła do szkoły. Przystanęła na dziedzińcu, by porozkoszować się scenerią: biały budynek, lazurowe niebo, szmaragdowe krzewy bawełny, złota pszenica, ptaki śpiewające gdzieś w zbożu, orzeźwiający lekki wietrzyk w uszach, a wokół ani żywego ducha, jakby była tu tylko ona... To moja chwila, pomyślała, utrwalając ów obraz w pamięci i obiecując sobie, że nigdy nie zapomni tego poranka.

Weszła na kamienne schody, dotknęła chłodnej stalowej poręczy i otworzyła drewniane drzwi. Moja szkoła... nareszcie.

Przeszła przez szatnię i stanęła w podwójnych drzwiach: wszystko było w takim stanie, jak w chwili gdy stąd wychodziła. Splotła dłonie pod brodą, napawając się wizją swego pierwszego dnia. Przez wysokie czyste okna klasy wlewało się złote światło. Na surowej dębowej podłodze, z której po sobotnim szorowaniu unosił się zapach drewna, kładły się cienie ławek. Między oknami

błyszczały klosze naftowych lamp. Flaga wisiała bez ruchu. Piec czekał na pierwszy ogień, kałamarze na napełnienie, słowa na tablicy na to, żeby je przeczytano.

A na środku klasy siedziała mysz.

Linnea się roześmiała. Jej głos spłoszył gryzonia.

— No cóż, witaj i ty — rzekła, obserwując, jak mysz znika za szafką na książki. — Więc tu się ukrywasz — stwierdziła, przyklękając i zaglądając za półki, po czym wstała, otrzepała dłonie i powiedziała głośno: — Dopadnę cię, ale tymczasem nie wytykaj nosa, słyszysz? — Usiadła za biurkiem, podniosła wieczko pojemnika ze śniadaniem i znalazła włożony tam przez Niszę kawałek sera. Ustawwszy pułapkę na myszy, spojrzała na biblioteczkę, potem na śmiercionośną sprężynkę i znów na biblioteczkę. — No dobrze — mruknęła — masz jeszcze jeden dzień. — Zatrzasnęła pułapkę i wraz z kawałkiem serca ustawiła ją na podłodze tak, by nie wyrządziła krzywdy.

Następnie wyszła na zewnątrz, zaczerpnęła wody do wiadra i przelała ją do zapasowego zbiornika w budynku. Napełniwszy kałamarze, niecierpliwie spojrzała na zegarek. Jeszcze piętnaście minut. Rzuciła okiem na zamknięte drzwi, pomyślała chwilę i pospieszyła otworzyć zarówno wejściowe, jak i wewnętrzne. Niech zapraszają do środka.

Od drzwi przyjrzała się swemu stołowi. Potem od stołu drzwiom. Usiadła, oparła ręce na dębowym porysowanym blacie i wpatrywała się w widok za oknem: rozległy dziedziniec i wiatrochron z krzewów bawełny w ramie białych ścian przedzielonej rurą do pieca.

Siedziała w tej pozycji, gdy koło rury pojawiły się trzy głowy.

— Dzień dobry. — Linnea poderwała się i ruszyła w ich stronę.

Były to dzieci Larsa i Evie. Każde trzymało zeszyt oraz drugie śniadanie w puszcze po melasie i uważnie się w nią wpatrywało. Chłopiec miał piegi, a rozdzielone przedziałkiem włosy były starannie przylizane. Granatowe spodnie

trzymały się na szarych szelkach, czubki butów nie nosiły śladów zniszczenia. Wyższa dziewczynka trzymała za rękę młodszą, która próbowała się ukryć za plecami siostry. Obie ubrane były identycznie: w kwieciste bawełniane sukienki sięgające do wysokich brązowych trzewiczków, równie nowych jak buty ich brata. Młodsza dziewczynka nosiła na sukience biały wykrochmalony fartuszek. Ich włosy splecione były w schludne warkoczyki związane wąskimi żółtymi wstążeczkami.

— Dzień dobry, panno Brandonberg — odpowiedziało zgodnym chórem dwoje starszych dzieci.

Linnea z bijącym sercem rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie ich imiona, ale udało jej się wydobyć z pamięci tylko jedno.

— Ty jesteś Norma, prawda? Norma Westgaard?

— Mhm. A to Skip i Roseanne.

— Witaj, Skip.

Chłopiec skinął głową i poczerwieniał jak burak, dziewczynka zaś wsunęła palec do ust — wyglądała, jakby zbierało jej się na płacz.

— Witaj, Roseanne.

Norma szturchnęła ją kolanem i mała wyrecytowała najwyraźniej przećwiczone wcześniej powitanie:

— Dzedoby, pao Babe...

Starsza siostra pochyliła się nad nią.

— Powiedz jeszcze raz — rozkazała, wyjmując jej palec z ust.

— Dzień dobry, panno Brandonberg.

Serce Linnei stopniało w jednej chwili. Ruszyła ku nim, lecz nie podeszła zbyt blisko, by nie spłoszyć Roseanne.

— Dzień dobry, Roseanne. Dowiedziałam się, że to twój pierwszy dzień w szkole — powiedziała, a zauważywszy, że dziewczynka nie odrywa od niej wzroku, dodała: — Wiesz, że dla mnie to także pierwszy dzień? Jesteście

moimi pierwszymi uczniami. I zdradzę wam pewien sekret, jeśli obiecacie, że nikomu o tym nie powiecie. Trochę się denerwowałam spotkaniem z wami.

Roseanne wyjęła palec z ust. Jej spojrzenie powędrowało ku Normie, która odpowiedziała siostrze uspokajającym uśmiechem.

Właśnie wtedy w drzwiach pojawiła się kolejna postać. Była to Frances Westgaard, która przyszła z młodszym bratem. Rozpoznavszy ich jako potomstwo Ulmera i Helen, Linnea spodziewała się, że zaraz dołączą do nich dwaj starsi bracia. Okazało się jednak, że ich nie ma.

Po wymianie powitań wszyscy wyszli na zewnątrz. Dzieci pobiegły na plac zabaw, a Linnea została na szkolnych schodach, by oczekiwać tam na kolejnych uczniów. Nie spuszczać oczu z drogi, czekała na resztę chłopców, lecz minuty mijały, a najstarszym, jaki się pojawił, był Allen Severt, który niespiesznie ruszył na plac zabaw, gdzie natychmiast zaczął dokuczać starszym dziewczynkom kołysząc młodszą dzieci na huśtawkach.

O dziewiątej Linnei wciąż brakowało czterech najstarszych uczniów, wróciła więc do środka, chcąc sprawdzić listę, żeby się upewnić, czy przypadkiem nie popełniła omyłki. Ale przecież nie mogła się pomylić, jeśli chodzi o Kristiana! Gdzież on jest? Nie było też Raymonda Westgaarda, wysokiego, kanciastego chłopca, który gdy tylko został jej w niedzielę przedstawiony, zniknął gdzieś wraz z Kristianem. Córka państwa Lommenów już przyszła — śliczna dziewczynka z kręconymi kasztanowymi włosami i wspaniałymi długimi rzęsami. Ale gdzie jest jej brat bliźniak? I kogo jeszcze brakuje? A tak, Antona, czyli Tony'ego, jak nazywała go Nissa. Zapisała to zdrobienie na marginesie. Czternastoletniego Tony'ego Westgaarda.

Linnea wciągnęła powietrze i poczuła skurcz żołądka. Czyżby starsi chłopcy już teraz poddawali ją jakiejś próbie, rozmyślnie spóźniając się pierwszego dnia, żeby zobaczyć, jak zareaguje? Nie mogła uwierzyć, żeby Kristian był do tego zdolny. Niemniej minęła już dziewiąta dziesiąta, a ona

wciąż nie zadzwoniła na lekcję. W końcu przyjrzała się uczniom i wybrała osobę, która wydawała się najrozsądniejsza i najbardziej godna zaufania.

— Normo, możemy porozmawiać? — zawołała, stając na skraju placu zabaw.

Dziewczynka natychmiast pozostawiła resztę dzieci i podbiegła do nauczycielki.

— Słucham, panno Brandonberg?

— Jest już dziesięć po dziewiątej, a brakuje czterech uczniów.

Wszystkich starszych chłopców. Może wiesz, gdzie są?

Norma wyraźnie się zdumiała.

— Ojej, to pani nie wie?

— O czym?

— Oni w ogóle nie przyjdą.

— Nie przyjdą?—powtórzyła z niedowierzaniem Linnea.

— Nie. Dopóki pszenica jest na polu. Trwają żniwa i młócka.—

Młócka?... — Linnea była skonfundowana. —Mówisz o dzisiejszym dniu?

Czy ktoś dzisiaj młóci?

— Nie, proszę pani, ale tak jest przez całe żniwa. Chłopcy pomagają w polu.

Do Linnei zaczynała docierać prawda. I wprawiło ją to w przerażenie.

— Przez całe żniwa?... Masz na myśli to wszystko? — zapytała, wskazując ręką rozległe pola wokół. — Wszystko?

Norma nerwowo spuściła wzrok na swoje ręce, potem znów go podniosła.

— No... chłopcy są potrzebni, inaczej jakże zebrano by to wszystko i wymłócono, zanim spadnie śnieg?

— Zanim spadnie śnieg? Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas nie pozwolą chłopcom chodzić do szkoły?

— No... tak, proszę pani — z niepokojem odpowiedziała dziewczynka. Uświadomiwszy sobie, że stawia Normę w trudnym położeniu, Linnea skryła konsternację.

— Dziękuję ci, Normo — rzekła łagodnie.

Jednakże kipiało w niej, gdy spojrzała ku północnemu zachodowi, w kierunku, gdzie zbierano zboże poprzedniego dnia. Ani żywego ducha. Kiedy więc weszła do szatni i sięgnęła po grubo spleciony sznur dzwonka, pociągnęła go z taką siłą, że poderwał ją z podłogi.

Jakże fatalnie zaczął się ów dzień, o którym tak długo marzyła! Naprawdę rok po roku tak postępowali? Ograbiając starszych chłopców z cennego czasu nauki, by pomagali zbierać pszenicę? Cóż, lepiej niech się nad tym zastanowią, gdyż w tym roku jest tu Linnea Brandonberg i teraz to i owo się zmieni!

Linnea miała zepsuty cały dzień. Chociaż udało jej się ustalić tok zajęć i zapoznać z podopiecznymi, to jednak ilekroć uczniowie byli zajęci, a ona miała wolną chwilę, dopadało ją rozgoryczenie. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do domu i rozmówi się z Teodorem.

Wyznaczywszy uczniom miejsca, podeszła do tablicy i tym, którzy znali przysięgę „Na wierność sztandarowi”, poleciła na rozpoczęcie dnia powiedzieć jej słowa. Potem każdy stawał przy ławce i mówił głośno, jak się nazywa, ile ma lat oraz czego się uczył w poprzednim roku szkolnym. Większość książek, z jakich korzystały te dzieci, nie miała wyznaczonych poziomów nauczania.

Próbując bliżej poznać uczniów, zarówno od strony osobowości, jak i umiejętności, Linnea poleciła starszym napisać krótkie wypracowanie o kimś z rodziny. Dzieci ze średniej grupy miały sporządzić listę dziesięciu słów, które najlepiej opisują ich rodzinę, młodsze zaś swoich bliskich narysować. Sama natomiast zebrała przy sobie „pierwszaków”, kuzynostwo Roseanne i Sonny'ego Westgaardów, i posługując się przygotowanymi wcześniej

planszami, zaczęła ich uczyć alfabetu.

Niebawem stwierdziła, że trudno jest prowadzić lekcje na siedmiu poziomach równocześnie. Bywało, że postawiła przed jednym lub kilkoma uczniami zadanie wystarczające — jak jej się wydawało — by zająć ich przez pełną godzinę, oni tymczasem błyskawicznie sobie ze wszystkim radzili i byli gotowi do następnej lekcji na długo przed tym, nim ukończyła pracę z inną grupą.

Cieszyła się z pierwszej przerwy przedpołudniowej i z drugiej, przeznaczonej na lunch, choć nie mogła się zmusić do przełknięcia kanapki z ozorem. Skończyło się na tym, iż dyskretnie ją wyrzuciła i spędziła popołudnie o pustym brzuchu.

Ponieważ dzieci przez większość czasu pracowały same, łatwo było stwierdzić, kto się do pracy przykłada, a kto wykonuje ją niechętnie, kto jest szybki, kto zaś powolny, kto potrafi pracować bez ciągłej obserwacji, a kogo trzeba nieustannie mieć na oku. Najgorszy okazał się Allen Severt. Jego zachowanie graniczyło z bezczelnością, pismo było niechlujne, niegrzecznie i prostacko odnosił się do innych dzieci. W czasie przerwy na lunch wybiegł polować na susły, których jak dowiedziała się Linnea, było w okolicy bardzo wiele, tak iż chwytanie ich stało się ulubionym zajęciem chłopców. Allen przyniósł nie tylko dwa ogony, ale również jedną włochatą łapkę, którą po wznowieniu lekcji bezszelestnie położył na ramieniu Frances Westgaard. Dziewczynka z przeraźliwym krzykiem zerwała się z ławki i zrzuciła zwierzęcą łapkę na podłogę.

— Allen! Natychmiast przeprosisz Frances — poleciła Linnea. — A potem wyniesiesz to paskudztwo na dwór i pozbędziesz się go.

Leniwie ruszył się na swoim miejscu.— Dlaczego ja? Ja jej tam nie położyłem.

— Czy nie ty w południe łapałeś susły?

W odpowiedzi szyderczo wydał wargi i powoli wstał, po czym zgiął się w impertynenckim ukłonie i podniósł zwierzęcą łapkę z podłogi.

— Jak pani sobie życzy, pani nauczycielko — wycedził.

Słowo „nauczycielko” wymówił w taki sposób, że przypominało policzek. Linnea musiała użyć całego hartu ducha, by powstrzymać się od wymierzenia mu klapsa, na jaki zasłużył. Zderzyli się spojrzeniami — on zwycięskim, ona zaś oschłym — po czym chłopiec wsunął kciuk do tylnej kieszeni i zaczął się odwracać.

— Najpierw przepros — zażądała.

Przystanął i opuściwszy rękę, z miną prześladowanego mruknął:

— Przepraszam, zgago — mruknął.

— Wyjdź! — rozkazała Linnea, zdając sobie sprawę, jak ważne jest z psychologicznego punktu widzenia to, kto ma ostatnie słowo.

Szurając nogami, Allen skierował się ku drzwiom. Szedł z leniwą swobodą, rozmyślnie wlokąc stopy tak, by uderzały o nierówności podłogi.

Incydent ten zdenerwował i zezłościł Linneę, na szczęście jednak wydarzył się pod koniec dnia. Starła się panować nad sobą, gdy chłopiec wrócił i równie znudzony jak przedtem usiadł na swoim miejscu.

Mając jeszcze pół godziny do ostatniego dzwonka, usiadła za biurkiem, by przejrzeć prace pisemne. Allen, który należał do najstarszej grupy mającej napisać wypracowania, zamiast tego sporządził listę słów. Jego samowola jeszcze bardziej ją rozgniewała, lecz słowem nie napomknęła na temat rozmyślnego lekceważenia jej poleceń. Sam zestaw słów dowodził przekory tego chłopca:

nudni

głupi

wierzący

szkodliwi (siostra)

ciemni

niespokojni.

Ku zdumieniu Linnei na końcu Allen dodał dwa słowa zupełnie nie pasujące do reszty: „czekoladowe ciasteczka”.

Podniosła wzrok, spoglądając na Allena, który niedbale pochylony nad ławką, z brodą opartą na zwiniętej pięści, wpatrywał się w nią. Miał czytać, ale jego dłonie przykrywały otwartą książkę. Czekoladowe ciasteczka. Ciasteczka jego matki? Czy był w tym chłopcu jakiś przebłysk zrozumienia? A co ze słowem „niespokojni”? Sama zbyt zaniepokojona, by próbować to sobie wyobrazić, odłożyła jego listę i wzięła następną pracę. Czując na sobie świdrujący wzrok Allena i nie mogąc tego znieść, znów sięgnęła do zegarka.

Gdy otworzyła jego złotą kopertę, ponownie poczuła niemile przenikliwe spojrzenie. Tym razem oczy Allena utkwione były w jej piersiach, w miejscu gdzie materiał bluzki tworzył fałdę dla łańcuszka. Dreszcz przeszedł jej po plecach, na twarz wypłynął rumieniec, ale w tym momencie Allen odwrócił obojętny wzrok w stronę okna.

Nie bądź niemądra. Na miłość boską, przecież to tylko piętnastoletni chłopiec.

Przyglądała mu się skrycie jeszcze z minutę. Był chudy, lecz wyrośnięty i nieproporcjonalnie szeroki w ramionach — przypominał wysoki gmach, którego silne stropy i krokwie wspięły się już do góry, ale wciąż czekają na mury i ściany, żeby budowa została zakończona. Nie miał w sobie nic z rozwijającej się tężyzny Kristiana, choć z drugiej strony nie pracował tak ciężko jak synowie farmerów. Mimo to w jego kanciastej twarzy i sardonicznej górnej wardze, którą już ozdabiał lekki cień zarostu podobny do tego pod wklęsłością policzków, widać było nadchodzącą męską dojrzałość. Także brwi chłopca wydawały się gęstnieć, jakby pewnego dnia miały połączyć się nad

nosem. Zastanawiając się, jaki będzie Allen, gdy stanie się mężczyzną, zadrżała ponownie i szybko opuściła wzrok, kiedy chłopiec znów zaczął odwracać głowę w jej stronę.

— Dzieci, czas już zrobić porządek na ławkach. Proszę oddać książki i umyć pióra w wiadrze z wodą, które jest w szatni. Wyjdziemy grupami: Jeanette, Bent i Skipp, możecie iść pierwsi.

Kiedy wszystko zostało uporządkowane, życzyła dzieciom miłego popołudnia i poszła do szatni, by zadzwonić w szkolny dzwon. Stała z uniesionymi nad głową ramionami, gdy dzieci przebiegały obok niej — tylko Allen się nie spieszył. Szedł ku niej leniwie i tym razem nie było żadnej wątpliwości: otwarcie wpatrywał się w jej piersi. Wypuściła z rąk sznur dzwonu i stanęła naprzeciwko niego z taką pewnością siebie, na jaką zdołała się zdobyć.

— Do widzenia, Allen. Oby jutrzejszy dzień był lepszy dla ciebie i dla mnie.

Wydał z siebie krótkie, pozbawione wesołości parsknięcie i powłócząc nogami, przeszedł obok niej bez słowa.

Wszystko to nie poprawiło jej nastroju przed spotkaniem z Teodorem.

Teodora zaczynało niepokoić, że tak wiele myśli o pannie Brandonberg. W ogóle praca na roli sprzyjała rozmyślaniu. Ileż to godzin swego życia spędził na rozmyślaniu, idąc w polu za końmi? Bo i cóż innego miał do roboty, patrząc na ich lśniące od potu zady i wielkie kiwające się łby? Jako chłopiec, pracując dla ojca, drzemał za stąpającymi spokojnie końmi. Jako nastolatek miewał sny o ryciu ziemi żelaznym pługiem. Jako pozbawiony złudzeń mąż niepokoję przeżywał siejąc. I jako młody ojciec, porzucony z rocznym synem, w polu wyładowywał gniew.

Przez lata oglądał to samo: konie i pola po sam horyzont. Od tak dawna rozmawiał głównie z ziemią i zwierzętami, że stał się zamknięty i srogi,

zupełnie zapomniawszy, jak rozmawia się ludźmi. Przystawał oczywiście z Nissą i Johnem, był także Kristian, lecz i oni, tak samo skryci, zadowalali się głównie własnym towarzystwem.

Ta panna zaś była całkiem inna. Nieustannie mówiła. Z pewnością nie umiała zamykać buzi na kłódkę. Człowiek, który się z nią ożeni, powinien być przygotowany na nieustanną paplaninę. Jakim cudem aż tak go rozdrażniła? Zmusiła do gadania?! Do myślenia o takich głupstwach jak oset i zastanawiania się, co znaczą jakieś dziwaczne słowa?!

Uśmiechnął się na myśl, jaka musiała być zaskoczona, gdy nie zobaczyła dziś w szkole Kristiana. Taaa... Z pewnością zasypie go słowami. No cóż, niech gada. Kristian już się niecierpliwił, zerkając w stronę szkoły, ilekroć wjeżdżali na wzniesienie. Teodor nie był ślepy: nawet głupiec by spostrzegł, że chłopak zadurzył się w nauczycielce i bez namysłu pognałby do szkoły, aby ćwiczyć się w alfabecie. Szczeniak. Teodor uniósł w uśmiechu kącik ust, ale już po chwili go opuścił, wspomniawszy, że sam był niewiele starszy od Kristiana, gdy wybrał się w tamtą fatalną podróż do miasta i poznał Melinę. Melinda...

Ubrana w żółtą sukienkę, z czarnymi włosami związanymi w ciężki węzeł i oczami błyskającymi zachętą. Odkąd zobaczył ją w tamtym wagonie, nie mógł oderwać od niej wzroku.

Nerwowo zmienił kierunek, przekładając lejce do drugiej ręki. Co go, u licha, naszło, że ostatnio rozmyśla o Melindzie? Melinda należała do przeszłości i im mniej o niej myślał, tym lepiej. Przekonał się o tym już dawno.

Wyprostował się na metalowym siedzeniu i mrużąc oczy przed słońcem pojechał w stronę zachodniego nieba. Czas na dojenie. Zgiął się i masując sobie kark, pomyślał, jak dobrze byłoby zeskoczyć z zaprzęgu i rozprostować nogi. Z kieszeni na piersiach kombinezonu wyciągnął duży, stary srebrny zegarek, sprawdził, która jest godzina, i schował go z powrotem. Mama na

pewno czeka już z kanapkami i kawą. Dał znak pozostałym, zjechał na skraj pola i wyprzągnął konie z kosiarki. Kiedy zaś szedł na zasłużony odpoczynek, zastanawiał się, czy i ta pannica będzie już w domu.

Czekała, podparwszy się pod boki, by naskoczyć na niego, gdy z razem z Kristianem wszedł na dziedziniec, prowadząc konie. Spojrzał na Linneę spod wytartego słomkowego kapelusza, ale nie pokazał po sobie, że ją zauważył.

— Prrr, powoli! — krzyknął na konie, które na widok poidła wydłużyły krok. Celowo prowadził je tuż obok niej, nie zważając, że właściwie stoi mu na drodze.

— Panie Westgaard! — zaczepiła go, odwracając się za jego szerokimi ramionami, gdy bez słowa przeszedł obok.

Mijając ją, uczynił to wystarczająco blisko, by zobaczyć iskry sypiące się z błękitnych oczu.

— Słucham? — odparł z rozmyślnym spokojem.

Szła za nim pochylona do przodu, z zaciśniętymi pięściami.

— Chcę z panem pomówić!

— To niech pani mówi!

— Pańskiego syna nie było dziś w szkole! Teodor nonszalancko rzucił lejce i pochylił się, by poluzować uprząż.

— Oczywiście, że nie. Był ze mną w polu.

— A cóż on tam, na miłość boską, robił?!

— To, co w tej okolicy robi każdy krzepki chłopak. Pomagał przy żniwach.

— Na pańskie polecenie?

Teodor wyprostował się akurat w chwili, gdy ze swym zaprzęgiem podszedł ku nim Kristian, ale chłopak rozsądnie nie otworzył ust.

— My się tu nie polecamy żadnymi poleceniami. On wie, że jest potrzebny. To wszystko.

— My się tu nie polecamy żadnymi poleceniami! — powtórzyła szyderczo. — Niech pan posłucha samego siebie! Mówi pan przerażająco niegramatycznie i chce pan, żeby on też tak mówił? No cóż, będzie mówił dokładnie tak jak pan, jeśli nie pozwoli mu pan chodzić do szkoły! — oświadczyła, potrząsając mu palcem przed nosem.

Teodor zapłonął czerwienią, usta zacisnął w wąską kreskę.

— A jakie ma znaczenie, jak mówi, póki wie, jak prowadzić farmę? Właśnie to będzie robił przez całe życie.

— Doprawdy? A co on ma do powiedzenia na ten temat? — gniewne oczy Linnei spojrzały na Kristiana, potem znów na jego ojca. — Bo może coś ma do powiedzenia? — Nagle obróciła się i popatrzyła prosto na Kristiana. — Co powiesz, Kristian? Właśnie to zamierzasz robić przez całe życie?

Chłopiec był tak przerażony, że nie odpowiedział.

— No proszę! — mówiła dalej. — Tak pan nad nim zapanował, że nawet nie myśli za siebie!

— Panienko, może byłoby lepiej...

— Jeśli zwraca się pan do mnie jako do nauczycielki swojego syna, proszę do mnie mówić: „panno Brandonberg”!

Teodor spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

— Panno Brandonberg... — zaczął ponownie. Kiedy zamierzona pauza nabrała wystarczająco szyderczej wymowy, kontynuował: — Powinna pani zrozumieć parę rzeczy. Żyjemy tu zgodnie z porami roku, a nie według kalendarza wyznaczonego przez jakiegoś superkuratora. Musimy zebrać pszenicę, potem ją wymłócić i dopiero gdy znajdzie się w spichrzach, jest czas, by chłopcy mogli pójść do szkoły.— Uniósłszy rękę, wskazał horyzont. — Nie uprawiamy tu żadnych staropanieńskich ogródków. To co pani widzi, to pola mierzone nie w akrach, lecz w tysiącach hektarów. Gdzież więc, u licha, pani zdaniem, Kristian ma używać tego wymyślnego języka, skoro ta ziemia należy

do niego? Koniom jest obojętne, jak do nich mówi — rzekł, spoglądając przez ramię na konie, które nozdrzami dotykały wody. — Zależy im tylko na tym, aby były nakarmione, napojone i dobrze zaprzęgnięte, jeśli oczekujemy, żeby dla nas pracowały. Krowy, konie, świnie i pszenica! Oto co tutaj się liczy i byłoby dobrze, gdyby pani sobie o tym przypomniała, zanim zacznie wygłaszać kazania. Linnea wyprostowała się i gwałtownie uniosła rękę.

— To po co mnie tu zatrudniono? Jeśli tylko to ma znaczenie, pan może go uczyć! Sądziłam, że moim zadaniem jest uczynienie dzieci ludźmi piśmiennymi i przygotowanie ich do życia w świecie, który nie kończy się na Alamo w Północnej Dakocie.

Jeśli określenie „człowiek piśmienny” oznaczało to, co sam miał na myśli, to ta pannica znów zamknęła mu usta i dostał to, czego mógł się spodziewać po smarkuli szesnaście lat młodszej od niego!

— Alamo w stanie Północna Dakota jest światem Kristiana i zawsze nim będzie, on zaś będzie szczęśliwy, więc niech pani będzie zadowolona, jeśli dostanie go na sześć miesięcy w roku zamiast na dziewięć — oznajmił i odwrócił się.

— A zatem zamierza pan zabrać go ze szkoły również wiosną, tak? — krzyknęła za nim.

Teodor nie odpowiadając, ruszył do stodoły. Doprowadzona do wściekłości, pobięła za nim i chwyciła go za ramię.

— Niech pan się nie waży odwracać do mnie plecami! Pan jest... pan jest... zwykłym... — szukała odpowiedniego słowa i w końcu wyrzuciła je z siebie: — cynikiem!

Teodor nie miał pojęcia, co to znaczy, i rozzłościł się jeszcze bardziej.

— Bacz, kogo wyzywasz, pannico! — wyrwał łokieć.

— Niech pan odpowie! — krzyknęła. — Zamierza pan zabrać go ze szkoły również do pomocy przy siewie?

Szczęki Teodora zacisnęły się z uporem.

— Sześć miesięcy dla mnie, sześć dla pani. Chyba sprawiedliwie, co?—

Nie rozmawiamy o tym, co jest sprawiedliwe dla mnie i dla pana.

Rozmawiamy o tym, co jest sprawiedliwe i właściwe dla pańskiego syna. Chce pan, żeby dorósł, nie potrafiąc poprawnie czytać i pisać?

— Potrafi tyle, że da sobie radę.

— Da sobie radę! — Rozgoryczona ponad miarę, ścisnęła dłońmi skronie. — Boże, jak można być tak tępym!

W Teodorze narastał gniew, który oblał jego twarz jaskrawym szkarłatem.

— Jeśli ja nie jestem wystarczająco rozgarnięty, żeby pani dorównać, może pani znaleźć kogoś innego, kto da pani utrzymanie i dach nad głową. Zarząd szkół nie płaci mi wystarczająco dużo za wyżywienie i opalanie pokoju, w którym pani sypia.

Znów się odwrócił. Tym razem pozwoliła mu odejść. Gdy zniknął w oborze, uświadomiła sobie, że świadkiem starcia był Kristian stojący przy koniach z lejcami w dłoniach. Wydawał się bardzo zakłopotany.

Dopiero wtedy zrozumiała, co zrobiła.

— Kristianie, bardzo mi przykro. Nie chciałam, żebyś był przy tym, co tu się stało. Ja... ja... straciłam panowanie nad sobą. Nie powinnam wdawać się w kłótnię z twoim ojcem. Wybacz mi, proszę.

Kristian nie wiedział, co zrobić z oczami. Spojrzał na lejce, potem znów na Linneę, a w końcu na popręgi klaczy.

— To nic... — wymamrotał, przesuwając ręką po końskim grzbiecie.

— To nic... — bezwiednie powtórzyła Linnea. — Jakie tam nic! Nie miałam prawa zachować się w ten sposób ani nazywać twego ojca tępym — powiedziała i spoglądając w stronę obory znów zacisnęła pięści i ujęła się pod boki. — Nie rozumiem jednak, dlaczego docenia wagę wykształcenia, skoro

jest przekonany, że i bez niego wszystko robi bardzo dobrze.

— Ma rację. — Kristian napotkał jej wzrok. — Nie zmienię swojego miejsca. Prawdopodobnie spędzę tu całe życie. Zresztą ja kocham tę farmę — rzekł odchodząc.

Oszłomiona daremnością swoich poczynań patrzyła, jak idzie do obory, z której dobiegł głos Teodora.

— Nastąp się, malutka! — wołał do krowy, zabierając się za dojenie.

ROZDZIAŁ 7

Teodor próbował sobie przypomnieć, kiedy był taki zły. Dawno, może w dniu, gdy Melinda porzuciła jego i dziecko. Wtedy, tak jak teraz, poczuł, że nie spełnia wymagań, co tylko wzmogło jego złość. Teraz różne myśli kłębiły mu się w głowie, ale Teodor miał długie doświadczenie w skrywaniu gniewu i złości. Podczas kolacji ignorował pannę Brandonberg, nie mogąc na nią patrzeć bez dławiącego poczucia niższości. Przy stole znów, dzięki Bogu, panowała cisza. Tak powinno być! Miał dość jej władczej gadaniny i nie miał ochoty wymieniać kolejnych grzeczności z uszczypliwą podfruwajką, która nie miała pojęcia o szacunku dla starszych.

Gdy przebiegająca w napięciu kolacja się skończyła, Teodor postanowił poszukać ukojenia w miejscu, które kochał najbardziej. Odszedł od stołu i nikomu nie mówiąc ani słowa, zdjął z wieszaka za drzwiami swój kapelusz. Wieczór tętnił graniem świerszczy, ledwie je wszakże słyszał. Księżyc był bliski pełni, ale on tego nie widział. Z pochyloną głową, krokiem niemal mechanicznym szedł przez pulsującą życiem noc.

Do jego świadomości dotarło dopiero skrzypnięcie wrót stajni, gdy je otworzył. Przeszedł do siodlarni i unosząc lampę, spojrzął na pobielone ściany.

Wiszące na nich końskie uprząże tworzyły girlandy ciężkiej skóry utrzymane w takim porządku, jaki panuje w bieliźniarce dobrej gospodyni. Tutaj było jego królestwo. Tutaj miał władzę całkowitą. Tutaj nikt się z niego nie śmiał i nie wytykał mu braków. Światło ozłociło twarz Teodora, gdy wieszał lampę na wbitym wysoko haku, potem cień kapelusza osłonił jego chmurne oczy. Pozwolił trawiącej go w środku złości potoczyć się swoją drogą, na zewnątrz zaś spokojny, bezwiednie ruszył ku temu, co było mu najbliższe. Znalazł bańkę z olejem i ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi, wrócił, żeby naoliwić zawiasy wrót.

W głowie huczały mu słowa, których znaczenia mógł się tylko domyślać. „Cynik”. „Piśmienny”. „Sarkastycznie”. Rozmyślając nad nimi, poczuł się ciemny, nieudolny i bezsilny. Ileż to razy żałował, że nie potrafi czytać po angielsku... Dorastał, słuchając ludzi mówiących po norwesku. Gdy był chłopcem, matka nauczyła go czytać w ojczystym języku. Zresztą w tamtych czasach żaden inny język nie był tu potrzebny. Wszystko się jednak zmieniło. Zmieniły się przepisy. Dzieci wprawnie posługiwały się raczej językiem nowego kraju niż starego i tylko ludzie pamiętający dawne czasy używali ojczystego.

„Jak można być tak tępy?” Na wspomnienie tych słów nauczycielki krew znów nabiegła mu do twarzy. Mocno trzasnął wrotami stajni, wrócił do siodlarni, odstawił bańkę z olejem, po czym zdjął ze ściany końskie chomąto i przewiesiwszy je przez oparcie krzesła, sięgnął po grubą igłę. Kiedy nawlekał ją na czarny rzemyk, ręce mu drżały. Ogarnęło go silniejsze niż kiedykolwiek gorzkie poczucie nieudolności. Odłożył igłę i rzemyk, zamknął oczy, zwiesił głowę i przycisnął ręce do skrzyni z narzędziami. Tępy. Tępy. Tępy. To prawda. Nauczycielka była właściwie jeszcze dzieckiem, a już wiedziała więcej, niż on dowiedział się w całym swoim życiu. Ale jak śmiała rzucić mu to w twarz!

Wciąż drżącymi dłońmi jakoś zdołał nawlec igłę. Dopiero wtedy opadł w wytarty fotel, zdjął chomąto i ustawił je na podłodze między stopami. Przez pęknięty szew widać było w środku jasne drewno. Przez dłuższy czas patrzył na nie niewidzącym wzrokiem, zanim wreszcie zaczął cierpliwie szyć.

Może ma słuszość, że źle się wysławia, ale wszyscy tak mówią, nawet Kristian, a on chodzi już do siódmej klasy!

— Nie będzie robić ze mnie głupca — powiedział na głos. — Porozmawiam z nią! Dam jej jeszcze jedną szansę... Ręce już mu się uspokoiły. Wpatrywał się w chomąto, nie widząc go. Światło padało na słomiany kapelusz oraz pochylone ramiona Teodora, których cień kładł mu się na ręce i buty. Na zewnątrz wciąż grały świerszcze, ale w środku było cicho.

— Dam jej jeszcze jedną szansę...

Znów dumął nad tym przez chwilę, po czym uniósł chomąto, przewiesił je sobie przez kolana i zszywał dalej.

— Taka smarkula...

Widział wyraźnie jej twarz, łuki brwi oraz błękitne oczy, żarliwe i błyszczące, gdy podeszła do niego z gniewnym zapałem i sprawiła, że „Alamo w Północnej Dakocie” zabrzmiało jak... „Pipidówka”. Jest za dobra na Alamo, tak? Tak jak Melinda, choć trzeba przyznać, że ona z tego nigdy nie szczyła. Tylko jakie to teraz ma znaczenie? Odeszła.

Teodora złościło, że przyjazd nauczycielki obudził w nim piekące wspomnienie Melindy, które z takim powodzeniem tłumił od lat. Powinien był postąpić zgodnie z pierwszym odruchem i w porę pozbyć się Linnei Brandonberg. Uciał rzemyk, powiesił chomąto i odłożył igłę na miejsce. Jakie to ma zresztą znaczenie? Ona zostanie tu najwyżej rok, tak jak inni. Z pewnością nie wróci po wakacjach.

Przez rok może ją ignorować, prawda?

Chodząc w kółko po siodlarni, aż ogarnęło go zmęczenie, doszedł do

wniosku, że nie zniesie jej nawet przez rok, gdyż zamieszkała pod jego dachem. Wyszedłszy na podwórze, spojrzął ku jej małemu okienku. Dom był już ciemny, tylko w kuchni paliło się światło. Zatrzymał się, nagle pozbawiony odwagi na myśl, że Linnea zbiegnie na dół. Nie pozwolisz chyba, by ta smarkula kazała ci się zastanawiać nad wejściem do własnego domu, co Teddy? Ostrożnie minął młyn, idąc ku złocistemu prostokątowi, który rzucał na podwórze skośną wstęgę koloru. Z westchnieniem ulgi stwierdził, że wszyscy poszli już spać. Z pewnością mama zostawiła dla niego zapaloną lampę na kuchennym stole.

Zabrał ją do swego pokoju, gdzie na chwilę przystanął w wejściu. Pokój był skromny, umeblowanie zaś proste, leciwe już, ale dobrze zachowane. Stała w nim komoda z lustrem i szufladami, która pasowała do ciężkiego wezgłowia łóżka. Obydwa meble miały kolor amerykańskiego orzecha. Łóżko okrywała jedna z wyrabianych przez Nissę mozaikowych narzut w kolorze niebiesko-czerwonym. Podłogę z szerokich sosnowych desek ożywiały tkaniny na ręcznym warsztacie kawowy kilim, w oknie zaś wisiały marszczone koronkowe firanki barwy kawy z mlekiem.

Teodor podszedł do komody, której wierzch osłaniała biała haftowana serwetka z niebieską szydełkową lamówką. Długo się w nią wpatrywał, zanim postawił lampę. Wspomnił smukłe dłonie pewnej kobiety, która trzymając tamborek i igłę nieprzerwanie wkuwała kolejne sztychy, jakby próbowała zaszyć swoją samotność. Przesunął palcami wzdłuż barwnej lamówki, aż zgrubiała skóra zahaczyła o szew i przekrzywiła serwetkę. Wyrównał ją ze smutkiem, po czym wolno otworzył szufladę, by poszukać pod bielizną fotografii, na którą nie patrzył od lat. Osłonięta szkłem i oprawiona w drewnianą owalną ramkę wyglądała aż śmiesznie kobieco na tle jego szerokich, stwardniałych dłoni. Piękna kobieta uśmiechała się do niego w mdłych barwach sepii — taka właśnie mdła stała się owa kobieta w ciągu

owych dwóch lat, kiedy była jego żoną.

Obwód bólu zacisnęła się na piersi Teodora. Melindo, Melindo, myślałem, że już o tobie zapomniałem...

Postawił fotografię na motylach i kwiatach, które wyhaftowała, i patrząc na nią, zsunął szelki kombinezonu i spokojnie się rozebrał. Odsunął lekką narzutę, odwinął szorstkie prześcieradło, ułożył wysoko wypchane gęsim pierzem poduszki i wyciągnął się z rękami pod głowę. Nawet w ciemności widział jej twarz uśmiechającą się z tym pociągającym urokiem, jakiego żadna inna kobieta nie miała dla niego ani przedtem, ani potem. Zamknął oczy i zdławił łzy, zmuszając się do bezruchu i nakazując rękom, by pozostały za głową, a nie wędrowały po pustej połowie łóżka. Samotność zwykle przyjmował ze stoicyzmem właściwym ludziom jego pokroju, tej nocy wszakże zakradła się podstępnie, przyprawiając go o ból serca, nad którym nie potrafił zapanować. Miał zaledwie trzydzieści cztery lata. Przeżył już trzy czwarte życia... A może tylko połowę? I ma przez następne trzydzieści cztery lata sypiać sam w tym wielkim łożu? Wracać z pola pod koniec dnia i dzielić stół tylko z matką, synem i bratem? A co będzie, kiedy matki zabraknie, Kristian zaś się ożeni? Zostanie tylko John, którego wprowadzie kocha, lecz brat nie wypełni pustki pozostawionej przez Melinę. Bardzo rzadko pragnął, by zastąpiła ją jakaś kobieta. Rozsądek mówił mu, że nawet gdyby tego chciał, nie znajdzie żadnej w całej okolicy, gdzie jedna połowa kobiet była z nim spokrewniona, drugą zaś stanowiły kobiety zameżne albo tak leciwe, że mogłyby być jego matkami.

Nie rozumiał, co go skłoniło do myśli o kobietach. Nie rozumiał, dlaczego ten smutek spadł na niego teraz, w samym środku żniw, które zwykle napełniały go uczuciem spełnienia i ukontentowania. Nie rozumiał tak wielu rzeczy, a jeśli coś sprawiało, iż Teddy Westgaard czuł się głupi i nieobyty, to właśnie niezrozumienie. Żałował, że nie ma nikogo, z kim mógłby

porozmawiać o tym, o Melindzie, o bólu, jaki zadała mu przed laty, i o tym, jak silny jest ten ból jeszcze teraz, gdy sądził, że już nad nim zapanował. Kto mógłby go wysłuchać?. .. A w ogóle czy godzi się tak wylewać swoje uczucia?

Tego nie robił nikt z jego znajomych.

Nikt.

Przygotowując się do snu w swoim pokoju na górze, Linnea wsłuchiwała się w dobiegające z dołu odgłosy powrotu Teodora. Przypomniła sobie jego lodowate zachowanie przy kolacji i osamotnienie, jakie czuła, siedząc w pokoiku na poddaszu. Chciało jej się płakać, chociaż nie wiedziała dokładnie dlaczego. Wszak to Teodor był w błędzie, ona zaś miała słuszność, a to, że pokłóciła się z tym upartym osłem, wcale nie oznaczało, iż ma natychmiast iść spać.

Opadła na łóżko, kryjąc twarz w poduszce, aby powstrzymać pieczenie oczu. Wszystko wydawało się beznadziejne.

Przypomniła sobie rozmowę, jaką odbyła z Nissą tuż po swojej utarczce z Teodorem. Była przekonana, że Nissa zrozumie jej punkt widzenia, lecz starsza pani okazała jej niewielkie wsparcie.

— Nie powiedzieliśmy ci, że chłopcy nie przyjdą do szkoły, bo wiedzieliśmy, że się zdenerwujesz — powiedziała Nissa. — Zresztą i tak nie zmienisz Teddy'ego. Taką samą walkę toczył z każdym nauczycielem, który tutaj przyjeżdżał. Prawdę mówiąc, właśnie dlatego większość z nich nie wracała na drugi rok. Chłopcy nie będą chodzili do szkoły, dopóki nie skończy się młócka.

— A kiedy się skończy?

— Och, mniej więcej w połowie października. Pójdzie szybciej, kiedy przybędą płatni robotnicy.— Płatni robotnicy? — zdumiała się Linnea. Skąd wezmą robotników, skoro już wykorzystują wszystkich mężczyzn i chłopców z okolicy? I skoro Teodor może sobie pozwolić na zatrudnienie robotników,

czemu dla dobra Kristiana nie uczyni tego teraz?

— Kiedy kończą się żniwa w Minnesocie, chłopcy stamtąd przyjeżdżają tutaj i zatrudniają się w naszych stronach. Co roku najmujemy kilku.

Linnea była zatem osamotniona w walce o to, by starsi chłopcy uczęszczali do szkoły przez dziewięć miesięcy. Kristian miał już szesnaście lat, a był dopiero w ósmej klasie. Czyż oni nie rozumieją dlaczego? Przecież chłopak nie może opanować całego materiału w ciągu sześciu miesięcy!

Teraz łzy popłynęły szybko. Przypisała je zarówno swemu rozgoryczeniu, zawiedzionym nadziejom i trudom dnia, który miała za sobą, jak i skróconej liście uczniów oraz konfrontacjom z Allenem Severtem i Teodorem. Kiedy jednak łkanie przeszło w szloch, nie było to popłakiwanie z powodu listy obecności czy zachowania Allena Severta. Wywołała je myśl o Teodorze Westgaardzie wchodzącym do kuchni, siadającym przy stole, jedzącym kolację, a potem wychodzącym z domu bez jednego na nią spojrzenia, jakby w ogóle nie istniała...

W ciągu kilku następnych dni, ilekroć ich ścieżki się przecięły, traktował ją tak samo. Odzywał się do niej tylko wtedy, kiedy go zmusiła, kłaniając się pierwsza. Jednakże nigdy nie podnosił oczu. Jeśli zaś była w tym samym pomieszczeniu, wychodził najszybciej jak mógł. W niedzielę już nie stali obok siebie w kościele, ona zaś zdawała sobie sprawę, jak bardzo Teodor dba o to, by swoim rękawem nie otrzeć się o jej rękaw. Wrogość Teodora ścisnęła jej serce. Ilekroć chłodno podawał jej ramię, chciała przycisnąć jego rękę i prosić, aby zrozumiał, że jako nauczycielka nie mogła zająć innego stanowiska. Chciała odsłonić swoją duszę i wyznać, jaka jest nieszczęśliwa z powodu jego lodowatej niechęci. Pragnęła, aby znów był przyjazny i aby zniknęło napięcie panujące w domu.

Nic takiego dotychczas jej się nie zdarzyło. Nigdy nie zrobiła sobie wroga z przyjaciela... jeśli Teodor w ogóle kiedykolwiek był jej przyjacielem.

Teraz jednak jego otwarta niechęć była bardzo daleka od neutralności, jaką zdołali osiągnąć, zanim się z nim posprzeczała. Zamierało w niej serce, gdy siedząc obok Teodora, czuła jego lekceważenie.

Wielebny Severt zaintonował psalm 203, zagrały organy, muzyka wypełniła kościół i wierni wstali z ławek. Zgoła opatrnościowe wydawało się to, że na każde dwie osoby zajmujące miejsca w ławkach przypadał jeden psalterz. Linnea sięgnęła po niego i lekko trąciła Teodora w ramię.

Zesztywniał. Linnea, zerkając spod swego kapelusza z ptasimi skrzydłami, posłała mu niepewny uśmiech. Zrozumiał, że oferuje mu coś więcej niż wspólne korzystanie z kościelnego śpiewnika. Zrozumiał też, że jest teraz w Domu Bożym, który w żadnym wypadku nie jest miejscem, gdzie można cokolwiek udawać. Kiedy wyciągnął rękę, by ująć brzeg psalterza, świadomie nie wprowadził jej w błędne przekonanie, że potrafi czytać.

Chociaż w kościele jego antypatia wydawała się mniejsza, podczas niedzielnego obiadu nie odezwał się do niej ani słowem. Zjadł go powoli, później poszedł przebrać się w roboczy kombinezon. Kiedy potem szedł przez kuchnię do wyjścia, na moment spotkał jej wzrok. Splotła palce i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć.

Czekał, czując dziwną lekkość, jakąś nadzieję, która wyrywała się spod serca. Błękitne oczy Linnei patrzyły nieśmiało, rumieńce wypełzły jej na policzki. Ta chwila trwała i trwała, w końcu jednak Linnea spuściła oczy, pohamowała łzy i zamknęła usta. Teodor, rozczarowany, przeszedł przez kuchnię bez słowa.

Popołudnie Linnea spędziła w swoim pokoju, poprawiając wypracowania uczniów i planując lekcje na najbliższy tydzień. Nissa odpoczywała u siebie. W domu zaległa cisza, w pokojach na piętrze zrobiło się duszno. Na zewnątrz słońce zniknęło, niebo zaś przybrało barwę szarozieloną. Gdzieś na północy rozległ się grzmot.

Po niespełna godzinie znękana Linnea stwierdziła, że nie może się skupić na pracy. Spojrzawszy w okno, zauważyła zmianę pogody. Jej myśli po raz setny powędrowały do sprzeczki z Teodorem, z której zrodził się ów antagonizm, jakiemu żadne z nich najwyraźniej nie potrafiło położyć kresu. Nie mając nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać, postanowiła zwrócić się do Lawrence'a.

— Pamiętasz Teodora? Cóż, obawiam się, że on i ja wciąż trwamy w niezgodzie. Mieliśmy okropną sprzeczkę i teraz Teodor ani się do mnie nie odzywa, ani na mnie nie patrzy!...

Ubrana tylko w koszulkę i halkę, Linnea patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Przycisnąwszy dłonie do piersi, czubkami palców musnęła żyły pulsujące na szyi. Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiej konsternacji. — Co ja mam robić, Lawrence? — Przerwała, po czym zatrzepotała dłońmi. — No dobrze, możemy oboje zawinili. On jest uparty, a ja... no cóż, byłam dla niego okropnie nieprzyjemna. — Wygięła się w tył, obronnie unosząc ku górze brodę. — Ale zasłużył sobie na to. Jest uparty jak osioł — stwierdziła, cofając się ostrożnie, by tym razem nie potknąć się o komodę. — Uważa, że cała reszta świata jest w błędzie, skoro pragnie wyższego wykształcenia niż on, i przez cały czas... — urwała i znów obróciła się do lustra. — No dobrze, tak, ja... ja... — machnęła dłońmi, poruszona niechęcią Lawrence'a do właściwej oceny, kto zawinił. — Nazwałam go tępym! No i co? — Ruszyła ku stercie wypracowań, które poprawiała, i bezmyślnie ujęła róg jednej z kartek, po czym odwróciła się z szeroko otwartymi oczami.

— Mam go przeprosić?! Chyba nie mówisz poważnie! To on powinien przeprosić mnie!

Z pierwszym pomrukiem burzy Teodor skierował się w stronę skraju pola. Na metalowym siedzisku wozu, w środku pszenicznego ładu, był żywym piorunochronem. Gdy jasna smuga znów rozświetliła szary horyzont, policzył

sekundy mijające do chwili, kiedy grzmot dotarł do jego uszu, i dał znak innym.

Spojrzał na zegarek. Czwarta. Po raz pierwszy od dobrych trzech tygodni kończą tak wcześnie. Przerwa dobrze im zrobi, choć jeśli spadnie deszcz, opóźni wyschnięcie zebranej już pszenicy.

Teodor zostawił Kristiana, by napoił konie, sam zaś wszedł do pustej kuchni i ruszył w stronę pieca, by sprawdzić, czy jest ciepła woda. Z czajnikiem w ręce bacznie nastawił uszu. Kto, u diabła, mógłby odwiedzić ją w pokoju? Nasłuchiwał innego głosu, ale go nie usłyszał. Po pauzach znów rozlegały się stłumione tony głosu dziewczyny. Z sypialni na dole dobiegało ciche pochrapywanie Nissy. Ze zdumieniem wpatrując się w sufit, Teodor na palcach ruszył ku schodom, zupełnie zapomniawszy o trzymanym w dłoni czajniku.

— Doprawdy nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Lawrence. Jesteś... jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam. A teraz bądź tak dobry i podaj mi bluzkę. Zrobiło mi się zimno.

Teodor czekał, lecz i po tych słowach nie dobiegł go niczyj głos. Usłyszał kroki i podążył za nimi wzrokiem po suficie. Lawrence?... Kim, do diabła, jest Lawrence? I co robi w jej pokoju? Jeszcze raz zadarł głowę, czekając na odpowiedź męskiego głosu. Na próżno. Co oni mogą robić tak cicho? Nalał wody do miski i myjąc się równie spokojnie jak zawsze, wciąż zaciekawiony nasłuchiwał. Niebawem jednak Kristian wrócił ze stajni i trzasnąwszy drzwiami, obudził Nissę, która przydreptała i zaczęła narzekać na złą pogodę.

Teodor odwrócił się do niej, wycierając twarz.

— Kto z nią tam jest? — zapytał.

— Na górze? Nikt.

— Więc z kim rozmawia? Nissa bacznie nastawiła uszu.

— Z nikim nie rozmawia.

— Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy.

Trzaśnięcie drzwi i rozmowa dobiegająca z dołu kazały Linnei wrócić do rzeczywistości. Nagle uświadomiła sobie, jak ciemno zrobiło się za oknem. Wsparta o framugę wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła błyskawicę. Zatem mężczyźni zeszli z pół wcześniej i nie wrócą na nie po udoju. Usiadła na krawędzi łóżka i splotła palce, przyglądając się im uważnie.

— Obyś miał rację, Lawrence — powiedziała, wstając.

Nie musiała pytać, gdzie jest Teodor; wiedziała. Błyskawice wydawały się coraz bliższe i kiedy biegła do stajni, uderzyły ją pierwsze strugi deszczu. Zewnętrzne wrota otworzyły się bezgłośnie. Zamknawszy je za sobą, przystanęła, by oczy przywykły do mroku. Długi szereg okien Z lewej strony wpuszczał niewiele światła, lecz wystarczyło go, aby zobaczyć, że cała stajnia utrzymana jest równie starannie jak prywatne królestwo Teodora na samym jej końcu. Wiodące do niego drzwi były otwarte. Struga płynącego z nich pomarańczowego światła sięgała rąbka jej spódnicy. Widziała tylko połowę pleców Teodora. Po powrocie z kościoła przebrał się w kombinezon, ale wciąż miał na sobie białą koszulę. Opinała mu ramiona przecięte szelkami, gdy siedząc w fotelu pochylił się do przodu z łokciami opartymi na szeroko rozstawionych kolanach. Trzymał coś w dłoniach i wydawało się, że to poleruje, rytmicznie się kołysząc. Pochylił się, opuszczając rękę do bańki ustawionej pod nogami, Linnea zaś na palcach posunęła się o krok, by widzieć całą jego sylwetkę. Obserwowała grę mięśni ramienia pod podwiniętym rękawem, kiedy wrócił do pracy. Pas czarnej skóry kołysał mu się między palcami i gdy Teodor pracował, jego metalowe okucie dźwięcznie pobrzękiwało. Siodlarnia była przytulna i ciepła, pachniała mydłem do skór, olejem i końmi.

Teodor czuł się tutaj jak w domu. Wszystko było na swoim miejscu, w

takim samym porządku jak wtedy, gdy pierwszy raz oglądała siodlarnię. Jednakże tu również wydawał się samotny. Jego ręce przestały się poruszać, ale siedział w tej samej pozycji zapatrzony w gałgan trzymany w dłoni. Ze wstrzymanym oddechem trwała w bezruchu. Słyszała, jak oddycha, i zastanawiała się, o czym myśli, siedząc w samotności z nisko zwieszoną głową.

— Panie Teodorze?...

Zerwał się z miejsca, aż fotel zakołysał się na dwóch nogach, i wyprostował, przewracając przy tym bańkę, a zanim wszystko poustawiał, zarumienił się.

— Przeszkadzam?

Rozmyślał o niej. Owszem, stojąc za nim bezgłośnie, przeszkadzała. Założywszy ręce za plecy, uwydatniła biust i chociaż nie odrywał wzroku od jej oczu, widział złoty zegarek na piersi.

— Nie.

— Nie chciałam pana przestraszyć.

— Nie wiedziałem, że pani tu jest.

Znów zapadło napięte milczenie, jak przedtem, kiedy spotkali się i minęli w kuchni.

— Mogę wejść? — zapytała.

— No cóż... — nerwowo machnął trzymaną w ręku szmatą. — Tak, jasne... Ale mało tu miejsca.

— Wystarczy dla jeszcze jednej osoby? — zapytała, a kiedy nie odpowiedział, swobodnie weszła ze zwykłą miną i rękami założonymi za plecy. Rozejrzała się po ścianach obwieszonych skórą. — A więc tu spędza pan wolny czas...

— Jaki tam czas... — Starał się właściwie wyrazić swą myśl, lecz z jakiegoś powodu przy niej czuł w głowie straszny zamęt. — Na farmie czegoś

takiego nie ma.

— Co więc pan robił?

— Polerowałem ćwieki.

— Ach, tak... A dlaczego?

Patrzył na jej profil, gdy z podniesioną głową uważnie oglądała rzeczy zawieszane wysoko. Co za pytanie. I ona uważa, że to on jest tępy?

— Bo jak się tego nie robi, zniszczy je koński pot, a jak nie pot, to opary... — skinął głową w stronę stajni — stamtąd.

— Naprawdę? — obróciła się w jego stronę z szeroko otwartymi oczami.
— Nie wiedziałam. To interesujące.

Teodor nigdy nie uważał tego za interesujące — po prostu za prawdziwe.

— Przypuszczam — ciągnęła — że wie pan absolutnie wszystko o prowadzeniu farmy.

Weszła jeszcze dalej, a on patrzył urzeczony, nie mogąc pojąć, dlaczego tu przyszła. Spokojnie ruszyła w stronę kozła do rżnięcia drewna, wyciągnęła rękę, jakby chciała przesunąć nią po owczej skórze, lecz nagle zmieniła zdanie.

— Och! Byłabym zapomniała — obróciła się, wyciągając zza pleców drugą rękę z pułapką na myszy. — Mam w szkole niepożądanego gościa. Kristian dał mi tę łapkę, ale obawiam się, że nie uda mi się jej ustawić. Czy mógłby mi pan pokazać, jak to zrobić?

Spojrzał na łapkę, potem na Linneę, która przez ułamek sekundy sądziła, że Teodor się roześmieje. Nie roześmiał się, tylko po raz trzeci w ciągu trzech minut pomyślał, że jak na wykształconą kobietę ona też ma swoje słabe punkty.

— Nie wie pani, jak zastawić łapkę na myszy? Wzruszyła ramionami.

— W sklepie zawsze zastawiał je mój ojciec. Nissa dała mi kiedyś kawałek sera, ale to straszne urządzenie wciąż odskakiwało i bałam się, że złamię sobie palec.

— W sklepie? W jakim sklepie?

— Mój ojciec ma w Fargo sklep. Myszy lubią wygryzać dziury w workach z mąką. Teodor zmrużył lekko oczy.

— Myślałem, że pani ojciec jest prawnikiem. Przyłapana na kłamstwie, patrzyła na niego oniemiała.

Opuściła oczy, a kiedy w końcu przemówiła, w jej głosie słycać było skruchę:

— Skłamałam. Pan... pan tak mnie wtedy przeraził, że musiałam coś wymyślić, bo... — spojrzała na niego błagalnie, po czym znów spuściła wzrok — bo się bałam, że nie zabierze mnie pan ze sobą, i nie wiedziałam, co powiedzieć, żeby zmienił pan zdanie.

A więc ta panienka wcale nie jest taka kryształowa! Policzki poczerwieniały jej jak piwonie, wzroku nie odrywała od łapki, jakby się bała go podnieść. Starannie wypolerowanymi i obciętymi paznokciami usiłowała zdrapać atramentowy szlaczek wokół krawędzi drewnianej podstawki śmiercionośnego dla myszy urządzenia.

Teodor wyciągnął szeroką dłoń.

— Proszę mi to dać. Uczenie pani to dla mnie coś nowego. Gdy podniosła głowę, ich oczy się spotkały. Z ulgą znalazła

w oczach Teodora błysk rozbawienia. Położyła łapkę na jego dłoni, on zaś drugą ręką zdjął lampę z haka i odwróciwszy się, postawił ją na warsztacie. Linnea wszakże teraz, kiedy zaszła tak daleko, nie miała ochoty stawać zbyt blisko niego. Spojrzał na nią przez ramię.

— Podejdzie pani bliżej?

— No... tak.

Stali obok siebie i Linnea patrząc, jak Teodor nastawia łapkę, pomyślała, że nigdy nie widziała tak ogromnych dłoni. Uciął niewielki kawałek skóry, by wykorzystać go w miejsce sera.

— Najpierw umieszcza się przynętę. Tutaj...

— Tak, oczywiście, tutaj. Nie jestem taka głupia.

On spojrział w dół, ona zaś ku górze. Oboje mieli ochotę się uśmiechnąć. Zauważyła, że zdjął celuloidowy kołnierzyk od niedzielnej koszuli, teraz rozpiętej pod szyją, i że jak na mężczyznę ma wyjątkowo długie rzęsy. On zaś zauważył, że głębie jej niebieskich oczu kryją drobne cętki miedzi, niemal tak lśniące jak blask światła lampy odbijającego się od złotego zegarka na jej piersi. Oboje zmusili się do skupienia na lekcji zastawiania łąпки.— Trzeba ustawić ją płasko i odciągnąć ten kabłączek.

— Odciągnąć kabłączek... — powtórzyła i znów podniosła wzrok. — To się nazywa kabłączek?

— Taaa...

— Dlaczego?

Popęłnił błąd, spoglądając jej w oczy, ponieważ w tym momencie pułapka się zatrzasnęła i spadła na podłogę.

Linnea zaczęła chichotać, a Teodor poczuł, że płonie mu twarz.

— Ja potrafię to zrobić — powiedziała. Schyliła się, podniosła pułapkę i podała mu z wyrazem drwiącej wyrozumiałości.

Poruszony wziął ją i zaczął od nowa: znalazł kawałek skóry, umieścił w miejscu przynęty i odciągnął kabłączek.

— Teraz trzeba wsunąć zapadkę zatrzasku pod tę wypustkę... — ostrożnie cofnął dłonie. — Właśnie tak — rzekł z ulgą, widząc, że tym razem zrobił wszystko jak należy. Sięgnął po śrubokręt ze skrzynki z narzędziami i zwolnił nim zapadkę. — Teraz niech pani spróbuje — powiedział, chowając śrubokręt do skrzynki i przesuważąc łąpkę w jej stronę.

— Dobrze.

Patrzył na dłonie Linnei, myśląc, że gdyby łąпка przypadkowo odskoczyła, mogłaby zranić i prawdopodobnie złamać jej palec. Linnea jednak

poradziła sobie doskonale i niebawem pułapka z przynętą leżała na warsztacie między czterema dłońmi.

Burza przybrała na sile. W małym czworoboku okna ich twarze odbijały się na tle granatowo-czarnego nieba, gdy nagle siodlarnia pogrążyła się w ciszy. Zapach skóry, koni i starego drewna niósł poczucie bezpieczeństwa.

— Panie Teodorze... — powiedziała tak cicho, iż mogło to być echo jej głosu. Deszcz dzwonił o szyby, ale w siodlarni było jasno i sucho. Choć nie tak sucho jak w gardle Teodora, które zaschło mu nagle, gdy oboje wpatrywali się w swoje dłonie. — W istocie nie przyszłam tutaj, żeby się uczyć umieszczania przynęty w łapce na myszy. Sama doszłam do tego przy drugiej próbie. To był pretekst...

Obrócił się, żeby na nią spojrzeć, ale zobaczył tylko przedziałek we włosach, pochyliła bowiem głowę.

— Przyszłam, żeby pana przeprosić. Wciąż nie potrafił wykrztusić słowa. — Myślę, że zraniłam pana dotkliwie tego dnia, gdy wyśmiewałam się z pańskiego sposobu wysławiania się i nazwałam pana tępym — mówiła dalej. — Bardzo mi przykro z tego powodu, panie Teodorze.

Zobaczył, że podnosi brodę, i odwrócił wzrok, by ich oczy się nie spotkały.

— Ach, to nie ma znaczenia — zapewnił.

— Doprawdy? Czemu więc nie rozmawia pan ze mną ani nawet nie patrzy na mnie od tamtej chwili?

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, więc wpatrywał się tylko w kawałek skóry umieszczonej w łapce. Silny grom wprowadził mocną stajnię w drżenie, lecz ani Teodor, ani Linnea nie poruszyli się.

— Bardzo mi trudno siedzieć z panem przy jednym stole i mijać go w kuchni, gdy próbuje mnie pan nie dostrzegać. Moja rodzina jest całkiem inna niż pańska. Rozmawiamy ze sobą, śmiejemy się i dzielimy różnymi sprawami.

Bardzo mi tego tutaj brakuje. Przez cały tydzień, odkąd zrobił się pan taki sztywny i odwracał się ode mnie, chciało mi się płakać, bo nigdy przedtem nie miałam wroga. Dziś w kościele... myślałam... cóż, miałam nadzieję, że może będzie pan nieco serdeczniejszy, ale jak się nad tym wszystkim zastanowiłam, zrozumiałam, że prawdopodobnie jest pan głęboko zraniony i jeśli chcę znów mieć w panu przyjaciela, muszę pana przeprosić. Czy... czy zechciałby pan spojrzeć na mnie? Proszę... — Ich oczy się spotkały. W jego wzroku było zakłopotanie, w jej zaś skrucha. — Bardzo przepraszam

— ciągnęła. — Nie jest pan tępy i nie powinnam była tego mówić. Powinnam też być bardziej wyrozumiała w sprawie pańskiego sposobu wysławiania się, ale... jestem nauczycielką.

— Bez uprzedzenia położyła mu rękę na dłoni, a wyraz jej twarzy złagodniał.

Coś chwyciło Teodora za serce; coś co przypominało ów lekki dotyk, który teraz palił jego skórę. Bezskutecznie próbował oderwać od niej wzrok.

— Czy wie pan, co to znaczy? — tłumaczyła się dalej. Oczy jej błyszczały, a on zastanawiał się gorączkowo, co zrobi, jeśli Linnea zacznie płakać. — To znaczy, że jestem nauczycielką nie tylko w szkolnej klasie. Nie mogę podzielić się na dwie różne osoby: tę, która uczy w szkole znajdującej się o milę od domu, i tę, która o tym zapomina, gdy do niego wraca.

Gestykulowała szeroko, więc na szczęście uwolniła go od swego dotknięcia i groźby łez.

— Och, wiem, że czasami jestem zapalczywa, ale to dzieje się samo z siebie. Słyszę, że ludzie mówią niegramatycznie, i odruchowo ich poprawiam. Zrobiłam to bez zastanowienia i zauważyłam, w jakie zakłopotanie pana wprowadziłam, lecz...

Chciał sięgnąć po gałganek i udawać, że jest bardzo zajęty polerowaniem, chwyciła go jednak za rękaw i zmusiła, by pozostał na miejscu.

— ...lecz zrobię to znowu... Ilekroć będzie trzeba... dopóki będę tu z wami. Rozumie pan?

Wpatrywał się w nią bez słowa.

— Jaką zatem krzywdę może to wyrządzić, skoro wie pan, że nie zamierzam sprawić panu przykrości? Nie ma przepisu, który mówi, że nauczycielką mogę być tylko wobec dzieci, prawda? — zapytała, a gdy nie usłyszała odpowiedzi, niecierpliwie pociągnęła go za rękaw. — Prawda?

Była dla niego zagadką. Nie był przyzwyczajony do takiej bezpośredniości i za długo czekał, starając się zdecydować, co ma powiedzieć.

Z irytacją szarpnęła go za ramię.

— Znowu się pan zawziął, panie Teodorze. A skoro już mówimy o zawziętości, to z pewnością nie daje pan dobrego przykładu swojemu synowi, kiedy kręci się pan chmurny i nadąsany. Jak pan sądzi, co Kristian myśli o ojcu, który w ten sposób traktuje nauczycielkę? Powinien pan okazywać mi szacunek!

— Okazuję — wydusił w końcu Teodor.

— Och, oczywiście — oparła ręce na biodrach i wzruszyła ramionami. — Tak wielki, że próbował się pan mnie pozbyć i zostawić u Dahlów. Ale ja nie mogę żyć w ten sposób, panie Teodorze. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do takiej antypatii.

— Nie wiem, co znaczy antypatia — oświadczył, choć wcale nie zamierzał tego uczynić.

— Och! — wyznanie Teodora trafiło ją prosto w serce. — Słowo „antypatia” oznacza niechęć... no wie pan, jakbyśmy byli wrogami. Nie będziemy wrogami przez następne dziewięć miesięcy, prawda? Wyglądał, jakby go zatkało i nie mógł odzyskać głosu. Myślał tylko o tym, jak pociągając Linnea wygląda w świetle lampy, jak jej niebieskie oczy jaśnieją tymi złotymi iskierkami i jak mu się podoba zuchwały zarys jej nosa.

Uśmiechnęła się i dodała:

— Bo ja będę szczerą.

Cóż można odpowiedzieć takiej zadziornej osobce jak ona?

— Za dużo pani mówi, wie pani?

Roześmiała się, zakręciła wokół i wskoczyła na jedno z siedel wiszących na koźle. Siedząc na nim okrakiem, skrzyżowała ręce na łęku i pochyliła ramiona.

— A pan mówi za mało.

— Więc tworzymy dobraną parę.

— No nie wiem... Ułożyło się, bo wyciągnęłam rękę do zgody. Cóż, pan był właściwie... — uśmiechnęła się przekornie — patetyczno-melodramatyczny.

Jeszcze raz oparł się o warsztat i skrzyżował ramiona.

— A te słowa co znaczą? Zmarszczyła nos.

— Niech pan ich sobie poszuka.

Gdzieś w domu był kiedyś słownik angielsko-norweski. Może zdoła znaleźć te słowa.

— Taaa... chyba to zrobię — odparł, myśląc, że może spróbuje też znaleźć kilka innych słów, które od niej usłyszał.

Wzięła głęboki oddech, wydeła policzki i zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów.

— Och, czuję się znacznie lepiej. — Roześmiała się tak zaraźliwie, że Teodor poczuł, iż zaraz jej zawtóruje. Żywiołowo poklepała siodło. — Ojej, to zabawne. Wio, koniku!

— dwukrotnie spięła „konია” piętami. — Nieczęsto siedziałam na koniu. Nie mamy konia, a kiedy udajemy się w podróż, ojciec wynajmuje powóz.

Cień uśmiechu pojawił się na ustach Teodora, który odchyliwszy się do tyłu, przyglądał się jej i słuchał. Ona może paplać bez przerwy! A w ogóle to

naprawdę dziecko! Żadna kobieta, odwiedzając mężczyznę w siodlarni, nie przerzuciłaby w ten sposób nogi przez siodło i nie mówiłaby o wszystkim, co jej przyjdzie do głowy.

— Wiesz, panienko, siodłowi nie służy, jak siedzi się na nim w ten sposób, kiedy nie leży ono na końskim grzbiecie.— Siodłu — poprawiła.

— Siodłu — powtórzył posłusznie.

Skrzywiła się i spojrzała na rąbek spódnicy, a potem z figlarnym uśmiechem na niego, po czym zeskoczyła z siodła.

— Może następnym razem lepiej trzymać je pod spodem? — Pobieгла ku drzwiom. — Do widzenia, panie Teodorze. Miło się gawędziło.

Zostawiła go wpatzonego w puste drzwi i beztrąsko wybiegła w deszcz, a on, kiedy zniknęła, znów zastanawiał się, kim jest Lawrence.

ROZDZIAŁ 8

Następnego ranka deszcz zmienił się w nisko wiszącą mgłę, która przyklejała się do skóry i ubrania oraz uniemożliwiła zbieranie pszenicy. Wystawiwszy nogę spod kołdry, Kristian zatrząsł się, a potem kichnął dwa razy. Nawet linoleum było wilgotne. Na długie kalesony wciągnął wełniane spodnie, następnie włożył podkoszulek z długim rękawem i koszulę z grubej flaneli. Kiedy otworzył drzwi, żeby zejść na dół, panna Brandonberg otworzyła swoje, by zrobić to samo.

W jednej chwili zrobiło mu się gorąco.

Nie była jeszcze uczesana i włosy opadały jej do połowy pleców. Wydawała się zasnana, gdy jedną ręką przytrzymała kołnierz szlafroka, a w drugiej niosła niebieską miednicę.

— Dzień dobry — powiedziała.

— Dzień dobry — odparł głosem, który w tych dwóch słowach przeszedł od tenoru do sopranu. Zaczerwieniwszy się uświadomił sobie, że koszulę ma tylko do połowy zapiętą, więc szybko dokończył dzieła.

— Zimno, prawda?

— I mokro. — Oprócz babci nigdy nie widział żadnej kobiety w szlafroku i z bosymi stopami. Widok nauczycielki w nocnym stroju sprawił, że w gardle mu zaschło i nie wiedział, gdzie oczy podziać.

— Chyba nie będziecie mogli wyjść dzisiaj na pola.

— Tak... nie... chyba nie.

— Mógłbyś więc przyjść do szkoły.

Wzruszył ramionami, nie wiedząc, co powie na to ojciec. — Jeden dzień niewiele da, a jutro pewnie znów będzie słońce.

— Jeden dzień to jeden dzień. Zastanów się — odwróciła się i zbiegła ze schodów.

Teraz jeszcze lepiej widział kaskadę włosów falujących z każdym krokiem. Co się z nim ostatnio dzieje? Nigdy nie zwracał uwagi na takie rzeczy jak oczy dziewcząt albo na to, w co są ubrane lub czy włosy mają upięte czy rozpuszczone. Dziewczęta były nieznośne, pchały się zawsze do polowania na susły albo pływania w stawie i tylko przeszkadzały. Wystarczyło raz im na to pozwolić, żeby zawsze psuły zabawę.

Zszedł za nią po schodach i udawał, że nie patrzy, jak wita się z Nissą, napelnia miednicę i pospiesznie wraca na górę. Wyobraził sobie, jak Linnea się myje, i... To nauczycielka, ty ośle! Nie możesz myśleć o niej w ten sposób!

A jednak wciąż myślał o tym, jak ładnie wyglądała na schodach, gdy szedł do stodoły, by pomóc przy rannym udoju.

Jeszcze nie świtało, wkrótce jednak niepostrzeżenie miał się wślizgnąć brzask. Okryte mgłą podwórko przesycone było zapachami zwierząt i roślin. Bydło, trzodę, drób, siano, muł — wszystko okrywał wilgotny mrok. Gęste

powietrze tłumilo wszystko oprócz dalekich odgłosów siedzących na grzędach kur, które gardłowo kwokały swe preludia. Na ramieniu wiatraka zebrały się drżące krople deszczu i w nierównym rytmie spadały do kałuży w dole. Niedaleko widać było rząd jaśniejących przyjaźnie okien.

Otwierając wrota obory, Kristian kichnął, a w środku otrząsnął się zadowolony, że zostawił za sobą wilgotną mgłę. W oborze było przyjemnie o tej porze dnia, co zawsze łagodziło poranną zrzędlivość, szczególnie przy brzydkiej pogodzie. Nawet gdy padał śnieg lub na okna napierał przejmujący chłód tutaj, pod grubymi, oplecionymi pajęczyną krokwiemi, przy szczelnie zamkniętych wrotach nigdy nie było zimno. Krowy tchnęły ciepłem, które rozpraszało najbardziej podstępna wilgoć i najbardziej przygniatające przygnębienie.

Teodor już je wprowadził. Potulnie czekały na swoją kolej, rytmicznie przeżuując pokarm. Chrząst, jaki przy tym wydawały, łączył się z sykiem lamp zwisających z krokwi. Koty, dzikie i nie dające się oswoić stworzenia, postanowiły nie polować w deszczu na myszy i z bezpiecznej odległości przyglądały się dojeniu, czekając na ciepłe mleko.

Kristian sięgnął po swój zydel i wszedł między dwa wielkie łaciate brzuchy. Kiedy usiadł i oparł czoło o starą Katy, zrobiło mu się jeszcze cieplej. Napełnił puszki po sardynkach i postawił je przy sobie, ciekaw, czy ostrożne koty wreszcie się skuszą i podejda tak blisko. Nie podeszły. Z typowo kocią cierpliwością trzymały się swego terenu.

— Spisz jeszcze czy co? — dobiegł skądś głos Teodora, któremu towarzyszyło rytmiczne strzykanie mleka do niemal pełnego wiadra.

Kristian drgnął, uświadamiając sobie, że cały czas myślał o panie Brandonberg, której włosy miały taki sam karmelowy kolor jak sierść jednego z kotów.

— Och... tak... chyba jeszcze spałem.

— Jak dotąd wydoiłeś z Katy tylko mleko dla kotów.

— Tak... chyba tak... — Skruszony Kristian sięgnął po wiadro i wziął się do roboty.

Przez następne minuty w oborze rozlegały się tylko rytmiczne dźwięki: nieprzerwana kadencja mleka spotykającego się z metalem, mleka spotykającego mleko, krowich zębów miażdżących pokarm i zwierzęcych oddechów tchnących w oborę ciepło wraz z każdym uniesieniem wielkich brzuchów.

Obydwaj pracowali przez pewien czas w zgodnym milczeniu, zanim przerwał je głos Teodora:

— Pomyślałem, że pojedziemy dzisiaj do Zahla i przywieziemy węgiel.

— Dzisiaj? Przy takiej pogodzie?

— Czekałem na deszczowy dzień, bo nie chciałem tracić słonecznego.

— Pewnie mam zaprząć podwójną platformę.

— Zaraz po śniadaniu.

Kristian doił dalej przez kilka minut, czując, jak napinają się i rozgrzewają silne mięśnie jego ramion.

— Tato? — odezwał się po chwili.

— Taaa...

Kristian oderwał czoło od ciepłego boku Katy, jego ręce zaprzestały rytmicznych ruchów.

— Jak zaprzęgnę platformę, może bym zawiózł pannę Brandonberg do szkoły? Teodor przerwał dojenie. Przypomniał sobie, jak ostrzegał pannę Brandonberg, że nie ma czasu odwozić ją do szkoły. Pomyślał, jak siedziała na siodle ubiegłego wieczoru i jak na karku robiło mu się coraz cieplej. Chętnie przyznałby, że nie wyglądała jak cieplarniana panienska. Ale wyglądała... och, wyglądała...

Coś ścisnęło go w sercu, gdy przywołał w pamięci obraz Linnei. Coś,

czego mężczyzna w jego wieku nie może czuć do takiej młódki jak ona.

Rozważnie wrócił do dojenia.

— Powiedziałem jej, jak tu przyjechała, że nie będę miał czasu wozić ją do szkoły w brzydką pogodę. A dla ciebie mam tu dużo pracy.

— Ale przemoknie do suchej nitki, zanim tam dojdzie!

— Powiedz babci, żeby jej dała pelerynę.

Kristian zacisnął usta i krewko wrócił do dojenia. Stary cholernik!...

Wcale mnie tu nie potrzebuje i dobrze o tym wie. Przynajmniej nie przez te dziesięć minut, jakie zajęłoby mi odwiezienie nauczycielki do szkoły...

Linnea była już ubrana, kiedy rozległo się dudnienie kroków Kristiana pokonującego po dwa stopnie. Usłyszawszy dwa mocne stuknięcia do swoich drzwi, otworzyła je i ujrzała chłopca stojącego bez tchu.

Tego ranka przez sekundę widziała na jego twarzy wyraz, który ostrzegł ją, by utrzymywała wszystkie sprawy między nimi na płaszczyźnie bardzo bezosobowej.

— Och, witaj. Czy spóźniłam się na śniadanie?

— Nie, babcia właśnie je przygotowuje. Ja... — odchrząknął. — Ja tylko chciałem, żeby pani wiedziała, że podwiózłbym panią do szkoły, ale tato powiedział, że będę mu potrzebny zaraz po śniadaniu. Ale babcia ma dla pani pelerynę. I parasolkę.

— Dziękuję ci, Kristianie, doceniam to — odparła z uśmiechem, starając się, aby był pochwalny, lecz nie zachęcający.

— No to ja... muszę... pójdę się umyć. Do zobaczenia na dole.

Linnea zamknęła drzwi, oparła się o nie i odetchnęła z ulgą. Wielki Boże, tego problemu nie przewidziała. Przecież Kristian jest jej uczniem. Jak powstrzyma wyraźne zauroczenie nią, jeśli będzie ono narastać? To przecież tylko chłopiec, miły wprawdzie i sympatyczny, lecz lubiła go tak jak wszystkich swoich uczniów.

Mimo wszystko wzruszyła ją jego rosnąca galanteria, widoczna trema oraz to, prosił o zgodę na odwiezienie jej do szkoły. Nie mogła również powstrzymać się od poczucia urazy, że odmówiono mu tej zgody.

Kilka minut później, przy śniadaniu, Linnea skrycie przyglądała się Teodorowi. Miała nadzieję, że minionej nocy ostatni raz widziała jego zawziętość, ale najwyraźniej się pomyliła. No cóż, skoro jedno może być zawzięte, to drugie również.

— Zbyt mokro dziś na pracę w polu. Nie ma więc powodu, żeby Kristian nie mógł pójść do szkoły.

Teodor przestał jeść i wycelował w Linneę otwarte spojrzenie, ona zaś niewinnie dalej rozsmarowywała na grzance konfiturę malinową.

— Kristian nie pójdzie dziś do szkoły. Oprócz zbierania pszenicy mamy tu inne rzeczy do zrobienia.

Spojrzała na Teodora, zaciskając usta. Ich oczy zderzyły się na kilka trwających bez końca sekund, po czym Linnea bez słowa położyła grzanekę na jajecznicę, serwetkę na grzance, wstała i wbiegła na schody.

Podążyły za nią zdumione spojrzenia Johna, Kristiana i Nissy, którzy teraz wpatrywali się w puste drzwi, tylko Teodor z niewzruszonym spokojem dalej jadł jajka na bekonie.

Niespełna piętnaście minut później Kristian zobaczył, jak panna Brandonberg w deszczu z trudem brnie drogą, i znów pożałował, że nie ma go przy niej. Aż dławiąc się ze złości zaprzągnął konie, wskoczył na kozioł i w pełnym irytacji milczeniu czekał na ojca. Kichnąwszy dwa razy pochylił się do przodu i gapił przed siebie, gdy Teodor wyszedł z domu w czarnej gumowej pelerynie i wystrzępionym słomianym kapeluszu. Kozioł ugiął się pod nim, kiedy wdrapywał się na swoje miejsce, a Kristian kichnął ponownie.

— Masz katar, synu?

Kristian nie odpowiedział. Do diabła, co starego obchodzi, czy on ma

katar czy nie? Przecież nie przejmuję się nikim oprócz siebie.

Jeszcze zanim Teodor usiadł, Kristian gwizdnął i trzasnął lejcami mocniej niż trzeba. Konie ruszyły tak ostro, że Teodor wręcz upadł na siedzenie. Posadzony w ten sposób, zerknął na syna, ale Kristian, kipiąc ze złości, tylko mocniej nasunął kapelusz na oczy, pochylił ramiona i zapatrzył się przed siebie.

Dzień pasował do jego nastroju: był mokry i ponury. Konie posuwały się z trudem przez rozmokłą, bezbarwną okolicę, która wydawała się pozbawiona życia. Pola, z których pszenicę już zżęto, wyglądały smętnie, a ściernisko przypominało sierść na sparszywiałym żółtym psie. Na innych nie zebrane zboża pochyliły się nisko pod ciężarem deszczu niczym plecy zmęczonych starców czekających na kolejną ciężką zimę.

Kristian jechał w kamiennym milczeniu, dopóki mógł, w końcu odezwał się bez wstępu:

— Powinieneś mi pozwolić zawieźć ją do szkoły! Teodor uważnie przyjrzał się synowi, profilowi wyrażającemu bunt, ustom zaciętym w irytacji.

— Powiedziałem jej pierwszego dnia, że tu nie hodowla cieplarnianych panienek.

— Co właściwie masz przeciwko niej? — zapytał Kristian, spoglądając na ojca.

— Nic.

— Ale cholernie jej nie lubisz.

— Lepiej uważaj, co mówisz, dobrze? Twarz Kristiana przybrała wyraz niechęci.

— Dajże spokój, tato. Mam siedemnaście lat i jeśli...

— Jeszcze nie masz!

— Ale będę miał! Za dwa miesiące.

— I wyobrażasz sobie, że wolno ci przeklinać, co?

— „Cholernie” to nie takie straszne przekleństwo. A zresztą mężczyzna może czasem zakląć, kiedy jest wściekły.

— I ty jesteś tym mężczyzną, tak?

— Nie pytasz o to, kiedy posyłasz mnie do męskiej pracy. Prawda tego stwierdzenia zirytowała Teodora jeszcze bardziej.

— Więc to cię tak ubodło? Dawaj te lejce! — Wyrwał lejce z dłoni Kristiana, pozostawiając go zapatrzonego markotnie w końskie uszy. Wilgoć zgromadzona na zwiniętym rondzie kapelusza zamieniła się w krople, które spadały mu na nos.

— Nigdy mnie o nic nie pytasz, tato. Nie dajesz mi wyboru, nie pozwalasz decydować, czy pójść do szkoły czy nie. Może chciałbym tam teraz być. Teodor już wiedział, co się zbliża, ale postanowił stawić temu czoło.

— Żeby się uczyć?

— No jasne! A co innego miałbym tam robić?

— Ty mi powiedz.

Kristian zerknął na ojca, po czym wbił wzrok w zamglony horyzont i głośno przełknął ślinę. Teodor wpatrywał się w syna i przypomniał sobie własne męki dorostania.

— Czujesz coś do nauczycielki, prawda, chłopcze? — zapytał bez złośliwości, zmuszając głos do spokoju.

Zaskoczony Kristian szybko spojrzął na ojca, a potem wzruszywszy ramionami, skierował wzrok przed siebie.

— Nie wiem. Może. A co byś powiedział, gdybym czuł?

— Co bym powiedział? Niewiele. Uczucie to uczucie. Kristian spodziewał się wybuchu, toteż zaskoczył go spokój ojca. Znając zaś powściągliwość Teodora, zupełnie był nieprzygotowany na jego wyraźną ochotę do pogawędki. Przecież nigdy nie rozmawiali... a w każdym razie nie o takich sprawach. Trudno było wydobyć z siebie słowa, lecz ostatnio tyle

kłębiło się w Kristianie! Ostudził więc gniew, a w jego tonie zabrzmiało zakłopotanie.

— Jak powinno się rozmawiać?

— Nie wiem, czy potrafię ci odpowiedzieć. Chyba z każdym rozmawia się inaczej.

— Nie mogę przestać o niej myśleć, wiesz? Nocą leżę w łóżku i stale myślę o tym, co powiedziała i jak wyglądała przy kolacji. Wciąż wynajduję rzeczy, które chciałbym dla niej zrobić.

Chłopak jest zauroczony, ale dobry, uświadomił sobie Teodor. Lepiej postępować łagodnie.

— Jest dwa lata starsza od ciebie.

— Wiem.

— Poza tym to twoja nauczycielka.

— Wiem, wiem! — Kristian wpatrywał się w swoje buty. Woda lała się z przodu jego kapelusza, a deszcz padał mu na kark.

— Wszystko stało się tak szybko, prawda? Jest tutaj dopiero kilka tygodni.

— Ile czasu zajęło to tobie i mamie?

Co miał odpowiedzieć? Chłopak dorastał i z pewnością będzie zadawać takie pytania. Prawda to prawda, a Kristian zasłużył na to, by ją poznać.— Niewiele... przyznam, że niewiele. Zobaczyłem, jak stoi w tym pociągu obok swego ojca, w kapeluszu żółtym jak słonecznik, i na Teodora Roosevelta więcej nie popatrzyłem.

— No dlaczego i mnie nie miałyby się to zdarzyć tak szybko?

— Ale ty masz dopiero szesnaście lat, synu.

— A ile ty miałeś?

Obaj znali odpowiedź. Siedemnaście. Już za dwa miesiące Kristian będzie miał siedemnaście lat. Wszystko działo się szybciej, niż się

spodziewali.

— Jak to było, tato, kiedy pierwszy raz uświadomiłeś sobie, co czujesz do mojej matki? Jak się wtedy czułeś?

Tak jak zeszłej nocy, gdy patrzył na tę drobną panienkę siedzącą w siodle. Ku zakłopotaniu Teodora odpowiedź przyszła natychmiast. Nie był na to przygotowany bardziej niż na nadciągającą męskość syna.

— Jak się wtedy czułem? — To uczucie znów mu towarzyszyło, nowe i świeże. — Jakbym dostał cios w żołądek.

— I myślisz, że ona czuła to samo?

— Nie wiem. Mówiła, że tak.

— Mówiła, że cię kocha?

Teodor odrobinę niepewnie skinął głową.

— To dlaczego nie została?

— Próbowала synu, naprawdę się starała. Ale od samego początku nie lubiła tego miejsca. Wydawała się wiecznie smutna, a po twoim przyjściu na świat było jeszcze gorzej. Nie żeby cię nie kochała. Przeciwnie. Zostałem ją kiedyś leżącą obok ciebie na łóżku w środku popołudnia. Bawiła się twoimi paluszkami, nuciła i rozmawiała z tobą. Tyle że w środku była smutna, jak wiele kobiet po porodzie. Ale ona sobie z tym nie poradziła. Miałaś już rok, a ona wciąż wpatrywała się w łany pszenicy i twierdziła, że ich nieustanne falowanie doprowadza ją do szaleństwa. „Nie słychać tu żadnego dźwięku”, mówiła... — Teodor ponuro potrząsnął głową. — No cóż, nigdy nie chciało jej się słuchać. Dla niej dźwiękiem był zgrzyt tramwajów i warkot automobili na brukowanych ulicach, nawoływania domokrażców i gwizd pociągów przejeżdżających przez miasto. Nie słyszała wiatru w krzewach bawełny ani pszczoł w ostach. — Teodor mrużąc oczy, patrzył na rozległą prerię i mówił, jakby rozmawiał sam ze sobą. — Niczego nie słyszała. Nie lubiła falowania pszenicy, a po pewnym czasie powiedziała, że nienawidzi go bardziej niż

podróżowania ze swoim ojcem w tamtym wyborczym pociągu. Widziałem, jak gaśnie w niej blask, jak zamiera śmiech i wiedziałem... — spojrzał na strumyki deszczu spływające mu po mokrej pelerynie. — No cóż, wiedziałem, że nie jestem mężczyzną, który mógłby to przywrócić. Tamtej nocy w Dickinson, kiedyśmy tańczyli i rozmawiali, myślała, że jestem kimś, kim nie byłem. Tamto było dla niej czymś w rodzaju baśni, a to okazało się rzeczywistością, do której nie mogła się przyzwyczaić.

Kristian kichnął. Teodor uniósł biodro, wyjął z kieszeni chusteczkę i podał ją synowi, a gdy Kristian wytarł nos, mówił dalej:

— Patrzyła na pola i robiła się coraz smutniejsza, coraz cichsza, oczy jej przygasty i... cóż, nie były już takie jak w tamtym pociągu. Potem pewnego dnia odeszła. Po prostu odeszła... — Oparł łokcie na kolanach i ze smutkiem potrząsał głową. — Tamten dzień... Nigdy go nie zapomnę. To był najgorszy dzień mojego życia... — Po chwili otrząsnął się ze wspomnień i ciągnął rzeczowo: — Wyjechała, ale zawsze uważałem, że to nie nas zostawiła, lecz to miejsce. Bolało ją, że cię opuszcza. Napisała o tym w liście. „Powiedz Kristianowi, że go kocham. Powiedz mu, gdy będzie już dość duży.”

Kristian słyszał to już wcześniej, jednakże serce ścisnęło mu się na te słowa. Wiedział, że jego pozbawiona matki rodzina jest inna niż rodziny kuzynów i szkolnych kolegów. On nigdy nie zaznał matczynej miłości, w jego domu zawsze była tylko Nissa. Nagle zatęsknił za matką, której nie znał. Teraz, u progu dojrzałości, żałował, że nie ma matki, z którą mógłby porozmawiać.

— Kochałeś ją, tato, prawda?

Teodor westchnął, zapatrzony w końskie zady.

— Tak, kochałem — odparł. — Mężczyzna czasami nie może się oprzeć miłości do kobiety, nawet jeśli wie, że nie jest tą właściwą.

Jechali dalej w milczeniu przez ów płaczący deszczem dzień i tylko

ostatnie słowa Teodora dźwięczały im w pamięci. I chociaż przywodziły im na myśl raczej Linneę niż Melinę, i tak żaden z nich nie mógł nad tym zapanować. W końcu dotarli do składów węglowych Zahla. Teodor wjechał wozem na wagę i zatrzymał konie starym zawołaniem, które zabrzmiało dziwnie łagodnie.

— Prrr! — rozkazał.

Wokół nie było nikogo. Otaczała ich woń mokrego węgla i melodia padającego deszczu. Teodor obrócił się do syna.

— No cóż, ładne z niej stworzenie. Wynagrodzę ci to! — rzekł kładąc mu rękę na ramieniu, a potem raptownie zmienił nastrój: — No to jesteśmy na miejscu. Czujesz się na siłach załadować osiem ton węgla, chłopcze?

Kristian jednak czuł się coraz gorzej. Kichał już niemal bez przerwy i nie wiadomo, z czego kapało mu szybciej: z nosa czy z runda kapelusza.

— Nie mam innego wyboru, co nie?

— Nie mówi się „co nie”. To nieładnie — skarcił go łagodnie Teodor, po czym zeskoczył z kozła i poszedł szukać starego Tveita, który musiał zważyć pusty wóz, aby mogli rozpocząć załadunek.

Bezkresne pola, które doprowadziły Melinę Westgaard do depresji i sprawiły, że opuściła męża i dziecko, były dziś równie ponure, jak jej wydawały się w najsmutniejszych dniach. Deszcz padał posepnie na płaską odkrywkę węglową Zahla, gdzie nie rosło choćby jedno drzewo, które by łamało monotonię horyzontu. Pod względem estetycznym natura nie była łaskawa dla Północnej Dakoty, ale choć pozbawiła ją drzew, oferowała coś w zamian: węgiel. Dwadzieścia osiem tysięcy mil kwadratowych węgla. Miękkiego węgla brunatnego, tak łatwo dostępnego, że wystarczyło po prostu odgarnąć cienką powierzchnię gleby i wydobywać go kilofami i łopatami. I właśnie owego deszczowego wrześnieowego dnia wydobywali go Teodor i Kristian. Pogoda była tak ponura, że stary Tveit nawet nie zaprzęgnął konia i

koparka stała beczynnie, a w czerpaku gromadziła się woda.

Kristian pracował obok ojca, często przerywając załadunek, by kichnąć i wytrzeć nos. Wilgotny chłód wdzierał mu się pod pelerynę, a deszcz wpadający za kołnierz przejmował go dreszczem.

Kristian czuł się bardzo źle już w trakcie załadunku, a miał jeszcze przed sobą długą, półtoragodzinną powrotną podróż do domu. Zanim tam dotarli, osłabł z kichania, nos miał czerwony od nieustannego ocierania go chusteczką, a całym jego ciałem wstrząsały dreszcze. Kiedy byli w połowie drogi, słońce zaczęło rozdzielać chmury, spozierając przez nie niczym zawistne oko, lecz nie ogrzało Kristiana.

— Zdaje się, żeś przemókł do suchej nitki — zauważył Teodor.

Kristian otworzył usta i zamknął oczy, a nozdrzami poruszał tak, jakby czuł zbliżające się następne kichnięcie. Spojrzał na słońce, by je przyspieszyć, a gdy nadeszło, zgiął się i otarł oczy.

— Zawiozę cię do domu, a węgiel sam odstawię do szkoły.

— Pomogę ci. — Kristian czuł się do tego zobowiązany, w jego słowach wszakże nie było wielkiego zapędu.

— Najlepiej zrobisz, jeśli pójdziesz do łóżka. Sam potrafię rozładować wóz węgla.

Kristian ani myślał się sprzeciwić i Teodor zostawił go w domu z Nissą, która zajęła się chłopcem z troskliwością kocicy dbającej o małe.

Zanim Teodor wyruszył do szkoły, zrobiło się późne popołudnie. Słońce rozgoniło chmury i kładło się teraz na dojrzałą pszenicę niczym błogosławieństwo. Strapiony Teodor zastanawiał się nad rozmową z Kristianem.

Ty też postępuj ostrożnie z tą panienką. Kristian nie ma pojęcia, że i w tobie roznieciła iskierkę, i lepiej, żeby się o tym nigdy nie dowiedział.

Dziedziniec szkoły był pusty, gdy zatrzymał się przed wejściem.

— Prrr! — zawołał łagodnie, po czym związał lejce i zeskoczył z kozła. Przechodząc przed zaprzęgiem, z roztargnieniem poklepał pysk klaczy i skierował się ku schodom.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Szatnia świeciła pustką, a drzwi do klasy były uchylone. Spod długich ławek zniknęły woreczki śniadaniowe. Z kranu beczki z leniwym pluskiem spadła do wiadra kropla wody. Przed oczami Teodora kołysał się ciężki sznur dzwonka. Ruszając ku dwuskrzydłowym wewnętrznym drzwiom, odsunął go na bok i wtedy nagle z klasy dobiegł go gniewnie brzmiący głos panny Brandonberg. Teodor zatrzymał się z ręką na klamce.— Jeśli jeszcze raz przyłapię cię na podobnych wybrykach, porozmawiam z twoimi rodzicami. Tak czy inaczej będę składać wizyty we wszystkich domach. Chciałbyś zapewne, abym miała coś dobrego do zakomunikowania twojej mamie i ojcu, nieprawdaż, Allenie?

A więc jest tam z chłopakiem Severtów...

— To przez ciebie przeżywam dziś jeden z tych absolutnie okropnych dni. Przez ciebie i przez Teodora...

Brwi Teodora uniosły się w wyrazie zdumienia. Cóż obchodzi dzieciaka Severtów, co zaszło między nim a nauczycielką?

— Doprawdy nie rozumiem tego człowieka. Przecież nie poniósłby najmniejszej szkody, pozwalając Kristianowi przyjść dzisiaj do szkoły! — zawołała, po czym dodała spokojniej: — Ale to nie twoja sprawa. Dzisiaj cię zwalniam, od jutra jednak lepiej zmień zachowanie.

Teodor cofnął się od drzwi, żeby wyglądało tak, jakby właśnie wszedł do szatni, kiedy Allen będzie opuszczał klasę. Nie usłyszał wszakże żadnych kroków — Allen się nie pojawiał. Z sali dobiegał jedynie zgrzyt kredy na tablicy.

— W porządku, Teodorze, już go nie ma, a my możemy spierać się w spokoju!

Teodor zeszywniał, zakłopotany, iż przyłapano go na podsłuchiwanie. Właśnie szykował się, by wejść do klasy, gdy przynaglił go jej głos:

— Och, już dobrze, wiesz, co mam na myśli!

Nagle uświadomił sobie, że ona nie ma pojęcia o jego obecności, i uśmiechnął się. A zatem ćwiczysz się w utarczce z nim? Najwyraźniej, w swe słowa wkładała bowiem wiele zapachu.

— Przecież nic by się nie stało, gdybyś pozwolił Kristianowi przyjść dzisiaj do szkoły. Ale nie, ty jesteś zbyt zawzięty, by pozwolić komuś postawić na swoim! Więc czym go zajmiesz?... Polerowaniem upręży w siodlarni? — teraz jej głos zabrzmiał szyderczo.

Kreda zgrzytnęła na tablicy, a nauczycielka zaczęła wymawiać pojedyncze, nie powiązane ze sobą słowa:

— Zegar. Latawiec. Bić. Materiał. Koło...

Teodor uśmiechnął się, wolno podszedł do drzwi i uchyliwszy je bezszelestnie, zajrzał do środka. Nauczycielka sporządzała na tablicy listę pojedynczych słów, gniewnym uderzeniem kredy stawiając kropki nad niektórymi. Podziurawił tę tablicę, pomyślał rozbawiony. Wpatrywał się w jej smukłe plecy, gdy poruszała ręką, i ruchy spódnicy, gdy zamaszystymi kreskami przecinała litery „t”. Potem zaczęła kaligrafować długie wstęgi zdań.

— Zegar wisi na ścianie — pisała, mrużąc cicho każde słowo. Teodor podążał wzrokiem za pojawiającymi się na tablicy wyrazami. — Latawiec ma niebieski ogon. — Wyprostowała się i uważnie wpatrywała w tablicę. Potem z animuszem pewnymi ruchami napisała i bardzo wyraźnie przeczytała następane zdanie: — Mam ochotę zbić Teodora.

Uśmiechnął się szeroko, gdyż tylko tyle mógł zrobić, nie chcąc wybuchnąć głośnym śmiechem. Cofnęła się i uważnie studiując to zdanie, podkreśliła słowo „zbić”, po czym oparła ręce na biodrach i westchnęła:

— Och, gdybym tylko mogła...

Przy następnym zdaniu nie powtarzała głośno kolejnych słów i Teodor przestał się uśmiechać, ponieważ głowił się, jak je przeczytać. Ona zaś znów cofnęła się nieco i chichotała, najwyraźniej bawiąc się jego kosztem, zanim ponownie podeszła do tablicy.

Kiedy skończyła kolejne zdanie, zasłoniła usta dłońmi i śmiała się tak, że aż się trzęsła.

— Dzień dobry — powiedział powoli.

Linnea odwróciła się i zmartwiała. Teodor oparty o ścianę stał z kciukiem wsuniętym za zapięcie szelki, z twarzą w kolorze porcji dojrzałego arbuza. Odwróciła się szybko i pospiesznie zaczęła wszystko ścierać z tablicy.

— Dlaczego pan się tu zakrada? — zapytała, wymachując ściereczką do tablicy z taką siłą, że pomyślał, iż mogłaby przebić ścianę szkoły.

— Czemu niby miałbym się „zakradać”?! Przyjechałem zaprzężonym w konie wozem. Łomot umarłego by budził, ale był tu taki rwetes, że nikt by nie usłyszał nawet pociągu do przewożenia bydła.

Staneła przed nim z palcami mocno zaciśniętymi na pudełku kredy.

— Czego pan sobie życzy? Jestem zajęta — rzekła wyniośle. Jego oczy powędrowały ku tablicy, a potem wróciły do niej.

— Taaa... Widzę — powiedział, klepiąc się po udzie parą brudnych skórzanych rękawic. — Przygotowaniem do jutrzejszych lekcji?

— Właśnie się przygotowywałam, zanim tak nieuprzejmie mi pan przeszkodził.

— Nieuprzejmie? — przyłożył rękawice do serca, jakby niesprawiedliwie go oczerniono. — Jestem nieuprzejmy, gdy przychodzę z propozycją, że odwiozę panią do domu?

Wprawiło ją to w taką panikę, że odpowiedziała atakiem.

— Propozycja na czasie, nie ma co! Teraz, gdy wyszło słońce i deszcz przestał padać! A gdzie ze swoją elegancką propozycją był pan rano, kiedy nie

pozwolił Kristianowi odwiedzić mnie do szkoły?

— Powiedział pani o tym?

— Nie musiał mówić. Wystarczyło, że powiedział, iż chciał to zrobić.

Nie uda się panu mnie oszukać. Nie przyjechał pan po to, by odwiedzić „cieplarnianą panienkę” do domu, więc co pan tu robi?

Oderwał się od ściany i powoli nałożył rękawice, przez cały czas wpatrując się w Linneę.

— No cóż, czekam, aż mnie pani zbije. Przecież powiedziała pani, że właśnie na to ma ochotę — rzekł, podchodząc do katedry i szeroko rozkładając ręce. — Oto jestem.

Linnea poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana, lecz z pomocą przyszedł jej zmysł teatralny.

— Zatem może pan się teraz odwrócić i skierować prosto do wyjścia — oświadczyła władczo. — Nie mam życzenia ani się z panem spotykać, ani rozmawiać, dopóki nie zmieni pan decyzji w sprawie edukacji Kristiana.

— Mój chłopak przyjdzie do szkoły wtedy, kiedy mu powiem, że ma iść, i ani minuty wcześniej.

Zapominając o teatralnych gestach, dała upust swemu temperamentowi.

— Och! Pan jest... jest... jest nieznośny! — zawołała, tupiąc nogą i wzbijając wokół spódnicy kredowy pył.

Teodor uniósł nogę, oparł ją na krawędzi katedry i skrzyżował ręce na kolanie.

— Taaa... I niech pani nie zapomni dodać, że jestem uparty jak osioł.— No cóż, jest pan uparty, Teodorze Westgaard.

— Taaa... Już mi to mówiono, ale kto dziś rano cisnął serwetkę i wybiegł z kuchni jak rozkapryszony dzieciak? Nie był to zbyt dobry przykład dla pani ucznia.

Słusznie skarcona, odwróciła się do tablicy i zaczęła wycierać ją jeszcze

dokładniej.

— Jeśli przyjechał pan po to, by mnie krytykować, to może już wyjść. I im szybciej pan to zrobi, tym lepiej.

— Wcale nie po to tutaj przyjechałem. Przywiozłem węgiel.

— Przydałby się z rana — powiedziała swarliwie. — Nogi mi zmarzły, zanim tu dotarłam, a w klasie było zimno jak w lodowni.

Przez chwilę w sali rozlegało się tylko szuranie szmaty po tablicy, wreszcie Teodor, tym razem bardziej uprzejmie, ponownie wydał z siebie głos.

— Przykro mi — powiedział.

Linnea znieruchomiała z dłonią na tablicy i zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czy Teodor mówi poważnie. Mówił poważnie... i wpatrywał się w jej stopy. Strzepując z rąk kredowy pył, odwróciła się do niego. Kiedy spotkali się wzrokiem, zobaczyła w jego oczach wyłącznie przeprosiny. Spojrzała na jego wyplamione rękawice, lecz nawet widok starej, zniszczonej skóry okazał się zachwycający, gdyż okrywała jego ręce. Jak mógł być tak przykry w jednej chwili i tak sympatyczny w drugiej?

— Powinno panu być przykro, panie Teodorze! Doprowadzasz mnie pan do takiej wściekłości, że miałabym ochotę pana sprać.

I właśnie wtedy, kiedy nawet się o to nie starała, osiągnęła swój cel: Teodor odchylił się do tyłu i wybuchnął głębokim, dźwięcznym śmiechem. Dotychczas nie widziała go choćby uśmiechniętego, nie była więc na to przygotowana. Widok był wręcz niewiarygodny. Ten śmiech całkiem go odmienił. Wpatrywała się w jego promienną twarz z uczuciem kompletnego oszołomienia. Nie miała pojęcia, że Teodor ma tak ładne zęby, tak piękne usta, tak doskonale zarysowaną szczękę, tak dźwięczny głos oraz tak lśniące oczy, i gdy jego śmiech wypełniał całą rozświetloną słońcem klasę, jego obraz przepelnił jej serce. Nagle poczuła się niewiarygodnie szczęśliwa i pochwili, najpierw nieśmiało, a potem coraz odważniej, jej śmiech połączył się z jego

śmiechem, kiedy zaś w klasie zaległa w końcu cisza, wciąż uśmiechali się do siebie. Zegarek na falującej w oddechu piersi Linnei unosił się i opadał. Teodor pomyślał, że gdyby podszedł bliżej i położył na nim dłoń, poczułby ciepło złota nagrzanego od jej ciała.

Usiłował przełknąć ślinę, lecz nie zdołał.

Próbowała powiedzieć cokolwiek, lecz nie potrafiła.

Starał się myśleć o niej jako o dziecku, lecz nie umiał.

Chciała myśleć o nim jako o leciwym mężczyźnie, lecz nie mogła.

Powtarzał sobie, że Linnea jest dziewczyną, w której zakochał się jego syn, lecz to się nie liczyło.

Tłumaczyła sobie, że Teodor jest ojcem jej ucznia, że ona mieszka w jego domu i że to jest niestosowne, lecz nie miało to znaczenia. Najmniejszego znaczenia.

Wreszcie dał o sobie znać zdrowy rozsądek i Teodor zdjął nogę z katedry.

— Lepiej rozładuję ten węgiel — rzekł, mocniej wciągając rękawicę.

Linnea stała ze ściśniętym gardłem, patrząc, jak Teodor przemierza klasę, i pierwszy raz w życiu zauważając, o ile węższe są biodra mężczyzny od bioder kobiety, jak urzekające mogą być opalone na brąz ręce wyłaniające się spod podwiniętych rękawów i jak władcze wydają się dłonie, gdy opinają je miękkie znoszone rękawice, które przez wiele godzin dzieliły męski trud.

Kiedy wyszedł, próbowała wrócić do układanych wcześniej zdań, ale wciąż na nowo odrywał ją od tego widok Teodora, który tuż za oknem rozładowywał węgiel. Ze swego korzystniejszego punktu obserwacyjnego spoglądała na jego ramiona i czubek głowy, zniewolona widokiem, jaki stwarzał, wykonując tę pracę. Jakież szerokie miał ramiona, jak oszczędne ruchy, jak wspaniałe mięśnie...

Gdy zrobił przerwę i oparł skrzyżowane przeguby na rączce łopaty,

cofnęła się o krok i skryła w cieniu, a kiedy jasne słońce padło na jego gęste orzechowe włosy, uświadomiła sobie, że rzadko widziała go bez słomianego kapelusza, który nosił na polach. Pomyślała, że kapelusz przemókł rano i schnie teraz w kuchni. Teodor, mrużąc oczy, rozejrzał się dokoła. Jego twarz pokrywała teraz warstwa węglowego pyłu. Pocił się i Linnea widziała strużkę potu, która biegnąc wzdłuż krawędzi włosów zbierała czern tego pyłu. Zdjął rękawicę i sięgnął do tylnej kieszeni, ale nie znalazł w niej chusteczki, więc znów włożył rękawicę, otarł czoło rękawem i ponownie zabrał się do pracy.

Był prawdziwym mężczyzną; znacznie bardziej dojrzałym niż którykolwiek z chłopców, jacy kiedykolwiek wydawali jej się pociągający. Ona także mu się podobała. Przez krótką chwilę widziała to w jego oczach tak wyraźnie jak teraz węglowy pył pokrywający jego urodziwą opaloną twarz. Coś zaiskrzyło między nimi, gdy patrzyli na siebie. Pożądanie?... Czy to właśnie poczuła? Serce Linnei zabiło gwałtownie. Tak, poczuła pragnienie. Nieodparty pociąg.

A jednak kiedy spuścił wzrok, zrozumiała, że zawsze widzi w niej dziecko.

Prawie zawsze.

ROZDZIAŁ 9

Gdy szopa na węgiel była pełna, wrzucił łopatę na pusty wóz i rozprostował zmęczone plecy. Otarł ramieniem czoło, spojrzął na ciemną smugę, jaka pozostała na rękawie, cisnął na bok rękawicę i przez dziedziniec ruszył w stronę pompy. Odpiąwszy szelki, zsunął je z ramion, po czym zdjął koszulę, odłożył ją na bok i zaczął pompować wodę. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach, pochylił się nad strumieniem czystej lodowatej wody.

Na przemian pompując i myjąc się, oblewał wodą twarz, tors, ramiona oraz kark, a potem pił, podstawivszy dłonie.

Kiedy się wyprostował i odwrócił, zobaczył, że Linnea baczenie mu się przygląda ze schodów. Stała lekko dotykając jedną dłonią żelaznej poręczy, drugą ściskając łokieć. Gdy ich spojrzenia spotkały się, Teodor, powoli ocierając usta wierzchem dłoni, uświadomił sobie, że stoi półnagi, z mokrą piersią i szelkami zwisającymi u bioder. Pochyliwszy się, podniósł z ziemi koszulę, wytarł się pobieżnie, włożył ją i zaczął zapinać, przez cały czas pragnąc, by Linnea się poruszyła lub przynajmniej odwróciła wzrok.

Linnea tymczasem patrzyła jak urzeczona. W przeszłości widywała nagi tors swego ojca, ale nie był tak owłosiony jak tors Teodora i choć ojciec także nosił szelki, nigdy nie zwisały mu do kolan niczym wypuszczone z rąk lejce. Poza tym toaleta ojca w niczym nie przypominała tego, co robił Teodor, który tak beztrosko ochlaprywał się wodą, że spływała mu z piersi i kapiała ze skroni i łokci.

Beztroska zniknęła, kiedy Teodor zauważył Linneę. Ją zaś oszołomił pośpiech, z jakim wkładał i zapinał koszulę, ze spuszczoną głową, na wpół odwrócony, wsuwał w spodnie poły koszuli. Następnie podciągnął szelki i przeczesał palcami włosy. W końcu obrócił się do Linnei.

— Gotowa? — zawołał.

— Gotowy? — błysnęła ku niemu szelmowskim uśmiechem.

Mogłaby przysiąc, że Teodor zaczął się rumienić, choć zdołał to ukryć za nadgarstkiem, gdy znów przesunął dłonią po włosach i ruszył zdecydowanym krokiem.

— Zawrócę wóz.

W milczeniu siedzieli obok siebie w drodze do domu. Teodor powoził z pochylonymi plecami i łokciami opartymi na kolanach, dumając, jak dziwnego zażenowania doznał w chwili, gdy odwróciwszy się, przyłapał ją na tym, że

przypatruje się jego kąpieli. Linnea z dziennikiem na kolanach oglądała krajobraz i rozmyślała o tym, jak pociemniały i skręciły się włosy na karku Teodora pod wpływem wilgoci. Nie patrzyli na siebie i żadne nie powiedziało ani słowa aż do chwili, gdy minęli farmę Johna. Wtedy ni stąd, ni zowąd odezwał się Teodor:

— Kristian nabawił się kataru. Dlatego nie przyjechał ze mną, żeby pomóc przy rozładunku węgla.

Obróciła głowę w stronę Teodora, lecz patrzył prosto przed siebie i nie powiedział nic więcej. Dziwne, że poczuł się zmuszony wyjaśnić, dlaczego przyjechał sam. Szukała właściwych słów, by wypełnić tę przerwę, przeszkadzało jej wszakże wspomnienie studziennej wody spływającej po owłosionej piersi Teodora.

— Biedny Kristian. To doprawdy zbyt piękna pora roku, żeby nabawić się kataru, czyż nie?

Lekko obróciwszy głowę Teodor widział, jak Linnea wpatruje się w okolice. Głęboko wciągała czyste, odświeżone powietrze, jakby każdy oddech był błogosławieństwem. I pomyślał, że spogląda na pszenicę zupełnie inaczej niż Melinda.

Po drodze przejechali koło wiatraka. Łagodny wietrzyk poruszał jego łopatkami, w górze rytmicznie klekotała jakaś luźna deszczułka. Linnea podniosła wzrok.

— W wiatrakach jest coś kojącego, prawda?— Kojącego? — oczy Teodora podążyły tą samą drogą ku górze.

— Mhm... Nie sądzi pan?

Zawsze tak myślał, nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, by powiedzieć to głośno, w obawie że wyda się śmieszny.

— Też tak myślę — przyznał, czując się nieswojo z Linneą u boku.

— Widzę, że John sadi powój wokół wiatraka — zawołała i oboje

zmrużyli oczy, patrząc na poruszające się łopatki, za którymi niebo było tak niebieskie jak kwiaty Johna.

— Pamiętam, jak John i ja pomagaliśmy ojcu przy budowie tego wiatraka.

Obserwowała Teodora wciąż patrzącego w górę i przyłapała się na tym, że zastanawia się, jak wyglądał wtedy, tuż przed osiągnięciem pełnej dojrzałości, zanim wyrosły mu wąsy i rozwinęły się mięśnie, zanim zrodziła się w nim ta krucha powściągliwość, którą zwykle najchętniej demonstrował. Teraz, gdy uniósł brodę, jego szczeka miała kształt bumerangu. Lekko rozchyliwszy wargi, spoglądał ku niebu mrużąc oczy, co kryło wyraźne białe bruzdy wokół nich. Jego rzęsy, które wydawały się długie jak źdźbła traw na prerii i czarne jak sadza, rzucały ostre cienie na policzki.

— Mhm... bardzo ładny...

— Melinda mówiła zawsze... — urwał i zacisnął usta. Pochyliwszy głowę, rzucił jej ostrożne spojrzenie. Radość zniknęła z jego twarzy. — Trzeba umocować tę luźną łopatkę — mruknął, po czym ściągnął lejce i zeskoczył z wozu.

Linnea zsiadła zaraz za nim i stanęła obok, przyciskając do piersi dziennik.

— Kto to jest Melinda?

Nie patrząc na nią, zajął się rozluźnianiem uprząży, aby konie mogły się napić.

— Nikt.

Przesunęła paznokciem po okładce dziennika i lekko zakotłosała ramionami.

— Hm... „Melinda mówiła zawsze"... Mówiła, a jest nikim?

Teodor przyklęknął, robiąc coś pod brzuchem jednego z koni. Włosy miał spłaszczony, potargany i zmatowiały od węglowego pyłu, lecz wciąż

jeszcze wilgotne na skroniach i karku. Chciała ich dotknąć, by zachęcić go do zwierzeń. Sprawiał wrażenie, że się namyśla. Wreszcie wstał.

— Melinda była moją żoną — wyznał, nadal jednak nie chcąc napotkać wzroku Linnei, majstrował przy uździe.

Ramiona Linnei przestały się kołysać.

— A zatem Melinda zawsze mówiła...

Dłoń Teodora uspokoiła się i rozłożona szeroko spoczywała teraz na ciepłym karku klaczy. Linnea utkwiała wzrok w tej dłoni niemal równie brunatnej jak sierść gniadego zwierzęcia i szerszej niż jakakolwiek inna dłoń, jaką zapamiętała, a już na pewno mocniejszej.

— Melinda zawsze mówiła, że wiatraki są przygnębiające — powiedział cicho.

Niezliczone pytania kłębiły się Linnei w głowie, gdy nad ich głowami znów zaklekotała obluzowana łopatką wiatraka. Stała niemal ramię w ramię z Teodorem, patrząc, jak jego mocne palce bezwiednie przeczesują grzywę klaczy. Zastanawiała się, co by zrobił, gdyby nakryła teraz wierzch jego dłoni swoją i przesunęła palcem po owym wewnętrznym wygięciu kciuka, gdzie skóra zrobiła się szorstka od wieloletniej ciężkiej pracy. Nie robi tego oczywiście. Co by sobie Teodor pomyślał? A w ogóle co jej chodzi po głowie?...

— Dziękuję, że mi pan odpowiedział — rzekła cicho i zmieszana odeszła w stronę domu.

Patrząc za nią zastanawiał się, czy zna inną kobietę, która odeszłaby od takiego tematu bez nalegania na dalsze wyjaśnienia. Wiedział też, że tak samo dobrze zdawała sobie sprawę, iż on jest mężczyzną, jak on świadomy był, że ona jest kobietą. Kobieta? Osiemnastolatka to chyba jeszcze nie kobieta...

Z drugiej strony wszakże właśnie w tym tkwił problem.

Tego wieczoru Kristiana nie było na kolacji, ale Linnea poinformowała o

swym zamiarze obecnych.

— Postanowiłam odwiedzić domy wszystkich uczniów. Kurator powiedział mi, że powinnam się postarać poznać wszystkich osobiście.

Teodor spojrział na nią spod oka pierwszy raz od chwili, gdy byli razem w klasie.

— Kiedy?— Jak tylko zostanę zaproszona. Przez dzieci podam listy mówiące, że pragnę poznać ich rodziny, i zobaczę co będzie dalej.

— Jest pora żniw. Nie pozna więc pani ojców, chyba że pójdzie pani po zmroku.

Linnea wzruszyła ramionami. Popatrzyła na Nissę i Johna, potem znów na Teodora.

— No to poznam tylko matki. — Nabrała łyżkę rosółu, przełknęła i dodała: — Albo będę składać wizyty po zmroku.

Teodor utkwiał wzrok w talerzu, Linnea tak samo. Na kilka minut zapadła cisza, wreszcie ku zaskoczeniu Linnei Teodor przemówił znowu.

— Spodziewa się pani zostawać u nich na kolację?

— No cóż, nie wiem. Przypuszczam, że jeśli będę zapraszana, to zostanę.

— Dni są coraz krótsze. Będzie pani potrzebowała konia — stwierdził, wciąż skupiony na swoim talerzu.

— Konia?! Jakiego konia? — zdumiała się.

— Pod wierzch.

Spojrzał na nią i natychmiast odwrócił wzrok.

— Skoro dzieci mogą chodzić piechotą, to ja również.

— Clippa się nada — mówił dalej, jakby w ogóle nic nie powiedziała.

— Clippa?

John i Nissa słuchali ze źle skrywaną ciekawością.

— To nasz najlepszy koń do jazdy pod wierzch. Spokojny.

— Och... — Linnea nagle zobaczyła własne ręce zaciśnięte między

kolanami i zamarła, zapominając o odłożeniu łyżki. Gwałtownie uniosła ją i sięgnęła do talerza. W głowie dudniły jej słowa „cieplarniana pannica”.

— Dosiadała pani kiedyś konia? — zapytał przytomnie Teodor.

Odważyli się na szybką wymianę spojrzeń.

— Nie.

Teodor sięgnął przez stół, nabił na widelec grubą kromkę chleba i zaczął smarować masłem.

— Niech pani przyjdzie po kolacji do siodlarni. Nauczę panią.

Na niebie pozostało jeszcze trochę gasnącego światła, gdy szła do stajni. Na horyzoncie rysował się wiatrak Johna, skądś z daleka dobiegało ryczenie krowy. Kury siedziały już na grzędach i powoli zaczynał opadać chłód wieczoru.

Wrota stajni były otwarte. Kiedy weszła do środka, owionęły ją zmieszane zapachy, zarówno przyjemne, jak i nieczyste, które teraz wydały jej się znajome i bliskie.

— Dobry wieczór, już jestem — zawołała, zaglądając w drzwi siodlarni, zanim do niej weszła.

Teodor stał przy ścianie, sięgając po jakąś część uprząży. Był ubrany tak jak wcześniej: w czarne bryczesy na szelkach i czerwoną flanelową koszulę, ale nie miał kapelusza. Spojrzał na nią przez ramię i Zdjąwszy uzdę, wręczył ją Linnei.

— Proszę — powiedział, po czym zdjął z drewnianego kozła mniejsze z wiszących tam dwóch siodła i skinął w stronę drzwi. — Chodźmy.

— Dokąd? — zapytała i ruszyła przed nim ku głównej części stajni, rzucając przez ramię pytające spojrzenia.

Uśmiechnął się... niemal niedostrzegalnie.

— Najpierw musi pani mieć konia — wyjaśnił, kładąc siodło obok boksu, a następnie splótł pętlę ze sznura trzymanego w dłoni i poleciał: —

Proszę wziąć to wiadro.

Niosąc ocynkowane wiadro owsa, wyszła za nim na zewnątrz w ciemniejący już wieczór, na błotniste podwórze gospodarcze zalatujące jego silnym zapachem nawozu i wilgotną ziemią. Teodor otworzył długą drewnianą barierę, poczekał, aż Linnea przejdzie, i zamknął za sobą. Stali teraz na twardszym gruncie porośniętym krótką żółką trawą. W pewnej odległości, tuż przy ogrodzeniu z kolczastego drutu, pasło się kilkanaście koni. Teodor gwizdnął przesywając przez zęby. Końskie łby podniosły się zgodnie, żadne zwierzę jednak nie zrobiło ani kroku.

— Clippa, chodź tu! — zawołał stając tuż za Linneą, ale uzdę trzymając za plecami.

Konie obojętnie wyciągnęły szyje i wróciły do skubania trawy.

— Chyba stracił pan posłuch — zakpiła.

— Niech pani spróbuje.

— Dobrze. Clippa! — zawołała, pochylając się do przodu. — Podejdz tu, koniku! Dobry chłopiec!

— Clippa jest dziewczynką. To klacz — poinformował ją Teodor z krzywym uśmiechem. Linnea wyprostowała się i oburącz ujęła uchwyt wiadra.

— A skąd miałam wiedzieć?

— Wystarczy popatrzeć — odparł szyderczo.

— Urodziłam się i wychowałam w mieście. Usłyszała za sobą cichy chichot, potem zza jej ramienia

wysunęła się długa ręka Teodora.

— To jest ogier — powiedział, wskazując potężnego gniadego perszerona.

Linnea nigdy nie widziała konia z tak bliska. Przyjrzała mu się, lecz zanim Teodor cofnął rękę, poczuła, że policzki ma różowe niczym smugi barwiące zachodnie niebo.

— Clippa, chodź malutka — spróbowała ponownie. — Przepraszam, jeśli zraniłam twoje uczucia. Jestem pewna, że jeśli tu podejdziesz, pan Teodor nie zrobi ci krzywdy tym powrozem, który chowa za plecami. On chce tylko zabrać cię do stajni.

A jednak klacz nie przyjęła zaproszenia.

Naiwna, pomyślał Teodor, z rozbawieniem przyglądając się, jak Linnea pochylona do przodu mówi do zwierzęcia, jakby było jednym z jej uczniów, i przez cały czas prawdopodobnie boi się, że klacz może się oddalić.

Oczy Teodora wędrowały wzdłuż jej smukłych pleców i bioder. Pewnie mógłbym ją wiele nauczyć, zadumał się, i to nie tylko w kwestii chwytania koni.

— Nie chce podejść — stwierdziła z rozdrażnieniem Linnea.

— Niech pani postuka w rączkę wiadra — szepnął jej Teodor niemal wprost do ucha.

— Co? — odwróciła głowę zaskoczona, tak że jej skroń omal nie uderzyła go w brodę. Serce w niej zamarło. — Poskutkuje?

— Proszę spróbować.

— No chodź, mała...

Na szcęk metalu o metal klacz ruszyła kłusem, węsząc i kołysząc głową. Stuknąwszy pyskiem o wiadro z owsem, sprawiła, iż nieprzygotowana nowicjuszka poleciała plecami na Teodora, który instynktownie uniósł ręce, aby ją podtrzymać. Roześmiali się razem, widząc, jak koń zanurza pysk w ziarnie. Śmiech jednak zaraz ucichł i Linnea spojrzała przez ramię, a wtedy Teodor poczuł ciepło sączące się przez rękawy jej bluzki. Pospiesznie opuścił ręce i szybko obszedł ją, by złapać uzdę Clippy i przywiązać do niej powróż.

Idąc po obu stronach klaczy, wrócili do stajni, w której było już znacznie ciemniej. Teodor zapalił lampę i powiesił ją na bezpiecznej wysokości, po czym skoncentrował się na lekcji, a nie na tej dziewczynie, która najwyraźniej

aż nazbyt łatwo potrafiła go rozproszyć. Stała blisko, patrzyła uważnie ze zmarszczoną brwią i kiwała głową, gdy ją instruował.

— Trzeba zawsze ściągać konia, zanim się ruszy, bo nigdy nie wiadomo, co zrobi. Czasami czuje niechęć do popręgu albo wędzidla i robi się krnąbrny, ale jeśli się go ściągnie, okaże posłuchu.

— Okaże posłuch — poprawiła go odruchowo. — Proszę mówić dalej.

Spojrzał na nią ostro. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że go poprawiła. Jej uwaga skupiała się na lekcji.

— Posłuch — powtórzył posłusznie, zanim przeszedł do dalszych pouczeń. — Należy też się upewnić, że derka jest dobrze ułożona na kłębie, żeby siodło się nie ześlizgnęło.

— Wygładziwszy derkę, przyklęknął na jedno kolano i przeciągnął rzemień przez siodło. — Kiedy koń jest osiodłany, trzeba się upewnić, że popręg nie skręcił się pod spodem, bo jeśli tak, to będzie pani musiała zdjąć siodło i założyć je jeszcze raz. Przypuszczam, że to będzie dla pani najtrudniejsze, bo nie będzie się pani chciało robić tego samego dwa razy. Ona — głową wskazał Clippe — nie jest tak wysoka w kłębie jak niektóre konie, więc powinna pani sobie z tym poradzić.

Wyprostował się z siodłem w rękach, po czym zarzucił je na klacz z taką łatwością, jakby ważyło nie więcej niż końska derka.

— Potem chwyci pani pas popręgu — pochylił się i z policzkiem opartym o koński bok sięgnął pod brzuch klaczy — i przełoży go przez to kółko, a później w górę do kółka siodła, tyle razy, ile to konieczne, aż zostanie pas wystarczający do ściągnięcia. Teraz trzeba ściągnąć go na górze... A teraz niech pani patrzy... — Linnea podeszła bliżej. — Najpierw prowadzimy popręg do tyłu, później wokół, a potem przez tę klamrę. I zawsze się upewniamy, że węzeł jest płaski... widzi pani... potem należy go szarpnąć. — Kilkoma sprawnymi ruchami uformował węzeł. Jedno zdecydowane

szarpnięcie umocniło splot. Potem palce Teodora wsunęły pod spód popręgu jego luźne końce. — To już wszystko. Potrafi pani to zrobić?

Zauważył, że Linnea przygląda się wszystkiemu z wyrazem przerażenia.
— Spróbuję — odparła.

Teodor rozwiązał popręg i cofnął się o krok. Pierwszy raz widział ją tak zdenerwowaną. Mając z końmi do czynienia przez całe życie, zapomniał, jak bardzo mogą onieśmielać. Uśmiechnął się skrycie, gdy Linnea ostrożnie podchodziła do Clippy.

— Ona wie, że pani tu jest. Takie zakradanie się nie ma sensu.

— Jest taka duża, prawda?

— Jak na konia, nie. Proszę się nie bać. To łagodna klacz. Kiedy jednak Linnea sięgnęła pod brzuch Clippy, łagodna

klacz wyczuła obcego i odskoczyła, obracając łeb, by zobaczyć, kto to jest. Linnea cofnęła się gwałtownie. Teodor natychmiast chwycił uzdę i poklepał Clippę po pysku.

— Prrr... — na tę cichą komendę koń szybko się uspokoił.

Linnea obserwowała drżenie gniadego boku Clippy i starała się zdusić strach. Z jaką łatwością Teodor uspokoił zwierzę!... Wciąż jeszcze trzymał uzdę w ręce, gdy na jego twarzy pojawił się łagodniejszy wyraz.

— Jest pani dla niej obca. Musiała najpierw się przyjrzeć. Proszę podejść bliżej. Teraz będzie spokojna.

Klacz była istotnie spokojniejsza, chociaż Linnea z wielką nieufnością po raz drugi sięgnęła ręką pod gruby brzuch. Wszystko szło całkiem gładko aż do zaciągnięcia wężła. Próbowwała raz i drugi, wreszcie podniosła oczy z poczuciem winy.

— Zapomniałam.

Teodor jeszcze raz pokazał, jak należy zaciągać popręg. Stojąc obok przyglądała się, jak mocnymi palcami układa skórę w pożądany kształt,

szerokimi kciukami spłaszczając węzeł przed przewleczeniem końca rzemienia i ostatnim dociągnięciem popręgu.

Ich ramiona otarły się o siebie, gdy sięgnął po siodło. Żadne nie powiedziało ani słowa, kiedy Linnea wzięła popręg i z uwagą zaczęła go rozwiązywać. Zauważył, jak w skupieniu wysunęła czubek języka. Znow źle zaczęła i wymruczała coś pod nosem.

— Zawiażywała pani kiedyś męski krawat? — zapytał. Palce jej znieruchomiały. Podniosła wzrok.

— Nie.

Twarz Linnei jaśniała w złotym świetle zawieszanej wysoko lampy. Pierwszy raz zauważył na jej policzkach piegi, które w połączeniu z ciemnymi, uważnymi oczami nadawały jej szczerzy wyraz niewinnej młodości. Gdyby się śmiała lub złościła, serce Teodora z pewnością by nie drgnęło. Ale ona była tak skupiona, jakby traktowała tę lekcję ze śmiertelną powagą. Ponownie przypomniało mu to, jaka jest młoda i niedoświadczona, tak młoda, że nigdy wcześniej nie siodłała konia, i z pewnością zbyt niedoświadczona, by kiedykolwiek wiązać męski krawat. Z wysiłkiem znow skupił uwagę na trójkątnym węźle.

— Ale przyglądała się pani, jak robił to ojciec, prawda?

— Tak.

— No to proszę trzymać popręg jak krawat, płasko kciukami. Zaczniemy jeszcze raz.

Przygryzła koniuszek języka i zaczęła ponownie. W połowie tego trudnego zadania Teodor swoim kciukiem docisnął jej kciuk.

— Nie tak... płasko... — polecił, po czym drugą ręką zmienił ułożenie jej dłoni. — W drugą stronę.

Linnea poczuła, że ogień ogarnął jej ramię, i ugryzła się w język mocniej, niż zamierzała. Teodor zaraz cofnął ręce, tak że była pewna, iż nie

zorientował się, jak na nią działa.

— Teraz trzeba oburącz mocno pociągnąć. Jednym szarpnięciem doskonale zacisnęła węzeł.

— Udało się! — wykrzyknęła wesoło, uśmiechając się radośnie.

Jego uśmiech, gdy obrócił się ku niej, był zniewalający. Nogi się pod nią ugięły, serce zaczęło łomotać. Gdyby to był jeden z jej snów na jawie... Teodor czubkiem palca musnął jej nos i zażartował:

— Tak, udało się, ale niech panna nie będzie zbyt pewna siebie.

Poczekaj, panienko, aż zrobisz to bez pomocy.

Panienko! Policzki Linnei zaróżowiły się oburzenia, że potraktowano ją niczym dziewczynkę z warkoczykami. Ruszyła do konia z dumnie podniesioną brodą i wielką determinacją.

— Potrafię to zrobić i zrobię bez pańskiej pomocy. Teodor cofnął się i z uśmiechem patrzył. Linnea nie tylko

rozwiązała popręg, ale zdjęła też z końskiego grzbietu zarówno siodło, jak i derkę. Ugięła się pod ich ciężarem, on zaś rozbawiony ze skrzyżowanymi ramionami czekał na dalszy ciąg widowiska. Linnea tymczasem powtarzała sobie pod nosem kolejność czynności, nie obdarzając go choćby jednym spojrzeniem.

— Najpierw derka na kłęby... Potem siodło na... — mruzczała, podnosząc je z podłogi. — I up... upewnić się — wsparła je na kolanie i podniosła, ale nie dość wysoko. Teodor skrył uśmiech i pozwolił, by dalej zmagala się z ciężarem. — Upewnić się, czy popręg jest... jest... — znów podparła siodło kolanem i ponownie nie zdołała go wydźwignąć.

Teodor zmusił się do powagi i ruszył do przodu, chcąc jej pomóc.

— Zrobię to!

Pod gniewnym spojrzeniem Linnei przystanął, uważnie przyjrzał się jej zaciśniętym ustom i skinąwszy głową, bezszelestnie zrobił krok wstecz.

Ramionami ta mała złoźnica nie sięgała nawet do grzbietu Clippy, ale skoro chciała mu udowodnić, że potrafi to zrobić, nie będzie jej powstrzymywać. W siodlarni był przecież solidny zydel, na którym mogłaby stanąć, lecz postanowił, że poczeka, aż się zmęczy i sama poprosi o pomoc. Tymczasem rozkoszował się widokiem jej ust zaciśniętych z irytacji i ciemnymi oczami błyszczącymi jak świetliki na czystym granatowym niebie.

Ku najwyższemu zdumieniu Teodora przy kolejnej próbie siodło wylądowało na grzbiecie Clippy. W jego oczach pojawił się błysk respektu. Linnea, z trudem łapiąc powietrze, przez chwilę przytrzymała się strzemienia, potem pochyliła się, by chwycić popręg. Zrobiła idealnie płaski węzeł i zacisnąwszy go, z dłońmi zwycięsko opartymi na biodrach obróciła się twarzą do Teodora.

— No i proszę! Co dalej?

Światło lampy padło na jej ciemne oczy. Ciężko oddychała z wysiłku. Teodor zastanawiał się, co prawo mówi o ojcach wykorzystujących nauczycielki swych małoletnich dzieci. Bez pośpiechu podszedł do Clippy i odsunąwszy Linneę łokciem, wsunął dwa palce między popręg a skórę zwierzęcia.

— Popręg mógłby być zaciśnięty mocniej. Jeśli klacz zacznie biec, znajdziesz się na ziemi, panienko.

— Już mówiłam, panie Teodorze, żebyś mnie pan tak nie nazywał!

Z udawaną obojętnością spojrzał w jej stronę, nie wyjmując palców spod popręgu.

— Taaa... Zatem: panno Brandonberg.

Oczy Linnei zaślniły jaśniej, a pięści zacisnęły się mocniej.

— W ten sposób również proszę się do mnie nie zwracać. Na miłość boską, przecież nie jestem pana nauczycielką. Nie może mnie pan nazywać po prostu Linneą?

Spokojnie rozwiązał węzeł, po czym zacisnął go mocniej.

— Chyba nie. Nie byłoby to właściwe... Pani jest nauczycielką. Tutaj nigdy nie zwracano się do nauczyciela po imieniu.

— Och, to niedorzeczne!

Teodor wyciągnął rękę do Linnei, a jej serce zaczęło bić jak oszalałe — lecz on zdjął tylko uzdę z krawędzi boksu za jej plecami.

— Dlaczego pani tak się irytuje? — zapytał spokojnie.

— Wcale się nie irytuję!

— Czyżby? — Z nieznośnym spokojem podszedł do Clippy. —

Widocznie się pomyliłem. Chce pani dowiedzieć się reszty?

Spojrzała na metalowe wędzidło w jego dłoni i sięgnęła po nie z irytacją.

— No więc proszę mi pokazać, co robić!

Jeszcze raz uśmiechnął się na ten pokaz temperamentu i po chwili zademonstrował, jak umieścić wędzidło w pysku Clippy, wyregulować uździenicę, przełożyć uszy klaczy przez chomać i spiąć wodze.

— W porządku. Klacz jest gotowa do jazdy — oświadczył. Ku jego zaskoczeniu Linnea zwiesiła głowę i nie powiedziała ani słowa.

— Co się stało? Powoli uniosła wzrok.

— Dlaczego wciąż ze sobą walczymy? Gardło mu się ścisnęło, a krew nabiegła do tych części ciała, które nie powinny się ożywiać w związku z dziewczyną w jej wieku.

— Nie wiem — odparł. Dobrze wiesz, Teodorze Westgaard, pomyślał.

— Bardzo się staram, żeby się na pana nie złościć, ale najwyraźniej mi się to nie udaje i ilekroć jest pan w pobliżu, zachowuję się jak kocica.

Teodor wsunął ręce do tylnych kieszeni, robiąc co w jego mocy, by wyglądać obojętnie.

— Nie mam nic przeciwko temu.

Z pewnością nie miał. Przebywanie w pobliżu poirytowanej Linnei było

znacznie bezpieczniejsze niż doświadczanie czegoś takiego. Posepnie wpatrywała się w lejce owinięte wokół jej dłoni. Rzęsy niczym wachlarze opadały jej na gładkie policzki.

— Żałuję, że tak się zachowuję.

Zapadło ciężkie milczenie. Przez kieszenie czuł własne pośladki i napięte mięśnie nóg. Kiedy uświadomił sobie, że jeszcze trochę, a wyciągnie do niej ramiona, zrozumiał, że musi coś powiedzieć... cokolwiek... coś, co powstrzyma go przed czynem zgoła szalonym...

— Chce ją pani dosiąść?

— Chyba nie... Nie dzisiaj — odpowiedziała zdeprymowana Linnea.

— Cóż, lepiej niech pani zrobi to teraz, żebym mógł dopasować strzemiona.

Przez kilka sekund Linnea stała w bezruchu i milczeniu. W końcu odwróciła się i wyciągnęła rękę w stronę uchwytu siodła. Miała sporą przestrzeń do pokonania, dodatkową zaś przeszkodę stanowiła spódnica. Uniosła ją i kilkakrotnie podskoczyła na jednej nodze. Bezowocnie. Teodor walczył tymczasem z chęcią ujęcia jej za biodra i podsadzenia na siodło. Wytrwale ponawiała próby, aż zdołała dosiąść klacz okrakiem, lecz spódnica omotała jej nogi. I kiedy Linnea próbowała je uwolnić, okazało się, że stopom brakuje do strzemion kilku centymetrów. Usiadła i spoglądała z wysokości siodła na Teodora, który dopasował najpierw jedno strzemie, potem obszedł klacz dookoła i dopasował drugie.

Żałowała, że brak jej doświadczenia i nie wie, jak powstrzymać owe uczucia, które tak w niej buzowały. Chciała dotknąć włosów Teodora, unieść jego brodę i z bliska przyjrzeć się jego oczom, słuchać jego śmiechu i głosu cicho mówiącego o tym, co dla niego najważniejsze. Chciała usłyszeć swoje imię. Ale ponad wszystko chciała, by jej dotknął. Choćby raz, aby mogła się przekonać, czy to tak upajające, jak sobie wyobrażała.

Teodor skracał strzemiona Linnei możliwie najwolniej, pragnąc, by spędzane z nią chwile trwały jak najdłużej, i żałując, że nie ma innych przysług, które mógłby jej wyświadczyć. Już dawno nie czuł takiej potrzeby rycerskości. Myślał, że mężczyzna czuje to tylko wtedy, gdy jest młody i nieopierzony. Jakiż to szok doświadczać tego znowu w jego wieku!... Przechodząc do drugiego strzemienia, czuł na sobie wzrok Linnei, lecz zapanował nad sobą i nie popatrzył na nią. Byłoby to niebezpieczne. Skończywszy ze strzemionami, stanął zapatrzony w jej drobną stopę. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy tak bardzo pragnął dotknąć kobiety? Tylko że ona nie jest kobietą. A może jest? Załóżmy, że by jej dotknął... tylko musnął... raz... Cóż złego mogłoby się stać?

Sięgnął do jej kostki. Okryta czarną skórą nowych, wygodnych butów, wydawała się ciepła i twarda. Lekko przesunął kciukiem po napiętku i powyżej. Było zupełnie jasne, że to nie przypadkowe dotknięcie, lecz... powolna pieszczota. Linnea zaś siedziała z zapartym tchem, wyraźnie czekając, by podniósł wzrok, by posunął się o krok dalej, by podniósł ręce i pomógł jej zejść. Pomyślał o jej imieniu... Linnea... Nie chciał się do niej tak zwracać, żeby nie burzyć barier, które powinny pozostać. Gdyby je wymówił, gdyby podniósł oczy... wiedział, co by nastąpiło.

— Teodorze... — wyszeptała.

Gwałtownie cofnął dłoń, uświadamiając sobie własne szaleństwo, po czym wsunął ręce do tylnych kieszeni, a kiedy podniósł wzrok, jego twarz była obojętna jak zwykle.

— Już pani siedzi. Po powrocie trzeba odnieść siodło do siodlarni. Clippe zawsze będę trzymać na tym bliskim pastwisku, więc nie będzie pani musiała chodzić po nią do Dickinsona.

Podjęta przez Teodora próba wyjaśnienia sytuacji nie powiodła się. Zbyt mocno zaiskrzyło między nimi.

— Dziękuję. — W głosie Linnei słyhać było drzenie. Skinął głową i pod pretekstem poszukania czegoś poszedł do siodlarni, przerażony, że gdyby został, sięgnąłby do wąskiej talii Linnei, aby pomóc jej zsiąść z siodła, i... i uległby innym pokusom.

Kiedy się odwrócił, zdejmowała siodło.

— Ja to zrobię. Proszę iść już do domu. Z pewnością musi pani jeszcze przygotować się do jutrzejszych lekcji.

Gdy zniknęła, wyprowadził Clippe, potem odłożył siodło na miejsce. Przewiesiwszy je przez drewniany kozioł, długo się w nie wpatrywał. Dotknął wygięcia skóry, wciąż jeszcze ciepłej w miejscu, gdzie siedziała...

Ma dopiero osiemnaście lat i jest nauczycielką twojego syna. Wiekiem bliższa jest jemu niż tobie, głupcze. Co taka dziewczyna miałaby robić z facetem niemal tak leciwym jak jej ojciec?

Niewiele później Linnea w pokoiku na poddaszu z dziwnym uczuciem przygotowywała się do snu. Czyżby tylko wyobraziła sobie to wszystko z Teodorem? Nie, z pewnością nie. On również był tego świadom. Tego, co stało się w klasie. I gdy patrzyła, jak się mył. I wieczorem, w stajni, kiedy dotykał jej kostki.

To było straszne! Przerazające!

To było... od godziny coraz bardziej się w tym utwierdzała... to było pożądanie.

Zgasiła lampę i położyła się do łóżka, by wszystko rozważyć. Leżąc na wznak, aż do bólu ścisnęła kołdrę na piersiach, jakby chciała powstrzymać to uczucie przed zniknięciem. Czuła, że serce bije jej szybko i gwałtownie. Przywołała w pamięci obraz jego nagich pleców, gdy się pochylił, by splukać wodą ramiona... jego torsu, gdy się obrócił z wodą spływającą po owłosionej piersi... gęstwinę włosów, gdy okrążał konia, nie chcąc podnieść oczu w obawie, że spotkają się wzrokiem.

Poczuła ogień pożądania. Poczuła, jak płonie w niej tam... w głębi jej ciała... w dole...

Teodor czuł je także. Właśnie dlatego bał się podnieść wzrok, wymówić jej imię, odpowiedzieć, kiedy do niego mówiła.

Zamknęła oczy i odjęła osiemnaście od trzydziestu czterech. Szesnaście. Był od niej niemal dwukrotnie starszy, żył prawie dwa razy dłużej, miał znacznie większe życiowe doświadczenie... Tyle chciała się o nim dowiedzieć i być dla niego tym, czym z racji swej niedojrzałości nie potrafiła być.

Nagle ogarnęła ją gwałtowna fala zazdrości o jego wiek. Będąc człowiekiem tak upartym, Teodor prawdopodobnie nigdy nie pójdzie za głosem instynktu. Bezsilna, zwinęła się w kłębek i wpatrywała w białą plamę poduszki jaśniejącą w ciemności.

— Teddy...? — wyszeptała tęsknym głosem, po czym czule objęła poduszkę i wtuliła usta w jego usta.

ROZDZIAŁ 10

Listy Linnei zaowocowały natychmiastowymi zaproszeniami do domów uczniów, tak że nim minął tydzień, zaczęła składać wizyty. Najpierw postanowiła odwiedzić Helenę i Ulmera Westgaardów, czyniąc to zarówno dlatego, że mieli w szkole więcej dzieci niż inne rodziny, jak i dlatego, że Ulmer był bratem Teodora.

Gdy tylko weszła do ich kuchni, poczuła, że panuje tam miłość. Dom był niemal taki sam jak dom Teodora, lecz z sześciorgiem dzieci było w nim o wiele weselej i znacznie głośniej. Kiedy weszła, trzech najstarszych chłopców nie było w domu, pomagali bowiem ojcu przy żniwach, młodsze dzieci zaś pomagały matce w kuchni. Jednakże ku zaskoczeniu Linnei wszyscy

niebawem przyszli, by zjeść kolację z gościem.

Jedzenie, co zauważyła, było tu czynnością równie poważną jak w domu Teodora. Wszyscy rozmawiali i śmiali się przed posiłkiem i po nim, ale gdy jedli... to jedli!

Kilkakrotnie podczas kolacji podniósłszy wzrok, Linnea stwierdziła, że z uwagą przygląda jej się Bill, najstarszy chłopiec. Chłopiec?! Wcale nie był chłopcem. Był w pełni rozwiniętym, mocno zbudowanym około dwudziestoletnim mężczyzną, który obdarzył ją największą liczbą najbardziej niepokojących i otwarcie badawczych spojrzeń. Jego osiemnastoletnia siostra także mieszkała jeszcze u rodziców, choć była już zaręczona i przygotowywała się do wesela zaplanowanego na styczeń. Wesela, podobnie jak naukę, najwyraźniej odkładano tu na czas, gdy skończą się żniwa. Raymond i Tony, brakujący uczniowie Linnei, odnosili się do niej z nieśmiałością, jakby uprzedzeni, że jest niezadowolona z ich nieobecności w szkole. Dwoje najmłodszych, Frances i Sonny, uśmiechało się i chichotało, ilekroć na nich spojrzała, co kazało jej przypuszczać, że czują się wyróżnieni, iż nauczycielka wybrała ich dom jako pierwszy.

Linnea zwlekała z podjęciem tematu kalendarza szkolnych zajęć aż do deseru. Kiedy zaś się zdecydowała, podjęła ów temat spokojnie, przedstawiła sprawę i pozostawiła do otwartej dyskusji.

Nie było żadnej dyskusji. Powiedziano jej uprzejmie, ale bez wahania, że chłopcy przyjdą do szkoły, gdy pszenica zostanie zwieziona z pól.

Cała rodzina wyległa później przed dom, by ją pożegnać. Bill podszedł do Clippy, zatrzymując Linneę.

— Panno Brandonberg?

— Och... czy czegoś zapomniałam?

— Nie, nie chciałbym tylko, żeby pani pomyślała, że rodzice mają coś przeciwko pani osobiście, zatrzymując chłopców do pomocy przy żniwach. U

nas zawsze tak było, rozumie pani?

— Tak, rozumiem. Ale to nie jest właściwe. Chłopcom potrzebny jest cały rok szkolny, tak samo jak dziewczętom.

Linnea była zmęczona prowadzeniem tego samego sporu, ale choć spodziewała się dalszej dyskusji, Bill jakby o tym nie pamiętał. Stał z ręką na uździe Clippy i wpatrywał się w Linneę, a jego lśniące zielone oczy wyrażały nieskrywane zainteresowanie.

— Czy pani tańczy?

Przez chwilę była zbyt zdumiona, by odpowiedzieć.

— Czy... czy tańczę?

— Taaa... No, wie pani: jeden krok w lewo, dwa kroki w prawo...

Uśmiechnęła się.

— Cóż... tak... trochę...

— To dobrze. Bo zobaczę panią na tańcach w stodole, jak przyjadą chłopcy do młócki. Wtedy zawsze odbywają się tańce.

Nigdy wcześniej nie spotkała nikogo, kto równie jawnie okazywałby jej zainteresowanie. Poruszyło ją to, podobnie jak to, że kibicowała temu rodzina Billa czekająca na jej odjazd. Frances i Sonny znów chichotali zgodnie.— Tak... tak, chyba tak... No cóż, dobranoc.

Wracała do domu i czując na policzkach chłodzące powietrze nocy, rozmyślała o Billu Westgaardzie. Spłowiące na słońcu włosy, oczy zielone jak wiosenna koniczyna, nieco zadarty nos i uśmiech odsłaniający lekko skrzywione zęby. Był niezwykłym połączeniem uroku chłopięcości i męskiej tężyzny.

Cóż więc o nim myślisz? Przystojny?

Chyba tak.

Sympatyczny?

Na swój sposób.

Zuchwały?

Bardziej niż wszyscy, których poznałam wcześniej.

Zatem zatańczysz z nim?

Być może.

Kiedy sobie jednak wyobraziła owe tańce, zobaczyła na nich siebie z Teodorem.

Dom Severtów chciała sobie zostawić na koniec, mając nadzieję, iż da to Allenowi czas na poprawę zachowania w szkole, tak żeby nie czuła niechęci, składając im wizytę. Allen wszakże nadal wywoływał więcej klasowych burz niż ktokolwiek inny. Nieustannie zakłócał modlitwę, stukając ołówkiem lub butem o ławkę. Dokuczał młodszym dzieciom, zuchwale wyrywał i nadgryzał im ciastka, nazywał maluchy beksami, zanim oddał im smakołyki, jeśli w ogóle je oddawał. Jak gdyby wyczuwając, że Frances i Roseanne są ulubieńcami Linnei, nękał ich bardziej niż inne dzieci. Wyśmiewał się z Frances, nazywając ją dzidziusiem, i czasami zadzierał jej spódniczkę, żeby zerknąć na pantalony. Przyciągnął drewniany pniak pod drzwi ubikacji dla dziewcząt, gdy Frances była w środku, i wrzucił zaskrońca przez wycięte w nich serduszko. Dziewczęcy atak hysterii rozpromienił go na resztę popołudnia. Ilekroć udało mu się rozdrażnić którąś ze szkolnych koleżanek albo nauczycielkę, wyglądał na zadowolonego, a w doprowadzaniu ludzi do wściekłości był naprawdę bardzo dobry.

Linnea lękała się odwiedzin w domu Allena, lecz postanowiła odbyć je natychmiast i wreszcie mieć za sobą. W dniu wizyt domowych wyszła ze szkoły wcześniej, więc do domu Severtów dotarła przed wieczorem. Ku jej zaskoczeniu przed dom wyszedł Allen i zapytał, czy może zająć się Clippą. Wielebny Severt pracował jeszcze w gabinecie, ale Linnea odbyła miłe spotkanie z jego żoną czyniącą ostatnie przygotowania do kolacji.

Lillian Severt była nienagannie ubraną kobietą o czarnych włosach

starannie upiętych rogowymi grzebieniami bez ozdób. Miała nieskazitelną cerę barwy kości słoniowej i twarz, której rysunek psuł jedynie zadarty nos o nieco za dużych nozdrzach. Jednakże zapominało się o nosie na widok jej przejrzystych orzechowych oczu, ust i brody. Zamiast zwyczajnej wykrochmalonej bawełnianej sukni domowej miała na sobie stylową suknię z prażkowanej bursztynowej satyny z białym kołnierzem z haftowanej organdy. I kolczyki... Nikt inny w całym Alamo nie nosił kolczyków. Były złote i miały kształt kwiatów jabłoni z kryształem żółtego cytrynu w środku. W przeciwieństwie do większości farmerskich żon, które często pachniały domowej produkcji mydłem i tym, co przygotowywały na kolację, Lillian Severt pachniała miętą, lawendą, rumiankiem i wszelkimi innymi ziołami, z jakich komponowała swoje mieszanki.

Jej dom także różnił się od innych domów. We frontowym saloniku niemal całą podłogę pokrywał dywan. W kuchni zaś stał kredens z osobnym przesiewaczem do mąki. Państwo Severtowie mieli również oficjalną jadalnię z oszklonymi etażerkami na porcelanę i kolumnowym sklepieniem przejściem dzielącym ją od saloniku.

Stół z wiśniowego drewna okryty był kremowym koronkowym obrusem. Potrawy podawano w wazach i na półmiskach, serwetki przewiązane były belgijską koronką, a Lillian, siadając do kolacji, zdjęła fartuch osłaniający jej suknię.

Chociaż w szkole Allen był diabłem wcielonym, w domu zachowywał się zupełnie inaczej. W obecności rodziców był tak grzeczny, że wydawało się to niemal ujmujące. Nawet podsunął matce krzesło, gdy zaczęła się kolacja. Z czcią pochylił głowę, kiedy odmawiano modlitwę. Przy stole demonstrował nienaganne maniery, a jego głos stracił nonszalancję.

Po kolacji ku zaskoczeniu Linnei wielbny Severt polecił:

— Allen, pomóż Libby sprzątnąć ze stołu, a potem oboje idźcie do

siebie. Pani Severt sprzeciwiła się łagodnie modulowanym głosem:

— Ależ, mój drogi, wiesz przecież, że zbieranie naczyń nie jest zajęciem dla mężczyzny. Libby to robi.

Palce wielebnego Severta zacisnęły się na uszku filiżanki, jego oczy spojrzwały na małżonkę, a napięcie, jakie zapanowało w jadalni, przez chwilę wydawało się niemal namacalne.

Allen uścisnął ramię matki i pocałował ją w policzek.

— Kolacja była wspaniała. Nikt nie piecze takiego ciasta z dyni jak ty, mamo.

Pastorowa roześmiała się i poklepała rękę syna.

— Och, ty pochlebco.

Zanim Allen zdołał umknąć, ojciec zadał ostatnie pytanie:

— Napełniłeś skrzynkę na drewno po powrocie ze szkoły? Allen już kierował się do wyjścia.

— Nie musiałem. Była pełna.

Niebawem na schodach wiodących prawdopodobnie do pokoju Allena rozległy się jego kroki. Libby uprzątnęła stół, po czym również zniknęła.

— Czy napije się pani jeszcze kawy? — zapytała pastorowa, ponownie napełniając trzy filiżanki.

W jadalni zapadła cisza. Linnea próbowała zebrać się na odwagę, by poruszyć najważniejszy temat. Przełknęła łyk kawy.

— Proszę państwa... — zaczęła i zastanowiła się, czy nie powinna zwrócić się do pana Severta „wielebny pastorze”. Odsunęła jednak tę wątpliwość na bok i przeszła do rzeczy, choć w tym momencie było to zadanie raczej niemiłe. — Pomyślałam, że może byśmy porozmawiali o Allenie.

Pani Severt się rozpromieniła, wielebny Severt zmarszczył brwi.

— O co chodzi z Allenem? — zapytał.

— W domu Allen wydaje się zupełnie inny niż w szkole.

— Linnea ostrożnie dobierała słowa. — On... no cóż, chyba niezbyt dobrze radzi sobie w kontaktach z innymi dziećmi i myślę... czy państwo mogliby... wniknąć, dlaczego tak się dzieje, i... i co możemy zrobić, żeby mu pomóc.

— My? — rzekła pani Severt, unosząc ze zdziwienia brwi.

— Allen nigdzie indziej nie ma kłopotów. Jeśli zaś ma jakieś trudności w szkole, to prawdopodobnie jest to wina... szkoły. Sugestia była jasna: „szkoła” oznaczała „pannę Brandonberg”. Linnea namyślała się, co odpowiedzieć, matka Allena zaś mówiła dalej:

— Ciekawa jestem, co pani rozumie przez... kontakty z innymi dziećmi.
— Modulacja głosu nadała tej frazie wydźwięk podejrzania.

— W sensie towarzyskim oznacza to, że Allen nie próbuje zbliżyć się z innymi, włączyć do zabaw, zawierać przyjaźni. W sensie edukacyjnym zaś to, że nie zawsze przestrzega obowiązujących zasad. Ma skłonność do... do ignorowania poleceń i postępowania według swego widzimisię.

— Zbliżyć się?! A... z kim, panno Brandonberg?! Dopóki do szkoły nie przyjdą starsi chłopcy, Allen nie ma z kim się zbliżać. Chyba nie oczekuje pani, że piętnastolatek będzie bawić się w klasy z pierwszakami? — Głos pani Severt był aksamitną igielką lodu wbijającą się w poczucie godności nauczycielki.

Linnea bardzo pragnęła znaleźć się teraz w domu Nissy, gdzie nikt nie rozmawiał przy stole. Rozedrgana w środku, zdołała jednak zachować spokój w głosie.

— Być może „zblizanie się” nie jest właściwym słowem. — Szukała odpowiedniejszego określenia, lecz żadne nie przychodziło jej do głowy, więc mimo woli wyrzuciła z siebie następny zarzut: — Allen dokucza młodszym dzieciom.

— Wszystkie dzieci drażnią się z kolegami. Ja też to robiłam, gdy byłam

dzieckiem. Jestem pewna, że mój mąż również, prawda, Martin?

Ale nie wszystkie dzieci czerpią z tego taką perwersyjną przyjemność, pomyślała Linnea, chociaż nie zdołała tego powiedzieć pastorowi i jego żonie.

Wielebny Severt zignorował pytanie małżonki i zadał własne.

— A konkretnie co robi nasz syn?

Wcześniej Linnea nie miała zamiaru mówić o konkretach, okazało się jednak, że pani Severt jest ślepa, gdy chodzi o jej syna. Jeśli zatem Linnea sama ma pomóc Allenowi, to musi być szczerą. Opowiedziała więc o incydencie z Frances i zaskrońcem.

— Czy ktokolwiek widział, że Allen wrzucił tego zaskrońca do dziewczęcej ubikacji? — indagowała pastorowa. — Nie, ale...

— A zatem nie ma o czym mówić — rzekła Lillian Severt z zadowoloną miną.

Linnea czuła, że ogarnia ją wściekłość.

— Chcę powiedzieć, że był jedynym chłopcem, który nie grał w meczu rozgrywanym wtedy na szkolnym dziedzińcu. A zdarzyło się to zaraz po tym, jak ukradł Frances ciastko z jej woreczka śniadaniowego, a ona przysłała do mnie na skargę.

— Nasz syn ukradł... — zaczął pastor.

— Komu? Frances? — znów mu przerwała małżonka.

— Mówi pani o Frances Westgaard, tym dość tępym dziecku Ulmera i Helen?

Linnea zacisnęła pięści trzymane na kolanach.

— Frances nie jest tępą. Jest tylko trochę powolna. Lillian Severt wytwornie upiła łyk kawy.

— Ach, tak, powolna... no cóż... — powiedziała chytrze, odstawiając filiżankę na delikatną podstawkę. — I pani bardziej wierzy takiemu dziecku niż synowi pastora? — Jedna brew pastorowej uniosła się w wyrazie

potępienia, pytanie zaś zawisło na kilka sekund, po czym pani Severt wyraźnie się ożywiła. — A zresztą — błysnęła uśmiechem najpierw ku Linnei, potem ku mężowi — nie ma przecież powodu, by Allen miał kraść komuś ciastka. Owszem, bardzo je lubi, ale codziennie sama przygotowuję mu obfite drugie śniadanie, a jak pani słyszała, moje wypieki ogromnie mu smakują. Zawsze dbam o to, by był właściwie zaopatrzony.

Martin Severt pochylił się do przodu.

— Panno Brandonberg, czy to możliwe, by i tym razem użyła pani niewłaściwego słowa, mówiąc, że Allen kradnie?

Linnea obróciła się ku niemu z nadzieją.

— Tym razem wyraziłam się właściwie. Zabrał Frances ciastko, gdy wszystkie dzieci były razem, i zjadł łapczywie, zanim zdołała je odebrać. Wielokrotnie zdarzało się też, że nadgryzał ciastka innych dzieci i wrzucał z powrotem do ich woreczków śniadaniowych.

— Pani może to nazywać kradzieżą, panno Brandonberg

— broniła syna pastora — ale ja mówiłabym raczej o dziecinnej psocie.

— Zważywszy na moje powołanie — dodał pastor — zapewne może pani sobie wyobrazić, że wpojenie dzieciom dziesięciorga przykazań było szczególnie ważne zarówno dla mojej małżonki, jak i dla mnie. Wiem, że Allen nie jest ideałem, ale kradzież to szczególny zarzut wobec chłopca, który co wieczór czyta Biblię.

Linnei znów stanęła przed oczami lista słów sporządzona przez Allena: „nudni, głupi, wierzący, czekoladowe ciasteczka"... Ta lista mówiła o Allenie znacznie więcej, niż wtedy zdołała zrozumieć. Zaczynała widzieć coraz więcej powodów, dla których należało się zająć zachowaniem chłopca.

Siedząc przed jego rodzicami z poczuciem własnej klęski i nieudolności, z ciekawością rozważała, co by powiedzieli, gdyby ich poinformowała, że

Allen przez większość czasu wpatruje się w jej biust. Niewątpliwie pastorowa dałaby do zrozumienia, że to panna Brandonberg uczyniła coś, by sprowokować chłopca. Znając już nieco tę kobietę, Linnea nie była pewna, czy pani Severt nie jest zdolna do obarczenia nauczycielki jakimś nadużyciem na podstawach znacznie mniej poważnych niż ta. Takt wydawał się zatem szczególnie zalecany, dopóki nie zgromadzi konkretniej szych dowodów niewłaściwego zachowania Allena.

— Proszę państwa, nie przyszedłam tutaj, by krytykować sposób, w jaki wychowujecie swoje dzieci. Ani mi to było w głowie. Chciałam tylko, aby byli państwo świadomi, że w szkole sprawy z Allenem nie układają się gładko. Postawa chłopca musi się zmienić, zanim Allen wpadnie w większe tarapaty, a kiedy wydam mu polecenie, będę oczekiwać, że je wypełni.

— A jakich poleceń nie wypełnia? — zapytała pani Severt. Linnea opowiedziała o liście słów.

— Czy owa lista powiedziała pani coś teraz, gdy widzi pani jego dom?

— Tak, ale to nie...

— Rzecz w tym, panno Brandonberg, że Allen jest wyjątkowo inteligentnym chłopcem. Powiedziano nam to, gdy tylko zaczął chodzić do szkoły. Inteligentne dzieci wymagają nieustannych wyzwań, by zaprezentować się z najlepszej strony. Być może nasz syn nie otrzymuje takich wyzwań pod pani opieką.

Linnea poczuła, że twarz jej czerwienieje, a gniew narasta, podczas gdy pani Severt pobłażliwym tonem mówiła dalej: — Jest pani tutaj nowa, panno Brandonberg. Przebywa pani u nas niespełna miesiąc, a już przykleja pani Allenowi etykietkę nicponia. W przeszłości miał pięciu nauczycieli. Wszyscy byli starsi, bardziej doświadczeni i wszyscy... byli mężczyznami. Czy nie wydaje się pani dziwne, że nasz syn jest takim nicponiem, a my nie usłyszeliśmy tego wcześniej?

— Lillian, nie sędę, aby panna Brandonberg...

— Ale ja sędę. — Pastorowa zmierzyla męża spojrzeniem o sile gromu.

— Panna Brandonberg stara się dojrzeć w naszym synu pozytywne cechy, Martinie. — Nawet gdyby nie kazała wcześniej pastorowi zamilknać, z pewnością uczyniłby to jej władczy wyraz twarzy. — I być może potrzebuje na to więcej czasu. Miejmy więc nadzieję, że gdy następnym razem przyjdzie na kolację, jej opinia będzie mniej krzywdząca.

Martin Severt zaczerwienił się z zakłopotania, a Linnea nie wiedziała, gdzie oczy podziać. Gorąco pragnęła opuścić już ten dom, by dać ujście napięciu, które groziło wybuchem.

— Tak, miejmy nadzieję — zgodziła się spokojnie, następnie złożywszy serwetkę i odsunawszy się od stołu, dodała: — Kolacja była wspaniała. Dziękuję za zaproszenie.

— Jest pani mile widzianym gościem. Drzwi domu pastora zawsze są dla pani otwarte — rzekła pani Severt, wyciągając dłoń.

Linnea wolałaby dotknąć węża, niemniej uścisnęła rękę gospodyni i wyszła z możliwie największą gracją.

Na górze, w swoim pokoju nad jadalnią, Allen Severt leżał na pokrytej linoleum podłodze, trzymając twarz nad kratką wentylacyjną. Przez jej metalowe pręty wyraźnie widział i słyszał, co się dzieje w pokoju na dole.

— Allen, zobaczysz, że wszystko powiem! — szepnęła Libby przez drzwi. — Wiesz przecież, że nie wolno ci podsłuchiwać przez kratkę. Obiecałeś tatusiowi, że nie będziesz tego robić.

Allen odsunął się od kratki powoli, żeby podłoga nie zaskrzypiała.

- Nauczycielka siedzi na dole i opowiada im cholerne łgarstwa na mój temat. Przez nią rodzice będą myśleć, że to ja jestem przyczyną kłopotów w szkole.

— Nie wolno ci także przeklinać! Wszystko powiem! Jednym krokiem znalazł się u boku siostry, boleśnie ściskając jej rękę.

— Tylko spróbuj, skarżypyto, a zobaczysz, co się stanie.

— Nic mi nie zrobisz. O wszystkim powiem tacie, a on każe ci recytować wersety.

— Tak myślisz, spryciuło? A co powiesz, jeśli zanurzę w nafcie ogonek twojej kotki? Widziałaś, jak tańczą takie koty, gdy przyłoży im się do ogona zapałkę?

Dziewczyńce zatrzęsła się bródka, do oczu napłynęły łzy.

— Taaa... — cedził Allen. — Pamiętaj o tym, jak będziesz szła na skargę do starego. Jeśli nauczycielka będzie dalej opowiadać o mnie takie bzdury, to nie z mojej winy stanie się to... co się stanie. — Jeszcze raz zerknął przez kratkę, po czym ze złością zacisnął zęby. — Patrzcie tylko, już jej nie ma! — powiedział i jakby już niczego nie potrzebował od siostry, odsunął ją na bok.

— Lawrence, przysięgam, że nigdy, przenigdy nie byłam taka zła! Jakież to wyniosły, głupi babsztyl! Klnę się na Boga, Lawrence, że gdyby to jej straszne gadanie trwało dłużej, rzuciłabym się na nią z pięściami!

Linnea kłusowała na grzbiecie Clippy tak rozwścieczona, że z oczu płynęły jej łzy, a złość ścisnęła gardło.

— Clippa, zwolnij, koniku! A ty, Lawrence, wróć tu zaraz! Jednakże Lawrence zniknął, Linnea zaś potrzebowała

kogoś, przed kim mogłaby dać upust emocjom. A tak się złożyło, że zaledwie ćwierć mili dzieliło ją teraz od domu Clary i Trigga. Spoglądając ku światłom jaśniejącym w ich oknach, przypomniała sobie zaproszenie Clary i doszła do wniosku, że jeszcze nigdy tak bardzo nie potrzebowała przyjaciela. Drzwi otworzył jej Trigg.

— Och, panna Brandonberg, cóż za niespodzianka! — zawołał, potem spojrzał na nią uważnie i zmarszczył brwi. — Czy coś stało się Teddy'emu?

— Nie, wszystko w porządku. Chodzi o to, że...

— Prosimy do środka!

W tym momencie za plecami Trigga pojawiła się Clara.

— Linnea! Cudownie! — chwyciła Linneę za rękę i wciągnęła do domu. — Maluchy będą niepokieszone! Są już w łózkach. — Och, to nie jest oficjalna wizyta. Po prostu przejeżdżałam obok i przypomniałam sobie, jak mówiłaś, że kawa zawsze czeka u was w dzbanku, a poza tym... — Linnea przerwała i gwałtownie mrugając oczami, próbowała opanować płacz.

— Coś się stało. Mów zaraz, o co chodzi.

— Sądzę... myślę, że... że potrzebni mi są... przyjaciele. Ciepła i wesół kuchnia utrzymana w żółtych barwach

tchnęła serdeczną gościnnością. Linneę ogarnęła taka fala rozgoryczenia, że nim zdołała się powstrzymać, w oczach zalśniły jej łzy. Clara objęła ją ramieniem i pociągnęła w stronę okrągłego dębowego stołu, gdzie naftowa lampa oświetlała talerze i filiżanki przygotowane z myślą o jutrzejszym śniadaniu. Gdy Clara sadzała Linneę na krzesło, Trigg poszedł po dzbanek z kawą.

— Masz zmarzniete ręce. Gdzie byłaś tak późno? — pytała Clara, siadając na wprost Linnei i rozcierając jej dłonie.

— Przepraszam za to najście i za wypłakiwanie się na twoim ramieniu, ale jestem taka zdenerwowana... i... i...

— Przez Teddy'ego?

— Nie, przez Allena Severta.

Clara usiadła z pełną zrozumienia miną.

— Ach, przez tego gnojka.

Nieoczekiwanie Linnea się roześmiała. Patrząc na Clarę i cały ciężar najwyraźniej spadł jej z serca. Wiszące na rzesach łzy nagle wyparowały, kłopotliwe sprawy przestały być tak irytujące. Jakże lubiła tę kobietę!

— To naprawdę nieznośny smarkacz. Już wiele razy sama chciałam go tak nazwać

— Bent zawsze mi opowiada, co się dzieje w szkole. Cóż więc Allen

zmalował tym razem?

— Tym razem nie tyle Allen, ile jego rodzice — odparła Linnea, z irytacją kręcąc głową. — Jego matka! O Boże!

Clara uśmiechnęła się, odwróciła i napełniła kawą trzy filiżanki.

— A zatem już poznałaś Lillian „z plemienia Hunów”? Linnea znowu się zaśmiała, rozbrojona otwartością tej kobiety.

— Jak to dobrze, że się śmiejesz — powiedziała z zadowoleniem Clara.

— Lepiej się czujesz?

— O wiele lepiej!

— No to opowiadaj, co się stało.

Linnea, relacjonując najważniejsze punkty spotkania z rodzicami Allena, ujrzała gniew narastający w Clarze.

— Jak nazwała naszą Frances?

— Tępą. Wyobrażacie sobie żonę pastora mówiącą coś takiego?!

— Lillian uważa, że będąc żoną pastora ukryje wiele grzechów, choćby takich jak krytykowanie innych, by samej wyglądać dobrze. Szkoda, że nie słyszałaś, co mówi na zebraniach Koła Pań. — Clara wzdrygnęła się na to wspomnienie, szybko odsuwając je od siebie. — No cóż, nie chcę się w to wdawać, ale w całej okolicy nie znajdziesz nikogo, kto by powiedział o niej coś dobrego. Nikt jej nie lubi już od pierwszej niedzieli, gdy stojąc obok wielebnego na kościelnych schodach, pławiła się w odbitym blasku. I pomyśleć, że miała czelność mówić ci, że nie spełniasz swego zadania, skoro to jej półdiabłą przez wszystkie lata doprowadzało nauczycieli do szaleństwa! Znam kilku, którzy nie pozostali w naszej szkole właśnie przez Allena. Posłuchaj, Linneo, dzieci bardzo dobrze o tobie mówią. Nie zapominaj o tym. Lillian przez całe życie wybiela swego dzieciaka. I będzie to robić aż do chwili, gdy Allen popełni coś takiego, z czego nie będzie mogła go oczyścić...

— Clara przerwała, a następnie zapytała: — Opowiedziałś o tym Teddy'emu?
Zdumiona Linnea otworzyła szeroko oczy.
— Nie.
— Myślę, że jeśli Allen nadal będzie tak postępował, powinnaś porozmawiać z Teddym.
— Nie, chyba nie — pokręciła głową Linnea. — Teodor nie lubi, żeby zwracać mu głowę szkołą.
— Ostatnio jest nieco gderliwy, tak? Nie daj się zwieść temu wrażeniu. Obchodzą go te sprawy bardziej, niż przypuszczasz. Uwierz mi na słowo, jeśli Allen nadal będzie się tak zachowywał, porozmawiaj z Teddym.
— Dobrze, zastanowię się — odparła Linnea. Dzbanek był już pusty, a Trigg tłumiał ziewanie. — Późno już — stwierdziła. — Bardzo u was miło, ale naprawdę muszę już iść.
W drzwiach Linnea i Clara wymieniły zwyczajowe uprzejmości, ale w ostatniej chwili jeszcze serdecznie się uściśnięły.
— Bądź ostrożna, jadąc teraz do domu.
— Dziękuję, będę uważać.
— I odwiedzaj nas, kiedy zechcesz.
— Z pewnością znowu przyjadę. Zapraszam do siebie. Gdy dotarła do domu, w stajni było już ciemno i cicho.
Zgodnie z instrukcjami Teodora zapaliła lampę, by odłożyć siodło i wyprowadzić Clipkę do najbliższej zagrody, ledwie jednak zaczęła rozmotywać węzeł popręgu, za jej plecami bezgłośnie stanął Teodor.
— Późno pani wraca!
Podskoczyła i odwróciła się, przyciskając rękę do serca.
— Och, nie wiedziałam, że pan tu jest.
Był bardzo zdenerwowany. Chodził z kąta w kąt, nasłuchując stukotu podków, i zastanawiał się, co też mogło ją spotkać. Bezpieczny powrót Linnei

do domu przyniósł mu ulgę, której wszakże wciąż towarzyszyła niewytłumaczalna irytacja.

— Powinna pani mieć na tyle rozumu, żeby tak długo nie przebywać poza domem! Przecież mogło się pani przytrafić coś złego.

— Wpadłam z wizytą do Clary i Trigga.

Stał na wyciągnięcie ręki, na jego twarzy wciąż widniało niezadowolenie.

— Nie jest pani w swoim mieście.

— Prze... przepraszam. Nie wiedziałam, że będzie pan czekać.

— Nie czekałem!

A jednak czekał i oboje o tym wiedzieli. Teraz zaś, gdy tak patrzył groźnie, znów doznała tego szalonego, cudownego uczucia, które wypełniając jej piersi, gotowe było wybuchnąć.

A niech cię, dziewczyno, nie patrz na mnie w ten sposób, myślał, spoglądając na jej strapioną twarz, która niemal nie skrywała tego, co Linnea czuła.

Serce biło mu mocno. Jakże pragnął jej dotknąć! Chciał powiedzieć, że przykro mu, iż krzyknął; to naprawdę miało niewiele wspólnego z jej późnym powrotem. Zamiast tego sięgnął do węzła popręgu.

— Proszę iść do domu — rzekł łagodniej. — Zajmę się Clippą.

— Dziękuję panu, Teodorze — odparła miękko. W milczeniu skinął głową, skupiając się na swoim zadaniu.

Patrzyła na niego uważnie, gdy się odwrócił, ale znowu zamknął się w sobie i odsunął. Czemu tak bardzo obawiasz się tego, co zaczynamy czuć? zastanawiała się. Nie ma się czego bać. I przecież czekałeś, żeby się przekonać, że bezpiecznie wróciłam do domu. Czekając, Teodorze, czy chcesz to przyznać, czy nie.

Jednakże te myśli zachowała dla siebie i bezszelestnie wyślizgnęła się ze

stajni, pozostawiając go tam, by walczył ze swymi uczuciami.

W następnych dniach Linnea odwiedziła domy pozostałych uczniów, jedząc w nich kolacje i poznając ludzi, z których życiem była tak ściśle związana. Stwierdziła, że są bardzo zasadniczy, pracowici i raczej dość powściągliwi. Na ich tle spontaniczna Clara była prawdziwym wyjątkiem. Wszyscy jednak okazywali uprzedzającą uprzejmość nowej nauczycielce, nawet jeśli lekceważyli maniery obowiązujące przy stole.

Bliźnięta Lommenów miały pewien szczególny urok wynikający z ich nieustannej pogodnej rywalizacji, która pobudzała ich do życia i nieustannych starań, by okazać się miłymi nie tylko w szkole, lecz również w domu.

Dom Oskara Knutsona wprowadził Linneę w zdumienie takim nieporządkiem, że jego mieszkańcy wydawali się żyć na wolnych miejscach między stosami zbędnych przedmiotów. Linnea powzięła ciche postanowienie, że pewnego dnia urządzi w szkole „dzień porządków”, próbując w ten sposób nauczyć Jeanette zamięłowania do ładu. Wizyta w tym domu wszakże, mimo panującego w nim bałaganu, była sukcesem. Linnea nie tylko rozkoszowała się wyborną kolacją, ale również miała okazję do rozmowy o takich rzeczach, jak jasełka, konkursy ortograficzne i loteria fantowa, którą chciała zorganizować, aby zebrać fundusze na zakup prawdziwego biurka nauczycielskiego.

Druga wizyta u Clary i Trigga scementowała przyjaźń między nimi i od tej chwili Linnea uważała Clare za swoją powiernicę.

W trakcie poznawania innych Westgaardów wzrósł szacunek Linnei do ich matki. Nissa wychowała wrażliwe, czułe dzieci... może z wyjątkiem Teodora, który wydawał się najmniej miły i najmniej czuły ze wszystkich. Szczególnie od owego wieczoru w stajni. Bardzo rzadko odtąd rozmawiali i schodzili sobie z drogi, ale to, iż starsi chłopcy wciąż nie chodzili do szkoły, boleśnie ją raniło. Ilekroć siadała przy stole naprzeciwko Teodora, miała ochotę rzucić się na niego i żądać, by oddał syna pod jej codzienną opiekę.

Październik przyniósł chłodniejszą pogodę. W szkole Allen Severt nadal dręczył Rosie i Frances. Dokuczał im bardziej niż inni, ale zawsze robił to wystarczająco sprytnie, żeby nie dać się złapać. Chował Rosie woreczek śniadaniowy, niekiedy wyjadał z niego najsmaczniejsze kanapki, a potem oskarżał o to kogoś innego. Kiedy ze łzami przybiegała do nauczycielki, Allen się wyśmiewał, naśladując jej płaczliwe seplenienie.

Systematycznie pracował też nad skróceniem lewego warkoczyka Frances. Tylko lewego. Robił to w taki sposób, żeby niczego nie można mu udowodnić — obcinał jednorazowo nie więcej niż kilka milimetrów, nie pozostawiał resztek włosów. Jego postępek wyszedł na jaw dopiero wtedy, gdy lewy warkoczyk Frances stał się wyraźnie krótszy.

Pewnego dnia w czasie południowej przerwy Linnea znalazła w szatni płaczącą dziesięciolatkę. Dziewczynka siedziała na samym końcu jednej z długich ławek. Szlochając z buzią ukrytą w dłoniach, wyglądała ze zwisającymi warkoczykami i wystającymi szczupłymi łopatkami tak smutno, że jej widok rozdzierał serce.

— Frances, co się stało, kochanie?

Frances odwróciła się do ściany i ukryła twarz w kurtce zwisającej z wieszaka, ale ramiona jej drżały. Linnea usiadła obok i przytuliła płaczącą dziewczynkę. Choć było niewskazane, aby nauczycielka miała wśród uczniów ulubieńców, Linnea musiała ulec urokowi Frances: słodkiego, spokojnego, niekłopotliwego dziecka, które ze wszystkich sił starało się podobać pod każdym względem. Jakby zdając sobie sprawę z własnych ograniczeń w nauce, próbowała wynagrodzić je drobnymi uprzejmościami: ulubionym ciasteczkiem zostawionym na dzienniku Linnei, chrupiącym czerwonym jabłkiem położonym w rogu nauczycielskiego stołu, gotowością do poukładania podręczników, wytarcia tablicy albo zawiązania sznurowadeł tym maluchom, które jeszcze nie umiały tego robić.

— Powiedz, proszę, dlaczego jesteś taka nieszczęśliwa.

— Nnie... nie mogę — szlochało dziecko.

— Czemu nie możesz?

— Bo... bo pani po... pomyśli, że... że jestem głupia. Linnea pogłaskała Frances po plecach i spojrzała na jej pyzată smutną buzię.

— Nikt nie myśli, że jesteś głupia.

— Allen tak myśli.

— Nie, wcale nie.

— On... on nie tylko tak myśli... naprawdę. On... cały czas mówi, że... że jestem... tępa.

W Linnei zapłonął gniew.

— Wcale nie jesteś głupia, Frances, więc po prostu przestań o tym myśleć. Czy właśnie dlatego płakałaś? Allen coś ci powiedział?

Frances ze smutkiem pokręciła głową.

— No to co się stało?

W końcu wydało się wszystko — sekret, którego nauczycielka miała nie poznać. Otóż największym marzeniem Frances była rola aniołka w jasełkach, bo aniołki zawsze nosiły długie białe szaty, a ich rozpuszczone włosy ozdabiały iskrzące się aureole. Jej zaś włosy zamiast rosnać, robiły się coraz krótsze i dziewczynka bała się nie tylko tego, że nie wystąpi w roli aniołka, lecz również tego, że łysieje.

Linnea musiała z całej siły panować nad sobą, by nie wybuchnąć śmiechem. Mocno objęła Frances, wytarła jej policzki.

— Czy słyszałaś kiedyś, by małe dziewczynki łysiały? — zapytała, zmuszając się do poważnej miny. — Tylko dziadkowie łysieją.

— T... to dlaczego m... moje włosy... robią się coraz krótsze?

Linnea żwawo odwróciła dziewczynkę, aby to zbadać.

— Wcale nie wydają mi się krótsze — powiedziała.

— Ale są. Jeden warkoczyk jest krótszy.

— Jeden?

— Ten — odparła dziewczynka, przerzucając przez ramię lewy warkoczyk. Po bliższych oględzinach stało się oczywiste, że włosy dziewczynki były przycinane, i to niezbyt starannie. Linnea ujęła koniec warkoczyka i czule musnęła nim Frances po nosie.

— A może sama go trochę zjadłaś? Czy nie ten warkoczyk ssiesz czasem, gdy starasz się rozwiązać jakieś zadanie z arytmetyki?

Frances opuściła bródkę z nieśmiałym uśmiechem, od którego nie mogła się powstrzymać, choć policzki wciąż miała mokre od łez.

— Mam pomysł — z powagą mówiła dalej Linnea.

— Dopóki nie dowiesz się, czy naprawdę łysiejesz i czemu tak się dzieje tylko po jednej stronie głowy, może poprosisz mamę, żeby upinała ci warkoczyki w koronę... taką jak moja, widzisz?

— Linnea obróciła głowę, pokazując Frances jej tył, po czym na próbę uniosła ciemnoblonde warkoczyki dziewczynki.

— Wystarczy kilka spinek, które podtrzymują włosy tak bezpiecznie, że nikt nie widzi, czy są długie czy krótkie.

Następnego dnia Frances z dumą prezentowała koronę z warkoczy, których Allen nie mógł już przycinać. Ta zmiana pozwoliła uporać się ze skutkami, lecz nie rozwiązała problemu, ponieważ dwa dni później ktoś wyciął dziurę w tylnej ścianie dziewczęcej ubikacji.

Linnea była pewna, że zrobił to Allen, nie miała jednak dowodu. Miała za to niemiłe uczucie, że im poważniejsze stają się jego wybryki, tym większą znajduje przyjemność w oglądaniu cierpienia innych.

Postanowiła porozmawiać o tym z Teodorem.

ROZDZIAŁ 11

Tego samego wieczoru poszukała go i zastała w szopie z narzędziami, gdzie robił nową łopatkę do skrzydła wiatraka. Przytrzymując kolanem drewnianą listwę, stał plecami do wejścia.

Linnea zatrzymała się przed drzwiami z wysokim progiem i przyglądała się chwilę jego ramionom, potem rozejrzała się po szopie.

Podobnie jak w siodlarni, również tutaj panował porządek. Oglądała ten niemal pedantyczny ład, uśmiechając się do siebie. Hilda Knutson mogłaby pobierać lekcje u Teodora. Szopa była przytulna. Lampa dawała dość ciepła, by ogrzać mały budynek bez okna, który pachniał świeżo ściętą sosną i olejem lnianym. W jednym rogu wznosił się stos puszek z farbą. Na ścianie wisiały raki do chodzenia po śniegu, sidła, potrzaski i rzemienie. Były tam także dwie niewielkie beczułki gwoździ i zwój drutu kolczastego. Nieopodal stała wytarta miotła. Wzrok Linnei padł na trociny okrywające but Teodora i wyobraziła go sobie, jak ściera je po zakończeniu pracy. To upodobanie do porządku już jej nie irytowało tak jak wtedy, gdy przyjechała. Teraz wydawało się godne podziwu.

— Panie Teodorze, czy moglibyśmy porozmawiać? Odwrócił się tak pospiesznie, że deszczułka spadła z trzaskiem na podłogę. Policzki pokryły mu się szkarłatem.

— Wygląda na to, że nawzajem przyprawiamy się o wstrząs — zaryzykowała.

— Co pani tu robi? — rzekł z niezadowoleniem, choć wcale nie chciał, aby tak to zabrzmiało. Ostatnio robił co w jego mocy, by jej unikać, a teraz jej widok sprawił, że palce ślizgały mu się po rączce piły.

— Mogę wejść?

— Niewiele tu miejsca — odparł, podnosząc deseczkę i ponownie zabierając się do pracy.

— Och, wystarczy. Stanę z boku, żeby nie przeszkadzać — powiedziała, wchodząc i sadowiąc się na odwróconej beczce. — Panie Teodorze, mam problem w szkole i zastanawiałam się, czy mogłabym z panem o nim porozmawiać. Potrzebuję czyjejś rady.

Piła przestała pracować i Teodor podniósł wzrok. Nikt nigdy nie prosił go o radę, a w każdym razie nigdy nie prosiła go o to żadna kobieta. Mama była dyktatorką, Melinda zaś nawet nie zadała sobie trudu, by dać mu znać, że zamierza stanąć w jego progu z nadzieją, że się z nią ożeni. Dwa lata później nie poinformowała go również, że odchodzi. A oto Linnea siedziała tutaj, zdumiewając go samą obecnością, upozowana niczym nimfa na tej beczce gwoździ, z rękami splecionymi na kolanach. Jej wielkie niebieskie oczy spoglądały poważnie. Ona chciała jego rady.

Teodor poniechał pracy i patrzył na nią z uwagą.

— O co chodzi?

— O Allena Severta.

— O Allena Severta... — zmarszczył brwi. — Sprawia pani kłopoty?

— Tak.

— Dlaczego przychodzi pani z tym do mnie?

— Ponieważ jest pan moim przyjacielem.

— Ja? — zapytał zaskoczony. Nie zdołała stłumić śmiechu.

— Cóż, myślałam, że pan nim jest. Poza tym Clara powiedziała, że jeśli Allen nie przestanie sprawiać mi kłopotu, powinnam porozmawiać z panem.

Teodor nigdy przedtem nie miał przyjaciela. Jego jedynymi przyjaciółmi byli bracia i siostra, a potem bratowe i szwagier. Mieć przyjaciela... Brzmiało to całkiem miło, chociaż nie był pewien, czy dobre samopoczucie nie zawiedzie panny Brandonberg. Ale skoro Clara uważała, że powinien się

wszystkiego dowiedzieć, to jej wysłucha. Odłożył piłę, usiadł na drugiej beczce i splótł ręce.— I cóż takiego zrobił Allen?

— Niewiele potrafię dowieść. Jest moim utrapieniem od pierwszego dnia: dokucza młodszym dzieciom i otwarcie mnie prowokuje irytującymi drobiazgami. Kradnie dzieciom śniadania, nadgryza im ciastka i kanapki. Ale teraz wziął się na Frances i...

— Na Frances? Ma pani na myśli naszą małą Frances? — zapytał, prostując ramiona i rozplatając ręce. Gdy tak się zjeżył obronnie, wydawał się jeszcze silniejszy i bardziej imponujący.

A więc Frances tak bardzo go obchodziła? Linneę wzruszyło, że nazwał dziewczynkę naszą.

— Wyzywa ją od tępych. Bardzo trafnie znajduje słabości innych dzieci i szydzi z nich. Ale nie to jest najgorsze. Podejrzewam, że to on podcinał warkoczyk Frances, a pewnego dnia zamknął ją w ubikacji i przez otwór w drzwiach wpuścił tam zaskrońca.. Teraz dziewczynki znalazły dziurę wyciętą w tylnej ścianie. Nie mogę tego udowodnić, lecz w Allenie jest coś, co... — uniosła ramiona, potem je skuliła, jakby przejął ją dreszcz.

Mina Teodora wyrażała coraz większe niezadowolenie. Siłą narzucając sobie spokój, zaciskał ręce na krawędzi beczki.

— Czy pani również coś zrobił?

Szybko podniosła wzrok, nie mając zamiaru mówić, że chłopiec dokucza jej bardzo. Jej osobiste obawy i złe przeczucia wiążące się z Allenem były zbyt mgliste, by mogła wyrazić je głośno. Poza tym czułaby się okropnie głupio, opowiadając Teodorowi, że Allen wpatruje się w jej biust. Każdy chłopiec w pewnym wieku zaczyna interesować się dziewczętami. W przypadku Allena nie chodziło o to, że wpatrywał się w jej piersi, lecz o to, jak to czynił; wyrażenie tego słowami było zbyt trudne.

— Och, nie, nie. Nic mi nie zrobił. Nie ma o czym mówić, zważywszy

na to, co robi innym. Drobiazg... Tyle że to narasta. Ale najbardziej mnie martwi, że chyba podoba mu się własna złośliwość i dręczenie ludzi.

Teodor podniósł się jednym szybkim ruchem. Sprawiał wrażenie, że chciałby nerwowo przemierzać to wnętrze, lecz szopa była za mała.

Zmarszczywszy brwi, obrócił się do Linnei.— Rozmawiała pani o tym z jego rodzicami?

— Próbowałam. I od razu zrozumiałam, że matka Allena nie zamierza wierzyć ani jednemu mojemu słowu na temat jej złotego synka. Tak go zepsuła i tak oszukuje samą siebie, że nie można do niej dotrzeć. Przez chwilę myślałam, że może znajdę nieco wsparcia ze strony wielebnego Severta, ale... — wzruszyła ramionami — on chyba uważa, że jeśli Allen przez całe życie czyta Biblię, to będzie świętym. — Linnea zaśmiała się ponuro, spoglądając w podłogę.

— Martin nie jest zły. Rzecz w tym, że żona tak dawno owinęła go sobie na palec, że już nie wie, jak się jej postawić.

— Wokół palca — poprawiła bezwiednie.

— Wokół palca — powtórzył bez namysłu. Linnea spojrzała na niego niepewnie.

— Nie jestem pewna, czy uda mi się cokolwiek z Allenem bez ich pomocy.

Jakiś niepokój przeszył Teodora. Mocniej przycisnął dłonie do ramion.

— Boi się pani Allena?

— Czy się go boję? — Linnea na ułamek sekundy popatrzyła mu w oczy i zaraz umknęła wzrokiem w bok. — Nie.

Nie uwierzył jej. Nie w pełni. O czymś mu nie powiedziała, czegoś nie wyznała, bo nie chciała, żeby o tym wiedział... A jeśli nawet niczego nie ukryła, i tak należało się zatroszczyć o małą Frances. Dziewczynka była ulubienicą Teodora, jednym z tych dzieci, które nigdy nie zapomniały o wujku

Teddy, gdy nadchodziło Boże Narodzenie. Zawsze dawała mu woreczek z wonnymi ziołami, żeby umieścić go w swojej komodzie. Woreczek z wonnościami... Wąchał go i zastanawiał się, co też by pomyśleli bracia, gdyby pokazał im się kiedyś w czystym kombinezonie, pachnąc kwiatami pomarańczy i goździkami. Zawsze jednak umieszczał woreczek w szufladzie komody, żeby Frances chociaż raz poczuła na nim ten zapach i uśmiechnęła się z zadowoleniem bezzębną buzią. Dopiero wtedy usuwał zapachowy woreczek z szuflady.

Odświeżywszy w pamięci to wspomnienie, powziął nagłą decyzję.

— Chcę, żeby to wszystko opowiedziała pani teraz Kristianowi, a później przygotowała dla niego ławkę, bo w poniedziałek rano przyjdzie do szkoły. Potem Allen będzie się już bardziej pilnował, chcąc dokuczyć Frances. Linnea otworzyła usta ze zdumienia.

— Mam to opowiedzieć Kristianowi i Kristian...? Teodor... uparty Teodor... cóż to był za widok! Oczy pociemniały mu do koloru węgla, wysunął brodę do przodu, wypiął tors, który jeszcze spotężniał — stał niczym rzymski gladiator z ramionami odrzuconymi do tyłu i wargami zaciśniętymi w gniewnym postanowieniu.

— Małemu Severtowi potrzeba tylko kogoś większego niż on, by wziąć go w karby w jednej chwili.

Linnea wpatrywała się w Teodora, a uśmiech powoli rozjaśniał jej twarz.

— No proszę, panie Teodorze!...

— Co: „no proszę, panie Teodorze”?

— Zrezygnuje pan z pomocnika w pracach polowych, by chronić kogoś, na kim panu zależy?

Porzucił pozę wojownika i spojrzał na nią marszcząc brwi.

— Niech pani nie patrzy na mnie z taką zadowoloną miną, panno nauczycielko. Frances podarowała mi kiedyś na gwiazdkę woreczek z

pachnącymi ziołami i...

— Woreczek z pachnącymi ziołami! — Linnea zachichotała.

— Proszę się nie śmiać. Oboje wiemy, że Frances nie jest tak lotna jak reszta dzieci, ale ma serce ze złota. Chętnie sam potrząsnąłbym raz czy dwa tym małym Severtem za to, że jej dokucza. Ale nie ma obawy. Od tej chwili Kristian będzie miał oko na wszystko.

W poniedziałek nie tylko Kristian przyszedł do szkoły, ale również pozostali starsi chłopcy. Jakby równocześnie zwolniła ich z prac polowych jakaś tajemnicza siła.

Ich przybycie dokonało znaczącej zmiany w szkolnej klasie, która przyjemnie wypełniła się atmosferą pracy i niezwykłości. Było to szczególnie widoczne wśród młodszych uczniów, którzy uwielbiali starszych. Między starszymi chłopcami i najmłodszymi dziećmi nawiązała się nieoczekiwane więź koleżeńska. Więksi chłopcy nie tylko nie unikali mniejszych, ale pomagali im i uspokajali, gdy któryś z maluchów przewrócił się albo skaleczył, i w ogóle cierpliwie znosili ich dziecinne pomysły.

Szkolne boisko także znacznie się ożywiło. Nadszedł kres polowań na susły i nie było niczym niezwykłym, że w czasie południowej przerwy wszyscy, łącznie z nauczycielką, grali w piłkę.

Linnea to uwielbiała. Prowincjonalna szkoła budziła całkiem inne uczucia niż szkoła miejska. Nigdy wcześniej nie doświadczała czegoś takiego. Przypominało to pełne uczestnictwo w licznej, rozległej rodzinie. Widok szesnastolatka podnoszącego i otrzepującego z kurzu płaczącą siedmioletnią dziewczynkę, która się przewróciła, był wspaniałym przeżyciem, a widok starszej dziewczynki uczącej młodszą koleżankę zawiloci zaplatania francuskich warkoczy wywoływał uśmiech na twarzy Linnei. Pewnego dnia, patrząc na swoich uczniów, uświadomiła sobie coś zdumiewającego.

Wszak oni uczą się, jak być rodzicami!

Teraz, gdy wszyscy chłopcy byli obecni, podjęła temat, który od dawna chciała wprowadzić.

— Chyba Szekspir powiedział, że niespokojne posiłki zakłócają trawienie, ale ośmielam się sądzić, że Szekspir nigdy nie siedział przy stole z gromadą głodnych Norwegów. Dziś zajmiemy się problemem obowiązującej przy stole etykiety, która obejmuje towarzyski urok prowadzenia miłej konwersacji.

Chłopcy spojrzeli na siebie, parszając śmiechem. Linnea, przemierzając tam i z powrotem przestrzeń przed ławkami z rękami wspartymi na biodrach, ciągnęła niezrażona:

— Zanim jednak zajmiemy się kwestią konwersacji, zaczniemy od problemu bekania przy stole.

Gdy śmiech ucichł, uczniowie nagle zdali sobie sprawę, że panna Brandonberg wcale nie żartuje. Stała przed nimi pełna opanowania oraz cierpliwości i czekała. Kiedy zaś przemówiła ponownie, żaden z uczniów nie miał wątpliwości, że mówi poważnie.

— Chcę, żebyście wyraźnie zrozumieli: dopóki ja będę tutaj uczyła, nikt w tej klasie nie usłyszy więcej bekania.

Nie minęło więcej niż pięć sekund, gdy z miejsca, gdzie siedział Allen Severt, dobiegło głośne beknięcie, które echem odbiło się od krokwi stropu. Po nim zaś rozległ się śmiech głośniejszy niż przedtem. Linnea przeszła między ławkami, stanęła spokojnie obok Allena i szybkim ruchem trzepnęła go w głowę tak mocno, że niemal spadł z krzesła. Śmiech urwał się gwałtownie jak ucięty.

— W tej sytuacji należy powiedzieć: „Proszę mi wybaczyć”. Zechciej, proszę, skierować je do kolegów, Allen — rzekła cichym głosem.

— Proszę mi wybaczyć — powtórzył jak papuga Allen, wciąż zbyt oszołomiony, by zareagować inaczej.

Było to w rzeczy samej ostatnie beknięcie, jakie Linnea usłyszała w swojej szkole, lecz Allen nie zapomniał uderzenia.

Październik przyniósł pierwsze przymrozki i pierwszych najemnych robotników. Wychodząc pewnego popołudnia z domu, Linnea zobaczyła nieznanego, który rozmawiał z Nissą koło wiatraka.

— Linneo, podejdź tutaj! Poznaj Kopa!

Kop, jak się okazało, przyjeżdżał do pracy u Westgaardów od dwunastu lat. Kępny, rumiany polski rolnik z Minnesoty zawdzięczał przydomek okragłej puszki tabaki „Kopenhaskiej”, którą zawsze nosił w kieszeni na piersiach kombinezonu. Zdejmując płaską wełnianą czapkę, potrząsnął dłonią Linnei i powiedział coś, co brzmiało jak „śliczna dziewczuszka”, po czym splunął brunatną śliną i zapytał, gdzie są pozostali robotnicy.

Po Kopie zjawili się Jim, potem Stan i jeszcze sześciu innych. Pięciu już tu bywało, trzech najęło się do Westgaardów pierwszy raz.

Jednym z nowych był młody „elegant”, który przewędrował całą Montanę w kowbojskich butach i wytartym kapeluszu oraz z nabijanym srebrem pasem. Włosy miał ciemne i lśniące jak wypolerowany onyks, a uśmiech nęcący jak wiatr.

Podobnie jak Kop, ona także rozmawiał z Nissą, tyle że w drzwiach kuchennych, kiedy Linnea zobaczyła go po raz pierwszy. Wracała właśnie ze szkoły z dziennikiem i zeszytami.

— Kto to jest? — zapytał przeciągle, gdy podeszła.

— To panna Brandonberg, miejscowa nauczycielka. Mieszka u nas — odparła Nissa, wskazując następnie głową w jego stronę, by poinformować Linneę. — To Rusty Bonner, właśnie go zatrudniliśmy. Linnea zaczerwieniła się gwałtownie. Nigdy w życiu nie widziała tak pociągającego mężczyzny.

— Panno Brandonberg... — wycedził przeciągle. — Miło mi panią poznać — rzekł i zsuwając kciukiem kapelusz, odsłonił przykuwającą uwagę

oczy, których kąciki opadały w dół, gdy się śmiał, i niesforne czarne loki nad czołem. Powolnym ruchem wyciągnął rękę. Zanim Linnea jej dotknęła, wiedziała, jaka będzie ta dłoń: twarda i silna.

— Dzień dobry, panie Bonner — powiedziała, starając się, by ów uścisk był krótki.

Bonner jednak zatrzymał jej dłoń nieco dłużej, niż wymagała tego uprzejmość, zaciskając swą surową rękę na jej delikatnych palcach.

— Na imię mam Rusty, czyli Rdzawy — nalegał na poufałość, przeciągając słowa.

Rdzawą miał tylko skórę. Opalona na głęboki mahoniowy brąz tak harmonizowała z mrocznym, leniwym uśmiechem, że z pewnością zostawił za sobą sznur złamanych serc od Teksasu aż do granicy z Kanadą. Był o głowę wyższy od Linnei i chudy jak tyczka, co sprawiało wrażenie, że trzyma się głównie dzięki ścięgom.

— Rusty... — powtórzyła, błyskając nerwowym uśmiechem najpierw ku niemu, a potem w stronę Nissy.

— Teraz dobrze. Śliczna z pani kobieta, panno Brandonberg. Muszę się zastanowić, ile straciłem, kiedy opuszczałem szkołę, żeby chodzić na rodeo.

Czerwieniąc się, opuściła wzrok na jego znoszone buty i śpiwór leżący na ziemi. Stał, ugiąwszy jedno kolano, w pozie pewnego siebie kobieciarza, uśmiechając się do niej leniwie tymi diabelsko urzekającymi oczami, które patrzyły tak, jakby oceniały jej wymiary i wiek.

Nissa wyczuła, że to nie jest towarzystwo dla Linnei.

— Śpiwór połóż w stodole — poleciała Rusty'emu. — Będziesz tam spać z pozostałymi chłopcami. Ciepła woda do kąpieli będzie na godzinę przed zachodem słońca, a śniadania w domowej kuchni, dopóki nie przyjedzie tu kuchnia polowa.

Jako niepoprawny czaruś Rusty Bonner nie był grymaśny, jeśli chodzi o

osobę, której demonstrował swój czar, byle tylko owa osoba była kobietą, teraz więc obrócił ku Nissie spojrzenie wyrażające identyczny podziw. — No cóż... dziękuję pani... — powiedział przeciągle i zdjął kapelusz. — To bardzo... uprzejme... z pani strony.

Potem leniwie schylił się po śpiwór i jednym palcem zarzucił go sobie na ramię. Nasunawszy rondo kapelusza na oczy, niespiesznie ruszył ku stodole, a jego biodra kołysały się jak sosny w lekkim wietrze.

— Ufff! — odetchnęła Nissa, potrząsając głową.

— Ojej... — zawtórowała jej Linnea, przyglądając się, jak tylne kieszenie Rusty'ego falują na jego obcisłych niebieskich dzinsach.

Nissa zerknęła na Linneę.

— Zdaje się, że popełniłam wielki błąd, najmując go do pracy — powiedziała, a potem wycelowała palec w Linneę.

— Trzymaj się od niego z daleka, słyszysz?

— Ja?! — oczy Linnei rozszerzyły się niewinnie. — Przecież j a nic nie zrobiłam!

Niezadowolona Nissa ruszyła do domu.

— Przy nim kobieta nic nie musi robić.

Była niedziela, ostatni dzień ciszy poprzedzającej ryk parowych młocarni, który miał wdrzeć się w prerię. Topole zrzucały już liście złote niczym monety, dzikie króliki były grube jak kolejne wcielenia Buddy, a kiedy piżmaki napelniały podwodne spiżarnie, ich futra były tak gęste, że stercząc wokół szyj przypominały krezy.

Na wietrze było chłodno, ale pod osłoną nie zżętego jeszcze prosa, w promieniach słońca wdzierających się do ich kryjówek, Kristian i Ray próżnowali niczym para zadowolonych psiaków z brzuchami wystawionymi do słońca. Chłopcy zdawali się ukształtowani tak samo: byli podobnego wzrostu i wciąż mieli za dużo kości jak na ilość dopiero rozwijających się

mięśni. Kręcąc głowami, obserwowali białe obłoki przesuwane się po kobaltowobłękitnym niebie.

— W tym roku zapoluję na norki — oświadczył Kristian.

— Na norki?! — ze znajomością rzeczy zachichotał Ray.

— Powodzenia! Lepiej zapoluj na piżmaki.

— Zostało jeszcze mnóstwo nerek. Złapię je.

— Upolujesz jedną na dziesięć moich piżmaków.

— No i dobrze. Ja poluję na norki. Jakaś nuta w głosie Kristiana kazała Rayowi unieść głowę i spojrzeć na kuzyna.

— O co chodzi z tymi norkami?

— O nic — mruknął Kristian z zamkniętymi oczami. Ray popatrzył na niego nieco dłużej, a potem znów legł na

plecach i zagapił się w niebo. Z oddali dobiegł ich słaby odgłos przypominający wyciąganie starych gwoździ z nowego drewna, który po chwili przeszedł w nieomylnie rozpoznawalny skrzek kanadyjskich dzikich gęsi kierujących się ku Missisipi. Chłopcy obserwowali, jak z ledwie widocznych punktów na niebie utworzyło się wyraźne stado.

— Ray, myślisz czasem o wojnie?

— Tak... trochę.

— Latają tam samolotami. To by było coś... polecieć takim samolotem... jak myślisz?

Nadleciał klucz gęsi, które szyjami wskazując drogę ku Florydzie, poruszały skrzydłami z taką gracją, że nawet chłopców ogarniał podziw. Patrzyli i słuchali, poruszeni odgłosem, który wzburzył w nich krew. Początkowa kakofonia przeszła w klekot, który wypełnił powietrze nad polem, a potem uleciał, cichnąc coraz bardziej, aż wdzięczne stworzenia zniknęły w oddali, jedynym zaś dźwiękiem, jaki pozostał, był szelest wiatru w trawie i bicie chłopięcych serc.

— Pewnego dnia zobaczę ten świat stamtąd, z góry... — szepnął Kristian.

— Chcesz powiedzieć, że wyruszysz do Francji na wojnę tylko po to, żeby przelecieć się samolotem?

— Nie wiem. Może.

— To głupie. A poza tym nie jesteś jeszcze pełnoletni.

— Niedługo będę.

— Daj spokój, to głupie.

Kristian pomyślał przez chwilę i doszedł do wniosku, że Ray chyba ma rację. Prawdopodobnie to rzeczywiście głupie. Ale tak bardzo chciał już dorosnąć i być mężczyzną!

— Ray?

— Co?

— Myślisz czasem o kobietach?

Ray roześmiał się śmiechem równie ochrypłym jak wołanie gęsi.

— Czy niedźwiedź sra w lesie? Teraz śmiali się razem, czując ów męski i jakże cudowny udział w zakazanym języku, z którym dopiero ostatnio zaczęli eksperymentować.

— Myślałeś kiedyś o podarowaniu kobiecie czegoś, co kazałoby jej spojrzeć na ciebie inaczej? — zapytał Kristian od niechcienia, jakby na wpół śpiąco.

— Na przykład czego?

Zapadła cisza. Kristian zerknął na kuzyna, po czym wrócił do oglądania chmur.

— Może futra z nerek? Ray uniósł głowę.

— Futra z nerek?! — Nagle chwycił się za brzuch i wprost zatoczył ze śmiechu. — Myślisz, że upolujesz tyle nerek, że starczy na uszycie futra?!

Ray coraz głośniej wył ze śmiechu i kołysał się na plecach jak

przewrócony na skorupę żółw, aż w końcu Kristian uniósł się i wymierzył mu cios w żołądek.

— Zamknij się! Wiedziałem, że nie powinienem z tobą rozmawiać. Jeśli cokolwiek komuś powiesz, tak cię walnę, że pożegnasz Północną Dakotę!

Ray wciąż się skręcał, nie mogąc złapać tchu.

— Fu... futro z nerek! — wymachiwał rozłożonymi rękami. — Może uda ci się upolować tyle nerek, zanim będziesz w wieku swego ojca.

— To tylko marzenie, ty ośle — rzekł Kristian, splatając palce na brzuchu. — Wiem, że nie upoluję tyle nerek, by starczyło na futro, ale może mógłbym jej dać norkowe rękawiczki.

Nagle Rayowi zaświtało w głowie, że jego kuzyn mówi poważnie, więc uniósłszy się na łokciu przyjrzał się Kristianowi z uwagą.

— Komu?

Kristian zerwał źdźbło suchego prosa i zgniótł je palcami.

— Pannie Brandonberg.

— Pannie Brandonberg??? — Ray wyprostował się, przenosząc cały ciężar na jeden bok i unosząc kolano. — Zwariowałaś? Przecież to nasza nauczycielka!

— Wiem, ale jest tylko dwa lata starsza od nas.

Zbyt przerażony, by się śmiać, Ray gapił się na kuzyna.— Jednak zwariowałaś — oświadczył, nie mając już wątpliwości.

Kristian wyrzucił źdźbło i skrzyżował ręce pod głową.

— No cóż, przecież nie ma nic złego w myśleniu o niej, prawda?

Ray wpatrywał się w Kristiana, jakby właśnie wyrosły mu rogi. Po długim milczeniu znów opadł na plecy.

— O cholera... — wydusił z siebie w końcu.

Leżeli bez ruchu i zamyśleni patrzyli w niebo, na pozór opanowani i obojętni, podczas gdy w rzeczywistości krew w ich żyłach płynęła szybciej niż

rwący górski potok.

Wreszcie Ray przerwał ciszę.

— To miałeś na myśli, gdy pytałeś, czy myślę o kobietach? Myślisz o naszej nauczycielce właśnie tak?

— Czasami.

— No to wpadłeś w tarapaty, Kristian — stwierdził surowo Ray.

— Powiedziałem, że tylko myślę.

Mijały kolejne minuty. Słońce skryło się za chmurą, a potem wyszło znowu, przypiekając im skórę i niemal do wrzenia doprowadzając myśli.

— Kristian? — rozległo się nieśmiałe pytanie.

— Co?

— Czy coś... czy coś się dzieje, kiedy... kiedy... no wiesz... kiedy myślisz... o kobietach?

Kristian poruszył się lekko, jakby próbując ułożyć się wygodniej.

— Cóż... tak. Czasami — odparł, starając się, by jego głos zabrzmiał zdawkowo.

— Co?

Kristian zastanawiał się długo, układając w myślach odpowiedzi i odrzucając je, zanim padły. Spoglądając kątem oka na Raya, zobaczył, że kuzyn obrócił głowę w jego stronę, i poczuł, że wzrokiem domaga się prawdy.

— A co dzieje się tobie?

Nad ich głowami szeptało proso. W górze przetaczały się milczące obłoki. W kąciку ust Raya pojawił się leniwy grymas, który dla Kristiana stał się odpowiedzią. Zaczęli się uśmiechać.

— To wspaniale, nie? Ray uderzył pięścią powietrze i wydał z siebie przeciągły okrzyk, po czym razem upadli na wznak i śmiali się coraz głośniejszymi, upajając się młodością szesnastolatków i pełnią życia.

— Całowałeś się kiedyś z dziewczyną? — zapytał po chwili Kristian.

— Raz.

— Z którą?

— Z Patricią Lommen.

— Z Patricią Lommen?! Z tą mądrą?

— Nie jest taka zła.

— Tak? I jak?

— Nic wielkiego, ale to było jakiś czas temu. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spróbować znowu, zwłaszcza że Patricia to jedyna dziewczyna w okolicy, która nie jest moją kuzynką. Ale myślę, że ona raczej pocałuje się z tobą niż ze mną.

— Ze mną?! — Kristian podskoczył ze zdumienia.

— Otwórz oczy, kuzynie! Ilekroć wchodzisz do klasy, gapi się na ciebie, jakbyś był ósmym cudem świata.

— Naprawdę?

— A co, może nie? — w głosie Raya zabrzmiała nutka zazdrości.

Kristian wzruszył ramionami, wypiął pierś niczym piejący kogut i zamachał rękami. Ray pchnął go na ziemię udawanym ciosem i przez chwilę wymierzali sobie żartobliwe uderzenia, zanim znów wrócili do poważnej rozmowy.

— Myślisz czasem o tym, że twoja mama i tata... no wiesz... — odezwał się Kristian.

— Czy myślę, że to robią?

— Aha.

— Nie... Chyba są za starzy.

— No... nie wiem. Może nie... bo ja sędzę, że mój ojciec... Gdy Kristian urwał, Ray nastawił uszu.

— No gadaj!

— Cóż, nie wiem tego na pewno, ale myślę o tym każdej jesieni, kiedy

przyjeżdża Isabelle.

— Isabelle?! — Ray był oszołomiony. — Masz na myśli tę grubą kobietę, która przyjeżdża z kuchnią polową?

— Wcale nie jest gruba.

— Sądzisz, że twój ojciec robi to z nią? O rany, przecież nie są małżeństwem! — Och, nie bądź takim dzieckiem. Nie wszyscy są żonaci, kiedy to robią. Pamiętasz tę dziewczynę, która mieszkała kiedyś po drugiej stronie domu Sigurda? No tę, która zaszła w ciążę i nikt nie wiedział, kto ją tak urządził.

— Tak, ale... ale... to była dziewczyna... i w ogóle... — zaczął się płatać Ray. — Naprawdę uważasz, że twój ojciec robi to z Isabelle?

— Nie wiem, ale jak tylko zaczyna się młócka i ona przyjeżdża tu z kuchnią polową, ojciec nie nocuje w domu. Wraca dopiero na poranne dojenie. Można by mnie oszukać, gdyby się nie wślizgiwał po powrocie. No to gdzie spędza noc, jeśli nie w wozie Isabelle?

Długo rozważali tę możliwość, aż słońce zaszło i w ich kryjówce zrobiło się chłodno.

Myśleli o kobietach, owych tajemniczych istotach, które nagle przestały się wydawać tak nieznośne jak dotychczas. Myśleli o lataniu samolotami tak wysoko, jak latały dzikie gęsi.

I zastanawiali się, jak szybko staną się wystarczająco dorośli, aby to robić.

ROZDZIAŁ 12

Kuchnia polowa Isabelle Lawler prowadzona przez samą właścicielkę wtoczyła się następnego ranka. Niezgrabna, ustawiona na wozie dłuższym niż wóz pionierów Dzikiego Zachodu i co najmniej tak samo ciężka, kuchnia ta wyglądała na drodze niczym rozklekotany kolejowy wagon, który jakimś sposobem wypadł z szyn. Z dachu wystawała czarna rura od pieca, po bokach dyndały wiadra, ceberki i miski, które ilekroć wóz wpadł w dziurę na drodze, dźwięczały donośnie jak dzwonki. Widok wozu z surowych desek przyciągał uwagę robotników z każdego mijanego pola. Wszyscy machali na powitanie Isabelle, ona zaś szerokim gestem odpowiadała z wysokiego kozła — siedziała pochylona do przodu, z szeroko rozstawionymi kolanami, w sponiewieranym filcowym kapeluszu nasadzonym na skręcone włosy płonące w słońcu tą samą barwą i nieokiełznaniem co ogień na prerii.

Żyli tu jeszcze ludzie pamiętający głośną Calamity Jane z Deadwood, która w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku wielokrotnie objeżdżała te strony z widowiskami z Dzikiego Zachodu. Niektórzy mówili, że Isabelle i Jane byłyby pokrewnymi duszami, gdyby się spotkały.

W Isabelle kobiece było tylko imię. Liczyła niemal metr osiemdziesiąt wzrostu, z dziesięć centymetrów dodawały jej spiętrzone na czubku głowy włosy, tak że górowała nad większością mężczyzn. Miała siłę pociągowego konia i odporność muła, wdzięku zaś mniej niż każde z tych zwierząt, co sprawiało, że mężczyźni traktowali ją jak „jednego z chłopaków”. Jeździła sama, twierdziła, że jej jedynym domem jest preria, a kiedy pora żniw dobiegała końca, nikt nie wiedział, gdzie zaszywała się na zimę. Pytana o swoje pochodzenie Isabelle lubiła wykrzykiwać hałaśliwie: „Zostałam spłodzona przez diabła, gdy zadał się z samicą bizona”. I zawsze wybuchała śmiechem, kiedy zdejmowała kapelusz, by pokazać swe płomienne włosy. Wołała wtedy triumfalnie: „Diabeł dał mi ten płomień, a samica bizona

sylwetkę!" Potem klepała któregoś z mężczyzn w ramię swym bezkształtnym filcowym kapeluszem, a następnie wciskała go sobie na płomienne włosy i stała tak, niemal kwadratowa, z rękami wspartymi na mocnych biodrach, podczas gdy wokół rozlegał się donośny śmiech.

Tylko taka kobieta mogła robić to, co robiła Isabelle. Powoziła parą przykrych z usposobienia gniadych mułów, które ciągnęły nie tylko ruchomą kuchnię i jadalnię, lecz również jej dom. Manewrowanie ciężką kuchnią polową z taką parą tępych stworzeń zniechęciłoby niejednego mężczyznę. Isabelle wszakże radziła sobie z tym z łatwością, zapewniając cztery posiłki dziennie brygadom żniwiarzy liczącym po dwudziestu ludzi. Na większości farm robiła to gromada kucharek, Isabelle natomiast dokonywała tego sama, dowożąc jedzenie robotnikom, zamiast ich dowozić do kuchni. Śniadania i kolacje wydawała im w pobliżu stodoły lub szopy, w której mieszkali, a obiady i kanapki na rozległych polach pszenicy, w pobliżu parowego kombajnu, co pozwalało oszczędzić czas, jakiego wymagałby dojazd. Farmerzy korzystający z usług Isabelle dostarczali jej mięsa i jarzyn, które przyrządzała i podawała w swoim wozie, gdzie królował długi prosty stół.

Isabelle przyjeżdżała do Teodora od dziewięciu lat. Widok jej marchewkowych włosów i rozsuniętych kolan, między którymi niczym hamak opadały spódnice, rozjaśniał nie tylko twarze Westgaardów, ale również większości zatrudnianych przez nich sezonowych robotników, którzy dzielili się z nią zarówno posiłkami, jak i wesołością.

Kiedy jej wóz zaturkotał na wyboistej drodze wzdłuż pola, gdzie dyszała już parowa młockarnia, Teodor zsunął z głowy kapelusz. Oparł dłonie na uchwycie wideł i patrzył, jak się zbliża.

— Belle wraca — stwierdził John, obracając się, by spojrzeć na wóz, którego metalicznie dzwoniący ekwipunek zagłuszały odgłosy stojącej za nimi parowej maszyny.

— Taaa... Belle wraca — zawtórował Teodor.

— Dobra z niej kucharka — prosto pochwalił ją John.

— No, dobra.

Belle ściągnęła wodze, by zatrzymać muły, uniosła się na koźle i z lejcami w jednej ręce drugą szeroko machała kapeluszem. Żniwiarze powitali ją kakofonią okrzyków, nawoływań i gwizdów.

— Hej, Belle, wciąż masz najlepsze nogi w tych stronach? Belle spojrzała na swoje uda, ściągnęła usta i odpowiedziała

głosem brzmiącym jak gitarowy akord na blaszanej tarce do prania:

— Jak chcesz pogadać o moich nogach, to wejdź tu do mnie, a trzasnę cię w pysk, ty parszywy huncwocie!

Belle z pięściami na biodrach stała wyprostowana na wozie, a jej sylwetka ciemnym konturem rysowała się na tle błękitnego nieba. W tej chwili kochali ją wszyscy mężczyźni.

— Hej, Belle, znalazłaś już tego faceta, który mógłby przerzucić cię przez ramię jak worek kukurydzy?

— Nie, u licha, wciąż jestem sama. Chociaż odkąd widzieliśmy się ostatnio, to ja przerzuciłam kilku!

Roześmiała się z własnego dowcipu, a wokół rozlegały się salwy śmiechu. Potem z owego chóru wyrwał się jeden głos:

— Mam u ciebie pierwszy taniec, Belle. Obiecałaś mi go w zeszłym roku!

— Obiecanki cacanki! Ustaw się w kolejce razem z innymi!

— Belle, umiesz już robić placki ziemniaczane?

— Kto to? Czy to ty, Kop, kurduplu? — zapytała i osłaniając oczy, pochyliła się, żeby lepiej widzieć.

— To ja, Belle!

— Wciąż masz ten śmierdzący tampon z krowiego łajna pod policzkiem?

Czuję go wyraźnie aż tutaj!

Kop pochylił się i strzyknął krótko brunatną śliną, a potem wrzasnął:

— Masz rację. I wciąż potrafię dopaść pasikonika z dwunastu stóp!

Belle odchyliła się do tyłu, ryknęła śmiechem i uniósłszy kolano, uderzyła się w nie z siłą, która mogła wybić je ze stawu.

— Hej, Teodorze — zawołała — płacisz tej leniwej zgrai za gadanie z kucharką?

Teodor, który stał z boku bawiąc się tą sprośną wymianą zdań, tylko potrząsnął głową, nasunął kapelusz i uśmiechając się wrócił do pracy, za nim zaś, ożywieni, poszli inni.

Co roku gdy przyjeżdżała Belle, było tak samo: zarówno praca, jak i zabawa od tej chwili zaczynały się naprawdę. Praca była wyczerpująca, ale atmosfera podsycana przez Belle łagodziła jej ciężar. Nadchodziła zima i niebawem wszyscy mieli z powrotem znaleźć się we własnych domach zasypanych śniegiem, lecz teraz rozlegało się rytmiczne dudnienie parowej młockarni i cieszyła obietnica dobrego jedzenia i wesołości przy stole Belle. Miały się też odbywać tańce i inne swawole, a na końcu napełnić kieszenie. Pracowali więc w jesiennym słońcu, dzielając cel i dobry nastrój, który tak naturalnie pojawił się wraz z przyjazdem Belle.

Poranek przyniósł szron, ale nim nadeszło południe, mężczyźni pocili się w słońcu, karmiąc snopami pszenicy maszynę, która oddzielała ziarno od plew i wypluwała je w przeciwnych kierunkach. W regularnych odstępach czasu z pól wyjeżdżała pełna platforma pszenicy, kierując się ku spichrzom, a z każdą odprawioną pełną platformą rosły stogi słomy.

W południe Belle wyszła ze swego wozu i drewnianą łyżką uderzyła w patelnię. Mężczyźni odłożyli widły, otarli czoła i ruszyli do miednic z ciepłą wodą, które ustawiła obok wozu. Myli się w słońcu, podczas gdy już dochodziły ku nim nęcące zapachy płynące z otwieranych poziomo drzwi po

obydwu stronach wozu, przez które widzieli jego wnętrze. Belle stała z przodu przed wielką czarną kuchnią i ponaglała ich grzmiącym głosem:

— Wypluj to paskudztwo, zanim postawisz nogę w mojej kuchni, Kop! Bo jak nie to sięgnę po tłuczek do kartofli i ci je wybiję!

Kop zapewnił, że to zrobi, a pozostali mężczyźni tręcali go łokciami i śmiali się donośnie.

— I żebyś mi więcej nie wspominał o plackach ziemniaczanych, słyszysz, Kop? — wołała dalej Belle. — Jak zjesz to, co postawię na stole, i zmieścisz jeszcze choćby jeden placek, w sobotni wieczór przerzucę cię przez ramię i osobiście zaniosę na tańce! Mężczyźni, tłocząc się w środku, wciąż chichotali, a gdy zasiedli na ławach wzdłuż stołu i zabrali się do obfitego posiłku, nadal dobrodusznie żartowali. Belle podała im pieczoną wieprzowinę i wołowinę z tłuczonymi ziemniakami i sosem oraz zielony groszek, kukurydzę, a także chrupiące bułeczki, placek, kompot z jabłek i mocną kawę. Nie odstępowała ich przez cały posiłek, zachęcając do jedzenia. Rzucała sprośne riposty, dawała dokładki, tu klepnęła kogoś w ramię, ówdzie przesunęła ręką po czyjejś czuprynie...

Nie traktowała Teodora inaczej niż reszty. On także dostawał swoją porcję kpinek i poklepywania, a niekiedy odbierał nawet dodatkowe racje kwaśnego humoru. Tej nocy, gdy wszyscy zasnęli na świeżym, słodko pachnącym sianie, wziął do siodlarni wiadro zimnej wody i kostkę mydła, zamknął za sobą drzwi, wymył się i włożył świeże ubranie. Zapinając guziki niebieskiej koszuli, zastanawiał się, czy ludzie odgadują, co jest między nim a Belle. Potem jednak przestał o tym myśleć, podciągnął szelki i narzucił wełnianą marynarkę, bo noc była chłodna. Gdy wyslizgiwał się ze stodoły, ze stojącego obok gęstych krzewów wozu Belle padała tylko łagodna smuga światła przez okno w tylnych drzwiach.

Zapukał delikatnie, potem wsunął obie ręce w głębokie kieszenie

marynarki i wpatrywał się w niewysokie schodki, a kiedy otworzyły się drzwi, podniósł głowę. Przez włosy Belle sączyło się ostre światło. Zmieniało ich barwę w kolor zachodzącego słońca i padało na uniesioną twarz Teodora. Belle miała na sobie muślinową nocną koszulę, na którą zarzuciła seledynowy szal i teraz przyciskała go do piersi. Jej twarz kryła się w cieniu, gdy pochyliła się do przodu i zapraszająco otworzyła drzwi. Nie było już ani śladu rubasznej, hałaśliwej wiedźmy. Na jej miejscu pojawiła się dojrzała kobieta, a szorstkość zastąpiła godność, w której nie było ani nieśmiałości, ani zuchwałości.

— Witaj, Belle — rzekł miękko Teodor.

— Witaj, Ted — odparła. — Czekałam na ciebie. Pospiesznie spoglądając przez ramię, obrzucił wzrokiem śpiące podwórze.

— Ładna noc. Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać.

— Wejdz — powiedziała. Teodor pokonał stopnie i wszedł do środka, cicho zamykając za sobą drzwi, po czym rozejrzał się wokół, wciąż trzymając ręce w kieszeniach. Ławy wsunięte były pod stół, przystawiony teraz do ściany i zamieniony w jej miejsce do spania: układała na nim dwie grube kołdry z gęsich piór i puchową poduszkę. Z zamkniętymi okiennicami wewnątrz wozu stawało się przytulne i prywatne. Czajnik na herbatę szumiał cicho na kuchni, a obok wejścia na jedynym w tym wnętrzu krzesle stała lampa naftowa.

— Wygląda tak samo — rzekł, wracając do niej wzrokiem.

— Bo jest tak samo. Nic się nie zmienia. Usiądź. Poruszył się, jakby chciał usiąść, lecz zobaczył lampę, więc znów się wyprostował.

— Siadaj, przestawię ją — powiedziała, niemal ocierając się o niego w ciasnej przestrzeni, żeby sięgnąć po lampę i postawić ją na jednej z ław wysuniętej spod stołu.

Teodor zajął miejsce na krzesle, Belle zaś wspięła się na krawędź prowizorycznego łóżka. Przez minutę żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

— No i jak ci się wiedzie? — zapytała w końcu Belle. Błysnął ku niej nerwowym spojrzeniem, opierając łokcie na rozstawionych kolanach.

— Świetnie... świetnie. Miałem dobry rok — odparł i znów zapatrzył się w podłogę między stopami.

— Taaa... Ja też. Widzę, że zatrudniłeś tych samych chłopaków.

— No... To dobrzy robotnicy. Kop i reszta. Mam też kilku nowych. — Wciąż wpatrywał się w podłogę.

— Widziałam. Jak się spisują?

— Dobrze. — I kiwając głową, ciszej powtórzył: — Dobrze.

— Twój chłopak pewnie urósł.

Teodor odważył się podnieść na nią oczy, uśmiechając się ze skrywaną dumą.

— Tak, parę centymetrów. Będzie taki wysoki jak ja.

— Pewnie robi się też do ciebie podobny. Teodor zaśmiał się cicho i trochę nieśmiało.

— Widzę, że nie przyszedł dziś do pomocy — dodała Belle.

Teodor odchrząknął. — Nie, zaczął już szkołę. Nowa nauczycielka twierdziła, że go zatrzymuję, więc w końcu pozwoliłem mu pójść.

— Ach, tak, rozumiem...

— Oczywiście zaraz po szkole wraca do domu i pomaga przy młócce — dodał szybko.

Ten temat został wyczerpany, a ponieważ nowy się nie nasuwał, Teodor znowu wbił wzrok w podłogę. Po kilku chwilach potarł sobie kark.

— Robi się tu trochę duszno, jak zamknę drzwi — powiedziała Isabelle. — Może chcesz zdjąć marynarkę?

Podniósł się, ona również wstała, aby mu pomóc. Kiedy się odwracała, by położyć marynarkę na ławie, zobaczył jej ramiona i zarys piersi pod

mereżką seledynowego szala. Gdy zaś Isabelle się wyprostowała i ponownie obróciła w jego stronę, popatrzyli sobie w oczy.

— Myślałam o tobie, Ted.

— Ja też o tobie myślałem.

— Nie ożeniłeś się jeszcze?

— Nie — pokręcił głową i spuścił wzrok.

— Zrobiłbyś to, gdybym rzuciła to zwariowane życie i postanowiła zapuścić korzenie?

— Och, Belle...

— Zaciągnij zasłonę, Ted.

Podniósł wzrok i szybko przełknąwszy ślinę, bez słowa ruszył w stronę tylnych drzwi. Zaciągnął niebiesko-czerwoną zasłonkę, a kiedy znów spojrzął na Belle, siedziała na krawędzi łóżka, wciąż jeszcze otulona szalem.

— Wiesz, Ted, co zawsze najbardziej w tobie lubiłam? — zapytała, nie oczekując odpowiedzi. — To, że nie traktowałeś mnie jak osobę na każde zawołanie.

Stanął przed nią, uniósł dłoń do jej skroni i dotknął płomiennych włosów, które związała na karku białą wstążką. Włosy były wilgotne, jakby właśnie je umyła, i pachniały jedynymi perfumami, jakich zawsze używała: olejkiem waniliowym. Bez słowa zdjął jej szal z ramion, złożył go na pół i starannie umieścił na swojej marynarce, po czym rozwiązał białą wstążkę, a kiedy odkładał ją na wierzch szala, robił to tak, jakby była brylantową tiarą. Wróciwszy do krawędzi prowizorycznego łóżka, ujął twarz Belle w obie dłonie, uniósł ją ku górze i niespiesznie opuścił wargi na jej usta. Gdy pocałunek dobiegł końca, odsunął się i spojrzął w jej jasną, czystą twarz.

— Zadaje się ból, traktując ludzi, jakby byli na każde zawołanie — odparł.

Pocałował ją znowu, czując, że dłonie Belle zsuwają jego szelki i

rozpinają koszulę, aby przyciągnąć go do siebie bliżej i znaleźć się z nim tam, gdzie zawsze było im dobrze.

Później, zrelaksowany i rozleniwiony, odpoczywał z głową Belle w zgięciu swego ramienia. Ręka Belle leżała na jego piersi, on zaś lekko gładził palcami jej ramię.

— Co się dzieje z kobietami w tych stronach? Dlaczego żadna na ciebie nie leci?

— Nie chcę, żeby na mnie leciały.

— Co za skandal, skoro jesteś tak dobry w tym, cośmy właśnie skończyli...

— Naprawdę? — roześmiał się, patrząc w sufit.

— Jasne! Myślisz, że któregoś z tych frajerów obchodzi, co naprawdę czuję? Jaka samotna jestem w tym dusznym wozie noc po nocy, rok po roku?

— To dlaczego nie wychodzisz za mąż?

— Prosisz mnie o rękę, Ted? — zapytała i dłoń Teodora znieruchomiała na jej ramieniu. Belle wesoło poklepała go po piersi. — Och, nie martw się, żartowałam. Wiesz, że taka cyganka jak ja nigdy nie osiadzie na miejscu. Ale od czasu do czasu lubię o tym pomarzyć. Od czasu do czasu każda kobieta lubi poczuć się kobietą...

Dłoń Tedda zboczyła z drogi, kierując się ku jej piersiom.

— Ty na pewno jesteś kobietą.

Belle roześmiała się i zapatrzona w migoczącą lampę westchnęła.

— Zastanawiasz się czasem nad tym, jacy inni jesteśmy na zewnątrz i tutaj, w moim wozie?

— Czasami...

— Nie sędzę, by jakikolwiek inny mężczyzna na ziemi widział we mnie coś więcej oprócz burzy rudych włosów i niewyparzonego języka. Przez wszystkie te lata zamierzałam ci podziękować, że poświęciłeś czas, by

przyjrzeć mi się uważniej.

— Jesteś porządną kobietą, Belle — rzekł Teodor, obejmując ją i całując w czubek głowy. — Pomyślałem też sobie ostatnio, że prawdopodobnie oprócz braci jesteś moim jedynym przyjacielem.

Uniosła brodę i spojrzała na niego.

— Naprawdę?

Z uśmiechem uściśnął ją lekko.

— Naprawdę.

— Nie sądzisz, że to oznaka starzenia? Bo ja też ostatnio trochę o tym myślałam. Nigdy nie zatrzymałam się w jednym miejscu wystarczająco długo, by zawrzeć jakieś przyjaźnie. Chyba dlatego co roku aż się palę, żeby tu wrócić.

— A ja zawsze tu czekam.

Belle znów wtuliła głowę w jego ramię i zamyśliła się na chwilę.

— Myślisz, Ted, że to, co robimy, jest złe? — zapytała. Teodor wpatrywał się w krąg światła padający na sufit z wylotu klosza lampy.

— Pismo święte mówi, że tak. Ale komu robimy krzywdę, Belle?

— Nikomu, kogo znam. Jeśli nie dowiedział się o nas twój syn. To nie byłoby dobre. Myślisz, że coś podejrzewa?

— Myślałem o tym, zanim tu dzisiaj przyszedłem. Dojrzewa pod wieloma względami. Ostatnio śni o tej nowej nauczycielce, a kiedy to się zaczyna, chłopcy zwykle obserwują ptaszki i pszczołki.

— Rozumiem, czemu o niej śni. Ładniutka, prawda? To niesamowite, że obserwacja Isabelle wywołała w jego sercu znacznie żywszą reakcję niż wszystko inne, co powiedziała lub zrobiła tej nocy.

— Chyba tak. Nie przyglądałem jej się z bliska.

— Dobrze, dobrze. Gdzie ty masz oczy, Ted? Kobieta taka jak ja

oddałaby ostatni zdrowy ząb i wszystko co ma, żeby choć przez jeden dzień wyglądać tak jak ona — powiedziała Belle i przesunąwszy się nad jego torse, sięgnęła pod stół, by wyjąć z niego pudełko z bibułkami i woreczek tytoniu. Położywszy się z powrotem, wprawnie napełniła bibułkę, polizała i zakleiła papierosa, po czym zamknęła mieszek z tytoniem i znów przechyliła się nad Teodorem, by sięgnąć po zapalki i popielniczkę. Potarła zapalkę o brzeg stołu, pod grubymi kołdrami, i ułożywszy się z popielniczką na piersiach, uważnie obserwowała dym unoszący się do sufitu. Teodor cierpliwie czekał, aż się umości wygodnie.

— Przecież zęby masz w porządku, Belle. Twarz też... Uśmiechnęła się, wypuszczając z ust idealnie okrągłe kółeczko dymu.

— Właśnie dlatego cię lubię, Ted. Ty najwyraźniej nie zauważasz, co się dzieje.

Obserwował, jak paliła papierosa do połowy, starając się ze wszystkich sił, by obraz Linnei nie rozplywał się w jego pamięci, i robiąc porównania. Kiedy mu się to nie udało, wyjął papierosa z ust Belle i sam zaciągnął się głęboko. Stwierdziwszy, że papieros jest równie niedobry jak zawsze, zdusił go w popielniczce na piersi Belle.

— Mamy czas, by wszystko sobie wynagrodzić, a ja robię się trochę niecierpliwy, Isabelle.

Postawił popielniczkę na podłodze, a gdy kładł się na plecy, zobaczył, że Belle uśmiecha się do niego kusząco. Kiedy zaś jej silne ręce i nogi oplotły go mocno, usłyszał, jak szepcze gardłowym altem:

— Tak, w tej okolicy mieszkają chyba same głupie baby, ale mam nadzieję, Ted, że nigdy nie zmądrzeją, bo gdyby nabrały rozumu...

— Cicho bądź, Belle — powiedział i pocałunkiem zamknął jej usta.

Był sobotni wieczór. Pierwsze tańce w tym sezonie miały się zacząć o

ósmej w stodole Oskara Knutsona, gdzie był jeszcze pusty sąsiek.

Linnea całe popołudnie poświęciła na przygotowania. Mogłaby to zrobić znacznie szybciej, gdyby Lawrence nie przeszkadzał jej nieustannie, obracając nią w pokoju w takt granych na skrzypcach i wiolonczelach wiedeńskich walców, gdy ona wciąż była w szlafroku!

Siedział teraz w jej fotelu na biegunach, przyglądając się, jak eksperymentuje z dwoma grzebieniami, upinając włosy raz tak, raz inaczej i robiąc do lustra niezadowolone miny.

— Zdaje się, że masz zamiar być królową balu. Pewnie zatańczysz z Billem, Teodorem, Rustym i...

— Z Rustym?! Och, nie bądź śmieszny, Lawrence! To, że uśmiechnął się do mnie i nazwał śliczną kobietą, wcale nie znaczy... — Linnea uważnie spojrzała w lustro i przesunęła czterema palcami od warg do podbródka, krytycznie badając swoje odbicie. — Myślisz, że jestem śliczna, Lawrence? Zawsze uważałam, że mam zbyt szeroko rozstawione oczy, co nadaje mi wygląd cielęcia. — Przysłoniwszy wskazującym palcem jeden ząb, dodała: — A ten ząb jest krzywy i nigdy mi się nie podobał.

Zamknęła usta i uśmiechnęła się, by po chwili znów krytycznie zmarszczyć brwi.

— Czy ty przypadkiem nie domagasz się komplementów? Ujęła się pod boki.

— Wcale nie domagam się komplementów! A jeśli ty masz zamiar ze mnie szydzić, to możesz sobie iść! — zawołała, odwracając się plecami do lustra. — I w ogóle lepiej już sobie idź, inaczej nigdy nie uporam się z włosami.

Umyła je i wyplukała w wodzie z octem, a teraz, gdy wyschły, zakreśliła żelazną rurką do robienia loków. Rozgrzewając ją nad lampą naftową, nuciła pod nosem i zastanawiała się nad ułożeniem włosów. Próbowwała upiąć je w

koronę, wypuściwszy drobne loczki z grubego splotu, ale włosy były za długie i ciężar warkoczy rozciągał loki, tak że wyglądały jak proste krowie ogony. Upięła więc włosy w luźny węzeł, pozostawiając wijące się pasma wokół twarzy i na karku. Jednakże trudno było spiąć je luźno, ale żeby się nie rozsypywały: już widziała, jak zatacza taneczne kręgi, a dookoła jej głowy fruwały wysunięte spinki. Zanim jednak wypróbowała obydwie fryzury, musiała zakręcać włosy po raz drugi.

Teraz zdecydowała się na proste dziewczęce uczesanie: rozpuściła włosy na plecach i tylko po bokach podpięła je kokardkami z granatowej rypsowej wstążki. Taksując wzrokiem ostateczny rezultat, uśmiechnęła się i przeszła do następnej kwestii: w co się ubrać.

Przeglądając swą skromną garderobę, wykluczyła wełny, które byłyby za ciepłe, i zdecydowała się na białą bluzkę i zieloną spódnicę z trzema fałdami z tyłu. Z pewnością będzie się dobrze układać w tańcu.

Na twarz nałożyła odrobinę kremu migdałowego, który oszczędzała na wyjątkowe okazje, na ustach zaś i policzkach rozsmarowała trzy krople płynnego rózu. Wyprostowana spojrzała na swoje odbicie i zachichotała. Wyglądasz jak panienka lekkich obyczajów, panno Brandonberg. Co sobie pomyślą rodzice twoich uczniów?

Starła się zetrzeć róż, ale już zabarwił skórę. Udało jej się tylko wprost zmaltretować policzki i uczynić je jeszcze bardziej jaskrawymi. Lizła i ssła wargi, lecz one również były już zabarwione.

Gdy rozległo się pukanie, Linnea z zakłopotaniem spojrzała w lustro. Usta miała teraz nie tylko czerwone, ale i nabrzmiące. W jaki sposób kobiety dojrzewają i nabierają pewności siebie? Zrozumienie tego nadeszło za późno, by zrobić coś z twarzą, więc ruszyła ku drzwiom.

— Kristian! Niechże ci się przyjrzę! Ty także idziesz na tańce?

Stał przed nią wystrojony w niedzielne spodnie, białą koszulę i lśniące

buty, z włosami przylizanymi brylantyną i ułożonymi na czubku głowy na kształt koguciego grzebienia. Pachniał zaś po prostu strasznie! Jak kaplica pogrzebowa pełna goździków. Czymkolwiek się skropił, było tego stanowczo za dużo. Linnea stłumiła chęć zatkania sobie nosa.

— Oczywiście, że idę. Chodzę na tańce od ubiegłego listopada, odkąd skończyłem szesnaście lat.

— Wielkie nieba, czy w tych stronach wszyscy zaczynają chodzić na tańce tak wcześnie?

— Tak. Tata zaczął jako dwunastolatek, ale kiedy ja skończyłem dwanaście lat, powiedział, że od czasów gdy on był chłopcem, wiele się zmieniło, więc ja i Ray musimy poczekać, dopokąd nie skończymy szesnaście.

— Dopóki nie skończymy szesnastu... Zaczzerwienił się i zawstydzony Zaszurał stopami.

— Dopóki — powtórzył posłusznie.

Zauważywszy jego zakłopotanie, Linnea zatrzepotała ręką.

— Niech mnie!... Czy ja zawsze muszę być nauczycielką?! Jeszcze chwilę, wezmę tylko płaszcz.

Patrzył, jak idzie po płaszcz.

Te włosy... rozpuszczone i poskręcane. Gdyby wsunąć palec w jeden z takich loków, oplótłby go i ścisnął jak piąstka dziecka. A twarz... co ona zrobiła z twarzą? Była taka zaróżowiona i łagodna. Jej usta zaś wydawały się nabrzmiące, jakby czekała, że ktoś złoży na nich pocałunek. Próbował wymyślić coś, co dorosły mężczyzna powiedziałby w takiej chwili, by dać kobiecie do zrozumienia, że bardzo mu się podoba. Ale w głowie miał zupełną pustkę, choć serce waliło mu jak młotem.

Wracając, zobaczyła wyraz zachwyty na jego twarzy. Och, nie, pomyślała, co ja mam teraz zrobić? Przecież była jego nauczycielką, on zaś wiele jeszcze musi się dowiedzieć. Po pierwsze tego, że podanie kobiecie

płaszcz nie jest czynem intymnym.

— Czy zechcesz mi go podać, Kristianie?

Patrzył na wełniany płaszcz, wahając się, czy może go dotknąć.

— Kristianie? — powtórzyła z nutką ponaglenia.

— Och! — drgnął i wyjął rękę z kieszeni. — Och, oczywiście.

Nigdy wcześniej nie trzymał kobiecego płaszcza. Obserwował, jak Linnea się nim otula, a potem podnosi rękę, by wyłożyć włosy na kołnierz. Bez dwóch zdań, kobiety mają inne ruchy niż mężczyźni...

Przykręciła knot lampy i zdecydowanym krokiem zeszła przed nim ze schodów. Na dole dowiedziała się, że zabierają Nissę, co było kolejną niespodzianką.

— Ty również idziesz? — zapytała.

— Tylko spróbujcie pójść beze mnie! Nogi jeszcze mi nie zardzewiały, a tańce są znacznie zabawniejsze niż kołysanie się w fotelu na biegunach! — Miała na sobie granatową suknię z białym koronkowym kołnierzykiem spiętym jakąś okropną broszką. I aż paliła się do tańców.

Przed domem Teodor siedział na koźle wozu pełnego roześmianych mężczyzn, z którymi była również ta krzykliwa rudowłosa kucharka donośnie zabawiająca ich jakąś opowieścią o człowieku zwanym Ole, który potrafił puszczać wiatry na życzenie.

Gdy Linnea, Nissa i Kristian wyszli z domu, Rusty Bonner pochylił się w ukłonie i uśmiechnął połową ust. Uniósł nieco rondo kapelusza, a kciuki wsunął za nabijany błyszczącymi ćwiekami pas.

— Dobry wieczór, pani Westgaard, dobry wieczór, panno Brandonberg. Pozwolą panie? — rzekł, podając dłoń najpierw Nissie.

— Niby na co? — zapytała krótko i ignorując wyciągniętą rękę, oświadczyła: — Ja pojedę z przodu z Teodorem. Te stare kości mogą jeszcze tańczyć, ale siedzenie na sianie rozbiłoby mi stawy.

Wśród śmiechów mężczyzn chyżo usiadła na przedzie wozu, pozostawiając Linneę twarzą w twarz z Rustym, którego ręka czekała teraz na jej dłoń.

— Proszę pani... — wycedził.

Cóż mogła zrobić? Przyjęła jego dłoń.

Teodor niechętnym okiem patrzył na poczynania Bonnera, który przymilnie ujął Linneę w tali, po czym posadził ją na sianie, a następnie wykonał długi skok, demonstrując wielką zwinność. Teodor aż jęknął, gdy Rusty usiadł tak blisko, że mógł dotknąć boku Linnei.

— Wio! — krzyknął, odwracając się.

To nie jego sprawa, że Rusty Bonner flirtuje z każdą kobietą, której piersi jeszcze nie obwisły... Spojrzał spode łba na matkę... A nawet z takimi, którym już obwisły! Ta panienka byłaby łatwą zdobyczą dla takiego wygi jak Bonner! Wszak ona nie ma tu ojca, który by jej pilnował, więc na tobie spoczywa ta odpowiedzialność! Bonner rzuci się na nią w sąsiedku szybciej niż łasica na kure, a ona nawet się nie zorientuje, do czego ten człowiek zmierza, aż będzie za późno.

Linnea czuła, że biodro Rusty'ego Bonnera mocno przyciska się do jej biodra.

Hałaśliwa kucharka na cały głos opowiadała historyjkę o tym, jak zębami odzierała ze skóry jakąś zawziętą rybę. Mężczyźni ryczeli ze śmiechu, lecz z prawej strony Linnea czuła płonąca nienawiść Kristiana do Bonnera. Siedzieli z podciągniętymi ku górze kolanami, oparci plecami o boczne deski wozu. Próbowwała usiąść wygodniej i odsunąć się choć trochę od Bonnera, lecz gdyby to zrobiła, znalazłaby się bliżej Kristiana, a tego z pewnością nie chciała. Ze wszystkich sił starała się więc ścieśnić w sobie, Bonner jednak rozsunął nogi jeszcze szerzej. Zdawała sobie sprawę, że tylko on tutaj nosi obcisłe dżinsy, tak obcisłe, że wręcz nieprzyzwoite. Podkreślały jego

muskularny wygląd i zmysłowość, która sprawiała, że Linnea czuła się zakłopotana i trochę przerażona. Czuła też, że Rusty obserwuje ją spod kowbojskiego kapelusza, choć jego ramiona zwisały obojętnie, kolana rozstawione były szeroko, a nadgarstki kołysały się leniwie nad krocem. Wyraźnie powróciły ku niej słowa Nissy: „Z nim kobieta nic nie musi robić”.

Kiedy dotarli wreszcie do stodoły Oskara, Linnei podskakiwał żołądek. Rusty oczywiście natychmiast służył jej pomocą przy zsiadaniu z wozu, ale gdy tylko znalazła się na ziemi, cofnął się uprzejmie i na odchodne dotknął róna kapelusza.

— Zapewne zachowa pani dla mnie jeden taniec. Odwracając się od irytująco uśmiechniętego bawidamka,

Linnea poczuła ogromną ulgę.

Teodor musiał zająć się końmi i wszedł do stodoły akurat wtedy, gdy Linnea kierowała się ku drabinie wiodącej na strych. Obserwował ukradkiem, jak Rusty Bonner cofnął się o krok, gapiąc się na jej spódnice i kostki nóg, kiedy wspinała się w górę. Teodor skrzyżował ręce i zaczął czekać, aż Bonner także wejdzie na górę. Dopiero wówczas podążył za nimi i natychmiast odszukał Johna.

— Muszę z tobą porozmawiać — rzekł, wyciągając Johna z tłumu. — Miej oko na Bonnera.

— Na Bonnera? — powtórzył John.

— Zdaje się, że on ma apetyt na tę panienkę.

— Na panienkę?

— Ona jest bardzo młoda, John. I nie jest partnerką dla takiego mężczyzny.

Twarz Johna była otwartą księgą. Gdy robił się niezadowolony, pokazywała to wyraźnie.

— Czy ona jest w porządku?

— Ona jest w porządku, ale powiedz mi, jeśli zobaczysz, że Rusty się za nią ugania, dobrze?

John nie był lotny, za to bezgranicznie lojalny. Lubił Linneę i kochał Teodora. Żaden Rusty Bonner nie zdołałby umknąć jego uważnym oczom.

Orkiestra już stroiła instrumenty: skrzypce, akordeon oraz organki, i niebawem muzyka wypełniła całe wnętrze. Teodor odetchnął z ulgą, widząc, że pierwszym, który poprosił Linneę do tańca, jest jego bratanek Bill. Widział jej wyraźnie zaskoczoną twarz, kiedy stali, rozmawiając przez chwilę.

— Jeszcze raz: dzień dobry — powiedział Bill.

— Dzień dobry.

— Chce pani zatańczyć? Spojrzenie Linnei powędrowało ku płynnie poruszającej się parze.

— Nie jestem zbyt dobrą tancerką. Prawdopodobnie będziesz musiał mnie uczyć.

Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

— To łatwe. Jeden krok na dwa — rzekł, prowadząc ją na przygotowane w stodole miejsce do tańca, po czym dodał: — Zastanawiałem się, czy pani tu będzie.

— A gdzie miałabym być? Wszyscy tu są — rozejrzała się wokół. — Ale skąd wszyscy wiedzą, gdzie danego dnia odbywają się tańce?

— Taka wieść po prostu się rozchodzi. Co u pani słyhać?

— Bardzo jestem zajęta. Ojej... — nadepnęła mu na palec i wypadła z rytmu. — Przepraszam... — szepnęła, czując się głupio, a potem oblała się rumieńcem, ujrawszy Teodora, który stał z boku i patrzył w jej stronę. Spuściła wzrok na stopy. — Nie nauczono mnie takich śmiesznych kroków.

— No to będę musiał je pani pokazać — rzekł Bill, łagodząc obroty, skracając kroki i dając jej czas, by przystosowała się do jego stylu.

— Mam dużo do nadrobienia, jeśli prawdą jest to, co mówi Kristian.

Powiedział mi, że niektórzy z was zaczęli chodzić na tańce, gdy mieli trzynaście lat.

— Ja miałem czternaście. Ale proszę się nie martwić, nieźle pani idzie.

Przez pewien czas patrzyła uważnie na stopy, wreszcie Bill potrząsnął nią żartobliwie.

— Niech się pani rozluźni i bardziej cieszy.

Miał rację. Pod koniec tańca szło jej już znacznie lepiej, a gdy muzyka ucichła, Linnea uśmiechnęła się i entuzjastycznie klasnęła w dłonie.

— Och, to bardzo przyjemne!

— Więc może następny taniec? — zapraszał Bill, uśmiechając się z uznaniem.

Był zręcznym tancerzem. Linnea śmiała się i dobrze bawiła w jego towarzystwie. Gdy w połowie drugiego tańca zawirowała w jego ramionach, niemal tuż obok ujrzała Teodora tańczącego z rudowłosą kucharką. Choć wiedziała, że się gapi, po prostu nie mogła nie patrzeć. No proszę, kto by pomyślał, że Teodor potrafi tańczyć? Płynął na swych wielkich stopach niczym dobrze zbalansowany żagłowiec, prowadząc... jakże się ona nazywa?... Isabelle... Isabelle Lawler... prowadząc Isabelle Lawler z wdziękiem, który odmienił ich oboje. Zauważył spojrzenie Linnei i z uśmiechem skinął jej głową, potem wykonał obrót, tak że widziała jego skrzyżowane na plecach szelki i niewiarygodnie szerokie ramiona, które obejmowała piegowata ręka Isabelle Lawler. W następnej chwili porwał ich tłum. Wzrok Linnei podążał za nimi tak długo, aż widziała już tylko jego wyciągniętą prawą rękę z białym rękawem podwiniętym do łokcia. Później nawet to zniknęło jej z oczu.

Melodia się skończyła. Następny taniec zatańczyła z nieznanym o imieniu Kenneth, który miał około czterdziestki i wydatny brzuch, kolejny zaś z Triggem, który powiedział, że jego żona tańczy tylko co drugi taniec, bo szybko się męczy. Linnea zobaczyła Clarę i pomachała jej ręką. Clara od-

powiedziała tym samym gestem i wymieniły uśmiechy. Linnea chciała porozmawiać z Clarą, gdy muzyka ucichła, lecz wtedy stanął przed nią Kristian i wycierając dłonie o spodnie, poprosił ją do tańca. Wielki Boże, czy to wypada, by nauczycielka tańczyła ze swymi uczniami? Spojrzała na Clarę, szukając u niej pomocy, ta jednak wzruszyła tylko ramionami, uniosła ręce i uśmiechnęła się.

Tańcząc z Kristianem, Linnea zaczęła rozumieć ów rytm, który rodził się w Norwegach. Nawet on, mając jedynie roczne doświadczenie, sprawiał, że czuła się jak początkująca prowincjuszka.

— Kristian, jesteś równie dobrym tancerzem jak twój ojciec!

— Och, już pani z nim tańczyła?

— Nie! Nie... chciałam tylko powiedzieć, że widzę, iż jest bardzo dobry.

Teodor tańczył teraz z kobietą o wystających zębach. Śmiał się z tego, co mówiła, i Linnea poczuła lekkie ukłucie zazdrości, ale właśnie wtedy jej uwagę przyciągnęła inna tańcząca obok para.

— Och, spójrz na Nisse!

Nissa wirowała wsparta na ramieniu Johna.

— Ojej, John także tańczy! Kristian śmiał się z jej zdumienia.— W zimie nie ma tu co robić. Można tylko tańczyć i grać w karty. W jednym i drugim jesteśmy całkiem dobrzy.

Przez cały wieczór Linnea tańczyła z kolejnymi Westgaardami, z ich pracownikami, ze skrzypkiem, który zrobił sobie przerwę, z kilkoma sąsiadami, których wcześniej nie spotkała, a nawet z przewodniczącym rady szkolnej Oskarem Knutsonem. Wszyscy byli dobrymi tancerzami, żaden jednak nie tańczył tak doskonale jak Teodor, toteż Linnea aż się paliła, aby z nim zatańczyć. Teodor wszakże prosił do tańca wszystkie kobiety oprócz niej.

Podczas jednej z przerw niemal wpadli na siebie w tłumie.

— Dobrze się pani bawi? — zapytał.

— Wspaniale! — odpowiedziała, zmuszając się do uśmiechu. Dlaczego musiała zmuszać się do uśmiechu? Tańczyła z Johnem — był w tańcu prawie tak dobry jak

Teodor... Prawie, ale nie całkiem... Potem aż dwa razy z Billem i nawet z Raymondem. Spotkała się z Clarą, gdy rudowłosa kucharka znów wróciła na parkiet z Teodorem. Ich spojrzenia skrzyżowały się przez cały hałaśliwy sąsiedztwo i błysnęła ku niemu czymś, co jak myślała, było niewinnym uśmiechem zaproszenia, ale on tylko zawirował w tańcu ze swoją partnerką.

A niech cię diabli, Teodorze, podejdź tu i poproś mnie do tańca!

Kiedy kolejna melodia ucichła, ruszył w ich stronę — i Linnei serce podskoczyło z radości. Niestety, na parkiet powiódł Clarę, po czym znów wybrał kobietę z wystającymi zębami. Co on sobie myśli? Będzie mnie ignorował przez całą noc?! złościła się Linnea. Gdy tak kipiała gniewem, zjawił się przed nią Rusty Bonner.

— Zatańczymy? — spytał, zsuwając z czoła kapelusz i uśmiechając się chytrze. Przestała przecież pod ścianą dwa kolejne tańce, a Teodor wyraźnie ją ignorował.

Zobaczysz, Teodorze! Teraz ci pokażę!

— Chętnie — odpowiedziała.

Kiedy znaleźli się na parkiecie, przyciągnął ją do siebie bliżej niż inni i zamiast pozostać przy zwykłym walczyku, powoli zaczął kołysać się z nogi na nogę, łagodnie ściskając przy tym jej rękę. Przegięty w jej stronę, łokcie trzymał wysoko, tak że poczuła się bezradna. Tańczył zupełnie inaczej niż jej wcześniejsi partnerzy. Nawet jego ramiona wydawały się inne w obcisłej marynarce, która pasowała do spodni. Miał pod nią koszulę w biało-czerwoną kratę i czerwoną chustkę na szyi. Gdy obrócił głowę i zajrzał jej oczy, miała twarz Rustyego tak blisko, że mogła mu policzyć czarne włoski rzęs. Przymykał oczy w taki sposób, że znów zaczął w niej podskakiwać żołądek.

Odwzajemniła niepewnie jego uśmiech, a on objął ją oburącz w pasie. Poczula, jak jego nabijany srebrem pas ociera się o nią i wbija w brzuch.

— Dobrze się pani bawi? — wycedził.

Linnea odniosła wrażenie, że śmieje się z niej pobłaźliwie.

— T... tak.

— Bardzo dobrze pani tańczy.

— Nie, nie tańczę dobrze. Inne panie robią to znacznie lepiej.

— Prawdę mówiąc, nie przyglądałem im się zbyt uważnie, więc nie wiem.

— Panie Bonner...

— Rusty — przerwał, uśmiechając się tym leniwym, uwodzicielskim uśmiechem i otarł się udem o jej udo. — A jak pani ma na imię?

— Linnea.

— Lin...ne..a... — wycedził sylaba po sylabie, jakby smakując to imię.
— Brzmi pięknie, prawda?

Wszystko w tym człowieku przyprawiało ją o mdłości. Niech cię diabli porwą, Teodorze, za to, że mi to robisz!

— Pochodzi pan z tych okolic? — zapytała i zdumiała się, że tak gładko jej to poszło.

— Nie... Przywiało mnie z Montany, a przedtem z Idaho i Oklahomy.

— Z daleka...

Roześmiał się, pokazując równe białe zęby i odrzucając głowę do tyłu, a potem znów powędrował leniwym spojrzeniem ku jej twarzy.

— Biorę udział w rodeach. To wędrowny tryb życia.

— Zatem co pan tu robi przy zbiorze pszenicy?

— Sezon rodea się skończył, a ja muszę mieć dach nad głową i trzy posiłki dziennie.

Zrozumiała nagle, dlaczego jest tak szczupły: prawdopodobnie wiodąc

takie życie, nie zawsze miał owe trzy posiłki dziennie. I prawdopodobnie tańczył w taki sposób z kobietami w każdym zachodnim stanie.

— Wygrywa pan w rodeach?

— Tak, panno Linneo. — Przyciągnął ją bliżej, tak że piersiami otarła się o jego marynarkę. — Jak panią odsunę, proszę spojrzeć na mój pas. Wygrałem go za ujeżdżanie młodych byków w ostatnim sezonie w El Paso.

Próbowała odsunąć się od niego, lecz nie mogła: przyciągnął ją tak blisko, że musiała odchylić głowę, by zobaczyć jego twarz.

— Widziała pani kiedyś mężczyznę ujeżdżającego byki? Przełknęła ślinę i próbowała oddychać normalnie.

— N... nie.

— A widziała pani mężczyznę ujeżdżającego cokolwiek?

— Tyl... tylko konie.

— Dzikie?

Pokręciła przecząco głową, podczas gdy on uśmiechał się do niej tym kuszącym, leniwym, o wiele za bliskim uśmiechem.

— N... nie, zwyczajne, pod wierzch.

— Widzi pani mój pas?

Gardło miała ściśnięte, twarz barwy jego koszuli.

Ręce Rusty'ego były mocne i władcze, ramiona twarde jak skała, palce zaś wędrowały po jej plecach i rozpalały ostrzegawcze dreszcze. Śmiał się gardłowym, cichym głosem, przyciskając brodę do jej skroni, piersi do swojej piersi... i swój teksański róg do jej żołądka.

Teodorze, przyjdź i zabierz mnie, proszę!

Leniwie zakołysał ramionami i spojrział w jej oczy, wciąż przywierając udami do jej ud.

— Masz zaróżowione policzki. Gorąco ci, kochanie?

— Trochę — zdołała z siebie wydusić słabym głosem.

— Na zewnątrz jest chłodniej. Chcesz się przekonać?

— Myślę, że nie...

— Nie myśl. Po prostu chodź za mną. Policzymy gwiazdy. Nie chciała, ale Teodor znów śmiejąc się rozmawiał z Isabelle Lawler i zanim zdołała wymyślić jakąś wymówkę, Rusty pociągnął ją ku drabinie. Zszedł pierwszy, potem podniósł wzrok.

— Ciii! Chodź! Spojrzała na niego i zastanowiła się, czy Teodorowi zabrakłoby jej, gdyby zniknęła. Założmy, że tak, i że zapyta, gdzie była. Przyjemnie by było powiedzieć mu, że oglądała gwiazdy z Rustym Bonnerem.

— Hej, idziesz czy nie?

Pół metra nad ziemią Linnea poczuła, że Rusty chwycił ją w pasie i zestawia na dół. Krzyknęła zdumiona. Potem znów przyciągnął ją do swego boku, otoczył ręką jej ramię i poprowadził ku wyjściu.

Na zewnątrz jesienny księżyc uśmiechał się tak jasno, że zbladły przy nim wszystkie gwiazdy. Świeże powietrze dobrze jej zrobiło.

— Och, bardzo tam gorąco — odetchnęła, przykładając dłonie do rozpalonych policzków i odgarniając włosy.

— Myślałem, że powiesz, że pierwszy raz byłaś na farmerskich tańcach.

— Bo to prawda, ale ty... no cóż, łatwo było podążać za tobą.

— To dobrze. Pójdź więc za mną trochę dalej.

Wziął ją za rękę i pociągnął za róg stodoły, gdzie światło księżyca nie mogło ich znaleźć. W cieniu budynku przystanął, chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

— A więc... nie tańczyłaś jeszcze w życiu zbyt wiele. I nigdy nie widziałaś mężczyzny ujeżdżającego byka albo dzikiego konia. Powiedz, panno Brandonberg, śliczna wiejska nauczycielko... czy już się całowałaś?

— O... oczywiście, że się całowałam! I to nieraz! — skłamała, dziwnie podekscytowana perspektywą, nareszcie się dowie, jak to właściwie jest

całować się z mężczyzną.

— No to niechybnie jesteś w tym całkiem dobra.

— Tak sędzę — odparła, starając się ze wszystkich sił, by jej głos zabrzmiał pewnie.

— Udowodnij...

Serce jej stanęło i dreszcz czegoś zakazanego przeszył ją, gdy Rusty niespiesznie pochylił głowę i wargami dotknął jej ust. Były ciepłe, jędrne i... raczej miłe. Przez chwilę spoczywały na jej zamkniętych ustach, po czym Bonner odsunął się nieco. Otworzywszy oczy, zobaczyła tylko ciemny zarys jego twarzy i rondo kapelusza.

— Nieraz?... — mruknął drwiąco. Linnei krew uderzyła na policzki. Rusty przywarł wargami do jej ust, tym razem pieszcząc je gorącym wilgotnym czubkiem języka.

Co on robi?... O Boże, on ją liże!... Przeniknęło ją drżenie aż po koniuszki palców. Cofnęła się instynktownie, lecz ujął jej głowę w obie dłonie, zaciskając je na uszach i przeczesując palcami jej włosy, niemal podniósł ją na czubki palców. Przebiegał językiem po całej krawędzi jej ust, aż zrobiły się mokre i śliskie. Zaczęła go odpychać, lecz Rusty na moment odsunął tylko głowę i rozkazał:

— Otwórz usta... pokażę ci więcej...

— Nie... — zaprotestowała, wtedy jednak językiem znalazł szczelinę w jej ustach i wdarł się w nie.

Walczyła, choć przycisnął ją do zimnej kamiennej ściany stodoły i chwycił za pierś. Złapała go za rękę, lecz nie miała dość siły. Szamotała się ogarnięta paniką, Bonner zaś, coraz bardziej napięty, raz za razem ścisnął jej pierś. Jakiś kamień boleśnie gniótł ją w głowę, jęczała, chciała uciec przed jego wędrującym językiem..

— Przestań... — próbowała powiedzieć, ale wargi Rusty'ego znów

zdusiły jej błaganie. W końcu zdołała wyrwać mu głowę. — Przestań! Co ty robisz?!

Chwyił ją za łokcie i mocno przyparł do ściany, przyciskając uda do jej ud, aż poczuła się brudna i bardziej przerażona niż kiedykolwiek. Walczyła jak szalona, Rusty wszakże ujeżdżał dzikie konie, toteż jedna drobna nauczycielka była dla niego po prostu niczym.

— Powiedziałaś przecież, że już się całowałaś. I to nieraz. Poczula w oczach piekące łzy upokorzenia.

— Skłamałam... Proszę, puść mnie.

Twarde i mocne ręce Rusty'ego nie rozluźniły uchwytu.

— Spokojnie, dziecino... spokojnie. Zaraz to polubisz... Zaszlochała, gdy znów sięgnął do jej piersi, niemal unosząc ją w powietrzu.

I wtedy rozległ się głos Teodora:

— Czy to pani, panno Brandonberg?

Bonner puścił pierś Linnei, jej obcasy znów dotknęły ziemi. Ulga spowodowała, że chciało jej się płakać i znaleźć schronienie w solidnych ramionach Teodora, ale wstyd sprawił, że pragnęła zniknąć z powierzchni ziemi.

— T... tak, to j... ja.

— Co tu robicie?

Głos Rusty'ego był zupełnie spokojny, kiedy odwrócił się i odpowiedział:

— Rozmawiamy sobie o ujeżdżaniu teksańskiego byka. Coś panu się nie podoba?

Teodor nagle chwycił Linneę za rękę i pociągnął tak mocno, że myślała, iż ją wyrwie.

— Ty idiotko! Co to za pomysł, żeby wychodzić z nim tutaj?! Nie

obchodzi panią, co ludzie pomyślą?

— Zaraz, zaraz, Westgaard — wycedził Teksańczyk. Teodor obrócił się w stronę Rusty'ego, wciąż trzymając

Linneę za rękę.

— Ona ma dopiero osiemnaście lat, Bonner! Czemu się nie zabierasz za swoją rówieśnicę?

— Nie protestowała — odpalił Bonner beztrosko.

— Czyżby? Słyszałem coś innego, a nawet jeśli ona nie protestowała, to ja protestuję! Nie masz tu czego szukać, Bonner. Rano zgłosisz się po zapłatę i żebym cię tu więcej nie widział!

Bonner wzruszył ramionami i odwrócił się, jakby chciał minąć Teodora i wrócić na tańce.

— Nie wracaj tam! — rzucił Teodor. — Nie chcę, żeby ktokolwiek podejrzewał, że wyszła z tobą. — Odwrócił się na pięcie i pociągając za sobą Linneę, rzekł krótko: — Idziemy.

— Niech mnie pan puści. — Próbowwała uwolnić rękę.

— Puszczę, jak nabierze panna zdrowego rozsądku. A na razie pójdzie panna ze mną. Wrócimy tam, żeby myśleli, że wychodziła panna ze mną. A jeśli zrobi panna cokolwiek, żeby pomyśleli inaczej, to jak mi Bóg miły, wrzucę pannę do szopy Oskara i spuszczę takie lanie, jakie sprawiłby jej ojciec, gdyby tu był!

— Teodorze Westgaard, proszę mnie natychmiast puścić! — zawołała Linnea urażona, że potraktowano ją jak krnąbrne dziecko. Próbowwała oderwać jego kciuk od swego nadgarstka, jednakże bezskutecznie.

Teodor sztywnym krokiem przeszedł przez stodołę, po czym popchnął ją tak, że niemal uderzyła nosem o trzeci stopień drabiny.

— A teraz proszę wejść na górę i zachowywać się, jakby nie chciało się pannie płakać! Rozzłoszczona Linnea ujęła brzeg spódnicy i mruczając pod

nosem, wdrapała się na drabinę. Zamieniła jednego tyrana na drugiego. Jakim prawem Teodor Westgaard jej rozkazuje?!

Na górze mocno chwycił ją za łokieć i niemal pchnął na parkiet, obrócił twarzą do siebie i poprowadził w tańcu, nawet nie zapytawszy, czy ma na to ochotę. Poruszała się sztywno jak kij od szczotki w ramionach Teodora, który przyoblekł twarz w sztuczny uśmiech.

— Tańczy panna jak strach na wróble. Niech pani udaje, że się dobrze bawi.

Rozluźniła się nieco, dostosowując się do jego rytmu i udając, że się uśmiecha.

— Nie mogę. Proszę pozwolić mi odejść.

— Nic z tego. Poradzi pani sobie.

Linnea chciała z nim tańczyć, ale nie tak. Miała ściśnięty żołądek, oczy lśniły jej niebezpiecznie. Z trudem tłumiała płacz. Ręka Teodora, którą czuła na plecach, była sztywna ze złości, druga zaś z furią zacisnęła się na jej palcach. Jednakże ich stopy poruszały się w rytm muzyki, a spódnica Linnei falowała, gdy wirując w tańcu udawali, że dobrze się bawią.

Trzymała się, jak długo mogła, ale kiedy gruda w gardle urosła tak, iż nie dała się zdusić, kiedy łez zebrało się zbyt dużo, by zdołała je ukryć, zaczęła błagać drżącym głosem:

— Błagam, proszę mnie puścić. Jeśli pan tego nie zrobi, zacznę krzyczeć i postawię nas oboje w okropnie trudnej sytuacji. Błagam...

Bez słowa ujął ją za łokieć i ruszył prosto do Nissy.

— Panna Linnea nie czuje się dobrze. Odwiozę ją do domu i wrócę.

Linnea w jednej chwili znalazła się u stóp drabiny, przemierzając stodołę z Teodorem u boku. Przyspieszywszy kroku, skierowała się ku wyjściu, a gdy tylko znalazła się na zewnątrz, ukryła twarz w dłoniach, z gardła bowiem wyrwał się jej szloch. Teodor stanął obok niej, niepewny i ciągle zły, lecz

poruszony jej łzami znacznie silniej, niżby tego pragnął. W końcu dotknął jej ramienia, odwróciła się jednak i oparła o ścianę.

— Linneo... chodźmy... jedźmy stąd.

Była zbyt nieszczęśliwa, by sobie uświadomić, że pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu. Poprowadził ją, wciąż szlochającą, ku alei krzewów bawełny, gdzie czekał ich wóz. Stała tam bezsilna i zapłakana, podczas gdy Teodor walczył z pragnieniem, by ją przytulić i ukoić.

— Rano już go nie będzie, więc teraz nie ma się czego bać.

— Och, Te... Teodorze... Tak... tak mi... wstyd. Szybkim ruchem wsunął rękę do kieszeni.

— Jest pani młoda. Chyba nie wiedziała pani, co on robi. Gdy uniosła twarz, zobaczył srebrzyste ślady łez na jej policzkach i usłyszał usprawiedliwienie:

— Ja... na... naprawdę... nie wiedziałam, Teodorze, daję słowo... nie wiedziałam.

Serce mu się ścisnęło. Drżał na całym ciele czując, że gniew mu mija.

— Wierzę, dziecko. Ale musi panienka być ostrożna z obcymi mężczyznami, rodzice pani tego nie uczyli?

— Uczyli. — Zwiesiła głowę, aż włosy zakryły jej twarz.

— Przepraszam, panie Teodorze. On... on powiedział, że... że wyjdziemy... żeby się ochłodzić... ale potem mnie po... pocałował... a ja... ja tylko chciałam... chciałam... dowiedzieć się, jak... jak to jest. — Szloch wstrząsnął jej ramionami.

— Więc... więc mu pozwoliłam! — wyznała i na wspomnienie tego, co nastąpiło później, zasłoniła twarz rękami i oparła czoło na piersi Teodora.

Wyszarpnął rękę z kieszeni i chwycił ją w ramiona.

— Cicho, dziecko. Nie ma o co płakać. Dostała panienka nauczkę.

— Ale... wszyscy się dowiedzą... a ja... ja jestem nauczycielką... i

powinnam da... dawać dobry przykład — pochlipywała.

— Nikt się nie dowie. Proszę przestać płakać. — Uspokajająco gładził ją po ramieniu, lecz stał wyprostowany, starając się zachować pewną odległość między sobą a Linneą, której dłonie z każdym słowem uderzały o jego pierś. Niebawem na koszuli Teodora z jej łez utworzyła się mokra plama, którą szybko poczuł na skórze, a wtedy osłabło jego postanowienie. — Posłuchaj, panienko, ja nie mam wprawy w obchodzeniu się z płaczącymi kobietami.

Spod opadających włosów dobiegł go pojedynczy spazm zduszonego śmiechu, gdy nieśmiało próbowała otrzeć policzki.— Chyba okropnie wyglądam. Ma pan chusteczkę?

Teodor sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnąwszy chusteczkę, wsunął ją Linnei do ręki, cofając się o krok. Kiedy otarła twarz, poczuł się bezpieczniej.

Wreszcie podniosła wzrok. W świetle księżycy jej oczy i usta wydawały się spuchnięte, włosy były w nieładzie. Pomyślał o tym draniu Bonnerze, o jego ustach i dłoniach na tej dziewczynie — i poczuł nieokiełznaną żądzę mordu.

Nagle Linnea zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła wilgotny policzek do jego twarzy.

— Dziękuję, panie Teodorze — wyszeptała. — Nigdy w życiu nie ucieszyłam się z czyjegoś widoku tak bardzo jak wtedy, gdy zjawił się pan przy stodole.

Teodor zamknąwszy oczy, zdusił westchnienie i przytulił ją. Przywarła blisko, rozpalając jego ciało. Jej skóra pachniała migdałami, miękkie splątane włosy otuliły jego twarz, a piersi przylgnęły do gwałtownie bijącego serca. Wtedy zeszywniał i delikatnie odsunął ją od siebie.

— Chodźmy, odwiozę panią do domu.

Linnea posłusznie odsunęła się od Teodora, ale przez dłuższy czas wpatrywała się w ziemię. W końcu podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

Ciemności nie skrywały smutnego pytania, które najpierw zadały jej oczy, a potem usta.

— Dlaczego nie poprosił mnie pan do tańca? Zastanawiał się nad odpowiedzią, prawdy bowiem nie mógł wyznać.

— Tańczył pan ze wszystkimi kobietami oprócz mnie — mówiła dalej — i właśnie dlatego wyszłam z Rustym. Żeby poczuł pan zazdrość.

— J... ja?

— Dlaczego mnie pan nie poprosił? Z trudem przełknął ślinę.

— Przecież tańczyliśmy, nie?

— To nie był taniec dwojga ludzi, tylko... — uparcie czekała na odpowiedź, ale Teodor cofnął się o krok. — No dobrze, więc dlaczego mi pan pomógł?

Zrobiła krok do przodu, Teodor jednak wysunął ręce, by ją zatrzymać.

— Linneo... — w jego głosie brzmiało ostrzeżenie. — Dlaczego?

— Pani wie dlaczego, ale to nie jest dobre dla żadnego z nas.

— Dlaczego... powiedz, Teddy, dlaczego?

Chciał położyć dłonie na jej ramionach tylko po to, żeby ją powstrzymać.

— Linneo...

— Dlaczego? — wyszeptała.

Była wystarczająco blisko, by znów poczuł zapach migdałów na jej skórze, i wystarczająco uparta, by poczuł drżenie jej ramion pod swymi dłońmi. Była też wystarczająco niewinna, by wiedział, kiedy przyciągnął ją do siebie, że to będzie jeden z największych błędów, jakie kiedykolwiek popełnił.

— Bo... — dotknął wargami jej czekających ust. Serce waliło mu w piersi.

Linnea uniosła ramiona i ich ciała, tak bliskie, gorące i jędrne, przywarły do siebie.

To jeszcze dziecko. Nie wie nawet, jak się całuje. Jednakże jej młode piersi przytulone w niego... jej palce na jego karku... jej słodkie zamknięte, jeszcze niewprawne usta należały przez tę chwilę do niego. Pozwolił, by zawładnęła nim namiętność, lecz kiedy wrócił mu zdrowy rozsądek, znalazł w końcu dość siły, by ją odsunąć.

Ich szybkie oddechy wypełniały jesienną noc.

— To nie... to nie było tak jak z Bonnerem.

— Ciii... Nic nie mów.

— Pocałuj mnie jeszcze raz, Teddy, proszę.

— Nie!

— Ale...

— Powiedziałem: nie! Nie powinienem był w ogóle tego robić.

— Dlaczego?

— Ma pani kilka godzin czasu? To przedstawię długą listę powodów. —

Ujął ją za łokieć i obrócił w stronę wozu. — Proszę wsiadać — rozkazał stanowczo, ale jego głos dźwięczał emocją.

— Teodorze...

— Nie. Proszę, wsiądź do wozu.

Nie pomyśleli o tym, że zostawili płaszcze, dopóki w drodze nie poczuli chłodu nocy. Linnea drżała z zimna. Teodor w milczeniu opuścił podwinięte rękawy i zapiął mankiety.

— Chce pani, żebyśmy wrócili po płaszcze?

— Nie, proszę odwieźć mnie do domu.

Cierpiał widząc, że Linnea drży z zimna, chociaż mógł ją objąć ramieniem, ogrzać i ochronić przed światem. Mimo wszystko nie zrobił tego.

Na wszystko co święte, nie zrobił!

ROZDZIAŁ 13

Tego ranka Nissa została w łóżku dłużej niż zwykle, a Teodor szedł na górę, by obudzić Kristiana akurat wtedy, gdy Linnea schodziła po wodę. Zatrzymali się równocześnie. Teodor podniósł wzrok i poczuł, że serce bije mu jak oszalałe. Linnea spojrzała w dół i poczuła to samo. Ożyło w nich wspomnienie owego jednego pocałunku z minionej nocy — i żadne nie wiedziało, co powiedzieć. Przez kilka sekund tylko patrzyli na siebie.

Linnea była boso, mocno zaciskała pod szyją poły szlafroka. Właśnie wyszła spod kołdry, pomyślał i serce zabiło mu jeszcze szybciej.

Teodor, ubrany w grubą wełnianą kurtkę, miał zaróżowiony nos i jeszcze nie był ogolony. Zrobił już poranne obrządki, pomyślała. Jego widok... jakże był męski... sprawił, że podwinęła palce stóp na krawędzi stopnia.

Nagle uświadomili sobie, że stoją na wąskich schodach, wpatrzeni w siebie, jakby zamienieni w słupy soli. Linnea pierwsza odzyskała głos.

— Dzień dobry — wyszeptała.

— Dzień dobry — odpowiedział szeptem.

— Już pan wychodził?

— Zrobiłem wszystko sam. Pozwoliłem Kristianowi dłużej pospać.

— Ach, tak...

Śmieszne. Czy już zawsze mijając się na schodach będą popadać w taką nerwowość?

— Jak się pani dzisiaj czuje?

— Jestem zmęczona, źle spałam ostatniej nocy. A pan?

— Ja też — odparł, zastanawiając się, dlaczego nie mogła spać. Czy tak jak on przez kilka godzin leżała bez snu, myśląc o tym pocałunku? — Późno przyjechaliśmy do domu. Zdaje się, że mama i Kristian też są zmęczeni, ale

lepiej ich obudzę, bo spóźnimy się do kościoła.

Serca zabiły im mocniej, gdy on ruszył w górę, a ona na dół. Minąwszy się, nie byli pewni, czy nie otarły się o siebie ich okrycia.

— Linneo... — rzekł cicho, kiedy dotarła do stóp schodów.

Obróciła się i podniosła wzrok. Pomyślała, że nigdy nie znuży ją słuchanie, jak Teodor właśnie takim tonem wymawia jej imię. Stał z dłonią na klamce drzwi pokoju Kristiana. Wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby kiedyś podszedł do jej drzwi i cicho wypowiedział jej imię tak jak przed chwilą.

— Słucham...

— Bonnera już nie ma.

Bonner był dla Linnei mglistym wspomnieniem usuniętym w cień przez owego imponującego mężczyznę, na którego patrzyła z dołu schodów. Mogłaby cały dzień tak stać. Jednakże Teodor odwrócił się, otworzył drzwi do pokoju Kristiana i zniknął za nimi.

Znalazłszy się w pokoju Kristiana, Teodor stanął ze spuszczoną głową. Miał w oczach obraz Linnei. Bosa, otulona szlafrokiem, tchnęła ciepłem, snem i porannym nieładem. Musiał się zdobyć na nie lada hart ducha, by ją minąć nie dotykając. Westchnął ciężko. Jest tak cholernie młoda!... Minionej nocy gdy wyrwał ją z łap Bonnera, powiedział sobie, że robi to w zastępstwie jej ojca, ale nie była to cała prawda. Wściekłości nie wywołała w nim jedynie ojcowska opiekuńczość.

Do diabła, Westgaard, jesteś samcem w średnim wieku, który czuje się tak, jakby pił z fontanny młodości, ilekroć ona jest w pobliżu. Zapominasz, że jesteś dobre pięć lat starszy niż Rusty Bonner, któremu radziłeś, żeby się uganiał za rówieśnikami!

Westchnął i spojrzął w stronę łóżka. Kristian pogrążony był w spokojnym śnie. Leżał z rękami odrzuconymi do tyłu, a kołdra odsłaniała część

jego torsu, na którym już pojawiło się owłosienie. Kiedy to się stało? W przyszłym miesiącu skończy siedemnaście lat. Już siedemnaście! Teodor wszakże musiał przyznać, że zestawienie wieku Kristiana i osiemnastoletniej Linnei było znacznie mniej szokujące niż szesnaście lat, które dzieliły ją od niego.

Przypomniawszy sobie nietypową otwartość, z jaką Kristian wyznał mu swoje uczucia do tej dziewczyny, i uświadomił sobie, że musi usiąść na krawędzi synowskiego łóżka, wyznać, że pocałował ją ostatniej nocy, i prosić chłopca o wybaczenie. Była tu zaledwie od miesiąca i już przyprawiła go o poczucie winy. To niedorzeczne! Czy rzeczywiście? Wszak Kristian był pierwszy i zaufał ojcu na tyle, by wyznać swoje uczucia. Teodor zastanawiał się, o jakich wydarzeniach ostatniej nocy powinien się dowiedzieć jego syn. Boże, a jeśli to się wydało i ludzie zaczęli się zastanawiać, co się dzieje?... Ojciec i syn wzdychają do tej samej dziewczyny!... Gotowi zrobić z tego sensację.

Zacznij z nią cokolwiek, Westgaard, a nieźle się zapłaczesz. Jest dla ciebie za młoda i dobrze o tym wiesz, więc zachowuj się, jak przystało na twoje lata.

Następnego wieczoru w ich drzwiach stanął Bill Westgaard. Ulizany i wybrylantynowany. Mężczyźni wrócili już z pół i właśnie zjedli kolację, gdy rozległo się pukanie, więc Kristian poszedł otworzyć drzwi. Kiedy Bill wszedł do kuchni, przypuszczali, że po prostu składa rodzinną wizytę. Usiedli wokół stołu, Nissa podała kawę i ciasto, po czym zapytała o Ulmera, Helen i resztę rodziny. Bill uprzejmie odpowiadał na pytania i sumiennie krzepił się ciastem.

Rozmawiali o wojnie, poborze rozpisany przez prezydenta Wilsona i powszechnych protestach Amerykanów przeciwko mobilizacji. Mało kto uważa, by siły amerykańskie udało się wprowadzić na bitewne pola Francji wystarczająco wcześnie, aby zapobiec klęsce sprzymierzonych. Teodor się z

tym zgadzał, Bill jednak dowodził, że skoro Niemcy już doprowadziły Rosję na skraj upadku, a wojska włoskie w zmaganiach z austriackimi ponoszą druzgoczące klęski, trzeba w pełni wspierać wysiłki Wilsona.

Linnea słuchała zdumiona. Ileż oni wiedzą o wydarzeniach rozgrywających się za oceanem! Nawet Kristian włączył się do dyskusji, okazując żywe zainteresowanie tematem aeroplanów i walk toczonych w powietrzu.

Potem przeszli do rozmowy o zimowych pułapkach, lisie zagryzającym kruczętą w okolicy i prawdopodobieństwie wczesnych śniegów. Kiedy zaś wyczerpali całe bogactwo bezosobowych tematów, Bill wyłuszczył w końcu, z czym przyszedł.

— Przyjechałem powozem. Pomyślałem, że może panna Linnea wybierze się ze mną na przejażdżkę.

Zapadła głęboka cisza. Linnea wzrokiem poszukała oczu Teodora. Przez chwilę widziała w nich dezaprobatę, którą zaraz rozmyślnie stłumił. Co miała powiedzieć?

— Na przejażdżkę... No cóż...

— Moglibyśmy pojechać do Holman Bridge. Droga wzdłuż rzeki jest naprawdę ładna. Szczególnie teraz, w świetle księżyca.

— Jest dość chłodno...

— Przywiozłem pled — dodał z nadzieją.

Spojrzała na Teodora. Jego twarz nie wyrażała niczego, lecz kostki palców zbieleły jak alabaster.

— Oczywiście — wtrąciła się Nissa. — Jesteście młodzi. Jedźcie.

— No więc co pani powie, panno Linneo? — nalegał Bill. A co mogła powiedzieć?

— Brzmi zachęcająco. Wezmę tylko płaszcz.

Jechali przez czystą chłodną noc do Holman Bridge, licząc kopce

piżmaków na brzegu rzeki. Bill był miły, uprzejmy i rozmowny. Wypytywał ją o święta Bożego Narodzenia, rodzinę, plany na następne lato, ona zaś pytała go o plany na przyszłość. Poruszyło ją, że Bill zastanawia się nad wstąpieniem do wojska. Wojna, dotąd tak odległa, nagle jakby się przybliżyła. Nie znała Billa zbyt długo, był jednak częścią rodziny Westgaardów. I myślał o tym, by pójść na wojnę!

— Roosevelt powiedział, że musimy zjednoczyć się ze sprzymierzonymi i wypowiedzieć wojnę Niemcom. Wojnę jużśmy wypowiedzieli, więc chciałbym zrobić, co do mnie należy.

W tych stronach ludzie bardziej zważali na słowa Franklina Roosevelta niż Wilsona.

— Ależ ty robisz, co do ciebie należy! Jesteś farmerem.— Pszenicę ma kto uprawiać. Teraz mężczyźni potrzebni są do walki.

Linnea wyobraziła sobie Billa z bagnetem w dłoni... lub w sercu... i zdrząła. W szczerzej trosce wsunęła mu rękę pod ramię.

Odchrząknął zadowolony.

— No cóż, jeszcze nie jadę, Linneo. Nawet nie wspomniałem o tym rodzicom.

— Nie chcę, żebyś w ogóle pojechał na wojnę. Ani nikt, kogo znam.

Nim minęła godzina, wrócili. Zatrzymawszy konie, Bill położył rękę na dłoni Linnei.

— W najbliższą sobotę znów będą tańce. Pójdzie pani ze mną?

— Hmm...

Co miała powiedzieć? Przyłapała się na tym, że porównuje zadarty nos Billa do orlego nosa Teodora, jego zielone oczy do orzechowych oczu Teodora i te złociste włosy do tamtych, ciemnoblond. Nos Billa wydawał się zbyt dziecinny, oczy za jasne, a włosy nazbyt falowane jak na jej gust. Odkąd w jej życiu pojawił się Teodor, żaden inny mężczyzna nie mógł się z nim równać.

Tylko z nim chciała pójść na tańce, choć nadzieję miała niewielką.

— To jak będzie, Linneo?

Poczuła się usidlona. Jaką logiczną wymówkę mogłaby wymyślić, by odmówić Billowi? A może jeśli z nim pójdzie, sprowokuje jakąś reakcję Teodora? Przyjęła w końcu zaproszenie Billa, który odprowadzał ją do domu z wyraźnym ociąganiem. Przy drzwiach chwycił Linneę w ramiona i pocałował na pożegnanie — zwyczajnie, choć z tęsknotą na tyle wyczuwalną, że gdyby miało między nimi zaiskrzyć, niewątpliwie by zaiskrzyło. Ale nie zaiskrzyło. Ani trochę.

— Dobranoc, Linneo.

— Dobranoc, Bill.

— Zobaczymy się w sobotni wieczór.

— Tak. Dziękuję za przejażdżkę.

Kiedy odszedł, westchnęła, porównując jego pocałunek z pocałunkiem Teodora. Gnębiło ją, że pocałunek zręczliwego dużo starszego mężczyzny podziałał na nią bardziej niż pocałunek młodzieńca. W domu jaśniała lampa pozostawiona na kuchennym stole. Linnea nagle poczuła się zmęczona, przygnębiona i pełna niezliczonych pytań o to, ku czemu zmierza jej życie. I życie osób, na których jej zależało. Czy Bill naprawdę pojedzie na wojnę? Bezwiednie obeszła stół i położyła ręce na oparciu krzesła Teodora. Dzięki Bogu Teodor jest za stary, żeby się z nim zaciągnąć.

— Miło było na przejażdżce?

Zadrżała na dźwięk jego głosu, który dobiegł z mrocznego końca kuchni. Obróciwszy się, zobaczyła, że stoi oparty o drzwi jadalni z luźno skrzyżowanymi rękami. Miał na sobie czarne spodnie, których czarne szelki przecinały trykotowy bieleżniany podkoszulek. Tors Teodora każdym wybrzuszeniem i wygięciem podkreślonym przylegającym materiałem wypełniał ów podkoszulek niczym jabłko napinające skórę. Rękawy

podkoszulka podciągnięte powyżej łokci odsłaniały potężne muskularne ręce ocienione ciemnymi włosami. Pod szyją także widać było ciemne owłosienie. O ileż bardziej był męski od Billa!...

— Tak — odpowiedziała spokojnie.

Czekał w milczeniu, odpędzając zazdrość i nakazując sercu, by się uspokoiło. W blasku lampy jej skóra nabrała morelowego koloru. Usta miała lekko rozchylone, a oczy wydawały się tchnąć wyzwaniem. Nie uczyniła też żadnego wysiłku, by nie wyglądać tak, jakby pieściła jego krzesło. Ta piekielna dziewczyna nie wiedziała, do czego go zachęca.

— Przejechaliśmy się wzdłuż rzeki.

Dobrze wiedział, do czego Linnea zmierza, lecz zmusiwszy się do obojętności, udawał, że wcale go nie obchodzi, co jeszcze robili.

— Wieczorem jest tam bardzo ładnie.

Ty uparty, zacięty Norwegu! Nie potrafisz powiedzieć, co ci leży na sercu?

— Zaprosił mnie na sobotnie tańce.

— Tak? I co?

— Przyjęłam zaproszenie.

Teodor długo wpatrywał się w nią bez ruchu. Bill był młody, miał prawo zaprosić Linneę na tańce... Jednakże wcale nie było mu się łatwiej z tym pogodzić. W końcu odwrócił wzrok.

— To dobrze — rzekł, odchodząc od drzwi. Poczula, że łzy napływają jej do oczu. Wzięła głęboki oddech.

— Będzie pan tam? — zapytała.

Przez chwilę jakby namyślał się nad odpowiedzią.

— Chyba tak.

— Czy tym razem zatańczy pan ze mną?

— Lepiej, żeby panienka tańczyła z młodszymi.

— Teddy, ja nie chcę...

— Dobranoc, Linneo — przerwał jej, odwrócił się szybko i wyszedł.

Znalazłszy się w sypialni, usiadł na krawędzi łóżka, opierając głowę na rękach. Jaśniała mu w oczach jej twarz, śliczna młoda twarz, która nie skrywała niczego. Niebieskie oczy ocienione długimi rzęsami — oczy niezdolne do ukrycia prawdy. Opadł na plecy z zamkniętymi oczami i rozłożonymi rękami. Boże, Boże, przecież to on ma być dorosły, rozważny... To on ma trzymać ją od siebie z dala. Tylko jak?

Kolejne dni przyniosły zmianę pogody — zrobiło się chłodniej, stodoły i sąsiedki zaczęły się napełniać. W czwartek Oskar Knutson zawiadomił Linneę, że sobotnie tańce odbędą się w szkole.

— W szkole?!

— Jest tu przecież piec, a ławki ustawimy pod ścianami. Aż do wiosny, gdy stodoły i sąsiedki znów się opróżnią, większość zabaw będzie się odbywać w szkole. Chciałem tylko, żeby pani kazała dzieciom opróżnić kałamarze. Zwykle Teodor przyjeżdża tutaj, żeby napalić w piecu i przygotować miejsce do tańca.

Znów Teodor. Nie zamienił z nią choćby dwóch słów od czasu, gdy powiedziała, że pójdzie na tańce z Billem. Ostatnie, na co miała ochotę, to prosić go, by przyszedł tutaj i napalił w piecu przed zabawą.

— Czy mam go o to poprosić? — zapytała.

— Nie, wszystko już załatwione.

Wyjechali wcześniej. Bill i Linnea w jednym zaprzęgu, Teodor, Nissa, Kristian i sezonowi robotnicy w drugim, aby napalić w piecu, przygotować pojemniki z wodą i poodsuwać ławki. Wieczorem budynek szkoły wydawał się przytulny z ciemnością za oknami i lampami jaśniejącymi wewnątrz. Linnea przesunęła swój stół do samej tablicy, by na podwyższeniu mogli usadowić się muzycy. W szatni Nissa nakryła stół z przekąskami, stawiając obok nich także

tort cytrynowy, do którego niebawem miały dołączyć ciasta i kanapki dostarczone przez inne kobiety. Kristian oprószył podłogę mąką kukurydzianą, Teodor zaś rozpałił ogień, a potem przechadzał się pod ścianami klasy i unosząc głowę oglądał wiszące na nich dziecięce rysunki.

— To osty — dobiegł go zza pleców cichy głos.

Spojrzał przez ramię na Linneę obserwującą go ze skrzyżowanymi rękami. Miała na sobie granatową sukienkę z marynarskim kołnierzem i nie wyglądała ani trochę poważniej niż uczennice, których dziełem były owe rysunki.

— Tak myślałem, chociaż o niektórych trudno to powiedzieć — rzekł, odwracając się, by z kciukami założonymi za klamerki szelek i dobrotliwym uśmiechem dalej oglądać owe nieporadne próby artystyczne.

— Rysunki z okazji Halloween są trochę lepsze — powiedziała. — Oto dynie... kolby kukurydzy... duchy. — Przeszli dalej. Rysunki stawały się bardziej wypracowane, na samym zaś końcu wisały „literackie”, pisemne kompozycje z niewielkimi ilustracjami.

— Kristian nie jest zbyt zręczny w rysunkach, ale jeśli chodzi o wysławianie się, wykazuje obiecujące uzdolnienia. Proszę, oto jedna z jego prac. — Odpięła pinezki i z dumą wręczyła arkusz Teodorowi. — Proszę przeczytać, a sam się pan przekona.

Przeczytać? Spojrzał najpierw na arkusz, potem na nią. Nie wiedząc, co zrobić, sięgnął sztywno po pisemną kompozycję swego syna. Przez kilka długich chwil stał obok promieniejącej dumą Linnei, czując się tępy jak stołowa noga. Zastanawiał się, o czym jest to wypracowanie. Czarne szeregi liter na białym arkuszu przypominały mu proste, równoległe rzędy kukurydzianej ścierni wystającej spod świeżego śniegu, ale poza tym nie mówiły mu nic innego. Miał trzydzieści cztery lata, a jego syn był lepiej wykształcony niż on. I teraz dowie się o tym Linnea.

Uniosła głowę i wskazała mu jakieś miejsce na stronie.— Proszę zobaczyć, na jaki temat postanowił się wypowiedzieć. Czyż nie świadczy to o dociekliwości?

Czuł, że robi mu się gorąco, że krew podchodzi mu do karku, szumi w uszach, spała włosy. Zwiesił głowę, zdusił w sobie łzy i upokorzony wpatrywał się w arkusz.

Linnea skrzyżowała ręce za plecami, pogodnie czekając, aż skończy czytać i podzieli się z nią wrażeniami. Gdy tego nie uczynił, uśmiechnęła się zachęcająco.

— I co, czyż to nie wspaniałe?

Jedno spojrzenie na twarz Teodora pozwoliło jej zrozumieć, że dzieje się coś złego. Twarz płonęła mu czerwienią. Nie chciał podnieść oczu.

— Tak... chyba tak — mruknął w końcu.

— No cóż, nie wydaje się pan... — przeniosła wzrok z jego płonącej twarzy na arkusz, a potem znów na niego. Nagle coś ją uderzyło i wysunąwszy zza pleców rękę, zakryła nią usta.

— Och... — westchnęła, gdy wreszcie dotarła do niej prawda.

— Och... Teodorze... pan nie umie czytać?

Stali blisko siebie, tak blisko, że słyszała, jak Teodor konwulsyjnie przełyka ślinę, równocześnie zginając paznokciem krawędź arkusza z wypracowaniem syna. Przytaknął zwieszoną głową.

Och, mój drogi, zawzięty Teodorze, dlaczego mi nie powiedziałeś? Była speszona za niego. Serce jej topniało. Czuła, że także się zaczerwieniła. Stali w jakimś kokonie zakłopotania, który więził ich bezlitośnie, podczas gdy za ich plecami zaczęła zbierać się orkiestra. Powoli Teodor podał Linnei ów arkusz, wreszcie na nią spoglądając, wciąż czerwony ze wstydu.

— A... a co z psalterzem w kościele? — wyszeptała.

— Znam te psalmy na pamięć. Śpiewałem je już jako trzyletnie dziecko.

— A zdania na tablicy? — przypomniała sobie własne zakłopotanie, gdy przyłapał ją na pokpiwaniu z niego. Jakże mu teraz współczuła, gdy on został przyłapany!

— Zrozumiałem tylko, że chciałyby pani zamordować Teodora.

— Och... — westchnęła wbijając wzrok w czubki swoich butów. — Kiedy tamtego dnia usłyszałam pana za plecami, pomyślałam, że stał pan tam długo i przeczytał wszystko, więc po prostu chciałam zapaść się pod ziemię.— Z pewnością nie pragnęła pani tego tak bardzo jak ja teraz.

Podniosła na niego wzrok i napięcie nieco osłabło. Muzycy zaczęli grać pierwszą melodię.

— Teodorze, nie miałam pojęcia. Naprawdę...

— Gdy byłem chłopcem, nie mieliśmy tutaj szkoły. Mama nauczyła mnie czytać trochę po norwesku, ale sama nigdy nie uczyła się angielskiego, więc nie potrafiła nauczyć nas.

— Dlaczego mi pan nie powiedział? Chyba nie sądził pan, że będę gorzej o nim myśleć.

— Po naszym sporze o naukę Kristiana?

— Ech, ta duma... Mężczyźni mają takie niedorzeczne teorie na jej temat. To prawda, że Kristian wie trochę więcej niż pan o języku angielskim. Ale pan wie znacznie więcej niż on o wielu innych rzeczach — powiedziała, po czym patrząc na niego wskazała na siebie. — No cóż, prawdę mówiąc o bardzo wielu sprawach, wie pan więcej niż ja. Tego wieczoru gdy rozmawialiście o wojnie... nie miałam pojęcia, że tak dużo wie pan o tym, co się dzieje na świecie. Wie pan, jak remontować wiatraki i zastawiać pułapki na myszy... I nauczył mnie pan chwycić konia i siodłać go...

— Ja — poprawił. — To klacz.

Zajrzeli sobie w oczy. Coś dobrego zaszło między nimi. Coś serdecznego, ciepłego i promiennego; coś, co niosło obietnicę radości.

Identyczne uśmiechy pojawiły się na ich ustach. Linnea pochyliła się w uroczystym ukłonie.

— Zniosę kolejną poprawkę, sir: ją. Nie musi pan czuć...

— Tutaj jesteś, Ted! — zabrzmiał nagle głos Isabelle Lawler, której pojawienie się zakłóciło tę osobliwą chwilę. — Stopy aż świerzbią innie do tańca, a na to jest tylko jedno lekarstwo! — zawołała i nie racząc nawet przeprosić, że im przerywa, zagarnęła Teodora i porwała go do tańca.

Radosny nastrój Linnei prysł w jednej chwili. Z furią patrzyła na tę okropną kobietę, która najwyraźniej nie kierowała się żadnymi nakazami etykiety. Jak śmiała ta... ta rudowłosa słońca rozkazywać mężczyźnie w taki sposób, a przy tym ryczeć jak trąba jerychońska! Chętnie przyjąłbym ją do swojej klasy dobrych manier choćby na jeden dzień! Tylko na jeden dzień! Nagle coś jeszcze sobie uzmysłowiła. Ted. Nazwała go Ted! — Zatańczmy — usłyszała głos Billa, który przyszedł, by upomnieć się o swoją randkę.

Linnea zmusiła się do uśmiechu i wesołości, ale wciąż migał jej w przelocie Ted z tą słońcą, co praktycznie popsło jej cały wieczór. Tak jak poprzednio Linnea miała wielu partnerów do tańca — brakło tylko tego jednego... Wirując dokoła, rzucała ukradkowe spojrzenia w jego stronę. Teodor był prawdopodobnie najlepszym tancerzem w tej okolicy, a do upadłego tańczył z tą rudowłosą bezczelną babą. Za nic w świecie za to nie chciał zatańczyć z panienką. Ona tymczasem po tym, co zaszło między nimi w minioną sobotę i dziś, przed rozpoczęciem zabawy, miała nadzieję, że w końcu zacznie na nią patrzeć jak na dorosłą. Jednakże najwyraźniej nie widział w niej kobiety, ona zaś była już zmęczona traktowaniem jej jak dziewczynki z warkoczami! Ponadto ona nie była zbudowana jak kuchenny piec. Ona nie miała strun głosowych jak poganiacz mułów. Ona nie miała włosów w kolorze marchewki.

Rozdrażniona Linnea próbowała patrzeć na nich obojętnie, ale jej się nie

udawało. W końcu, ignorowana przez Teodora niemal do końca wieczoru, przybrała wyniosłą postawę i najbardziej dumną minę, po czym ruszyła na parkiet i klepnęła rudowłosą w ramię.

— Przepraszam, panno Lawler, czy mogę państwu przerwać?

Ku wielkiemu zakłopotaniu Linnei kobieta odpowiedziała jej głosem, który umarłego podniósłby z grobu.

— O, nie! Jak dostanę w ręce mężczyznę, dobrze go wykorzystam, zanim pozwolę sobie odbić! — oświadczyła i zdusiwszy Teodora w potężnym uścisku, odplynęła z nim w tańcu.

Linnea chciała zapaść się pod ziemię. Nie pozostało jej nic innego, jak skryć się w kącie i spłonąć ze wstydu. Co on widzi w tym przekwitłym babsztylu? Była prostacka, spocona i ciągnęła Teodora po parkiecie sapiąc jak przeciążony perszeron.

Niech się z nią zadaje. Na nic lepszego nie zasługuje.

Wciąż stała poruszona na skraju parkietu, gdy muzyka ucichła. Zobaczyła, że Teodor mówi coś do Isabelle, a potem odprowadza ją do szatni. Po chwili zjawił się sam, przeskakał wzrokiem tłum i ruszył prosto w stronę Linnei. Utkwiła wzrok w skrzypku, a usta ściągnęła tak, jakby właśnie zjadła cytrynę.— No, teraz pani kolej.

Jej kolej! Jakby przez cały wieczór wyczekiwała, aż on znajdzie wolne miejsce w swoim balowym karneciku!

— Proszę się nie kłopotać, Teodorze — powiedziała dumnie, zadzierając nosa.

— Przecież chciała pani ze mną zatańczyć, prawda? Spojrzała na Teodora zdumiona bezsilnością, jaką czuła

wobec jego kpinek. Wystarczy, by mężczyzna wypił kilka piw i parę razy zatańczył z rudowłosą wydrą, a od razu staje się niezdrowo figlarny.

— Proszę sobie darować to zadowolenie. Wcale nie chciałam z panem

zatańczyć, tylko coś mu powiedzieć, ot co.

Teodor z całej siły się hamował, by nie roześmiać się z tej małej złoŃnicy. Gdy tak się irytowała i zuchwale zadzierała zgrabny nosek, również wyglądała na czternaście lat. Chociaż obiecał sobie, że będzie trzymał się z dala od tej pannicy, to przecież nie było żadnego niebezpieczeństwa w tym, iż zakręci się z nią parę razy na parkiecie, i to na oczach całej rodziny. Prawdę mówiąc taniec z każdą inną kobietą wyglądałby bardziej podejrzenie niż z nią.

— No to chodźmy. Powie mi pani teraz.

Nie dał Linnei wyboru — bez trudu pociągnął ją na parkiet, uśmiechając się nadzwyczaj irytująco.

— Co chciała mi pani powiedzieć?

Żebyś się zamknął i szczelnie razem z tym rudowłosym babskiem! Linnea zacisnęła usta i obrażona skierowała wzrok nad jego ramieniem. Teodor przechylił głowę i zgiął kolana, tak że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

— Mowę pani odjęło, gdy w końcu mnie ma? Spojrzała na niego, kipiąc ze złości.

— Niech pan wreszcie przestanie traktować mnie jak dziecko. Nie lubię być poniżana.

Wyprostował się i wykonał zręczny obrót.

— Musi mi to pani wyjaŃnić.

— Och, jest pan nieznośny! Czasami pana nienawidzę.

— Wiem. Ale z pewnością potrafię tańczyć, prawda? Co go tak bawi, gdy ona taka jest zirytowana? Mimo wszystko usta jej drżały w hamowanym uśmiechu.

— Jest pan nieznośny! Gdyby był pan uczniem, postawiłabym go w kącie za takie nieuprzejme potraktowanie mnie.

— Panna?! — zapytał z diabelskim uśmiechem. Dłużej nie wytrzymała i

roześmiała się, a on jej zawtórował.

Zapomnieli o sprzeczce.

Jak gładko sunął w tańcu! Sprawiał, że i ona wyglądała dobrze.

Prowadził ją z dala od siebie, ale tak mistrzowsko, że bez trudu utrzymywała rytm i krok. Jakże inny był na parkiecie niż gdziekolwiek indziej! Trudno było uwierzyć, że to ten sam Teodor, który spotkał ją pierwszego dnia w roboczym kombinezonie i wytartym słomianym kapeluszu i potraktował tak grubiańsko, że niewiele brakowało, a spakowałyby walizki.

— Powie pani w końcu?

Oboje odchyliłi się do tyłu, pozwalając stopom ślizgać się lekko.

— Co mam powiedzieć?

— To, co było powodem, że poklepała pani Isabelle po ramieniu.

— Aaaa... — uniosła brodę z miną niewzruszonej pewności. —

Zamierzam nauczyć pana czytać.

Uśmiechnął się.

— Naprawdę? Co panna powie? — mruknął.

— Naprawdę. To co pan słyszy — odmruknęła, zrećźnie go naśladowując.

— Będę wyglądał dosyć głupio, starając się wcisnąć kolana pod jedną z tych ławeczek.

— Nie tutaj przecież!... W domu.

— Ach, w domu — powtórzył sarkastycznie.

— A ma pan coś lepszego do roboty w długie zimowe wieczory?

Parsknął śmiechem i lekko uniół jedną brew.

— Jest pani pewna, że chce się tego podjąć? Mężczyźni w moim wieku robią się dość tępi i mają krótką pamięć. Mogę już nie chłonać wiedzy tak szybko jak uczniowie pierwszej i drugiej klasy.

— Doprawdy, Teodorze, mówi pan jak dziecienniasty starzec.

— Jestem całkiem blisko... Rzuciła mu karcące spojrzenie.

— Mężczyźni, którzy dożywają wieku dzieciennienia, mają reumatyzm. A pan nie tańczy jak reumatyk.— Nie, na szczęście moje kości są jeszcze w doskonałym stanie, prawda? — pysznił się, podziwiając własny łokieć.

— Proszę się wyprostować i zachowywać poważnie!— besztła go. — Jak nauczycielka udziela lekcji, nie można się wymądrzać.

Rozweselony spojrzął jej w oczy i dalej tańczyli lekko, coraz lepiej się bawiąc przez cały czas.

— A jeśli będę się wymądrzał, co zrobi smarkata nauczycielka?

— Smarkata?! — powtórzyła z oburzeniem i tupnęła. — Nie jestem smarkata!

W tejże chwili muzyka ucichła, jej słowa zaś zabrzmiały donośnie w całej sali. Kilka głów z zaciekawieniem obróciło się w ich stronę. Linnea poczuła, że zaczyna się rumienić, na szczęście Teodor odprowadził ją z parkietu. Żegnając się, dodał jednak kolejną zniewagę:

— Dziękuję za taniec, panienko. Proszę nie wrócić zbyt późno.

Najchętniej rzuciłaby się na niego z pięściami.

Była wciąż sztywna i nadąsana, gdy Bill odwiózł ją do domu. Kiedy powóz się zatrzymał, ujął ją za ramiona, przycisnął do skórzanego oparcia i pocałował. Linnea była wystarczająco zła na Teodora, by skapitulować i mieć nadzieję, że ten pocałunek obudzi coś w jej sercu. Jednakże nic nie obudził.

— Już dawno chciałem to zrobić.

— Ach, tak...

— No... Miałabyś coś przeciwko, gdybym zrobił to jeszcze raz?

— Chyba... nie.

Nie... jeśli Teodor wciąż będzie myślał o mnie jako o dziecku. Może to okaże się zabawniejsze.

Nie było zabawniejsze. Bill wepchnął jej język do ust i przysiadłszy bokiem, próbował wcisnąć kolano między nogi Linnei. Szarpnęła się i

zaprotestowała głośno.

— Nie!... Muszę iść do domu.

— Tak szybko?

— Tak, natychmiast. Bill, nie!

— Dlaczego nie?

— Powiedziałam, nie!

— Z nikim tego wcześniej nie robiłaś? Boże, ileż on ma rąk?!

— Przestań! — odepchnęła go.

— No dobrze. Nie musisz się tak ciskać!

— Dobranoc, panie Westgaard! — krzyknęła i uniósłszy połę płaszcza, zeskoczyła z powozu.

— Linneo, poczekaj!

Zatrzymał ją w połowie drogi do domu, lecz gniewnie zrzuciła jego rękę ze swego ramienia.

— Nie lubię być napastowana, Bill.

— Przepraszam... posłuchaj, obiecuję, że...

— Nie musisz składać żadnych obietnic. Nigdy więcej się z tobą nie umówię.

— Ależ, Linneo...

Zostawiła go mamroczącego na ścieżce. Z ulgą zamknęła za sobą drzwi kuchni i oparła się o nie. Weszła na górę, rozebrała się w ciemności i drząc wsunęła pod koldrę.

Bardzo chciało jej się płakać, łzy wszakże nie pojawiły się tak szybko jak zwykle. Czyż nie miał to być najbardziej beztroski, najweselszy okres jej życia? Nie był beztroski i z pewnością nie był wesoły. A zresztą co ona robiła, całując się z mężczyznami takimi jak Rusty Bonner czy Bill Westgaard, skoro jedynym, z którym naprawdę chciała się całować, był Teodor?

Tyle że on wciąż traktował ją jak dziecko. Zawsze była dla niego tylko

dzieckiem.

Wkrótce po tych wydarzeniach pewnego poranka Linneę obudził wiatr, który wiał od Saskatchewan, przynosząc lodowatą obietnicę śniegu. Rozważnie wciągnęła ciepłą bawełnianą bieliznę i wełniane getry, ale droga do szkoły wydawała się dwa razy dłuższa niż wtedy, gdy w oddali widać było żniwiarzy.

Dotarłszy do szkoły, stanęła w drzwiach klasy i długo wpatrywała się w znajome wnętrze. To dziwne, jak różny charakter przybierało w różnych sytuacjach. W słoneczne poranki nie było weselszego miejsca. Gdy odbywały się tu tańce, żadne miejsce na świecie nie było bardziej ekscytujące.... Jednakże dzisiaj, wolne od dziecięcych głosów, za to z szarymi chmurami kłębiącymi się za oknem, to niewielkie pomieszczenie przyprawiało o lodowaty dreszcz.

Pospiesznie ruszyła po węgiel. W pobliżu szopy powstał powietrzny lej szarpiący końcami jej szalika. Zastanawiała się, jak szybko zobaczą pierwszy śnieg. Wróciwszy do środka, w rękawiczkach wkładała węgiel do pieca, a odgłos szczękających fajerek i pogrzebacza niósł się tajemniczo po klasie. Kiedy ogień wreszcie zapłonął, Linnea długo stała przy piecu, grzejąc sobie palce. W końcu niechętnie wróciła do szatni, gdzie odkryła, że kocioł na wodę pokrył się warstwą lodu. Rozbiła ją i powędrowała na dwór do pompy, znów wyraźniej odczuwając ogromną różnicę między wykonywaniem tego obowiązku w słoneczne poranki wrześniowe i ponure listopadowe.

Gdy przyszedł Kristian, bardzo się ucieszyła z jego towarzystwa. Kilkoro innych dzieci, podobnie jak on, przyniosło ziemniaki, by upiec je w szkolnym piecu na drugie śniadanie, toteż nim nadeszło południe, pachniała nimi cała klasa. W czasie przerwy tylko połowa uczniów zdecydowała się wyjść na dwór. Pozostali wyjęli upieczone ziemniaki i spędzili ten czas na rozmowach lub rysowaniu na tablicy.

Wracając tego dnia do domu, zobaczyła kilka spadających płatków śniegu. Zbrązowiała trawa w przydrożnym rowie drżała i wydawała się garbić, czekając na zimowe okrycie. Chmury, czarne i ciężkie, wyglądały naprawdę groźnie i przesuwały się coraz szybciej po szarym niebie.

Na dziedzińcu zobaczyła, że kuchennego wozu Isabelle Lawler już nie ma. Rozejrzała się wokół, ale nie było też widać sezonowych robotników. Zrozumiała, że oni także wyjechali.

W domu panowała cisza.

— Nisso? — zawołała, lecz nikt nie odpowiedział. — Kristian? — Ciepła kuchnia pachniała pieczoną wieprzowiną i świeżym ciastem z dyni, słyszała wszakże jedynie szum lodowatego wiatru za oknem. — Nisso? — zawołała ponownie, otwierając drzwi do frontowego pokoju. Tam również nikogo nie było.

Ostrożnie zajrzała do sypialni Nissy. W zacienionym pokoju panował idealny porządek. Szydełkowa kapa była starannie wsunięta pod poduszki, na komodzie stała galeria fotografii: dzieci Nissy jako niemowlęta, kilkuletnie brzdące, nastolatki przystępujące do pierwszej komunii z Biblią w dłoniach... Były tam również zdjęcia ślubne sztywno upozowanych nowożeńców. Linnea niemal bezwiednie podeszła do komody, pochylając się, by obejrzeć fotografię z bliska. Było wśród nich zdjęcie Teodora z młodą żoną. Miał włosy przycięte tuż nad uszami, a jego drobna twarz wyglądała niemal dziecinnie. Szyja sprawiała wrażenie o połowę szczuplejszej niż teraz, lewe ucho zaś lekko zaginało się na koniuszku. Zabawne, nigdy wcześniej tego nie zauważyła.

Przeniosła wzrok na kobietę siedzącą sztywno na fotelu przed Teodorem. Miała twarz jasną i delikatną jak wiosenny fiołek, piękne oczy, usta zaś takie, jakie w mniemaniu Linnei mężczyznom wydają się delikatne i uległe.

A więc to ty jesteś Melinda. Z uwagą wpatrywała się w fotografię. Niewiele się tu o tobie mówi, wiesz?

Ten dzisiejszy dzień... Zadrżała, po czym wyszła z pokoju Nissy i przystanąła, wpatrując się w drzwi sąsiedniej sypialni. W przeciwieństwie do pokoju Nissy, którego drzwi były szeroko otwarte, te pozostawiono tylko lekko uchylone. Linnea nigdy nie widziała, co się za nimi kryje.

— Teodorze?... — zapytała cicho.

Drzwi sypialni Teodora, podobnie jak wszystkie framugi w tym domu, pomalowane były na kolor kremowy i miały białą porcelanową klamkę na czarnej blaszce osłaniającej dziurkę od klucza. Oparła dłoń na drewnianej powierzchni i pchnęła je lekko. Drzwi otworzyły się bezgłośnie, gdyż Teodor, tak jak wszystkie inne, także ich zawiasy porządnie naoliwił.

Linnea z poczuciem winy, ale i z ciekawością rozglądała się dokoła.

Ten pokój wydawał się bardziej samotniczy niż pokój Nissy. Łóżko najwyraźniej zostało posłane rano przez samego Teodora, który zarzucił kapeć, lecz nie wsunął jej pod poduszki, jak by zrobiła kobieta. Nie było tu szafy, tylko przybita do jednej ze ścian listwa z haczykami, na której wisiał jego niedzielny czarny garnitur oraz zawieszony na szelkach roboczy kombinezon. Na podłodze, przytulone do siebie niczym para gołąbków, stały najlepsze buty Teodora. Patrząc na nie poczuła przyływ winy; w tych pozostawionych butach było coś tak osobistego, że odwróciła wzrok. Kwiecista tapeta wyblakła. Obok nocnego stolika usadowił się pokryty szydełkową narzutką niski podnózek, który kiedyś musiał należeć do Melindy. Sprawiał wrażenie nieśmiałego fiołka, kwiatka, który widocznie lubiła. Wyglądał bardzo smutno i obco w tym mrocznym pokoju, jakby czekającym na kobietę, która odeszła na zawsze. Na brzuchatej komodzie leżała fotografia w owalnej ramce, takiej, jaka powinna wisieć na ścianie. Nie mogąc obejrzeć jej z miejsca, gdzie stała, Linnea podeszła bliżej.

Również to zdjęcie przedstawiało Melinę, tylko jeszcze piękniejszą niż na ślubnej fotografii — jakby to w ogóle było możliwe. Linnea wyciągnęła

re. Uniosła zdjęcie i dotknęła szkła. Jakie melancholijne oczy, jaka nieodparta subtelność... Jakże trudno musi być mężczyźnie zapomnieć taką kobietę. Melinda była taka młoda, gdy zrobiono tę fotografię... taka młoda jak Linnea teraz...

Ta myśl ją zasmuciła. Przeklinała tamte lata, a także własną młodość, którą chętnie by oddała, byle Teodor chociaż raz spojrział na nią tak, jak zapewne patrzył na tę kobietę.

Z westchnieniem odłożyła podobiznę Melindy na miejsce. Jeszcze raz rzuciła okiem na podwójne łóżko, a potem wymknęła się z pokoju, zostawiając drzwi uchylone pod takim samym kątem, pod jakim je zastała.

Dom był pusty. Linnea nagle poczuła, że nie chce być tu sama. Zaprażyła odszukać domowników i otrząsnąć się z przygnębiających skutków posępnej pogody, oglądania fotografii i uczucia opuszczenia przenikającego całą farmę. Mocniej otuliła szyję wełnianym szalem i wyszła na dwór.

Kuchennego wozu naprawdę nie było. Zabawne, że brakowało jej owej objazdowej kuchni, choć była tak zazdrosna o Isabelle Lawler. W gruncie rzeczy nie za kuchennym wozem zatęskniła, lecz za odejściem pory roku, którą symbolizował. Co było między Teodorem a Isabelle? Czy naprawdę coś było? Jak mogła się mu podobać, skoro była całkowitym przeciwieństwem Melindy?

Wiatr przyciskał jej płaszcz do nóg, gdy ruszyła ku trzem postaciom na odległym padoku. Nawet z tej odległości rozpoznała Teodora, Kristiana i Nissę. Co robią przy koniach? Znow mocniej okryła się szalem i ruszyła popychana północno-zachodnim wiatrem od Saskatchewan. Wyglądało na to, że wszystkie konie Teodora spędzono w jedno miejsce. Zwierzęta kręciły się nerwowo, a ich ogony unosiły się jak mgła. Podchodząc bliżej, Linnea zobaczyła, że Teodor głaszcze nakrapiane nozdrza klaczy o imieniu Mucha.

— Czy coś się stało? — zapytała.

Wszyscy troje odwrócili się w jej stronę.

— Nie — odpowiedział Kristian. — Po prostu mówimy sobie „do widzenia”.

— Do widzenia? — zdumiona przenosiła spojrzenie z jednej twarzy na drugą.

— Dzisiaj puszczamy je wolno. Żniwa się skończyły, a żniwiarze wyjechali — wyjaśniła Nissa.

— Puszczacie je wolno?

— Tak.

— Gdzie?

— Na otwartą przestrzeń.

— Na otwartą przestrzeń? Chcecie powiedzieć, że pobiegną przed siebie?

— Tak.

— Jak to? Przecież są wiele warte!

— Tak robimy od lat — odpowiedział Teodor. — Zawsze wracają wiosną, punktualnie jak zegarki, kiedy nadchodzi pora orki.

Na twarzy Linnei malowało się zdumienie.

— A skąd wiedzą, kiedy przychodzi ta pora?

Teodor odchylił głowę, gdyż Mucha rzuciła potężnym łbem i potrząsnęła grzywą.

— Są inteligentne. Wiedzą, gdzie jest ich miejsce i na czym polega ich praca.

— Ale dlaczego puszczacie je wolno?

— Aby oszczędzić na paszy. Wrócą tu w kwietniu wypasione i zdrowe.

— I nigdy nie straciliście żadnego?

— Nigdy.

Przyglądała się, jak wszyscy troje po kolei głaszczą nozdrza Muchy, czując ich tłumiony smutek z powodu tego rozstania. Ileż trzeba ufności,

pomyślała, aby puścić wolno zwierzęta, które tak wiele znaczą dla ich utrzymania.

— Czy wszystkie muszą odejść?

— Wszystkie oprócz staruszek: Kostki i Nóżki — odparł Teodor. — Zatrzymuję je każdej zimy, tak jak robił mój ojciec. Muszę jakoś dojechać do miasta i do kościoła. One chyba zawsze wiedzą, że zostają, i są lekko zawiedzione.

W zagrodzie było dwanaście koni. Nie przestawały się kręcić, rzucając łbami i rżąc na wietrze, podczas gdy Kostka i Nóżka wysuwały pyski nad ogrodzeniem sąsiedniego padoku. Krzepki ogier o imieniu Wódz harcował wokół nich, stając dęba, to znów znów rżąc, jakby chciał skarcić Teodora za zwłokę w wypuszczeniu ich na wolność.

— Chyba zaczynają się niecierpliwić. Wiedzą, co będzie. Prawda, złotko? — rzekł Teodor, chwytając uzdę klaczy. — No cóż, synu — zwrócił się do Kristiana — zdaje się, że musimy to zrobić?

— Chyba tak.

Linnea podeszła do Nissy. Razem obserwowały, jak mężczyźni krążą wśród koni, zdejmując uzdy. Zwierzęta potrząsały łbami, a ich nerwowość stawała się tym bardziej wyczuwalna, im bliższy był moment oswobodzenia.

— Chcesz je wypuścić? — zapytał syna Teodor. Kristian bez słowa oddał uzdy Teodorowi, który stanął

obok Linnei. Patrzyli w milczeniu, jak Kristian otwiera żerdź zamykającą bramę zagrody, a potem biega wokół stada, machając rękami i gwizdząc przez zęby. Ten ostry dźwięk przeszył późne popołudnie i postawił na sztorc dwanaście par końskich uszu. Na ułamek sekundy zwierzęta znieruchomiały niczym płaskorzeźba na tle ołowianego nieba, które wydawało się oddawać ich nastrój. Linneę przebiegł dreszcz zachwytu. Był to moment szczególnej czystości, rozdział jej życia, który miał pozostać w pamięci

niezmiennie bogaty i prawdziwy jak chwila, kiedy się to działo. Teodor po jej lewej stronie, Nissa po prawej, Kristian biegający wokół stada, maleńkie płatki śniegu topniejące na skórze, konie grzebiące kopytami, ich rozszerzone nozdrza... Surowe piękno tej sceny zaparło Linnei dech.

I wtedy konie ruszyły. Przez bramę ku wolności, z uniesionymi ogonami, podrzucając zadami, wstrząsając grzbietami. Potężny grzmot ich kopyt niósł się po ziemi, aż drżała. Kostka i Nóżka przyklusowały do ogrodzenia z wysoko uniesionymi łbami, rżąc, jakby chciały zawołać: „Poczekajcie!”. Biegały wzdłuż ogrodzenia tam i z powrotem, niemal krzycząc z rozpacz.

Mając Nissę i Teodora tak blisko, że niemal dotykali się ramionami, Linnea pocierała sobie ręce. Nie było jej zimno. W tym momencie czuła szczególną bliskość z całą trójką Westgaardów. Dotychczas rozmyślała czasem o zawłości uczuć między farmerem a zwierzętami, które go żywiły, ubierały, chroniły przed niebezpieczeństwem, lecz teraz odczuła to wszystko szczególnie intensywnie. Było to piękne... i smutne... i chwytające za serce.

Żegnajcie, koniki. Do widzenia. Trzymajcie się.

Linnea lekko wychyliła się do przodu, tak że ramieniem przywarła lekko do ramienia Teodora, który ani się nie odsunął, ani nie odwzajemnił owego nacisku, ale stał z rękami w kieszeniach obserwując, jak jego konie galopują ku swemu zimowemu światu wolności.

— Dokąd tak pędzą? — zapytała cicho.

— Najpierw prawdopodobnie wzdłuż rzeki. Pozwalamy tam rosnać dzikiej trawie i rzucamy w nią ziarno prosa, którego nie zbieramy. One uwielbiają proso.

— A potem? — Teodor wzruszył ramionami. — Jak daleko twoim zdaniem docierają? — dopytywała się Linnea.

— Osiem, może dziesięć mil stąd. Jest tam dużo rządowej ziemi, działek szkolnych i tego, czego my nie ogrodziliśmy.

— Jesteś pewien, że mają tam co jeść?

Teodor spojrział na nią uważnie. Czerwony kraciasty szalik zawiązany pod brodą w podwójny węzeł nadawał jej wygląd jeszcze bardziej dziewczęcy niż kiedykolwiek. Ale troska Linnei wypływała z serca i sprawiała, że wydawała się równie dorosła jak on. Jeszcze raz pomyślał o jej cudownym darze znajdowania piękna w rzeczach, które innym wydawały się oczywiste. Jakże była inna od Melindy...

Podniosła wzrok i stwierdziła, że patrzy na nią uważnie. Oboje znów skierowali uwagę na biegnące w dal konie.

— Mają dość jedzenia. Jak skończy się proso i siano, ruszą do stogów, które zostawiamy na polach.

— Będą marzły...

— Nie martw się. Spotkają tam inne konie i utworzą stado liczące trzydzieści albo więcej sztuk. Gdy nadejdą zamiecie, zgromadzą się w jakimś wąwozie i stając blisko siebie, będą się nawzajem ogrzewać.

Nagle Linnea uświadomiła sobie, że jej ramię dotyka ramienia Teodora i grzeje się od niego. On również to poczuł, lecz ani drgnął.

— Zobaczmy je dopiero wiosną? — zapytała.

— Może nam migną co jakiś czas. Nieraz je widzujemy, jak ze zmierzwioną sierścią pędzą przez śnieg w takie szare, wietrzne popołudnie jak dzisiaj. Ziemia będzie biała, one zaś zostawią za sobą tylko wir powietrza. Nie ma nic piękniejszego.

Linnea popatrzyła na niego w górę, on zaś na nią w dół. Znów poczuli do siebie pociąg, silny, nieodparty, prosty... Pomyślała o kobiecie, której zdjęcie pozostało na jego komodzie, i zastanowiła się, ile czasu musi upłynąć, aby włożył je do szuflady i więcej go nie wyciągnął. On zaś pomyślał o tym, jak miłe jest jej ciepło promieniujące przez rękaw marynarki, i uświadomił sobie, że zrodziła się w nich dzisiaj wspólnota uczuć znacznie głębsza niż wszystko,

co łączyło go kiedyś z Melindą.

Oboje zdali sobie sprawę z obecności Nissy i ostrożnie odsunawszy się od siebie, spojrzeli na horyzont. Koni już nie było widać.

ROZDZIAŁ 14

Koniec żniw naprawdę oznaczał nadejście zimy. Pewnego ranka na początku listopada obudzili się w świecie bieli. W ciągu jednej nocy Północna Dakota zmieniła się w krainę baśni. Jednakże już w połowie drogi do szkoły Linnea przestała uważać śnieg za romantyczny i zaczęła widzieć w nim znaczną niedogodność. Mozolnie posuwając się do przodu, szła ze zwinnością świeżo zabandażowanej mumii. Boże, czy ktoś nie mógłby wymyślić czegoś lepszego do ochrony przed śniegiem niż te nieszczęsne getry?

Getry nie były jedynym problemem. Pod nie włożyła długie grube reformy, które ochraniały ją od pasa po kostki, a na nie robione na drutach czarne wełniane pończochy podtrzymywane u góry ciasną okrągłą gumą, która wpijała się w pachwiny. Wszystko to opinały płócienne getry w kolorze khaki —twarde ochronne cholewy z usztywnieniami od kostki do kolan, związane po bokach sznurowadłami, które utrudniały krążenie krwi. Dodatkowo do tego były gumowe kalosze. Linnea czuła się tak, jakby nogi uwięzione miała w beczkach.

W szkole śnieg wywołał podniecenie. Sprowadził też kałuże, zapach przemoczonej wełny i... ciekące nosy. Przysporzył również bałaganu w szatni, gdzie pod ławkami leżały porozrzucone getry, na brudnej podłodze walały się i mokły wełniane szaliki, a rękawiczki i kalosze gubiły swoje pary. Po przerwie pojawił się najgorszy zapach — przypalonej wełny, jaki wydawały suszące się na piecu rękawiczki.

Linnea wyznaczyła dyżury w szatni i wydała polecenie, aby żadne dziecko nie przychodziło do szkoły bez chusteczki do nosa. Zapisała też sobie w pamięci, by poprosić kuratora o drewniany wieszak na ubrania.

Ale śnieg przyniósł też radość. W czasie przerwy bawili się w lisa i gąskę. Linnea biegła z taką samą wesołością jak pierwszoklasiści. Młodsze dzieci zabawiały się robieniem w śniegu „aniołków” i radośnie paplały o zbliżającym się Święcie Dziękczynienia, starsi chłopcy zaś planowali zastawianie sideł wzdłuż rzeki w nadziei na zarobek.

Wraz z nadejściem śniegu również domowe sprawy toczyły się inaczej. Zmienił się rytm życia całej farmy. Wszystko odpoczywało. Rodzina znów zasiadała do wspólnych posiłków, a Kristian zaczął wykazywać znaczące postępy w manierach obowiązujących przy stole. Rano kuchnia pachniała mlekiem, śmietaną bowiem zbierano w domu zamiast na zewnątrz. Dwa koty żyjące latem w stodole znalazły miejsce pod kuchennym piecem. Wiezorami Nisse często widać było z robótką w dłoniach. Linnea zaś, idąc za przykładem kotów, przeniosła się do kuchni z poprawianiem zeszytów.

Zrobiło się naprawdę zimno. Linnea, podobnie jak jej uczniowie, idąc otulała twarz wełnianym szalikiem, ale palce nawet w grubych, robionych na drutach rękawiczkach miała często zdrętwiałe, nim dotarła do szkoły.

Pewnego dnia po powrocie zastała Teodora i Johna przy pracy obok małej szopy koło studni. Przeszła przez podwórze, ściągnęła z twarzy szal i przywitała się z nimi.

— Witajcie, co robicie?

— Przygotowujemy się do uboju — odparł John, a jego oddech utworzył biały obłok.

— Tutaj?

Szopa była bardzo mała, zbudowana z drewna. Na środku podłogi z surowych desek leżała siekiera.

Teodor i John wymienili uśmiechy. Czasami ta panienka zadawała naprawdę niedorzeczne pytania.

— Nie — wyjaśnił Teodor. — Tutaj przechowujemy mięso. Przed ubojem krowy musimy przygotować lód.

— Ach, tak...

Pracowicie pompowali wodę do głębokiego kwadratowego dołu pod podłogą. Następnego dnia dostrzegła pomysłowość tego rozwiązania, gdy zobaczyła, jak rozkładają warstwę czystej słomy na ogromnym bloku lodu. Gdy kolejnego popołudnia, w dniu uboju, weszła do kuchni, zemdlilo ją. Bracia rozbierali ubitego wołu na kuchennym stole, a Nissa przygotowywała farsz kielbasiany.

Widząc tę krwawą operację Linnea lekko zzieleniała.

Teodor uśmiechnął się i zażartował:

— A ty myślałaś, że skąd się biorą befsztyki, panienko? Przebiegła przez kuchnię i pospiesznie wpadła na schody,

by uciec od tego przyprawiającego o mdłości widoku. Tego wieczoru po kolacji Teodor, Nissa i Kristian siedzieli przy stole i cierpliwie cięli wołowinę na cienkie długie paski, które kładli do beczki z solanką.

— Co to jest?

— Później będziemy je suszyć — odparła Nissa, nie podnosząc wzroku. — Przez kilka tygodni pozostaną w zalewie, a potem rozwiesimy je w spichlerzu, żeby się zaszuszyły. Nie ma nic lepszego...

Następnego wieczoru kuchnia pachniała wybornie, a podczas kolacji podsunęto Linnei misę z daniem sporządzonym z mięsa, ziemniaków, marchwi, cebuli i sosu. Posmarowała masłem kromkę świeżo upieczonego przez Nissę chleba, napełniła talerz cudownie pachnącą potrawą i zaczęła jeść. Pyszne! I o ileż przyjemniej przebiegał posiłek teraz, gdy nauczyli się rozmawiać!

Kristian zapytał Nissę, kto w tym roku wydaje obiad z okazji Święta Dziękczynienia.

— Kolej na Ulmera i Helen — odparła Nissa.

— Farsz cioci Helen nie jest tak dobry jak twój, babciu. Najbardziej lubię, jak Święto Dziękczynienia obchodzimy tutaj.

— Boże Narodzenie świętować będziemy tutaj i wtedy najesz się mojego farszu.

— Farsz mamy jest bardzo dobry — wtrącił John — ale ani się umywa do tego gulaszu z serca.

— Gulasz z serca?! — Linnea otworzyła usta, a wzrok wbiła w talerz.

— To było jedno z największych wołowych serc, jakie widziałam w tym roku — dodała Nissa. — Jedzcie.

Linnea miała wrażenie, że wnętrzności się jej skręcają. Wypuściła łyżkę. Co zrobić z kęsem, który trzyma w ustach?

— Zdaje się, że panna Brandonberg nie podziela opinii Johna — zauważył Teodor. Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Wzięła głęboki oddech, zdobyła się na odwagę i przełknęła, jednakże gulasz z serc próbował wrócić. Chwyciła filiżankę z kawą, wypila potężny łyk i oparzyła sobie usta. Poczwała, że łzy napływają jej do oczu.

— Czy coś nie w porządku z tym gulaszem? — zapytała Nissa, spoglądając na Linneę zza okrągłych okularów.

— Ja... ja...

— Myślę, że dobre maniery nie pozwolą pannie Brandonberg odpowiedzieć na twoje pytanie, mamó — rzekł Teodor figlarnie, ukrywając uśmiech.

— Pro... proszę mi wybaczyć — wykrztusiła Linnea słabym, drżącym głosem, po czym odsunęła krzesło, chwyciła serwetkę i zasłoniwszy ręką usta, pospieszyła w stronę schodów, uciekając jak szop przed stadem wilków.

Na górze drzwi jej pokoju zamknęły się głośno. Czwórka siedząca przy stole wymieniła znaczące spojrzenia.

— Jest kapryśna przy stole, prawda? — zauważyła kwaśno Nissa i spokojnie wróciła do jedzenia.

— Należało jej powiedzieć. Szczególnie po kanapkach z ozorem — rzekł Teodor, ale uśmiechnął się w duchu.

— I pomyśleć, że jest Norweżką. Nigdy nie słyszałam, żeby Norweżka była tak kapryśna.

— Jest tylko w połowie Norweżką — przypomniał Kristian. — W drugiej połowie jest Szwedką. Pamiętacie?

— Zatem ta druga połowa musi być kapryśna — stwierdziła Nissa.

Na górze Linnea zwinęła się na łóżku i leżała bez ruchu. Ilekroć przypominała sobie to, co widziała poprzedniego dnia, lub pomyślała o wielkim bijącym sercu ubitego zwierzęcia, ogarniały ją mdłości. Zmusiła się do myślenia o przyjemniejszych rzeczach: koniach biegających wolno na chłodnym rześkim wietrze, powojach pnących się na wiatraku Johna, dzieciach bawiących się w lisa i gaskę na świeżym czystym śniegu...

Ktoś delikatnie zapukał do jej drzwi.

— Tak? — odpowiedziała słabo.

— Czy dobrze się pani czuje?

To był Kristian, rozważny, troskliwy Kristian.

— Nie bardzo.— Mogę coś dla pani zrobić?

— Obawiam się, że gulasz z wołowego serca już to zrobił.

— Naprawdę jest pani chora? Nabrała powietrza w płuca.

— Prawie.

Spoglądając na zamknięte drzwi, Kristian nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

— Babcia kazała powiedzieć, że jeśli jest kiepsko, to trzeba wypić kropli

miętowych.

— Dzień... dziękuję, Kristianie.

— No to życzę dobrej nocy.

— Dobranoc.

Tej nocy, leżąc w łóżku, Teodor znów nie mógł nie uśmiechnąć się na wspomnienie twarzy Linnei, jak usłyszała, co je. Właśnie wtedy gdy wydawała się najmłodsza, najbardziej mu się podobała: kiedy nie chciała jeść nieznanych potraw; kiedy spoglądając na otwór chłodni, stała z szalikiem ciasno owiniętym pod brodą; kiedy w marynarskiej sukience stała z rękami skrzyżowanymi za plecami; kiedy związywała włosy szeroką szeleszczącą wstążką i pozwalała im opadać swobodnie na wysoki kołnierzyk. I oczywiście kiedy przez słabo oświetloną kuchnię patrzyła na niego swymi niewinnymi błękitnymi oczami, nie chcąc pogodzić się z oczywistymi powodami, dla których oboje musieli zwalczyć ów pociąg, jaki do siebie czuli.

Mimo to nocą leżąc na wznak wpatrywał się w sufit i wyobrażał sobie jej pokój na górze. Czasami pozwalał sobie rozważać, co by było, gdyby miała trzydzieści lub chociaż dwadzieścia pięć lat. Te myśli wprawiały go w przygnębienie. Czując skurcz żołądka, jęknął w poduszkę. Chciał zasnąć, by oczyścić umysł z grzesznych pragnień.

Myśli Linnei były zupełnie inne. Z biegiem dni stwierdzała, że różnica lat ma coraz mniejsze znaczenie. Dojrzałość Teodora sprawiała, że był w jej oczach jedynie coraz bardziej pociągający. Jego ciało, umięśnione i krzepkie na skutek ciężkiej pracy, miało dla niej więcej uroku niż wiotkie ciała młodszych mężczyzn, a bruzdy na czole przydawały charakteru jego pociągającej twarzy. Wiedziała też, jak go rozśmieszyć, aby te bruzdy zniknęły. Chociaż nie umiał czytać, znał się na sprawach, które znaczyły więcej niż słowo pisane: na koniach, uprawach, pogodzie, rolniczych maszynach i tysiącu innych rzeczy związanych z życiem na farmie, które

wydało jej się fascynujące. Nieliczne chwile, gdy dzielił się z nią tą wiedzą, sprawiły, iż pragnęła, aby było ich więcej.

Myślała o tym, że śpi w sypialni położonej pod jej pokojem, i przypominała sobie ów wieczór, gdy ją pocałował. Zamknawszy oczy, pozwoliła uczuciom przepływać przez swe młode ciało. Całowanie poduszki w zastępstwie prawdziwej czułości już jej nie wystarczało. Pragnęła czegoś rzeczywistego.

Pewnego wieczoru w połowie listopada wszyscy Westgaardowie zebrali się w domu Teodora na spotkaniu przy kartach. W jednej chwili cały dom zappełnił się krewnymi. Dorośli zasiedli do kilku stolików w kuchni, a młodzież zajęła pokoje Kristiana i Nissy oraz frontowy salon i podczas gdy dzieci śmiały się, bawiły papierowymi lalkami lub grały we własne, dziecięce karty, Linneę zaproszono, by przyłączyła się do dorosłych.

Została partnerką Johna i usiadła naprzeciwko niego, mając Larsa po prawej stronie, a Clareę po lewej. Gdy rozdano karty i rozpoczęła się gra, Linnea szybko się zorientowała, że choć John jest powolny w wielu sprawach, to na pewno nie w kartach. Razem stanowili niepokonany zespół i niebawem wzbudzili sensację. Bez trudu wygrali pierwszą partię i tak już było przez cały wieczór.

Między kolejnymi rozdaniem Ulmer roznosił niewielkie kieliszki z przezroczystym płynem, stawiając jeden również przed Linneą. Wypiła łyk, po którym straciła oddech i wachlowała dłonią otwarte usta.

— Okowita—powiedział John, uśmiechając się znad kart.

— O... okowita? — wydusiła, z trudem łapiąc powietrze — Z czego to jest?

— Och, z ziemniaków z odrobiną kminku. Całkiem nieszkodliwa, prawda, Lars?

Linnea spostrzegła diabelski uśmieszek, jaki zamienili bracia. John

sięgnął po kieliszek, jednym haustem wychylił mocny norweski trunek i mocno zacisnął oczy i usta na całe dziesięć sekund, zanim znów zaczerpnął powietrza. Linnea spodziewała się, że John eksploduje, ale otworzywszy w końcu oczy, uśmiechnął się i skinął głową z zadowoleniem. Z upływem czasu kieliszki napełniano coraz częściej i choć Linnea wypła znacznie mniej niż mężczyźni, zaszumiało jej w głowie tak samo jak innym. Nie potrafiłaby powiedzieć, kiedy podchmielenie przeszło w odurzenie, które objawiło się głównie hałaśliwością związaną z przebiegiem gry i rosnącym podnieceniem uczestników. Krzyczeli i zrywali się na równe nogi, a wykładaniu karty często towarzyszyło uderzenie pięści, od którego podskakiwał stolik. Wtedy wszyscy zanosili się śmiechem lub klęli dobrodusznie.

Za plecami Linnei pokrzykiwał Trigg:

— Do diabła, Teddy, myślałem, że ukrywasz gdzieś tego waleta.

Linnea zerknąwszy przez ramię, zobaczyła roześmianego Teodora, któremu twarz błyszczała, a nad czołem wisiał kosmyk włosów. Rzucił na nią okiem, rozgrywając kolejną zwycięską kartę, i mrugnął porozumiewawczo, biorąc lewą.

Odwróciła się do swego partnera, lecz zrobiła to zbyt szybko i pokój lekko się zakołysał. Butelka z nalepką „LINJE AKEVIT” robiła kolejną rundę. Tym razem Linnea uświadomiła sobie, że jest lekko wstawiona i że widzi to dwie trzecie jej uczniów. Przestała pić, ale tego, co się stało, nie dało się cofnąć. Chichotała co chwilę i wydawało jej się, że wszystko widzi przez złotą mgiełkę. Mimo to grała z Johnem dalej.

Pod koniec jednej z partii Lars odchylił się na dwóch nogach krzesła i zwrócił do Nissy:

— Mamo, przydałoby się trochę twojego gulaszu z serc. Linnea gwałtownie poderwała głowę — a przynajmniej tak myślała — wszystko jednak wokół zdawało się poruszać teraz w zwolnionym tempie.

— Dlaczego? — zapytała Nissa, nawet nie podnosząc wzroku. — Czy chcesz się kogoś pozbyć, Lars?

Najwyraźniej wszyscy już wiedzieli, jak z pozieleniałą twarzą uciekła od stołu, ona zaś zastanawiała się, kto rozgłosił tę opowieść. Spojrzała na Teodora. Uśmiechał się lekko.

— No dobra, kto ma taki długi język? — zażądała wyjaśnień.

— John — odparł Teodor, wskazując palcem na brata.

— Teodor — obwinił go John, wykonując identyczny gest. Wszyscy zaczęli się podśmiechiwać i nagle Linnea uzmysłowiła sobie, że całe wydarzenie z gulaszem z serc jest po prostu zabawne. Ogarnął ją niepohamowany chichot, podczas gdy pozostali wprost ryczeli ze śmiechu.

Linnea od lat nie śmiała się tak serdecznie. Wystarczyło, żeby Westgaardowie odrzucili powagę, a naprawdę umieli się bawić. Linnea poczuła się częścią tej wielkiej rozbawionej rodziny.

W połowie karcianego wieczoru zrobili przerwę, po której utworzyli nowe zespoły.

— I co, Gulaszowa Panno? Powiadasz, że chcesz mnie przy swoim stoliku? — usłyszała Linnea.

Odwróciła się do Teodora, roześmianego, z puklem włosów opadającym na czoło i figlarnymi błyskami w oku. Buńczucznie uniosła brwi.

— Sądzisz, że jesteś wystarczająco dobry... — zawiesiła głos nim dodała: — ...Teddy?

Przycisnął rękę do piersi.

— Ja? Wystarczająco dobry?! — wydawał się urażony. — Przecież gram od dzieciństwa!

— Od dzieciństwa?! — rzuciła mu szydercze spojrzenie i zacisnęła usta. — Proszę, proszę! To doprawdy od baaardzo dawna. Prawdopodobnie jesteś więc za dobry dla mnie. Zresztą Trigg już wcześniej prosił, żebym była jego

partnerką, ale usiądź przy naszym stoliku, a damy ci szansę, żebyś nas pokonał — powiedziała, pociągając ku sobie Trigga. — Chodź, Trigg, pokażmy temu chwalipięcie, kto potrafi grać!

Znów rozpoczęła się gra. Linnea bez przerwy czuła bliskość Teodora. On zaś od czasu do czasu sięgał po okowitę, badawczo przyglądając się jej kątem oka. Niekiedy opierał łokcie na stole, kiedy indziej zaś kołysał się na krześle i analizował swoje karty. Potem przymykał oczy i patrzył na Linneę sponad ręki, jakby przed podjęciem decyzji zastanawiał się nad jej następnym posunięciem. To znów szybkim ruchem wyrzucał kartę, jakby nie było wątpliwości, że weźmie lewą. Czasami zaś ona wychodziła lepszą kartą, głośno trzaskając jej rogiem o blat stolika przed posunięciem pozwalającym wziąć lewą Triggowi.

Linnea i Trigg wygrali cztery partie, a Clara i Teddy dwa. Kiedy skończyli grać, Teodor zawołał do Johna:

— W przyszłym tygodniu Gulaszowa Panna będzie moją partnerką, braciszku.— Chyba nie — odparł John. — Ja pierwszy ją odkryłem. W zamieszaniu i hałasie odsuwanych krzeseł i uprzątniętych stołów Teodor i Linnea wymienili gorące spojrzenia.

— To prawda, on pierwszy mnie odkrył — mruknęła tak cicho, by doszło to tylko do jego uszu, po czym się odwróciła.

Po uprzątnięciu kart nakryto do kolacji wielki dębowy stół, przy którym Linnea przez cały czas czuła na sobie wzrok Teodora. Kolacja była prawdziwą ucztą: podano grzanki, wyborny ser o nazwie *gammelost* i dziwnie wyglądającą przystawkę, którą określono słowem *blodpose*.

— A co oznacza słowo *blodpose*? — zapytała Linnea, figlarnie kręcąc nosem.

Skierowała to pytanie do Teodora, spodziewając się szydycznej odpowiedzi, ale on wypił tylko łyk kawy i odwrócił wzrok. Zamiast niego

ozwał się John:

— Tym razem padło na ciebie, mamó.

Wokół rozległ się chichot, jeden Teodor pozostał poważny.

— Co to znaczy? — dopytywała się Linnea, łapiąc Johna za ramię.

— Krwawa kiszka — odpowiedział.

— Krwawa kiszka?! — jęknęła omdlewająco, po czym chwyciwszy się za brzuch, dramatycznie opadła na stół.

Wszyscy się roześmiali. Wszyscy oprócz Teodora.

Kiedy sprzątnięto po kolacji, dorośli pozbierali senne dzieci, umieścili je w wymoszczonych sianem wozach i rozjechali się do domów.

Kristian, który popijał ukradkiem, natychmiast zniknął na górze, żeby umknąć przed kontrolą babci. Nissa odbyła „dłuższą przechadzkę” na powietrzu, a kiedy wróciła, Linnea uczyniła to samo.

Wracając do domu, próbowała rozwiązać zagadkę nagłej zmiany nastroju Teodora, jej umysł wszakże nie funkcjonował jak należy. Odchyliwszy do tyłu głowę, oddychała głęboko, starając się zneutralizować skutki mocnego alkoholu. Niestety, mimo zjedzonego posiłku, kawy i świeżego powietrza wciąż jej w głowie szumiało.

Na kuchennym stole paliła się pozostawiona dla niej lampa. Linnea jednak, nie mając pewności, iż zdoła donieść ją na górę, przykręciła knot i ciemność ogarnęła całe wnętrze. Kiedy na palcach ruszyła ku schodom, otworzyły się drzwi sypialni Nissy, rzucając złotą smugę światła przez salon i mroczne wnętrze kuchni.

— Nissa? — zapytała cicho Linnea.

— Nie.

Linnea wzięła głęboki oddech i wstrzymała go, gdy w drzwiach pojawił się Teodor i przystanął na jej drodze. Był bosy, zdjął już koszulę, w mroku jego podkoszulek wydawał się jasną plamą. Dostrzegła zarys szelek

kołyszących się na wysokości kolan tak jak tamtego dnia, przy szkolnej studni, i odpięte pod szyją guziki podkoszulka. Twarz Teodora pozostawała w cieniu, Linnea wszakże czuła wojowniczą agresywność w jego szeroko rozstawionych stopach i sztywno zwieszonych po bokach ramionach.

— Ach, to ty.

— Przecież wcale nie oczekiwałaś Nissy, prawda?

— Nie oczekiwałam nikogo! — odpowiedziała ostro i zdecydowanie ruszyła ku schodom. Zanim weszła na pierwszy stopień, chwycił ją za rękę i odwrócił do siebie.

— Czyżby?

Na wąskim mrocznym podejściu niemal dotykali się piersiami. Jego uchwyt był bolesny.

— Co w ciebie nagle wstąpiło, Teodorze? To boli! Puść! Ścisnął jej rękę jeszcze mocniej.

— Posłuchaj, panienko, jeśli nie potrafisz zachować umiaru w picciu okowity, to może powinnaś pić mleko. Zresztą picie mleka znacznie lepiej pasuje do osoby w twoim wieku.

— W moim wieku?! Mam osiemnaście lat, więc jak śmiesz traktować mnie jak dziecko?

— Masz osiemnaście lat i jesteś już dorosła, tak? — szydził.

— Tak! — syknęła przez zęby, wściekła, że nie może wrzasnąć, bała się jednak obudzić cały dom. — Ale ty tego nie zauważyłeś!

Teodor roześmiał się drwiąco cichym głosem.

— To, że opuściłaś rodzinny dom, nosisz kapelusz z piórkiem i pijesz okowitę, wcale nie czyni cię dorosłą, panienko.

— Przestań nazywać mnie w ten sposób! Już ci mówiłam...

— Co to za pomysł z flirtowaniem z Johnem dzisiejszego wieczoru? —

Dłonie Teodora zacisnęły się na ramionach Linnei i niemal ją podniosły. — On

nie jest zbyt rozbawiony, nie widzisz tego? Ale to wcale nie oznacza, że nie ma uczuć. Więc jak ci się zdaje, co robisz, bawiąc się nim w ten sposób? A jeśli ulegnie twoim sztuczkom? On nie jest taki jak inni mężczyźni, nie zrozumie, jak mu powiesz, że tylko się bawiłaś.

— Zwariowałaś?! Nie flirtowałam z Johnem!

— Ach tak, więc jak byś to nazwała? Wieszanie się na jego ramieniu, granie z nim w karty i twierdzenie, że John odkrył cię pierwszy?

Nagle zrozumiała, jak musiało to wyglądać w oczach Teodora.

— Ale... ale ja nic nie chciałam przez to powiedzieć.

— Nie tak to wyglądało. Wcale nie tak! — potrząsnął nią lekko, aż niemal straciła równowagę. — Masz nauczkę, co? Wiesz, co się dzieje, gdy mała dziewczynka próbuje zachowywać się jak dorosła i wypija za dużo okowity.

Nie walczyła ani się nie poddała. Pozwoliła, by ścisnął ją za ramiona, choć uświadomiła sobie, że na każdym będzie miała rząd sińców.

— Och, Teodorze... — westchnęła. — Jakiś ty ślepy! — powiedziała cicho, opierając koniuszki palców na jego piersi. — Kiedy wreszcie zrozumiesz, że ja nie jestem dziewczynką, a ty starcem?

Teodor cofnął ręce tak gwałtownie, jakby go sparzyła. Linnea przytrzymała go za podkoszulek, czując pod rękami oszalałe bicie jego serca. Chwycił jej nadgarstki i oderwał od siebie.

— Za dużo wypijaś, panno Brandonberg.

— Doprawdy? — zapytała spokojnie.

Głowa Teodora wyłoniła się z mroku, uścisk stał się jeszcze mocniejszy, a głos dźwięczał gniewem.

— Najpierw John, a teraz ja. Brat przeciwko bratu, tak?

— Nie — błagała go cicho, rozumiejąc jego potrzebę postawienia barier.

— Proszę... nie.

Stali bez ruchu przepelnieni napięciem silniejszym niż wszystko, czego każde z nich kiedykolwiek doświadczyło. Czubki palców Teodora wbijały się w miękką skórę nadgarstka Linnei, tam gdzie puls tętnił szybko i gorąco. Mrok klatki schodowej krył wszystko oprócz niewyraźnych konturów ich twarzy, gdy patrzyli na siebie w milczeniu. Ta noc wydawała się pulsować w nich własną kuszącą natarczywością. Nagle Linnea lekko westchnęła, uwolniła rękę, zarzuciła Teodorowi na szyję i przywarła do jego ust. Nie zareagował. Długą chwilę stał sztywno z zaciśniętymi wargami. Potem próbował ją odepchnąć, lecz przywarła do niego, rozpalona i spragniona. Chybaby umarła z upokorzenia, gdyby ją odtrącił, nie odwzajemniwszy pocałunku. Palce Teodora wbijały się w jej ciało. Odpychał ją, ale się nie poddawała, aż oboje drżeli w tej milczącej walce, ciężko oddychając.

Nagle uległ. Jego potężne ręce uniosły ją i przytuliły. Z jękiem kapitulacji schylił głowę i przywarł do jej dziecinnie zaciśniętych ust, pieścił je wargami, muskał językiem. Linnea najpierw zesztyniała, potem zadrżała.

— Prosiłaś o to, dziecino — wyszeptał wprost w jej usta — więc rozchyl wargi i naucz się całować jak dorosła kobieta.

Jego język wracał natarczywie i ta pieszczota uświadomiła Linnei zdecydowaną różnicę między tym pocałunkiem a wszystkimi, jakich doświadczyła wcześniej. Tamte ledwie ją poruszały. Pocałunek Teodora domagał się wzajemności. Lekko rozchyliła usta... Doznanie było cudownie przejmujące, gdy gorący język Teodora pieścił zmysłowo wnętrze jej ust. Nieśmiało zaczęła go naśladować, odwzajemniając tę intymność, smakując jego usta, śliskiej i rozpalone, nasycone okowitą i kawą. Ciało Linnei ożywiły zupełnie nowe doznania. A więc tak to jest!... Och, Teddy, Teddy, pieść mnie jeszcze!...

Mocniej doń przywarła, lecz tulił ją zbyt krótko. Zanim się upewniła, że serce Teodora bije tak mocno jak jej, odsunął się i unióśł głowę. Jego oddech

owiewał twarz Linnei, zdmuchując z czoła luźne pasmo włosów. W niej zaś pulsowało niezaspokojone pragnienie.

Kiedy się odezwał, mówił gniewnie przez zaciśnięte zęby:

— Igrasz z ogniem, panienko.

Zostawił ją w podnieceniu. Dotknęła swych wilgotnych drżących ust, serca, brzucha. Skonfundowana, rozbudzona ruszyła schodami do swego zimnego pokoju i cała drżąca skryła się pod kołdrą. Piersi bolały ją rozkosznie, w głowie się kręciło. Ale nie od okowity...

Obudziła się następnego ranka wciąż myśląc o owym pocałunku.

Dotknęła ust, jakby pozostał na nich jego ślad. Uniosła ramiona nad głowę, zamknęła oczy i zobaczyła twarz Teodora, gdy mrugał do niej porozumiewawczo ostatniej nocy, zaczerwienioną i rozbawioną, z owym niesfornym lokiem kołyszącym się nad czołem. Tę urodziwą twarz, za której uśmiechem tak tęskniła, w której oczach tak bardzo pragnęła się zatracić. Myśl o Teodorze napęłniła ją radosnym pragnieniem, żeby znów go zobaczyć. Ale co mu powie?... Co się mówi rano mężczyźnie, którego poprzedniego wieczoru zmusiło się do pocałunku?

Spotkali się przy śniadaniu. Linnea wpatrywała się w niego z nieskrywanym zachwytem, jakby nie widziała go nigdy przedtem. Czowała, że policzki jej płoną. Teodor zaś na ułamek sekundy przystanął, zobaczywszy ją w kuchni. Okowita pozostawiła mu w głowie głębokie, nieustające dudnienie. Ból wzmógł się na widok Linnei. Z rękami zaciśniętymi na piersi wyglądała dość niepewnie, jakby zabrakło jej tchu.

Rusz się, głupcze, zanim matka zobaczy, że tak się na siebie gapicie.

— Dzień dobry — powiedział i z wysiłkiem odwrócił się od jej promiennej wyczekującej twarzy.

— Dzień dobry.

Pierwszy raz poczuł skrepowanie, myjąc się w jej obecności. To

szaleństwo, pomyślał. Unikał jej wzroku przy śniadaniu, a jej przez cały dzień.

Jednakże Linnea chciała mu coś powiedzieć i w końcu późnym popołudniem zdybała go w siodlarni. Siedząc na swoim wytartym fotelu, nacierał oliwą siodło nieświadom, że stanęła za nim.

— Witaj, Teodorze — powiedziała, biorąc głęboki oddech i starając się uspokoić.

Dźwięk głosu Linnei przyprawił serce Teodora o drżenie, ale zapanował nad sobą, by nie podskoczyć. Ryzykowna to rzecz: ukradkowe pocałunki w ciemności z dziewczyną taką jak ona. Któreś z nich musi się opamiętać, a sposób jest jeden. Zerknął na nią tylko przez ramię, nie przerywając pracy.

— Ach, to ty.

— Przykro mi w związku z wczorajszym wieczorem. Przepraszam.

Jeszcze raz bez uśmiechu spojrzął na nią przez ramię.

— Za co? Była oszołomiona. Za co?! Siedzi tu patrząc na nią obojętnie jak jeden z jego pociągowych koni i pyta: „za co”?!

— Przecież wiesz — odparła cicho, opuszczając oczy.

— Och, chodzi ci o to, że wypijaś trochę za dużo? — Znów pochylił się nad siodłem. — Ja też wciąż czuję się tak, jakby w głowie pracował mi parowy silnik.

Przełknęła ślinę, nie odrywając wzroku od jego szerokich ramion.

— Chcesz powiedzieć, że... że nie pamiętasz? Zaśmiał się po cichu, przypominając sobie wszystko.

Bardzo wyraźnie.

— Niezupełnie. Byłaś moją partnerką w drugiej partii, prawda?

Krew uderzyła jej do twarzy, lecz nie widział jej rumieńca.

— Tak, graliśmy razem. I rozzłościłeś się na mnie, bo zgodziłam się w przyszłym tygodniu grać z Johnem. Tego także nie pamiętasz?

— Obawiam się, że nie. Ta okowita jest bardzo mocna. Dzisiaj ponoszę

konsekwencje.

Linnea stała jak skamieniała jeszcze kilka chwil, speszona, że nie przypominał sobie czegoś, co ją poruszyło do głębi. Powinien, niezależnie od tego, jak dużo wypił okowity! Nagle zmrużyła oczy i przeszył ją dreszcz gniewu. Kłamie! Ten uparty norweski muł kłamie!!! Ale dlaczego?

Odpowiedź była oczywista: pocałunek podziałął na niego równie mocno jak na nią. Wyprostowana obróciła się na pięcie i z trzaskiem zamknęła za sobą wrota stodoły.

Teodor okręcił się na fotelu i marszcząc brwi patrzył na puste już wyjście, po czym wstał. Rzucił na ziemię naoliwioną szmatkę. Ściskając dłońmi krawędź skrzynki z narzędziami, spoglądał przez małe okno na zaśnieżoną zagrodę, przypominając sobie ciepły ciężar Linnei na ramieniu tego dnia, gdy wypuszczali konie, i ostatnią noc, kiedy czuł jej piersi i ramiona oplatające mu szyję. I usta podane tak nieskrępowanie... kuszące... niewinne...

Zacisnął zęby, aż zadrgały mu policzki. Naiwna smarkula! Nawet nie umiała się jeszcze całować!

Z grymasem na twarzy uderzył pięścią o nieheblowaną skrzynkę, lecz nie pomogło ani trochę. Linnei nie uczyniło starszą, a jego młodszym. Liczna rodzina Westgaardów była sobie znacznie bliższa, niż Linnea początkowo przypuszczała. Tylko żniwa trzymały ich od siebie z dala. Teraz, gdy nastawa zima, Linnea przyzwyczaiła się do częstszych z nimi spotkań. A że wszyscy garnęli się do Nissy, dom Teodora częściej niż inne bywał rodzinnym punktem zbornym.

Linnea poznała rolę każdego w rodzinnym klanie. Ulmera, najstarszego, najczęściej proszono o radę. Johna, jako opóźnionego, najbardziej chroniono i rozpieszczano. Teodorowi bracia byli wdzięczni, że dał matce dom. Obdarzali go też współczuciem, gdyż wiedzieli, że właśnie jemu, jak na ironię, matka dokuczała najbardziej i kazała pracować najciężej. Lars był najweselszy — to

on wprawiał całą resztę w dobry humor. Clare, najmłodsze dziecko i jedyną dziewczynę, która teraz na dodatek była w ciąży, bracia kochali do szaleństwa. Nie zepsuło jej to jednak ani trochę. Im dłużej Linnea znała Clare, tym bardziej ją lubiła i tym silniej dojrzewało w niej pragnienie, żeby się jej zwierzyć.

Niezliczone emocje kłębiły się w Linnei od owej nocy, gdy pocałowała Teodora. Smutek, ciekawość, irytacja i fascynacja. Teodor także był zafascynowany, zorientowała się Linnea. Bywało bowiem, że nagle podniósłszy wzrok, stwierdzała, iż obserwuje ją z drugiego końca pokoju, kiedy zaś spotykali się w drzwiach, cofał się zbyt szybko, by zachować bezpieczną odległość. Ale zdarzały się też chwile, kiedy zachowywał się tak, jakby był zirytowany przebywaniem z nią pod jednym duchem, jak również inne, gdy zdawał się nieświadomy jej istnienia. Nie miała pojęcia, jakie myśli skrywało jego chmurne milczenie bądź twarz na pozór bez wyrazu.

Im bardziej rosło jej rozgoryczenie, tym silniej ciągnęło ją ku Clarze. Tyle że Clara była siostrą Teodora, obawiała się zatem, czy wypada zwierzać się osobie tak mu bliskiej. Ponieważ jednak w okolicy nie miała innej zaufanej osoby, więc stwierdziwszy, że traci cierpliwość do uczniów, uświadomiła sobie, że oni nie mogą płacić za jej rozgoryczenie. Musiała mieć powiernicę.

Wybrała się zatem pewnej soboty na farmę Linderów. Drzwi otworzyła jej właśnie Clara. Wymieniwszy powitalne uściski, usiadły przy kuchennym stole, gdzie Clara wróciła do czyszczenia jajek ściernym papierem, wydając jedno po drugim z drucianego kosza. Kiedy je przecierała, w przytulnym wnętrzu rozlegało się szeleszczące szuranie.

Linnea wierciła się nerwowo na krawędzi krzesła, wpatrując się w ruchliwe ręce Clary i zastanawiając, jak zacząć.

— Napijesz się kawy? — zapytała Clara.

— Nie, dzięki... Claro, czy mogłybyśmy porozmawiać?

— Jesteś taka spięta. Czy to coś poważnego?

— Owszem. Przynajmniej dla mnie.

Clara czekała. Linnea nerwowo kręciła się na krześle. W kuchni nadal rozlegało się tylko szuranie papieru ściernego.

— Zetrzesz lakier z krawędzi tego krzesła. Mów, o co chodzi.

— Pamiętasz ten wieczór, kiedy trochę zaszumiała mi w głowie okowita?

Clara zaśmiała się cicho.

— Oczywiście. Niektórzy z twoich uczniów dotąd o tym mówią.

— Chyba zrobiłam wtedy z siebie idiotkę.

— Nie większą niż inni.

— Może nie wtedy, gdy ty tam byłaś, ale później.

— Później? — Clara wybrała z koszyka kolejne jajko. Papier znów Zaszurał rytmicznie.

Linnea poczuła się tak, jakby to jajko stanęło jej w gardle. Zanim straciła odwagę, przełknęła ślinę i oświadczyła otwarcie:

— Pocałowałam Teodora.

Arkusz ściernego papieru zatrzymał się w powietrzu.

— Pocałowałaś Teodora... — Clara ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. — Naszego Teodora?

— Tak.

Clara odchyliła się do tyłu i wybuchnęła gardłowym śmiechem.

— Och, to cudowne! A co on zrobił?

— Odwzajemnił pocałunek, a potem się na mnie wściekł.

— Dlaczego?

Linnea wzruszyła ramionami, położyła złączone dłonie na stole i patrząc na nie ponuro, odpowiedziała:

— Twierdzi, że jestem dla niego za młoda. Clara znów zaczęła czyścić jajka.

— A ty jak myślisz?— Chyba się nie zastanawiałam. Miałam ochotę to zrobić, więc zrobiłam.

Clara zauważywszy, że Linnea zmarszczyła brwi, nie mogła oprzeć się wesołości.

— No i jak było?

Linnea uniosła głowę i spojrzały sobie w oczy. Clara nie była zła! Jej uśmiech rozproszył obawy Linnei, która poczuła, że może się zwierzyć siostrze Teodora ze wszystkiego.

— Lepiej niż z Rustym Bonnerem, zapewniam cię. Clara znów była zaskoczona.

— Z Rustym Bonnerem też się całowałaś?!

— Tamtej nocy na tańcach w stodole. Ale Teodor nas nakrył i się zdenerwował. Właśnie dlatego Rusty zniknął tak nagle następnego dnia. Teodor go wyrzucił.

Clara ponownie oparła się o krzesło i przestała czyścić jajka.

— Cóż, później to zrobię.

— Nie jesteś na mnie zła? No wiesz... za to, że całowałam się z Teodorem?

— Zła? — roześmiała się Clara. — Dlaczego miałabym być zła? Teddy robi się za bardzo ponury. Potrzeba mu kogoś, kto go trochę ożywi, i myślę, że właśnie ty możesz to zrobić.

Linnea nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo obchodziło ją to, co rodzina pomyśli o jej zainteresowaniu Teodorem, dopóki Clara nie zaakceptowała tego tak pogodnie.

Gdybyż tylko równie radośnie zaakceptował je Teodor!... Niestety, uparcie trzymał się na dystans.

Linnea i Clara spotkały się ponownie w niedzielę, gdy Linderowie wpadli z popołudniową wizytą. Kiedy przybyli, Linnea siedziała w swym

lodowatym pokoiku na górze, poprawiając uczniowskie prace, bo na dole przy kuchennym Mole siedział Teodor.

Ktoś lekko zapukał do drzwi, a potem wsunęła się przez nie głowa Clary.

— Serwus, przeszkadzam?

— Nie, poprawiam wypracowania. Wejdz!

— Wielkie nieba, ależ tu lodowato! — Clara zatarła ręce.

— Za zimno ci? Czy to ci nie zaszkodzi, jeśli zostaniesz u mnie chwilę?

— zapytała Linnea, spoglądając na wydatny brzuch Clary. Clara podążyła za wzrokiem Linnei, pogłaskała brzuch i roześmiała się.

— Wszystko w porządku — zapewniła, ciekawie rozglądając się po pokoju. — Nie byłam tu od lat. Na pewno nie przeszkadzam?

Linnea odłożyła zeszyt i rozcierała zeszytywniałe palce.

— Wierz mi, że z przyjemnością oderwę się od tego. Clara sięgnęła po zeszyt leżący na wierzchu, obejrzała nieuważnie i odłożyła na miejsce.

— Wiesz, nieraz ci zazdroszczę, że masz taką pracę... z dala od domu... na własnym utrzymaniu...

— Zazdrościsz mi?!

— Nigdy nie wyjeżdżałam stąd dalej niż do Dickinson. Twoje życie jest takie... niezależne... ekscytujące...

— Nie zapomnij też dodać, że przerażające.

— Nieczęsto widuję cię przerażoną.

— Nie? Cóż, widać dobrze to ukrywam. Clara się roześmiała.

— Czy opowiadałam ci kiedyś — mówiła dalej Linnea — w jakie przerażenie wprowadził mnie twój brat tego dnia, gdy zabrał mnie ze stacji?

— Teddy? — zachichotała Clara, podchodząc do toaletki. Spojrzała na osobiste drobiazgi Linnei, wśród których leżał też agat z piękną przejrzystą smugą o barwie bursztynu. Uniosła go do światła. — Och, Teddy jest w głębi duszy starym poczciwiną. Co zrobił, kazał ci nieść bagaże? — zapytała i

odłożywszy agat, popatrzyła przez ramię.

— Gorzej. Powiedział, że będę musiała znaleźć sobie mieszkanie gdzie indziej, bo on nie chce żadnej kobiety pod swoim dachem.

— Prawdopodobnie z powodu Melindy.

— Nigdy o niej nie wspomina. Jaka ona była?

Clara usiadła na brzegu łóżka, podciągnęła kolana ku górze i zamyśliła się na kilka sekund.

— W Melindzie były dwie różne osoby. Jedna wesoła i trzpiotowata, i właśnie tę zobaczyliśmy pierwszą, gdy przyjechała tu niezapowiedziana, mówiąc, że wychodzi za Teddy'ego. Druga zaś była jej przeciwieństwem, spokojna i przygnębiona. Miałam wówczas zaledwie jedenaście lat, więc wtedy tego nie rozumiałam, ale myślę o tym od czasu gdy dorosłam i urodziłam własne dzieci. Myślę, że częścią problemu Melindy było to, że bardziej niż inne ucierpiała wskutek depresji poporodowej i...

— Depresji poporodowej? — przerwała jej zdumiona Linnea.

— Nie wiesz, co to znaczy? Linnea pokręciła głową.

Clara położyła sobie jedną rękę na wydatnym brzuchu, a na drugiej się oparła.

— Depresja poporodowa zdarza się po porodzie. Wtedy ogarnięta smutkiem kobieta cały czas płacze. To się zdarza nam wszystkim.

— Naprawdę? — wzrok Linnei spoczął na brzuchu Clary, którego widok nappełniał ją lękiem.

— Dziwne, prawda?

— Ale dlaczego? Myślę... wydaje mi się, że to najpiękniejsze chwile po przyjściu dziecka na świat.

Clara wygładziła fałdy spódnicy na brzuchu i uśmiechnęła się z zadumą.

— Tak się wydaje, prawda? Ale bywa, że po porodzie kobietę ogarnia wielki smutek. To strasznie głupie uczucie, bo wie, że dokonała największej

rzeczy na świecie i powinna być szczęśliwa, a chce jej się tylko płakać i płakać... Mężowie tego nie cierpią. Biedny Trigg zawsze czuje się bezradny, niezręczny i wciąż pyta, co może dla mnie zrobić. — Rozłożyła ręce. — Nic nie można zrobić. Rzeczy muszą biec swoim torem.

— I Melinda wciąż płakała?

— Bez przerwy. Wydawało się, że nigdy nie przestanie. Przypuszczam również, że nie znosiła tego miejsca. Twierdziła, że te pola przyprawiają ją o szaleństwo. I tamtej jesieni, gdy zboża zostały zebrane i sezonowi robotnicy wyjechali, ona także zniknęła.

— Och! — Linnea zasłoniła dłonią usta. — Chcesz powiedzieć, że ona... uciekła z jednym z nich?!

— Tego nie wiem. Jeśli nawet tak, to zrobiono wszystko, abym nigdy nie dowiedziała się o szczegółach. Mieszkaliśmy wtedy w domu Johna. Za życia ojca to był nasz rodzinny dom. Kiedy to się stało, ojciec nie żył już od dwóch lat. John mógł prowadzić gospodarstwo sam, a Teddy potrzebował kogoś, kto by się zaopiekował Kristianem, więc mama i ja zamieszkałyśmy tutaj. Wtedy to był mój pokój. Pamiętam, jak przynoszono tu malutkiego Kristiana i układano w moim łóżku. — Na twarzy Clary pojawił się łagodny uśmiech. — Był najśłodszym maleństwem, jakie... — nagle gwałtownie wciągnęła powietrze, zamknęła oczy, wygięła się do tyłu i przycisnęła dłoń do brzucha.

Oczy Linnei zrobiły się okrągłe ze strachu, lecz Clara zaraz się rozluźniła.

— Och, mocno było.

— Co się stało? — spytała zaciekawiona Linnea.

— Dziecko kopnęło.

— Ko... kopnęło?! — Nie mogła oderwać oczu od wydętego brzucha Clary, zastanawiając się nad tajemnicami wydawania na świat dzieci.

— Wiesz coś o ciężarnych kobietach?

— Nie... ty jesteś pierwszą, z jaką w ogóle rozmawiam.

— Dziecko już we mnie żyje. I porusza się.

— Rzeczywiście? — Linnea drgnęła, jakby wyrwała się z zadumy, i dodała: — Chciałam powiedzieć: oczywiście... W przeciwnym razie jak mogłoby kopać?... Jakie to uczucie?

Clara się roześmiała.

— Chcesz dotknąć?

— Och, czy mogę?

— Pewnie. Za chwilę poruszy się znowu. Zawsze tak robi, gdy raz zacznie się kręcić.

Linnea nieśmiało usadowiła się obok Clary i wyciągnęła drżącą rękę.

— Nie bój się. To tylko dziecko.

Linnea bojaźliwie dotknęła brzucha. Clara była silna, ciepła i nosiła w sobie drogocenne życie.

Gdy dziecko poruszyło się pod dłonią Linnei, jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, a na twarzy zajaśniał szeroki uśmiech.

— Claro, Claro... czuję! Clara zaśmiała się cicho.

— Wierz mi, że ja też czuję. Czasami mocniej, niżbym chciała.

— Ale jakie to jest uczucie? Co czujesz w środku, gdy ono tak się w tobie obraca?— Czasami czuję się tak, jakby... jakby burczało mi w brzuchu.

Roześmiały się razem. Linnea cofnęła rękę, zazdroszcząc Clarze, że daje początek nowemu życiu.

— Dziękuję, że pozwoliłaś mi dotknąć.

— Och, nie bądź niemądra. Kobieta musi wiedzieć o tych sprawach, w przeciwnym razie spotkają ją wielkie niespodzianki, jak wyjdzie za mąż.

Linnea dumiała przez chwilę, zastanawiając się, czy Teodor dotykał brzucha Melindy tak, jak ona dotknęła brzucha Clary, i czy czuł ruchy swego dziecka. Poród... największy ze wszystkich cudów. Próbowwała pojąć głębie

smutku, jaki czuje mężczyzna opuszczony przez żonę, z którą dzielił ten cud.

— Chyba się domyślam, dlaczego Teodor jest taki rozgoryczony na kobiety — odważyła się powiedzieć, przesuwając paznokciem po mereżkowym wzorze kapy.

— Masz dzisiaj mnóstwo pytań o Teddy'ego. Linnea podniosła wzrok.

— Byłam po prostu ciekawa, to wszystko — odparła.

— A jak układają się sprawy między wami? — zapytała Clara, uważnie wpatrując się w twarz młodej kobiety.

— Tak samo. Na ogół jest w złym humorze. Traktuje mnie jak morowe powietrze. — Linnea nagle się zerwała i tupnęła. — Cały czas traktuje mnie jak dziecko i właśnie to mnie tak złości!

Clara baczenie wpatrywała się teraz w plecy Linnei, zaskoczona jej gwałtownością. A więc ona chce być traktowana jak kobieta. Proszę, proszę...

— Ty rzeczywiście coś czujesz do naszego Teddy'ego, prawda?

Linnea skuliła się na łóżku.

— Boże, nie wiem... — powiedziała, podnosząc wzrok na przyjaciółkę.
— Sama nie wiem. Mam taki zamęt w głowie...

Clara wspomniała, jaki ona czuła w sobie zamęt, kiedy się zaręczyła z Triggim. Wierząc, że Linnea darzy uczuciem jej brata, wyciągnęła rękę, by ująć dłoń młodziutkiej kobiety.

— Może jeszcze wciąż się rozwijasz?

— Chyba tak — odparła Linnea z żalną miną. — Trudno się z tym wszystkim uporać, prawda?

— Wszystkie przez to przechodzimy. Choć, dzięki Bogu, tylko raz, ale przypuszczam, że to trochę trudniejsze, kiedy jest się zakochaną w kimś takim jak Teddy — rzekła Clara i zapytała wprost: — No to co chcesz o nim wiedzieć?

— Czy miał kogoś jeszcze poza Melindą?

— Mam pewne podejrzenia co do pani Lawler, ale nie jestem pewna.

— Ja też tak myślę. Clara uniosła głowę.

— Jesteś zazdrosna?

— Nie, nie jestem! — Linnea najpierw przyjęła pozycję obronną, potem spuściła z tonu. — Tak, jestem — przyznała spokojniej. — Och, przecież to zupełnie niedorzeczne? Chodzi mi o to, że Teodor jest ode mnie szesnaście lat starszy! — z irytacją machała rękami. — Moja mama chyba by umarła, gdyby się dowiedziała!

— O czym?

— Że się z nim całowałam.

— Ach, o tym...

— Tak, o tym. Claro, ja go nie rozumiem. Całował mnie tak, jakby jemu również sprawiało to przyjemność, a potem tak się rozgniewał, jakbym zrobiła coś złego. Ale ja nie wiem co — zakończyła bliska płaczu.

Clara uścisnęła dłonie Linnei.

— Bardziej niż pewne wydaje się to, że jest zły na siebie, a nie na ciebie. Przypuszczam, że Teddy czuje się trochę winny, ponieważ jesteś taka młoda. Prawdopodobnie zastanawia się też, co ludzie pomyślą... mieszkasz w tym domu...

— Ale to niemądre! Przecież my nie...

— Oczywiście, że niemądre. Mnie nie musisz tego wyjaśniać. Ale powinnaś o czymś pamiętać. Teodor został bardzo boleśnie zraniony. Mieszkałam tu po odejściu Melindy. Widziałam, jak cierpiał, i jestem pewna, że niełatwo mu się przełamać i znowu zbliżyć do kogoś. Chyba jest trochę wystraszony, nie sądzisz?

— Wystraszony? Teodor?... — Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, że mógłby być wystraszony. Ta myśl ją otrzeźwiła. — Chyba za dużą wagę przywiązuję do tych pocałunków. Jak ci już mówiłam, on traktuje mnie

jak dziecko. Ale Claro, proszę cię, nie mów nikomu o tym.

— Oczywiście, że nie powiem.— Dziękuję, że opowiedziałaś mi o Melindzie. I o twoim stanie.

— Jesteś teraz niemal członkiem rodziny, a jako nauczycielka Kristiana powinnaś wiedzieć coś o jego matce. Jeśli chodzi o inne kwestie... o sprawy osobiste... zawsze możesz pytać mnie o wszystko. Jak się dowiesz, na czym właściwie polega małżeństwo, jeśli nie będziesz zadawać pytań?

Przez następne tygodnie Linnea zadawała Clarze niezliczone pytania. Dowiedziała się wiele o ciele kobiety, znacznie więcej niż sobie wcześniej wyobrażała. Clara podzieliła się z nią także kilkoma intymniejszymi kwestiami związanymi z małżeństwem. I to już przerosło wyobraźnię Linnei.

Po każdej takiej rozmowie leżała w łóżku i próbowała wyobrazić sobie siebie i Teodora robiących to, co robili Clara i Trigg, aby mieć dzieci. Och, już wcześniej słyszała o stosunkach płciowych, ale nigdy z tak wiarygodnego źródła jak Clara, która z pewnością dobrze wszystko wiedziała! Wszak zrobiła to z Triggem trzy razy!

Potem w jednej z poufnych rozmów Clara wyjawiała jej, że mężczyźni i kobiety robią to znacznie częściej, nie tylko wtedy, gdy chcą mieć dzieci. Czynność ta bowiem jest zbyt przyjemna, by ograniczać ją tylko dla płodzenia potomstwa.

Spoglądały na siebie i chichotały.

Jednakże Linnea popadła w jeszcze większe zakłopotanie niż przedtem. Całymi godzinami zastanawiała się nad przebiegiem tego aktu i nad tym, skąd, u licha, dwoje ludzi wie, że można go rozpocząć. Czy mężczyzna po prostu mówi, że nadeszła pora, a wtedy idzie się z nim do łóżka i to robi? I jak, na miłość boską?! Wyobrażając sobie ów akt, była pewna, że jest to okropne, niezręczne i obrzydliwie krępujące, nawet jeśli kocha się mężczyznę. Pamiętała odrazę, jaką czuła w uścisku Rusty'ego, i złość, jaką później

wywołał w niej Bill, gdy próbował wsunąć kolano między jej nogi. Tyle że te dwa razy, gdy była wtulona w Teodora... o Boże, to było wspaniałe!

Ale rozebrać się i pozwolić mu robić to, o czym opowiadała Clara?! Nigdy w życiu! Po pierwsze, przy jego posturze po prostu zmiażdżyłby ją na śmierć!

Pod koniec listopada Kristian skończył siedemnaście lat. W szkole wszyscy wypatrywali Święta Dziękczynienia i Bożego Narodzenia. Linnea zaczęła przygotowywać program świąteczny i wieczorami pisała scenariusz jasełek, zupełnie zapomniawszy, że miała uczyć Teodora czytać, gdyż nadal unikali się na każdym kroku.

Pewnego dnia chłopcy wrócili z południowej przerwy ze schwytanym w sidła królikiem. Podekscytowani prosili pannę Brandonberg, by pozwoliła im go sprawić. Linnea niechętnie się zgodziła — i trzymała się z dala od szopy na węgiel, gdzie obdarli ze skóry i wypatroszyli nieszczęsne stworzenie.

Zrobiwszy co należy, Raymond, Kristian, Tony i Paul wrócili z jaśniejącym wzrokiem.

— Panno Brandonberg — wystąpił Tony jako orędownik — zastanawiamy się... no cóż, skoro sami schwytaliśmy tego królika, to może moglibyśmy go przyrzadzić?

— Przyrzadzić? Tutaj?!

— Taaak... widzi pani, pomyśleliśmy, że gdyby pozwoliła nam pani przynieść tu rondel i zapytać nasze mamy, jak to się robi, upieklibyśmy go jutro z ziemniakami.

Linnea poczuła skurcz żołądka na myśl, że może zostać poczęstowana kawałkiem królika sprawionego i upieczonego przez czterech dumnych nowicjuszy. Czyż nie od jedzenia właśnie tych stworzeń można dostać króliczej gorączki?

— No... wielkie nieba! — wykrzyknęła wymijająco.

— Prosimy! — odpowiedział jej chór.

Cóż jej pozostało? Musiała się zgodzić, mając nadzieję, że jeden mały królik nie wywoła choroby, a ona zdoła się wyłgać od zjedzenia choćby kawałka.

— No cóż, dobrze — powiedziała i dodała pospiesznie: — Pod warunkiem że w domu dowiecie się dokładnie, jak to się robi i jak długo trzeba go gotować, aby jedzenie było bezpieczne. I potem dokładnie po sobie posprzątajcie!

Poćwiartowali wypatroszonego królika, wymyli śniadaniową puszkę Paula, włożyli mięso do środka, po czym zostawili je na noc w kącie zimnej szatni. Następnego dnia Raymond przyniósł żeliwny rondel na trzech nóżkach. Chłopcy odbyli konsultację i nerwowo Przystępując z nogi na nogę, podeszli do nauczycielki.

— O co chodzi? Zapomnieliście o cebuli? — zapytała, wcześniej poprosiwszy Niszę o wskazówki, jak się przyrządza królika. Tym razem wydelegowano Kristiana.

— Pomyśleliśmy... że zamrozimy tego królika do czasu, aż schwytamy ich więcej. Jak będzie ich dosyć, przyrządzimy dla całej szkoły. Jeden to za mało. Dla wszystkich nie starczy — przekonywał.

O Boże, nie, pomyślała Linnea, czując, że robi jej się niedobrze.

— Ale jest was czternaścioro — przypomniwała, starannie wyłączając siebie.

— Piętnaścioro, licząc z panią — rozpromienił się Tony. Ręce jej opadły. Nie mogła odmówić chłopcom, skoro ich intencje były tak szlachetne, ale milczała tak długo, aż Raymond ponowił prośbę.

— Widzi pani, myśleliśmy o tym, że dziewczęta potrafią gotować, bo uczą je matki, ale nasz, chłopców, nikt tego nie uczy.

— Nas, chłopców... — Linnea poprawiła go odruchowo, lecz jej myśli

pobiegly ku plamie krwi na sniegu w poblizu szopy i rozowej sciezce przy pompie.

— Taaak... nas, chlopcow — poslusznie powtorzyl Raymond i dalej przekonywal ja zarliwie: — Moze pewnego dnia zostaniemy sami, jak wujek John. I co sie z nami stanie, jezli mamy nie beda przy nas tak blisko jak babcia Nissa, zeby nam gotowac?

Jak mogla sie z tym nie zgodzic? Czyz najwazniejszym obowiazkiem nauczyciela nie jest przygotowanie mlodych ludzi do zycia... bez wzgladu na to, co zycie im przyniesie?

— Dobrze. Zgadzam sie.

Az zawyli z radosci, pedzac ku drzwiom.

— Chlopcy! Odwrócili sie.

— Jezli dobrze sie spisiecie, dostaniecie dodatkowe oceny, u przedmiot nazwiemy „zajeciami domowymi”.

Zlapanie w sidla czterech krolikow zajelo chlopcom tydzien. Ilez w tym czasie bylo szeptow i sekretow! Linnea podejrzewala, iz w tych planach uczestniczylo rowniez kilka dziewczat, gdyz codziennie podczas poludniowej przerwy Patricia Lommen i Frances Westgaard naradzaly sie z chlopcami, rozmawiajac z ozywieniem i od czasu do czasu wydajac z siebie podekscytowane chichoty, po czym milknac nagle, gdy z grupy dochodzilo glodne „szszsz!”. Wreszcie Raymond obwiestil, ze maja juz tyle krolikow, ile trzeba — wszystkie byly zamrozone w kilku szczelnie zamknietych puszkach ustawionych w sniegu obok szopy — i poinformowal panne Brandonberg, ze beda serwowac krolicze danie w przeddzień Swieta Dziekczynienia, wiec prosza, aby wtedy zrobila przerwe obiadowa troche dluzsza niz zwykle.

Libby Severt rowniez miala jakis udzial w tym przedsiwzieciu. Na poczatku tygodnia, w ktorzym wypadalo Swieto Dziekczynienia, poprosila o zgode na zabranie mniejszych dzieci na bok dla odbycia z nimi godzinnej

narady. Linnea siedziała przy swoim biurku, poprawiając prace z arytmetyki i udając, że wcale jej to nie ciekawi, ale z kącika najmłodszych dobiegały chichoty. Kiedy zaś podniosła wzrok, zobaczyła, że Roseanne i Sonny podskakują i klaszczą z uciechy.

W przeddzień owego wydarzenia przedstawiono jej kolejną prośbę: na pewien czas potrzebna im była szatnia i musieli zostać w niej sami. Czy panna Brandonberg zechciałaby nie wchodzić tam, dopóki wszystko nie zostanie zrobione?

Tym razem Linnea była tak ciekawa, że siedziała beczynnie przy stole, podczas gdy drzwi nieustannie otwierały się i zamykały, a dzieci wchodziły, zabierały jakieś rzeczy ze swoich ławek, a potem wybiegały z głośnym trzaskaniem. W szatni było tak zimno, że wkładały kurtki, ale najwyraźniej żadnemu to nie przeszkadzało.

W końcu nadszedł „wielki dzień” i normalne prowadzenie lekcji czytania, pisanie oraz arytmetyki okazało się niemożliwe. Podniecone dzieci nie mogły usiedzieć na miejscu.

Przed południem starsi chłopcy rozpoczęli duszenie królików w dwóch ogromnych żeliwnych rondlach. Całe palenisko wypełniły ziemniaki i niebawem po klasie rozszedł się smakowity aromat smażonej cebuli. Skipp i Bent dumnie pomaszerowali do szatni, wrócili z niej z wielką żeliwną patelnią i zabrali się do prażenia kukurydzy. Jeannette i Roseanne zrobiły udaną kopię kosza — plecionego ich dziecinnymi rączkami? — z wysuszonych kłosów, w którym umieszczona była kukurydza. Kilkoro dzieci zajęło się odsuwaniem ławek pod ściany. Zamiotły też podłogę, a wokół pieca ułożyły piętnaście talerzy i widelców zabranych z matczynych kredensów. Pojawił się też słoik złocistego masła oraz solniczki i pieprzniczki. Roseanne podeszła do biurka Linnei.

— My wiemy, że pierwsi osadnicy nie mieli talerzy, ale...

— Cicho, Roseanne! — Przechodząca obok Libby szarpnęła koleżankę i chwilę później za obiema dziewczynkami z trzaskiem zamknęły się drzwi.

Następnie wpadła Norma, podbiegła do chłopców stojących obok pieca i coś szepnęła na ucho Kristianowi. Kristian, Ray i Tony wyszli za nią do szatni i po kilku minutach wkroczyli w białych szerokich kołnierzach i czarnych kapeluszach, jakie w siedemnastym wieku nosili pierwsi osadnicy. Te kołnierze i kapelusze wykonane z papieru nadawały im wygląd raczej magików niż osadników.

Wreszcie, gdy ciekawość Linnei była już tak wielka jak ekscytacja uczniów, Bent oraz Jeannette wyłonili się z szatni i dostojnym krokiem, z pompą i powagą, podeszli do „biurka pani nauczycielki”, aby uroczyście poprowadzić ją do honorowego miejsca przy piecu — miejsca z najlepszym widokiem na drzwi szatni.

Libby Severt wystąpiła z szeregu, zamknęła te drzwi i obwieściła donośnie: „Oto pierwszy Dzień Dziękczynienia”, po czym wyrecytowała krótką historię o pierwszych żniwach świętowanych w roku 1621 przez osadników w Plymouth Colony w stanie Massachusetts. Po swym występie zajęła miejsce na podłodze tuż obok panny Brandonberg. Linnea uścisnęła jej dłoń i z powagą wpatrywała się w drzwi wiodące do szatni.

Ukazali się w nich Skipp i Jeannette. Najpierw, nerwowo na siebie spoglądając, wzrokiem dali sobie sygnał, potem oboje wzięli głęboki oddech, a następnie zgodnie wyrecytowali:

— Święto Dziękczynienia ustanowiono w podzięce za dobre zbiory i deszcz po suszy.

Każde z nich niosło snop zboża. Kolejno złożyli ów symboliczny zbiór na podłodze w kręgu talerzy. Gdy usiedli, Raymond szybko odsunął jeden snopek na bezpieczniejszą odległość od pieca. Na twarzy Jeannette odmalowała się przykrość.

— Byłaś wspaniała, Jeannette — szepnął donośnie, widząc nieszczęśliwą minę dziewczynki, po czym mrugnął do niej porozumiewawczo, co zapobiegło łzom.

Linnea opanowała śmiech, szczerze poruszona powagą, z jaką dzieci odgrywały swoje role w tym żywym obrazie. Następnie pojawiła się Frances odziana w brązową derkę i z kurzym piórkiem we włosach.

— Indianie przynoszą żywność w darze — zapowiedziała z całą powagą i za nią ukazało się czworo „Indian” w derkach i piórkach.

Pierwsza wystąpiła Norma.

— Oto kukurydza — obwieściła, wnosząc krzywy kosz prażonej kukurydzy.

Po niej wystąpić miała drobniutka Roseanne.

— Orzechy! — zawołała tak głośno, że wywołało to pomruk śmiechu, który jednak ucichł, gdy z powagą weszła do klasy, niosąc orzechy w zawiniątku z kuchennej ściereczki. Klękając przy kręgu, próbowała je rozwiązać, lecz bez skutku. Z drżącymi ustami spojrzała na Patricję, która widocznie była reżyserem widowiska. Patricia pospieszyła jej z pomocą i razem rozwinęły chrupiące orzechy włoskie.

Gdy Roseanne usiadła po turecku, wkroczył następny Indianin.

— Owoce... — darem Sonny'ego była misa pokrojonych na ćwiartki jabłek.

— I jagody? — oznajmił zamykający ów pochód Bent, a gdy rozległy się kolejne chichoty, bo wkroczył z dwoma słojami domowego soku malinowego, wyjaśnił: — Nie znaleźliśmy żadnych świeżych jagód.

Libby wstała i znów zaczęła recytować.

— Osadnicy nauczali Indian o Bogu i wszyscy dziękowali razem, bo rok był piękny i mieli dosyć jedzenia, by przetrwać do wiosny.

Ku zaskoczeniu Linnei w drzwiach szatni pojawił się też Allen Severt,

do którego cienkiej szyi wcale nie pasował biały kołnierzyk jego ojca. Trzymał w ręku Biblię i jak to on, niechętnie wymamrotał Psalm na Święto Dziękczynienia, po czym usiadł.

Znów Libby zapowiedziała kolejną część widowiska:

— A potem wszyscy odśpiewali... Jednakże od strony pieca przerwał jej Kristian:

— A potem wszyscy postanowili, że Hymn Dziękczynienia odśpiewają później, żeby królik nie spalił się na wiór.

Gruchnęły salwami śmiechu. Tony i Paul puszczali wokół wbite na patyczki gorące ziemniaki, podając za nimi słój masła, a Kristian i Raymond serwowali królika. Dla wszystkich było też chłodne mleko w przyniesionych z domu kubkach, panna Brandonberg zaś dostała kubek od dzbana z wodą.

Kiedy jedzenie podano i najstarsi chłopcy usiedli, Linnea oparła się wygodnie i ze łzami w oczach uśmiechnęła się do wszystkich, a potem wzięła za ręce tych, którzy siedzieli najbliżej. Nigdy w życiu nie doznała takiego uczucia. Te cudowne dzieci zrobiły to wszystko dla niej. Jakaż duma jaśniała w ich oczach! Coś ścisnęło ją za gardło. Dłonie splotły się w krąg, a ona poczuła, że kocha je wszystkie.

— Dziękuję wszystkim i każdemu z osobna, moja drogie, kochane dzieci. Ofiarowaliście mi Święto Dziękczynienia, jakiego nigdy nie zapomnę.

Jedna łza zadrzała jej na rzesach, ale tuż za nią pojawiły się następne. Pozwoliła im płynąć. Dzieci z lękiem wpatrywały się w pannę Brandonberg i najwyraźniej żadne nie wiedziało, co teraz zrobić.

Wtedy Roseanne z jej niezwykłym wyczuciem chwili rozładowała napięcie:

— Tripp zapomniał o talerzykach do owoców i soku, więc nie możemy ich zjeść — poinformowała „panią” z całą powagą.

Kiedy ucichł gromki śmiech, Linnea zaproponowała:

— Może nie będą nam potrzebne talerzyki. Wypijmy mleko, a potem sok nalejmy do kubeczków.

Zacząła się Uczta Dziękczynienia i przewrażliwiona panna Brandonberg zjadła pierwszy kawałek królika. Przeżuła go ostrożnie, potem uniosła brwi i oblizwała wargi.

— Ojej, smakuje jak kurczak! — stwierdziła z prawdziwym zdumieniem.

I rzeczywiście tak smakował!

ROZDZIAŁ 15

Wszyscy zgromadzili się we frontowym pokoju domu Ulmera i Helen przy dziękczynnym stole, który był tak długi, że jego koniec zdawał się nikać w oddali. Wszystko też było znacznie bardziej uroczyste, niż Linnea się spodziewała.

Stół nakryto w bieli: biała porcelana na białym adamaszkowym obrusie. Kolor zaś wносиła w ową biel soczyście barwna wstęga przejrzystych galaret, zakąsek i przypraw, które ułożone wzdłuż stołu, chwyciły promienie słońca niczym sznur brylantów rozsypanych na śniegu. Środek stołu wieńczyła wspaniała korona auszpiku w pomidorach.

Gdy wszyscy usiedli, Ulmer odmówił modlitwę. Chwilę później wkroczyła Helen, triumfalnie wnosząc szeroką srebrną tacę z parującym i lśniącym od masła *lutefiskiem*: suszonym dorszem peklowanym w łożu, który wypłukuje się przed gotowaniem.

Och, nie, pomyślała Linnea. Znowu Norwegia!

Przechodzącej z rąk do rąk tacy towarzyszyły okrzyki zachwytu, a Linnea zastanawiała się, gdzie jest świąteczny indyk. Indyka wszakże nie

podawano, tymczasem smrodliwie parujący dorsz był coraz bliżej. Wpatrywała się w niego z żarliwością świętej Joanny obserwującej, jak budowniczy stosu szuka zapalki. Kiedy zaś taca w końcu dotarła do niej, możliwie najdyskretniej przekazała ją Frances.

— Czy to znaczy, że nie chcesz *lutefiska*? — zapytała Frances.

— Nie, dziękuję — odparła szeptem Linnea.— Ależ musisz go zjeść! Przecież to Święto Dziękczynienia! — powiedziała Frances tak donośnie, że wszyscy obrócili zgorszone spojrzenia na krnąbrną pannę Brandonberg.

— Jakoś nie zdołałam go polubić. Proszę, po prostu... po prostu przekaz tacy Normie.

Siedząca po lewej stronie Clara, niech ją Bóg błogosławi, parskała śmiechem, a Teodor, który zajmował miejsce naprzeciwko, uśmiechał się pod nosem.

Pani domu zaś już wносиła następny norweski przysmak zwany *lefse*: płaski placek ziemniaczany, który zdaniem Linnei miał urok dania ze skóry siwego konia. Wszystkie oczy spoglądały ukradkiem, czy panna Brandonberg popełni drugi grzech. Linnea wzięła kawałek owego placka i położyła na swoim talerzu, by usatysfakcjonować obserwujących. Posmarowała go masłem i uniosła do ust. Spojrzawszy na Teodora, zobaczyła, że on owija kawałkiem *lefisy* kęs *lutefiska*. Ugryzła swój placek, on wgryzł się w swój. Zamknęła oczy, przybierając minę obrzydzenia. On zaś żuł z przesadnym upodobaniem, a potem ostentacyjnie oblizwał usta, mrugając do niej przez stół. Była to ich pierwsza przyjazna wymiana spojrzeń od owej nocy, gdy się pocałowali. I nagle smak ziemniaczanego placka stał się niemal znośny.

Kiedy *lutefisk* i *lefse* obiegly cały stół, pojawił się indyk z dodatkami. Towarzyszyło mu śnieżnobiałe puree ziemniaczane, zapiekana w kokilkach kukurydza, groszek w śmietanowym sosie oraz sałatka z soczystych jabłek i włoskich orzechów z bitą śmietaną.

Przy stole Linnea nieustannie czuła na sobie spojrzenie Teodora, ilekroć jednak podniosła wzrok, on patrzył gdzie indziej.

Po posiłku pomogła kobietom zebrać talerze, podczas gdy mężczyźni, najedzeni, porozsiadali się wygodnie i jeden po drugim zapadali w drzemkę. Kiedy zaś talerze zostały pozmywane i Linnea zajrzała do salonu, ogromny stół był już wyniesiony, dzieci zniknęły, John drzemał w fotelu na biegunach, a Trigg, swobodnie wyciągnięty na plecach, leżał na podłodze. Wokół panowała cisza, rozlegały się tylko ciche pochrapywania i szmer pogawędki kobiet przy kuchennym stole. Na jednym końcu wypchanej włosiem sofy wyciągnął się Lars z zamkniętymi oczami i rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Siedzący na drugim końcu Teodor wyglądał jak podpórka swego brata. Jedyne miejsce w tym pokoju, gdzie można było usiąść, pozostała przestrzeń między nimi — poduszka tak wąska, że nikt jej nie zajął.

Linnea spojrzała na Teodora. Zdjął marynarkę i krawat. Kołnierzyk i guziki koszuli były odpięte, a rękawy podwinięte do łokci. Jego opalenizna zaczęła blednąć, a jasny pas skóry na czole już nie kontrastował tak bardzo z resztą twarzy. Z rozchylonymi wargami, brodą na piersi i rozluźnionymi palcami, które ledwie trzymały się razem, unoszone i opadające w rytm jego spokojnego oddechu, wyglądał spokojnie, niewzruszenie, a nawet nieco bezbrannie.

Przemierzyła pokój i usiadła na wąskiej poduszce. Teodor otworzył oczy, oblizał wargi i westchnął.

— Nie chciałam cię budzić — powiedziała cicho Linnea.

— To jedyne wolne miejsce.

— Nie spałem — odparł, zamykając oczy.

— Ależ spałeś, obserwowałam cię. Uśmiechnął się kącikiem ust i zachichotał.

— Naprawdę?

Objęła ramionami poduszkę i wygodniej ułożyła głowę na oparciu sofy.

— Ostatnio prawie ze mną nie rozmawiałeś.

— Ty też.

— Wiem.

Oparła brodę na poduszce i wpatrywała się w jego lśniące niedzielne buty na nogach, potem w nagie przedramię, gdzie opalona skóra stykała się z białą bawełną, i na spłowiałe od słońca włosy, które zaczynały ciemnieć.

Uchylił powieki.

— Wciąż się złościysz?

— O co miałabym się złościć?

— Nie wiem — rzekł, obracając ku niej głowę. — Ty mi powiedz.

Poczuła, że się rumieni, i ściszyła głos do szeptu.

— Nie jestem na ciebie zła.

Przez dłuższą chwilę w spokojnym wnętrzu rozbrzmiewały tylko posapywania mężczyzn. W końcu Teodor odezwał się głosem tak cichym, że ledwie słyszalnym.

— To dobrze — rzekł i na powrót oparł głowę na sofie.

— Słyszałem, że miałaś wczoraj w szkole prawdziwą ucztę. — Nie wątpię, że triumfujesz.

— Triumfuję? Ja? — udawał, że jest urażony, lecz uśmiechnęli się do siebie.

— W związku z królikiem.

— Dlaczego miałbym triumfować? — zdziwił się, pytająco unosząc brew. — Jak ci smakował?

— Chylę czoło przed waszymi wyszukanymi upodobaniami. Pyszny. Teodor zaśmiał się cicho.

— Ale dzisiaj nie schyliłaś przed nimi czoła, prawda?

— Nie mam nic przeciwko kuchni Helen, ale w żaden sposób nie

mogłam się zmusić do zjedzenia tego... tego norweskiego paskudztwa.

Teodor roześmiał się tak gwałtownie, że aż podskoczył. Siedzący obok Lars się wyprostował, John zaś tylko na chwilę przestał chrapać, sapnął, wytarł nos i spał dalej.

— Wiesz, chyba cię polubię, mimo że nie jadasz *lutefiska* — oznajmił Teodor rozweselony.

— Tylko Norweg może wymagać, żeby każdemu smakował dorsz. Pewnie gdyby się nagle okazało, że smakuje mi to śmierdzące okropieństwo, zdałabym egzamin, co? — zapytała, ale tak długo się zastanawiał, że w końcu powiedziała z kwaśnym uśmiechem: — Nie wysilaj się, Teodorze. Nie chcę mieć na sumieniu twojego etnicznego grzechu.

— Co znaczy „etniczny”? — zapytał dobrodusznie.

— Etniczny... — namyślała się przez chwilę, szukając wyjaśnienia. — No... właściwy dla danej narodowości.

— Nie znam grzechów, które byłyby... norweskie. Myślałem, że grzechy są takie same we wszystkim kraju.

— W każdym kraju.

— Ooo!... Widzę, że znów mnie poprawiasz. To musi oznaczać, że masz już za sobą to, co cię złościło.

— Wcale nie byłam zła. Już ci mówiłam...

— No dobrze, zapomniałem.

Ułożył się w wygodniejszej pozycji i przybrał minę tak nudzoną, że Linnea miała ochotę zrzucić go z sofy. Jak dziewczyna ma zwrócić jego uwagę?!

— Wiesz, co bym chciała, Teodorze? — zapytała, ale nawet się nie pofatygował, aby na nią spojrzeć. — Żebyś Wymoczył sobie głowę w beczce z tym *lutefiskiem*! Mocno objęła poduszkę, skrzyżowała kostki i zacisnęła powieki. Nawet jeśli się z niej śmieje, to niech się śmieje, przeklęty głupiec!

Prędeż tu skamienieje, niż pozwoli mu zobaczyć, jak ją zirytował swymi szyderstwami!

Minęło kilka minut. Powieki zaczęły jej drgać. Teodor westchnął i ułożył się jeszcze wygodniej, tak że jego ramię otarło się o Linneę. Otworzyła oczy. Była pewna, że się z niej śmieje.

— Myślałem o twojej propozycji. Mówiłaś, że nauczysz mnie czytać.

Kiedy możemy rozpocząć lekcje?

Odsunęła się gwałtownie.

— Nie jestem zainteresowana.

— Zapłacę ci.

— Zapłacisz?!... Nie bądź śmieszny.

— Stać mnie na to.

— Nie to miałam na myśli.

— A co?

— Nie można kupić przyjaźni, Teodorze. Zastanawiał się przez chwilę.

— Wyglądasz na dwanaście lat starszą, gdy wysuwasz dolną wargę w taki sposób.

Wysłuchiwała tego spokojnie.

— Tym sposobem jest beczka *lutefiska* — powiedziała z najśłodszym uśmiechem, wstając.

Już odchodziła od sofy, gdy chwycił ją za rękę. Ku wielkiemu zdumieniu Linnei szyderstwo Teodora zniknęło.

— Chcę nauczyć się czytać. Pomożesz mi, Linneo? Gdy w ten sposób wymówił jej imię, była gotowa zrobić dla

niego wszystko. Miał piękne oczy, patrzące na nią teraz z powagą, i bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła, by widziały w niej kobietę, nie dziewczynkę.

— Obiecasz, że już nigdy nie nazwiesz mnie pannicą? Zanim

odpowiedział, puścił jej rękę.

— Obiecuję.

— W porządku. Umowa stoi — rzekła, wysuwając dłoń, którą Teodor uściskał z powagą.

— Załatwione... Uśmiechnęła się.

— ...panno Brandonberg — dodał.

— Teodorze! — jęknęła z rozdrażnieniem. — No cóż, jesteś teraz moją nauczycielką. Muszę więc zwracać się do ciebie tak jak twoi uczniowie.

— Chciałam powiedzieć, że mimo to masz mi mówić po imieniu.

— Zobaczymy.

Lekcje rozpoczęli następnego wieczoru. Kiedy po kolacji uprzątnięto talerze, Nissa usadowiła się z robótką w fotelu na biegunach przy piecu, a przy kuchennym stole zasiadł z książką Kristian, do którego przyłączył się ojciec i Linnea.

Linnea przywykła stawać przed klasą pełną świeżo wyszorowanych dziecięcych buzi. Absolutną nowością natomiast było uczenie alfabetu dorosłego człowieka, którego policzki ukazywały dzienny przyrost bokobrodów, w którego ogromnych dłoniach nikał ołówek i którego muskularny tors i ramiona wypełniały flanelową kraciatą koszulę w sposób, w jaki pięćdziesiąt funtów zboża wypełnia worek na ziarno. Z drugiej strony nie musiała cierpliwie godzić się z nieuwagą i nadruchliwością właściwą młodszym dzieciom. Mając przed sobą dorosłego mężczyznę, wręcz nie mogłaby sobie życzyć pilniejszego ucznia.

— Zaczniemy od alfabetu. Postaram się, żeby to było interesujące, bo łatwiej zapamiętasz poszczególne litery. — Zostawiwszy wszystkie podręczniki w szkole, sięgnęła po duży blok do notatek i po chwili namysłu na pierwszym arkuszu narysowała postać z anielskimi skrzydłami. W prawym górnym rogu wykaligrafowała duże i małe „a”, po czym obróciła arkusz w

stronę Teodora — A... jak anioł.

Na twarzy Teodora pojawił się lekki uśmiech, a w piersiach narastał mu mu bezgłośny chichot.

— A jak anioł — powtórzył posłusznie.

— Bardzo dobrze. Postaraj się zapamiętać. To jest duże „a”, a to małe — tłumaczyła, kreśląc na osobnym arkuszu dwie kształtne wersje pierwszej litery alfabetu. — Tutaj będziesz ćwiczył każdą literę, jakiej się nauczysz. Napisz teraz całą linijkę dużego i małego „a”.

Teodor pochylił się nad arkuszem, wypełniając polecenie Linnei. Podczas gdy pracował nad „a”, Linnea przygotowywała następny arkusz: ilustrację dla litery „b” z butelką o długiej szyjce.— Wymień jakieś słowo na literę „b” — poleciła.

— Bocianie pióro na kapeluszu — odpowiedział bez namysłu.

Udała, że się gniewa.

— Na „b” zaczyna się również słowo „bicz”, więc się pilnuj, Teodorze.

Siedzący po drugiej stronie stołu Kristian przysłuchiwał się, żałując, że jego pierwsze kroki w nauce alfabetu nie były tak zabawne.

Nissa oderwała wzrok od robótki na odgłos śmiechu swego syna i zastanowiła się, kiedy słyszała go po raz ostatni. Zerknąwszy na Linneę, uśmiechnęła się z uznaniem i wróciła do swego zajęcia. Wraz z upływem czasu śmiali się coraz częściej. Nissa słuchała ich jednym uchem i ziewała co kilka chwil.

Dużą literą „C” rozpoczynało się imię Clippa, jakim nazwano klacz, na której jeździła Linnea. Jednakże Teodor stwierdził, że zwierzę narysowane przez Linneę bardziej przypomina mysz, więc zdecydowali się na słowo „cebula”. Kojarząc kolejne litery ze znajomymi przedmiotami dotarli do „i”. Kiedy szukając przykładu zdecydowali się na słowo „igła”, zauważyli, że Kristian robi się coraz bardziej senny.

— Kristian, idź spać, zanim głowa opadnie ci na stół i stłuczysz sobie brodę — rzekła Nissa, odkładając robótkę i z trudem podnosząc się z fotela, po czym oboje poszli do swoich pokoi.

Linnea i Teodor przeszli do „j” jak „jasełka”. Teodor przyglądał się Linnei rysującej szopkę i kreślącej litery w rogu arkusza. W kuchni zapadła cisza, gdyż ucichło już skrzypienie fotela Nissy i szelest stron przewracanych przez Kristiana. Lampa syczała łagodnie. Było ciepło i przytulnie.

Przeszli do „k”

— „K” jak... — urwała. „K” jak „kochanie”. Gdy to słowo wpadło Linnei do głowy, jej niebieskie oczy napotkały piwne oczy Teodora. Wróciło wspomnienie pocałunku, tak żywe i obezwładniające, jakby dopiero co go zakosztowała. Głębokie ciemne oczy Teodora mówiły, że on także go wspomina.

— „K” jak... — powtórzył cicho, nie odrywając od niej wzroku. — Tym razem ty wymyśl słowo — powiedziała, mając nadzieję, że twarz nie zdradzi jej myśli. — Powinno brzmieć tak jak litera.

— To ty jesteś nauczycielką.

Rumieniąc się pod jego spokojnym spojrzeniem, gorączkowo szukała natchnienia.

— „K” jak „*krumkaka*”! — wykrzyknęła.

— O, nie — zaprotestował. — To norweskie słowo.

— W norweskim używa się również słowa „butelka”

— broniła się. — Poza tym *krumkaka* to jedyna norweska potrawa, jaką lubię, więc pozwól mi pozostać przy tym wyrazie

— powiedziała, szybko zabierając się do narysowania słodkiego świątecznego przysmaku, który jadła wiele razy w życiu, ujawniając przy okazji swoją słabość do owych stożkowatych ciasteczek.

Teodor pochwalił rysunek, Linnea jednak odniosła wrażenie, że

podobnie jak ona wcale nie myślał o tym smakołyku. Chcąc przywrócić poprzedni nastrój, przeszła do „I”.

— „L” jak najgorsze kulinarne pomysły Norwegów, czyli „*lefse*” i „*lutefisk*”. Wybierz, co wolisz.

Teodor spojrział na nią oczami rozzłoconymi w blasku lampy i odchylając się do tyłu, wybuchnął śmiechem.

— Niech będzie „*lutefisk*”.

Linnea przygryzła dolną wargę, koncentrując się i próbując zapanować nad iskrzeniem między nimi w czasie, gdy robiła ilustrację, a kiedy rysunek był gotowy, uniosła go w górę. Teodor pochylał się nad swoim arkuszem.

— Teodorze?

Podniósł wzrok. Arkusz z ilustracją zakrywał jej twarz od nosa w dół. Spoglądała na niego znad rysunku, który przedstawiał srebrną tacę pełną kawałków dymiącej potrawy.

— „L” jak „*lutefisk*” — powtórzyła.

Teodor znów wybuchnął śmiechem. Ależ figlarnie wyglądała, patrząc na niego z za tego śmiesznego rysunku... Linnea śmiała się również — tak szczęśliwa nie była od dawna. Potem nagle ich śmiech ucichł, zgasł całkiem i pozostawił kuchnię w takiej ciszy, że słyszeli oddech kota zwiniętego w kłębek na fotelu opuszczonym przez Nissę. Wpatrywali się w siebie poruszeni namiętnością, nad którą żadne nie mogło zapanować. Linnea odłożyła obrazek, jakby zrobiony był z kruchego szkła, drżąc przy tym z emocji pod uważnym spojrzeniem Teodora i szukając w myślach czegoś, co mogłaby powiedzieć, żeby położyć kres owej zniewalającej świadomości, jaką nagle poczuli.

Podniosła wzrok. Wpatrywał się w nią równie spokojnie jak przedtem, z brodą opartą na dłoni i wskazującym palcem na policzku. Czy właśnie tak zwykł patrzeć na Melinę?

— Późno już — rzekła cicho.

— Tak... chyba tak... — Przeciągnął się, zaciskając pięści, i znów oparł się na krześle.

— Chyba pójde już na górę — powiedziała, ale została przy stole urzeczona widokiem jego mięśni i wygiętego torsu, gdy odchylił się na krześle kołyszącym się na dwóch nogach.

Napięcie minęło.

Oparła łokieć na stole, brodę ułożyła na dłoni.

— Pracowaliśmy długo. Nie zamierzałam cię zameczyć. Uśmiechnął się leniwie.

— Nie sądziłem, że chodzenie do szkoły może być takie zabawne.

— Nie zawsze jest przyjemnie. Potrafię być wiedźmą, kiedy zechcę.

— Kristian mówi co innego.

W oczach Linnei błysnęło zaciekawienie.

— Doprawdy? A ty tracisz czas rozmawiając z Kristianem o mnie?

— Kristian jest moim synem i muszę wiedzieć, co się dzieje w szkole.

Linnea sięgnęła po ołówek i bezwiednie przesuwała nim po arkuszu, rysując kolejne łuki. Spotkali się wzrokiem. Krzesło Teodora kołysało się w przód i w tył... w przód i w tył... w przód...

Dom, ciepły i cichy, otulił ich intymnością, pozwalając na wrażenie, że na całym świecie są tylko oni. Wsunąwszy paznokieć małego palca w kącik ust, uniosła wargę w bezwiednie zmysłowym wyrazie i wpatrywała się w niego: biały podkoszulek odpięty pod szyją podobnie jak kołnierzyk czerwonej flanelowej koszuli, odsłaniający pęk ciemnych, kręconych włosów; rękaw podkoszulka wysuwający się aż do nadgarstka spod podwiniętych mankietów koszuli; kciuki założone za metalowe sprzączki szelek; czarne spodnie opinające szeroko rozstawione uda; rzęsy rzucające ciemny cień na górne powieki, gdy patrzył na nią ze stoickim spokojem, nieprzerwanie kołysząc się tym magnetycznym ruchem.

Kiedy się odezwał, jego głos nie brzmiał donośniej niż skrzypienie krzesła.

— Kristian mówi, że jesteś najlepszym nauczycielem, jakiego kiedykolwiek miał. Dzisiaj mu uwierzyłem.

Działo się coś niezwykłego. Czują całą sobą ową iskrę odmiany, jaka się w nim dokonała i bardzo jej przypadła do gustu.

— Dziękuję, Teddy — odpowiedziała cicho. Krzesło Teodora przestało się kołysać, a jego wargi rozchyliły się lekko. Ołówek Linnei zatrzymał się w powietrzu. — Jesteś zły, że tak cię nazwałam? — zapytała niewinnie.

— Nie... nie wiem.

— Wszyscy tak cię nazywają. Wolisz, żebym pozostała przy Teodorze? Ostrożnie ustawił krzesło na czterech nogach.

— Nazywaj mnie, jak chcesz — odparł. I choć nie uczynił tego nieuprzejmie, zburzył czar owej chwili. Zaczął zbierać ze stołu arkusze z alfabetem.

Linneę przygniotło brzemień rozczarowania.

— Ja się tym zajmę — powiedziała, wyjmując mu arkusze z rąk.

Wstał, przysunął krzesło do stołu i patrzył, jak Linnea starannie składa arkusze. Kusilo go, by ją dotknąć. Kusilo, by zakończyć ten wieczór tak, jak by obydwójce chcieli. Jednakże odwrócił się, przemierzył kuchnię, podniósł fajerkę i dorzucił do paleniska szufłę węgla. Słyszał, jak przeszła za jego plecami i zatrzymała się u podnóża schodów.

— No to dobranoc, Teodorze. — W jej głosie słychać było lekkie drżenie i nutę rozczarowania.

Z brzękiem zasunął fajerkę. Przełknąwszy ślinę, zastanawiał się, czy zdoła się odwrócić i spojrzeć na nią, nie ruszając głową. Zdawało się, że w tym szczególnym momencie musi tego dowieść im obojgu. Wsunął więc ręce do kieszeni i popatrzył na Linneę. Na jego twarzy widniały tylko braterskie

uczucia.

Trzymała arkusze w ręce przyciśniętej poniżej piersi, do której przypięty miała swój zegareczek. Teodor nie miał wątpliwości, że gdyby teraz zrobił chociaż krok w jej stronę, arkusze rozsypałyby się na podłodze, a zegarek tykałby na jego piersi.

Patrzyli na siebie, decyzja zaś wciąż się ważyła.

— Dobranoc — zdołał wreszcie powiedzieć.

Na jej twarzy odmalowało się osobliwe połączenie rozczarowania i nadziei.

— Czy jutro wieczorem będziemy mogli się zająć drugą częścią alfabetu?

Skinął głową.

— Wymyślę jakieś zabawne przykłady, żebyś bez trudu je zapamiętał.

Ponownie pokiwał głową, myśląc: „Idź już na górę, dziewczyno, idź już!”

— A zatem... — uniosła dłoń, by mu pomachać, lecz zaraz ją opuściła.

— Dobrej nocy.

— Dobranoc.

Odwróciła się i odeszła. Teodor, wiodąc za nią wzrokiem, wypuścił oddech, rozluźnił ramiona i zamknął oczy.

W następnych dniach wyszło na jaw coś nader osobliwego: Linnea całowała rzeczy. Najróżniejsze. Lustra. Wierzch własnej dłoni. Oszronione szyby.

Pewnego dnia przyłapała ją na tym mała Roseanne. Wróciwszy nieoczekiwanie do szkoły po śniadaniową puszkę, której zapomniała, dziewczynka zapytała:

— Co pani robi, panno Brandonberg?

Linnea obróciła się gwałtownie, zostawiając na tablicy wilgotny ślad ust.

— Och, to ty, Roseanne! — zawołała, przyciskając dłoń do serca. —
Dzięki Bogu, dziecinko, przestraszyłaś mnie okropnie.

— Co pani robiła? — dopytywała się Roseanne.

— Próbowałam po prostu dokładnie zetrzeć kredę. Chociaż to nie jest szczególnie higieniczny sposób. Nie wolno lizać tablicy. Obiecujesz? Na dworze jest tak zimno, że nie chciało mi się iść do pompy, żeby zmoczyć ścierkę.

— Zamierzała pani wylizać całą tablicę? — Roseanne skrzywiła się z niesmakiem.

Linnea przechyliła się do tyłu i roześmiała. — Nie, nie całą. A teraz zabierz już to, czego zapomniałaś, i zmykaj. Przecież dzieci na ciebie czekają.

Po tym wydarzeniu Linnea z większą uwagą pracowała nad kontrolowaniem tego, co ją skłaniało do fantazji związanych z Teodorem. Nadal odbywali lekcje, których nastrój pozostawał lekki, często wręcz komiczny — dopóki się śmiali, byli bezpieczni.

Linnea uczyła go alfabetu dzięki piosence, jaką zwykle posługiwała się pracując z uczniami pierwszej klasy.

— Spodziewasz się, że będę ją śpiewał?! — próbował się wyłgać.

— Oczywiście, to najłatwiejszy sposób, żeby zapamiętać kolejność liter.

Już przywykła do jego kołysania się na krześle i umiała odczytywać wszystkie nastroje. Teraz zaciął się w uporze. Skrzyżował ręce na piersi, ściągnął brwi.

— Nigdy w życiu!

— Wiesz, co robię, gdy moi uczniowie tak się zachowują?

— Mam trzydzieści cztery lata i jestem za stary, żeby wyśpiewywać takie piosenki!

— Nigdy nie jest się za starym na naukę — odparła z uśmiechem.

Obdarzył ją morderczym spojrzeniem.

Kazała mu zaśpiewać piosenkę. Ponieważ wszakże Kristian parsknął śmiechem, więcej tego polecenia nie powtórzyła. Podejrzewała jednak, że Teodor ćwiczył ją w siodlarni, bo wszedłszy kiedyś do kuchni, usłyszała, że naprawiając but Kristiana, pogwizduje ją przez zęby.

Stała za jego plecami i z uśmiechem słuchała. Zaczęła nucić melodię, a wtedy pogwizdywanie ucichło. Obejrzał się na nią — stała z rękami splecionymi za plecami.

— Nauczyłam cię alfabetu. I co teraz?

Mruknął coś i czubkiem buta Kristiana wycelował w jej nos.

— Teraz lepiej patrz swego nosa, panienko, albo...

— No, no! — ostrzegawczo pogroziła mu palcem.

— Teraz lepiej patrz swego nosa, Linneo, albo stracisz swego jedyne go trzydziestoczteroletniego ucznia!

Lekcje dawały widoczne rezultaty. Teodor był bardzo pojętym uczniem. Szybko chłonał pojęcia ogólne. Miał wspaniałą pamięć i niczego nie trzeba mu było powtarzać dwa razy, miał też żądzę wiedzy i pracował wytrwale. Obdarzony wrodzoną ciekawością zadawał niezliczone pytania i skrzętnie zapisywał w pamięci wszystkie odpowiedzi.

Gdy poznał wszystkie litery, przeszli do szeregowania ich w słowa. Rzadko czegoś zapominał. W niespełna dwa tygodnie pisał i odczytywał proste zdania. Pierwszym było zdanie: „Ten kot jest mój”, drugim: „Książka jest czerwona”, a trzecim: „Mężczyzna był wysoki”.

Nauczył się pisać własne imię, potem przyszła pora na pierwsze zdanie osobiste: „Teodor jest wysoki”.

— Obawiam się, że będziemy musieli przerwać lekcje na pewien czas — powiedziała przepaszająco tego wieczoru, gdy je napisał, ale na widok jego konsternacji dodała pospiesznie: — To z powodu szkolnych jasełek. Mam przy nich bardzo dużo pracy.

— Ach, tak... no cóż... w porządku. Wyczuła rozczarowanie w jego głosie.

— Wrócimy do nich zaraz po Nowym Roku — obiecała. Podniósł głowę.

— Po Nowym Roku?! Przecież to jeszcze trzy tygodnie!

— Wyjeżdżam do domu na ferie.

Wargi Teodora powoli ułożyły się w bezgłośnie „och”. Skinął głową i przesunął po niej ręką, wbijając wzrok w kolana.

— Miałem trzydzieści cztery lata, by nauczyć się czytać, więc cóż znaczy jeszcze kilka tygodni?

Ale nie myślał o lekcjach. Myślał o świętach Bożego Narodzenia bez niej.

— Mogę ci przynieść czytanki i ćwiczenia ortograficzne, żebyś się uczył w czasie ferii, a Kristian nauczy cię nowych słów. Jak wrócę, zrobisz mi niespodziankę.

— Z pewnością — odparł dziwnie zgaszonym głosem. Linnea wstała i zaczęła uprzątać stół. Teodor zrobił to samo. Gdy przysunęła do stołu swoje krzesło, stanęła z rękami na oparciu.

— Teddy? — zapytała cicho.

— Tak? — podniósł wzrok.

— Wyświadczysz mi przysługę?

— Nie płacę za lekcje, więc jestem ci winien więcej niż jedną przysługę.

— Odwieszysz mnie na stację?

Myśl o wyjeździe Linnei jakby go pozbawiła całej radości z nadchodzących świąt.

— Kiedy zamierzasz wyjechać?

— W przedświąteczną sobotę.

— W sobotę... no cóż... — Na chwilę zapadła zupełna cisza, po chwili

Teodor bąknął:

— Nie mówiłaś, że pojedziesz do domu na święta.

— Sądziłam, że wiesz.

— Niewiele mówisz o swoich bliskich. Tęsknisz za nimi?

— Tak. Pokiwał głową.

— W tym roku świąt nie będziemy spędzać w naszym domu —
powiedział.

— Tak, wiem—obdarzyła go bladym uśmiechem. — Dowiedziałam się o tym nad gulaszem z serc, pamiętasz?

— A tak, przypominam sobie.

Teodor patrzył na swoje buty, a Linnea na jego kciuki wsunięte w kieszenie i czubki palców bezwiednie bębniące o biodra. Należało iść spać. Co wieczór o tej porze działo się to samo. Po miłych dwóch godzinach beztrudnej nauki nadchodziła minuta, gdy wstawali, rozmowa przycichała, a potem zupełnie milkła.

Linnea szukała sposobu, by powiedzieć Teodorowi, iż za nim także będzie tęsknić.

— Żałuję, że nie można być w dwóch miejscach równocześnie...

Teodor zmusił się do uśmiechu, którego melancholia sprawiła, że Linnei serce zabiło szybciej. Tyle razy myślała, że już, już wreszcie wyrazi swoje uczucia, ale zawsze się cofał. Jej uczucia były z każdym dniem silniejsze, nie mogła jednak zmusić Teodora, by zrobił pierwszy krok. A dopóki on tego kroku nie zrobi, ona może tylko czekać.

— Zdaje się, że nagle posmutniałeś. Czy coś się stało? - zapytała z nadzieją, że przyzna, iż będzie za nią tęsknił.

Teodor tylko westchnął.

— Jestem dziś zmęczony, to wszystko. Pracowaliśmy trochę dłużej niż zwykle.

Wpatrywała się w znużoną twarz, myśląc o tym, co go powstrzymuje przed ujawnieniem uczuć. Może nieśmiałość? Może nie podoba mu się tak bardzo, jak sądziła? A może ta przekłeta różnica wieku? Jakikolwiek był powód, Teodor uparcie dusił w sobie wszystkie uczucia. Linnea zaczynała już wierzyć, że może czekać do końca życia, jeśli nie stanie się coś, co Teodora zmusi do działania.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Uniósł brodę, w jego wzroku pojawiło się jakieś mroczne, badawcze napięcie. Czują, jak napięły się mięśnie pod rękawem podkoszulka.

W gardle jej pulsowało, gdy powiedziała wprost:

— Będę za tobą tęsknić, Teodorze.

Teodor otworzył usta, lecz nie wyszło z nich ani jedno słowo.

Zacisnęła palce.

— Powiedz to — poprosiła łagodnie. — Dlaczego się boisz?

— A ty się nie boisz?

— Och, nie — odetchnęła. Zajrzała mu w oczy, popatrzyła na jego włosy, brwi i znów wróciła do znanych, bliskich, upartych i teraz zakłopotanych piwnych oczu. — Nie. Nie tego.

— A jeśli powiem, co wtedy?

— Nie wiem. Wiem tylko, że ja się nie boję tak jak ty. Patrzyła, jak się waha, jak rozważa wszystkie możliwości, wszystkie ewentualne rozwiązania.

— Uczysz dzieci arytmetyki. Może powinnaś sama trochę poćwiczyć. Odejmij osiemnaście od trzydziestu czterech — zacisnęła dłoń na jej nadgarstku. — Chcę, żebyś przestała patrzeć na mnie w ten sposób, bo jeśli nie, lekcje skończą się na zawsze. A teraz idź spać, Linneo.

Przywarła do niego wzrokiem. Serce zabiło jej mocniej na dźwięk własnego imienia, które tak miękko zabrzmiało w jego ustach.

— Teodorze...

— Idź już — przerwał jej pospiesznie. — Proszę.

— Ale ty...

— Idź! — krzyknął, odsuwając ją od siebie i kierując ku schodom.

Zanim spełniła to polecenie, łzy napłynęły jej do oczu. Chciała uciec nie od niego, ale do niego. On był jej jedyną pociechą.

ROZDZIAŁ 16

Im bliżej było do przesilenia zimowego, tym dotkliwiej pogoda dawała się we znaki. Droga do szkoły dłużyła się coraz bardziej, choć Linnea wyruszała w nią coraz wcześniej. Z trudem pokonując tę drogę w gęstym mroku przedświt, z oddechem zamarzającym w zimnej poświacie zachodzącego księżyca i śniegiem trzeszczącym pod stopami niczym łamane kości, miała wrażenie, że pola nigdy nie okrywają się złotem, a krzewy bawełny zielenią.

W szkole najgorsze były poranne obowiązki. Zimny wiatr hulał wokół szopy z węglem, unosząc z ziemi śnieg i tworząc z niego wirujący lej. We wnętrzu małej przybudówki było ciemno i lodowato, a węgiel spadający z szufli do cynowego wiadra wydawał zimny odgłos. Sama klasa też była ponura. Drzwiczki pieca dzwoniły groźnie, gdy odsuwała je, by rozpalić ogień. Drżąc, garbiła się przed trzeszczącym w ogniu drewnem na podpałkę i myślała, że wewnątrz klasy nigdy się nie nagrzeje. Kiedy nasypało świeżego lub przyniesionego z wiatrem białego puchu, musiała odśnieżać schody i ścieżkę prowadzącą do toalet. Najbardziej jednak wzdragała się na myśl o najgorszym ze wszystkich obowiązków, jakim było przyniesienie wody niezbędnej na cały dzień. Nawet w grubych wełnianych

rękawiczkach od zimnego uchwytu pompy kostniały jej palce, u niekiedy, podczas przenoszenia wody do zbiornika, zamoczyła ręce. Pewnego ranka odmroziła sobie mały palec, który bolał ją do końca tygodnia, a potem stał się bardziej wrażliwy na zimno niż reszta ciała. I właśnie w taki szczególnie mroźny poranek podczas pompowania wody przyszła jej do głowy myśl o zupie: skoro chłopcy mogli przyrządzić króliki, to dlaczego dziewczęta nie mogłyby ugotować zupy? Pomysł podchwyciono natychmiast; spodobał się nie tylko dziewczętom, ale również chłopcom, toteż piątki stały się „dniami zupy”. Zgodzili się pracować czwórkami — dwoje starszych i dwoje młodszych uczniów — po kolei biorąc od matek przepisy i przynosząc z domów niezbędne składniki: wołowe kości, ziemniaki, rzepę, pietruszkę i marchew. W czasie gotowania zupy dzieci uczyły się planowania, współpracy i wykonywania poszczególnych zadań. Linnea często uśmiechała się, obserwując zapał, z jakim młodszy uczniowie pod nadzorem starszych pierwszy raz w życiu posługiwali się nożem do obierania warzyw. Ich wysiłki nagradzane były stopniami. Ale największą nagrodą była sama zupa. W tych zimnych grudniowych dniach nic nie pachniało lepiej ani nie smakowało wyborniej niż piątkowa zupa.

W grudniu też na dobre zarówno w szkole, jak i w domach rozpoczęła się praca nad jasełkami. Wszyscy z niecierpliwością wypatrywali najbardziej wyjątkowego ze wszystkich piątków — ostatniego piątku przed feriami świątecznymi.

Linnea nakłoniła Kristiana, by pomógł jej zrobić prostą kołyskę do sceny żłóbka, i poprosiła Nisę o pomoc w uszyciu kostiumów dla tych, którzy nie mieli dość wyobraźni lub materiałów, aby wykonać je własnoręcznie. W szkole dzieci pracowały nad dekoracją przedstawiającą horyzont z gwiazdą betlejemską, palmami i pustynnymi wydmami narysowanymi kolorową kredą. Uczniowie obdarzeni większymi zdolnościami artystycznymi wycięli z tektury

owieczki i wielbłądy.

Frances uśmiechała się od rana do wieczora: miała być aniołkiem. W roli Józefa Linnea obsadziła Kristiana. Przede wszystkim, powiedziała pozostałym uczniom, w listopadzie skończył siedemnaście lat i jest najstarszym chłopcem w szkole. Patricia Lommen ze swymi długimi ciemnymi włosami doskonale pasowała do roli Marii.

Nadzieja Linnei na instrumenty muzyczne ziściła się w postaci jednego akordeonu. Gdy zapytała o ochotnika, który by na nim zagrał, jedyną osobą, która podniosła rękę, był Skipp: potrafił wybrzdąkać jednym palcem „Cichą noc”. Z każdym uczniem dotarła do domu prośba o choinkę. Następnego popołudnia tuż po czwartej, gdy wszystkie dzieci już wyszły, a Linnea zapisywała na tablicy kolejność kolęd, rozległo się ciche pukanie do drzwi, a po chwili pojawiła się w nich głowa Johna w kraciastej czarno-czerwonej czapce z nausznikami.

— Witaj, John!

Zdjął czapkę i z wahaniem zatrzymał się w pół drogi między szatnią a klasą.

— Dzień dobry, panno Linneo.

Linnea zeszła z nauczycielskiej katedry i uśmiechnięta szybko przemierzyła klasę.

— Cieszę się, że przyszedłeś. To miła niespodzianka.

— Słyszałem, że potrzebuje pani choinkę.

— Wiadomości rozchodzą się szybko.

— Kristian mi powiedział. Nagle poczuła zapach drzewka.

— Och, John, przyniosłeś choinkę? — Oczy zaświeciły się jej z radości, gdy podbiegła do drzwi i otworzyła je szerzej.

— Naprawdę przyniosłeś choinkę! Wstaw ją tutaj, tam jest zimno! — zawołała, klaszcząc w dłonie, po czym wciągnęła go do klasy razem z

drzewkiem. Szybko zamknawszy drzwi, zawirowała wokół drzewka, by dokładnie je obejrzeć, ponownie klasnęła w dłonie, a potem wspięła się na palce i cmoknęła Johna w policzek. — Och, dziękuję, John. Choinka jest śliczna.

John zaczerwienił się jak burak, Zaszurał nogami i otrzepał czapkę o udo.

— Eeee... chyba nie... ale najlepsza, jaką znalazłem. Trochę krzywa z jednej strony, ale pomyślałem, że odwróci ją pani tą krzywą stroną do ściany.

Linnea obiegła choinkę dookoła.

— Z tej strony też jest śliczna! — przekonywała go radośnie. — Albo będzie, jak dzieci przybiorą ją jutro ozdobami! A ten zapach! — pochyliła się nad drzewkiem i wachała.

— Czyż nie jest wspaniały, John?

Patrzył, jak tańczy niczym trzpiotka, wyglądając przy tym jak laleczka z chińskiej porcelany, i zastanawiał się, dlaczego Teddy nie korzysta z okazji i się z nią nie żeni. Każdy mężczyzna chciałby mieć taką ponętą żonkę, a dla niego było jasne jak słońce, że Teddy wpadł jej w oko.

— Zapewne, panno Linneo. Nic nie pachnie ładniej niż świeżo ścięte drzewko.

Wesoło pomknęła na przód klasy.

— Gdzie je postawimy, John? W tym rogu czy w tamtym? Spójrz, jak wspaniale dzieci namalowały gwiazdę betlejemską!

John obejrzał gwiazdę, palmy, owieczki, kiwając głową powoli niczym niedźwiedź.

— Ładnie. Mam postawić drzewko tutaj?

— Tam, myślę, że z lewej strony. — Nagle obróciła się ku niemu skonsternowana. — Ale w co je wstawimy?

John oparł drzewko w rogu klasy i ruszył ku drzwiom.

— Niech pani się nie martwi. Mam co trzeba, żeby zrobić stojak. W wozie.

Wrócił z młotkiem, piłą, drewnem i zabrał się do pracy.

— Daję słowo — powiedziała — wy, Westgaardowie, potraficie zrobić wszystko, prawda?

— Chyba całkiem tak — odparł.

Johna nigdy nie poprawiała. Akceptowała go takim, jaki był.

— Teodor potrafi naprawić wszystko: od butów po uprzęż.

— Teddy jest zmyślny.

— Ale ma okropny charakter, prawda? Podniósł na nią wzrok bez wyrazu.

— Naprawdę?

Zaskoczona wzruszyła ramionami.

— Cóż, zawsze tak mi się wydawało. John podrapał się w głowę.

— Teddy nigdy się na mnie nie złości. Nawet jak jestem ślamazarny... — przerwał i długo się namyślał, zanim dodał: — Bo ja jestem ociężały.

Przez chwilę wpatrywał się w ostrze piły, a wrócił do pracy ze swą zwykłą ciężką powolnością.

Obserwując Johna, Linnea poczuła w sercu ciepło; inne od tego, jakie rezerwowała dla Teodora, ale równie pełne. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, że John wie, iż jest powolniejszy niż inni, ani też nie myślała, że się tym przejmuje. Wyczuwała w nim tę cichą miłość, jaką żywił do brata, a ponieważ Teodor miał dla Johna tak wiele cierpliwości, dla niej nieoczekiwanie był to kolejny powód, by go kochać.

— Ty nie jesteś ociężały, John. Jesteś tylko... jesteś... niespieszny. A to wielka różnica.

Podniósł wzrok. Wełniane nauszники czapki sterczały mu nad uszami jak złamane skrzydła, pod nimi kołysały się czarne tasiemki. Z trudem przełknął

ślinę, a jego zapadnięte policzki pokryły się czerwienią.

Wyraz twarzy Johna powiedział Linnei, że jej słowa uczyniły go szczęśliwszym niż jakikolwiek prezent, który zostawiłaby dla niego pod tym drzewkiem.

— Czy przyjdiesz obejrzyć jasełka, John?

— Ja? Jasna rzecz, panno Linneo. Nie opuściłem ani jednych, odkąd Kristian bierze w nich udział.

— A... a Teodor?

— Teddy? Nawet mu do głowy nie przychodzi, żeby je opuścić.

Wszyscy tu będziemy, niech się pani nie martwi.

W dniu wielkiego wydarzenia, jak obiecał John, zebrali się wszyscy. Przybyła nie tylko „rodzina” Linnei, ale również rodziny wszystkich jej uczniów. Klasa wypełniła się po brzegi. Nawet ławki z szatni, na których uczniowie siadali zmieniając buty, służyły tego wieczoru jako miejsca dla gości.

Linnea czuła skurcz żołądka.

Przed sceną zawieszono „kurtynę” — dwa prześcieradła wyciągnięte z bielizniarki Nissy — za którą buzia Frances Westgaard jaśniała równie promiennie jak jej przybrana świecidełkami aureola, gdy stała tam w długiej białej anielskiej szacie z włosami opadającymi na ramiona. Mała Roseanne zaczęła płakać, bo zapodziała gdzieś swoją aureolę. Na poszukiwania wysłano Normę, ale gdy tylko ten problem został rozwiązany, Sonny wpadł na malowany horyzont i zerwał go z linki. Linnei zrzędała mina, lecz Kristian podniósł Sonny'ego, posadził go z boku i bez trudu ponownie przypiął horyzont klamerkami do bielizny. Z klasy dochodził zapach kawy i gorącej czekolady gotującej się na piecu. Linnea zerkając zza prześcieradeł na publiczność czuła taki niepokój, jakiego przed premierą doznaje dyrektor teatru. Nissa i Hilda Knutson ustawiały na stole filiżanki i układały ciasteczka

oraz chleb orzechowy. Młodsze rodzeństwo jej uczniów wdrapywało się na kolana matek, domagając się rozpoczęcia przedstawienia. Przybył też kurator Dahl! A dama siedząca obok to niewątpliwie jego żona. Linnea zauważyła Teodora i serce podskoczyło jej do gardła. Trudno zaprzeczyć, że chciała, by wszystko poszło gładko nie tylko ze względu na dzieci, ale również dlatego, że pragnęła jak najlepiej zaprezentować się w jego oczach.

Bent Linder ciągnął ją za spódnicę.

— Proszę pani, nie mogę utrzymać na głowie tego turbanu.

Pochyliła się, by zdjąć z Benta czerwony ręcznik i skrócić go ponownie, a potem umocować mu na głowie białą kuchenną ściereczkę do wycierania naczyń. Upewniwszy się, że chłopiec ma swoją gałązkę „mirry”, ustawiła go na właściwym miejscu.

— Ciiii...

Nadszedł czas rozpoczęcia przedstawienia.

Spektakl potoczył się gładko, Linnea wszakże przez cały czas zaciskała kciuki, by ktoś nie zapomniał tekstu i nie zaczął płakać. Albo by kogoś nie przewróciła kołysząca się kołyska. Albo by któreś z dzieci nie nadepnęło na horyzont, zrywając na podłogę malowane palmy i pustynne wydmy. Jednakże dzieci, jej dzieci, były wspaniałe. Kiedy więc ucichły ostatnie oklaski i wyszła przed kurtynę, serce wyrywało jej się z piersi.

— Pragnę podziękować wszystkim za przybycie oraz za pomoc w przygotowaniu kostiumów i słodczy. Trudno powiedzieć, kto był bardziej podekscytowany dzisiejszym wieczorem: dzieci czy ja — mówiąc to, uświadomiła sobie, że wciąż splata dłonie, więc spojrzawszy w dół rozplotła je i zamachała nerwowo, co publiczność przyjęła śmiechem. Potem zwróciła się w stronę państwa Dahlów. — Dziś mamy zaszczyt gościć pana kuratora Dahla z małżonką. To prawdziwa niespodzianka. Bardzo państwu dziękuję za przybycie

— powiedziała, a następnie poszukała wzrokiem Johna.

— Szczególne podziękowania składam Johnowi Westgaardowi, który w tym roku przywiózł nam choinkę i zbudował stojak — posłała Johnowi ciepły uśmiech, a on nisko pochylił głowę i poczerwieniał jak burak.

Linnea powędrowała wzrokiem ku miejscu, gdzie uprzednio siedział Teodor, ale stwierdziwszy, że wyszedł, przeniosła go na Nissę.

— Dziękuję też Nissie Westgaard, że pozwoliła mi szperać w swej bielizniarce, i za to, że tak cierpliwie mnie znosiła, bo każda mniej cierpliwa osoba powiedziała by, że bym przestała jej zawracać głowę i sama radziła sobie z kostiumami. Pragnę również wykorzystać tę okazję, by życzyć wszystkim dobrych świąt. Rano wyjeżdżam, aby spędzić Boże Narodzenie z moją rodziną w Fargo, więc nie spotkamy się w kościele, ale wszystkim składam najlepsze życzenia świąteczne. Teraz zaś, zanim zaczniemy się rozkoszować specjałami przygotowanymi przez mamy, jeszcze raz podziękujmy oklaskami dzieciom za wspaniałe przedstawienie.

Rozsunięto „kurtyne”, Linnea cofnęła się o krok, wzięła za ręce dzieci stojące w środku i wszyscy razem uklonili się publiczności. Kiedy zaś zgodnie podnieśli głowy, otworzyła usta ze zdumienia. W drzwiach klasy stał krzepki czerwonolicy Święty Mikołaj z olbrzymim workiem przerzuconym przez ramię. Wzdłuż nogawek czerwonych spodni biegł rząd dzwoneczków, które pobrzękiwały radośnie przy każdym ruchu.

— Ojej... kto... kto to... — wyszeptała.

Zza białej brody i wąsów rozległ się głęboki wesoły głos:

— Wesołych świąt! Święty Mikołaj poczuł zapach kawy! Młodsze dzieci zaczęły szeptać i chichotać nerwowo,

a jeden z maluchów nie chodzących jeszcze do szkoły wsadził palec do buzi i zaczął płakać. Linnea robiła co w jej mocy, by nie wybuchnąć śmiechem. Och, Teodorze Westgaard, miły z ciebie człowiek!

Gdy z dźwięcznym dzwonieniem dzwoneczków zamykał za sobą drzwi szatni, z boku dobiegł ją pomruk zachwyty.

— To Święty Mikołaj, Święty Mikołaj...

Roseanne i Sonny mieli oczy jak talerzyki. Linnea pochyliła się nad parą siedmiolatków.

— Dlaczego go nie zapraszacie? — szepnęła, po czym odwróciła się, by namówić do tego wszystkie dzieci. — Zaproście Świętego Mikołaja tak, by poczuł się tu mile widziany. I pamiętajcie o manierach.

Cóż to była za przyjemność obserwować, jak młodsze dzieci nieśmiało zmierzają na sam koniec klasy i biorą Mikołaja za rękę.

Tony wyrwał się do przodu.

— Przyniosę ci krzesło pani nauczycielki, Święty Mikołaju!

Gdy Mikołaj wszedł na scenę, do Linnei ukradkiem mrugnęło znajome piwne oko.— Święty Mikołaj od dawna jest w drodze, więc chętnie by sobie usiadł — powiedział i opadł na krzesło, dając wspaniały pokaz braku tchu. Uginając się pod ciężarem ogromnego brzucha i rozsiadając się wygodnie, pozwolił, by wierzch worka opadł mu na udo. Wszystkie oczy śledziły to niecierpliwie.

Odegrał swoją rolę doskonale, wypytując dzieci, które z nich było grzeczne. Młodsze rodzeństwo uczniów, znajdujące się wśród publiczności, chyłkiem zsuwało się z matczyńskich kolan i cał po calu posuwało do przodu, nieodparcie przyciągane, a kiedy Święty Mikołaj sięgnął do tajemniczego worka, jeden głos odezwał się odważnie:

— Ja byłam grzeczna, Święty Mikołaju! To był głos Roseanne.

Dorośli starali się stłumić śmiech, lecz Roseanne pewnie podeszła do Mikołaja i wypinając brzuszek, stanęła przed nim w swej anielskiej szacie.

— Naprawdę?— wykrzyknął Mikołaj, potem przesadnym ruchem uniósł biodro i sięgnął do kieszeni. — No cóż, zobaczymy, kogo tutaj mamy... —

rzekł, wyjmując długi zwój białego papieru i przesuwał po nim palcem. Przerwał na chwilę, aby baczniej przyjrzeć się Roseanne spod krzaczastych białych brwi. Dziewczynka czekała, stojąc przed nim spokojnie, a jej śliczna buzia ściągnięta była w poważnym wyrazie szacunku. — Ach, jest... To musi być Roseanne!

Śmiech Roseanne zabrzmiał niczym ptasi świergot, gdy odwróciła się do Skippa.

— A widzisz? Święty Mikołaj mnie zna! — zawołała, kiedy zaś Mikołaj posadził ją sobie na kolanach, zaglądała do worka tak ciekawie, aż jej głowa przeszkadzała Teodorowi. Wszyscy znów się roześmiali. — Mogę sięgać — zaproponowała.

Linnea zorientowała się, że Teodor z trudem zachowuje powagę.

— Dobrze, bierzmy się do pracy.

Gdy otworzył wielki worek, Roseanne niemal do niego wpadła, pochyliwszy się, by wyciągnąć pierwszy prezent. Na torebce z brązowego papieru widniało czyjeś nazwisko.

— Dla kogo ten upominek? — zapytał Teodor. Roseanne wpatrywała się w nazwisko, po czym wzruszyła

ramionami i anielskim wzrokiem spojrzała mu w oczy.

— Ja jeszcze nie umiem czytać.— No cóż, pozwól spróbować Mikołajowi — rzekł Teodor. — To prezent dla Frances Westgaard.

— To moja kuzynka! — wykrzyknęła Roseanne. Frances podeszła po swoją paczkę, a Roseanne sięgnęła po

następną. W worku Mikołaja były prezenty dla wszystkich dzieci, które tego dnia znalazły się w klasie Linnei, nawet dla tych, które nie chodziły jeszcze do szkoły. Każde dziecko siadało na kolanach Mikołaja i otrzymywało jego osobistą pochwałę. Linnea przyglądała się, jak dzieci sięgają do paczek i wyjmują z nich czerwone jabłka, słodkie kuleczki z prażonej kukurydzy,

orzechy i miętowe lizaki. Ktoś, pomyślała z zadowoleniem, dokładnie to wszystko zaplanował. Przyglądała się Świętemu Mikołajowi o błyszczących czerwienią policzkach i oczach lśniących radością z rozdzielania paczek maluchom siedzącym mu na kolanach. Ktoś jeszcze inny pilnie się uczył, by móc przeczytać wszystkie nazwiska...

Oczy Linnei promieniały dumą. Była dumna nie tylko z Teodora, który okazał się tak wspaniałym Mikołajem, ale również ze starszych dzieci, które doskonale się zachowywały. Nawet Allen Severt ładnie przyjął prezent, choć szurał nogami, gdy po niego szedł. Linnea przyglądała się chłopcu, kiedy usłyszała, że wyczytywane jest jej nazwisko, więc zdumiona podniosła wzrok.

Jej spojrzenie napotkało znajome piwne oczy patrzące spod krzaczastych brwi.

— Widzę tu nazwisko panny Brandonberg — obwieścił Teodor udawanym basem.

— Moje? To dla mnie? — przycisnęła dłonie do piersi i zaśmiała się nerwowo.

Święty Mikołaj spojrzał porozumiewawczo na otaczające go anielskie buzie.

— Myślę, że panna Brandonberg powinna usiąść na kolanach Mikołaja i powiedzieć, czy była grzeczna, prawda?

— Tak! — odpowiedziały chórem dzieci, podskakując i klaszcząc w dłonie. — Tak! Tak!

Zanim zdołała zaprotestować, złapano ją za rękę i chociaż przez całą drogę protestowała, poprowadzono ku radośnie tańczącym oczom świętego Westgaarda.

— Proszę siadać, panno Brandonberg — poklepał się po kolanach, po czym nagłym ruchem chwycił ją za rękę i pociągnął do siebie. Zaczerwieniła się tak mocno, że żałowała, iż nie może wpełznąć do jego worka i zasznurować

go nad własną głową. Teodor podrzucił ją raz czy dwa, dzwoniąc dzwoneczkami, a gdy straciła równowagę, przytrzymał ją za ramię, a drugą ręką objął w talii. — Powiedz mi, młoda damo, czy byłaś grzeczna?

Do zanoszących się śmiechem dzieci dołączyli dorośli.

— O, tak, byłam bardzo grzeczna.

— Była grzeczna? — zwrócił się Teodor do dzieci. Entuzjastycznie kiwały głowami, mała Roseanne zaś oświadczyła:

— Pozwala nam gotować zupę!

— Zupę? — powtórzył.

Wszyscy śmiali się głośno, a ręka Teodora obejmująca Linneę w pasie wydawała się płonąć.

— No to dostanie prezent. Ale najpierw, panno Brandonberg, proszę dać Mikołajowi całusa w policzek.

Z zakłopotania chciała zapaść się pod ziemię, posłusznie jednak musnęła ciepły policzek nad sztywnymi jak drut wąsami, które intensywnie pachniały naftaliną.

— Odplącę ci za to, Teodorze — szepnęła, udając cmoknięcie.

Kiedy się odsunęła, wręczył jej prostokątną brązową paczkę. Oczy błyszczały mu wesoło, wargi różowiły się na tle śnieżnobiałej brody i wąsów. Na krótką chwilę uścisnął ją mocniej.

— Nie otwieraj paczki tutaj — rzekł, korzystając z panującego hałasu.

Zdjął ją z kolan i postawił. Cała sala wybuchnęła gromkim entuzjazmem, gdy podniósłszy się z krzesła sięgnął po pusty worek, po czym otoczony roześmianymi dziećmi ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się przy nich, odwrócił i wszystkim pomachał.

— Wesołych świąt! — krzyknął.

Niewątpliwie jego pojawienie się wspaniale zwieńczyło jasełkowy wieczór. Zarówno dzieci, jak i dorośli bardzo się cieszyli, ulegając radosnemu

nastrojowi nadchodzącego czasu wytchnienia. Krążąc między gośćmi, wymieniając powitania i życzenia, Linnea nie spuszczała oka z drzwi. Odnalazłszy kuratora Dahla, przedstawiła mu prośbę o kocioł do gotowania zupy i drewniany wieszak na uczniowskie ubrania, lecz gdy wyjaśniała, dlaczego potrzebuje tych rzeczy, wrócił Teodor i słowa zamarły jej na ustach. Oczy Teodora odnalazły ją natychmiast. Poczuli się, jakby byli tu tylko we dwoje. Policzki miał błyszczące, ostro zaróżowione... Boże, czyżby się mył w tej lodowatej wodzie przy studni? Włosy uczesał pospiesznie, na rękawie marynarki pozostało źdźbło siana... Przebierał się więc na wozie? Uderzyło ją, iż Teodor ma zalety, których wcześniej nie dostrzegła. Nie przypuszczała, że doskonale radzi sobie z małymi dziećmi. Zapewne postępowałby tak samo ze swoimi, gdyby...

Zarumieniła się, odwróciła i sięgnęła po kawałek marcepanu.

Kilka minut później spotkali się przy bufecie. Wyczuła obecność Teodora u swego ramienia, przez które rzuciła szybkie spojrzenie, a potem nappełniła mu filiżankę gorącą kawą.

— Oddech Świętego Mikołaja pachniał *lutefiskiem* — zażartowała szeptem, po czym odwróciła się, żeby podać mu kawę. — Oto coś, co pozwoli to ukryć i pozbawi owego zapachu te lodowate policzki.

Roześmiał się cicho, patrząc tylko na nią.

— Dziękuję, panno Brandonberg.

Pragnęła, żeby nikogo prócz nich nie było w tym wnętrzu, żeby mogła go pocałować nie tylko w policzek i nie tylko z wdzięczności za prezent. Zastanawiała się, co jest w brązowej paczce, ale przede wszystkim myślała o tym, czy Teodor będzie za nią tęsknić. Nie mogła jednak stać tu przez cały wieczór, skupiając uwagę wyłącznie na nim. Byli przecież także inni goście.

— Nie ma za co, Święty Mikołaju — odparła cicho, po czym odeszła z ociąganiem, by porozmawiać z pozostałymi.

Kristian i Ray ukryci w kącie szatni odgrywali scenę ze Świętym Mikołajem i panną Brandonberg, gdy nagle przeszkodził im dziewczęcy głos.

— Przepraszam...

Odwróciwszy się, ujrzeli Patricię Lommen. Chłopcy spojrzeli najpierw na siebie, potem na nią. Patricia związała kasztanowe włosy na czubku głowy czerwoną wstążką. Miała sukienkę w czerwono-szarą kratkę z wysokim okrągłym kołnierzykiem, a ponieważ występowała w przedstawieniu, uróżowiła sobie policzki i lekko przyciemniła brwi.

— Kristian, możemy porozmawiać na osobności?— zapytała.

— Właśnie wychodziłem, żeby się napić gorącej czekolady — powiedział Raymond i zostawił ich samych.

Kristian wsunął ręce do kieszeni i patrzył, jak Patricia najpierw upewnia się, czy drzwi są zamknięte, a potem przemierza szatnię w jego stronę.

— Mam dla ciebie prezent gwiazdkowy — powiedziała, wyciągając zza pleców paczuszkę obwiązaną wstążką.

— Dla... dla mnie?

— Tak — spojrzała na niego promiennie.

— Ale... ale dlaczego? Wzruszyła ramionami.

— Czy musi być jakiś powód?

— No... o rany... ja... naprawdę dla mnie?

Przyjął prezent, patrząc na niego półprzytomnie. Kiedy sięgał po delikatne pudełeczko, uświadomił sobie, jak śmiesznie wielkie stały się w mijającym roku jego dłonie, których kostki miały teraz rozmiar piłek bejsbolowych. Podniósł wzrok i zobaczył, że Patricia patrzy mu prosto w oczy. Jego serce zabiło radosnym tanecznym rytmem. Ostatnio zauważał w niej różne rzeczy: jak dobrze radziła sobie z młodszymi dziećmi, przygotowując widowisko z okazji Święta Dziękczynienia, jak wspaniałą Matką Boską była stojąc przy kołysce w przedstawieniu jasełkowym, jak kąciki jej ślicznych

orzechowych oczu unoszą się ku górze... Spostrzegł też, że Patricia Lommen ma gęste czarne rzęsy, zawsze umyte i starannie uczesane włosy oraz schludnie przycięte paznokcie. Dostrzegł również to, że urósł jej biust.

— Ale ja... — głos mu zaskrzeczał jak u ropucha w czasie godów. Podjął kolejną próbę i udało mu się wydać z siebie cichy, gardłowy głos: — Ja nic dla ciebie nie mam.

— Nie szkodzi. Mój prezent to drobiazg, coś, co sama zrobiłam.

— Sama to zrobiłaś?! — musnął wstążkę i z czcią wyszeptał: — Ojej... dziękuję...

— Nie otwieraj teraz. Musisz poczekać do Wigilii. Patricia jakby się uśmiechała. Spłynęła na niego fala zachwytu. O rany, ależ ona ma piękne usta!... Gdy wysunęła koniuszek języka, by je zwilżyć, serce zabiło mu jeszcze szybciej. Stała przed nim wyprostowana i wyczekująca, z lekko uniesioną brodą i dłońmi splecionymi za plecami. Jej oczy miały wyraz, jakiego jeszcze nigdy nie widział w oczach żadnej dziewczyny; coś co przyspieszyło bicie jego serca. Spojrzał na jej usta. Z trudem przełknął ślinę, wziął głęboki oddech dla odwagi i pochylił się. Zamrugła powiekami i wstrzymała oddech. Kristian miał wrażenie, że się dusi. Usta dziewczyny były coraz bliżej i bliżej...

— Patricia, mama cię szuka!

Odskoczyli od siebie zmieszani. W otwartych drzwiach szatni stał roześmiany jej brat.

— Hej, co wy tu robicie?

— Nie twoja sprawa. Powiedz mamie, że zaraz przyjdę. Chłopiec chytrze łypnął na nich okiem i zniknął. Patricia tupnęła nogą.

— Och, głupi Paul! Czemu nie pilnuje swego nosa!

— Chyba lepiej, żebyś już wróciła do klasy. Tu jest zimno i możesz się przeziębć. — Zastanawiał się, co by było, gdyby lekko roztarł jej rękę, nastrój jednak prysł i stracił odwagę. Roztarł więc własne ramiona i patrzył, jak biust

Patricii unosi się w oddechu nad jej skrzyżowanymi rękami. Postanowił, że jeszcze raz zdobędzie się na odwagę, lecz zanim zdołał to uczynić, powiedziała:

— Chyba masz rację. No cóż, spotkamy się w kościele, dobrze?

— Tak, pewnie.

Odwróciła się ze źle skrywanym ociąganiem.

— Patricio! — zawołał, zanim otworzyła drzwi.

— Co? — spojrzała na niego z żarem w oczach. Przełknął ślinę i odważył się powiedzieć to, nosił w sobie, odkąd rozpoczęły się próby jasełek.

— Byłaś najpiękniejszą Matką Boską, jaką kiedykolwiek mieliśmy w szkole.

Patricia rozjaśniła się promiennym uśmiechem, po czym otworzyła drzwi i wślizgnęła się do klasy.

Wszyscy wracali do domu razem. Teodor i John usiedli z przodu na zimnym drewnianym siedzeniu, a Nissa, Linnea i Kristian z tyłu wraz z prześcieradłami, kuchennymi ściereczkami, garnkami i półmiskami Nissy z resztkami ciasta, filiżankami i workiem świątecznych prezentów, które Linnea dostała od swoich uczniów, a także kostiumem Świętego Mikołaja ukrytym pod sianem. Teodor zaprzągnął na ten wieczór odkryty powóz, zastąpiwszy jego koła drewnianymi płozami, które skrzypiały na śniegu. Dzwoneczki, które wcześniej dźwięczały mu u nóg, wisiały teraz na karkach koni i dzwoniły rytmicznie w tę czystą, usianą gwiazdami noc. Mróz szczypał w nosy, ale wszyscy byli w doskonałym nastroju. Linnea musiała znieść opis rumieńca, jaki oblał jej twarz, gdy siedziała na kolanach Świętego Mikołaja, i wiele związanych z tym żarcików. Teodor także dobrodusznie dołożył swoje, śmiali się również z tego, iż broda Mikołaja pachniała naftaliną. Wciąż się zaśmiewali, gdy pożegnali Johna przed jego domem.

— Zabierzemy cię rano, jadąc do miasta — przypomniał mu Teodor, kiedy brat zsiadał z wozu.

— W porządku — odparł John.

Linnei zamarło serce. Miała nadzieję, że będzie z Teodorem sama w drodze do miasta, ale okazało się, że tego nie zaryzykował. Mógł posadzić ją sobie na kolanach, ścisnąć w pasie, a nawet zażądać, by pocałowała go w policzek na oczach całej szkolnej społeczności, lecz bardzo się starał trzymać ją od siebie z dala, gdy wokół nie było nikogo. Linnea zdawała sobie sprawę, jak ważne jest, by w zimie podróżowały tu zawsze przynajmniej dwie osoby, i wiedziała, że nie powinna czuć się dotknięta, iż John pojedzie z nimi, aby w drodze powrotnej dotrzymywać towarzystwa Teodorowi. Tylko czy chociaż na minutę zostanie sama z Teodorem, zanim wyjedzie? Jedynie tego pragnęła na gwiazdkę.

Teodor podjechał saniami jak najbliżej tylnych drzwi, by łatwiej można je rozładować. Linnea powtarzała sobie w myślach to, co chciała mu powiedzieć, jeśli tylko będzie miała okazję. Co prawda było już późno, lecz rano miał przynieść codzienne obowiązki, śniadanie z całą rodziną i towarzystwo Johna.

Teodor wniósł do kuchni ostatnie naręcze rzeczy, po czym zawrócił ku drzwiom, by zająć się końmi. Linnea uznała, że jeśli nie zrobi czegoś teraz, później nie będzie miał okazji.— Idźcie już spać — poradziła Nissie i Kristianowi. — Chcę porozmawiać z Teodorem — wyjaśniła i podążyła za nim na dwór.

Właśnie wdrapywał się na sanie, gdy zawołała:

— Teodorze, poczekaj!

Postawił nogę w saniach i odwrócił się.

— Co ty tu robisz? — zapytał. Wcale nie miał ochoty znaleźć się z nią sam na sam właśnie tej nocy, gdy perspektywa dwutygodniowego rozstania

wydawała mu się dwoma latami.

— Chcę tylko porozmawiać.

Rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę kuchennych okien.

— Trochę tutaj zimno na rozmowę, nie?

— To nic w porównaniu z pompowaniem rano wody w szkole. — W sypialni Nissy zapaliło się światło. — Pozwól mi pójść do stajni.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim podjął decyzję.

— Dobrze. Chodź — rzekł, podając jej rękę.

W mlecznej poświacie księżycy młyn, który wydawał się wysoki i ciemny, rzucał długi cień na leżący wokół śnieg. Budynki gospodarcze sprawiały wrażenie mrocznych duchów w połyskliwych białych kapturach. Płozy skrzypiały cicho, sanki dzwoniły, końskie łby kiwały się rytmicznie.

— Byłeś cudownym Świętym Mikołajem.

— Dziękuję.

— Miałam ochotę cię udusić. Roześmiał się.

— Wiem.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Bo nie byłoby niespodzianki.

— Robisz to co roku?

— Zmieniamy się, ale musi to być ktoś, kto nie ma małych dzieci, bo rozpoznałyby ojca.

— Bardzo dobrze przeczytałeś wszystkie nazwiska na paczkach. Jak się ich nauczyłeś tak szybko?

— Kristian mi pomagał.

— Kiedy? — zapytała zaskoczona.

— Uczyliśmy się w siodlarni.

— Ach, tak... — poczuła się trochę zdradzona, lecz pytała dalej: —

Obiecujesz ćwiczyć, kiedy mnie nie będzie? W odpowiedzi Teodor uśmiechnął

się tylko. Wprowadził sanie pod dach przybudówki za spichlerzem. Na chwilę zrobiło się bardzo ciemno, dach bowiem odcinał światło księżyca, zaraz wszakże konie znów stanęły w poświacie ze srebrzystymi promieniami padającymi na ich grzbiety. Teodor zeskoczył na swoją stronę, więc Linnea podążyła za nim. Obszedł konie i wyprzągł je, Linnea pomogła mu nakryć sanie.

— Jestem zaskoczona, że Roseanne nie powiedziała, że twój głos przypomina głos wujka Teddy'ego.

Roześmiał się cicho.

— Ja też. To sprytna dziewczynka.

— Wiem. Jest jedną z moich ulubionych uczennic.

— Nauczyciele nie powinni mieć ulubieńców. Linnea milczała kilka chwil, zanim odpowiedziała miękko:

— To prawda. Ale jesteśmy tylko ludźmi. Wyprostował się. Wszelki ruch zamarł. Stali po dwóch stronach zaprzęgu, wpatrując się w siebie poprzez gęsty mrok przybudówki.

Wymyśl coś, ostrzegał samego siebie Teodor, wymyśl cokolwiek albo skończy się na tym, że znów ją pocałujesz.

— A więc John przywiózł ci choinkę.

— Tak. To bardzo ładnie z jego strony.

Ruszył do koni, a ona stanęła u jego ramienia, gdy kierował się do stajni. Nawet w tym mroźnym świeżym powietrzu pachniała migdałami. Ten zapach zaczynał mu się za bardzo podobać.

— Zadurzył się w tobie.

— John?! Wielkie nieba, skąd ci przyszedł do głowy taki nedorzeczny pomysł?

— John nigdy nie przywiózł choinki żadnemu nauczycielowi

mężczyźnie.

— Może nigdy o nią nie prosili.

— Otwórz drzwi — polecił, śmiejąc się z przekąsem. Otworzyła wielkie dwuskrzydłowe wrota i zamknęła, gdy

wprowadził konie. Zapłonęła latarnia, którą Teodor zawiesił wysoko, a następnie skupił się na zdejmowaniu koniom uprzęży i wprowadzaniu ich do boksów. Linnea szła za nim krok w krok.

— Teodorze, nie wiem, skąd ci się biorą te pomysły, ale to wszystko nieprawda.— Był przecież Rusty Bonner i Bill. Kolekcjonujesz ich, panno Brandonberg, prawda? — Niedbałym ruchem sięgnął po lampę

— Rusty Bonner?! — wykrzyknęła. — On był... Teodorze, wróć! Gdzie idziesz?

Światło lampy zniknęło w siodlarni, pozostawiając ją w niemal całkowitej ciemności. Poszła za nim dumnie z pięściami zaciśniętymi na biodrach. Czy ten piekielnik zawsze musi wszczynać z nią wojnę, gdy ona pragnie czegoś wręcz przeciwnego?

— Nie kolekcjonuję ich, jak powiadasz, i czuję się dotknięta twoimi sugestiami!

Zawiesił chomąta, starannie zwinął lejce w kręgi, potem odwrócił się z paskiem dzwonek w ręce.

— A w Fargo? — zapytał. — Tam też masz kilku do swojej kolekcji? — Stał na szeroko rozstawionych stopach, nawijając pas dzwonek na dłoń.

— W Fargo nie ma nikogo. Nikogo! — zawołała porywczo.

Cisnął dzwonek na warsztat. Przez chwilę wydawały jeszcze zduszony dźwięk, zanim w siodlarni zapadła cisza. Teodor wcisnął pięści do kieszeni.

— A kim jest Lawrence? Wojowniczość Linnei nagle zniknęła.

— La... Lawrence?

— Tak, Lawrence.

Na jej policzkach najpierw pojawiły się różowe plamy, które po chwili przybrały barwę heliotropu. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

— Skąd o nim wiesz? — zdołała w końcu zapytać zduszonym szeptem.

— Słyszałem kiedyś, jak z nim rozmawiałaś.

Chciała zapaść się pod ziemię. Ileż to czasu minęło, odkąd outami raz snuła fantazje o Lawrence'ie? Właściwie już zupełnie o nim zapomniała. Teraz gdy całowała szyby, szkolną tablicę i poduszkę, całowała Teodora, nie Lawrence'a! Jak zdoła wyjaśnić taką dziecinadę mężczyźnie, który uważał ją za dziecko?

— Lawrence to... to nie twoja sprawa.

— Doskonale — rzucił krótko. Sięgnął po ściereczkę i s całej siły zaczął pucować dzwonki.— Chyba że jesteś zazdrosny.

— Ha, ha, ha! — odchylił się w krześle i gromko zaśmiał. Tupnęła tuż za jego plecami, żalując, że nie może mu

przyłożyć i wbić trochę rozumu do głowy. Boże, ależ z niego tchórz!

— W porządku, skoro nie jesteś zazdrosny, to dlaczego mi go wytykasz... i Rusty'ego... i Billa?

Odłożył dzwonki i odwrócił się do niej.

— Jak mężczyzna w moim wieku mógłby być zazdrosny o takie... takie dziecko jak ty?

— Dziecko? — krzyknęła. — Dziecko?!

— No właśnie! — chwycił ją za rękę. — Dziecko! Uwolniła się, zakręciła i kopnęła go w kostkę.

— Nienawidzę cię, Teodorze Westgaard! Ty wielki tchórzliwy głupcze! Nigdy w życiu nie widziałam mężczyzny, który tak okropnie bałby się dziewczyny! — Była tak wściekła, że piekły ją oczy i traciła oddech. — A poza tym... przyszłam tu, żeby... żeby ci podziękować za... za świąteczny prezent... a ty znów wszystko... zepsułeś! — I ku własnemu przerażeniu

wybuchła płaczem, po czym wybiegła ze stajni.

Teodor zaklął pod nosem, mimo to odetchnął z ulgą. Cóż mu pozostawało? Mógł tylko wszczać awanturę, gdy szła za nim krok w krok z tymi swoimi ogromnymi błękitnymi oczami, które kusiły go do zrobienia tego, o czym żaden uczciwy mężczyzna nie powinien nawet myśleć, mając do czynienia z dziewczyną dopiero wchodzącą w dorosły świat.

Opadł na stary fotel, kryjąc twarz w dłoniach. Boże, on ją kocha! Ładna historia! Mógłby być jej ojcem, a tymczasem siedzi tu, w siodlarni, drżąc jak chłopiec, któremu dopiero zmienia się głos. Nie chciał doprowadzić jej do łez... Boże, nie... nie chciał, żeby płakała. Widok tych łez sprawił, że chciał ją przytulić, przeprosić i zapewnić, że wcale tak nie myślał.

Ale co z tym Lawrence'em? Co to za jeden? Kim dla niej jest? Zapewne go zostawiła, sądząc z jej reakcji na to imię. Kimś, kto sprawił, że zaczerwieniła się jak zachodzące latem słońce i gorąco przekonywała, że nic dla niej nie znaczy. Tyle że żadna dziewczyna tak się nie denerwuje na wspomnienie jakiegoś mężczyzny, chyba że był dla niej kimś.

Teodor miotał się po siodlarni, dopóki nie był pewien, że Linnea poszła spać. Rozmyślał o tym, że wróci do radosnego życia w mieście ze wszystkimi jego udogodnieniami, wróci do dawnych przyjaciół. I porówna jakiegoś osiemnasto- czy dwudziestoletniego chłopca z takim starym osłem jak on. W końcu przeciągnął się i westchnął, czując w ocieężałości serca i sztywności kości każdy rok ze swych trzydziestu czterech lat. Pozwól jej jechać i dokonać tych porównań, postanowił ze smutkiem. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Następnego ranka żadne ani słowem nie odezwało się przy śniadaniu. Nie rozmawiali też jadąc po Johna. Ani przez całą długą drogę do miasta. Słońce świeciło wprost oślepiająco, odbijając się od migotliwego śniegu. Dzwoneczki zostały w siodlarni, a konie wydawały się bez nich mniej rącze. Jakby wyczuwając ich napięcie, John również milczał.

Po przyjeździe na miejsce obaj weszli z Linneą do budynku stacyjnego, a gdy ruszyła w stronę zakratowanego okienka kasy, Teodor nieoczekiwanie chwycił ją za łokieć.

— Ja to załatwię. Poczekaj tutaj z Johnem.

Linnea weszła do toalety i zdjęła szal z kapelusza z piórem. Po powrocie do poczekalni patrzyła na szerokie bary Teodora i podniesiony kołnierz jego grubej wełnianej kurtki. Ze świątecznego nastroju ubiegłego wieczoru nie zostało nic — tylko pustka. Jedno słowo Teodora mogło przywrócić ów nastrój i odpędzić od niej tę straszliwą ochotę, by znów się rozplakać. Ale Teodor odwrócił się i wręczył jej bilet, nawet na nią nie patrząc. John sięgnął po walizkę, po czym ruszyli w stronę długiej drewnianej ławki z miejscami przedzielonymi oparciami na ręce. Kiedy trącili się łokciami, Teodor szybko się odsunął.

Gdzieś na stacji tykał wahadłowy zegar, poza tym wszędzie panowała głucha cisza.

— Czy coś się stało, panno Linneo? — zapytał w końcu John. Poczuli się tak, jakby ziarno kukurydzy utkwilo jej w gardle. Jeszcze chwila i wybuchnie płaczem.

— Nie, John, nic się nie stało. Jestem po prostu trochę umęczona, to wszystko. Ostatni tydzień w szkole był bardzo trudny, a wczoraj wróciliśmy późno do domu.

Znów zapadła cisza. Kątem oka zobaczyła, że Teodor zacisnął zęby tak mocno, aż mięśnie mu się naprężyły. Dłonie trzymał splecione na brzuchu, kciukami nerwowo kręcił młynka.— Pociąg nadjedzie za minutę — obwieścił zawiadowca, wyszli więc na peron.

Teodor chmurnie spojrział na tory. Z oddali dobiegł gwizd, potem drugi...

Linnea sięgnęła po walizkę, chcąc wyjąć ją z ręki Johna, i zobaczyła zmartwienie w jego oczach i smutek na pociągłej twarzy. W jej oczach

błyszczały łzy; nie zdołała nad tym zapanować. Impulsywnie zarzuciła Johnowi ręce na szyję i przytuliła się do jego chłodnego policzka.

— Wszystko w porządku, John, naprawdę. Będzie mi cię bardzo brakowało. Dziękuję za prezent. Podarunek od ciebie obejrzę w pierwszej kolejności. — John na chwilę przygarnął ją ramieniem. Pocałowała go w policzek. — Wesołych świąt, John.

— Wzajemnie, panienko — odpowiedział burkliwie z emocji.

Nieśmiało odwróciła się do Teodora.

— Wesołych świąt, Teodorze — rzekła drżącym głosem, wyciągając rękę w rękawiczce. — Tobie także dziękuję za pre... prezent. Jest za... zapakowany w... — Teodor wyciągnął do niej rękę i reszta słów uwięzła jej w gardle.

Spojrzała mu w oczy pełne niewypowiedzianego bólu. Ścisnął jej dłoń tak mocno i tak długo, że ledwie zdołała nad sobą zapanować. Łzy srebrnymi strużkami spływały jej po policzkach. Jakże pragnął je otrzeć!...

Linnei serce krwawiło i tak łomotało, że miała wrażenie, iż słyszy te uderzenia w całym ciele.

Na torach biegnących z zachodu sapał pociąg w obłoku białej pary.

Teodor zdusił ból, Linnea zdławiła łzy.

Nagle chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą tak gwałtownie, że kapelusz jej się przekrzywił i upuściła walizkę.

— Teodorze, cokolwiek...

Szedł tak długimi krokami, że na każdy trzeba było dwóch kroków Linnei. Z twarzą zawziętą i chmurną włókł ją wzdłuż torów do końca budynku stacji. Nie miała wyboru, musiała biec za nim, bez tchu, jedną ręką przytrzymując kapelusz. Wciągnął ją między dwukołowy wóz do przewożenia bagażu a brunatną ścianę stacji, obrócił do siebie i chwyciwszy w ramiona, pocałował przy akompaniamencie łoskotu pociągu, który akurat w kłębach

pary wtoczył się na peron. Oplótł Linneę ramionami tak ciasno, aż ją zabolalo, całował mocno, z jakąś szaleńczą desperacją, przytrzymując tył głowy i napierając nią na ścianę. W końcu oderwał się od niej. Oddychał szybko i ciężko, na twarzy miał udękę. Poruszył ustami i w tejże chwili rozbrzmiał przeraźliwy gwizd pociągu, zagłuszając słowa.

— Co? — krzyknęła Linnea.

— Kocham cię! — zawołał donośnie ochrypłym, udreńczonym głosem.

— Chciałem ci to powiedzieć zeszłej nocy.

— To dlaczego nie powiedziałeś?

Musieli krzyczeć, żeby się słyszeć w hałasie zderzaków zatrzymującego się pociągu.

— Bałem się, więc wygadywałem te bzdury o Johnie, Rustym i Lawrencie. Spotkasz się z nim w Fargo?

— Nie... nie! — chciało jej się płakać i śmiać jednocześnie.

— Przepraszam, że doprowadziłem cię do łez.

— Och, ja... ja tylko... och, Teodorze...

— Proszę wsiadać! — dobiegł ich głos konduktora. Teodor znów przywarł ustami do jej warg. Tym razem

objęła go równie mocno i całowała z taką samą desperacją jak on ją. Kapelusz z piórem leżał zgnieciony pod jego lewym butem. Deska ze ściany budynku uwierała Linneę w tył głowy, zapinka zegarka gniotła w lewą pierś, lecz nie zważała na to — Teodor w końcu przemówił!

Wypuścił ją nagle z objęć i trzymając w dłoniach jej twarz, rozognionym wzrokiem zajrzał w oczy.

— Powiedz...

— Ja też cię kocham, Teddy.

— Wiem... już od jakiegoś czasu. I nie mam pojęcia, co z tym zrobimy.

Wiem tylko, że byłem nieszczęśliwy.

— Och, Teddy, pocałuj mnie jeszcze raz, proszę! Tym razem pocałunek był słodki, czuły, pełen tkliwego

pożegnania, które w istocie było przywitaniem. Serca biły im mocno, ciała wiedziały, czego pragną. Oderwali się od siebie na tyle, by zdążyć krzyknąć:

— Nie chcę wyjeżdżać!...

— Ja też tego nie chcę — odpowiedział i pocałował ją po raz ostatni, mocno, z żarem.

John wyrzwał zza rogu.— Zwariowaliście?! Pociąg odjeżdża!

Teodor wypuścił Linneę z objęć i znów pociągnął za sobą, kierując się do ruszającego pociągu.

— Kapelusz!

— Zostaw go!

Dobiegli do drzwi srebrzystego wagonu, który już ruszał w obłoku pary. W ostatniej chwili Linnea chwyciła klamkę i podsadzona do góry, znalazła się w środku.

Wychyliła się przez okno i machała dłonią, na koniec posłała dwa pocałunki malejącym postaciom, które uniosły ręce wysoko ponad głowy.

— Wesółych świąt! Wesółych świąt!

To będą najszcześniejsze święta jej życia. Znalazła swoje miejsce w przedziale i opadłszy na nie, z zamkniętymi oczami zastanawiała się, jak je przeżyje.

ROZDZIAŁ 17

Na stacji czekał na Linneę ojciec, roześmiany i krzepki. Włosy rozdzielał mu przedziałek na środku głowy idealnie prostopadły do szerokiej linii gęstych wąsów w kolorze blond. Wtulona w silne ojcowskie ramiona, z twarzą

wciśniętą w jego zimowy płaszcz wdychała znany zapach płynu po goleniu i czuła łzy napływające jej do oczu.

— Och, tatusiu!

— Córeczko!

Tak długo i tak ciężko pracowała, grając dorosłą, że z nieoczekiwaną ulgą znów stała się dzieckiem.

— A cóż to? Łzy?

— To z radości, że cię widzę. — Pocałowała ojca w policzek i mocno przytuliła się do jego łokcia, gdy wyszli z dworca.

Ojciec kupił najnowszy model forda T, czego nie wiedziała.

— A to co? — zdumiała się.

— Mała niespodzianka. Firma dobrze się rozwija.

— Chcesz powiedzieć, że to auto jest twoje?

— Zgadłaś. Wsiadaj.

Roześmiani jechali ulicami Fargo, płosząc konie. Było to ekscytujące, ale równocześnie nowy automobil sprawił, że Linnea poczuła się tak, jakby nie było jej tu od lat, nie zaś od kilku miesięcy. Wywołało to w niej dziwne i przykre uczucie, które ze wszystkich sił próbowała ukryć. Chciała przyjechać do domu i zastać wszystko tak, jak było, kiedy go opuszczała.

— Chcesz, żebyśmy po drodze wpadli do sklepu?— zapytał ojciec.

Sklep... Pomagała w nim ojcu, odkąd była na to dość duża. Sklep z pomieszanymi aromatami kawy, mydła i pomarańcz. Sklep będzie taki sam...

— Podjedźmy tam — odparła podekscytowana.

Ale w sklepie także zaszły zmiany. Z frontowego okna marszczący brwi Wuj Sam wysuwał kościsty palec ku zamieszkałym w Fargo mężczyznom, nawołując, by wstąpili do wojska: „Jesteś mi potrzebny w Armii Stanów Zjednoczonych!”. Na półce stało chrypiące radio, świeży nabytek, z którego rozlegała się nowa pieśń George'a Cohana zatytułowana „Tam daleko”, obok

lady zaś ustawiono pojemnik na puste blaszane puszki. Na kontuarze widniał plakat reklamowy, a za kontuarem stał obcy człowiek.

— Już jest, Adrianie, przyjechała. Linneo, chciałbym ci przedstawić Adriana Mitchella, który zajął twoje miejsce jako moja prawa ręka. Adrianie, oto moja córka, Linnea.

Poczuła ukłucie niechęci, mimo że wymieniła z nim uścisk dłoni. Mama pisała jej, że zatrudnili nowego „chłopca”, i oto stał przed nią, wysoki, w starannie zawiązanej kraciatej muszce.

— Bardzo mi miło, panno Brandonberg.

— Mnie również, panie Mitchell — rzekła uprzejmie.

— Adrian jest na drugim roku uniwersytetu. Świetnie sobie radzi — obwieścił ojciec z wyraźną dumą.

Adrian uśmiechnął się do Linnei.

— Rozumiem, że to pani pierwszy rok pracy po ukończeniu seminarium. Jakże się pani podoba nauczanie tak daleko?

Gdy gawędzili, Linnea zauważyła, że Adrian ma wrodzone poczucie serdeczności, najwspanialsze zęby, jakie kiedykolwiek widziała, i wręcz nienaturalnie urodziwą twarz, lecz to tylko pogłębiło urazę, jaką poczuła za uzurpowanie sobie jej miejsca.

Postój w sklepie był krótki i niebawem znów siedzieli w fordzie, kierując się do domu.

— Pisaliście mi chyba, że zatrudniłeś nowego chłopca — powiedziała oschle. Ojciec tylko zaśmiał się cicho. — No cóż, gdzie go znalazłeś?

— Wszedł pewnego dnia do sklepu i powiedział, że szuka pracy, bo musi zarobić na studia. Obiecał też, że w ciągu pierwszych sześciu miesięcy zwiększy dochody mojej firmy o pięć procent albo zwróci połowę swego wynagrodzenia, ale, do diaska, zrobił to w trzy miesiące!

Niechęć Linnei nabrała dodatkowo posmaku zazdrości. Tym bardziej

chciała znaleźć się wreszcie w domu, gdzie wszystko powinno być tak jak dawniej.

Mama przygotowywała właśnie jej ulubione kurczę w potrawce i serce Linnei wypełniło się wdzięcznością. Carrie i Pyzia utrzymywały ich wspólny pokój w porządku, lecz kiedy Linnea zeszła do kuchni i zapytała, gdzie są siostry, mama odpowiedziała, że wyszły i wrócą na obiad.

— Wyszły?! — powtórzyła rozczarowana Linnea. Spodziewała się, że podbiegną do niej z tysiącem pytań i takim samym dziewczęcym przestraczem, jaki okazały na wieść, że starsza siostra wyrusza w świat.

— Ich drużyna skautowska kroi i zszywa niezbędniki dla wyjeżdżających żołnierzy.

Niezbędniki dla żołnierzy? Jej siostrzyczki?!

— A więc zatrzymałaś się w sklepie? — wypytywała mama.

— Tak, na chwilę.

— I poznałaś Adriana?

— Tak.

— I co o nim myślisz?

Linnea rzuciła matce podejrzliwe spojrzenie, lecz Judith Brandonberg była zajęta nadawaniem odpowiedniego kształtu kluseczkom i wrzucaniu ich do garnka.

— Spędziłam tam tylko pięć minut. — Nawet o tym nie myśl, mamó. On nie jest w moim typie.

Carrie i Pyzia przyszły na obiad punktualnie. Uradowane widokiem siostry, lecz bez tchu szczebioczące o własnych zajęciach, ledwie zapytały o sprawy Linnei. Podczas obiadu Linnea dowiedziała się, że ich drużyna najpierw wiele tygodni poświęciła na zbieranie pestek brzoskwiń, które spala się na węgiel drzewny niezbędny do filtrów masek przeciwgazowych, a teraz zaangażowana jest w kampanię gromadzenia mydeł, igieł, nici i innych rzeczy

do żołnierskich niezbędników. Carrie ogromnie przeżywała, że każdemu, kto kompletuje taki niezbędnik, wolno umieścić w nim karteczkę z własnym nazwiskiem. Miała nadzieję otrzymać wiadomości od żołnierzy, którzy dostali jej torebki. Obydwie entuzjasmowały się także białymi słoniami, które gromadziły na loterię dobroczynną mającą przynieść sto dwadzieścia pięć dolarów, gdyż taką kwotę ich szkoła zobowiązała się wpłacić na Fundusz Wojenny.

Linnea była zdezorientowana. Gdy wyjeżdżała z domu, dziewczynki wspinały się na drzewa i miały poobijane kolana. Carrie była pulchna, teraz zaś mogła się poszczycić smukłą sylwetką. Jej włosy w kolorze miodu sięgały ramion, a niebieskie oczy już wkrótce zaczną przyciągać uwagę chłopców. Pyzia również się zmieniła. Ten przydomek właściwie już do niej nie pasował. Zeszczuplała, a warkoczyki zniknęły, ustępując miejsca fali karmelowych loków związanych wstążką. Gdy opowiadała o działalności drużyny skautowskiej, jej orzechowe oczy świeciły blaskiem, który dawał Linnei wyobrażenie, jak śliczną młodą damą stanie się niebawem jej siostra. Jak mogły się tak zmienić w ciągu czterech miesięcy?

Zainteresowania matki także się zmieniły. Nie siedziała już w domu, w wolnym czasie cerując skarpetki. Działała w kościelnym Kole Pań na rzecz Belgijskiego i Ormiańskiego Funduszu Zapomogowego, współpracując z Komitetem Pomocniczej Służby Zaopatrzenia Wojska, która wychodziła na spotkanie pociągom i dostarczała posiłki tysiącom mężczyzn przejeżdżających przez miasto w drodze do obozów wojskowych. Chodziła na kurs Czerwonego Krzyża, aby nauczyć się robienia opatrunków, a dwa wieczory w tygodniu spędzała w bibliotece publicznej, rozplatając szpagat na pakuły.

— Co to są pakuły? — zapytała Linnea. Wszyscy spojrzeli na nią, jakby powiedziała coś wysoce niestosownego.

Nie dość tego — ostatnio ojciec spędził jeden dzień z grupą

mieszkańców miasta, którzy żartobliwie nazwali się „Połączonym Zakonem Pilarzy”. Otóż miejscowe Zakłady Ceramiczne przekazały Czerwonemu Krzyżowi działkę leśną i członkowie owego „zakonu” wycięli drzewa, a następnie porąbali je na drewno opałowe. Drewno wystawiono na aukcję, uzyskany zaś dochód w kwocie Z.264 dolarów przekazano na potrzeby wojska.

Nie do wiary!... Jej ojciec rąbał drewno?

W tym roku święta będą skromniejsze, oświadczył, bo poświęcają je żołnierzom, którzy potrzebują tak wiele. Rzecz nie w tym, że Linnea pragnęła świątecznej obfitości. Chciała jedynie, by wszystko było tak jak dawniej. Spodziewała się, że jej powrót stanie się osią, wokół której obracać się będzie życie rodzinne w czasie jej pobytu w domu.

Wieczorem leżała w łóżku w ciemności, dumając o swoim rozczarowaniu. Cztery miesiące... Nie było jej raptem cztery miesiące, a wydawało się, że jej nieobecność pozostawiła w ich życiu pustkę nie większą niż ta, jaką w pełnej beczce czyni zacerpnięcie kubka wody... Uczucia kłębiły się w niej gorączkowo. Niczego nie pragnęła tak usilnie jak stałości i niezmienności rodziny, a oni wszyscy byli tacy zajęci. Tacy zaabsorbowani. Chciało jej się płakać, lecz łzy nie płynęły już z taką łatwością jak jeszcze ostatniego lata, zanim zrobiła swój decydujący krok ku dorosłości. Przynajmniej dom się nie zmienił. Sypialnia, którą dzieliła z siostrami, była wciąż tak samo jasna i wesoła ze swą kwiecistą tapetą i dużymi podwójnymi oknami. Rano podłoga pod stopami nie była lodowata, nie musiała też zaśnieżoną ścieżką biec do toalety, kąpać się w balii, brnąć milę do szkoły, przerzucać szuflę węgla, rozpalać ognia ani pompować wody.

Ogromnie wszakże za tym tęskniła.

W Wigilię ojciec poprosił, by przyszła do sklepu pomóc mu jak niegdyś.

— Wielu klientów pyta o ciebie. Wiem, że chcieliby cię zobaczyć, a ja byłbym naprawdę wdzięczny za pomoc. Dziś będzie duży ruch aż do

zamknięcia.

— Masz przecież nowego chłopca.

— Adrian oczywiście też będzie, ale znajdzie się dość pracy dla was obojga. Więc jak, Kluseczko?

Nie mogła odmówić, gdy ojciec nazwał ją dawnym pieszczotliwym imieniem, a poza tym, bez względu na wszystkie zmiany, bardzo lubiła sklep.

Gdy przyjechali, Adrian już był. Odziany w schludne studenckie ubranie, odśnieżał chodnik przed sklepem.

— Dzień dobry państwu — powitał ich, zdejmując tweedową golfową czapkę i uśmiechając się do Linnei.

— Dzień dobry, Adrianie. Namówiłem córkę, żeby pomogła nam dzisiaj.

— Na pewno skorzystamy z pomocy. Czy dobrze bawi się pani na feriach? Stojąc z rękami opartymi na rączce łopaty, Adrian Mitchell gawędził z nią tak serdecznie, jakby byli starymi przyjaciółmi. Miał cudowny uśmiech, który ani na chwilę nie zniknął mu z twarzy, i tę wrodzoną naturalną uprzejmość, jaką Linnea z takim trudem usiłowała wpoić swoim uczniom. Zdejmował czapkę przed każdym przechodniem i każdemu życzył miłego dnia. Kiedy zaś Linnea i ojciec ruszyli ku frontowym drzwiom, otworzył je przed nimi, nim wrócił do odśnieżania.

Kilka minut później przyszedł za nimi. Linnea bacznie obserwowała, jak krząta się po sklepie. Najpierw powiesił płaszcz i marynarkę na wieszaku, potem wdział krochmalony biały fartuch i cichutko pogwizdując przez zęby, zawiązał jego paski z przodu, a potem dla pewności z tyłu. Poruszał się z taką werwą i pewnością siebie, że wyglądał na właściciela sklepu znacznie bardziej niż sam właściciel. Nie czekając na polecenie szefa, skropił podłogę środkiem czyszczącym i umył całą, a kiedy przyjemna woń nasyciła powietrze, pomaszerował do frontowych drzwi, podciągnął w górę zielone żaluzje okna wystawowego i obrócił do ulicy tabliczkę z napisem OTWARTE.

Pierwszym klientem był mały chłopiec, którego Linnea nie poznała, przysłany przez mamę po funt słoniny. Pakując zakupy, Adrian wsunął mu coś do torby.

— Daj to mamie, Lonnie, dobrze?

— Co on mu daje? — szeptem zapytała ojca Linnea.

— Przyrząd do oddzielania żółtek. To pomysł Adriana, by w okresie przedświątecznym każdego klienta obdarować jakimś kuchennym drobiazgiem.

Patrzyła na profil ojca, który promieniał spoglądając na Adriana. Bez wątpienia nowy pracownik go zachwycał.

Znów poczuła ukłucie zazdrości, lecz w miarę upływu kolejnych godzin zaczynała rozumieć, dlaczego ojciec tak bardzo ceni Adriana. Klienci za nim przepadali. Wiedział, jak każdy się nazywa, życzliwie wypytywał o bliskich, pytał, czy znają pannę Brandonberg, która właśnie przyjechała na świąteczne ferie i przyszła do sklepu, by się z nimi przywitać, a przy wyjściu życzył wesołych świąt.

Miał w sobie coś, to prawda. Obserwowała go uważnie, zastanawiając się, czy to tylko pozory, jednakże na długo przed końcem dnia doszła do wniosku, że jest po prostu urodzonym handlowcem, który lubi ludzi i nie boi się tego okazać. Kiedy o czwartej po południu zamykali sklep, ojciec w świątecznym prezencie podarował Adrianowi szynkę. Młodzieniec miał coś ukrytego na zapleczu — długie wąskie pudełko, które wręczył szefowi, zanim wymienili serdeczny uścisk dłoni. Następnie z promiennym uśmiechem zwrócił się do Linnei.

— Panno Brandonberg, mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze podczas pani pobytu w mieście. Prawdę mówiąc, gdyby pani ojciec nie miał nic przeciwko temu, któregoś wieczoru chętnie bym panią odwiedził.

Poszukał wzrokiem aprobaty Selmera Brandonberga i zanim Linnea

zdołała zaprotestować, ojciec rzekł:

— Kiedy zechcesz, Adrianie. Daj tylko wcześniej znać mojej żonie, żeby przygotowała dla ciebie miejsce przy stole.

— Dziękuję. Z pewnością to uczynię. — I zwracając się do Linnei, dodał: — A zatem w przyszłym tygodniu. Po świętach w sklepie będzie mniejszy ruch.

Linnea była kompletnie oszołomiona. Adrian Mitchell okazał się tak bezpośredni i pewny siebie, że w gruncie rzeczy nie dał jej wyboru — po prostu złożył im ostatnie świąteczne życzenia i wyszedł. Linnea oszołomiona wpatrywała się w mrok za oknami.

— Co o nim myślisz? — zapytał ojciec. Biorąc się pod boki, zrobiła kwaśną minę.

— Powiedziałeś, że zatrudniłeś chłopca. Taki z niego chłopiec jak ty. Selmer Brandonberg włożył płaszcz, uniósł brew i roześmiał się.

— Wiem — powiedział, zapinając płaszcz, i powtórzył:

— Pytałem, co o nim myślisz?

Linnea rzuciła ojcu łobuzerskie spojrzenie.

— Chyba jeszcze nie kandyduje do Kongresu?

— Nie — roześmiał się Selmer — ale daj mu trochę czasu. Jestem pewien, że wysoko zajdzie.

— Też tak sędzę.

Patrzyli na siebie przez kilka sekund, po czym oboje wybuchnęli śmiechem. Zanim wyszli, Linnea wsunęła dłoń pod klapę kołnierza ojcowskiego płaszcza.

— Jest przystojny, dynamiczny i ambitny — powiedziała.

— Początkowo byłam o niego zazdrosna, widzę jednak, jakim jest dla ciebie cennym nabytkiem. Ale nie szukam adoratora, tatusiu.

Ojciec pogłaskał jej dłoń i skierował ku drzwiom.

— Nonsens, Kluseczko. Sama powiedziałaś, że Adrian nie jest chłopcem.

Po powrocie do domu aż trzy razy usłyszała to samo:

— Co myślisz o Adrianie?

Było jasne, że cała rodzina bawi się w swatanie. Wszyscy wydawali z siebie „achy” i „ochy”, stwierdziwszy, że Adrian podarował ojcu butelkę doskonałej bostońskiej brandy, ulubionej brandy Selmera Brandonberga, którą ojciec rzadko kupował z powodu jej prohibicyjnej ceny.

— Och, Selmerze — westchnęła matka — to doprawdy bardzo ładnie ze strony tego chłopca, nieprawdaż? A przecież z takim wysiłkiem zarabia na naukę.

Linnea robiła, co mogła, by nie wzruszyć ramionami. Chciała im powiedzieć, że tracą czas próbując podsuwać jej Adriana, ponieważ w jej życiu jest już inny mężczyzna.

Pomyślała o Teodorze i zastanowiła się, co by rzekła rodzina, gdyby teraz o nim opowiedziała. Czyby zrozumieli, że pod jego zewnętrzną mrukliwością kryje się głęboka wrażliwość? Że jego największym marzeniem było nauczyć się czytać? Że ze szlachetną żarliwością bronił swojej rodziny? Że w jednej chwili potrafił żartować, a w następnej wspólnie śpiewać psalmy? Że serce mu krwawiło, gdy nadszedł czas rozstania się z końmi na zimę?

Niemniej faktów to nie zmieniało — zakochała się w trzydziestoczteroletnim niepiśmiennym farmerze, który nosi robocze kombinezony, mieszka z matką i ma syna w jej wieku. Jak sprawić, by na jego korzyść wypadło porównanie mężczyzny takiego jak on z przedsiębiorczym dwudziestojednoletnim młodzieńcem obdarzonym zdolnościami, ambicją, urodą i urokiem, którym oczarował matkę?

Linnea bała się, że nie będzie umiała tego uczynić, toteż słowem nie wspomniała o Teodorze Westgaardzie.

Zacząło się otwieranie prezentów. Linnea, dotrzymując słowa, najpierw otworzyła paczuszkę od Johna. Była naprawdę wzruszona wyrzeźbioną podobizną kotka ze schowanymi pazurkami, tego, którego często widywała na jego schodach. Od Frances dostała poduszeczkę na szpilki uszytą z aksamitu w kolorze truskawki. Podarunkiem Nissy był prześliczny szydełkowy szal z białej wełny przetykanej srebrnymi nitkami, a prezentem od Kristiana... aż zabrakło jej tchu... okazała się para najpiękniejszych rękawiczek, jakie widziała w życiu. Zrobione były z norkowego futra, a gdy włożyła je na dłonie, przekonała się, że nigdy nie czuła takiego ciepła. Dziewczynki pochyliły się i wtuliły w nie policzki, a mama musnąwszy się jedną z rękawiczek po szyi, aż jęknęła z zachwytu.

— Jaki piękny prezent — powiedziała, odkładając rękawiczkę. — Ile lat, mówiłaś, ma ten Kristian?

Linnea poczuła się lekko zakłopotana i zastanawiała się, czy poczerwieniała.

— Siedemnaście.

Selmer i Judith Brandonbergowie wymienili znaczące spojrzenia.

— Bardzo roztropny i troskliwy jak na siedemnastoletniego chłopca — stwierdziła Judith.

— Kristian zastawia sidła i wnyki — wyjaśniła Linnea, mając nadzieję, że rozwieje mylne przypuszczenia matki. — Tak właśnie zdobywa norki.

— Jakież pomysły — uśmiechnęła się matka i wskazała ostatnią paczkę. — Masz jeszcze jeden prezent, kochanie. Od kogo?

— Od Teodora.

Linnea umyślnie zostawiła go na koniec. Był ciężki i owinięty w taki sam brązowy papier, w jaki zapakowane były podarunki dla dzieci.

Pieszczotliwie przesunęła po nim dłoń.

— Ach, tak, od ojca Kristiana... — słowa matki wyrwały Linneę z

zadumy.

Uświadomiła sobie, że rozmarzyła się w chwili, gdy patrzyła na nią cała rodzina.

— No otwórz wreszcie tę paczkę! — domagała się Pyzia.

Zdejmując opakowanie Linnea przypomniała sobie roześmiane piwne oczy świętego Mikołaja, gdy siedziała mu na kolanach, i muśnięcie ustami jędrnego różowego policzka nad sztuczną białą brodą. I cicho wyszeptane słowa: „Nie otwieraj tego tutaj”. Nagle zapragnęła znaleźć się teraz w smaganym wichrem domu na okrytej śniegiem prerii.

Był to zbiór poematów Tennysona, pięknie oprawny w brązie i złocie, ze sztychami przedstawiającymi odziane w wiotkie szaty anioły, które bosymi stopami stąpały po unoszących się w powietrzu różach.

Na ostatniej stronie Teodor pieczołowicie wykaligrafował atramentem: „Wesołych świąt 1917. Dla Linnei Brandonberg od Teodora Westgaarda. Pewnego dnia ja również będę umiał przeczytać te wszystkie wiersze”.

Linnea starannie skryła swą sekretną przyjemność, gdy pokazała rodzinie tę piękną książkę.

— Uczę Teodora czytać i pisać, ale nie sądzę, by umiał już poprawnie napisać moje nazwisko. Z pewnością Kristian pomagał mu w pisaniu tej dedykacji.

Matka sięgnęła po książkę, przesunęła koniuszkami palców po kosztownych złoceniach okładki, przeczytała dedykację i podniósłszy wzrok, ujrzała tęskny wyraz na twarzy córki.

— To miłe, kochanie — mruknęła.

Podczas świątecznego obiadu Judith kilkakrotnie spoglądała na córkę, stwierdzając, że Linnea wpatruje się w talerz jakimś nieobecnym wzrokiem. Nie pierwszy raz to zauważyła. Linnea okazywała dziwną małomówność, co było do niej niepodobne.

Później tego samego wieczoru Judith zapytała Selmera:

— Zauważyłeś, że Linnea jest jakaś inna?

— Inna?

— Jest taka... nie wiem... stonowana... wyciszona... Po prostu nie wydaje się taka jak dawniej.

— Ona dojrzeła, Judith. To musiało się stać, nieprawdaż? Młoda kobieta z dorosłymi obowiązkami, w świecie, z dala od matki i ojca... — uniósł brodę żony i cmoknął ją w nos. — Wiesz przecież, że nie może na zawsze pozostać naszą małą córeczką.

— Z pewnością. — Judith zaczęła się rozbierać do snu. — Czy... czy dzisiaj w sklepie powiedziała ci coś?

— O czym miała powiedzieć?

— Nie o czym, tylko o kim.

— Zatem o kim? O kim miała mi powiedzieć?

— To właśnie jest zagadka. Nie jestem pewna, czy tą zagadką jest Kristian czy... czy jego ojciec.

— Jego ojciec?! — Selmer przestał rozpinać guziki koszuli.

— No cóż, widziałeś jej twarz, jak otworzyła tę książkę od niego?

— Judith, na pewno się mylisz. — Miejmy nadzieję. Przecież ten człowiek musi mieć koło czterdziestki!

Selmer był wyraźnie zdenerwowany.

— Powiedziała ci coś?

— Nie, a ty myślisz, że powiedziałaaby cokolwiek, zważywszy, że ten mężczyzna ma syna niemal w jej wieku i że ona... mieszka w jego domu?

Selmer zmusił się do spokoju i ujął żonę za ramiona.

— Może się mylimy. Jest rozsądną dziewczyną, a poza tym dotychczas zawsze ci się zwierzała. Ja zaś nie przekazałem ci jeszcze dobrych wieści: Adrian Mitchell poprosił o zgodę na złożenie jej wizyty w przyszłym tygodniu.

— Naprawdę? — Judith promieniała.

— Cóż więc myślisz o wrzuceniu do zupy dodatkowej marchewki dla gościa naszej córki? — zażartował Selmer.

— Och, Selmerze, naprawdę? — Oczy świeciły jej jak świeczki na choince. — Wyobrażasz sobie ich dwoje razem?... Adrian byłby dla niej wprost idealny!

— Ale musimy bardzo uważać i nie naciskać za mocno — napomniął ją łagodnie. — Wiesz przecież, jaką determinację może okazać dziewczyna, kiedy sądzi, że jest do czegoś zmuszana. Nie zaszkodziłoby jednak, gdyby spotkali się kilka razy przed jej wyjazdem. A później, latem... kto wie?

Judith z jedną ręką na biodrze, drugą szczypiąc sobie dolną wargę, zaczęła krążyć po pokoju.

— Zastanówmy się... przyrządę coś wspaniałego... może kotlety wieprzowe i tort orzechowy. Wyjmiemy najlepszą porcelanę i...

Judith wciąż jeszcze swatała córkę, gdy Selmer pogrążał się w głębokim śnie.

Adrian przyszedł w środę, roztropnie ofiarowując pani domu pudełko mrożonych miętówek doskonale nadających się do poobiedniej kawy. Konwersując z całą rodziną we frontowym salonie, zasiedział się aż do dziesiątej wieczorem, po czym uprzejmie życzył Linnei dobrej nocy. Judith nalegała, by córka odprowadziła go do drzwi.

W czwartek przyszedł ponownie, około siódmej wieczorem, spędził z gospodarzami pół godziny, a potem zaprosił Linneę na przechadzkę.— Och, nie...

— To wspaniały pomysł — przerwała Judith. — Na miłość boską, kochanie, odkąd przyjechałaś do domu, siedzisz tu jak w klatce, tylko z nami.

— Linneo... — poprosił łagodnie Adrian.

Była zbyt uprzejma, by stanowczą odmową wprawić go w zakłopotanie.

Spacerowali wokół estrady w miejskim parku i rozmawiali o swoich rodzinach i obowiązkach, o jego szkole, jej szkole i o prezentach, jakie dostali na gwiazdkę. Gdy się poślizgnęła, ujął ją za łokieć, a potem odprowadził do domu w miękko padającym śniegu. Na werandzie obrócił ją twarzą do siebie i delikatnie pocałował w usta.

Odsunęła się.

— Nie, Adrianie... proszę.

— A jak inaczej mam wyrazić stan rzeczy?— zapytał miło, wciąż trzymając jej rękę.

— Jesteś czarującym mężczyzną i... lubię cię... ale... — zmieszana, umilkła.

— Ale? — pochylił głowę.

— Ale jest ktoś inny... w Alamo...

— Ach, tak... — Milczeli przez chwilę. — Czy to poważne?

— Myślę, że tak.

— Jesteś z nim zaręczona? Pokręciła głową.

— Cóż, w takim razie chyba nie stanie się nic złego, jeśli pójdziesz ze mną na sylwestra?

Podniosła wzrok.

— Przecież ci powiedziałam...

— Tak, że jest ktoś w Alamo. W pełni to uszanuję i tak samo chętnie zaproszę cię na ten wieczór. Poza tym założę się, że i tak nie masz żadnych innych planów, prawda? — Jednym palcem uniósł jej brodę. — Prawda?

Wielkie nieba, nie ma sprawiedliwości na tym świecie, skoro jeden mężczyzna może być aż tak przystojny.

— Nie mam.

— Mam kilkoro przyjaciół, którzy są mniej więcej w naszym wieku. Najpierw pojeździmy na łyżwach, a potem pójdziemy do jednej z koleżanek,

żeby coś zjeść. Odprowadzę cię koło pierwszej. Co ty na to? Propozycja brzmiała zachęcająco, a ona tak dawno nie spotykała się z rówieśnikami. Ponadto jeśli nie pójdzie z nim, prawdopodobnie powita Nowy Rok leżąc w łóżku i żałując, że nie przyjęła zaproszenia.

— Ale żadnego całowania o północy? — upewniała się. Uniósł rękę w geście skautowskiej przysięgi.

— Przyrzekam.

— I nie będziesz się śmiał, jeśli przewrócę się na lodzie? Uśmiechnął się, błyskając olśniewającymi zębami.

— Przyrzekam.

— W porządku. Jesteśmy umówieni.

Przyniósł jej fiołki. Z fiołkami na lodowisko! Gdzie zdołał je znaleźć w samym środku zimy w Fargo w Północnej Dakocie, pozostało tajemnicą, ale były to pierwsze kwiaty, jakie Linnea kiedykolwiek dostała od mężczyzny. Gdy je przyjęła, pomyślała o Teodorze i spąsowiała z poczucia winy.

Adrian pożyczył na ten wieczór samochód od swego ojca i jazda z nim pogłębiła poczucie winy, ale z upływem czasu przyłapała się na tym, że zapomina o Teodorze i dobrze się bawi.

Ślizgali się po zamrożonej rzece, ogrzewali gorącym jabłecznikiem, potem poszli do Virginii Colson, grali w gry salonowe, tańczyli i wzniesli noworoczny toast lekkim ponczem z szampana. Adrian, dotrzymując słowa, przez cały czas pozostał nieskazitelnym dżentelmenem.

Kiedy odwiózł ją do domu, próbowała szybko się pożegnać, lecz doszedł z nią do werandy, ujął ją za ręce i wsparty ramieniem o ścianę studiował jej twarz z peszącą dokładnością.

— Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem, wiesz?

Spuściła oczy.

— Adrianie, naprawdę powinnam już wejść do środka...

— Jesteś dokładnie taka, jak opisywał cię ojciec. Ja oczywiście widziałem twoją fotografię... ojciec jest z ciebie taki dumny... ale kiedy weszłaś wtedy do sklepu i pierwszy raz zobaczyłem cię osobiście, pomyślałem natychmiast: oto dziewczyna dla mnie... — ścisnął jej dłonie. — Linneo, chodź do mnie. Przerażona podniosła głowę.

— Adrianie, przyrzekłeś.

— Przyrzekłem nie całować cię o północy, ale północ już minęła.

Powoli odsunął ramię od ściany werandy, Linneę zaś na nowo uderzyło, jak hojnie natura obdarzyła go łaskami. Był niemal nieziemsko przystojny. Nigdy przedtem nie spotkała mężczyzny przyjemniej pachnącego ani bardziej uprzejmego, czarującego i ujmującego. Rodzice są nim urzeczeni. Będą oburzeni, gdy powie im o Teodorze. A jeśli... tylko założymy, że pocałuje Adriana i stwierdzi, że jest to równie ekscytujące jak z Teodorem? Wszystkie jej niepokoje by się skończyły...

Wargi Adriana były miękkie i jedwabiste. Z wahaniem odwzajemniła pocałunek, a gdy ją objął, oparła się o niego. Pieścił jej plecy, tulił, przed oczami wszakże nie rozbłysły jej gwiazdy. Złapała się na tym, iż myśli o zapachu jego pomady do włosów i krochmalu, jakim matka usztywnia mu kołnierzyki. Pozwoliła mu się całować tak długo, jak chciał, i czekała... czekała... czekała...

Ale nic się nie wydarzyło. Nic.

Wreszcie Adrian podniósł głowę, jego dłonie osunęły się delikatnie do jej piersi.

— Linneo, kochanie — szeptał w jej usta — jaka szkoda, że lato nie może przyjść szybciej...

Ona jednak wiedziała, że nawet latem nie wzbudzi w sobie uczuć do Adriana. Gdyby cokolwiek miało się wydarzyć, już by się wydarzyło.

Później, w łóżku, ogarnęło ją poczucie winy. Jeszcze do niedawna nie całowała się z żadnym mężczyzną. Teraz miała za sobą pocałunki z czterema. Podejrzewała, że wszyscy czterej wiedzieli, co robią, i zastanawiała się, czy to, że całowała się z czterema mężczyznami, świadczy, iż jest kobietą rozwiązłą. Doszła do wniosku, że tak i że Teodor, jako człowiek honorowy i poważany, nie zasługuje na kobietę rozwiązłą.

Jednakże reakcja Linnei na każdego z owych czterech mężczyzn była zdecydowanie inna.

Na samą myśl o Rustym Bonnerze, tak doświadczonym w podejściu do kobiet, wręcz się wzdragała. Rusty prawdopodobnie zostawił za sobą ciągnący się od Rio Grande aż do granicy z Kanadą szereg nieślubnych dzieci. Jakże była naiwna! To wspomnienie wprawiało ją teraz w zakłopotanie.

A Bill... Ilekroć go spotyka, myśli o tym, jak siłą wciskał kolana między jej nogi, i za każdym razem ogarnia ją złość.

No i Adrian — idealny, nieskazitelny Adrian. Niemal żałowała, że nie poczuła ognia namiętności we krwi, gdy ją całował. To by wszystko uprościło. Wszak na niego wskazywała logika.

Tyle że w miłości nie liczy się logika. Linnea pokochała Teodora. Tylko jego pocałunek miał moc, która wstrząsała nią od stóp do głów. Niewiele znaczył jego wiek, niepiśmienność, proste wychowanie i ubiór ani to, że był już przedtem żonaty i miał syna, niemal rówieśnika Linnei.

Znaczenie miało to, że był honorowy i dobry, a na myśl o jutrzejszym powrocie do domu... do niego... serce jej waliło i krew płynęła żywiej.

Rano właśnie się pakowała, gdy w drzwiach pokoju stanęła matka i oparła się o framugę z rękami założonymi na piersi. Siostry wcześniej poszły na lodowisko, w domu panowała cisza.

— Linneo, odkąd przyjechałaś, czekam, aż mi o tym opowiesz, ale widzę, że jeśli nie zapytam, sama nic nie zdradzisz.

Linnea ze stertą świeżo wypranej bielizny w rękach odwróciła się do matki.

— O czym mam ci opowiedzieć?

— O tym, co cię trapi.

Linnea przez chwilę myślała, by się wyprzeć strapienia, wreszcie usiadła na krawędzi łóżka, markotnie wpatrzona w stos bielizny na kolanach.

— Mamo, skąd wiadomo, że jest się zakochaną? — zapytała cicho.

— Zakochaną?! — Judith wyprostowała się i szybko przemierzyła pokój, by usiąść obok córki, po czym wzięła ją za rękę. — W Adrianie? — szepnęła z nadzieją.

Linnea pokręciła nisko pochyloną głową.

— A więc w... w Kristianie?

Linnea znowu pokręciła głową, po czym podniosła ją wolno, by napotkać pytające spojrzenie matki. — Och... kochanie... — szepnęła Judith niemal bez tchu, wypuszczając dłoń Linnei, własną zaś przykładając sobie do ust. — Chyba nie... nie w jego ojcu.

— Tak, mamo... a na imię ma Teodor. Zatrwożona Judith pochyliła się, by znów wziąć Linneę za rękę.

— Ależ on musi mieć jakieś... jakieś... trzydzieści kilka lat.

— Trzydzieści cztery.

— I był już żonaty.

— Przed wieloma laty.

— Och, moje dziecko, nie bądź niemądra. To niemożliwe. Jak daleko to o zaszło?

— To nigdzie nie zaszło. — Linnea z irytacją wyszarpnęła rękę i wstała, żeby włożyć bieliznę do walizki. — Teodor walczy z tym na każdym kroku, bo uważa, że jestem dzieckiem.

Judith przycisnęła rękę do serca i westchnęła z ulgą.

— Och, dzięki Bogu!

Linnea obróciła się i przygnębiona opadła na łóżko.

— Mamo, jestem taka zagubiona. Nie wiem, co robić...

— Robić? Dziecko, na miłość boską, wybij go sobie z głowy. Jest niemal w wieku twego ojca. Jedyne, co możesz zrobić, to spotykać się z Adrianem Mitchellem, kiedy wrócisz tu latem. On wydaje się bardzo zainteresowany...

— Zmarszczyła brwi i zapytała: — Bo chyba jest zainteresowany, prawda?

— Chyba tak — wzruszyła ramionami Linnea — jeśli całowanie się ze mną oznacza, że jest zainteresowany.

— Pocałował cię?— w głosie Judith brzmiało zadowolenie.

— Tak. I myślę, że było to takim doznaniem, jakie mogłby dać pocałunek. Próbowałam włożyć w to całe serce... naprawdę próbowałam, mamo... ale nic się nie wydarzyło!

Judith zaczęła okazywać nowe zatroskanie.

— Przypuszczalnie nic się nie wydarza aż do chwili, gdy wychodzi się za męża.

— Ależ tak, zdarza się. Chodzi mi o to, czy... czy zdarza ci się, że kiedy patrzysz na tatę, gdy... no cóż, gdy po prostu wchodzi do pokoju... czy zdarza ci się czuć skurcz żołądka i takie dławienie, jakbyś się dusiła, jakbyś...

— Linneo! — Judith była zaszokowana.

— Zdarza ci się? Judith chciała się zerwać, lecz Linnea zatrzymała matkę.

— Och, mamo, nie mów, że nie powinno się zdarzać, bo właśnie tak się dzieje. Ilekroć widzę, jak Teodor staje w drzwiach. Ilekroć widzę, jak wprowadza konie na dziedziniec. Nawet kiedy ze sobą walczymy!

Oszołomiona Judith wpatrywała się w córkę.

— Ty... ty z nim walczysz? — zapytała po chwili.

— Och, walczymy ze sobą przez cały czas. — Linnea wstała i wróciła do

pakowania. — Sądzę, że długo wszczynał ze mną utarczki, aby nie przyznać, co do mnie czuje, i dlatego, że widział, że ja czuję to samo, i śmiertelnie go to przerażało. Powiedziałam ci, on uważa, że jest dla mnie za stary i tak dalej...

Judith zwalczyła przerażenie, wstała i chwyciła córkę za ramiona.

— On jest za stary, Linneo.

— Nie — uparcie stwierdziła dziewczyna.

— Ma syna niemal w twoim wieku. Zdenerwowałam się na myśl, że właśnie do tego chłopca zapalałaś uczuciem. Ale uważać się za zakochaną w jego ojcu?!... Linneo, to absurd!

Zwarły się wzrokiem, potem Linnea odpowiedziała spokojnie:

— Chyba chcesz, żebym w końcu zakochała się w Adrianie i wyszła za niego. Naprawdę chciałabym to zrobić, mamó. Lepiej jednak, żebym ostrzegła cię już teraz: nie wydaje mi się, by do tego doszło. Sądząc po tym, co się wydarzyło, gdy pocałował mnie wczorajszego wieczoru... a raczej co się nie wydarzyło.

— Coś takiego! — Judith z rozdrażnieniem wypuściła ramiona córki. — Zawsze byłaś samowolna i przypuszczam, że nie zmieni tego nic, cokolwiek bym teraz powiedziała. Ale posłuchaj — mówiła, potrząsając palcem przed nosem Linnei — ten... ten człowiek... ten... jakże mu na imię... Teodor... przynajmniej on ma trochę zdrowego rozsądku i lepiej niż ty rozumie, że różnica lat między wami jest za duża. Zrobisz więc najlepiej, jeśli się z tym pogodzisz, zanim sprawy zajdą za daleko!

Judith Brandonberg równie dobrze mogła mówić do ściany. Linnea znowu wróciła do pakowania.

— Mamó, ja nie podejmowałam decyzji, że się w nim zakocham. To przyszło samo. Ale teraz, gdy tak się stało, zrobię co w mojej mocy, żeby zrozumiał, iż to, co zostało nam dane, jest darem, którego nie wolno zmarnować. — Wyprostowała się i Judith zobaczyła w jej oczach

determinację. Głos Linnei nabrał łagodnego, tęsknego kobiecego tonu. — On także mnie kocha, równie mocno jak ja jego. Powiedział mi to. Taka miłość jest zbyt cenna, by ryzykować jej utratę, nie rozumiesz? A jeśli już nigdy nie spotkam jej z mężczyzną w moim wieku?

Zatroskane spojrzenie Judith spoczęło na Linnei z niejakim smutkiem i uznaniem. Tak, jej mała córeczka dojrzywała... I choć serce jej drżało, Judith nie miała żadnego racjonalnego argumentu, by się sprzeciwić.

Trudno sprzeciwić się miłości.

ROZDZIAŁ 18

Było pochmurno, gdy następnego dnia Linnea jechała pociągiem zmierzającym na zachód. Niebo za oknem miało kolor popiołów, ale nie zdołało to ostudzić podniecenia, jakie czuła na myśl o powrocie. Wracała do domu!

Dom. Myślała o tym, co za sobą zostawiła. Radosne rodzinne gniazdo, matka, ojciec, dwie siostry i miasto, w którym się urodziła... Wszystkie bliskie sercu miejsca i ludzie, których znała przez całe życie... A jednak to już nie był jej dom. Domem było to, co wprawiało w drżenie serce i ku czemu wiozły ją żelazne koła.

Chociaż pociąg miał przed sobą jeszcze godzinę jazdy, ona już widziała w wyobraźni Teodora i Johna na drodze do miasta, lecz gdy wysiadła na znajomym zdeptanym peronie stacji w Alamo, czekał na nią tylko Teodor. Ich oczy spotkały się natychmiast, ale żadne się nie poruszyło. Ona stała na stopniu przedziału, trzymając się zimnej metalowej poręczy, on za garstką ludzi czekających, żeby wsiąść do pociągu. Ręce wsunął do głębokich przednich kieszeni starej wygodnej kurtki zapiętej pod szyją, którą osłaniał

podniesiony kołnierz. Na głowie miał granatowy wełniany beret z „chwościkiem”, a w oczach nieskrywany wyraz pragnienia.

Wpatrywali się w siebie ponad głowami nieznajomych. Z dyszącej lokomotywy buchała para. Pasażerowie ściskali odprowadzających. Linnea i Teodor nie widzieli nikogo prócz siebie i nie czuli niczego oprócz swych radośnie bijących serc.

Ruszyli ku sobie równocześnie. On ominął grupkę pasażerów, ona zeszła z ostatniego stopnia. Patrzyli sobie w oczy i zmierzali ku sobie... powoli, tak powoli, że każda mijająca sekunda wydawała się całym życiem... i zatrzymali się w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów.

— Witaj — powiedział.

— Witaj.

Uśmiechnął się, a ona poczuła w sercu taką lekkość! Odpowiedziała mu uśmiechem.

— Szczęśliwego nowego roku.

— Wzajemnie.

Tęskniłem za tobą — tego nie powiedział. To była wieczność — zdusiła w sobie tę myśl.

— Podróż była przyjemna?

— Długa.

Brakowało im słów i stali urzeczeni, aż ktoś niechcący potrącił Teodora.

— Przepraszam — rzekł nieznajomy.

Dopiero to wyrwało ich z oczarowania i sprowadziło z powrotem na ziemię.

— Gdzie John? — zapytała Linnea, rozglądając się.

— Kuruje się z przeziębienia.

— A Kristian?

— Sprawdza sidła. Mama powiedziała, żebym jej się nie plątał pod

nogami, bo przygotowuje dla ciebie kolację z okazji powrotu do domu.

A zatem byli sami. Nie musieli więc gasić spojrzeń, ważyć słów ani powstrzymywać się od pieszczot.

— Dom... — powtórzyła tęsknie. — Zabierz mnie tam.

W jedną rękę wziął walizkę Linnei, drugą zaś ujął ją za łokieć i ruszyli w stronę sań. Tęsknił za nią. Był niemal chory z tęsknoty. Dom był bez niej okropny, a Boże Narodzenie okazało się tylko zwykłym, trudnym do zniesienia dniem. Milczał i odsuwał się od reszty rodziny, uciekając do siodlarni, gdzie wspomnienia o niej były najżywsze. Wyobrażał sobie nawet, że gdy Linnea poczuje świeży powiew dawnego życia w Fargo, może w ogóle nie wrócić do Alamo. Z niepokojem myślał o młodzieńcu noszącym imię Lawrence, o tym, jak on wypada w porównaniu z każdym mężczyzną, którego wcześniej znała w mieście, a także o tym, czy podobne porównanie z Fargo wytrzyma Alamo i jego farma. Ale Linnea wróciła, a on znów ją dotykał... chociaż tylko przez rękaw jej grubego wełnianego płaszcza i swoją skórzaną rękawicę.

Podniosła wzrok, gdy szli do sań, i uśmiechem przyspieszyła bicie jego serca.

— Masz nowy beret.

Z zakłopotaniem uniósł rękę.

— Od mamy... na święta...

Gdy umieścił walizkę Linnei z tyłu sań, stanęli obok nich, próbując nacieszyć się sobą, lecz nie mogli.

— Bardzo podoba mi się ta książka, Teodorze... Dziękuję... Żałował, że nie może jej pocałować... tutaj, natychmiast, ale wokół wciąż kręcili się ludzie.

— A mnie podoba się piórko, kałamarz i tabliczka do ćwiczeń. Bardzo...

— Nie wiedziałam, że już potrafisz napisać moje imię i nazwisko.

— Kristian mnie nauczył.

— Tak myślałam. Pracowałeś nad ortografią, gdy mnie nie było?

— Co wieczór. Wiesz, Kristian jest całkiem niezły nauczyciel.

— Kristian jest całkiem niezłym nauczycielem, albo: Kristian to niezły nauczyciel — poprawiła go. — A nie: Kristian jest całkiem niezły nauczyciel.

Błysnął krzywym uśmiechem.

— Ledwie wróciła, a już mnie poprawia — ścisnął jej łokieć i pomógł wsiąść. Chwilę później jechali do domu.

— Cóż, gdybym tego nie zrobiła, mógłbyś pomyśleć, że zabrałeś z dworca inną dziewczynę.

Uśmiechnął się i odpowiedział niespiesznie:

— Nie, to niemożliwe. — Serce Linnei zatańczyło z radości. — A jak się miewa twoja rodzina?

Rozmawiali spokojnie o różnych sprawach, siedząc tuż obok siebie i dotykając się łokciami. Choć słońce się nie pokazało, temperatura nie była zbyt niska, a śnieg zmiękł. Jakże przyjemnie było sunąć w saniach! Wiszące na niebie chmury przypominały dorodne białe kwoki. Na horyzoncie nie widać było wyraźnej różnicy między niebem a ziemią, lecz tylko szarawo-białe połączenie z równym kresem świata. Dzieliło ich pół mili od szkoły, gdy Teodor wyprostował się i patrząc na północ, ściągnął lejce. Klacze zatrzymały się na środku drogi, zaczęły grzebać kopytami w śniegu i rzeć. Zaniepokojona Linnea spojrzała najpierw na nie, potem na Teodora.

— Co się stało? — zapytała.

— Patrz.

— Gdzie? Nic nie widzę.

— Tam. Widzisz te ciemne punkty zmierzające w naszą stronę?

Zmrużyła oczy i wpatrzyła się w dal.

— A, tak. Teraz widzę. Co to jest?

— Konie — rzekł podekscytowany. — Zsiądź.

Owinał lejce wokół rączki drewnianego hamulca i zeskokczył z sań, z roztargnieniem pomagając Linnei. Przeszli na drugą stronę rowu i brnąc wielkimi krokami przez sięgający do kolan śnieg, zatrzymali się przy podwójnej linii ogrodzenia z drutu kolczastego. Stojąc w bezruchu wpatrywali się w stado, które galopowało ku nim nieskrępowane poprzez rozległe pole. W ciągu kilku minut konie znalazły się wystarczająco blisko, aby można je rozróżnić, lecz tylko po łbach, brzuchy bowiem zasłaniał śnieg, który unosił się wokół nich niczym chmura. Kopyta wzbijały go, aż mieszał się z białą szatą świata pod nimi i mlecznymi obłokami w górze. Widok był oszałamiający: wirująca, iskrząca się masa w ruchu.

Gdy się zbliżyły, Linnea czuła lekkie drżenie pod podeszwami i wibrowanie cienkiego drutu poprzez rękawiczki. Musiało ich być przynajmniej czterdzieści, z przywódcą — dumnym srokatym ogierem o parującej srebrzystej grzywie i gęsto nakrapianym szaro-białym grzbiecie, który wydawał się rzędem ciągnących się za nim ciemnych obłoków.

Musiał wyczuć ludzi, zarżał bowiem i uniósł łeb o rozszerzonych nozdrzach i bystrych oczach. Z krótkim parsknięciem gwałtownie się obrócił i powiódł stado w drugą stronę. Jakiż majestatyczny pokaz siły i urody dały te konie, szarżując przez śnieżną biel ze swobodnie unoszącymi się ogonami i sierścią, która teraz, zimą, była długa, włochata, zmierzwiona.

Te konie nie były eleganckimi kłusakami z Wirginii, ale muskularnymi gigantami o wątpliwym rodowodzie, masywnych piersiach, mocnych grzbietach i potężnych nogach; bestiami, które znały pług oraz bronę i ciężko zapracowały na swą chwilową wolność.

Z dreszczem uznania patrzyli na stado. Urzeczona widokiem Linnea wspięła się na dolny splot drutów ogrodzenia, by mieć lepszy widok. Balansując tam i obserwując ów koński pęd, ledwie zdawała sobie sprawę, że

ręka Teodora opasuje jej biodra. Wreszcie łoskot kopyt umilkł, obłok śniegu zaczął opadać.

Teodor odwrócił głowę do Linnei. Była jednym z owych rozhukanych stworzeń rozkoszujących się wolnością. Miał wrażenie, że zapomniała o jego obecności, stojąc na zwoju drutu kolczastego, z kolanami przyciśniętymi do wyższej poprzeczki, delektując się świeżym powietrzem i wyciągając głowę, by ostatni raz rzucić okiem na znikające stado. Zastanawiał się, czy w ogóle jest świadoma, że wdrapała się na ogrodzenie. Wyglądała teraz bardziej dziecinnie niż kiedykolwiek w kraciatym wełnianym szalu na głowie, który zawiązała pod brodą.

Jednakże to wszystko nie miało znaczenia. Ważne było tylko to, że zobaczyła i zrozumiała majestat koni dokładnie tak jak on.

Ponownie uderzyło go, jak bardzo tęsknił za tą drobną dziewczyną w dziecięcym szaliku, która miała teraz nos czerwony jak wiśnia i ścisnęła go za ramię. Zaśmiał się cicho, mając nadzieję, że rozładuje nagłe napięcie, które poczuł w lędźwiach.

— Zejdź, zanim przelecisz na drugą stronę ogrodzenia i zgubisz mi się w zawiei.

Ujął ją w talii i zeskoczyła, a potem stali tak przez chwilę z jej dłońmi na jego piersi.

— Czyż to nie wspaniałe, Teddy? — jeszcze raz podążyła tęsknym spojrzeniem za końmi.

Wokół zaległa taka cisza, jakby stado nigdy się nie pojawiło.

— Mówiłem ci, że kiedyś je zobaczymy.

— Tak, ale nie mówiłeś, że to będzie takie piękne... takie... — szukała właściwego słowa. — Takie wstrząsające! Jakżebym chciała, by dzieci mogły narysować te konie właśnie tak, jak wyglądały: potężne, parskające i wzbijające obłoki śniegu! — Schyliła się, zgarnęła dwie garście śniegu i

wyrzuciła go w górę, nad głowy. Płatki spadały na jej uniesioną twarz, choć cofnęła się ze śmiechem. — Jak kurczęta, Teodorze! — cieszyła się. — Naprawdę, nigdy nie widziałam takich kurcząt!

— Ale ja nie jestem kurczęciem. Najwyraźniej mam też więcej rozumu niż niektóre nauczycielki i wiem, kto skończy w łóżku przeziębiony tak jak John.

— Och, dajże spokój! Cóż złego może zrobić trochę śniegu? Linnea jeszcze raz się schyliła, nabrała trochę śniegu

i znów go rzuciła. Teodor zaś zdołał uchwycić tę jedną sekundę, w której z powrotem zmieniła się z kobiety w dziecko. Również dlatego kochał ją tak bardzo — z powodu tych błyskawicznych zmian. Teraz nonszalancko robiła śnieżkę, formując białą kulę, przekładała ją z ręki do ręki.

— Spróbuj, a przekonasz się, jak może zaszkodzić

— ostrzegał, cofając się.

— To tylko czysty śnieg — powiedziała. — Proszę, spróbuj.

Gwałtownie odchylił głowę i chwycił ją za rękę.

— Linneo, będziesz żałować.

— Naprawdę? No spróbuj, proszę, bardzo proszę, spró...

— Ze śmiechem zaczęli walczyć, gdy próbowała wcisnąć mu śnieg do ust.

— Przestań, smarkulo!

Już go prawie miała, ale był szybszy i znacznie silniejszy.

— Nie nazywaj mnie smarkulą, Teodorze Westgaard! Mam już prawie dziewiętnaście lat!

Śmiał się niepowstrzymanie, choć nadal ze sobą walczyli.

— Proszę, proszę! Wyjeżdża na dwa tygodnie, a wraca o rok starsza.

Zacisnęła zęby.

— Jeszcze cię dopadnę, Teodorze!

Śmiał się dalej, gdy podstawiała mu nogę i pchnęła w śnieg. Siedział z osłupiałą miną w śniegu sięgającym mu do pasa i teraz ona, zasłaniając sobie usta, trzęsła się ze śmiechu.

Uniósł ku górze jedną rękę i zajrzał do rękawa. Śnieg dostał się aż do podszewki. Wytrząsnął go powoli, przez cały czas przeszywając Linneę błyszczącym wzrokiem. Potem podniósł drugą rękę, oczyścił ze śniegu nadgarstek i wstał z rozmyślną powolnością. Linnea zaczęła się cofać.

— Teodorze, nie ośmielisz się... Teodorze... Otrzeptał ze śniegu siedzenie i ruszył w jej stronę, chytrze spojierając.

— A teraz prosi, gdy wie, co ją czeka. Co się stało, panno Brandonberg, boi się pani odrobiny czystego śniegu? — pokpiwał.

— Teodorze, jeśli to zrobisz, to... to... Nie zatrzymał się.

— To co?

— Powiem twojej mamie!

— Powie mojej mamie! Ha, ha, ha! — Spokojnie zmierzał ku niej dalej.

— Powiem, naprawdę powiem!

— To powiedz. Chciałbym wiedzieć, co ona powie. Nagle skoczył, chwycił ją za rękę i próbował wepchnąć w śnieg. Piszcziała i broniła się. Pchnął mocniej. — Nie to miałam na myśli, naprawdę!

Teodor roześmiał się na cały głos i zrobił kolejny krok. Chwyciła go za kurtkę, żeby nie upaść, ale było już za późno i przewracając się, pociągnęła Teodora za sobą. Wylądowali na puszystej śniegowej poduszce w plątaninie rąk, nóg i spódnic. Teodor opadł na nią niczym żywa kołdra. Przewrócił się na bok z nogą przerzuconą przez jej kolana i oboje zanosili się śmiechem.

Śmiali się, śmiali i śmiali, aż nagle ów śmiech zamarł równie szybko, jak się zaczął. Świat pograżył się w ciszy, a noga Teodora na kolanach Linnei stała się znacznie cięższa. Z samej głębi ziemi, poprzez śnieg, zdawało się przenikać do ich ciał jakieś pulsowanie.

Uniósł się na łokciu i patrzył na nią. W ich spojrzeniach rosło napięcie.

— Linneo... — rzekł nieswoim głosem.

Śnieg oblepił mu kołnierz i ramiona. Granatowy beret gdzieś zniknął, a jego twarz okalał błękit nieba. Teodor oddychał ciężko przez otwarte usta, które naraz przywarły do ust Linnei. Ich języki pieściły się ciepłem we wnętrzach zmarzniętych warg. Położył się na niej, a ona przyciągnęła go spragnionymi ramionami.

Serca biły im jak szalone.— Tęskniłam za tobą... och, Teddy...

Pocałował ją znowu, ująwszy jej głowę w obie dłonie. Linnea poczuła się tak, jakby stado koni znów przegalopowało obok, jeszcze raz wprawiając ziemię w drżenie.

— Ja też za tobą tęskniłem.

— Nie przestawałam myśleć, że jestem w domu, ale Fargo już nie wydawało mi się domem, bo chciałam tylko wrócić tutaj, do ciebie...

— Bez ciebie nie byłem zdolny do życia, więc większość czasu spędzałem w siodlarni. — Trochę śniegu spadło mu z kołnierza na jej policzek, więc zlizął go szybko, a ona zamknęła oczy i rozchyliła usta. Przesunął po nich wargami, zagarniając je z namiętnością, która ożywiła ich ciała, po czym z ociąganiem zsunął się z niej i położył na plecach. — Myślałem nawet, że w ogóle nie wrócisz — wyznał.

— Niemądry — rzekła, opierając mu łokcie na piersiach.

— Tak... Chyba jeszcze nigdy nie byłem taki niemądry... Całowała jego oczy, a potem usta, wdychając zapach skóry, wełny, śniegu...

— Czy naprawdę chciałeś powiedzieć mi to, co powiedziałeś wtedy na stacji?

— O Boże, Linneo... — Objął ją mocniej, zamykając oczy i zastanawiając się, co zrobić.

Odsunęła się, by widzieć jego twarz.

— Powiedz, chciałeś mi to wtedy powiedzieć, prawda? Niepewność Linnei wzbudziła w sercu Teodora kolejną falę miłości.

— Oczywiście, że chciałem. Ale to nie jest właściwe.

— Naturalnie, że jest właściwe. Czy miłość może być niewłaściwa?

Wziął ją w ramiona i uniósł, potem siedzieli obok siebie. Jakże pragnął znów być młody i rzucić się w wir życia z tą samą lekkomyślnością, z jaką czyniła to ona! Jednakże nie był już młody i musiał kierować się zdrowym rozsądkiem, do którego ona jeszcze nie dorosła.

— Linneo, posłuchaj. Powiedziałem ci, że nie wiem, co z tym zrobić, i...

— No cóż, ja wiem. Długo się nad tym zastanawiałam i tylko jedno można zrobić. Musimy się po... — Nie! — zerwał się na równe nogi i odwrócił. — Porzuć takie pomysły. To się nie sprawdzi.

Stała u jego ramienia.

— Dlaczego?

Sięgnął po leżący w śniegu beret i otrzepał go o udo.

— Linneo, na miłość boską, rusz głową. Obróciła go ku sobie, chwyciwszy za ramię.

— Głową? — patrzyła mu prosto w oczy, zmuszając, by nie odwracał wzroku. — Dlaczego głową? Dlaczego nie sercem?

— Pomyślałaś o tym, co ludzie powiedzą?

— Tak. Powiedzą dokładnie to samo, co dziś rano powiedziała moja matka, że jesteś dla mnie za stary.

— Twoja matka ma rację. — Nałożył beret i odwrócił wzrok.

— Teodorze — mocniej ścisnęła jego ramię. — Co wspólnego mają lata z naszym uczuciem? To tylko... tylko liczby. Załóżmy, że nie istnieje żaden sposób mierzenia lat i nie można powiedzieć, że jesteś szesnaście lat starszy

ode mnie.

Boże wielki, jakże on ją kocha!... Dlaczego jest taka młoda? Ujął ją za ramiona.

— A co z dziećmi, Linneo?

— Z dziećmi?

— Tak, z dziećmi. Chcesz mieć dzieci?

— Tak. Twoje.

— Ja już mam dziecko. Mój syn ma szesnaście lat. Prawie tyle co ty.

— Ależ, Teddy, masz dopiero trzydzi...

— A co z Kristianem? Jest w tobie zadurzony, wiedziałaś o tym?

— Tak.

Spodziewał się, że zaprzeczy. Teraz, gdy tego nie zrobiła, był zakłopotany.

— No cóż, nie rozumiesz, jakiego zamieszania mogłoby to narobić?

— Nie rozumiem, dlaczego miałoby narobić zamieszania. Jasno dałam mu do zrozumienia, że jestem jego nauczycielką i nikim więcej. To pierwsza młodzięcza namiętność. Poradzi z nią sobie.

— Linneo, on mi powiedział. Tamtego dnia, gdy przywieźliśmy węgiel, przyszedł do mnie i powiedział, co do ciebie czuje. Pierwszy raz w życiu zwierzył mi się ze swych uczuć! Wyobraź sobie, jak się poczuje, jeśli teraz powiem mu, że zamierzam cię poślubić.

Jednakże Linnea wyczuła, co go rzeczywiście nęka.

— Ty się boisz, prawda, Teddy?

— Do cholery, tak! Jestem przerażony, a ty uważasz, że nie powinienem? Dlaczego?

Ujęła twarz Teodora dłońmi w miękkich norkowych rękawiczkach.

— Bo ja nie jestem Melindą. Nie wyjadę i nie porzucę cię. Kocham to miejsce. Kocham je tak bardzo, że nie mogłam się doczekać powrotu.

Była jednak za młoda, by myśleć o tym, że zanim ich dzieci opuszczą dom, on będzie już bardzo stary, jeśli w ogóle dożyje tej chwili.

Odwrócił się i ruszył w stronę sań.

— Dajże spokój. Jedźmy już

— Teddy, proszę...

— Nie! Nie ma sensu dłużej o tym rozmawiać. Jedźmy. Jechali w milczeniu aż do podjazdu wiodącego ku szkole.

— Czy możemy chociaż na minutę zatrzymać się w szkole?

— Potrzebujesz czegoś?

— Nie, po prostu stęskniłam się za nią.

— Stęskniłaś się?

Spojrzał na nią uważnie. Naprawdę brakowało jej tej wysepki na prerii?

— Stęskniłam się za wieloma rzeczami. Poprawił beret na głowie.

— Możemy zatrzymać się na minutę, ale nie na dłużej. Jest zimno.

— Ktoś odśnieżył dróżki! — wykrzyknęła, kiedy wjechali na dziedziniec.

Zatrzymał konie i zeskoczył z sań, lecz unikał jej wzroku.

— Napadało mało śniegu i wiatr zmiótł ścieżki.

— Ty je odśnieżyłeś? — zapytała mile zdziwiona. Teodor obszedł sanie i pomógł jej wysiąść. Oboje pamiętali ów pierwszy dzień, gdy tu przyjechała, i jego stwierdzenie, że nie ma czasu opiekować się cieplarnianymi panienkami.
— To miło z twojej strony, dziękuję, Teddy.

— Wejdz do środka, jeśli masz ochotę — mruknął. Patrzył, jak biegnie do drzwi, i kręcił głową. Taka młoda... Co on robi, wygłupiając się z nią w śniegu, skoro nic z tego nie może wyjść i sam dobrze o tym wie.

Poszedł za nią i przystanął przy drzwiach szatni, obserwując, jak obrzuca klasę szybkim spojrzeniem. Oglądała ją czule, dotykała pieca, ławek, globusu, jakby wszystkie te przedmioty miały czucie. W klasie było lodowato, ale

Linnea jakby tego nie zauważała. Na jej twarzy malował się uśmiech zadowolenia. To, co powiedziała, było prawdą. W niczym nie przypominała Melindy. Ale do diabła! musiała przecież wiedzieć, że kiedy będzie miała trzydzieści cztery lata, on będzie siwym starcem.

Wspięła się na katedrę, sięgnęła po kawałek kredy i zaczęła pisać na czystej tablicy.

„Szczęśliwego Nowego Roku! Witamy rok 1918.”

Odłożyła kredę, otrzepała dłonie i wróciła do Teodora, by z daleka przyjrzeć się temu, co napisała.

— Potrafisz to przeczytać? — zapytała. Zmarszczył brwi, koncentrując się przez kilka sekund.

— Szczęśliwego Nowego Roku.

— Dobrze! A dalej?

Najpierw odczytywał poszczególne słowa, a potem całe zdania.

— Witamy rok 1918.

Uśmiechała się z dumy. Naprawdę ćwiczył w czasie jej nieobecności

— Jedźmy do domu. Mama czeka.

Wchodząc do kuchni Nissa poczuła się tak, jakby nareszcie mogła zdjąć nowe balowe pantofelki i wsunąć stopy w stare wygodne kapcie. Nic się tu nie zmieniło: cerata na stole, kurtki na drewnianym wieszaku za drzwiami, wiadro i czerpak oraz rozkoszny zapach dochodzący z kuchennego pieca.

Nissa robiła na kolację klopsiki z sosem i ziemniakami, więc okna były pokryte parą. Ujrzawszy Linneę, podeszła do niej z otwartymi ramionami.

— Wróciliście akurat na kolację. Linnea uścisnęła Nissę serdecznie.

— Mmmm... jak tu pięknie pachnie. Co gotujesz?

— Gulasz z serc.

Roześmiały się i Linnea odsunęła ją wesoło.— Zaraz powiem Teodorowi, żeby odwiózł mnie z powrotem na dworzec.

— Nie myśl, że ci się to uda. Brakowało mu ciebie.

— Naprawdę? — Linnea spojrzała w stronę Teodora. — Nie domyśliłabym się. W drodze do domu wepchnął mnie w śnieżną zaspę.

— W zaspę?!

Teodor aż jęknął po przeciwnej stronie kuchni. Właśnie wtedy Kristian, który niedawno wrócił z obchodu sideł, zbiegł ze schodów i stanął przed Linneą z uśmiechem od ucha do ucha. Policzki miał jeszcze różowe, włosy sztywne, a czubki czerwonych wełnianych skarpetek nie naciągnięte do końca. Linnea czuła napięcie, z jakim się powstrzymywał, by jej nie uściskać. Poślubi jego ojca! Tak! I cała ta rodzina najlepiej zrobi, jeśli pogodzi się z faktem, iż ona nie zamierza wzbudzać w sobie poczucia winy wobec Kristiana, ilekroć będzie miała ochotę go uściskać. Poglądziła go norkowymi rękawiczkami po policzkach.

— Kristianie, to najcieplejsze i najpiękniejsze rękawiczki, jakie kiedykolwiek widziałam. Sam je zrobiłeś?

Zaczerwienił się i Zaszurał stopami.

— Pasują? — zapytał.

— Doskonale. Widzisz?

Kristian podziękował Linnei za komplet złożony ze szczotki i grzebienia, Linnea zaś uściskała Niszę, dziękując za pantofle, i mieli już ten krępujący moment za sobą.

— Ja też ci bardzo dziękuję — rzekła na koniec Nissa — ale co taka stara kwoka jak ja robi z tą wspaniałą wodą toaletową, którą mi podarowałaś? W promieniu czterdziestu mil nie ma tu mężczyzny, który zechciałby ją na mnie wachać.

Podczas gdy oni śmiali się i relacjonowali ostatnie dwa tygodnie, Linnea nakryła do stołu. Tuż przed kolacją pokazał się John w nowym, podarowanym mu przez Linneę na gwiazdkę granatowym wełnianym szaliku, który zawiązał

na czapce z nausznikami.

— John! Myślałam, że jesteś chory!

— Byłem. Ale już wyzdrowiałem.

Linnea uścisnęła go, potem odsunęła się, by przyjrzeć się dokładnie.

— Chyba nie jesteś jeszcze całkiem zdrowy. Masz czerwony nos i załzawione oczy. Nie powinieneś wychodzić z domu. Podobnie jak Kristian Zaszurał nogami i poczerwieniał.

— Nie chciałem niczego stracić.

Wszyscy roześmiali się serdecznie. Ach, jak dobrze było znaleźć się tu z powrotem! Właśnie tak musieli się czuć wszyscy wracający do domu wędrowcy.

Gdy zasiedli do kolacji, Linnea nie mogła się oprzeć, by nie przyglądać się Teodorowi pogrążonemu w modlitwie. Pochylił głowę z włosami lekko przyklepanymi pod wełnianym beretem, opuszczonymi powiekami i ustami skrytymi za złożonymi dłońmi.

— Boże, dziękujemy za dary, które spożywać będziemy, i za zaspokojenie wszystkich naszych potrzeb, a szczególnie za bezpieczny powrót do domu naszej panienki. Amen.

Podniósł wzrok i zobaczył, że mu się przygląda. Oboje dobrze wiedzieli, że właśnie tu jest jej miejsce, w tym kąciku, który zrobili dla niej w swoim życiu.

Obiegła wzrokiem stół. Coś ostrego, zbliżonego do bólu ścisnęło jej serce.

Boże, jakże ich kochała!... Nie tylko Teodora. Wszystkich. Niszę z jej udawaną burkliwością, Kristiana z natychmiastowym rumieńcem uwielbienia oraz Johna z sercem ze złota i ociążałością.

Teodor spostrzegł, że jej oczy wracają ku niemu, i szybko sięgnął po półmisek klopsików, choć wcześniej przyglądał jej się, odkąd modlitwa

dobiegła końca, myśląc, jak puste były posiłki bez niej. W czasie nieobecności Linnei rodzina wróciła do dawnego zwykłego milczenia, jedząc wyłącznie w celu napelnienia brzuchów. Jednakże gdy tylko wkroczyła do domu, wraz z nią weszła tu wesołość i wszyscy najwyraźniej znowu odzyskali mowę.

Pomyślał o wiosnie i o tym, że wyjedzie, i w tej samej chwili soczyste klopsiki zmieniły mu się w ustach w trociny.

— Bardzo bym chciała zobaczyć, czego się nauczyłeś — powiedziała Linnea po kolacji. — Pochwalisz się?

— Jeśli nie jesteś zbyt zmęczona.

Odpowiedział jej szybko, ale już zaczął się denerwować, gdy nieoczekiwanie odezwała się Nissa:

— Teddy odwiezie cię do domu, John.

John wciągnął kalosze, zapiał kurtkę i opuścił nauszniki. Pieczołowicie obwiązał też głowę nowym szalikiem i klepał się po kieszeniach, szukając rękawiczek. Teodor bez słowa czekał na niego z dłonią na klamce. Powstała też dodatkowa zwłoka, Nissa bowiem wsunęła Johnowi pod ramię słoje z zupą jarzynową i nakazała, by przez cały następny dzień pozostał w łóżku.

Po powrocie Teodor niemal trząśł się z tremy. Oboje, Nissa i Kristian, siedzieli z Linneą przy stole, na którym rozłożone były książki i tabliczka do pisania. Podręcznik do ortografii Kristian otworzył na ostatniej stronie, nad którą pracowali, wprost paląc się do zademonstrowania wszystkiego, czego nauczył ojca. Kiedy Linnei nie było, Teodor zawzięcie pracował nad opanowaniem umiejętności czytania. Zaganiał Kristiana do pomocy i teraz, gdy Kristian dumnie dyktował sprawdzian ortograficzny, całkowicie pochłaniało go pisanie. Starannie kaligrafował każde słowo: Teodor, wiedzieć, kolano, krew, kiełbaska, parkan, serce, Kristian, konie, ponieważ, rozsądek, John, mama, kuchnia, Linnea, *lutefisk*.

— *Lutefisk?! Nauczyłeś ojca, jak się pisze lutefisk?*

— Kazał mi.

Linnea się roześmiała, ale gdy Teodor zaczął czytać na głos, uświadomiła sobie, jak wielkie zrobił postępy; częściowo dzięki własnej determinacji, częściowo zaś dzięki nieszablonowej metodzie dobierania słów.

— Teodorze, doprawdy czytasz już tak dobrze jak moi piątoklasiści!

— Mało nie zwariowałem przy tacie! — wtrącił Kristian.

— Zostawiał mi tylko tyle czasu, że ledwie zdążyłem sprawdzać wyniki.

Teodor poczerwieniał, lecz Linnea widziała, że jest dumny.

— A kiedyś widziałem nawet — mówił dalej Kristian

— jak pisał patykiem na śniegu.

— Na śniegu? — spojrzała na Teodora, który zarumienił się jeszcze bardziej.

— Nie miałem przy sobie słownika ortograficznego, a nie pamiętałem, jak się pisze pewne słowo. Łatwiej sobie przypomnieć, jak się widzi.

Dotąd tylko raz widziała go tak poruszonego: owego wieczoru, kiedy odkryła, że nie umie czytać. Zarumieniony i zawstydzony wyglądał tak młodo, że serce jej waliło. Następnego wieczoru, gdy wraz z Kristianem i Nissą znów zasiedli do stołu, Linnea postanowiła, że podda go próbie. „Mówiłam ci, że mój ojciec kupił samochód?” — napisała na tabliczce, po czym obróciła ją w stronę Teodora i obserwowała, jak najpierw czytał gładko, a nad ostatnim słowem zmarszczył brwi. Powoli poruszał ustami, starając się złożyć z liter trudny wyraz. Po kilku sekundach odwróciła tabliczkę i przedzieliła wyraz: samo-chód.

Złożył słowo i twarz rozjaśniła mu się uśmiechem, ale zamiast wymówić je głośno, sięgnął po tabliczkę, wytarł ją i napisał odpowiedź: „Nie mówiłaś. Jechałaś tym samochodem?”

Teraz Linnea wytarła tabliczkę i napisała: „Tak, było wspaniale.”

— Ach, tak... — Nagle popadł w zamyślenie i zapomniawszy o

tabliczce, bacznie przyglądał się Linnei.

Samochód, dumał. To jej się z pewnością podoba. Przyjdzie lato i wróci do życia w mieście, do rodzinnego samochodu i wszystkich innych udogodnień, i na pewno będzie je porównywać do życia na prowincji, która wyda jej się zacofana. I dlaczego w ogóle miałoby jej się chcieć wracać tutaj następnej jesieni? Była też jeszcze jedna sprawa, o której nie mógł przestać myśleć, i wygłupił się pytaniem.

Wytań tabliczkę i napisał: „Widziałaś Lorenca?” Wahał się dłuższą chwilę, zbierając się na odwagę. Rzucił okiem na Nissę i Kristiana, ale matka cerowała skarpetkę, a syn pochylony był nad książką. Podniósłszy wzrok Teodor zobaczył, że Linnea z brodą opartą na pięści czeka, żeby zobaczyć, co napisał. Powoli, bardzo powoli odwróciła tabliczkę. Bacznie się w nią wpatrywała, próbując zrozumieć: „Czy widziałaś...”

Oczy jej rozbłysły, a serce zabiło szybciej. Ostrożnie zerknęła na Nissę i Kristiana, lecz nie zwracali na nich uwagi. Wyjęła tabliczkę z dłoni Teodora i pod jego pytaniem dopisała poprawnie: „Lawrence'a?”

Teodor przyjrzał się uważnie, Przeliterował, czując niemiłe gorąco na karku, startł „Lorenca”, przepisał imię poprawnie, odwrócił tabliczkę do Linnei i skinął głową.

Na nie kończące się sekundy ich pełne żaru spojrzenia spotkały się nad drewnianą tabliczką. Kristian przewrócił kolejną stronę książki, Nissa ucięła nitkę. Teodorowi się zdało, że w ostatniej chwili zobaczył w oczach Linnei błysk rozbawienia. „Nie”, odpisała i Teodor odetchnął z ulgą.

Chociaż żadne nie powiedziało ani słowa o owej rozmowie na tabliczce, oboje myśleli o niej, gdy tego wieczora kładli się spać.

To niemożliwe... Mieć ją przez cały czas tuż obok... Będziesz musiał albo się z nią ożenić, albo ją stąd wyprosić.

To niemożliwe... Mieszkać z nim pod jednym dachem... Jeśli się z tobą

nie ożeni, będziesz musiała znaleźć sobie w przyszłym roku inną szkołę.

Następnego dnia gdy Linnea wróciła ze szkoły, na kuchennym stole, oparta o doniczkę z filodendronem czekała na nią koperta. Adres zwrotny mówił, iż nadawcą jest Adrian Mitchell. Sięgnęła po list i nagle poczuła na sobie parę karcących ją oczu. W drzwiach prowadzących do salonu stał Teodor spoglądający na nią tak, jakby właśnie obwieściła, że jest niemieckim szpiegiem. Nissa krzątała się przy kuchennym piecu, nie zwracając na nich uwagi. Ciszę przerywał jedynie odgłos cebuli skwierczącej w gorącym tłuszczu. Teodor odwrócił się i zniknął, Linnea zaś pomyślała: „Ach tak, nie chcesz mnie dla siebie, ale nikt inny także nie może mnie mieć, prawda?”

Zabrała list i ruszyła w stronę schodów.

Adrian był równie dobry w pisaniu listów jak w traktowaniu klientów i rozmowach z rodzicami. Niektóre z jego komplementów przyprawiły Linneę o rumieniec, a jego plany na lato sprawiły, iż ukryła kopertę pod bielizną osobistą przechowywaną w szufladzie, do której Nissa nie zajrzała, przychodząc zmienić pościel.

Gdy tego wieczoru znów siedzieli nad lekcjami, napięcie między Linneą a Teodorem było wręcz wyczuwalne. Po raz pierwszy żałował, że nie są sami, aby bez przeszkód porozmawiać, lecz Nissa jak zwykle szydełkowała, a Kristian naprawiał buty. Czując, że dłużej tego nie zniesie, Teodor sięgnął po tabliczkę. „Kim jest Adrian?” napisał, po czym zacisnąwszy usta, obrócił tabliczkę do Linnei. „Pracuje w sklepie mojego ojca”, odpisała.

Chociaż tego wieczoru nie poruszyli już żadnych kwestii osobistych, Teodor był sztywny i ponury. Wykonał ćwiczenia ortograficzne nie patrząc na Linneę, a gdy po lekcji życzyła wszystkim dobrej nocy, nawet nie odpowiedział.

Następnego ranka termometr wskazał trzydzieści osiem stopni poniżej zera, a wiatr wiejący z północnego zachodu był tak silny, że wydawało się, iż

wiatrak odfrunie do lowy.

Myli się kolejno w kuchni; bez wątpienia nie należało robić tego na górze, gdzie temperatura była zbliżona do tej, jaka panowała na dworze. Okna pokrywała tak gruba warstwa lodu, że nie można było wyrzeć na zewnątrz. John nawet nie pokazał się na śniadaniu.

Gdy posiłek dobiegł końca, Teodor odsunął krzesło i sięgnął po kurtkę.

— Weź swoje rzeczy, zawiozę cię do szkoły — polecił Linnei, nie fatygując się, by choć spojrzeć w jej stronę.

— Zawiesziesz mnie? — zapytała zaskoczona.

— Przecież powiedziałem. Zabierz rzeczy.

— Ale kiedyś powiedziałeś, że...

— Nie mów mi, co kiedyś powiedziałem! Zanim dojdiesz do końca podjazdu, oczy ci zamarzną! — Zapiął kurtkę, podniósł kołnierz i wcisnął na głowę znoszony kapelusz. Ruszając ku otwartym drzwiom ponownie powtórzył kłótliwie: — Weź rzeczy.

Posłusznie pospieszyła na górę. Pięć minut później, gdy biegła świeżo odśnieżoną ścieżką, jej oczom ukazał się najdziwniejszy pojazd, jaki kiedykolwiek widziała, zaprzężony w Kostkę i Nóżkę. Pojazd wyglądał jak budka na płozach z wystającym z dachu kominem, z którego wydobywał się dym, a przez otwór z przodu wychodziły lejce. Teodor z wyrazem groźnej nieprzystępności na twarzy czekał niecierpliwie obok drzwiczek z tyłu.

— Co to jest? — zapytała Linnea.

— Wsiadaj! — chwycił ją za rękę i wepchnął do środka, po czym wsiadł za nią i zamknął drzwi.

Wnętrze pojazdu było ciepłe i mroczne. Przez mikroskopijne szczeliny najmniejszego okrągłego piecyka, jaki kiedykolwiek widziała, błyskał ogień. Piecyk był nie większy niż kanka na mleko, ale wystarczający do ogrzania tak małego pomieszczenia. Światło dzienne dostawało się tutaj przez Otwór na

froncie. Linnea poczuła, że podłoga zakołysała się, gdy Teodor stanął obok niej.

— Nie ma tu miejsc siedzących, więc stań obok mnie i mocno się trzymaj.

Zanim zdołała wypełnić te polecenia, trzasnęła lejcami. Konie ruszyły tak, że niemal usiadła. Chwiejnie przeszła do przodu i chwyciła się krawędzi otworu, przez który widać było końskie zady.

— A co z Kristianem?

— Obrządza inwentarz. Przywiozę go później.

— Przecież zawsze robisz to przed śniadaniem.

— Dzisiaj musiałem złożyć ten wóz — oznajmił zrzędliwie.

— Niczego nie musiałeś, Teodorze — zaprotestowała. — Mogłabym pójść piechotą.

— Akurat! — mruknął w odpowiedzi, wyglądając na drogę.

— Nie prosiłam, by traktowano mnie jak jakąś... cieplarnianą pannicę!

— Nie masz pojęcia, co taki wiatr robi z odkrytą skórą, gdy temperatura spada do trzydziestu ośmiu stopni poniżej zera!

— Osłoniłabym twarz szalem.

W słabym świetle, jakie padło na jego twarz, Linnea zobaczyła, że Teodor obraca wzrok w jej stronę. Zachichotał szyderczo i znów uciekł spojrzeniem.

— Przykro mi, że cię wyciągnęłam z domu — rzekła sarkastycznie. — Zanim następnym razem zabierzesz się do budowania dla mnie pojazdu, zapytaj, czy chcę, by mnie podwieziono.

— Nie zbudowałem tego wozu dla ciebie — odparł podobnym tonem. — Jest składany, przechowujemy go w szopie. Musiałem tylko ustawić go na płozach.

Jego wyniosły i obraźliwy ton złościł ją coraz bardziej.

— Teodorze, naprawdę nie wiem, co cię ostatnio ugryzło, ale zachowujesz się jak... jak niedźwiedź, któremu wbił się w łapę cierń.

Rzucił jej miażdżące spojrzenie, lecz nie powiedział ani słowa.

— No dobrze, co ja takiego zrobiłam? — gniewnie domagała się odpowiedzi. Kołysząc się wraz z ruchem pojazdu, próbowała nie dotykać jego ramienia.

Zacisnął zęby, patrząc prosto przed siebie, i w końcu rzucił odpowiedź.

— Nic! Nic nie zrobiłaś!

Na szkolnym dziedzińcu wyskoczyła z wozu, chcąc być z dala od niego, ku jej zaskoczeniu wszakże Teodor wysiadł również i tak mocno złapał ją za łokieć, że skrzywiła się z bólu, gdy przedzierali się przez głębokie zaspę. Wiatr dął mocno, grożąc zerwaniem jej szala z głowy. Teodor przytrzymał sobie kapelusz wolną ręką. Ślady ich stóp zaczęły nikać pod śniegiem, zanim dotarli do schodów, które były tak zasypane, że wspinając się na nie, musieli szukać stopami kolejnych stopni.

Potknęła się, lecz bezlitośnie postawił ją na równe nogi. Drzwi były zasłonięte ścianą bieli. Po pierwszej nieudanej próbie ich otworzenia Teodor przedarł się z powrotem do wozu i za chwilę wrócił z łopata.

— Ja to zrobię! — krzyknęła. — Daj mi tę łopatę. Chwyciła łopatę za rączkę tuż obok jego dłoni. Szarpnęła

ku sobie, on ciągnął w swoją stronę. Patrzyli na siebie uparcie. Wiatr targał rondem jego kapelusza, jej szalem powiewał niczym flagą.

W końcu bez słowa Teodor odebrał jej łopatę i mruknął przez zęby:

— Po prostu zejdz mi z drogi.

Odsunął ją niegrzecznie na bok i z pasją wbił łopatę w zaspę.

— Teodorze, powiedziałam, że to zrobię!

Trzeba było dwunastu szerokich machnięć łopata, żeby uwolnić ze śniegu zasypane drzwi. Otworzywszy je, Teodor chwycił Linneę za łokieć i

wepchnął do środka.

— Odgarnę ten cholerny śnieg! — powiedział, po czym zamknął jej drzwi przed nosem.

Patrzyła na nie przez chwilę, czując, że łzy napływają jej do oczu, wreszcie z rozmachem je kopnęła. Gniewnie złapała wiadro na węgiel, ale gdy wyszła, Teodor wyrwał jej wiadro z ręki, wbił łopatę w zaspę i bez słowa ruszył w stronę szopy z węglem, przedzierając się przez głęboki śnieg. Stała sztywno odwrócona plecami do drzwi, kiedy wszedł ciężko i postawił wiadro obok niej z siłą, od której zdrząły szyby. Następnie usłyszała odgłos jego butów walących jak uderzenia młota, potem trzask zamykanych drzwi.

Rozpalała ogień z hałasem, który, miała nadzieję, przyprawi go o ból głowy. Później związała końce szala tak mocno, że niemal ją dusił, i pomaszerowała do zbiornika z wodą, lecz akurat w tym samym celu wszedł Teodor. Skwaszona obserwowała, jak bierze pojemnik i wychodzi z nim po wodę. Trzasnęła drzwiami klasy, zanim zdążył z hukiem zamknąć drzwi budynku. Gdy wrócił po kilku minutach, z ciasno skrzyżowanymi rękami stała obok pieca tyłem do drzwi i słuchała, jak przelewa do cebrzyka w rogu, zamyka drewnianą pokrywę i wynosi wiadro do szatni.

Trzasnęły wewnętrzne drzwi.

Jest w budynku czy wyszedł?

Zastanawiając się nad tym, wpatrywała się w rurę od pieca przez pełne dwie minuty. Cisza. W końcu ciekawość wzięła nad nią górę. Zerknęła przez ramię. Stał z rękami na biodrach, wpatrując się w nią spod runda kapelusza.

Szybko obróciła się z powrotem do pieca.

— No więc opowiesz mi o nim czy nie? — dobiegł ją wojowniczy głos.

— O kim mam ci opowiedzieć? — odparła uparcie.

— O kim?! — roześmiał się szyderczo. Rozległo się szuranie jego butów po podłodze. Stał teraz za nią w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów.

— O Adrianie czy jak mu tam!

— Mitchell. Nazywa się Adrian Mitchell.

— Nie obchodzi mnie, jak się nazywa. Opowiesz mi czy nie?

— Mówiłam ci. Pracuje w sklepie mojego ojca.

— Akurat! — rzucił sardonicznie. Odwróciła się szybko.

— Naprawdę tam pracuje!

Teodor stał na szeroko rozstawionych nogach. Jego oczy ocieniało rondo kapelusza, mimo to widziała w nich błyski gniewu. Podniesiony kołnierz kurtki sięgał mu aż do uszu.

— Kolejny łup do twojej kolekcji? — pytał dalej oskarżycielsko.

— A co cię to obchodzi?! — odpaliła, zaciskając pięści w rękawiczkach.

— Tak czy nie? — domagał się odpowiedzi, również zaciskając pięści.

— To nie twoja sprawa! Jak śmiesz wypytywać mnie o życie osobiste!

Jesteś tylko moim gospodarzem! — Co robiłaś? Jeździłaś z nim samochodem? — szydził.

— Tak, jeśli o to ci chodzi, jeździłam. I dobrze się bawiłam. I zabrał mnie na przyjęcie, i na ślizgawkę, i tańczyliśmy, i piliśmy szampana, i był u nas na kolacji. I wiesz, co jeszcze zrobił? — przysunęła się do niego, urągając mu błyszczącymi oczami. — Pocałował mnie. To chciałeś wiedzieć, prawda?

Podeszła jeszcze bliżej i zacisnęła szczęki. Twarz Teodora płonęła czerwienią.

— Przeciągasz strunę, panienko — pogroził jej niskim, posepnym głosem.

Odsunęła się i parsknęła szyderczo.

— Och, nie rozśmieszaj mnie, Teodorze. Trzeba by lokomotywy, żeby przeciągnąć ciebie. Boisz się własnego cienia, czyż nie?

Teodor zrobił krok do przodu, Linnea jednak tkwiła w miejscu. Jej błękitne oczy pociemniały. Stali twarzą w twarz, szukając w sobie nawzajem

jakieś słabości i nie znajdując żadnej. W końcu Teodor zapytał:

— Ile on ma lat?

— Dwadzieścia, może dwadzieścia jeden. A teraz uciekaj, Teodorze, uciekaj, tak jak zwykle!

Spojrzał na nią, a mięśnie karku napięły mu się tak mocno, że poczuł ból z tyłu głowy. Potem zaś Teodor, który rzadko przeklinał, wymruczał drugie przekleństwo tego dnia.

— A niech cię diabli porwą!

Chwycił ją za łokcie i namiętnie przywarł do jej ust. Rozchyliła je, szamotała się jednak, jakby chciała krzyknąć. Trzymał ją bezlitośnie, choć czuł, jak bardzo napina ramiona. Wydała z siebie zduszony dźwięk, najwyraźniej próbując coś powiedzieć, Teodor wszakże wcisnął jej język między zęby i spotkał język Linnei. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że Linnea walczy nie dlatego, że chce mu się wyrwać, lecz pragnie się w niego wtulić. Puścił jej łokcie, a ona natychmiast wrzuciła mu ręce na szyję, po czym wspięła się na palce i przywarła doń całym ciałem. Objął ją i przytulił, jednakże warstwa wełnianych ubrań tworzyła barierę.

Nagle gwałtownie uniósł głowę i oddychając ciężko, siłą oderwał ją od siebie. Oczy Linnei przypominały płonące węgielki.

— Teddy... dlaczego... z tym walczysz? — wydyszała. Zamknął oczy, aby się opanować, i odsunął ją.

— Bo mógłbym być twoim ojcem. Nie rozumiesz?

— Rozumiem, że używasz tego jako wymówki.

— Przestań! — krzyknął, otwierając oczy pełne udręki. — I zastanów się nad tym, co mówisz i co robimy! Masz osiemnaście lat...

— Prawie dziewiętnaście.

— W porządku, w przyszłym miesiącu skończysz dziewiętnaście. A ja za dwa miesiące będę miał trzydzieści pięć, więc jakie to ma znaczenie? Wciąż

będzie nas dzielić szesnaście lat.

— Nie obchodzi mnie to.

— Ale twojego ojca będzie obchodziło. — Spostrzegł, że dotknął czulego punktu. — Twojego ojca, który prawdopodobnie wybrał dla ciebie młodzieńca o imieniu Adrian i na początek zatrudnił go w sklepie. Nie mam racji?

— Nie odpisałam Adrianowi.

— Ale całowałaś się z nim i robiłaś inne rzeczy, a ja jestem zazdrosny, chociaż nie mam do tego prawa, nie rozumiesz? Powinnaś przebywać z młodymi ludźmi, takimi jak on, a nie z takim starym koniem jak ja.

— Wcale nie jesteś starym koniem, jesteś znacznie miłszy niż on. Kiedy on mnie całował, nigdy nie czułam tego, co czuje, jak całujesz mnie ty...

— Ciii! — zasłonił jej usta palcem w rękawiczce i cała złość minęła równie szybko, jak się pojawiła.

Przez chwilę wpatrywali się sobie w oczy, potem Linnea uwolniła usta spod jego rękawiczki i wyszeptała:

— Ale to prawda.

— Mieszkasz w moim domu. Co ludzie powiedzą?... Co sobie pomyślą?...

— Że mnie kochasz? — zapytała cicho. — Czy to by było takie straszne?

— Linneo, nie — odrzekł, wciąż nie dopuszczając jej zbyt blisko.

— Teddy... kocham cię tak bardzo, że robię różne głupstwa — wyznała. — Całuję szkolną tablicę i okna, i poduszki, bo ty nie chcesz mnie całować.

Choć próbował się opierać, jej szczerłość sprawiła, że uśmiechnął się ze smutkiem. Problem tkwił w tym, że najbardziej podobało mu się w Linnei właśnie to, co czyniło ją zbyt młodą dla niego. Żadna inna dziewczyna, jaką kiedykolwiek poznał, nie była tak naturalna i niezepsuta. Pozwolił sobie

spojrzeć na jej czoło i czerwony kraciasty szal mocno zawiązany na głowie. Na jej szczere oczy. I na słodkie usta.

— Bardzo cię kocham, Teddy — powiedziała jeszcze łagodniej.

Boże, Boże, dziewczyno, nie rób mi tego.

Kiedy jednak znów popatrzyła na niego, przestał z sobą walczyć i wziął ją w ramiona, tym razem delikatniej. Zamknął oczy i przytulił ją tkliwie.

— Nie rób tego — wyszeptał łamiącym się głosem. — Nie staraj się dorosnąć zbyt szybko i nie trać tych cennych lat na mnie. Bądź młoda i niemądra. Całuj tablice, okna i rozmawiaj z ludźmi, których nie ma.

Wtuliła się w niego mocniej.

— Domyśliłeś się, prawda?

— Że rozmawiasz z kimś, kogo nie ma? Tak, tego dnia, gdy zaskoczyłem cię tutaj przy tablicy. A kiedy indziej słyszałem, jak w pokoju rozmawiasz z przyjacielem o imieniu Lawrence. Czy jesteś już gotowa opowiedzieć mi, kim on jest?

Odsunął się, żeby lepiej ją widzieć. Linnea z zakłopotaniem zwiesiła głowę. Teodor uniósł palcem jej brodę, by nie mogła uniknąć spotkania z jego oczami.

— Jest... nikiem — odpowiedziała, rumieniąc się. — Wymyśliłam go.

— Wymyśliłaś?!

— Jest wytworem mojej wyobraźni. Kimś, kto miał zastąpić mi przyjaciela, którego nie miałam, kiedy tu przyjechałam. Właściwie wymyśliłam go jako trzynastolatka, gdy zauważyłam różnicę między chłopcami a dziewczętami. Ja i on... no cóż, mogłam z nim po prostu porozmawiać, to wszystko. Tak jak nigdy nie rozmawiałam z żadnym prawdziwym chłopcem. — Spuściła głowę i wpatrywała się w patkę kieszeni na kurtce Teodora.

Patrzył na jej czoło, brwi, rzęsy ocieniające śliczne błękitne oczy. Miała

delikatne lekko wydęte usta, on zaś bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął je całować.

— I co ja mam z tobą zrobić, maleńka? — zapytał cicho.

— Poślubić mnie — odpowiedziała, podnosząc wzrok.

— Nie mogę. Żebym nie wiem jak tego chciał, nie mogę. Nie byłoby to uczciwe wobec ciebie.

Dlaczego nieuczciwe z jego strony byłoby zrobienie czegoś, co ją uczyniłoby najszcześniejszą kobietą na świecie?

— Nieuczciwe? Wobec mnie?

— Linneo, pomyśl. Pomyśl o tym, że za dwadzieścia lat ty wciąż będziesz młoda, a ja... będę już miał za sobą wiek średni.

— Och, Teddy, ty masz jakąś obsesję na punkcie lat. Nieustannie je liczysz. Czy nie rozumiesz, że znacznie ważniejsze jest liczenie szczęścia? Przecież nawet przez dwadzieścia lat możemy mieć więcej szczęścia niż inni przez pięćdziesiąt. Proszę...

Jej spojrzenie było tak szczere, a usta tak drżące, gdy stała obok z bijącym sercem!...

Kiedy zatrzymała wzrok na ustach Teodora, puls przyspieszył mu ostrzegawczo. Teodor wszakże nie mógł się ruszyć, gdy powoli wspięła się na palce, podsunęła rozchylone usta ku jego ustom, a potem ujęła jego twarz dłońmi w miękkich rękawiczkach.

— Proszę... — wymruczała, przechylając głowę i delikatnie muskając jego wargi, po czym objęła rękami szyję i przytuliła się do niego. — Proszę...

Opierał się, gdy język Linnei muskał jego wargi, potem nieśmiało wsunął się do środka, przesuwając po zębach i wrażliwym, delikatnym wnętrzu. Z gardłowym jękiem przyciągnął ją bliżej. Ich języki zetknęły się w jedwabistej pieśczoście, a ciała napięły jak struny.

Smakował poranną kawę, a pachniał wiatrem. Wnętrze jego ust było

gorące, wilgotne i bardziej podniecające niż wszystko, co sobie kiedykolwiek wyobrażała. Żaden z dotychczas zakosztowanych pocałunków nie poruszył jej tak jak ten. Pomyślała, że po prostu umrze, jeśli nie będzie mieć go na zawsze.

Nagle się odsunął i gwałtownym ruchem zdjął z szyi rękę Linnei. Kraciasty szal zsunął się jej z głowy i ułożył miękkimi fałdami na kołnierzu. Patrzyła na niego błagalnie szeroko otwartymi oczami, oddychając urywanie.

— Muszę iść — powiedział drżącym głosem.

— Więc co będzie z nami?

— Odpowiedź nadal brzmi: nie.— W takim razie będę musiała odejść.

Wobec tego co czuję, nie mogę dłużej mieszkać w jednym domu z tobą — odparła z drżeniem.

Wiedział, że do tego dojdzie, lecz nie spodziewał się, że zaboli tak bardzo.

— Nie. Obiecuję, że nie... Położyła mu dłoń na ustach.

— Ja nie mogę złożyć takiej obietnicy, Teddy — wyszeptwała.

Wszystko zdawało się w nim krwawić. Był jednym wielkim pragnieniem. Pragnął Linnei, ale jeszcze bardziej pragnął pełni, jaką mogła wnieść do jego życia. Nie wiedział, że można czegoś pragnąć tak bardzo.

— Wrócę po ciebie o piątej i wtedy o tym porozmawiamy. Nie ruszaj się stąd. Zrozumiano?

— Tak — szepnęła.

— Jeśli będziesz potrzebować więcej węgla, poślij Kristiana.

Obiecujesz? — Nie słysząc odpowiedzi, potrząsnął nią lekko. — Obiecujesz?

— Obiecuję.

— Popraw uczesanie. Zdaje się, że trochę cię z tyłu potargałem. —

Cofnął się o krok.

— Poprawię — odparła bezdźwięcznym głosem. Wtedy opuścił rękę i wyszedł nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 19

Z powodu niskiej temperatury tego dnia wszyscy ojcowie przywieźli swoje dzieci do szkoły, a po lekcjach zabrali je do domów. Linnea zostawiła wiadomość dla Teodora na drzwiach budynku i pojechała z Triggim i Bentem. Ledwie ujrzała Clare, łzy wstrzymywane od rana popłynęły niczym rześisty deszcz. Chwilę później była już w kojących ramionach przyjaciółki.

— Linneo, co się stało?

— Och, Claro... — zaszłochała w odpowiedzi Linnea. Clara posłała Triggowi porozumiewawcze spojrzenie i Trigg zniknął z Bentem, który ze zdumieniem patrzył, jak jego pani zanoszą się płaczem.

— Ciii... ciii... Z pewnością nie jest tak źle. Czy znów chodzi o Allena? Linnea odsunęła się, szlochając i szukając chusteczki.

— Nie, o... o Te... Teodora.

— Ach, o Teodora... Co zrobił tym razem?

— Och, Cla... Claro... to po prostu straszne. Clara cofnęła się, by spojrzeć na twarz Linnei.

— Co jest straszne? Nie mogę ci pomóc, jeśli mi nie powiesz.

— Ja... ja go kocham.

Clara zapanowała nad uśmiechem.

— I to jest takie straszne?

— On też... mnie... kocha, ale... ale nie... nie chce się ze mną ożenić.

Clara znów mocno objęła Linneę, z której oczu popłynął kolejny strumień łez, po czym poprowadziła ją w stronę stołu.

— Chcesz powiedzieć, że mu się oświadczyłaś? Linnea żałośnie skinęła głową i pozwoliła posadzić się na krześle. Clara nie zdołała powstrzymać

uśmiechu. Biedny Teddy, czyż nigdy nie będzie miał okazji, by sam się oświadczyć?

— Naprawdę? No cóż, to wymaga pewnej odwagi. A dokładnie co powiedział?

— On uwa... uważa, że jestem dla niego za młoda i mówi... mówi, że nie chce... mieć więcej dzieci i och, Claro... co ja mam zrobić? — Linnea położyła głowę na stole i płakała, dając upust swej niedoli.

Dzieci, pomyślała Clara, rozmawiali już o dzieciach? Biedny Teddy! Już jest skazany na Linneę i nawet o tym nie wie.

— Wypłacz się, a jak się trochę uspokoisz, porozmawiamy.

Tak też zrobiły. Linnea zwierzyła się ze wszystkiego, opowiadając o swych uczuciach i kłódach, które Teodor sam uparcie rzucał im pod nogi. Clara słuchała, współczuła i pocieszała.

— Claro, muszę cię o coś poprosić — rzekła na koniec Linnea. — Może to okropna zarozumiałość z mojej strony... ale... jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić.

— O co chodzi? Wiesz, że możesz mnie prosić o wszystko.

— Czy mogłabym zamieszkać tutaj z tobą i Triggem? Po prostu nie mogę już mieszkać w domu Teodora. Rada szkolna wam zapłaci, a ja nie jem dużo. Pomyślałam, że jak urodzisz, mogłabym ci pomóc w domu. Tylko do wiosny... Ja... no cóż, wątpię, czy wrócę tu jesienią.

Clara potrzebowała tylko kilku chwil namysłu.

— Oczywiście, że możesz — odparła, głaszcząc mokry od łez policzek Linnei. — A ja będę ci bardzo wdzięczna za pomoc. Poród już blisko i ciężko mi krzątać się w domu. A teraz... — wstała — ...teraz zostaniesz na kolacji. Potem Trigg zawiezie cię do mamy, żebyś zabrała swoje rzeczy.

Kiedy Linnea i Trigg przyjechali do domu Nissy, zapanowała tam grobowa atmosfera. Wszyscy — Nissa, Teodor i Kristian — aż cofnęli się,

stropieni i zasmuceni, usłyszawszy, że Clara potrzebuje pomocy Linnei w ostatnim okresie ciąży, więc Trigg ją tam zabiera.

— Dziś wieczorem? — zapytała Nissa.

— Tak. Tylko spakuję swoje rzeczy.

— Trochę pospiesznie, nie?

Linnea wiedziała, że Teodor nie wierzy w jej opowieść. Wątpliwe też, by wierzyła w nią Nissa, ale pragnęła jedynie zabrać swoje rzeczy i wyjechać stąd możliwie najszybciej. Unikała wzroku Teodora, czuła wszakże jego oszołomienie i niedowierzanie. Kristian nie spuszczał oczu z Nissy, jakby oczekując, że zatrzyma Linneę, lecz Nissa z zaciętą twarzą próbowała zdecydować, czy powinna poczuć się urażona czy nie.

Pakowania nie było dużo — Linnea miała właściwie tylko to, z czym przyjechała, nie licząc pary rękawiczek, rzeźbionego kota, szydełkowego szala i oprawionych w skórę poematów Tennysona. Zmusiła się, by nie patrzeć na nie, gdy wkładała je do walizki.

Schodząc na dół nie była pewna, czy zdoła się pożegnać tak, jak należało to uczynić. Łzy czały się tuż pod powiekami, a zdenerwowanie ścisnęło jej gardło, ale zagrała najlepiej, jak mogła, przywołując na twarz promienny uśmiech i nadając krokom rytm ekscytacji. Niemal w biegu uściskała Niszę.

— Jedna osoba mniej do wykarmienia — zaszczebiotała, po czym wesoło pogroziła palcem przed nosem Kristiana. — A ty odrabiaj prace domowe, mimo że wieczorami nie będzie mnie tu przy stole.

Teodora obdarzyła silnym uściskiem dłoni.

— Wspaniale dasz sobie radę z czytaniem. Jestem tego pewna. Kristian ci pomoże. No cóż, Trigg, to już wszystko.

Po tych słowach zawirowała z zapalem dziecka zmierzającego do sklepu z cukierkami, a kiedy wyszła, pozostali w domu Westgaardowie popatrzyli na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Wreszcie Nissa przerwała ciszę:

— No i co powiesz, Teddy?

— Nic — odparł przetykając ślinę i odwrócił się.

— Kristian?

— Ja też nic.

— No cóż, to dziecko płakało i płakało. Mnie nie zwiodła. Jutro tam pójdę i dowiem się, o co chodzi.

— Zostaw to, mamó.

— Co takiego?!— Skoro woli mieszkać u Clary, pozwól jej na to. Jak powiedziała, będzie jedna osoba mniej do wykarmienia.

Jednakże bez Linnei było źle, nic się nie układało. Tak jak wtedy gdy wyjechała do domu na Boże Narodzenie, a nawet jeszcze gorzej, bo tym razem miała nie wrócić. Posiłki stały się ponurymi rytuałami. Nikt nie rozmawiał. Wszyscy spoglądali w talerze i zastanawiali się, dlaczego jedzenie straciło smak. Przyłapywali się na tym, że zerkają na puste krzesło Linnei udając, że wcale na nie nie patrzą. John znowu przychodził, czuł się już bowiem lepiej, ale choć wyszedł ze swej skorupy, odkąd w ich życiu pojawiła się Linnea, teraz, kiedy się wyprowadziła, zamknął się w sobie bardziej niż kiedykolwiek i tylko nieprzerwanie kiwał głową w górę i w dół. Kristian zaś, choć codziennie widział ją w szkole, po powrocie do domu nie mówił ani słowa o nauczycielce. Jak się miewa panna Brandonberg? chciał zapytać Teodor. Czy wydaje się szczęśliwa? W co była ubrana? Przebrnięcie przez poranki i udawanie, że cały dzień ma jakiegokolwiek znaczenie, wymagało nie lada wysiłku. Wieczory bez niej były torturą. W zimne dni Trigg odwoził Linnę do szkoły. Jego wóz przejeżdżał obok ich domu regularnie rano i po południu, ale Trigg również miał ocieplającą plandekę i jeśli siedziała pod nią Linnea, nie było jej widać. Teodor złapał się na tym, iż w takie dni krąży wokół zabudowań gospodarczych, by rzucić okiem na wiozący ją wóz.

W nocy niespokojnie przewracał się w łóżku, rozmyślając o swojej

przyszłości. Kristian miał już szesnaście lat, mama siedemdziesiąt. Nie będą z nim zawsze. A kiedy ich tu nie będzie, co wtedy? Zostaną tylko on i John. Dwaj starcy na odludziu, w domach na prerii, rozmawiający głównie o zwierzętach, machający kapeluszem do wozów na drodze i żyjących nadzieją, że któryś zawita do nich, przywożąc jakieś towarzystwo.

Rozmyślał o Linnei, która mieszkała teraz u Clary, i zastanawiał się, jak sobie radzi i czy za nim tęskni. Boże, jakaż ta dziewczyna jest silna! Nie sądził, że się wyprowadzi. Przypuszczał, że jest tam szczęśliwa z dziećmi, które zawsze wprawiały ją w podniecenie. Z pewnością lubiła dzieci, co do tego nie miał wątpliwości. Clarę także lubiła; dobrały się jak w korcu maku. Zgadywał, że kiedy Clara urodzi, Linnea będzie w siódmym niebie. Myślał też o dzieciach. Takie dziewczęta zasługiwały na dzieci, ale mężczyzny w jego wieku już to nie interesowało. Zastanawiał się jednak, jak by wyglądały ich dzieci, jego i Linnei. Prawdopodobnie byłyby jasnowłose, silne i pełne energii jak ona.

W niedzielę zobaczył ją w kościele. Oczy niemal wyszły mu na wierzch, w piersi poczuł ucisk. Wyglądała radośnie jak skowronek w kapeluszu z ptasim piórkiem i z promiennym uśmiechem.

— Och, witaj, Teddy! A gdzie Nissa? — powiedziała i odeszła, zanim zdołał odzyskać mowę.

Po niedzielnym obiedzie wymknął się do swego pokoju i ponownie uczesał. W niedzielę Clara i Trigg zawsze przychodzili do mamy. Tym razem wszakże nie przyszli.

Późnym popołudniem schował tabliczkę pod marynarką i poszedł do siodlarni, aby się przekonać, czy trochę nauki ulży jego niedoli. Przez pół godziny wpatrywał się w siodło na drewnianym koźle, a przez kolejne pół — w imię, które wypisał na tabliczce. Linnea. Linnea. Linnea. Panie Boże Wszechmogący, co on ma robić? Zadał ból. Cierpiał. Miłość nie powinna tak

ranić. Zerwał się na równe nogi i zaczął czyścić narzędzia, choć wszystkie były w idealnym porządku. Zdjął przycinarkę do końskich kopyt i cisnął ją tak mocno, że przewróciła trzy puszkę, rozsypując na podłodze ćwieki do podków. Zaklął, obrócił się, sięgnął po tabliczkę i jak burza ruszył do domu.

Gdy wrócił, Nissa i Kristian siedzieli w kuchni. Spojrzeli na niego, lecz nie powiedzieli ani słowa. Poszedł do swojej sypialni, a za chwilę pojawił się znowu ze zsuniętymi szelkami i w rozpiętym podkoszulku. Nalał wody do miednicy, umył się, ogolił drugi raz tego dnia, posmarował brylantyną włosy, uczesał je starannie, po czym zniknął jeszcze raz i niebawem wrócił w niedzielnym garniturze i czystej białej koszuli z nowiutkim kołnierzykiem. Nie patrząc ani na syna, ani na matkę, sięgnął po płaszcz, tabliczkę i słownik, po czym obwieścił:

— Idę do Clary, żeby sprawdzić, czy radzę sobie z czytaniem.

Gdy za Teodorem zamknęły się drzwi, Kristian zagapił się w nie bez słowa. Nissa uważnie spojrzała na wnuka znad okularów, nie przestając rytmicznie wymachiwać drutami.— Nie dawałem mu lekcji czytania — stwierdził Kristian.

— Taaa... — Druty robiącej szal Nissy migotały i szczękały nieprzerwanie.

Oczy Kristiana powędrowały ku babci.

— To dlaczego musiał pójść do Clary?

Nissa spuściła wzrok, licząc oczka, choć mogła robić szal z zamkniętymi oczami.

— Coś mi się zdaje, że twój ojciec poszedł w konkury

— odparła z zadowoloną miną.

Linnea przygotowywała się właśnie do poniedziałkowych lekcji, siedząc przy kuchennym stole, przy którym cała rodzina raczyła się prażoną kukurydzą, kiedy za oknem rozległy się czyjeś kroki.

— Ktoś idzie. — Trigg wstał, by wyrzeć w ciemność.

— To chyba Teddy.

Dłoń Linnei zatrzymała się połowie drogi do ust, serce zabiło szybciej. Ledwie dotarło do niej to obwieszczenie, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich Teodor wystrojony jak na własny pogrzeb. Popatrzył na wszystkich oprócz Linnei.

— Jak się macie? Myślałem, że wpadniecie dziś do nas, ale skoroście nie przyszli, postanowiłem was odwiedzić, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

— W jak najlepszym. Wejdz. Zimno dziś.

Linnea poczuła, że oblewa ją gorąco. Mała Christine wybiegła mu naprzeciw z wyciągniętymi rączkami.

— Wujku Teddy! Wujku Teddy! Jemy prażoną kukurydzę! — Teodor wziął dziecko na ręce i z uśmiechem pogłaskał. W końcu też ponad złotowłosą główką dziewczynki napotkał wzrok Linnei, a wtedy uśmiech znikł mu z twarzy. Skinął jej głową, ona zaś całą uwagę skupiła na podręczniku.

— Siadaj — zaprosił Trigg, wskazując miejsce między sobą a Bentem.

— Co przyniosłeś? — dopytywał się Bent.

Teodor dosiadł się do stołu, sadzając sobie Christine na kolanach.

— Tabliczkę i słownik — odparł, kładąc je na stole.

— Uczę się czytać.

— Ty? — zdumiał się chłopiec. — Boże, przecież ty jesteś okropnie stary, za stary, żeby... — Bent! — wykrzyknęli równocześnie jego rodzice.

Chłopiec przenosił wzrok z ojca na matkę, zastanawiając się, co złego uczynił.

— Przecież wujek jest stary.

Linnea miała ochotę wczolgać się pod stół.

— Człowiek nigdy nie jest za stary na naukę — odparł Teodor

ośmiolatki. — A co pani o tym myśli, panno Brandonberg?

Napotkała jego wzrok i ani jedno słowo nie przyszło jej na myśl.

— Jeśli masz trochę czasu, chciałbym kontynuować lekcje czytania — mówił dalej.

Lekcje czytania? Wystroił się tak i twierdzi, że chce odbywać lekcje czytania? Jakże zdoła się skoncentrować na uczeniu go, gdy krew uderza jej do głowy?

— No cóż... dobrze, dlaczego nie?

Uśmiechnął się, skinął głową i sięgnął po garść kukurydzy, a jedno z dzieci powiedziało coś, co odwróciło jego uwagę. Linnea poczuła ciekawość Clary i napisała na górze arkusza: „Nie wychodźcie!”, a potem błyskawicznie go obróciła, modląc się, by przyjaciółka zwróciła uwagę na tak przesłaną wiadomość. Wyglądałoby to aż nazbyt znacząco, gdyby Clara i Trigg nagle zniknęli; kuchnia była najcieplejszym pomieszczeniem i w zimowe wieczory wszyscy się w niej gromadzili. Z frontowego pokoju rzadko korzystano o tej porze roku.

Na szczęście Clara wzięła sobie prośbę Linnei do serca. Kiedy kukurydza się skończyła, wszyscy zmienili miejsca tak, aby Linnea i Teddy mogli siedzieć obok siebie, ale nikt nie wyszedł. Dzieci znalazły kłębek wełny i bawiły się na podłodze z kotkiem Puszkiem. Clara szyła niemowlęcą kołderkę, a Trigg czytał czasopismo dla rolników. Linnea i Teddy starali się skupić na lekcji, która ani dla niej, ani dla niego nie miała najmniejszego znaczenia. Chociaż ich łokcie opierały się o stół, zwracali baczna uwagę, by się nie dotknęły. Kiedy zaś raz zderzyli się pod stołem kolanami, oboje jeszcze bardziej wyprostowali się na krzesłach i choć uważnie wpatrywali się w swoje ręce, ani razu nie spojrzeli bezpośrednio na siebie.

Pracowali niemal dwie godziny, gdy Teddy bez słowa przesunął w jej stronę tabliczkę. Były na niej cztery słowa: „Proszę, wróć do domu.” W sercu

Linnei rozgorzał płomień, który ogarnął całe jej ciało. Miłość, ból, wyrzeczenie... Gwałtownie podniosła wzrok, ale Trigg i Clara byli zajęci. Teddy wpatrywał się w nią z napięciem. Czują oczy pieszczące jej policzek. Kostki jego dłoni były białe jak kreda, którą ścisnął. Jakże łatwo byłoby powiedzieć „tak”, gdyby wiedziała, co do niej czuje! Ale on nie oferował nic stałego, tylko chwilowe rozwiązanie ich niedoli.

Wyjęła kredę z ręki Teodora, zauważając, z jakim trudem rozluźniła palce, i napisała tylko dwa słowa: „Nie mogę”.

Och, Teddy, pomyślała, kocham cię. Jednak... albo wszystko, albo nic.

Widziała, że zrozumiał to wyraźnie. Widziała, jak szybko oddycha, jak walczy ze sobą. W niej zaś wszystko rwało się ku Teodorowi. On wszakże zamknął słownik, położył go na tabliczce i odsunął krzesło.

— Cóż, zrobiło się późno. Pójdę już — rzekł, wstając i sięgając po płaszcz. — Czy mogę przyjść jutro?

— Oczywiście — odparł Trigg.

— Linneo?

Nie znalazła w sobie dość siły, by powiedzieć „nie”.

— Jeśli masz ochotę...

Teodor poważnie skinął głową i pożegnał się.

Przyszedł następnego wieczoru, tym razem jednak nie miał na sobie niedzielного garnitur, lecz szarą flanelową koszulę w kratę z rękawami podwiniętymi do łokci i rozpiętym kołnierzykiem, spod którego widać było zimowy podkoszulek. Wyglądał nadzwyczaj męsko. Linnea wstążką przepasała włosy, które spływały na plecy, a w granatowo-białej marynarskiej sukience wyglądała bardzo młodo.

Poleciła mu przeczytać jakieś opowiadanie. Siedział z czołem wspartym na palcach. Podniósłszy wzrok zauważyła, że Teodor znad książki wpatruje się w jej biust spoczywający na nadgarstkach, które skrzyżowała na krawędzi

stołu. Zaczerwieniła się i usiadła prosto, a on wrócił do książki.

Gdy następnego wieczoru kazała mu ułożyć zdanie ze słowem „błękitny”, napisał: „Linnea ma piękne błękitne oczy”.

W jednej chwili piękne błękitne oczy Linnei napotkały piękne orzechowe oczy Teodora. Ona oblała się rumieńcem, a on się uśmiechnął. Speszona sięgnęła po tabliczkę, by poprawić błędy. Teodor wszakże wytarł całe zdanie i napisał nowe: „Wyglądasz ślicznie, gdy się rumienisz”.

Przychodził przez sześć wieczorów, odmawiała jednak powrotu do jego domu. Jak zwykle siedzieli przy stole z Clarą i Triggim, a Teodor skrycie przyglądał się Linnei. Poprawiała zeszyty, gdy on miał czytać, ale to okazało się niemożliwe. Tego dnia zrobiła coś innego z włosami: splotła je z tyłu w luźny zwój z małym węzłem, który wyglądał jak jajko w gnieździe. Na skroniach kołysały jej się loczki. Jeden z nich okręcała sobie wokół palca, zwijając go i rozwijając bezwiednie. Nagle zachichotała rozbawiona jakimś błędem, lecz zaraz przestała się śmiać i znów pochyliła głowę nad zeszytami. Skończywszy, ułożyła je w równy stos i podniósłszy wzrok zobaczyła, że Teodor wpatruje się w nią z zachwytem.

— Skończyłeś już czytać opowiadanie? Odchrząknął.

— Nie... nie całkiem.

— Teodorze! — skarciła go. — Przecież potrafisz czytać szybciej.

— Tylko w niektóre wieczory.

— No to dokończysz w domu. Teraz czas na kilka nowych słów.

Wyjęła tabliczkę i zaczęli pracować, ramię w ramię i głowa przy głowie. Znów pachniała migdałami, co nie pozwalało mu się skupić. Przypomniawszy sobie, jak z nią tańczył, wdychając ten migdałowy aromat. Przypomniawszy sobie, jak ją całował i jakie obudziła w nim uczucia. Młodości. Pełni życia. Żarliwości. Sam jej widok przywodził mu to wszystko na pamięć i sprawiał, że krew płynęła szybciej, a serce waliło niczym młotem. Siegnął po tabliczkę. Bał

się, a nawet czuł pewne onieśmienie, musiał wszakże zapytać. Po prostu musiał. Bez niej przeżywał piekło. „Czy mogę zabrać cię jutro na tańce?” napisał.

Tym razem nie okazała zdumienia. Na jej policzkach nie zakwitł rumieniec, w oczach nie rozbłysło podniecenie. Była w nich tylko smutna rezygnacja, gdy spotkali się wzrokiem. Pokręciła przecząco głową.

Poczuł krótki przebłysk gniewu: co ona robi?... Wiedział. Tak samo jak wiedział, że jest wystarczająco uparta i silna, by wytrwać w swym postanowieniu i do końca roku szkolnego mieszkać u Clary. Nie wróci tu jesienią. Widział to w jej smutnych oczach. Nagle całe życie stanęło przed nim jak ponury, bezkresny czyściec. Wiedział, na co czeka Linnea.

Miał wrażenie, że się dusi, że serce wyskoczy mu z piersi, głuchy ból rozrywał mu żebra. Wilgotnymi drżącymi dłońmi ujął kredę i napisał to, przed czym cały zdrowy rozsądek świata nie zdołałby go już powstrzymać.

„Wyjdiesz za mnie?”

W kuchni panowała zupełna cisza, gdy obrócił tabliczkę w jej stronę. Linnei zaś dech zaparło, na twarzy pojawiło się oszołomienie. Wpatrywali się w siebie z twarzami nagle pozbawionymi koloru, jakby żadne nie było zdolne wykonać najmniejszego ruchu. W końcu drżącą ręką ujęła kredę i... pierwszy raz niczego nie poprawiła. „Tak” — odpisała.

Czarna tabliczka wysunęła się jej z dłoni i opadła na stół. Teodor jednym niecierpliwym skokiem zerwał się z krzesła i ruszył po marynarkę, starannie omijając wzrokiem Linneę.

— Dziś widać światła zorzy polarnej. Idziemy z Linneą popatrzeć.

Wydawało im się, że cały rok, a nie minutę zabrało zapięcie płaszczy i zamknięcie za sobą drzwi, a jedynymi światłami, jakie ujrzeli, były te, które zajaśniały za zamkniętymi powiekami, gdy Teodor chwycił ją w ramiona i przywarł do jej ust. Całowali się spragnieni siebie, aż wszystko na świecie

wydało im się osiągalne i życie rozkołysało się w ich żyłach. Potem stanęli obejmując się mocno, aż drżały im mięśnie, i szepcząc w gorączkowym pośpiechu:

- Bez ciebie nic...
- Byłam nieszczęśliwa...
- Naprawdę wyjdiesz...
- Tak... tak...
- Próbowałem nie...
- Nie wiedziałam, jak cię...
- O Boże, Boże, kocham cię...
- Tak bardzo cię kocham...

Znów się całowali, wciąż siebie spragnieni, przerywali nieprzyzwyczajeni jeszcze do wyzwolenia, jakie przyniosło to porozumienie. I znów całowali się, wciąż oszołomieni... i znów przerywali pocałunek, by odzyskać równowagę... W końcu przestali się spieszyć. Ich początkowy ku sobie pęd nabrał właściwego rytmu; mogli rozkoszować się sobą do woli. Linnea objęła Teodora za szyję i przyciągnawszy ku sobie jego głowę, smakowała ustami ciepło wilgotnych warg, dopóki w obawie, że nie zapanuje nad niecierpliwością, nie odsunął się od niej.

- Mieliśmy oglądać zorzę polarną, więc może powinniśmy popatrzeć.
- Marny pomysł — wymruczała, całując go w szyję. Roześmiał się bezgłośnie.

- Niewdzięcznica!... Natura wystawia takie widowisko, a ona wcale się tym nie interesuje.

Obrócił ją do siebie tyłem i trzymał przytuloną.

- Patrz — powiedział. Spojrzała i zapało jej dech.

Kobaltowe północne niebo jaśniało jakimś niezwykłym blaskiem, różowe smugi niczym palce wyciągały się i cofały w nieustannie

zmieniających się wzorach. Zorza promieniała niczym świecąca od dołu aureola Ziemi odbita od otulającej ją bieli. Chwilami nie tylko niebo, ale również ziemia wydawała się lśnić, jakby płomienie jej wnętrza błyskały w szerokim oknie ciemności. Jak okiem sięgnąć, wszystko wokół spało pogrążone w bieli.

— Och, Teddy... — westchnęła Linnea i oparła mu głowę na ramieniu.
— Będziemy tacy szczęśliwi!

— Myślę, że już jesteśmy. — Kołysał ją łagodnie w objęciach, gdy oglądali to jaśniejące, to znów ciemniejące niebo.

— Będziemy żyć, by opowiadać historię tej nocy naszym wnukom.
Jestem tego pewna.

Wyobrażając to sobie, pocałował ją w policzek.

— Myślisz, że gdzieś tam są nasze konie?

— Gdzieś tam są.

— I że jest im ciepło?

— Mhm...

— Tak jak nam.

Właśnie to kochał w niej najbardziej: nie przyjmowała radości za rzecz oczywistą.

— Tak jak nam.

— To jedna z najpiękniejszych chwil, jakie razem przeżyliśmy...

Patrzmy na coś, co jest niczym i... wszystkim. Och, spójrz! — światła zorzy wezbrały niczym kipiące mleko.

— Jakie piękne!

— Jedyne miejsce, gdzie są jeszcze jaśniejsze, to Norwegia

— powiedział.

— Norwegia... Chciałabym tam kiedyś pojechać.

— Mama nazywa ją krajem północnego słońca. Kiedy przyjechali tu z

ojcem, myśleli, że nigdy nie przyzwyczają się do prerii. Nie ma tu fiordów, drzew, większych rzek ani gór. Takie same były tylko światła zorzy. Mama mówiła, że kiedy tęsknili za starym krajem tak bardzo, że nie mogli tego znieść, zwykli stawać tak jak my teraz i to im pomagało.

Ręka Teodora spoczęła na piersi Linnei. Takie to było miłe i wydawało się tak normalne, że ujęła go za nadgarstek, by nie zabrał dłoni.

— Stęskniłam się za Nissą.

— No to wróć ze mną do domu. Dzisiaj.

Oboje uświadomili sobie, gdzie Teodor trzyma dłoń. Cofnął ją, Linnea zaś odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

— Uważasz, że to rozsądne?

— Z Nissą i Kristianem przez cały czas? — Podniósł jej kołnierz. — Proszę, Linneo, chcę, żebyś wróciła. Pobierzemy się możliwie najszybciej. Za tydzień, najpóźniej za dwa.

Bardzo chciała wrócić. Podobało jej się mieszkanie z Clarą, ale to nie był dom. Miała też dalej do szkoły i Trigg musiał się zrywać wcześniej, aby ją dowozić w zimne poranki. I tęskniła za Teodorem. Aż do bólu; tęsknotą tak żarliwą, że było to przerażające. Wspięła się na palce i objęła go. Nagle i mocno.

— Tak, wrócę. Ale będą to najdłuższe tygodnie w naszym życiu.

Przycisnął ją z całej siły do swego mocnego torsu, pochylił twarz ku jej migdałowo pachnącej szyi i pomyślał, że nawet gdyby miał przed sobą nie więcej niż czterdzieści lat z Linneą, byłby wdzięczny Bogu.

Następnego wieczoru na tańcach podszedł do Kristiana.

— Muszę z tobą porozmawiać, synu. Czy możemy na chwilę wyjść na zewnątrz?

Kristian wydawał się zastanawiać przez moment, zanim odpowiedział:

— Jasne.

Powietrze było rześkie, a księżyc nie większy od paznokcia. Śnieg skrzypiał im pod nogami, gdy spokojnym krokiem szli bez wyraźnego celu, aż znaleźli się nieopodal przywiązanych do żerdzi wozów. Konie miały oszronione szorstkie włosy nozdrzy. Podświadomie podążyli ku własnym klaczom i stanąwszy przed ich wielkimi łbami, milczeli przez chwilę. Muzyka w stodole ucichła, tak że jedynym dźwiękiem były teraz końskie oddechy przypominające odgłosy olbrzymich miechów.

— Nie ma dziś zorzy — stwierdził Teodor po chwili.

— Taaa...

— Wczoraj świeciła jasno.

— Tak?

— Tak. Linnea i ja... — Teodor umilkł i zaczął jeszcze raz. — Synu, pamiętasz ten dzień, kiedy obydwaj pojechaliśmy po węgiel do Zahla?

— Pamiętam. — Kristian już wiedział. Ojciec nieczęsto nazywał go synem, a kiedy to robił, chodziło o coś poważnego.

— No... powiedziałaś mi wtedy, co czujesz do Linnei, i musisz wiedzieć, że ja nie traktuję tego lekko.

Po raz drugi nazwał ją Linneą, choć nigdy wcześniej nie posługiwał się w rozmowie jej imieniem.

— Chcesz się z nią ożenić, prawda?

Ciężka dłoń Teodora spoczęła na ramieniu Kristiana.

— Tak, ale muszę wiedzieć, co ty do niej czujesz.

Tego akurat Kristian się spodziewał. I dzięki zdumiewającej przenikliwości Nissy miał czas, by przyzwyczaić się do tej myśli.

— Kiedy?

— Za tydzień, jeśli zdołamy wszystko załatwić, lub za dwa tygodnie, jeśli nie zdążymy.

— Ojej, to szybko.

— Synu, dręczyło mnie to, bo wiedziałem co do niej czujesz. Wiedz, że nie chciałem się w niej zakochać... Chodzi o to, że między nami jest szesnaście lat różnicy... ale w naszych uczuciach wydaje się to nie mieć znaczenia. Chyba nie mamy wielkiego wyboru co do tego, w kim się zakochujemy... To się dzieje niezależnie od naszej woli, ale kiedy mnie się zdarzyło, czułem wyrzuty sumienia, bo ty pierwszy się w niej zakochałeś.— Och, ona widzi we mnie tylko dziecko. Teraz to rozumiem.

— Pewnie będziesz zdumiony, jeśli ci powiem, że to nieprawda. Rozmawialiśmy o tym i Linnea...

— Chcesz powiedzieć, że wiedziała, co do niej czułem? — Kristian był skonsternowany. — Ty jej powiedziałeś?

— Nie musiałem jej mówić. Powinieneś zrozumieć, że kobieta po prostu wyczuwa takie rzeczy. Wiedziała, co czujesz, i bała się, że to stworzy problemy w rodzinie. — Teodor przesunął dłonią pod nozdrzami klaczy. — Stworzy?

Kristian nie stworzyłby żadnych problemów bez względu na to, jak trudno przychodziło mu pogodzić się z myślą, że Linnea będzie teraz żoną jego ojca.

— Nie. To zresztą była jedynie szczenięca miłość, jak mawia Ray. — Kristian starał się poprawić nastrój. — Ale nie będę musiał nazywać jej mamą, prawda?

Teodor się roześmiał.

— Nie, wciąż będzie twoją przyjaciółką. Dlaczego nie miałbyś nazywać jej Linneą?

Kristian zerknął na ojca.

— Nie miałbyś nic przeciwko temu?

Teodor pomyślał, że to on miał zadać tak sformułowane pytanie, i teraz uderzyło go, jaki jest szczęśliwy, mając takiego syna jak Kristian. Odwrócił się

więc i zrobił coś, co rzadko czynił: wziął Kristiana w ramiona i przytulił.

— Dobrze się staraj, synu, by mieć kiedyś takiego chłopaka jak ja.

— Och, tato... — Kristian odwzajemnił uścisk. Stojące za nimi kłaczki parskały łagodnie, a ze stodoły dobiegał przytłumiony odgłos harmonii rozbrzmiewającej nową melodią. Na drugim końcu świata żołnierze walczyli u pokój, ale tu, gdzie ojciec i syn trzymali się w serdecznym uścisku, pokój rozpostarł już swoje błogosławieństwo.

ROZDZIAŁ 20

Teodor i Linnea pobrali się w pierwszą sobotę lutego w małym kościele, gdzie przed laty zarówno pan młody, jak i większość weselnych gości zostali ochrzczeni. Śnieżnobiała wieża kościółka niczym odwrócona lilia rysowała się majestatycznie na tle błękitnego nieba. Jednotonowy kurant dzwonu niósł się przez wiele mil w rześkim czystym powietrzu. Wysypany żwirem podjazd przed kościołem był zatłoczony, ale zdumione konie odwracały łby ku samochodom zajeżdżającym z hałasem niepodobnym do żadnego rżenia, jakie kiedykolwiek słyszały, i zostawiały ślad zapachu, który zdecydowanie nie przypominał woni im właściwych.

Na błękitnym niebie ochryple stado kosów wzniecało harmider, z pola nie zebranej kukurydzy dochodził krzyk bażantów. Świeży śnieg leżący na pszenicznych polach przypominał piękną gronostajową pelerynę. Do skromnego, stojącego na prerii kościoła przez szereg niezdobionych łukowatych okien słońce wlewało się tak, jakby chciało dodać obietnicę szczęścia do ślubów, które miały być w nim złożone.

Niemal wszyscy, którzy liczyli się w życiu Teodora i Linnei, przybyli na uroczystość. Pojazdy mechaniczne należały do kuratora Dahla i Selmera

Brandonberga, który wraz z żoną i córkami przyjechał wczesnym rankiem. Na ślubie zjawili się też wszyscy uczniowie Linnei oraz cała rodzina Teodora z wyjątkiem Clary i Trigga. Clara bowiem dwa dni wcześniej powiła córeczkę i musiała jeszcze pozostawać w łóżku. Kristian był drużbą Teodora, a Carrie — druhną Linnei. Oblubienica miała na sobie prostą suknię z perłowobiałej wełny, którą matka przywiozła jej z miasta. Jej wąski dół przypominał stulony kwiat tulipana. Kapelusz z szerokim rondem opleciony był pianistą białą siecią, przez którą wydawało się, że na głowie Linnei wiją sobie domy stada pracowitych pajaków. Delikatne satynowe czółenka na wysokich obcasach dodały Linnei tyle wzrostu, iż jej oczy znalazły się na poziomie ust Teodora, a ponadto wywołały westchnienia zazdrości u wszystkich uczennic.

Dla Teodora Linnea nigdy nie wyglądała piękniej.

Oblubieniec odziany był w nowy garnitur z czystej wełny w kolorze ciemnografitowym, białą koszulę i ciemny krawat. Miał też świeżo ostrzyżone włosy, co podkreślało jego nieco opadające ucho i sprawiało, że szyja przypominała szyję żurawia. Gładko zaczesane do tyłu, odsłaniały resztki letniej opalenizny, która kończyła się kilka centymetrów nad brwiami.

Dla Linnei Teodor nigdy nie był przystojniejszy.

— Drodzy państwo młodzi...

Przed wielebnym Severtem pan młody był sztywny, panna młoda zaś pełna entuzjazmu. Wypowiadając słowa przysięgi, on był poważny, ona się uśmiechała. W chwili nakładania obrączek jego palce drżały, jej dłonie pozostały spokojne. Gdy ogłoszono ich mężem i żoną, Teodor wydał z siebie drżące westchnienie, a Linnea się rozpromieniła. Kiedy zaś wielebny Severt powiedział nowożeńcowi, że może pocałować oblubienicę, Teodor się zaczerwienił, a Linnea oblizwała usta.

Jego pocałunek, któremu przyglądali się weselni goście, był szybki i nieśmiały. Teodor wyciągnął i nachylił tylko głowę, chcąc mieć pewność, że

nie dotknie niczego oprócz jej warg, Linnea natomiast oparła dłoń na jego przedramieniu i wzniosła ku mężowi twarz tak naturalnie, jak słonecznik unosi swe płatki do słońca. Przymknęła oczy, jego zaś pozowały otwarte.

W powozie zmierzającym do szkoły wraz z podążającymi za nimi samochodami ojca Linnei i kuratora Dahla Teodor siedział sztywno jak dębowy kołek, a zadowolona Linnea przytuliła policzek do jego ramienia. W szkole, w czasie przyjęcia przygotowanego przez panie z kółka kościelnego, rozmawiając z jej rodzicami był sztywny i oficjalny. Gdy zaczęły się tańce, ruszył do walca z Linneą i tańczył mechanicznie, wciąż się upewniając, że ich ciała pozostają w przyzwoitej odległości. Przez cały ten dzień najbardziej romantyczna była jego odpowiedź na gratulacje rodziców Linnei.

— Będę o nią bardzo dbał, proszę pana — obiecał. — Nie musi się pan o to martwić.

Wyraz powątpiewania na twarzy ojca i zakłopotania na twarzy matki sprawił, iż Linnea zrozumiała, że rodzice wcale nie są uspokojeni.

Sama była raczej rozbawiona nietypową dla Teodora nerwowością. Ilekroć podnosiła wzrok, widziała, jak wpatruje się w nią przez całą salę, i z zachwytem stwierdzała, że teraz on się rumieni. Obserwowała, jak pije piwo, dbając, by nie wypić za dużo, a kiedy tańczyła z kim innym, że jego oczy podążają za nią z uwielbieniem. Bacznie jednak zważał, by go na tym nie złapano.

Teraz stali w zmierzchu, patrząc na odjeżdżający w kłębach spalin samochód jej ojca i świeży śnieg lśniący w brylantowym blasku mandarynkowego zachodu słońca. Z budynku dochodziły takie odgłosy, jakby zabawa dopiero się zaczynała. Teodor wsunął ręce do kieszeni i spojrzał na żonę.

— Cóż... — odchrząknął i obejrzał się na szkołę. — Chyba powinniśmy tam wrócić?

To było ostatnie, na co miała ochotę: powrót do tłumu gości, by tańczyć wśród nich niczym para drewnianych kukielek. Są teraz mężem i żoną. Chciała, by byli sami i blisko...

— Na długo?

— Myślałem... myślałem, że chcesz potańczyć.

— Nie bardzo, Teodorze. A ty? — pytała, spoglądając kusząco.

— Ja... no cóż... — wzruszył ramionami, znów spojrzął na drzwi szkoły, potem wyjął zegarek. — Jest dopiero po piątej — stwierdził nerwowo i ponownie umieścił zegarek w kieszonce.

Oczy Linnei podążyły za zegarkiem, który błysnął w gasnącym świetle dnia i zniknął w kieszonce kamizelki. Jakże nęciła ją przez cały dzień! Tak blisko była przecież jego ciała.

— A ludzie się zdziwią, jeśli znikniemy o tak niezwykłej porze dnia?

Jej wyraźne zamiary wstrząsnęły Teodorem. Z trudem przełknął ślinę, zastanawiając się, co właściwie ludzie by powiedzieli, gdyby nie pokazali się już na przyjęciu.

— A nie zdziwią się? — wykrztusił. Biedny Teddy, cierpieć taki niepokój w noc poślubną! Zrozumiała, iż będzie musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

— Moglibyśmy powiedzieć, że zamierzamy wpaść do Clary i Trigga, tak jak obiecaliśmy.

— Ale już to zrobiliśmy w drodze do kościoła. Podeszła bliżej i oparła dłoń na jego piersi.

— Chcę jechać do domu, Teddy — powiedziała miękko.

— Hmm... tak... oczywiście. Jeśli jesteś zmęczona, pojedziemy natychmiast.

— Nie jestem zmęczona. Po prostu chcę jechać do domu. A ty nie chcesz?

Teodor poczuł, że się poci. Boże, skąd ona bierze ten spokój? On czuł się tak, jakby odebrał sto ciosów w żołądek, który ścisnął się mocniej, ilekroć pomyślał o czekającej go nocy.

— Ja... cóż, tak... — Wsunął palec za celuloidowy kołnierzyk i poruszył szyją. — Chyba go zdejmę.

Wspięła się na palce i opierając się o pierś Teodora, pocałowała go lekko.

— Zatem jedźmy — szepnęła, po czym usłyszała krótki szelest wdechu, gdy oparł dłonie na jej ramionach.

Teodor ostrożnie zerknął na szkołę i złożył lekki pocałunek na czole żony.

— Będziemy musieli się z nimi pożegnać.

— To się pożegnajmy.

Ujął ją za łokieć i minawszy konie, weszli na schody prowadzące do budynku.

Kristian wspaniale się bawił. Wypił kilka piw i tańczył ze wszystkimi dziewczętami. Rzuciło się w oczy niczym perkaty nosek Carrie Brandonberg, że spodobał się tej siostrze Linnei. I to bardzo. Jednakże ilekroć z nią tańczył, oczy Patricii Lommen śledziły każdy ich ruch. Gdy skończyła się kolejna melodia, Kristian odszukał ją i zażartował:

— Następny taniec będzie twój, Patricio, jeśli chcesz.

— Myślisz, że jesteś wyjątkowy? Że jesteś tu jedynym chłopcem, z którym miałabym ochotę zatańczyć walca?

— A nie?

— No wiesz!

Odwróciła się i próbowała umknąć, lecz Kristian nie pytając o zgodę chwycił ją w ramiona i już za kilka sekund kołysali się w walcu. Im dłużej tańczyli, tym byli bliżej siebie. Piersią ocierała się o jego marynarkę i jakoś tak

się stało, że stopniowo coraz mocniej tuliła się do niego. Pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak dobrze.

— Ładnie pachniesz, Patricio — szepnął jej do ucha.

— To woda fiołkowa mojej mamy — odparła, opierając policzek na jego policzku.

— Podoba mi się.

— Ty też pachniesz tak, jakbyś wziął od ojca płyn do włosów.

Odsunęli się od siebie, spojrzeli w oczy i zgodnie wybuchnęli śmiechem. Nagle umilkli. Po chwili zaś poczuli w sobie cudowny żar i znów przysunęli się bliżej, poznając, jakie to uczucie, gdy dwa ciała ocierają się o siebie.

Kiedy melodia się skończyła, ujął jej dłoń. Serce biło mu niepewnością wszystkich pierwszych doświadczeń.

— Trochę tutaj ciepło. Chcesz przez chwilę ochłodzić się w szatni?

Skinęła głową i ruszyli w tamtą stronę. Mieli dla siebie całe pomieszczenie, ale skierowali się w najdalszy kąt. Idąc za nią, widział, jak odgarnia sobie włosy z szyi.

— Och, ależ tam było gorąco.

— Tutaj możesz się przeziębic. Podać ci płaszcz? Obróciła się do niego.

— Nie, tak jest przyjemnie.

— Jesteś dobrą tancerką, wiesz?

— Nie tańczę tak dobrze jak ty. Ale wyrażam się poprawniej, a ty robisz błędy.

— Już nie robię.

— Robisz.

Przekomarzali się i śmiali, potem umilkli, szukając tematu rozmowy.

— Kiedy ostatni raz byliśmy tu sami, dałaś mi szalik, który zrobiłaś dla mnie na gwiazdkę. Czułem się paskudnie, bo nic dla ciebie nie miałem.

Wzruszyła ramionami, bawiąc się rękawem czyjejs kurtki wiszącej obok.

— Niczego nie chciałam.

Miała najładniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział, a kiedy odwracała je nieśmiało, jak teraz, miał ochotę ująć ją pod brodę i prosić, by nie uciekała od niego spojrzeniem. Ale bał się jej dotknąć.

— Moja mama mówi... — popatrzyła na niego. Kiedy spotkali się wzrokiem, nie dodała już nic więcej.

Spuściła głowę. Kristian patrzył na jej śliczne usta, których sam widok sprawiał, że serce waliło mu jak młotem.

— Co mówi twoja mama? — wyszeptał słabym głosem.

— Co? — szepnęła półprzytomnie.

Zapatrzeni w siebie, jakby widzieli się pierwszy raz w życiu, czuli lęk i oczekiwanie ogarniające ich niedoświadczone ciała. Kristian nachylił się, aby musnąć jej usta wargami w pocałunku tak prostym i nieskomplikowanym jak młodość, a kiedy uniósł głowę, zobaczył, że brak jej tchu i rumieni się tak samo jak on. Pocałował ponownie i nieśmiało oparł dłonie na jej biodrach, by przyciągnąć ją bliżej. Nie opierając się, zarzuciła mu ręce na ramiona. Po drugim pocałunku odsunęli się i uśmiechnęli do siebie. Potem Kristian uciekł wzrokiem w bok, Patricia zaś wpatrzyła się w jego pierś. Oboje myśleli o tym, iloma pocałunkami można się obdarzyć za pierwszym razem. Jednakże już po chwili ich oczy spotkały się znowu. Przez moment tylko się wahali, po czym się objęli i złączem ustami znaleźli się tak blisko siebie, jak wtedy gdy z sobą tańczyli.

Nagle otworzyły się zewnętrzne drzwi. Kristian odskoczył gwałtownie, czerwieniąc się jak burak, nadal jednak trzymał rękę Patricii.

Ojciec i Linnea!...

Nowożeńcy, idąc przez ciemną szatnię, zdumieli się ujrzawszy dwie przerażone postacie.

— Kristian... — powiedziała Linnea. — Och... i... Patricia...

Teodor, wyraźnie zakłopotany, chwycił ją za ramię. Linnea przerwała więc krępujące milczenie z naturalnością, która starła z twarzy Patricii poczucie winy i położyła kres jej usiłowaniom uwolnienia ręki z nerwowego uścisku Kristiana.

- My idziemy już do domu. A ty zostajesz jeszcze? Patricia uniosła pełen nadziei wzrok na Kristiana. To, co mówiły jej oczy, można było wyczytać nawet w mroku szatni. Młody człowiek napotkawszy jej spojrzenie odpowiedział:

— Tak, jeszcze chwilę. Potem odprowadzę Patricję do domu. Myślałem, że wezmę wóz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, tato.

— Tak... dobrze. No cóż, bądź ostrożny. Zobaczymy się rano.

Kristian skinął głową.

— Wybaczcie, weszliśmy, żeby się pożegnać — wtrąciła Linnea.

Kristian ponownie skinął głową.

Kiedy pożegnawszy się ze wszystkimi, znów przechodzili przez szatnię, nie było tam nikogo. Ze szkolnego dziedzińca zniknął też znajomy zielony wóz. Szukając go wzrokiem, Teodor zmarszczył brwi.

— Jak sądzisz, gdzie pojechali? — zagadnął.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa do Patricii. A ty byś tak nie zrobił, gdybyś był w ich wieku? Przecież u niej w domu nikogo teraz nie ma.

— Patrzyła na drogę prowadzącą na wschód. Stojąc obok powozu, spojrzała na jego świeżo ostrzyżone włosy nad kołnierzykiem, na szerokie ramiona, w roztargnione oczy. Nadeszła pora, Teodorze... Dla nich i dla nas. Nie walcz z tym. — Nie zrobiłbyś tego teraz, gdy dom jest pusty i mamy go tylko dla siebie? — zapytała spokojnym tonem, wsuwając mu rękę pod ramię. Nissa zaraz po ceremonii kościelnej wróciła do Clary i miała tam pozostać przynajmniej przez tydzień.

Teodor popatrzył na żonę, a Linnea z wyrazu mężowskiej twarzy

wywnioskowała, że Kristian i Patricia już nie absorbują jego myśli.

Krótką drogę do domu przebyła obok sztywnego, dziwnie obcego człowieka, który zostawił ją u drzwi, sam zaś poszedł do stajni, żeby zająć się końmi i powozem.

W kuchni było zimno. Zapaliła lampę i usiadła na twardym krześle przy stole. Jej ubrania i rzeczy osobiste wciąż były w dawnym pokoiku na górze. Kiedy można je będzie znieść na dół? I kto ma to zrobić?

Chwilę później otworzyły się drzwi i Teodor wszedł do środka, wnosząc z sobą powiew mroźnego nocnego powietrza, który sprawił, że płomyk lampy zadrżał i zamigotał. Stał i rozglądał się wokół, jakby to wnętrze należało do kogoś innego, potem zatrzymał wzrok na Linnei, która siedziała w zapiętym płaszczu, wciąż mając na głowie wysoki kapelusz i rękawiczki na złożonych na kolanach dłoniach.

— Zimno ci. Rozpalę ogień.

Poczuła, z jaką ulgą zakrzętała się wokół kuchennego pieca, kiedy zaś zamknął jego drzwiczki, znów zaległa cisza.

Linnea wstała z krzesła, a gdy stanęła bliżej niego przy piecu, Teodor otarł dłonie o spodnie.

— Cóż... hmm... — odezwał się niepewnym głosem. Zastanawiała się, czy to ona będzie musiała być stroną inicjującą wszystko, co miało zdarzyć się tej nocy. Jakaż to bolesna myśl!... Wyobrażała sobie, że mężczyzna, który już przedtem był żonaty, będzie w tych sprawach biegły. Tymczasem Teodor cofał się o krok, gdy podchodziła bliżej, i uciekał spojrzeniem, ilekroć próbowała je uchwycić.

Stojąc bokiem wyciągnęła dłonie ku ciepłu bijącemu od ognia. Teodor wpatrywał się w jej kapelusz otulony pianistym kremowym tiulem z drobnymi supełkami przypominającymi krople porannej rosy uwiecznione w pajęczej sieci, oraz w śliczne sploty włosów, w które wpięła grzebienie mające utrzymać

kwiatową kompozycję na głowie. Pochyliła lekko głowę i jego spojrzenie przyciągnęło płytkie wgłębienie na karku. Powędrował wzrokiem od wąskich ramion Linnei ku jej biodrom i skrajowi płaszcza, a wtedy chwycił go ból pożądania tak płomiennego, że wsunął sobie ręce pod pachy, by się powstrzymać od zaszokowania jej tym, co chciał zrobić w owej grzesznej godzinie, na dodatek w kuchni.

— Wszyscy chyba się dobrze bawili na weselu — powiedziała Linnea, choć w tej chwili akurat wesele najmniej ją zaprzętało.

— Chcesz zdjąć płaszcz? — zapytał w tej samej chwili.

— O tak... chyba tak...

Ściągnęła z dłoni popielate rękawiczki, włożyła je do kieszeni i rozpięła płaszcz. Teodor zsunął go z jej ramion i stał niepewny, zastanawiając się, co ma z nim zrobić. Zawsze trzymała go w swoim pokoju na górze.

Linnea spojrzała na Teodora przez ramię i ich spojrzenia zderzyły się na jedną elektryzującą sekundę.

— No cóż, chyba powieszę go w swoim pokoju — oznajmił.

W półmroku powiesił płaszcz na haku. Zatrzymał się na chwilę z rękami na wieszaku, wspominając, jak starannie wycierał w pokoju podłogę, zmieniał pościel i doprowadzał wszystko do idealnego porządku. Prawdopodobnie nie tak idealnego, jaki zrobiłaby Nissa, ale starał się najlepiej, jak potrafił.

Odetchnął wreszcie głęboko i wrócił do kuchni.

Słyszając, że wraca, Linnea chwyciła czajnik i zaczęła napełniać go wodą.

Przystanąwszy w drzwiach, obserwował, jak przemierza kuchnię drobnymi, ostrożnymi krokami w sukni zbyt wąskiej, by mogła poruszać się w niej normalnie. Jakaż to niedorzeczność! W zeszłym roku kapelusz z ptasimi piórami, a teraz spódnice, które przypominają pęta. Przypuszczał, że będzie płacił za wiele damskich fatałaszków, lecz nie miał nic przeciwko temu. Chciał jej nieba przychylić... A ponadto w spódnicy Linnei i tym, jak ów strój

odslaniał jej kostki, było coś co sprawiało, że głowa mężczyzny obracała się dookoła.

— Jak się nazywa taka spódnica? — zapytał.

— Rurka.

— Chyba jest trochę za wąska, nie? — Przyglądał się, jak stawia na kuchni czajnik i obraca się w jego stronę.

— Mama mówi, że to ostatni krzyk mody. Jakiś harwardzki profesor powiedział, że węższe spódnice pozwolą oszczędzić wełnę na mundury, więc ta jest... jest...

Patrząc na Teodora, mówiła coraz ciszej, aż słowa całkiem uwięzły jej w gardle. On zaś szybko liczył, ile jeszcze godzin dzieli ich od normalnej pory pójścia do łóżka. Boże, przecież czasami, gdy się uczyli, nie kładli się spać wcześniej niż o jedenastej, a to jeszcze dobre pięć godzin!

— Jesteś głodny? — zapytała jakby w nagłym natchnieniu.

— Nie — odparł i dla większego efektu poklepał się po brzuchu. — Najadłem się na weselu — dodał i z poczuciem winy przypomniawszy sobie o manierach, zagadnął: — A może ty byś coś zjadła?

— Nie, nie, skądże! — zapewniła, po czym rozejrzała się wokół, jakby czegoś szukała. — Cóż...

A więc jednak ona też się denerwuje, choć jeszcze przed godziną była taka pewna siebie!

— Cóż... — zaczęła po raz drugi. — Moje rzeczy wciąż są na górze. Czy nie powinnam... chodzi mi o to, że...

— Ależ tak, zajmę się nimi. Mogę je przenieść do mojego pokoju. Wręcz skoczył po dodatkową lampę, byle tylko wybiec z kuchni. Gdy usłyszała jego kroki na górze, uśmiechnęła się, zakryła usta ręką i pokręciła głową, następnie podążyła za nim. Drżący i niepewny stał w drzwiach jej pokoju.

— Pozwól, Teodorze...

Skwapliwie odsunął się na bok, by mogła wejść, a potem patrzył, jak zmierza do komody, otwiera szuflady i wyjmuje z nich swoje rzeczy, przewieszając je przez rękę. Wszystkie białe, niektóre z rządками dziurek i niebieskimi wstążkami. Z toaletki wzięła oprawną w brąz szczotkę do włosów, grzebień, pudełeczko ze spinkami i buteleczkę wody toaletowej w kształcie serca, z haczyka za drzwiami zdjęła niebieski szlafrok. I jeszcze jakby tknięta ostatnią myślą wróciła do komody po mały kamyk.

— Już. To chyba wszystko, co będzie mi potrzebne. Reszta może poczekać do jutra — powiedziała promiennie, podchodząc do Teodora.

— Co to jest? — zapytał, spoglądając na jej rękę. Otworzyła dłoń.

— To agat, który zeszłej jesieni znalazłam na drodze. Ma brązowy prążek dokładnie w odcieniu twoich oczu.

Znów poczuł oszołomienie świadomością, że Linnea naprawdę należy do niego i już od zeszłej jesieni interesowała się kolorem jego oczu. Cofnął się o krok, gdy przechodziła przez drzwi i na schody w świetle lampy, którą trzymał nad jej głową. U drzwi sypialni Teodora zatrzymała się i pozwoliła, by wprowadził ją do środka i postawił lampę na komodzie. Rozejrzała się z wahaniem, ale podobizny Melindy nigdzie nie było. Teodor wysunął szufladę komody.

— Możesz włożyć tu swoje rzeczy. Opróżniłem ją trochę, żeby zrobić miejsce.

— Dziękuję.

Umieściła swoją bieliznę obok stosu jego batystowych niebieskich koszul i pary gumek do podtrzymywania rękawów, których nigdy nie używał.

Bliskość Linnei sprawiała, że krew uderzała mu do głowy. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy widział w swoim pokoju kobietę wygładzającą bieliznę, zamykającą szufladę, układającą na toalecie swoje szczotki, grzebień oraz umieszczającą pudełko ze spinkami do włosów i flakon wody toaletowej obok

dwóch jeszcze nieużywanych celuloidowych kołnierzyków, jego szczotki do włosów i... garści metalowych ćwieków?

— Naprawiałem wczoraj uprząż — wyjaśnił nieśmiało i wrzuciwszy ćwieki do szuflady, zawstydzony zamknął ją.

Linnea z lekkim uśmiechem podeszła i odsuwając go z drogi, otworzyła tę szufladę, sięgnęła pod stos ciepłej bielizny, znalazła ćwieki i położyła je tam, gdzie leżały przedtem: na komodzie.

— To wciąż jest twój pokój. Mamy go dzielić, ale możesz kłaść ćwieki dokładnie tam, gdzie je zostawiałeś, zanim się ze mną ożeniłeś.

Choćby nawet recytowała jakiś kwiecisty poemat, nie kochałby jej bardziej. Znów pomyślał, która jest godzina i czy uznałaby go za zepsutego, gdyby teraz pochylił się, pocałował ją i zaniósł do łóżka, mimo że o tej porze cała reszta świata albo doi krowy, albo właśnie zasiada do kolacji. Albo tańczy na jego weselu... Co oni tutaj, na miłość boską, robią, rozmawiając o ćwiekach? Jak podsunąć żonie myśl, że mogłaby pójść do łóżka przed szóstą po południu?

Linnea rozejrzała się po pokoju, prosta i niewinna w kapeluszu, który sprawiał iż jej kark wydawał się bardzo delikatny i kruchy. Stanik sukni ginął pod dopasowanym żakietem z wysokim kołnierzykiem i biegnącym od pasa aż pod brodę rzędem drobnych zapinanych na pętelki guzików. Boże, spraw, by pod spodem była cała suknia, pomyślał.

— Może chciałabyś zdjąć żakiet i kapelusz, by poczuć się swobodniej? Zostawię cię na parę minut — zaproponował.

W jej snach o przebiegu tej nocy nie było boleśnie nieśmiałego męża. Pamiętała wszystko, co opowiadała jej Clara, i namiętnie tego pragnęła.

— Myślałam, że to przywilej męża — odważyła się powiedzieć cichym, drżącym głosem.

Wzrok Teodora najpierw pobiegł w stronę zegara na nocnym stoliku,

tykającego w zapadłej nagle ciszy z małą wskazówką dopiero zbliżającą się do szóstki, potem wrócił do żony.

— Naprawdę?

Skinęła głową tak lekko, że musiał przyjrzeć się bliżej, aby się upewnić. W świetle lampy jej szeroko otwarte oczy lśniły jak gwiazdy, gdy stała z jedną ręką opartą o krawędź komody. Kiedy zrobił pierwszy krok, usta Linnei się rozchyliły, po drugim z trudem przełknęła ślinę, przy trzecim zaś podniosła głowę, a jej pociemniałe oczy powędrowały ku jego oczom spod szerokiego ronda kapelusza. Stali blisko, tak bardzo siebie spragnieni, wsłuchani w swoje oddechy... Pocałował ją. Najpierw lekko. Znacznie lżej, niż chciał. Potem obrócił ją tyłem do siebie.

Widziała w lustrze tylko górną połowę jego twarzy nad tiulową siecią swego kapelusza. Palce Teodora odnalazły perłową szpilkę, którą wyciągnął i włożył w zęby, po czym delikatnie wyjęły grzebyki wpięte za uszami. Zdejmując kapelusz, wysnuł złote pasmo włosów. Linnea uniosła rękę, by odrzucić je do tyłu, podczas gdy Teodor wpiął szpilkę w kapelusz i położył go przed nią.

Ich oczy spotkały się w lustrze... Tak ciemne, że wydawały się nie mieć koloru, a jedynie blask oczekiwania. Pasma rozpuszczonych włosów opadło Linnei na ramiona. Teodor stał tak blisko, że jego oddech sprawiał, iż falowało niczym łan pszenicy w letniej bryzie. Musnął je, podniósł, a potem patrzył, jak uparcie opada na smukłą kształtną szyję. Linnea czekała bez tchu, pragnąc, by posunął się dalej. On zaś, jakby odgadując te myśli, niewprawnymi palcami zgłębiał sekrety jej fryzury, znajdując ukryte w kunsztownym koku celuloidowe szpilki i wyciągając je jedną po drugiej, aż masa złota się rozwinęła i opadła pod własnym ciężarem na ramiona. Przeczesał włosy zgrubiałymi palcami. Kiedyż to ostatni raz wdychał zapach kobiecych włosów? Pochylił się i z twarzą w wonnych splotach wziął długi oddech.

Linnea patrzyła na to w lustrze.

Kiedy znowu ich oczy się spotkały, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Linnea sięgnęła po flakonik z perfumami. Nie odrywając wzroku od jego odbicia w lustrze, powoli otworzyła buteleczkę, zwilżyła czubek palca i przesunęła nim po policzku. Raz i drugi, aż zapach konwalii wypełnił cały pokój. Podwinęła najpierw jeden mankiet, odsłaniając delikatnie porysowaną błękitnymi żyłkami skórę nadgarstka, i poperfumowała ją, następnie to samo zrobiła z drugim, po czym w milczeniu zamknęła buteleczkę.

Gdzie dziewczyna w jej wieku nauczyła się takich rzeczy? Przez cały dzień, ilekroć rozważał tę godzinę, paraliżowało go na myśl o jej braku doświadczenia. Tymczasem...Obrócił ją do siebie i przez chwilę wpatrywał się w jej pociemniałe oczy, zanim sięgnął do guzika pod smukłą szyją. Guziczek był znacznie mniejszy od jego paznokcia i ujęty w delikatną pętelkę, która dwukrotnie oparła się drżącym palcom, zanim odkrył, jak sobie z nią poradzić, a wtedy bardzo powoli odpiął trzynaście następnych.

Pod zakietem stanik sukni delikatnie opinał jej piersi, które unosiły się i opadały w rytmie przyspieszonego oddechu. Uniósł oczy ku jej delikatnym ustom, ustom rozchylonym i oczekującym.

Nie do wiary! Są mężem i żoną!

Nachylił się, ujął jej twarz w dłonie i całował ją łagodnie, miękko. Przytuliła się, czubkami palców głaszcząc klapy jego marynarki.

Gdy w końcu podniósł głowę, oboje oddychali ciężko, a serca były wspólnym rytmem.

Bez słowa zdjął z niej zakiet i położył na komodzie.

Sięgnęła do jego krawata i guzika koszuli.

Z nocnego stolika dobiegało tykanie zegara.

— Dopiero szóstka — powiedział zduszonym głosem. Wciąż czuł na szyi palce Linnei, jej czyste, szczerze oczy

patrzyły otwarcie.

— A czy to zła pora?

Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Przez całe życie „te rzeczy” robił tylko w porze snu, pod osłoną późnych godzin i ciemności. Z pewnym zaskoczeniem uświadomił sobie, że przygotował się do roli nauczyciela we własnej sypialni, a oto najwyraźniej sam będzie uczony.

— Nie, chyba nie — odparł z mocno bijącym sercem, gdy zdjęła mu krawat, odpięła kołnierzyk i trzy guziki koszuli. Odsłoniła ciemny zarost torsu i wtuliła w niego twarz, robiąc to, co od dawna podsuwała jej wyobraźnia.

Nierówny, spazmatyczny oddech Teodora poruszył włosami Linnei i oplotły ją mężowskie ramiona.

— Marynarka... — powiedziała, więc zdjął ją i powiesił na wieszaku obok jej płaszcza. Rozpięła mu kamizelkę, z kieszonki wyjęła zegarek i podniosła wzrok. — Nie patrzmy na zegarki, Teddy — poprosiła cicho, kładąc go na komodzie.

Przyciągnął ją do siebie, nachylając się ku jej rozchylonym wargom. Przywarła do niego i wspierała się na palce. Ramiona Teodora zagarnęły ją władczo i przyciągnęły ku muskularnemu ciału, którego wcześniej dotykała tak rzadko... o wiele za rzadko.

Namiętny pocałunek wzmógł cudowne pragnienie. Szeroko rozłożyła palce na jego plecach, przez kamizelkę badając każdy cal mężowskiego ciała. Czują, jak pierś Teodora unosi się i opada w oddechu, wzniecając w niej jeszcze silniejsze pragnienie.

Oderwał wargi od jej ust.

— Linneo... — wyszeptał. Odchyliła głowę, by poszukać jego oczu.

— Co się stało, Teddy? Przez cały dzień zachowywałeś się tak, jakbyś się śmiertelnie bał.

— Bo się boję — przyznał ze smutnym uśmiechem, odgarniając włosy z

jej skroni i ujmując twarz w dwie szerokie dłonie. — Jesteś taka młoda. Ta myśl mnie prześladowa, choćbym nie wiadomo jak się starał.

— Nie jestem za młoda. Jestem kobietą. I jestem na to przygotowana. Masz jakąś obsesję na punkcie czasu... zegarki, lata. Cóż one znaczą, gdy jest miłość? Proszę... proszę... — drobnymi pocałunkami okrywała jego brodę, policzki, usta. — Proszę... myśl o miłości, nie licz lat. Jestem twoją żoną. Nie każ mi dłużej czekać.

Jeszcze raz szybko ją pocałował i odsunął się, aby znaleźć zapięcie sukni. Bez słowa odwróciwszy się do niego plecami, uniosła włosy, by porozpinał guziki. Pod spodem miała białą halkę. Patrzył z zachwytem, gdy odpinała pasek i zsuwała suknię z ramion.

Kiedy znów stanęła przodem do niego, zobaczył ją w bieliźnie. Otulała Linneę od ramion do połowy ud, gdzie łączyła się z gumkami do pończoch. Talię oplatał cienki biały pas związany z przodu. Opięty stanik z kolejnym rzędem zapiętych guzików odsłaniał niewiele więcej niż zagłębienia obojczyków.

Matka Teodora nosiła prostą bieliznę, a zimą długie reformy, więc nigdy nie widział takich białych fatalaszków jak te, które miała na sobie jego żona. Przejrzyste pończochy niknęły w nogawkach pantalonów, odsłaniając smukłe kształtne łydki. Kiedy przeniósł wzrok ze stóp w połyskliwych satynowych pantofelkach na jej twarz, oboje oblali się rumieńcem i stracili oddech. Nieśmiały uśmiech pojawił się na ustach Linnei i zniknął.

Teodor nagle zrzucił kamizelkę na podłogę, wsunął kciuki za szelki i opuścił je, a potem wyciągnął ze spodni poły wykrochmalonej koszuli. Sięgnąwszy po rękę Linnei, oczami powędrował ku jej piersiom i równocześnie bezwiednie rozpiął kilka ostatnich guzików u koszuli.

Jak wspaniale było widzieć go rozebrany, przyglądać się grze mięśni, opadaniu szelek, oceanowi zagieć na połach koszuli i swobodnie obracającym

się nadgarstkom uwolnionym od mankietów!

Potem na podłogę opadła również koszula i Linnea nie zdołała powstrzymać okrzyku zachwytu.

— Och, Teodorze... — wyszeptała. Impulsywnie wyciągnęła ręce i gładziła ciemną gęstwinę włosów na gorącym torsie, potem podążyła za nią w dół, aż uświadomiła sobie, dokąd zmierza. Szybko cofnęła ciekawą dłoń i spłotła z drugą. Teodor ujął jej rękę i położył na miejscu, z którego umknęła. Ta dłoń z nim igrała, dręczyła go.

Jakież był silny, jaki jedwabisty, jaki męski... Jak cudownie inny niż ona. Gdy muskała zagłębienie jego szyi, on palcami przesuwiał po jej obojczyku, a potem ruszył ku guzikom z przodu stanika.

Brakło jej tchu.

Dłoń Teodora łagodnie ujęła jej pierś.

Zamknęła oczy i stała nieruchomo wsłuchana w swoje uczucia. Gęsia skórka pokryła jej rękę, brzuch, a nawet rozfalowaną pierś, która pod jego delikatną pieśczętą stwardniała. Język Teodora pieścił jej dolną wargę, znacząc sobie wilgotną, okrężną ścieżkę przywodzącą go z powrotem do owego miejsca, które gryzł i ssał, masując je jedynie czubkiem języka, aż Linneę przebiegł dreszcz.

Uniosła ręce ku piersi, szyi i włosom Teodora, pieśczętliwie zanurzyła w nie palce, potem przyciągnęła ku sobie jego głowę.

Jej język tańczył pożądliwie w jego ustach, ciało sprężyło się, pulsując ku niemu. Sunął dłońmi po jej plecach, aż dotarł do pośladków i mocno je chwyciwszy, uniósł ją. Powoli narastający rytm kołysał ich słodko.

Teodor sprawił, iż w jej ciele wytrysnęła rzeka, występując z brzegów. Doznanie było tak nagłe, że ugięły się pod nią nogi. Kiedy się osunęła, podłożył jej pomocne kolano, aż napięcie zelżało i znów mogła stanąć o własnych siłach.

Dłonie Teodora tańczyły na jej plecach. Ich usta i języki były połączone, gdy pierwszy raz musnął nagą skórę na jej pośladku. Nagle szarpnął głową.

— A to co takiego?

Linnea, nie wypuszczając go z objęć, odchyliła głowę, nieco zaskoczona. Doprawdy sądziła, że wie.

— Gorsecik do pończoch.

Zaśmiał się cicho i jeszcze raz spojrział na tę część bielizny.

— Mmmm... gorsecik...

Całując ją znowu, wsunął rękę w rozcięcie gorseciku, które wydawało się ciągnąć z tyłu od pasa do wieczności. Pieścił krągłe ciało Linnei zastanawiając się, jak daleko biegnie rozcięcie, nabrawszy zaś pewności, sięgnął dłonią do brzucha. Gdy Teodor wędrował dłońmi po ciele Linnei, konstrukcja jej bielizny przestała mieć znaczenie. Palce znalazły drogę i po ciepłym brzuchu przesunęły się niżej, aż zaczęły ją pieścić intymnie. Drgnęła wtedy, zaraz jednak rozluźniła się w obejmujących ją silnych ramionach. Otworzył się przed nią świat cudów, świat, który przygotowała dla niej bezkresna imaginacja. Pod zamkniętymi powiekami tańczyły niezliczone barwy — od pastelowych do gorących. Wtulała się w Teodora i kołysała, płynąc w pierwotnym rytmie.

Jego pieszczota szła coraz głębiej, przepełniając ją zachwytem nad własnym ciałem.

— Och, Teddy... Teddy... — szeptała, owładnięta pożądaniem.

Zostawił ją na chwilę i ruszył ku lampie, lecz zawołała łagodnie:

— Nie! Proszę... Ja nigdy... To znaczy... — zaczerwieniła się i spuściła wzrok, potem odważnie spojrziała na niego.

— Chcę cię widzieć.

Serce zabiło mu jak szalone na tę prośbę. Nigdy nie sądził, żeby kobieta... Oto nowa lekcja dla Teodora Westgaarda.

W przytłumionym świetle lampy pociągnął Linneę na brzeg łóżka i

pochylił się, by rozwiązać sobie sznurowadła. Idąc w jego ślady, zsunęła satynowe pantofelki i ustawiła je starannie. Teodor, sięgnąwszy pod nogawki spodni, zdjął skarpetki, ona zaś zwinęła elastyczne podwiązki i zdjęła pończochy. Kiedy wstał i zdjął spodnie, siedziała ze spuszczonego wzrokiem, aż uświadomiła sobie, że stoi przed nią nagi.

— Linneo...

Nie od razu zdołała mu spojrzeć w oczy. W pokoju rozlegało się jedynie tykanie zegara, choć oni mieli też w uszach bicie własnych serc. Wyciągnął do niej rękę, a gdy podała mu swoją, pomógł jej wstać i bez dalszej zwłoki rozebrał ją z resztek bielizny.

Zanim zdążyła się zawstydzic, zagarnął ją do łóżka, mocno tuląc. W długim pocałunku obróciwszy Linneę na plecy, znalazł jej pierś najpierw ręką, potem językiem, i zamruczał gardłowo, gdy nabrzmiała w naturalnym pragnieniu dalszej pieśczości. Linnea wiała się namiętnie, szepcząc imię Teodora, i prężyła zapraszająco, przeczesując palcami jego włosy. Jego wilgotny język był jedwabisty i nieugięty silny. Krzyknęła w ekstazie, gdy delikatnie chwycił jej pierś zębami. Napięła się owładnięta rozkoszą, wyciągając ramiona nad głowę, aż brzuch jej się zapadł. Teodor przesunął po nim dłonią i tkliwie pocałował, po czym pociągnął Linneę na siebie. Teraz była na wierzchu, wciąż spragniona jego ust. Miał w nich jej włosy, więc odrzucił je na bok i całował ją niemal brutalnie.

Wreszcie podniosła głowę. Obiema dłońmi odgarnął jej włosy ze skroni i błyszczącymi oczami wpatrywał się w nią z mroczną namiętnością.

— Linneo, kocham cię. Ileż razy, leżąc tu samotnie, myślałem o tobie. Ileż nocy, gdy byłaś tam nade mną...

— Kocham cię...

— Kocham cię...

— Kocham cię...

Szeptali te wyznania usta w usta, jednym głosem. Słowa nie dawały się rozdzielić, przerywały je pocałunki, aż i tego było za mało. Wtedy obrócił ją na plecy i nachylony nad nią wpatrzył się w jej oczy. W końcu raz jeszcze ją pocałował i położywszy rękę na brzuchu, sunął nią niżej i niżej...

Dotykał ostrożnie, ucząc Linneę, by rozsuwała nogi pod jego pieśczętą, by otwierała ciało dla niego. Kiedy zaś wygięła się ogarnięta namiętnością, ujął jej dłoń i zwinął we wnętrzu własnej, a potem umieścił na nabrzmiętym członku i nauczył tego, co kobieta powinna umieć. Zamknął oczy i jęczał cicho, czując, jak prześlizguje się w jej dłoni. Głowa opadła mu do tyłu, a Linnea zdumiewała się swą mocą, która doprowadziła do takiej uległości mężczyznę tak silnego i nieposkromionego. Kiedy zadrżał, oddychając urywanie, nastawiła się na największą ze wszystkich rozkoszy. Pochylił się nad nią i drżącym głosem wyszeptał do ucha:

— Jeśli cię zaboli, powiedz, to przestanę. A teraz spokojnie...
spokojnie...

Wszedł w nią wolno, uważnie, i czekał z łokciami dygoczącymi tuż obok jej ramion. Wciągnęła go głęboko.

— Lin... ach... Lin... — dobiegł ją jęk, gdy podała biodra, by poczuć go głębiej.

Natura niczego nie zaplanowała bezcelowo: miecz do pochwy, klucz do zamka... wszystko pasowało z niepojętą doskonałością. Teodor nie znalazł w niej dziewczyny, lecz kobietę, jakiej zawsze pragnął. Nauczyła go nowej młodości: bezgranicznej młodości serca, a nie kalendarza. Poddając się falującemu rytmowi jego bioder, podążała za niemymi poleceniami i unosiła w całkowitej zgodzie. Poznała tchnienie jego oddechu poruszającego jej włosy i grzejącego szyję, on — łagodne muśnięcia owych pasm, gdy wiły się na jego wilgotnym czole. Wspólnie odkryli odwieczny język kochanków złożony z pomruków, szeptów i westchnień. Ona dowiedziała się, iż jest zdolny do

delikatności, on zaś poznał jej moc. Razem nauczyli się, kiedy dokonywać zamiany ról. Teodor znalazł radość w wyginaniu jej w łuk i pozbawianiu tchu, Linnea zaś rozkoszowała się jego dreszczem i drżącym wołaniem o wyzwolenie. Ona odkryła, iż mężczyzna może zaspokoić kobietę dwa razy, on zaś dowiedział się, że i trzy nie wystarczy niektórym kobietom.

Głęboką, z wolna sączącą się rozkosz odnaleźć też mieli w minutach późniejszych. W naznaczonych słabością przestrzeniach czasu, gdy wyczerpane ciała mogą tylko spleść się w nasyconym, zaspokojonym znużeniu.

Lata znaczyły niewiele. Liczyło się jedynie to, iż byli mężem i żoną, małżeństwem dopełniającym owego aktu; że była to ich noc poślubna i że w najwyższy sposób wzajemnie wynagradzali się za wszystkie życiowe udręki... jeszcze raz... i jeszcze... i jeszcze...

ROZDZIAŁ 21

Była to zima wielkich zmian: zima roku 1918. Zmiany dokonały się nie tylko w rodzinie Westgaardów, ale też w jej najnowszej członkini i w całym świecie. W błogosławionym stanie świeżo zawartego małżeństwa Linnei łatwo byłoby zapomnieć, że amerykańscy żołnierze udają się do Francji, by zapewnić światu bezpieczeństwo, i rozkoszować się szczęściem, które jaśniało w jej życiu. Jednakże przykład własnej rodziny kazał Linnei uświadomić sobie, że ona także ma pewien obowiązek, być może nawet większy jako nauczycielka. Przekonała więc kuratora Dahla, by pozwolił szkole zaprenumerować gazetę, i wraz z dziećmi śledziła wydarzenia w Europie.

Apele o pokonanie Niemców były powszechne, ale mimo że w ostatnich dniach stycznia ogłoszono, iż oddziały amerykańskie zajmują okopy na

pierwszej linii frontu, obozy wojskowe w USA wciąż pełne były zniecierpliwionych żołnierzy zmuszonych do odbywania musztry w cywilnych ubraniach i z kijami od mioteł zamiast karabinów. Samym zapalem niepodobna wszakże wygrać wojny. Potrzebne były dostawy, dostawy zaś wymagały surowców, a surowce były ograniczone. Dla określenia priorytetów produkcyjnych powołano Radę Wojenną i Ameryka ochoczo spięła się, zacisnęła pasa i śpiewała patriotyczne pieśni. Powstające z dnia na dzień nowe fabryki produkowały odzież, buty, karabiny, maski przeciwgazowe, koce, ciężarówki i lokomotywy, natomiast cała produkcja nie związana z kontraktami wojennymi zawieszana była w poniedziałki. Wydano zakaz podróżowania samochodami w niedziele, obywateli zaś zachęcano do noszenia swetrów, żeby w ten sposób zmniejszyć zużycie węgla. Nakłaniano ich także, by jedli więcej otręb, a mniej produktów zbożowych, więcej szpinaku i mniej mięsa, a także aby przyswoili sobie „ewangelię wymiecionej do czysta talerza”. Przede wszystkim jednak proszono Amerykę, by dawała.

Najwięcej zaś Ameryka dawała żołnierzy. Do wiosny 1918 roku dotarło ich do Francji pół miliona, a jednym z ochotników był Bill Westgaard. W sobotę poprzedzającą jego wyjazd odbyło się specjalne nabożeństwo i odtąd na każdej mszy w nawie wisiała flaga z jedną błękitną gwiazdą, wzbudzając niezliczone modlitwy, by nigdy nie nadszedł moment, gdy na jej miejscu pojawi się gwiazda złota. Niebawem Judith Brandonberg przysłała Linnei wiadomość, że Adrian Mitchell, który wcześniej otrzymał kartę powołania, zginął.

Bill i Adrian mogli być odrzuconymi konkurentami, lecz dla Linnei nie miało to znaczenia. Teraz ta wojna dotknęła ją osobiście i Linnea poczuła, że musi wnieść w nią swój wkład.

Dzieci mogły robić wiele rzeczy, by pomóc w wojennym wysiłku; potrzebowały jedynie organizacji. Ulubioną popołudniową rozrywką stało się

robiecie na drutach. Linnea sama zwróciła się do Nissy o pomoc w opanowaniu tej umiejętności, u matki poprosiła, aby nauczyły jej swe córki. W szkole sporządzono tabelę z gwiazdką za każdą skarpetę lub szalik. Ku rozbawieniu Linnei pewnego dnia z kłębkami wełny i parami drutów zjawili się też Kristian i Ray. Wiele było śmiechu, gdy chłopcy niezgrabnie wzięli się do dzieła, ale już wkrótce przyłączyli się do nich wszyscy koledzy. Wszyscy z wyjątkiem Allena Severta, który robienie na drutach uparcie nazywał „babską robotą” i z powodu takiej postawy stał się wyrzutkiem w szkolnej społeczności.

Pozostali uczniowie byli chętni do pomocy we wszelkich planach Linnei. Patricia Lommen wystąpiła z pomysłem wspólnego uszycia kołdry i uczniowie entuzjastycznie zgodzili się przynieść z domów skrawki materiałów. Gdy dzieci zobaczyły, że kołdra przybiera kształt, narodził się plan aukcji, na której zostałaby sprzedana z myślą o przekazaniu zysku na rzecz Czerwonego Krzyża. Kiedy słowo „aukcja” dotarło do domów, szkolna szatnia zaczęła się wypełniać różnymi darami, wśród których było także kilka skór piżmowców od Raya i Kristiana. Libby Severt, która zademonstrowała obiecujący talent artystyczny, namalowała dwa duże plakaty reklamujące to wydarzenie: jeden zawieszono u wejścia do kościoła, a drugi w sklepie spożywczym w Alamo, w którym mieścił się także urząd pocztowy. Pewien farmer z sąsiedniego okręgu ofiarował pianolę i nawet obiecał, że ją przywiezie. Od tej chwili aż do dnia aukcji szkoła rozbrzmiewała muzyką.

Nissa zasugerowała, by razem z aukcją odbył się pokaz umiejętności tanecznych z nagrodami dla pary wykonującej najciekawsze figury, a wrażliwa Frances, która przeczytała w gazecie o zbiórce ubrań dla uchodźców, nieśmiało zaproponowała zorganizowanie podobnej kwesty.

Wielki dzień nazwano „Dniem Wojennego Trudu”. Im bliżej było do aukcji, tym bardziej rosła ekscytacja, a ofiarowane na nią rzeczy wprost

zalewały główną salę szkoły. Swoje usługi zaoferował też licytator z Wildrose, a stary Tveit nieoczekiwanie przywiózł i wystawił na aukcję wagon węgla. Pod koniec owego dnia szkoła zarobiła na ten szlachetny cel 768 dolarów.

Teodor obserwował, jak Linnea rozkwita. Zajął się swoim „wojennym” pomysłem z właściwym jej entuzjazmem i doprowadził go do końca, aby natychmiast zająć się następnym: tym razem wysyłką książek dla żołnierzy za oceanem. Przedsięwzięcie to okazało się równie udane jak aukcja. Po zbiórce książek przyszła kolej na robienie zeszytów z wycinankami dla żołnierzy leżących w europejskich szpitalach. Kiedy zaś Stanowa Rada Szkolnictwa oficjalnie ogłosiła wykreślenie języka niemieckiego z programu nauczania, pewnej niedzieli Linnea wstała w kościele i poprosiła, by zgodnie z administracyjnym dążeniem do powszechnej amerykańskiej modlitwy przy domowych stołach odmawiano po angielsku zamiast po norwesku. Jak można było odmówić kobiecie, która niemal własnoręcznie zgromadziła 768 dolarów w imię życia, wolności i szczęścia?

Trzeba też przyznać, że Linnea z żarliwym entuzjazmem zaspokoila swoje talenty organizacyjne, ale też nie mniej wniosła go w swoje małżeństwo. Pod koniec lutego skończyła dziewiętnaście lat i nocą, leżąc przy Teodorze w łóżku, lubiła szeptać mu do ucha, że w owym dziewiętnastym roku nauczyła się więcej niż przez wszystkie poprzednie lata swego życia. I bardzo ją to bawiło. Była namiętą, nienasyconą kochanką, która nieustannie nalegała na „próbowanie” rzeczy, jakich nawet Teodor nigdy wcześniej nie robił.

— Skąd o tym wszystkim wiesz? — zapytał pewnej nocy, gdy kołdry zostały odrzucone, a lampa paliła się jak zwykle.

— Clara mi powiedziała.

— Clara?!

— Ciii! — zamknęła mu usta i zachichotała. Teodor zniżył głos do szeptu.

— Masz na myśli moją młodszą siostrę Clare?

— Twoja siostra Clara jest kobietą, o czym cię informuję na wypadek, gdybyś tego nie zauważył. Clara i Trigg doskonale bawią się w łóżku. Ale jeśli twoja młodsza siostra kiedykolwiek się dowie, że ci to powiedziałam, zabije mnie.

— Hmm... Muszę pamiętać, żeby podziękować Clarze, kiedy następnym razem ją zobaczę.

Wymierzyła mu kuksańca.

— Teddy, ani się waż!

Chwyił ją za rękę, wciągnął pod siebie i ugryzł w dolną wargę.

— Chcesz o tym rozmawiać przez całą noc czy masz ochotę popróbować, droga żono?

Oboje woleli „popróbować”.

Innym razem, gdy skończyli się kochać, Linnea leżała w zgięciu ramienia Teodora, myśląc o tym, jak niegdyś się zastanawiała, do czego będzie podobne uprawianie miłości. Zaśmiała się cicho.

— Myślałam, że dosłownie byś mnie zgniótł, gdybyśmy się kiedykolwiek kochali — wyznała.

Tuż przy uchu usłyszała gardłowy śmiech.

— Naprawdę? Myślałaś więc o tym?

— Czasami.

— Często?

— Och, nie wiem.

— No powiedz... często?

— Dobrze, powiem. Bardzo często.

— Kiedy?

— Kiedy?

— Co znaczy: kiedy?

— Jak długo przed naszym ślubem?
— Hmm... przynajmniej cztery lata.
— Cztery... przecież nawet mnie wtedy nie znałaś.
— Znałam, ale wówczas miałeś na imię Lawrence.
— Lawrence!
— Och, połóż się i nie irytuj. Musiałam jakoś cię nazwać, bo jeszcze nie wiedziałam, kim jesteś.

Silne ramię opłotło jej szyję leniwym gestem posiadania.

— Jesteś odrobinę szalona, dziewczyno, wiesz?
— Wiem. Zaśmiał się znowu.
— Powiedz mi więc, co sobie wyobrażałaś.
— Och, najpierw wyobrażałam sobie... jak to jest... całować się z chłopcem... to znaczy z mężczyzną. Całowałam wtedy różne rzeczy: tablice, zamarzniete okna, poduszki... Poduszki nadają się naprawdę doskonale, jeśli nie ma się niczego prawdziwego. Można też całować tablice, wierzch własnej dłoni, talerze, drzwi...

— Talerze?!

— No cóż, czasami zmywając naczynia wyobrażałam sobie, że właśnie zjadłam kolację z mężczyzną i on teraz pomaga mi w wycieraniu talerzy... To znaczy, spogląda się w czysty talerz i widzi w nim tę osobę patrzącą na ciebie, a wtedy zamyka się oczy i udaje... Przecież ty też posługujesz się wyobraźnią, Teodorze.

— Już nie — odparł i położył ją sobie na brzuchu. Życie z Linneą przeszło wszelkie oczekiwania i nadzieje

Teodora. Była promienna, pogodna i spontaniczna. Każdy dzień czyniła radością, powodem do świętowania i sumą godzin tak cudownie bogatych i pełnych, że zastanawiał się, jak w ogóle zdołał przeżyć te wszystkie samotne lata bez niej. Każdego ranka odwoził ją do szkoły i już od chwili gdy przy

rozpalonym piecu całował ją na do widzenia, liczył godziny, by móc pojechać tam z powrotem i przywieźć ją do domu. Nigdy nie wiedział, co wymyśli następnym razem. Spoglądała na różne sprawy z odświeżająco młodzieńczej perspektywy, co często go rozśmieszało, ale zawsze uszczęśliwiało.

Pewnego szczególnie mroźnego ranka, gdy stali obok pieca czekając, aż dobrze się rozgrzeje, szkolna myszka wysunęła się z norki i skuliła obok miotły.

— Jeszcze jej nie schwytałaś?— Nawet nie próbowałam. Nie miałam serca zabijać tego nieszczęsnego stworzonka, więc karmię je serem. To moja przyjaciółka.

— Karmisz ją?! Linneo, myszy są...

— Ciii! Zmarzła... widzisz? Stój spokojnie i patrz. Stali w milczeniu i bezruchu, aż mysz zwabiona ciepłem

nieśmiało przysunęła się bliżej i stanęła na tylnych łapkach z drugiej strony pieca, grzejąc przy nim przednie, jak człowiek ręce. Teodor nigdy w życiu nie widział czegoś takiego.

— Często to robicie? — zapytał. Na dźwięk jego głosu zwierzątko cofnęło się, zatrzymało i obróciło ku nim jaskraworóżowe oko.

— Na świecie dość jest śmierci. Nie sądzisz, że nie musimy powodować jej więcej?

Zastanawiał się, czy w ogóle można kochać silniej niż on kochał ją w tym momencie. Życie nigdy nie było wspanialsze.

Jednakże pod koniec marca Kristian zburzył tę harmonię. Tego dnia ustawiał z Rayem pułapki na cały sezon, a przy kolacji Teodor gotów był się założyć, że coś chłopca dręczy.

— Martwisz się czymś, Kristianie? — zapytał. Kristian podniósł wzrok i wzruszył ramionami.

— O co chodzi? — nie dawał za wygraną Teodor.

— Nie spodoba ci się to.

— Wiele rzeczy mi się nie podoba, ale to niczego nie zmienia.

— Już dawno rozmawiałem o tym z Rayem i nie wiem, czy on się zdecydował, ale ja już postanowiłem.

— Co postanowiłeś? Kristian odłożył widelec.

— Chcę wstąpić do wojska.

Zapadła cisza. — Co chcesz zrobić?! — powtórzył groźnie Teodor.

— Zastanawiałem się nad tym od dawna. Ja też chcę mieć swój udział w tej wojnie.

— Zwariowałeś?! Masz dopiero siedemnaście lat!

— Jestem wystarczająco dorosły, żeby strzelać z karabinu. Tylko to się liczy.

— Jesteś rolnikiem. Nie będziesz powołany. Jesteś zwolniony z obowiązku służby wojskowej, zapomniałeś?— Tato, nie słuchasz... Teodor zerwał się na równe nogi.

— Och, słucham, słucham, ale to co słyszę, nie ma ani odrobiny sensu!

Linnea nigdy nie widziała Teodora tak rozłoszczonego. Wycelował palec w Kristiana i krzyczał:

— Jeśli myślisz, że żołnierze w okopach celują w siebie kijami od mioteł, to się mylisz, synu! Tym się strzela i ginie!

— Chcę latać samolotami. Chcę je pilotować!

— Samoloty! — Teodor przesunął dłońmi po włosach, skrecając się z rozdrażnienia, a potem znów obrócił się do Kristiana. — Będziesz pilotował parę koni z pługiem, bo nie pozwolę ci pójść do wojska.

— A może ja chcę zrobić ze swoim życiem coś więcej, niż tylko chodzić za końmi i pługiem? Może chcę oglądać coś więcej niż końskie zady i wachać coś innego niż końskie łajno? Jeśli wstąpię do wojska, będę mógł to zrobić.

— Zobaczysz tylko wewnątrz okopu i poczujesz najwyżej gaz

musztardowy. Czy właśnie tego pragniesz, chłopcze?

Linnea dotknęła ramienia Teodora.

— Teddy... Gwałtownie strącił jej rękę.

— Nie mieszaj się! To sprawa między mną a moim synem!

— zawołał, po czym ponownie zwrócił się do Kristiana:

— Pytam: czy właśnie tego pragniesz?

— Nie możesz mnie zatrzymać, tato. Muszę tylko poczekać do końca roku szkolnego i pójdę, a ty nawet nie będziesz wiedział, gdzie mnie szukać. Wystarczy powiedzieć, że mam osiemnaście lat, a wezmą mnie.

— Wychowałem więc nie tylko głupca, ale i kłamcę.

— Nie musiałbym kłamać, gdybyś dał mi zgodę.

— Nigdy! Dopóki żyję...

Kristian nie tracąc spokoju odpowiedział:

— Przykro mi, tato, że tak to przyjmujesz, ale zrobię, co postanowiłem.

Od owego dnia w domu wyczuwało się napięcie. Objęło ono również sypialnię Teodora i Linnei, ponieważ tamtej nocy po raz pierwszy od ślubu się nie kochali. Kiedy dotknęła jego ramienia, mruknął niechętnie:

— Daj spokój. Nie jestem dziś w nastroju. Speszona, że odrzucił jej ofertę ukojenia akurat wtedy, gdy najbardziej było mu to potrzebne, odwróciła się na swoją stronę łóżka i przetykała łyzy.

W szkole również spokój jakby się skończył. Allen Severt, w którym energia wzbierała niczym życiodajne soki w każdym rosnącym na prerii krzewie bawełny, znów zaczął dawać się we znaki. Wpuścił kijanki do zbiornika z wodą, za książkami w biblioteczkę położył kawałek surowego mięsa, na ławce Frances rozlał syrop. Bywały chwile, gdy Linnea miała ochotę walić jego głową o ścianę. Zrobiła to pewnego dnia, gdy posunął się za daleko.

Przechodząc obok niej po południu, nonszalancko pociągnął za jej zegarek i odbił go od jej piersi. Zanim uświadomiła sobie, co robi, chwyciła go

oburacz za włosy i uderzyła głową o ścianę szatni.

— Nigdy więcej tego nie rób! — syknęła mu przed nosem, ciągnąc za włosy tak mocno, że podniosły mu się kąciki oczu. — Zrozumiałeś?

Allen był tak oszołomiony, że ani mrugnął. Młodsze dzieci patrzyły na to oczami jak talerzyki, a Frances Westgaard parsknęła cicho.

— Boli... — mruknął Allen przez zaciśnięte zęby.

— Zaboli bardziej, jeśli nadal będziesz się tak zachowywał. Załatwię ci, że wylecisz ze szkoły.

Patrząc spode łba, Allen wydawał się bardziej niechętny i wrogo usposobiony niż kiedykolwiek. Linnea wyczuwała mściwość w zimnych jasnych oczach i coś znacznie gorszego niż nieczułość. Było to okrucieństwo, z którym po prostu nie umiała sobie poradzić. Teraz zaś po raz drugi wprowadziła go w zakłopotanie przed innymi dziećmi. Czowała, że narasta w nim zemsta i dłonie jej drżały, gdy wypuściła jego głowę.

— Dzieci, idźcie do klasy — powiedziała głosem, któremu daleko było do spokoju. Allen oderwał się od ściany i potracił ją ramieniem, zmierzając do drzwi. — Ty nie, Allen! Chcę z tobą porozmawiać... Allen, wróć!

Odwrócił się u podnóża schodów i przeszył ją mściwym spojrzeniem.

— Jeszcze pani pożałuje — odparł wystarczająco cicho, by tylko ona mogła to usłyszeć, po czym odszedł, nawet nie oglądając się za siebie. Patrzyła za nim, dopiero teraz uświadamiając sobie, że kolana się pod nią uginają. Opadła na ławkę w szatni i chwyciła się za ściśnięty żołądek. Cóż, znów cię pokonał, więc co masz zamiar robić: siedzieć tutaj, trzęsąc się jak galareta, czy pomaszerować prosto do jego rodziców i powiedzieć, jakiego czarta wychowali?

Poszła do rodziców. Niestety ojca nie było w domu, matka zaś oświadczyła tylko, iż rozmawia z Allenem. Powiedziała to sucho, z protekcyjną łaskawością, unosząc jedną brew.

Jestem pewna, że porozmawiasz z Allenem, pomyślała Linnea, chociaż jej nadzieja, że chłopak zostanie zbesztany, spełzała na niczym. Dwa dni później znalazła swoją myszkę uśmierconą w pułapce. Gdy powiedziała o tym Teodorowi, chciał natychmiast pójść do Severtów i spuścić lanie chłopakowi, lecz zapewniła, że sama sobie poradzi. Sprawa ta miała zresztą również swoją dobrą stronę, tej nocy bowiem znów kochali się jak dawniej, po czym poprosiła Teodora, żeby porozmawiał z Kristianem o pójściu na wojnę, ale tym razem bez złości. Zgodził się.

Próba się nie powiodła. Odbyli rozmowę następnego dnia w stodole, jednakże lęk Teodora o życie syna jeszcze raz objawił się gniewem. Spotkanie skończyło się krzykiem, po czym Kristian pobiegł w stronę drogi.

Poszedł do Patricii, z którą ostatnio czuł się najlepiej.

— Witaj — powiedział, gdy otworzyła mu drzwi.

— Och... witaj! — Oczy jej jaśniały, rumieniec dodawał urody.

— Jesteś zajęta?

— Nie, robię na drutach. Wejdz.

— A ty nie mogłabyś wyjść? To znaczy... hmm... chciałbym z tobą porozmawiać. Na osobności...

— Oczywiście. Tylko wezmę płaszcz. Mamo — zawołała — idę na spacer z Kristianem.

Już po chwili pojawiła się w brązowym wełnianym płaszczu, z narzuconym na głowę szalem, którego końce opadały na ramiona. Oboje wsunęli ręce do kieszeni i wyszli na drogę, która wiodła przez prerię. W zbitym śniegu wyżłobione były głębokie koleiny. Północno-zachodni wiatr miał łagodne tchnienie. Niebawem zakwitną w rowach przebiśniegi. Dni stawały się coraz dłuższe. Słońce późnego popołudnia ogrzewało im twarze. Musiał porozmawiać, ale nie teraz. Teraz pragnął po prostu iść obok Patricii... właśnie tak... by łokcie delikatnie ocierały się o siebie. Gdy wyjęła dłoń z

kieszoni płaszcz, postąpił tak samo. Teraz musnęli się palcami... raz i drugi... aż w końcu ujął ją za rękę. Ścisnęła go lekko i podniosła wzrok, w którym było coś więcej niż uśmiech — było to spojrzenie rosnącej świadomości i ufności. Na dwa kroki oparła głowę na jego ramieniu, potem szli dalej bez słowa.

Kristian odezwał się dopiero w drodze powrotnej.

— Zdarza ci się dostawać mdłości od ciągłego patrzenia na tę samą starą drogę i te same pola? — zapytał.

— Czasami.

— Zastanawiasz się, jak jest poza granicami okręgu Dickinson?

— Byłam poza granicami okręgu Dickinson. Tam jest tak samo jak tutaj.

— Mam na myśli coś innego. Góry... oceany... Nie jesteś ciekawa, jak wyglądają?

— Nieraz się nad tym zastanawiam. Ale nawet gdybym je zobaczyła, na pewno chciałabym tutaj wrócić.

— Skąd masz tę pewność?

— Bo ty tutaj jesteś — powiedziała otwarcie, podnosząc ku niemu wzrok.

Przystanął. Jej niebieskie oczy były jasne i stanowcze, usta smutne. Brązowy szal zsunął się z głowy i marcowy wiatr zwichrzył jej włosy. Dziewczęca dłoń w jego szerokiej ręce wydawała się taka krucha! Przeżył moment zwątpienia co do słuszności swej decyzji o udaniu się na wojnę.

— Patricio... — z trudem przełknął ślinę, nie wiedząc, jak ubrać swe uczucia w słowa.

— Wiem — odparła na to, czego mogła się domyślać. — Ja też to czuję.

Pochylił się, żeby ją pocałować. Patricia wspięła się na palce, unosząc usta i opierając dłonie na jego piersi. Był to czysty, nieśmiały pocałunek, lecz nappełnił ich serca pierwszą miłością, podczas gdy wokół ziemia gotowała się do wiosny, ożywczej pory młodości.

Jednocześnie ruszyli dalej, z powrotem przez dziedziniec domu jej rodziców, choć nie chcieli się jeszcze rozstawać.— Może wejdziemy do szopy? — zapytała. — Moglibyśmy połuskać kukurydzę dla kurcząt.

Kristian się uśmiechnął. Patricia poprowadziła go na drugi koniec podwórka i wyjęła kolbę kukurydzy ze skobla na prostych drewnianych drzwiach. Podążył za nią do tego połowicznego ustronia. W środku słońce padało przez pochyłe ściany na stertę wyschniętych żółtych kaczanów. U stóp owej sterty stała prosta drewniana skrzynka z przywiązaną ręczną łuszczarką, a obok zydel zrobiony ze starego kłoca. Kristian usiadł, umieścił kukurydzianą kolbę w łuszczarce i zaczął kręcić ręczną korbą. Patricia przyglądała mu się uważnie. W szopie chroniącej od wiatru było ciepło, słońce przeświecało przez szpary w ścianie. Patricia zdjęła szal i rozpięła płaszcz. Kiedy Kristian uporał się z pierwszą kolbą, wręczyła mu następną. Gapił się na kolbę obracającą się w zębach łuszczarki, a Patricia wpatrywała się w jego ramiona. Gdy kolba była do połowy wyłuskana, wypuścił rączkę łuszczarki i odwrócił się do Patricii. Nie przyszli tutaj, by łuskać kukurydzę, i oboje o tym wiedzieli.

— Co by powiedziała twoja mama, gdyby wiedziała, że jesteśmy tutaj?

— Chyba już o tym wie. Przechodziliśmy przecież tuż obok domu.

— Ach, tak... — powiedział. Pragnął, by znalazła się bliżej, czuł się jednak niezręcznie, siedząc obok niej, ktoś bowiem mógł ich zobaczyć przez szpary w ścianie.

Na chwilę zawisło między nimi wahanie, wreszcie Patricia roześmiała się i uniosła pęczek wysuszonych jedwabistych kukurydzianych wąsów.

— Zobaczmy, jak byś wyglądał z wąsami.

Kolby potoczyły się na boki, gdy uklękła przed nim i przyłożyła mu pod nosem jedwabistą kępkę. Połaskotało go, więc cofnął głowę i podrapał się nad górną wargą. Zaśmiała się i przyciągnęła go, chwyciwszy za klapę marynarki.

— Nie szarp się tak. Chcę zobaczyć.

Pozwolił, aby jeszcze raz przyłożyła mu pod nosem kukurydziany wąs. Przyglądała się badawczo.

— No i jak?

— Wspaniale.

Gdy tak klęczała przed nim, wstęgi światła i cienia kładły się na jej twarzy, a przez ściany z desek cicho pogwizdywał wiatr.

— Myślisz, że powinienem zapuścić wąsy? — zapytał, ledwie świadom, co mówi, bo myślał tylko o niej; o tym, jak ślicznie wygląda z ustami w kolorze zachodzącego słońca i wpatrzonymi w niego oczami ocienionymi długimi rzęsami.

— Nie wiem. Myślę, że najpierw powinnam cię pocałować, a potem zdecydować.

— No to pocałuj.

Pocałowała go przez swoje palce i jedwabisty kukurydziany wąs. Zachichotali. Kiedy Patricia wstała, stanęli blisko siebie, patrząc sobie w oczy.

— Och, Kristian... — szepnęła dokładnie w tej samej chwili, gdy on wyszeptał jej imię.

Nie potrzebowali już żadnego pretekstu. Kukurydziane źdźbło spadło na kołnierz jego kurtki, gdy zarzuciła mu ramiona na szyję. Przywarli do siebie, obejmując się mocno. Kristian nieśmiało przesunął językiem po jej ustach. Trzeba było nieco pieszczoty, by zrozumiała, czego od niej oczekuje, i rozchyliła usta.

Gorący dotyk rozkołysał oboje, a kiedy pocałunek się skończył, cofnęli się i wpatrywali w siebie, wciąż nieco oszołomieni odkryciem.

— Myślę o tobie cały czas — wyszeptała.

Odgarnął pasmo złocistych włosów, które opadło jej na czoło.

— Ja też o tobie myślę. Chciałem z tobą o czymś porozmawiać, ale kiedyśmy się zaczęli całować, o wszystkim zapomniałem.

— O czym chciałeś porozmawiać?

— Mieliliśmy z ojcem okropną awanturę... prawdę mówiąc dwie.

— O co?

Odwrócił się i znów zaczął łuskać kukurydzę. W hałasie łuszcarki i chrobocie spadających ziaren wydało jej się, że powiedział, iż chce wstąpić do wojska. Ale to niemądre. Kto by chciał iść na wojnę?

— O co? — powtórzyła.

Tym razem się odwrócił i zobaczyła ruch jego warg.

— Chcę wstąpić do wojska — powiedział głośniejszym głosem, wciąż kręcąc metalową korbą.

Położyła dłoń na ręce Kristiana, zmuszając go, by przestał. — Wstąpić do wojska? Chcesz iść na wojnę? Skinął głową.

— Wiosną. Jak tylko skończę szkołę.

— Ależ, Kristianie...

— Pewnie zamierzasz spierać się ze mną jak ojciec. Stropiona wpatrywała się w niego przez chwilę, potem usiadła z rękami splecionymi na udach.

— Dlaczego? — zapytała.

— Chcę latać samolotami i... i chcę zobaczyć więcej tego świata niż miasteczko Alamo w Północnej Dakocie!... Do licha, nie wiem dlaczego!

Kiedy się zerwał, przytrzymała go w miejscu. — Nie możesz tego zrobić nie wstępując do wojska?

— Nie wiem. Ojciec mówi, że jestem farmerem, i chyba się boję, że jeśli nie zrobię tego teraz, prawdopodobnie będę farmerem do końca życia, a może mógłbym być kimś więcej. Ale jak próbuję z nim o tym rozmawiać, wścieka się i wrzeszczy.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sama miewała ostatnio z rodzicami utarczki, które wybuchały bez powodu.

— Myślę, że takie kłótnie z rodzicami to jakiś etap dorastania.

Była taka spokojna, taka rozsądna, a patrzenie na nią sprawiało, iż chwiało się w postanowieniach.

— A co ty byś pomyślała, gdybym wyjechał? Przez chwilę wpatrywała się w niego uważnie.

— Czekałabym na ciebie — odparła cicho. — Czekałabym tak długo, jak długo byłoby to konieczne.

— Naprawdę?

Z powagą skinęła głową.

— Bo myślę, że cię kocham, Kristianie.

Kristian ostatnio nieraz myślał tak samo, jednakże dźwięk słów wypowiedzianych przez Patricię był jak cios wymierzony w jego zmysły. W jednej chwili chwycił ją w ramiona, znów zamykając w uścisku.

— Nie powinniśmy tego mówić — szeptał. — Nie teraz, gdy zamierzam wyjechać. Bo wszystko staje się trudniejsze...

Przywarła do niego mocno.

— Och, Kristianie... możesz zginąć. Słowa Patricii stłumił kołnierz chłopięcej kurtki. Kiedy ich usta się spotkały, Kristian wsunął jej drżącą niepewną dłoń pod płaszcz. Przesuwał ją po plecach i biodrach, w końcu sięgnął do piersi.

Patricia wstrzymała oddech, oderwała usta od jego ust.

— To grzech — wyszeptała.

— Jest wojna — odparł równie cicho.

Zatrzymała jego dłoń, uniosła ją sobie do ust i pocałowała.

— Więc zostań — poprosiła.

Kristian wszakże całując ją po raz ostatni wiedział, że Patricia jest częścią tego, co zatrzymałoby go tutaj na całe życie, gdyby w czerwcu nie wyjechał.

ROZDZIAŁ 22

Wiosna przyszła na prerię niczym młoda dziewczyna, która z myślą o pierwszych tańcach stroi się i wdzięczy. Wykapana w lekkich deszczach pojawiła się bezśnieżna i świeża, po czym wyszła w ciepłych bryzach i przeciągając się pod dobrotliwym słońcem, pozwoliła grzebieniowi wiatru czesać włosy traw, aż uniosły się i rozfalowały. Musnęła piersi tęsknym zapachem ziemi i słońca, by ożywić życie. Przywdziała też wdzięczny kapelusz ozdobiony krokusami, przebiśnigami i zawilcami, rozwiała szlafroczek z wierzbowego puszkę, po czym lekkim krokiem ruszyła w pierwszy taniec na ożywczym kwietniowym wietrze.

Zwierzęta wróciły jak na zawołanie. Prązkowane susły siadały obok świeżo wykopanych nor, a potem ścigały się rozdokazywane. Preriowe pieski poszczekiwały o zmroku i skomlały ku swoim partnerkom. W nizinnych zaroślach pojawiło się ptactwo: dzikie kaczki i gęsi. A na końcu, choć nie najmniej ważne, wróciły do domu konie.

Wiedzione instynktem istot, które znają swój cel, ze zmierzwioną gęstą sierścią pojawiły się pewnego wieczoru u ogrodzenia pastwiska, jakby przywiódł je do domu dźwięk ostrzenia lemieszy rozchodzący się po prerii. Wybiegli wszyscy na pastwisko, aby je przywitać. Linnea obserwowała to spotkanie ze świeżym uczuciem uznania dla farmera i jego koni. Nos przy nosie, tchnienie przy tchnieniu — oto jak się porozumiewali: człowiek i zwierzę szczęśliwi, że znów są razem. Teddy i Kristian pieszczotliwie drapali szerokie końskie czoła, okrążali zwierzęta, poklepywali po grzbietach, sprawdzali stan kopyt. Linnea patrząc, jak Teddy przesuwając ręką pod brzuchem żrebnej klaczy, wspomniała jego pokrzykiwania na syna: „Ja mam

rodzinę, a on dopiero zbliża się do dorosłości", wołał.

Co powie, jeśli jej przypuszczenia się sprawdzą? Już raz nie pojawiła się comiesięczna kobieca dolegliwość. Chciała jeszcze trochę odczekać, upewnić się, zanim przekaże mu nowinę. Nie rozmawiali o dzieciach, ale jeśli istotnie zaszła w ciążę, Teddy z pewnością będzie uszczęśliwiony tak jak ona.

Mijały kwietniowe dni i zaczęła się orka, ale starsi chłopcy nadal codziennie przychodzili do szkoły. Linnea nie miała pewności, czy to zasługa tego, iż nauczycielka jest żoną Teodora Westgaarda, czy też farmerzy wzięli sobie do serca jej wcześniejsze przekonywania.

W czwartym tygodniu kwietnia Teodor skończył trzydzieści pięć lat. Gdy wieczorem przygotowywali się do snu, Linnea objęła męża i pocałowała w policzek.

— Byłeś dziś trochę nie w humorze. Czy coś się stało? Oparł dłonie na jej ramionach i spojrzał w dociekliwe oczy.

— Jestem o rok starszy. To nie wystarczy?

— Mam dla ciebie prezent urodzinowy, który chyba poprawi ci nastrój.

Uśmiechnął się krzywo i ujawszy Linneę za uszy, żartobliwie poruszał jej głową z boku na bok.

— To ty poprawiasz mi nastrój. Samą swoją obecnością. Po cóż mi inne prezenty?

— Ale ten prezent jest wyjątkowy.

— Ty też jesteś wyjątkowa — rzekł miękko, puszczać jej uszy i tęsknie całując ją w usta.

Gdy przestali się całować, Linnea przytulona do męża spojrzała w jego piwne oczy.

— Będziemy mieli dziecko, Teddy.

Natychmiast poczuła zmianę: zeszywniał i odsunął się.

— Dzie... Skinęła głową.

— Myślę, że to drugi miesiąc

— Dziecko! — Jego zaskoczenie przeszło w zwykłą irytację. — Jesteś pewna?

Serce w niej zamarło.

— Myślałam, że będziesz zadowolony.— Zadowolony?! Mówiłem ci już dawno, że nie chcę więcej dzieci! Jestem za stary!

— Och, Teddy, wcale nie jesteś za stary! To jakaś obsesja.

— Nie mów mi, że to nieprawda. Mam wystarczająco dużo lat, by mój pierworodny chciał iść na wojnę, a ty oczekujesz, że będę się cieszył z narodzin następnego, który znowu mi zgotuje taką udrękę?

Była tak zraniona, że nie wiedziała, co powiedzieć, lecz rozgoryczenie okazało się zbyt silne, aby wywołać łzy. Stała sztywno, zastanawiając się, jak znieść ogrom rozpacz, która zagnieździła się w niej obok rosnącego płodu. Cała ekscytacja, jaką czuła, zniknęła w jednej chwili. Pozostało jedynie rozczarowanie.

— Poza tym — mówił dalej zirytowany — prawie w ogóle nie nacieszyliśmy się sobą. Niewiele czasu spędziliśmy sami. Trzy miesiące... nawet niecałe trzy miesiące, a ty już jesteś w ciąży. — Zaklął cicho pod nosem i siadłszy na łóżku, wziął się za głowę.

— A ty czego się spodziewałeś, skoro praktycznie nie opuściliśmy ani jednej nocy?

Teodor poderwał głowę.

— Nie zarzucaj mi tego teraz — odparł ostro. — To ty stale powtarzałaś: „Spróbujmy tego... spróbujmy tamtego”! — zakończył zjadliwym tonem.

Rana była coraz głębsza. Linnea ścisnęła brzuch.

— Teddy, noszę twoje dziecko. Jak możesz go nie chcieć? Skoczył na równe nogi.

— Nie wiem. Po prostu nie chcę i już. Chcę, żeby wszystko było jak

dotąd. Ty i ja. I Kristian w polu, gdzie jest jego miejsce. I żadnych rozmów o wojnie i... i... A niech to wszystko szlag trafi!!! — krzyknął i wybiegł z sypialni.

Patrzyła na drzwi, trzymając się za brzuch i myśląc, jak człowiek, którego kochała tak głęboko, mógł ją równie głęboko zranić. Jak mógł powiedzieć te wszystkie okropieństwa o uprawianiu miłości, jakby nigdy nie czuł tych samych cudownych pragnień i potrzeb, jakie ona czuła?

Włożyła nocną koszulę i wsunęła się do łóżka. Leżała sztywno z kołdrą wciśniętą pod rękę, wpatrując się w sufit. Myśląc. Rozpaczając. Czekając. Dziwne... Łzy najwyraźniej nie chciały towarzyszyć najboleśniejszym ranom w jej życiu... Leżała z suchymi oczami, modląc się, by Teodor wrócił i wziął ją w ramiona, i powiedział, że mu przykro, że był niemądry i że bardzo chce tego dziecka.

Nie zrobił tego jednak. Zgasił lampę, rozebrał się w ciemności, położył obok niej i odwrócił plecami. Czuła jego niechęć równie dotkliwie i namacalnie, jakby ją uderzył.

Następnego dnia poszła do szkoły sama. Przy śniadaniu nie zamienili ani słowa, toteż podjęła samotny marsz przez prerię niemal ulgą, pozwalając bowiem uniknąć napięcia.

Był to Dzień Drzewa; dzień, w którym każdy obywatel ma zasadzić jedno drzewko. Wraz z dziećmi spędziła go tradycyjnie na porządkowaniu otoczenia szkoły. Uczniowie przyniesionymi z domów grabiami uprzętaли szkolny dziedziniec od jednego końca do drugiego. Później starsi chłopcy malowali toalety, dziewczęta zaś myły okna. Dzień był słoneczny i tak ciepły, że kilkoro dzieci zdjęło buty i skarpetki, aby pobiegać boso. Po uporządkowaniu podwórka mieli pójść do podnóża przełęczy, by wybrać tam młode drzewo, wykopać je i przesadzić na szkolny dziedziniec.

Zebrane śmieci ułożono w stertę i podpalono. Linnea, która pilnowała

ognia, uniósłszy w pewnej chwili wzrok zobaczyła Teodora i Johna przejeżdżających obok w odkrytym powozie. Serce zabiło jej mocniej.

— Dzień dobry! — zawołał John, machając ręką.

— Dzień dobry! — odkrzyknęła. — Gdzie jedziecie?

— Do miasta.

— Po co?

— Zespawać lemieszki i kupić różne rzeczy.

— Powodzenia!

Pomachała mu serdecznie, John odpowiedział uśmiechem. Teodor pozdrowił ją niewyraźnym gestem dłoni. Patrzyła za nimi, aż zniknęli.

O wpół do pierwszej skończyli pracę na podwórku, zalali wodą ognisko i z woreczkami śniadaniowymi skierowali się ku przełęczu. Roseanne i Jeanette podskakiwały, trzymając się za ręce i śpiewając piosenkę o wesołym maju. Allen Severt znalazł małą jaszczurkę i dokuczał nią dziewczętom. Patricia Lommen i Kristian szli obok siebie, ocierając się ramionami.

Znaleźli słoneczną przecinkę, gdzie rozłożyli się w trawie, by spokojnie zjeść drugie śniadanie. Kilkoro dzieci próbowało brodzić w wodzie, ale struga wciąż była lodowata, wróciły więc do wiosennych odkryć, szukając wzdłuż brzegów gniazd dzikich kaczek, badając mrowiska i przyglądając się podróży pary zielonych gąsienic.

W końcu Linnea spojrzała na zegarek i postanowiła, że czas już znaleźć drzewko, jeśli chcą je zasadzić tego dnia. Wybrali proste, zdrowe drzewko ze srebrzystą korą i grubymi pączkami w kolorze pistacji. Starsi chłopcy wykopali je i umieścili we wiadrze, żeby zanieść do szkoły.

Zrobili wspaniałą wycieczkę, wędrując swobodnie przez prerię. Młodsze dzieci podskakiwały radośnie, ścigając susły, starsze na zmianę niosły drzewko. Przechodzili właśnie przez wstęgę pszenicznych pól leżących na północ od szkoły i już widzieli dzwonnice, gdy zimny prąd powietrza

przepełnął przez równinę, wzbijając do lotu wielkie stado kosów, które zerwały się z ochrypłym skrzeczeniem. Maluchy zadrżały z zimna. Roseanne zarzuciła na siebie spódnicę, zamieniając ją w pelerynę.

Libby idąca tuż przed Linneą przystanąła.

— Co to? — zapytała, wskazując palcem ku zachodowi. Wszyscy się zatrzymali. W ich stronę zmierzała olbrzymia masa bieli.

— Nie wiem — odpowiedział czyjś przestraszony głos. — Proszę pani, co to jest?

Szarańcza? Linnea zeszywniała z trwogi. Słyszała o szarańczy, która pojawiała się nagle i niszczyła wszystko na swej drodze. Ale na szarańczę było jeszcze za wcześnie. Tuman pyłu?... Piach?... Pył również mógł nagle zaciemnić niebo, lecz był brunatny, nie biały. Stali oszołomieni w oczekiwaniu, gdy ściana bieli wciąż posuwała się w ich stronę.

— Śnieg... — wyszeptał ktoś na kilka sekund przed uderzeniem.

Śnieg?! Linnea nigdy nie widziała śniegu takiego jak ten. Uderzył niczym tysiąc pięści, w jednej chwili otaczając ich nieprzeniknioną ścianą bieli. Rozszalały wiatr szarpał za włosy i wciskał się pod ubranie.

Małe dzieci krzyczały ze strachu. Linnea potknęła się o kogoś. Wielki Boże, już metr przed sobą nic nie widziała! Chwyliła najbliższe dziecko za rękę.

— Weźcie się za ręce! — krzyknęła. — Szybko! Tony, podaj rękę! — zawołała do chłopca stojącego za nią. — Macie iść za moim głosem i mocno trzymać się kolegi. Pobiegniemy razem! — Zachowała dość przytomności umysłu, by pospiesznie sprawdzić, czy są wszyscy. — Roseanne?... Sonny?... Bent?... — wywołała kolejno czternaście imion.

Kiedy wszyscy się zgłosili, ruszyli wzdłuż polnych brzd. Małe dzieci płakały teraz, idąc boso. Po kilku minutach brzdy się skończyły, Linnea zaś

zaczęła się modlić, by nie pobłądzili. W białym wirze trudno było się orientować, lecz trzymając się razem, parli do przodu. Śnieżnego wiru nie tworzyły duże lekkie płatki, które spadając późną wiosną, natychmiast się roztopiają. Te były typowo zimowym burzowym śniegiem niesionym przez przerażająco zimne powietrze.

Nie mieli pojęcia, że są już blisko szkolnego dziedzińca, dopóki Norma nie wpadła na krzew bawełny. Uderzyła o niego i przewróciła się z płaczem, pociągając za sobą dwoje innych dzieci.

— Chodź, Normo. — Raymond wziął ją na ręce, podczas gdy Linnea, Kristian, Patricia i Paul na oślepe prowadzili pozostałe dzieci przez dziedziniec. Aż trudno uwierzyć, że zaledwie kilka godzin wcześniej grabili go wesoło.

Nie było sensu szukać teraz bucików, które zostały w trawie. Wszystkie zasypał śnieg. Trzęsące się z zimna piknikowe towarzystwo wdrapało się na schody, bose dzieci potykały się z płaczem.

W środku zbili się w drżącą grupę, z trudem chwytając oddech. Roseanne usiadła ciężko, płacząc i oglądając sobie zsiniały palec.

Linnea najpierw policzyła uczniów, potem spytała:

— Kristian, możesz jeszcze raz wyjść na zewnątrz?

— Tak.

— Przynieś węgla...

Chłopak ruszył do komórki, zanim dokończyła zdanie.

— Raymond, przynieś wodę — wydała kolejne polecenie drugiemu z najstarszych uczniów, który zerwał się i chwycił wiadro na wodę. — Zaczekaj! — krzyknęła. W takich zamieciach ludzie mogli się zgubić między domem a stodołą, wychodząc do wieczornego obrządku. — Odwiąż najpierw sznur od dzwonu i przywiąż go do ręki.

— Dobrze, proszę pani. — Chłopiec bez wahania ruszył w stronę szatni.

— Paul, idź z nim i trzymaj drugi koniec sznura, gdy Raymond pójdzie do

studni. Kto jest boso, niech wytrze stopy w fartuszek. Dziewczęta, podzielcie się fartuszkami z chłopcami. Nie martwcie się, że się zabrudzą. Mamy je wypiorą, jak wrócicie do domów. Wiem, że palce wam marzną, ale Kristian zaraz napali w piecu i ogrzejemy się. Komu zostało jeszcze coś do jedzenia?

Sześć rąk uniosło się w górę.

— Zgubiłam woreczek śniadaniowy — rozległ się cichy głos. — Mama będzie się gniewać.

— Nie będzie, Roseanne. Wyjaśnię jej, że to nie twoja wina. Obiecuję.

Mimo tych zapewnień Roseanne zaczęła płakać i trzeba ją było utulić.

Patricia i Frances miały się zaopiekować młodszymi dziećmi i zająć je czymś, aby odwrócić ich uwagę.

Kristian wróciwszy, napalił w piecu. Allen i Tony mieli co pewien czas odśnieżać schody i pilnować, by otwierały się drzwi. Kiedy w końcu wszyscy usiedli na tyle wygodnie, na ile było to możliwe, Linnea odwołała Kristiana na bok.

— Jak dużo mamy węgla?

— Myślę, że wystarczy.

— Myślisz?

Był koniec kwietnia. Kto by pomyślał, że trzeba będzie się tym martwić, gdy na prerii rozkwitną już polne kwiaty? Jak mogło zrobić się tak zimno o tej porze roku? I jak długo mogła trwać taka zamięć, gdy maj był za pasem?

Kristian ścisnął ją za rękę.

— Nie martw się, to nie może trwać długo. Jednakże Linnea myślała o zamieci z roku 1888. Podeszła

do swego biurka, sięgnęła po jakiś zeszyt i dokonała pierwszego wpisu, mając nadzieję... modląc się... by nikt nie musiał tego czytać: „27 kwietnia 1918 roku, godz.15.40. Chwyciła nas zamieć w drodze powrotnej znad strugi, dokąd udaliśmy się, aby wykopać drzewko na Dzień Drzewa i zjeść tam drugie

śniadanie. Przedpołudnie było tak ciepłe, że kilkoro dzieci bosy sprzątało szkolny dziedziniec..."

Nagle jej pióro znieruchomiało. Poderwała głowę. Teodor i John!

Spojrzała w okna, jakby zamalowane na białą, posłuchała wiatru wyjącego w kominie i poruszającego gontami. Ze ściśniętym sercem obejrzała się na Kristiana. Kucał przy piecu wraz z innymi dziećmi, rozmawiając z nimi cichym głosem. Wstała i pierwszy raz od chwili uderzenia śnieżnej zamieci poczuła strach. Podeszła do okna, dotknęła jego krawędzi i wpatrzyła się w biel uderzającą w szyby. Trójkątne zasy zalegały już w kątach okien, poza tym wszystko spowijała śnieżna zasłona. Odwróciła się.

— Przepraszam cię, Kristianie — rzekła na pozór spokojnie. — Czy mógłbyś podejść tu na chwilę?

Zerknął przez ramię i wstał.

— Kristianie — starała się mówić swobodnie — czy przed południem, gdy sprzątaaliśmy dziedziniec, widziałeś, jak ojciec i John jechali do miasta?

Spojrzał za okno, a później na nią. Powoli wysunął dłoń z kieszeni, na jego twarzy pojawił się lęk.

— Nie.

Przyjęła jeszcze lżejszy ton.

— Cóż, na pewno zdążyli dotrzeć do miasta i siedzą teraz w sklepie z narzędziami albo w ciepłej kuźni.

— Tak... — odparł Kristian dalekim głosem, znów spoglądając w okno. — Na pewno...

Kiedy wrócił do dzieci, zmusiła się do odczekania pełnych pięciu minut, nim podeszła do nich.

— Raymond, trzeba chyba uderzyć w dzwon. Przyszło mi do głowy, że nie tylko nas mogła zaskoczyć zamieć. Może dobrze byłoby dzwonić w regularnych odstępach czasu...

Z wielkim trudem przychodziło jej zapanować nad głosem i wyrazem twarzy.

— Ale dlaczego? — dopytywała się niczego nieświadoma Roseanne.

Linnea pogładziła ją po ciemnych włosach i spojrzała na uniesioną buzię o wielkich orzechowych oczach dziecka, które było za małe, aby zrozumieć zakres prawdziwego niebezpieczeństwa.

— Jeśli ktoś jest teraz na zewnątrz, dźwięk dzwonu może wskazać mu drogę — wyjaśniła. — Szukam ochotników, którzy będą uderzać w dzwon co minutę. Możecie na zmianę robić to parami. Zostawimy otwarte drzwi, żeby w szatni nie było tak zimno. Kristian zerwał się niezwłocznie, ścigany wzrokiem Patricii, której zmartwione oczy spoczywały na nim przez cały czas.

— Proszę pani — odezwał się Skipp — czy ojcowie przyjadą po nas do szkoły?

— Obawiam się, że nie, Skip. Dopóki nie ustanie zamieć.

— To znaczy, że może zostaniemy tu przez całą noc?

— Może.

— A... a gdzie będziemy spać?

— Na podłodze... A gdzież by indziej, głupolu? — odpowiedział Allen Severt.

— Allen! — upomniała go ostro Linnea.

— Chciałbym wiedzieć, co będzie z kolacją — wojowniczo domagał się wyjaśnień Allen.

— Podzielimy się tym, co zostało w woreczkach śniadaniowych, i...

— Jabłka nikomu nie dam! — przerwał jej ostro. Linnea zignorowała go i mówiła dalej:

— Mam zapas sucharków i rodzyнки. Jest woda i trochę herbaty, ale będziemy się o to martwić, jak nadejdzie pora kolacji. Czemu tymczasem nie wymyślicie jakiejś zabawy, by się czymś zająć? Jeśli jeszcze się nie

domyślacie, lekcji już dziś nie będzie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

W górze rozdzwonił się dzwon. Linnea odruchowo spojrzała na zegarek: 15.55. „Będziemy dzwonić w szkolny dzwon co pięć minut, by sprowadził wszystkich, którzy się zgubili ostatniej nocy...”

Jednakże nie mogła usiedzieć przy biurku. Wabiło ją okno. Stała przy nim drżąca, wpatrzona w ścianę bieli. Oparła dłonie na parapecie, splatając palce tak mocno, że zbieleły jej kostki. Z zamkniętymi oczami i czołem opartym o lodowatą szybę zaczęła w myślach odmawiać modlitwę.

Przez całą drogę z miasta konie zachowywały się narowicie. Teodor stale spoglądał w niebo, na horyzont, drogę za sobą i przed sobą, zastanawiając się nad ich nerwowością. Pewnie wyczuwają kojoty, pomyślał. W tej okolicy zawsze trzeba mieć się przed nimi na baczności. Płoszyły konie. Nie atakowały, ale sprawiały, że konie rzucały się do ucieczki. Właśnie dlatego Teodor woził ze sobą strzelbę — żeby odstraszać kojoty, nie żeby je zabijać. Kojoty żywiły się szkodliwymi gryzoniami, więc zabijać ich nie należało.

Nie widząc żadnego zagrożenia, wrócił myślami do Linnei. Nie powinien być dla niej taki szorstki, ale... do licha!... ona nic nie rozumie! Jest za młoda, żeby rozumieć! Wychowuje się chłopaka, wiąże z nim wszelkie nadzieje, widzi, jak rośnie, karmi się go, kocha, zapewnia wszystko, co trzeba. A potem bezradnie się patrzy, jak taki dzieciak wbija sobie do głowy różne idiotyzmy i naraża życie.

Z drugiej strony był też jednak niesprawiedliwy. Dręczyło go, że tylko ją obwiniał o zajście w ciążę, jakby nie miał w tym udziału. Niezadowolony z siebie skierował myśli na co innego.

Wróciły już błotne sowy, gniazdując w opuszczonych w zeszłym roku borsucznych norach, co było widomym znakiem, że wiosna przyszła na dobre. Polne króliki zmieniały białe futerka na brunatne. Ulmer mówił, że widział już

pstrągi. Może we trzech — Teodor, Ulmer i John — niebawem wybiorą się na nie.

— Ulmer mówi, że widział już pstrągi.

John uniósł brwi w wyrazie miłej nadziei, lecz nie powiedział ani słowa.

— To dobrze, co?

— Jasne.

— Gdybyśmy jutro rano wstali wcześniej, moglibyśmy powędkować...

Zadowoleni jechali dalej, wyobrażając sobie dorodne tęczowe ryby padające na brzeg, a potem skwierczące na patelni. Koń szarpnął się narowicie.

— Och... spokojnie, mały! — Teodor zmarszczył brwi. — Nie wiem, co się z nimi dzisiaj dzieje.

— Może czują wiosenną gorączkę. Teodor zaśmiał się cicho.

— Ten jest za stary na te rzeczy.

— Coś się dzieje przed nami — zauważył John. Teodor zmrużył oczy.

— Wygląda jak śnieg.

— Nie. Wyszło słońce. — John odchylił się i spojrzał w błękitne niebo.

— Nigdy nie widziałem takiego śniegu, ale co by to innego mogło być?

Pierwsza fala lodowatego wiatru z całej siły uderzyła ich w twarze.

— To jednak śnieg.

— Taki gęsty? Nie widać drogi. Wyteżali wzrok, nadzwyczaj zaskoczeni.

— Lepiej podnieś kołnierz. Wygląda na to, że wiosnę zostawiliśmy za sobą — rzekł kwaśno Teodor, po czym spokojnie opuścił podwinięte rękawy i głębiej nasunął na głowę kapelusz.

Ściana wiatru i śniegu uderzyła w nich tak, że zakołysali się na siedzeniach powozu. Konie tańczyły nerwowo i stawały dęba, podczas gdy Teodor z niedowierzaniem wypatrywał oczy. Boże, nie widział nawet końskich

łbów! Miał wrażenie, że ktoś otworzył tamę, która powstrzymywała Arktykę. Niczym lawina spadła na nich gęstwa śniegu zrodzonego z przerażającej fali chłodnego powietrza, które robiło się coraz zimniejsze.

Wyteżając wszystkie siły Teodor w końcu zapanował nad zwierzętami. Chociaż jednak ruszyły do przodu, nie miał pojęcia, gdzie je kierować, więc pozwolił, by zdały się na własny instynkt.

— Myślisz, że to tylko krótka śnieżycza, John? — krzyknął.

— Nie wiem. Powietrze przypomina lód, prawda? Powietrze było lodem.

Kłującym w policzki i powieki,

wciskającym się za kołnierze.

— Co robimy? Jedziemy dalej? — zawołał Teodor.

— Myślisz, że konie potrafią trzymać się drogi? — krzyknął w odpowiedzi John.

Właśnie wtedy zwierzęta same odpowiedziały na to pytanie, stając i rżąc gdzieś w śnieżnej zasłonie, która sprawiała, że ich nie widzieli.

— Wio! — krzyknął Teodor, lecz na klepnięcie lejcami konie tylko płochliwie się szarpnęły na boki.

Klnąc pod nosem, Teodor wręczył lejce bratu.

— Spróbuję je poprowadzić.

Zeskoczył i pochyliwszy się na wietrze zmierzał ku końskim łbom, ale kiedy chwycił uzdę jednego z koni, obydwie zwierzęta stanęły dęba i zaczęły z nim walczyć. Teodor kłął i szarpał uzdę, lecz koń przewracał oczami i wierzgał. W tej sytuacji Teodor zrezygnował i wrócił do wozu.— John — krzyknął — jak daleko możemy być od farmy Nordquista?

— Chybaśmy ją minęli.

— Nie, jest przed nami.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— Moglibyśmy wyprząc konie i pojechać wierzchem. Dowiozłyby nas do domu.

— Ale czy go zobaczymy?

— Nie wiem. A co innego można zrobić?

— Moglibyśmy iść wzdłuż ogrodzenia.

— Nie wiem, czy tu w ogóle jest jakieś ogrodzenie.

— Poczekaj, sprawdzę.

Teodor zostawił wóz i ruszył po omacku, rękami szukając ogrodzenia. Nie uszedł nawet pięciu kroków, gdy zapadł się w śnieg. Musiał podążać za głosem Johna, by wrócić do powozu.

— Nie ma ogrodzenia — powiedział, siadając obok brata. — Popędź konie!

— Wio! — krzyknął John i mocno uderzył lejcami. Tym razem konie ruszyły odważnie, ale już po kilku

chwilach straciwszy orientację, znów zaczęły się płoszyć. Teodor wziął od brata lejce i próbował je zmusić, jednakże na darmo.

Temperatura stale opadała. Teodorowi palce przymarzały do cugli, zsunięte rękawy koszuli dawały niewielką ochronę przed nieoczekiwanym gniewem natury. Zachodni wiatr smagał bezlitośnie, nadając ich twarzom kolor jaskrawej czerwieni.

Jeszcze głębiej wcisnąwszy na głowę kapelusz, Teodor analizował sytuację.

— Chyba najlepiej będzie przeczekać — stwierdził w końcu.

— Przeczekać?! Gdzie?

— Pod wozem, tak jak kiedyś ojciec. Pamiętasz, jak nam o tym opowiadał?

John spojrzał sceptycznie.

— Nie lubię ciasnych przestrzeni, Teddy. Teodor klepnął Johna w

kolano.

— Wiem, ale musimy spróbować. Robi się za zimno, żeby zostać na wietrze. John namyślał się przez chwilę, potem skinął głową.

— W porządku. Skoro uważasz, że tak będzie najlepiej. Zsiadli z wozu i Zesztywniałymi palcami odwiązali dyszel.

Położywszy go na ziemi, ustawili obok niego worki z mąką, cukrem i ziarnem, po czym jak najdokładniej odgarnęli śnieg. Postawili wóz kołami do góry na workach, konie przywiązali do koła.

Teodor przykląkł i najpierw wsunął pod wóz strzelbę, potem wczołgał się bokiem, drżąc z zimna i patrząc, jak ciężkie buty Johna nerwowo szurają po drugiej stronie otworu.

— Dajże spokój, John. Tu jest lepiej niż na wietrze.

— W kryjówce jego głos był dziwnie zduszony.

John znów niespokojnie Zaszurał butami, w końcu pochylił się, wczołgał do środka i położył, wpatrując się szeroko otwartymi szklanymi oczami w cienką smugę światła.

Kamienie i suche badyle zeszłorocznego zielska wbijały się Teodorowi w zębra. Choć starał się dokładnie otrzepać ze śniegu, trochę go jednak pozostało i teraz topniał na koszuli przywierającej do skóry lodowatymi płatami. Coś kolczastego drapało go przez rękaw, kłując w przedramię.

— Spróbuj ułożyć się wygodnie — rzekł Teodor. Próbował wygarnąć spod żeber największe kamyki i suche badyle, wreszcie legł z łokciem pod głową. John się nie ruszał. Teodor dotknął jego ramienia. — John, boisz się? — John drżał gwałtownie. Teodor zobaczył, że brat sztywno kiwnął głową.

— Wiem, że nie lubisz zamknięcia, ale to nie potrwa to długo, śnieżycy ustanie.

— A jeśli nie?

— Będą nas szukali i znajdą.

— A... a jeśli nie?

— Na pewno znajdą. Linnea widziała, jak jechaliśmy do miasta. Mama na nas czeka.

— Mama dawno nie jeździła na koniu, a zresztą jak się przedrze przez zamieć, skoro my nie możemy?

— Śnieg w końcu przestanie padać, prawda? Ileż razy padał pod koniec kwietnia?

John, przerażony i drżący, wpatrywał się w smugę dziennego światła sączącego się przez szczelinę.

— Daj spokój, John. Zrobiliśmy co w naszej mocy, by nie zamarznąć. Nie wolno nam tracić ciepła. Teodor przysunął się i otoczył brata ramieniem. John przywarł do niego, zimnymi palcami mocno ścisnął jego dłoń.

— Pamiętasz, jak mama kazała nam się chować w piwnicy, kiedy zbliżała się letnia burza? — W głosie Johna słychać było przerażenie.

Teodor pamiętał aż nazbyt dobrze. John zawsze bał się tej piwnicy i ilekroć musieli w niej przeczekiwać burzę, płakał i błagał, by go wypuszczono.

— Pamiętam, ale nie myśl o tym. Patrz na to światło i myśl o czymś przyjemnym. Na przykład o żniwach. Przecież nie ma przyjemniejszej pory roku niż czas żniw. Jeździ się wtedy żniwiarką po prerii, niebo jest tak błękitne i czyste jak źródłana woda. Można by je pić... A pszenica błyszczący jak złoto.

Chociaż głos Teodora brzmiał kojąco, John nie odrywał znieruchomiałych oczu od smuzki światła. Od czasu do czasu do kryjówki wdzierały się miniaturowe wiry śniegu, muskając ich policzki i rzęsy. Wiatr gwizdał nad ich głowami, dał zaś tak mocno, że obracał jednym z kół powozu.

Po jakimś czasie Teodor spróbował delikatnie uwolnić dłoń z mocnego uścisku Johna.

— Nie! — palce Johna zacisnęły się niczym szpony.

— Teddy, proszę...

— Chcę cię objąć drugim ramieniem, dobrze? — rzekł. Przy okazji stwierdził, że wierzch dłoni brata jest zimny jak lód. — Śnieg dobrze izoluje. Niebawem będzie nam tu jak u Pana Boga za piecem.

Uspokajanie Johna nie pozwalało Teodorowi ulec panice. Jednakże gdy tylko milkł, ogarniała go trwoga. Myśl trzeźwo. Planuj. Co tu planować?! Jak zatrzymać ciepło, skoro byli ubrani w cienkie bawełniane koszule i nie mieli nawet zapalek, żeby rozniecić ogień. Śnieg musi przestać padać, bo nic innego im nie pomoże. A jeśli nie przestanie...?

Nie powinienesz był wiązać koni. Och, dajże spokój, Teddy. Jeden przerażony zupełnie wystarczy. Jesteśmy tu raptem ze dwadzieścia minut. Zamarznięcie na śmierć wymaga trochę więcej czasu...

Czuł jednak, że zaczyna przenikać go mróz. Leżał i myślał o koniach, aż w końcu nie mógł znieść tego dłużej.

— Posłuchaj, John — powiedział możliwie spokojnie.

— Muszę na chwilę stąd wyjść.— Po co?

Niech cię diabli wezmą, John! Nigdy nie zadawałeś pytań, dopiero teraz zacząłeś!

— Za potrzebą — skłamał — ale ty tu zostań. Przeleżę jakoś nad tobą.

Na zewnątrz przeraził się widząc, jak szybko wokół ich prowizorycznego schronienia powstała olbrzymia zaspą, która już nie pozwalała obracać się kołu. Odwiązał lejce i mimo zimna czule pogłaskał końskie pyski.

— Dobrze, dziewczynki, dobre... — szeptał do uszu leciwych klaczy.

Konie stały tyłem do wiatru z pochylonymi łbami. Śnieg lśnił na ich splełanych grzywach i ogonach, lecz nie zważały na to, co się dzieje. Zupełnie jak John przez całe życie...

Fatalistyczne rozmyślenia nie przynoszą niczego dobrego. Teodor odsunął od siebie złe myśli i przyklęknął na jedno kolano. Gdy dotknął dłonią worka z ziarnami kukurydzy, coś mu przyszło do głowy.

— Przesuń się do tyłu, John — rzekł zaglądając pod wóz. — Mam coś, na czym będzie nam cieplej. — Wyjął z kieszeni scyzoryk, wbił go w worek kukurydzy i zrobił długie cięcie. Gdy kukurydza, wyraźnie cieplejsza, zaczęła się wysypywać, wsunął worek pod wóz. — Rozrzuc ją tam, John.

Mogli wykorzystać tylko trzy worki. Pozostałe musiały podpierać wóz dający im osłonę. Jednakże ziaren wystarczyło na stosunkowo wygodne posłanie. Zanurzeni w kukurydzy, chłonęli jej ciepło.

— Nie wychodziłeś za potrzebą, prawda? — zapytał po chwili John. Zaskoczony Teodor mógł tylko skłamać.

— Oczywiście, że wychodziłem właśnie po to.

— Myślę, że wyszedłeś odwiązać konie.

Najwyższy czas, żebyś zmadrzał, starszy bracie, pomyślał Teodor.

— Zamknij oczy i spróbuj się zdrzemnąć. Czas minie ci szybciej.

Czas wszakże nigdy się tak nie dłużył. Niebawem wiatr przewiał kukurydzę. Zaczęli drzeć z zimna — najpierw John, potem Teodor. Widzieli, jak biel dnia zmienia się w purpurę zmierzchu. Jakiś czas leżeli w milczeniu, nagle John znowu się odezwał:

— Pokłóciłeś się z żoną, Teddy?

Teodor poczuł, że coś go dławi. Zamknął oczy i próbował przełknąć grudę w gardle.

— Tak — zdołał w końcu wykrztusić. I dodał, odpowiadając na pytanie, którego John nigdy by nie zadał: — Jest w ciąży, a ja... no cóż, naprawdę zachowałem się okropnie i powiedziałem, że nie chcę więcej dzieci.

— Nie powinieneś tego mówić, Teddy.

— Wiem.

Jeśli zamarzną pod tym cholernym wozem, nigdy nie będzie miał okazji powiedzieć Linnei, jak bardzo mu przykro. Wciąż miał przed oczami jej obraz, gdy widział ją po raz ostatni: stoi z grabiami w jednej ręce, drugą osłaniając

oczy, z dziećmi otaczającymi ją niczym stado wróbli, na tle białego budynku z szeroko otwartymi drzwiami. Przywołał w pamięci rząd krzewów bawełny pokrywających się zielenią na czubkach gałęzi, przydrożny rów pełen krokusów i Kristiana grabiącego tuż obok rowu. Dwie osoby, które kochał najbardziej na świecie i dla których ostatnio był po prostu okropny... Linnea pozdrawiała ich, życząc dobrej drogi, ale on był zawzięty, ledwie skinął dłonią. Jakże teraz tego żałował! Czuł ból i chciało mu się płakać, ale jeśli się rozpłaczę, John podda się zupełnie.

Na domiar złego John nagle stracił z siebie ramię Teodora i zaczął się wyczołgiwać spod wozu.

— Nie zniosę tego dłużej. Muszę stąd wyjść chociaż na chwilę!

Teodor przytrzymał go za kombinezon.

— Nie! Daj spokój, John! Tu jest źle, ale tam jeszcze gorzej!

Temperatura ciągle spada. Zamarzniesz!

— Pozwól mi wyjść, Teddy. Tylko na chwilę. Muszę wyjść, nim zapadnie noc.

— No dobrze, wyjdziemy razem. Sprawdźmy konie i zobaczymy, ile jest śniegu. Może zamieć ustaje.

Niestety, śnieg wciąż padał. Konie tkwiły w nim niemal po brzuchy, wóz zupełnie przysypało. Tylko po zawietrznej wirujący wiatr utworzył wąski jar. Stojąc w nim, Teodor kulił się i zaciskał ramiona, obserwując, jak John się przeciąga, głęboko oddycha i unosi twarz ku niebu. Ten cholerny głupiec odmrozi sobie palce, jeśli nie włoży rąk do kieszeni.

— Chodź już, John. Musimy wracać pod wóz. Tu jest za zimno.

— Idź. Ja zostanę jeszcze chwilę.

— Do diabła, John, zamarzniesz! Wracaj pod wóz! — rozkazał ostro Teodor.

John natychmiast spotulniał.

— Już... dobra... ale muszę siedzieć bliżej wyjścia, dobrze, Teddy?

Dziecinna prośba sprawiła, że Teodorowi zrobiło się przykro, iż zbeształ brata.

— Czujesz palce, Teddy? — zapytał John, gdy wrócili do kryjówki.

— Sam nie wiem, ale nie chcę o tym myśleć.

Znow pogrążyli się w milczeniu, a świat wokół w zupełnej ciemności.

— Chyba zamarzył mi nos — mruknął John.

— No cóż, gdybyś odwrócił się twarzą do środka albo zamienił się ze mną miejscami, może by ci odtajał. John, przecież na zewnątrz jest równie ciemno jak tutaj!

— Muszę mieć trochę powietrza — oświadczył John. Jakimś cudem udało im się zasnąć. Kiedy po pewnym

czasie Teodor się ocknął, dezorientowany zamrugał. Leżący u jego boku John był dziwnie spokojny. Ogarnęło go przerażenie.

— John, obudź się! Obudź się! — powtarzał, potrząsając bratem gwałtownie.

— Co? — John poruszył się lekko.

Teodor w ciemności dotknął jego twarzy. Była lodowata.

— Musisz się obrócić, i to już, nie spieraj się.

Tym razem John posłuchał. Teodor objął go i trzymał niczym dziecko, próbując zapanować nad własnym przerażeniem. Przecież nie mogą umrzeć tu w taki sposób! Nie mogą. Gdy wyjeżdżali, mama rozwieszała na sznurkach świeżo wypraną bieliznę i wkładała chleb do pieca. Na pewno już się upiekł i leży w koszyku. W tym tygodniu mieli się wybrać z Ulmerem na ryby, a za cztery tygodnie Kristian kończy ósmą klasę. Co by powiedział, gdyby na ceremonii ukończenia szkoły zabrakło ojca? A Linnea... kochana Linnea... wciąż myśli, że jest na nią zły. Ma urodzić ich dziecko. Nie może umrzeć, nie zobaczywszy ich dziecka! Leżąc w atramentowej ciemności pod wozem

obróconym kołami do góry, z drżącym bratem w ramionach, Teodor stwierdził, że każda z tych myśli jest wystarczającym powodem, dla którego śnieżycy nie może zwyciężyć.

Żebra go bolały, nie miał czucia w palcach i w głowie mu huczało, gdy próbował ją unieść. Mimo to znów zapadł w drzemkę, lecz jakaś dręcząca myśl powstrzymywała go przed całkowitym zaśnięciem — musi coś powiedzieć Linnei, kiedy ją zobaczy. Coś, co powinien był jej powiedzieć ostatniej nocy.

Ocknął się znowu. John oddychał spokojnie. Zastanawiał się, ile czasu minęło, czy to ciągle ten sam dzień czy już następny. Czuł się zdezorientowany i dziwnie lekki. Jakby całe jego ciało wypełniało ciepłe lekkie powietrze. Nie mógł zebrać myśli. Czyżby to już?...

Nie!

Potrząsnął Johnem.

— Co...

— Wstawaj, John! Wychodzimy! Musimy się ruszać, bo zamarzniemy.

— Chyba nie mogę.

— Postaraj się, do cholery!

Drżąc, wyturlali się spod wozu. Zadymka wydawała się teraz gorsza niż przedtem. Konie zarżały, potrząsnęły łbami i starały się zrobić choćby krok do przodu, lecz były unieruchomione zaspami sięgającymi im do brzuchów.

Z trudem przedarli się do zwierząt.

— Podstaw dłonie pod nozdrza, może rozgrzeją się ich oddechem — polecił Teodor.

Tulili się do końskich łbów, szukając choćby odrobiny ciepła. Jednakże ich starania były beznadziejne i Teodor o tym wiedział.

Na wschodnim niebie poprzez śnieżną zamieć zaczynał jaśnieć słaby brzask. Teodor próbował spojrzeć na zegarek, lecz zmarzniete palce nie mogły uchwycić delikatnego zatrzasku koperty. Włożył więc zegarek z powrotem do

kieszonki i ujawszy łeb klaczy, oparł na nim policzek, zastanawiając się, czy człowiek wie, kiedy naciąga swój los do ostatnich granic...do określonej godziny, określonej minuty, gdy przeznaczenie wymaga manipulacji, jeśli ma się przeżyć.

Był tylko jeden sposób. Bronił się przed nim. Bronił się przez wszystkie straszne godziny owej długiej nocy, gdy leżał obok drżącego jak on brata wiedząc, że strzelbę ma pod ręką. Przycisnąwszy lodowate usta do twardej kości tuż nad aksamitnymi nozdrzami, objął łeb klaczy w przepraszającym geście, którego zwierzę nie mogło zrozumieć. Jak długo znał te konie? Przez całe swoje życie. Niegdyś należały do jego ojca, zanim dorósł na tyle, by przejąć lejce. Na nich uczył się prowadzić zaprzęg. W rytmie ich długiego, kołyszącego się kroku uczył się panować nad siłą wystarczająco wielką, by zabić, gdyby obróciła się przeciwko niemu. Jego najwspanialsze klacze. Te, które zatrzymywał na zimę. Starsze niż wszystkie inne, lecz tak bliskie i rozumne, że niekiedy ich zdolność pojmwania wydawała się niemal ludzka. Swego czasu zapewniały dobrobyt. Czy teraz mógł je prosić, by dały mu życie za cenę własnego?

Cofnął się o krok, zbierając się na odwagę i wmawiając sobie, że to tylko bezrozumne zwierzęta, nic więcej...

— John, weź moją strzelbę.

— Co... co... ty... chcesz... zro... zrobić? — Zęby Johna szczękały jak grzechotka na ogonie grzechotnika.

— Podaj mi ją.

— N... nie! Nie zrobię tego! — pierwszy raz w życiu John sprzeciwił się bratu.

Tłumiąc przekleństwo, Teodor uklęknął i wyjął strzelbę spod wozu. Ledwie na powrót stanął, John chwycił za lufę i skierował ją w niebo. Spojrzeli sobie w oczy... obaj zatrwożeni... Żaden nie czuł w zmarzniętych palcach

lodowatego czarnego metalu.

— Teddy, nie!

Teodor odwiódł kurek. Metaliczny trzask oznaczał wyrok.

— Nie, Teddy, nie możesz tego zrobić!

— Muszę, John.

— Nie... nie... wolę raczej... zamarznąć tu...

— I zamarzniesz, jeśli tego nie zrobię.

— Nie... nie obchodzi mnie to.

— Pomyśl o mamie i innych. Ich to obchodzi. Mnie obchodzi, John — rzekł Teodor. Stali jeszcze chwilę, patrząc sobie w oczy. — Puść strzelbę. Już masz odmrożone palce. John cofnął rękę i zwiesił głowę. Stał zgnębiony, nie czując wiatru wciskającego za kołnierz igielki lodu.

Drżący Teodor stanął obok klaczy i zacisnął zęby tak mocno, aż zaboląo. W gardle czuł dławiący kłęb, którego nie mógł ani przełknąć, ani wykrztusić. Ścisnął go i dusił. Wybac, koniku, chciał powiedzieć, lecz nie mógł. Serce mu pękało, gdy uniósłszy strzelbę stwierdził, że nie zdoła na to patrzeć. Oderwał policzek od strzelby i otarł łzy, potem znów wycelował. Pociągając za spust, nawet tego nie czuł w odmrożonym palcu. By nie dać sobie czasu na myślenie, szybko oddał drugi strzał.

Coś mu mówiło: zrób to. Zrób, co musisz, i nie myśl. Otworzył składany nóż zębami, bo palcami by nie zdołał. Zamknął się w sobie, odciął od wszystkiego, działając z nieugiętą determinacją, która znieczuliła mu twarz i oczy pozbawiła wyrazu.

Wbił nóż po rękojeść, zatraskując umysł przed widokiem tryskającego szkarłatu, który zabarwił dziewiczo biały śnieg u jego kolan. Rozciąwszy skórę na dwie dłonie, rzekł do brata:

— Podejdź tu, John. — John wszakże ani drgnął, Teodor więc chwycił go za ramię i rozkazał przez zęby: — Rusz się! — Po czym bezlitośnie pchnął

go na kolana. — Włóż ręce do środka. To nie pora na uczucia!

Po policzkach Johna spływały łzy, gdy wsuwał ręce w śliskie, wilgotne ciepło.

Teodor bezlitośnie zabrał się do wykorzystania drugiego zwierzęcia. Z odtajalymi dłońmi usunął z głowy wszelkie myśli o tym, przeciwko czemu całym sobą się buntował. Myślał o Linnei; o jej włosach rozsypujących się na wietrze, twarzy promieniejącej uśmiechem, złotym zegarku na jej piersiach i o dziecku, które nosiła. Kiedy do rąk wróciło mu czucie, ból stał się silniejszy. Zacisnął zęby, upadł na kolana i stłumił szloch, nie mógł bowiem pozwolić, by usłyszał go John.

Ale najgorsze było jeszcze przed nim.

Gdy ogrzał dłonie na tyle, że mógł utrzymać nóż, ukląkł obok ciepłego ciała zwierzęcia, zamknął oczy, wziął kilka głębokich, hartujących oddechów, zmógł mdłości i wydał Johnowi kolejne polecenie:

— Wyjmij nóż i wypatrosz drugą. — Sam zabrał się do swego odrażającego zadania, lecz odrętwiały John klęczał bez ruchu, toteż ponowił rozkaz: — Zrób to, John! Zgroza, mdłości i żal wzbierały w Teodorze. Za wszelką cenę starał się nie myśleć o tym, co robi. Kilka razy musiał się odwrócić, aby zaczerpnąć powietrza wolnego od zapachu krwi. John przez cały czas klęczał bez ruchu obok ciała drugiej klaczy.

Zanim Teodor skończył, był — co niewiarygodne — spocony. Umęczył się okrutnie, patrosząc klacz, a kiedy w końcu, słaby i oszołomiony, z trudem się podniósł, zrozumiał, że John mu nie pomoże. — Wejdz do środka, John — powiedział. — Pomogę ci.

Wpatrując się w niego szklistymi oczami, John pokręcił przecząco głową. Śnieg zrobił wokół jego kolan nową zaspę, zakrwawione dłonie spoczywały bez ruchu na biodrach.

Teodor poczuł w oczach łzy rozpacz. Nie wiedział, czy spływają mu po

twarzy, policzki bowiem od dawna miał zdrętwiałe.

— Do cholery, John, nie możesz umrzeć! Nie pozwolę ci! Wchodź do środka! — Uświadomiwszy sobie, że John nie może ani podjąć decyzji, ani się ruszyć, podniósł go z kłęczek i szeroko rozwarł wypatroszony brzuch zwierzęcia. — Skul się. Wystarczy miejsca, jeśli zwiniesz się w kłębek.

Uniesienie bezwładnego Johna wiele go kosztowało. Pod Teodorem ugięły się nogi. Już myślał, że nie da rady, gdy John uczepił się jego kolan z rozdzierającym jękiem. W końcu jednak udało mu się ułożyć brata w końskim brzuchu. Wyjęcie wnętrzności drugiego zwierzęcia było znacznie trudniejsze, Teodor bowiem znacznie osłabł. Mimo to nie poddawał się. Kiedy jednak złamał nóż, stwierdził, że ma dość. Podparł się rękami i zwiesił głowę. Na poły świadom tego, co robi, wczłógiwał się do ciepłego brzucha, gdy naraz się rozpromienił: wreszcie przypomniał sobie, co chciał powiedzieć Linnei.

Przeczołgał się przez śnieg, odszukał złamany nóż i po raz ostatni wcisnął się pod wóz. Leżąc pod nim w ciemności przywoływał w pamięci litery, tak jak go nauczyła. „L” jak *lutefisk*, „i” jak irys, „n” jak... nie mógł sobie przypomnieć, ale to nie było ważne. I bez tego potrafił napisać jej imię. „Lin”, wydrapał po omacku, „wybacz”.

W uszach mu szumiało, głowa pękała z bólu. Ktoś przedzierał się przez śnieg na zakrwawionych rękach. Dlaczego, u licha? Co to za przyjemność?... Ciało miał jak z ołowiu, gdy wreszcie znalazł się tam, gdzie miał się dopełnić jego los. Nie czuł ani wyziewów wnętrzności martwego zwierzęcia, ani zapachu krwi. W brzuchu zastrzelonej klaczy, całkowicie już wyczerpany psychicznie i fizycznie, stracił przytomność.

W szkole oddalonej o sześć mil jedno z dzieci otarło oczy, łzy jednak płynęły nadal.

— Ale ja nie lubię rodzynek...

Linnea zmusiła się do spokoju i pocieszała Roseanne, choć jej samej

chciało się płakać.

— Zjedz, kochanie. Tylko to mamy.

Gdy Roseanne odeszła, wciąż pochlipując nad garścią sklejonych rodzynek, Linnea znów pociągnęła za sznur dzwonu, a potem ścisnęła go obiema rękami, zamknęła oczy i oparła czoło na ostrych sizalowych splotach. Donośny dźwięk rozbrzmiewał niczym podzwonne. Wiatr go porywał i niósł nad pokrytą śniegiem okolicą. Po minucie dzwon znowu rozbrzmiewał... i jeszcze raz... i jeszcze...

ROZDZIAŁ 23

Śnieżycy trwała dwadzieścia osiem godzin. W tym czasie spadło pół metra śniegu. Drugiego dnia tuż przed zmrokiem do szkoły dotarli mężczyźni w zaopatrzonych w raki butach, ciągnący za sobą tobogany. Pierwszy zjawił się Lars Westgaard — otworzył drzwi i ujrzał krąg uspokojonych teraz twarzy. Trzy z nich, jego własnych dzieci, były zapłakane z radości.

Kiedy jednak wziął na ręce Roseanne, która z całej siły przywarła do niego, i pogłaskał po głowach Normę i Skippa, ujrzał przerażone oczy Linnei stojącej obok Kristiana.

— Teodor i John?... — zapytała cicho. Mógł jedynie z żalem pokręcić głową.

Zemdliło ją z przerażenia. Splotła palce z palcami Kristiana, ściskając je mocno. — Prawdopodobnie siedzą u kogoś w mieście, jeszcze bardziej martwiąc się o nas niż my o nich.

Kristian z trudem przełknął ślinę.

— Tak... prawdopodobnie — mruknął. Żadne z nich jednak w to nie wierzyło.

Inni ojcowie także dotarli wkrótce do szkoły. Gdy przybyli wszyscy, ułożono plan poszukiwań, potem wygaszono piec i zamknięto szkołę. Ktoś dostarczył dodatkowy tobogan i buty z rakami dla Linnei. Powietrze już łagodniało, na zachodnim niebie Czerwono-złote oko słońca spoglądało przez purpurowe chmury, posyłając długie pasma pozłoty rozciągające się przez odmieniony świat. Cienie u podnóży zasp miały tę samą purpurową barwę co zachodnie chmury, które już rozrywały się i rozdzielały, przepuszczając więcej słonecznych promieni i zapowiadając nadejście jaśniejszego dnia. Tworzyli smutną karawanę złożoną z czterech toboganów ciągniętych przez Ulmera, Larsa, Trigga i Kristiana oraz Raymonda idącego obok. Dla dobra ekspedycji postanowiono dzieci Westgaardów zawieźć do mieszkającej najbliżej Nissy, aby mężczyźni mogli bez zwłoki wszczać poszukiwania. Każdy niósł długi kij i już w drodze do domu badali napotkane zasy. Linnea za każdym razem z trwogą wsłuchiwała się w ich pomrukiwania, patrzyła, jak głęboko wbijają się kije, i trzymając się za brzuch, jakby chciała ochronić swoje nienarodzone dziecko, odmawiała bezgłośnie modlitwę.

Biedny Kristian. On także musiał się bać. Mimo to nieugięcie szedł z wujami przez zasy i przyglądał się, jak kije raz za razem zagłębiają się w śniegu, zostawiając głębokie otwory. Wracał potem do toboganu, z rezygnacją sięgał po sznur i wysoko unosząc nogi, szedł za innymi przy wtórze żalosnego popiskiwania sań na śniegu.

Dotarłszy do domu, mężczyźni musieli najpierw odśnieżyć tylne drzwi. Towarzyszyło im porykiwanie bydła, które od poprzedniego wieczoru stało nieopodal stodoły w zaspach z boleśnie obrzmiałymi wymionami, czekając na dojenie. Nissa w nocy nie zmrzyła oka. I okazało się, że należy do osób doskonale działających w stresie. Wszystko miała spakowane: kołdry zwinięte w ciasne tobołki, gorącą kawę i zupę w naczyniach obwiązanych grubym konopnym płótnem, kanapki zapakowane w pergamin, drwa w piecu i gorące

węgle przygotowane do umieszczenia w puszkach. Chociaż jej twarz wydawała się wymizerowana, ruchy były żywe i władcze, gdy pospiesznie krzątała się w kuchni, wyposażając swoich chłopców do wyprawy. Świadoma, jak cenny jest czas, nie traciła go na bezużyteczne lamentowanie. Jedyna przerwa w celowych działaniach powstała wtedy, gdy Kristian i Raymond oświadczyli, że oni także chcą iść na poszukiwania. Dorośli wymienili spojrzenia.

— Jesteście pewni? — zapytał Ulmer.

— Tam jest mój tato — odparł zwięźle Kristian.

— A ja idę z Kristianem — zdecydowanie oświadczył Raymond.

Skiniecie głowy Ulmera oznaczało, iż sprawa jest załatwiona. Kilka minut później wyruszyli. Nissa ani się nie denerwowała, ani nie patrzyła za nimi. Całą uwagę skierowała na wnuczeta, dla których już wcześniej przygotowała garnek pożywnego rosółu z makaronem. Był też świeżo upieczony chleb i ciasto, co dowodziło, że godzin w samotności nie spędziła beczynn timer.

Jakże Linnea podziwiała tę drobną kobietę. Niewiele wyższa od swych ośmioletnich wnuków, Nissa żyła na najwyższych obrotach. Poruszała się niczym iskierka, choć rzadko się uśmiechała. Każde z siedmiorga dzieci wiedziało, że jest kochane, gdy krzątała się wokół nich, a one, jedno przez drugie, opowiadały o nocy spędzonej w szkole.

W pewnej chwili ponad głosy innych dzieci wzniósł się drżący z przejęcia, szczebiotliwy głosik Roseanne:

— ...i wiesz, babciu? Ciocia Linnea kazała mi zjeść rodzyнки i zjadłam! Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym mamie! — zawołała podekscytowana, lecz nagle jej ruchliwa twarz znieruchomiała. — Ale zgubiłam woreczek śniadaniowy i mama będzie się gniewać...

Paplanina trwała nieprzerwanie, a równocześnie talerze z zupą

opróżniały się i napełniały ponownie. Gdy dzieci się najadły, najwyraźniej opadły z sił i w ciągu kilku minut zasnęły na dwóch łózkach.

W domu zapanowała cisza. Z zewnątrz dochodziło tylko rytmiczne kapanie z dachu topniejącego śniegu. Nissa przysiadła z dłońmi wspartymi na kolanach. Wyblakła spódnica opadła jej między udami niczym hamak. Wyglądała tak, jakby miała ochotę westchnąć głęboko, lecz zamiast wzdychać, powiedziała zdecydowanie:

- No cóż, chyba najlepiej będzie, jeśli ulżę krowom.
- Pomogę ci — zaofiarowała się Linnea.
- Nie sądzę. Dojenie jest trudniejsze, niż się wydaje.
- Chciałabym przynajmniej spróbować.
- Jak chcesz...

Nissa nie użalała się nad swoim losem. Włożyła po prostu okrycie — jeśli coś musi być zrobione, trzeba to zrobić, wydawała się mówić. Linneę niezwykle podtrzymywała na duchu obecność dzielnej kobiety. Odziane w zbyt duże dla nich robocze kombinezony Teodora i Kristiana przedarły się przez zaspy do stodoły. Dojenie rzeczywiście okazało się „trudniejsze, niż się wydaje”, tak że Linnea dała sobie w końcu spokój. W zamian odśnieżyła ścieżkę między domem a stodołą. Potem przyniosły do domu białe wiadra z pieniającym się mlekiem, pozmywały talerze po rosole i wreszcie stanęły przed przygnębiającym zadaniem czekania z założonymi rękami.

Nissa ręce szybko zajęła: znalazła motek przędzy i usiadłszy w fotelu na biegunach, zwijała ją w kłębek. Fotel kołysał się rytmicznie. Niebo za oknem przybrało kolor kruczego skrzydła. Pojawiły się gwiazdy i księżyc cienki jak ostrze sierpa. Nie było nawet najlżejszego wiatru. Linnea próbowała robić na drutach, lecz nie mogła utrzymać dłoni w spokoju niezbędnym dla uzyskania równych rzędków. Spojrzała na kobietę w fotelu. Dłonie Nissy, pokryte cienką przejrzystą skórą, przez którą widać było sine żyły, poruszały się miarowo,

zwijając granatową przedzę. Miała ten sam kolor co czapka, którą zrobiła Teodorowi na gwiazdkę. Czy myślała teraz o tej czapce przesypanej naftaliną wraz ze wszystkimi innymi wełnianymi rzeczami Teodora i Johna?

— Nisso?... — zagadnęła Linnea. Stara kobieta spojrzała na nią znad okularów. — Chcę, żebyś wiedziała, że noszę dziecko Teodora.

Obie wiedziały, dlaczego Linnea to mówi: gdyby Teddy nie przeżył, zostanie jego dziecko... Nissa wszakże odpowiedziała tylko:

— A zatem nie powinnaś była odgarniać tego śniegu. W tejże chwili do kuchni przydreptała Roseanne.

— Babciu, boli mnie brzusek — powiedziała, jedną ręką trąc oczy, a drugą trzymając się za brzuch. — Chyba zjadłam za dużo rosółu.

Granatowa przedza w jednej chwili straciła znaczenie.

— Chodź, Rosie, chodź do babci.

Senne dziecko wtuliło się w otwarte ramiona babci. Bieguny starego fotela skrzypiały uspokajająco.

— Babciu opowiedz o czasach, jak byłaś małą dziewczynką w Norwegii.

Przez kilka chwil dźwięk wydawał tylko leciwy fotel, potem Nissa zaczęła snuć opowieść, którą najwyraźniej opowiadano tu od wielu lat.

— Mój ojciec był dzierżawcą niewielkiego gospodarstwa. Potężnie zbudowanym, silnym mężczyzną z dłońmi stwardniałymi jak końskie kopyta. Mieszkaliśmy na pięknej polance. Nasz dom i obora łączyły się pod dachem krytym zielonym torfem i niekiedy wiosną kwiatki zakwitały na...

— Wiem, babciu — przerwała Roseanne. — Na dachu.

— No właśnie — potwierdziła Nissa i mówiła dalej: — Niektórzy nie nazwaliby go porządnym, ale miał mocną podłogę, która zawsze była wyszorowana, a mama, gdy ją zamiotła, wysyłała mnie po świeże zielone gałązki jałowca, żeby je rozsypać dla zapachu. A u frontowych drzwi domu był fiord... — Spojrzała na dziewczynkę. — Pamiętasz, co to jest fiord, prawda?

— Takie jezioro.

— No właśnie, jezioro. Za to za domem mieliśmy purpurowe góry. Na wzgórzach, które opadało ku lasom i moczarom, znajdowała się osada Lindegaard. Czasami ojciec zabierał nas tam. Ubieraliśmy się wtedy w ciemne ubrania z ręcznie tkanych materiałów, mężczyźni wkładali pluszowe kapelusze. Szliśmy tam w dzień Zielonych Świątek, gdy laski na wzgórzach były ledwie muśnięte jasną zielenią, puste pola pachniały nawozem, a noc nigdy nie była ciemniejsza niż jasny błękit. Właśnie dlatego Norwegia nazywana jest... — Nissa zawiesiła głos.

— Krainą Północnego Słońca — dokończyła Roseanne.

— No właśnie. Rosły tam stare olchy, brzozy i wrzosi... zawsze rosły tam wrzosi.

Roseanne podniosła wzrok i objęła babcię za szyję.

— Opowiedz, jak dziadek przywiózł ci wrzosi.

— Ach, to... — Nissa zaśmiała się cichym, gardłowym śmiechem. — Cóż, miałam wtedy piętnaście lat. Twój dziadek przywiózł mi bukiet tak wielki, że żadna dziewczyna nie utrzymałaby go dwiema rękami. Dowiózł go w dwukołowym powoziku, do którego zaprzężony był czarny kucyk...

— Ja wiem, jak miał na imię ten kucyk! — wtrąciła dziewczynka.

— No jak?

— Elsa.

— Właśnie, Elsa. Nigdy nie zapomnę widoku twojego dziadka prowadzącego tę małą kłaczkę, gdy przychodził w konkury. Oczywiście bardzo długo musiał składać uprzejme wizyty moim rodzicom. Mama podawała gęstą bitą śmietanę z utartymi na tarce sucharkami i cukrem, jakby przychodził na jedzenie z nami słodczy... — Nissa w zamyśleniu oparła brodę na główce wnuczki. — Był rybakiem, tak jak jego ojciec. Ale po czterech latach w okolicy zabrakło ryb i zaczęto mówić o Ameryce. Niekiedy

wieczorami, gdy przychodził z wizytą, siadaliśmy przed domem i rozmawialiśmy o niej, ale nigdy nam się nawet nie śniło, że tu przyjedziemy. Te wieczory były piękne. Z kwitnących krzewów czeremchy słychać było nawoływania cietrzewi, a kiedy słońce kryło się za ośnieżonymi górami, okna chat migotały niczym płomienie. — Nissa kołysała się łagodnie z wyrazem zadumy na twarzy. — Lasy na północy wychodziły na torfowiska, a wiosenne powietrze przesycone było zapachem torfowych ognisk oraz palonej kawy. I zawsze czuło się morze...

— Opowiedz o kamieniu młyńskim, babciu.

Nissa wyrwała się z jednej zadumy i pogrążyła w następnej.

— Za stodołą leżał kamień młyński, na którym mój tato ostrzył...

— Wiem, babciu — znów jej przerwało dziecko odchylając się, by spojrzeć na pochyloną nad sobą twarz. — Twój tato ostrzył na nim narzędzia, które okropnie zgrzytały.

Nissa uśmiechnęła się wyrozumiale i mocniej przytuliła Roseanne.

— Miałam też psa... — zawiesiła głos, wiedząc, co nastąpi.

— Wabił się King — wtrąciła Roseanne — i musiałś go zostawić, jak wyszłaś za dziadka i statkiem popłynęliście do Ameryki.

— To prawda, maleńka.

Pieszczotliwe określenie zapaliło w sercu Linnei ciepły płomyk. Teodor czasami ją tak nazywał i teraz zrozumiała, od kogo się nauczył.

Wkrótce do kuchni przydreptał też Sonny i Norma. Nissa zebrała ich wokół siebie, czerpiąc siły z sennych dziecięcych twarzy. Dzieci pojawiały się jedno po drugim, nieświadomie wiedzione dziwnym wołaniem niczym konie zjawiające się wtedy, gdy są potrzebne polom. Opuściwszy przytulne łóżka, zebrały przy babci sięgającej w przeszłość po ukojenie. Jedne przysiadły na drewnianych poręczach fotela, inne wdrapały się na kolana babci lub przycupnęły u jej stóp. Palce Nissy przeczesywały jedwabiste dziecięce włosy.

Linnea patrzyła na to ze ściśniętym gardłem. Jak nigdy dotąd dotarł do niej sens istnienia rodziny; pokolenia rodzącego pokolenie, ciała rodzącego ciało, przeszłości rodzącej przyszłość. Potomność. Słuchaj, bo to jest twoje dziedzictwo, powiedziała w myślach do dziecka, które nosiła.

Opowieść płynęła dalej, ozdabiana jeszcze bardziej tajemniczymi nazwami: torfowiska, jeżyny, czernice...

Znacznie później od wschodu zaczęły się przybliżać migotliwe światła lamp. Linnea stanęła w oknie. Trwoga szumiała jej w żyłach i kroplami potu wypłynęła na czoło. Wpatrywała się w noc, nie chcąc powiedzieć Nissie, że nadchodzą, dając jej jeszcze trochę czasu... Nissa była stara i zbyt mało jej pozostało... a ten czas był wszystkim, co mogła jej dać.

Nie ma koni... Gdzie są konie? Tylko dwa tobogany z leżącymi na nich dwoma ciemnymi kształtami... I twarze pochylone w złotym świetle lamp... Boże, Boże, rozpaczała Linnea, nie obydwaj!

Głos Nissy śpiewnie wznosił się i opadał:

— W noc zielonoświątkową na stokach zapalano ogniska... Czy to głos Linnei rozległ się w końcu tak cicho, tak spokojnie, jakby ona sama umierała powoli z każdą mijającą sekundą?
— Idą.

Nissa przerwała opowieść. Ucichło skrzypienie starego fotela. Nissa łagodnie zsunęła z kolan młodsze wnuczeta: jej synowie i dwaj najstarsi wnukowie przedzierałi się ku domowi z ciężkim brzemieniem, wlokąc je po śniegu skąpanym w księżycowej poświacie. Linneę ogarnęło przerażenie gorsze niż wszystko, co sobie kiedykolwiek wyobrażała.

Otworzyła drzwi. Pierwszy wszedł Lars.

— Mamo... — rzekł cicho łamiącym się głosem.

Nissa wychyliła się do przodu z bólem błyskającym w oczach.

— Obydwaj?

— Nie... tylko John. Do Teddy'ego dotarliśmy na czas. Płacz Nissy cichym lamentem popłynął przez dom.

— Och, nie... John... mój syn, mój syn... — łkała, przysłaniając usta ręką i kołysząc się krótkimi, rozpaczliwymi ruchami.

— Mamo... — Lars ukląkł przed nią. Objęli się i płakali razem.

Patrząc na nich, Linnea czuła wdzięczność i ból. Teddy żyje, ale John... łagodny, szlachetny, delikatny John... Ramiona jej drżały, po twarzy spływały łzy. Dzieci w milczeniu i niepewności przenosiły pytające spojrzenia z babci na nauczycielkę. Kilkoro zrozumiało, lecz nie wiedziały, czy mają w to uwierzyć. Niektóre wciąż sądziły, że najgorszą stroną śnieżycy była konieczność jedzenia rodzynek.

Mężczyźni weszli do środka, wnosząc tobogany jak nosze i stawiając je obok pieca. Kristian wszedł ostatni z twarzą wycieńczoną i bladą. Jego pełne smutku oczy natychmiast odnalazły Linneę.

— Kri... — próbowała powiedzieć, lecz słowa uwięzły jej w gardle.

Padł jej w ramiona ze łzami, których nie mógł już powstrzymać.

— Tato żyje — zdołał wydusić szeptem.

Skinęła tylko głową opartą na jego ramieniu, gardło bowiem miała zbyt ściśnięte. Kristian odsunął się nieco, a wtedy zobaczyła Raymonda równie wyczerpanego jak pozostali. Objęła go mocno. Nissa cicho płakała.

— Niech ktoś wyprowadzi stąd dzieci — rzekł drżącym głosem Ulmer klęczący obok toboganów.

Tłumiąc w sobie pragnienie naocznego przekonania się, że Teddy żyje, Linnea zrobiła to, co było teraz najbardziej naglące.

— Chodźcie, dzieci... Chodźcie ze mną na górę.

Nie bardzo chciały, wyczuwając coś złego, ale zagarnęła je i skierowała na trzeszczące schody. Na górze było ciemno, toteż przykazała:

— Zaczekajcie tutaj. Przyniosę lampę.

To co zobaczyła, gdy wróciła po lampę, sprawiło, iż nogi się pod nią ugięły. Ulmer rozwinął derki, odsłaniając ciało Teodora zwinięte w śmiertelnej pozie, z dłońmi skrzyżowanymi i zaciśniętymi na ramionach. Włosy przyklejone miał do głowy, ubranie pokryte potworną mazią z krwi i zwierzęcych wnętrzności. Na jego twarzy i rękach utworzyła się błona, która wyglądała jak czerwony smar. Oczy miał zamknięte, a usta rozchylone jak do oddechu, lecz wokół nich nie poruszał się żaden mięsień. Wyglądał jak martwy.

Z gardła Linnei wyrwał się szloch.

Ulmer podniósł wzrok.

— Linneo, idź na górę do dzieci — polecił stanowczo. Wpatrywała się w niego przerażona z otwartymi ustami.

— Co...

— Teddy żyje. Zajmiemy się nim, weź lampę i idź! Ze ściśniętym żołądkiem wyszła z kuchni.

Na górze na jej dawnym łóżku usadowiło się siedmioro dzieci. Siedziały z oczami rozszerzonymi przerażeniem. Linnea walczyła z bezradnością, łzami i mdłościami. Teodorze, wielki Boże, co ci się stało? Jakie męki zniosłeś w tej straszliwej burzy? Coś znacznie gorszego niż sama śnieżyca? Walczyłeś z dzikimi zwierzętami? Próbowwała sobie uzmysłowić, gdzie doznał ran, ale było na nim tyle krwi, że nie potrafiła powiedzieć, skąd płynęła. Dreszcze wstrząsały jej ciałem, gdy przysiadłszy na brzegu łóżka skuliła się i zaczęła kołysać. Jakie zwierzęta czyhają na człowieka i atakują go w samym środku śnieżnej burzy? Proszę, proszę, niech mi ktoś powie, co mu się stało. Powiedzcie, że on żyje.

Z otchłani rozpaczy wyrwało ją dotknięcie małej rączki i cienki przerażony głosik:

— Ciociu?...

Za jej plecami klęczała Roseanne. Linnea zobaczyła strach w dużych orzechowych oczach i buzię w podkówkę. To samo ujrzała w twarzach reszty dzieci. Zrozumiała, że ufają, iż to ona zapewni im bezpieczeństwo.

— Och, Roseanne, kochanie... — Objęła dziewczynkę, pocałowała w policzek i mocno przytuliła do piersi, nagle uświadamiając sobie jeszcze wyraźniej, dlaczego Nissa z takim zadowoleniem otoczyła się dziećmi w godzinie czuwania.

— Moje dzieci... — Otworzyła ramiona, by objąć wszystkie, i choć nie wszystkie zdołała objąć, garnęły się jak najbliżej.

— Przepraszam was. Myślałam tylko o sobie... A wy przecież też chcecie wiedzieć, co się stało — powiedziała, wodząc smutnym wzrokiem po ich buziach. — Weźmy się teraz za ręce.

Jak w Święto Dziękczynienia stworzyli żywy łańcuch wspólnoty, a ona mówiła im prawdę:

— Wujek John nie żyje, a wujek Teddy jest... bardzo chory. Wczoraj, w drodze z miasta, złapała ich burza. Teraz wszyscy musimy być bardzo silni, żeby pomóc babci Nissie i Kristianowi, i waszym tatusiom i mamom. Będą bardzo... bardzo... smutni. Nie mogła mówić dalej. Trzymając w dłoniach dwie małe rączki niczym liny ratownicze, pozwoliła, by łzy spływały jej po policzkach. Patrząc, jak dziecięce twarze zmieniają się z przerażonych w pełne szacunku, zrozumiała, że większość dzieci pierwszy raz zetknęła się ze śmiercią. Największą wszakże niespodzianką było to, jak się zajęły pogrążoną w smutku nauczycielką. Staraly się ją pocieszyć, jak umiały. I kiedy tak tulili się do siebie, więź miłości połączyła ich jeszcze silniej.

Na dole Nissa odsunęła na bok ból po stracie syna i uwagę skoncentrowała na żywych. Postanowiła, że sama wykąpie Teodora i umyje mu włosy. Dopiero potem pozwoliła braciom ubrać go i zanieść do świeżo pościelonego łóżka. Przez cały ten czas Teodor był nieprzytomny, jakby

zamknięty w bezpiecznej osłonie naturalnego ocalenia.

Było już blisko świtu, kiedy Kristian przyszedł na górę po swoje cioteczne rodzeństwo. W dawnym pokoju Linnei na łóżku leżała platanina ciał zwiniętych niczym wiosenne robaczki. W samym środku siedziała Linnea oparta o wezglowie, z głową przechyloną na ramię, obejmując Benta i Roseanne. Pozostałe dzieci spały mocno do niej przytulone.

Czuł się okropnie, że musi ją obudzić.

— Linneo? — dotknął jej ramienia.

Zamrugła i uniosła głowę, która jednak znów jej opadła. Zasnęła.

— Linneo?... — potrząsnął nią delikatnie.

Tym razem głowę utrzymała. Oszołomiona spojrzała Kristianowi w oczy. Z wolna zaczęła wszystko rejestrować: dłoń Kristiana na jej ramieniu, dzieci skulone wokół, blade światło świtu wdzierające się przez okno.

Ocknęła się szybko i próbowała zerwać z łóżka.

— O Boże, nie chciałam zasnąć. Powinnam być na dole...

— Już dobrze. Babcia zajęła się wszystkim.

— Kristianie — szepnęła — jak on się czuje?

— Nie wiem. Nie poruszył się. Umyli go i położyli do łóżka. Ulmer i Lars doją krowy, ale potem muszą wracać do siebie. Hellen i Evie będą się niepokoić o dzieci — rzekł, po czym wyprostował się i spojrzał na śpiące maluchy.

— Chcę go zobaczyć — powiedziała. Kristian usiadł ciężko na skraju łóżka.

— Wygląda źle — przyznał.

Linnea poczuła ten sam okropny strach co ostatniej nocy.

— Kristianie, co im się stało?

Chłopak wziął głęboki oddech i przesunął dłonią po włosach. W jego głosie odbijała się cała trwoga minionej nocy.

— Jak uderzyła w nich śnieżycą, najpierw odwrócili wóz do góry kołami i położyli się pod nim, ale to nie chroniło ich wystarczająco... — Hamował Łzy, więc Linnea wzięła go za rękę i ścisnęła mocno. — Wtedy zastrzelili konie i wy... wypatroszyli je, a potem wczółgali się... do środka.

Na twarzy Linnei odmalowała się zgroza. Ulubione klacze Teodora...

— Och, nie... — żołądek podszedł jej do gardła, a przed oczami w zawrotnym tempie przesuwały się kolejne obrazy: konie podążające do miasta w pogodny ranek Dnia Drzew, całe końskie stado wybiegające na swobodę i leciwe klacze rżące ku nim z pastwiska, Teodor głaszczący je po nozdrzach. Boże, jak on musiał cierpieć zabijając zwierzęta, które tak kochał!... I co przeżył Kristian, kiedy ich odnaleźli... Objęła chłopca. — Kristianie, to dla ciebie straszne...

Siedział bez ruchu. Łzy powoli spływały mu po policzkach, oczy utkwiał w jakimś punkcie nad jej ramieniem. Kciukiem starła wilgotną strużkę z jego policzka, a on mówił dalej:

— Wyglądało na to, że wujek John... był w... — chłopięca grdyka poruszyła się dwukrotnie — w brzuchu klaczy... ale chyba nie mógł... tego znieść, bo znaleźliśmy go... obok... siedział na śniegu... — Wstrząsnął nim szloch. Chłopiec pochylił się, ukrył twarz w dłoniach i łkał przejmująco.

— Ciii... ciii... już dobrze... — szeptała współczująco Linnea, jak Kristian rzewnie płacząc.

Znalazł dłoń Linnei i splótł palce z jej palcami, potem przycisnął jej dłoń do serca.

— Nie mogę za... zapomnieć tego... czer... czerwonego śniegu.

Czuła pod dłonią, jak mocno wali jego serce.

— Kristianie... — Chciała go pocieszyć, lecz nie potrafiła.

— Kristianie... — powtarzała tylko.

Wreszcie Kristian wydał z siebie długie westchnienie i wytarł nos.

Linnea rękawem osuszyła oczy.

— Babcia jest z tatą. Można by ją zmienić, żeby miała chwilę wytchnienia.

— Ty też powinieneś odpocząć. Wyglądasz, jakbyś miał się przewrócić na to łóżko.

Z trudem udało mu się uśmiechnąć.

— To brzmi nieźle.

— Pomóż mi obudzić dzieci, a potem się połóż. Młodsze dzieci trzeba było zanieść do toboganów, na

których miały wrócić do domów ze swymi strudzonymi zbolałymi ojcami. Mężczyzn tego dnia czekały przygotowania do pogrzebu brata, ale musieli się też zająć dwiema końskimi tuszami i odwróconym wozem. Jedyną pociechę — będącą w najlepszym razie prawdziwą ironią losu — przyniosło tempo, w jakim o połowę stopniała półmetrowa warstwa śniegu.

Słońce weszło na niebie czystym jak źródłana woda, zalewając prerię spóźnionym ciepłem i malując śnieg różowo-pomarańczowymi smugami. Zajaśniało także we wschodnim oknie sypialni Teodora, gdy Linnea z wahaniem stanęła w drzwiach.

Obok łóżka, z głową zwieszoną na piersi i dłońmi luźno spoczywającymi na brzuchu, na twardym kuchennym krześle siedziała Nissa. Linnea spojrzała na łóżko i wstrzymała oddech. Wydawał się taki wynędzniały, taki wycieńczony i... niezaprzeczalnie stary. Zdrowa cera zniknęła, ustępując miejsca bladej woskowej barwie. Zamknięte oczy były zapadnięte, kości policzkowe zaś tak wystające, że wydawało się, iż przebijają skórę poznaczoną odmrożeniami. Przez te... przez ile...? dwa, prawie trzy dni... twarz pokrył mu zarost. Tylko trzy dni, a miała wrażenie, że całe lata minęły od chwili, gdy ze szkolnego podwórka machała ręką w stronę wozu jadącego do miasta. Patrząc na wynędzniałego, zarośniętego męża Linnea na nowo pograżyła się w

rozpaczy.

Przeniosła wzrok na Nissę. Nieszczęśliwą, cierpiącą matkę. Jakież to bolesne: przeżyć własne dzieci. Dotknęła jej ramienia.

— Nisso...

Nissa podniosła głowę. Okulary zsunęły jej się na czubek nosa.

— Pogorszyło się? — spytała zatrwożona. — Nie. Bez zmian. Odpocznij trochę, połów się, a ja przy nim posiedzę.

Nissa rozprostowała ramiona i poprawiając okulary, przetarła oczy.

— Nie... nie trzeba...

Linnea wiedziała, że wszelka perswazja byłaby bezsensowne

— No to posiedzimy razem.

— Bardzo proszę, tylko nie ma tu więcej krzeseł...

— To mi wystarczy. — Linnea przysunęła podnózek do krzesła Nissy.

Usadowiła się na nim i obiema dłońmi przyciągnęła kostki.

Pokój pachniał kamforą i maścią rozgrzewającą. Na zewnątrz kogut i drozd hałaśliwie obwieszczali nadejście poranka, wewnątrz zaś regularny rytm oddechu Teodora połączył się niebawem z nierównym odgłosem cichego pochrapywania jego matki. Linnea zauważyła, że stara kobieta zaraz spadnie z krzesła, znowu więc obudziła ją delikatnie.

— Dajże spokój, Nisso. Wcale nie pomagasz Teddy'emu, skoro oczy same ci się zamykają.

Podniosła ją i zaprowadziła do jej sąsiadującej z pokojem Teodora sypialni.

— Dobrze... ale tylko na chwilę. — Nissa jak stała, tak padła na łóżko.

Gdy Linnea zdejmowała jej okulary, Nissa wymruczała: — Rosół na piecu...

— Śpij, kochana. Teraz ja będę doglądać Teodora, a ty odpocznij...

Zdjęła jeszcze teściowej z nóg wysokie czarne trzewiki i nakryła ją kołdrą.

Wróciwszy do ich małżeńskiej sypialni, stanęła przy łóżku, badawczo wpatrując się w wynędzniałą twarz Teodora. Cichy jęk wyrwał się z jego ust. Dwoma palcami łagodnie przesunęła po jego brwiach i skroniach, po czym pochyliła się, by pocałować kącik ust. Skóra była chłodna i sucha. Dotknęła pasma jego włosów: były czyste, ale zmierzwiłone i lekko skręcone na końcach. Patrzyła, jak jego pierś unosi się i opada w oddechu. Był odziany w wełnianą zimową bieliznę zapiętą po samą szyję, okryty kocami. Dotknęła jego dłoni. Leżała bezwładnie. Pomyślała o tej ręce troskliwie naprawiającej uprząż, głaszczącej brzuch żrebnej klaczy i lekko pociągającej tę klacz za ucho, w które szeptał tkliwie... a potem zaciskającej się na rękojeści noża i patroszącej ukochane zwierzęta.

Łzy znów napłynęły jej do oczu i gdy tym razem pocałowała jego skroń, nie mogła się oderwać, wdychając zapach jego żywego ciała i włosów i czując uspokajający rytm pulsu pod wargami. Och, Teddy, Teddy, omal cię nie straciliśmy, dziecko i ja. Tak się bałam. Co ja bym zrobiła bez ciebie? Położyła się obok niego na kołdrach przysuwając brzuch do jego boku.

Obudził ją kaszel Teodora. Zerwała się i dokładniej okryła go kołdrami. Usiadła potem na krześle przy łóżku.

Długo leżał spokojnie, naraz jednak obrócił się na bok

— wolno, jakby z namysłem, jak człowiek zbyt zmęczony, by poruszyć się szybciej.

Obudził się koło południa. Leżał na wznak z dłońmi na brzuchu, gdy otworzył oczy. Najwyraźniej usiłował sobie uzmysłwić, gdzie jest, w końcu zatrzymał wzrok na Linnei.

— Jak... John? — odezwał się ochryple.

Serce wypełniło jej się zalem. Bała się, że właśnie jej po przebudzeniu zada to pytanie, lecz wołała to, ponieważ oszczędzała Nissę i Kristiana.

Wzięła go za rękę.

— John nie przetrzymał.

— Każ mu wejść pod wóz — powiedział dobitnie Teodor, z trudem wspierając się na łokciach. — John, wejdź do środka — dodał.

Linnea zerwała się z krzesła i tłumiąc płacz, ułożyła go na plecach.

— Śpij... zaśnij... proszę, Teodorze... śpij...

Opadł na wznak, zamknął oczy i obróciwszy się do ściany, pozwolił, by objęły go błogosławione ramiona snu.

Wciąż był dla świata nieobecny, kiedy weszła Nissa, by zluzować Linneę. Późnym popołudniem przybyli Lars i Ulmer, by omówić szczegóły pogrzebu, toteż Linnea znów zajęła miejsce Nissy. Siedziała przy łóżku, kiedy zapukali cicho do drzwi sypialni.

— Co z nim? — zapytał Lars.

— Wciąż śpi.

Weszli bezszelestnie i w milczeniu stali przy łóżku, spoglądając na śpiącego brata. Ulmer odgarnął mu włosy z czoła, potem położył rękę na ramieniu Linnei.— A ty jak się czujesz?

— Ja? Och, dobrze... O mnie się nie martwcie.

— Mama mówi, że spodziewasz się dziecka.

— To dopiero pierwsze tygodnie.

— Dbaj o siebie, dobrze? Nie chcemy, by Teddy usłyszał po przebudzeniu jeszcze jedną złą wiadomość.

Spojrzała na Teodora, a Lars pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Bardzo się cieszymy, Linneo. Myślę, że powinnaś odetchnąć świeżym powietrzem.

— Wolałabym go nie zostawiać.

— Uprzątnęliśmy tam wszystko i przyprowadziliśmy wóz. Stoi przy wiatraku. Na dnie jest wycięte coś, co naszym zdaniem powinnaś zobaczyć.

Poszła sama. Na szybko znikającym śniegu cień wiatraka kładł się długą

smugą. Słowa dość łatwo było dostrzec; wszak Teodor dbał o wszystko, nawet o to, by dno wozu pokrywała gruba warstwa zielonej farby. Litery wydawały się rozsypane, ale dawały się odczytać: „Lin, wybacz”.

Czyż można wypłakać więcej łez, czuć jeszcze bardziej dojmujący żal, kochać mocniej, niż już kochała? Czytając to przesłanie doświadczyła bólu równie rzeczywistego jak ten, którego niechybnie doznawał Teodor, pisząc te słowa. Przesuwała opuszkami palców po zdrapanej zielonej farbie i wyobrażała sobie, jak Teodor, leżąc pod wozem, wycina te słowa pełen lęku, że umrze nie powiedziawszy jej tego.

Wieczorem gdy siedziała obok Teddy'ego, otworzył oczy.

— Lin... — rzekł słabym głosem i wyciągnął rękę. Ujęła jego dłoń. Palce Teodora zacisnęły się lekko.

— Teddy... Teddy...

— Chodź do mnie. Ostrożnie usiadła obok niego.

— Nie... pod...

W swetrze, w fartuchu, w butach wsunęła się pod kołdry. Położył ją sobie na brzuchu i trzymał, jakby był rozbitkiem z tonącego okrętu, a ona ostatnią deską ratunku.

— Tak mi przykro, Linneo... tak przykro... nie myślałem, że...

— Ciii...

— Pozwól mi to powiedzieć. Muszę.— Znalazłam napis na wozie. Ja wiem, kochany, wiem.

— Sądziłem, że umrę i będziesz myślała, że nie chciałem tego dziecka... ale kiedy leżałem pod wozem, sądząc, że już cię nigdy nie zobaczę... nie przestawałem myśleć, że to dziecko jest darem od Boga, tylko ja byłem zbyt zawzięty, żeby to zrozumieć. Och, Lin, Lin... jaki ja byłem głupi...

— A ja myślałam, że zginąłeś i już nigdy ci nie powiem, że ci nie uwierzyłam... bo przecież wcale nie chciałeś powiedzieć, że nie chcesz tego

dziecka. Ale ty żyjesz, kochany...

— Jesteś taka dobra, taka ciepła... Tam było tak zimno... Przytul mnie.

Tuliła Teodora, aż minęły mu dreszcze. Wtedy powiedziała szeptem:

— Teddy, John...

— Wiem — odparł. — Wiem...

Zadrżał i zacisnął dłonie na swetrze Linnei. Przyciągnął ją bliżej.

Nie było słów, które mogłaby mu powiedzieć, więc nawet ich nie szukała. Wdychał zapach jej ciała, chłonał jego ciepło całym sobą, aż znalazł ukojenie. Wtedy powiedział za siebie i za nią:

— Jeśli urodzi się chłopiec, damy mu jego imię. Życie za życie... Ta myśl obojgu przyniosła ulgę.

ROZDZIAŁ 24

Pogrzeb Johna odbył się w pierwszego maja. Tego dnia temperatura sięgnęła, jak nigdy, dwudziestu siedmiu stopni. Nie było śladu po śnieżycy, nie licząc trumny człowieka, który stracił w niej życie. Na cmentarzu przy białym kościółku zakwitły tysiące wiosennych kwiatów: krokusy i jaskry, floksy, kaskadami bieli spływały peonie.

Jakaż to jednak bolesna sceneria na cmentarzu! W dniu gdy dzieci powinny zbierać te kwiaty, stały wśród nich, śpiewając żałobne pieśni czystymi głosami pod kierunkiem nauczycielki o oczach pełnych łez. Rodzina stała nieopodal, jeszcze bliższa sobie niż zwykle w tych chwilach rozpacz.

Gdy żałobna pieśń dobiegła końca, Linnea stanęła u boku Teodora, który był jeszcze zbyt słaby, by stać przez całą ceremonię, więc siedział na kuchennym krześle z jasnego drewna. Krzesło z nogami zanurzonymi w wiosennej trawie wydawało się tu niestosowne — na taki mebel zwykle

wdrapują się dzieci albo mężczyzna balansuje na jego dwóch nogach, gdy rozważa, którą kartą zagrać, albo z oparcia zwisa robocza kurtka. Linnea patrząc na nie znowu mocniej zaszlochała, lecz nie z powodu kuchennego krzesła na cmentarzu. Sprawił to widok Teodora, który siedział na nim blady, wycieńczony i zbolący. Łagodna bryza rozwiewała mu włosy nad czołem. Nie uрониł ani jednej łzy, chociaż wiedziała, że cierpi znacznie bardziej niż ona. Nissa słuchając, jak wielebny Severt: głosi pochwałę jej syna, w końcu wybuchnęła płaczem. Oparła się na szerokim torsie Larsa, który podtrzymywał matkę, dopóki nie przyniesiono dla niej drugiego krzesła. Twarze rodzeństwa Johna były apatyczne. Niewątpliwie wszyscy ożywiali teraz własne wspomnienia o tym łagodnym, skromnym człowieku, którego ochraniaли przez całe życie.

Wielebny Severt monotonicznie wygłaszał pośmiertną pochwałę. Dziwne, pomyślała Linnea, ale nie przywołuje najważniejszych barw wizerunku zmarłego: Johna niepewnie szurającego nogami, gdy zaglądał do jej klasy niosąc choinkę; Johna rumieniącego się i jękającego, gdy prosił nową nauczycielkę do tańca; Johna mrugającego na partnera tuż przed wyłożeniem zwycięskiej karty; Johna sadzącego powoje koło wiatraka; Johna mówiącego: „Teddy nigdy się na mnie nie złości, nawet jak jestem powolny. A ja jestem bardzo powolny...”

Jakże będzie im brakowało Johna! Jak bardzo wszyscy będą za nim tęsknić!...

Wreszcie Ulmer, Lars, Trigg i Kristian złożyli trumnę do grobu. Kiedy spadła na nią pierwsza, symboliczna gruda ziemi, zapłakana Nissa jęknęła:

— O mój synu, mój synu...

Teodor natomiast przez cały czas siedział nieporuszony, jakby jakaś jego część umarła wraz z Johnem.

Po pogrzebie i nabożeństwie rodzina zebrała się na stypie. Teodor

wyglądał na wyczerpanego i mówił niewiele. Gdy wreszcie dom opustoszał i zapadła aż nazbyt głęboka cisza, Nissa usiadła przy kuchennym stole, apatycznie stukając palcem w serwetę. Kristian wyszedł się przejść z Patricią i Raymondem, Linnea zaś rozwiesiła na sznurku mokre ścierki i wróciła do cichego domu.

Nissa obojętnie wpatrywała się w zachód słońca, niedalekie krzewy i powoli obracające się skrzydła wiatraka. Linnea stanęła za jej krzesłem i pochyliwszy się, łagodnie pocałowała leciwą kobietę, która pachniała łągowym mydłem i lawendą.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Nissa oderwała się od wspomnień.

— Nie... nie, dziecko. Chyba zrobiłam wokół ciała wszystko, co należało. — Z westchnieniem rozprostowała ramiona. — Gdzie jest Teddy?

— Chyba w stajni. Pewnie chce pobyc sam.

— Może nie powinien był jeszcze wychodzić?

— Mogę sprawdzić, co z nim, jeśli przez to ty poczujesz się lepiej.— Jest jeszcze bardzo słaby. Nie widziałam też, żeby jadł dziś zbyt wiele.

— Zostaniesz tu sama na chwilę? Nissa uśmiechnęła się gorzko.

— Nasz początek jest samotny i samotny jest kres. Dlaczego ludzie sądzą, że w międzyczasie zawsze potrzebuje się towarzystwa?

— Dobrze, nie zabawię długo.

Wiedziała, dokąd poszedł: prawdopodobnie siedzi teraz w swej kryjówce i poleruje uprząże, które wcale tego nie wymagają. Okazało się jednak, że beczynnie siedzi na starym krześle z twarzą zwróconą do drzwi, głową odchylną do tyłu i zamkniętymi oczami. Na kolanach Teodora, liżąc sobie sierść, leżała kotka Johna, Tęcza. Chociaż na pierwszy rzut oka wydawał się pogrążony we śnie, Linnea zobaczyła, że czubki jego palców przesuwają się po miękkim futerku, a z kącików oczu płyną mu łzy. Płakał cicho i bez dramatyzmu, pozwalając łzom toczyć się po twarzy i wcale ich nie ocierając.

Linnea nigdy wcześniej nie widziała Teodora płaczącego. Ten widok wstrząsnął nią.

— Teodorze — powiedziała łagodnie — matka niepokoi się o ciebie.

Otworzył oczy, ale nie poruszył głową.

— Powiedz jej, że chcę być sam.

— Dobrze się czujesz?

— Tak.

Przyglądała mu się, próbując pohamować drżenie ust i łzy. Wydawał się taki niepocieszony i samotny!

— Czy Tęcza przyszła tutaj sama?

Gdy z wysiłkiem podniósł głowę, by spojrzeć na swoje palce zanurzone w kocim futerku, twarz miał tak smutną i zrezygnowaną, że Linnei omal serce nie pękło.

— Nie. Kristian ją przyniósł. Bał się, że będzie siedziała pod drzwiami i miauczała, dopóki... dopóki... — nie dokończył.

Twarz nagle ściągnęła mu się bólem. Pochylił głowę i ręką przysłonił oczy, jego ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch. Tęcza przestraszyła się i zeskoczyła z kolan.

— Och, Teddy... — przypadła do niego Linnea. — Tak bardzo pragnę być z tobą właśnie teraz! Proszę, nie zamykaj się przede mną. Zdławiony płacz wyrwał mu się z gardła, gdy wyciągnął ramiona. W jednej chwili znalazła się na jego kolanach, żarliwie go obejmując. Łzy Teodora padały na jej piersi, ona swoimi moczyła mu włosy. Mocno przytuleni, kołysali się w bólu. Teodor szeptał jej imię, a ona pocieszała go i kołysała.

Płacz wreszcie ustał. Byli bez sił, lecz znacznie sobie bliżsi, czuli się też lepiej. Usłyszeli czyjeś kroki i choć Teodor się wyprostował, Linnea nadal siedziała mu na kolanach z rękami zarzuconymi na szyję.

W drzwiach siodlarni stanął Kristian — zagubiony i samotny.

— Babcia się niepokoi. Przysłała mnie po was. Wszyscy przeżyli swój czas samotności. Teraz nadszedł

czas czerpania siły z innych.

— Chodź, jesteśmy potrzebni Nissie — powiedziała Linnea wstając.

Jedną ręką objęła w pasie męża, a drugą Kristiana i wszyscy — z kotką Johna, która biegła za nimi — poszli do domu, mijając po drodze stary wiatrak.

Życie toczyło się dalej. Teodor sam teraz pracował w polu, Nissa wzięła się do prac w ogrodzie. Niebawem miał się też skończyć rok szkolny.

Jakże szybko nadchodziły wakacje! W Willston odbył się okręgowy konkurs ortograficzny. W tym roku wygrał go Paul. Potem nadszedł siódmy dzień maja, największe doroczne święto norweskie upamiętniające dzień, w którym Norwegia przyjęła konstytucję. W szkole odbywały się z tej okazji różne konkursy. Zorganizowano też zakończony tańcami piknik, w czasie którego Linnea podjęła temat wstąpienia przez Kristiana do wojska.

— Nie jest już dzieckiem. — Patrzyli na Kristiana tulącego w tańcu Patricię tak blisko, że nawet źdźbło trawy nie weszłoby między nich. — Myślę, że jeśli podjął tę decyzję, będziesz musiał pozwolić mu wyjechać.

— Wiem — powiedział cicho Teodor, podążając wzrokiem za tańczącą parą. — Wiem.

Koniec roku szkolnego oznaczał zarazem koniec pracy Linnei w szkole. Żałowała tego, licząc po cichu, że zdoła pogodzić obowiązki matki z pracą na posadzie. Wiedziała, że jest dobrą nauczycielką, że dzieci ją lubią. Mimo wszystko ostatniego dnia zegnała się z uczniami ze świadomością, że zamyka pewien rozdział swego życia.

Po końcowych egzaminach przyszedł czas na ostatni piknik. Klasa postanowiła urządzać go nad rzeką, aby popływać. Dzień okazał się idealny, ciepły i słoneczny z lekkim wietrzykiem; idealny dla grupy podekscytowanych dzieci świętujących zakończenie roku szkolnego. Bawili się w różne gry,

pływali, jedli piknikowe smakołyki, poznawali okolicę. Chłopcy wędkowali, a dziewczęta zbierały polne kwiaty i wplatały je sobie w warkocze. Popołudnie zbliżało się do końca, gdy do Linnei podeszła Norma.

— Nie mogę znaleźć Frances — powiedziała strapiona. — Nigdzie jej nie ma.

— Jest z pozostałymi dziewczynkami. Zbiera kwiaty.

— Była z nimi, ale teraz jej nie ma.

Linnea spojrzała w górę rzeki. Z brzegu dochodził śmiech grupki dziewczynek zajętych splataniem wianuszków z koniczyny. Jednakże małej Frances wśród nich nie było. Linnea odruchowo zwróciła się do tego, do kogo zawsze mogła się zwrócić.

— Kristian, widziałeś Frances? — zawołała.

Kristian uniósł głowę. On i Patricia siedzieli nad rzeką, cicho ze sobą rozmawiając. Rozejrzał się wokół.

— Nie, nie widziałem.

— A ty, Patricio?

— Nie, proszę pani.

Wszyscy czworo spojrzeli na rzekę. Woda nie była tu głęboka, Frances nie mogła się w niej utopić. Linnei wszakże serce zabiło z trwogi, kiedy uświadomiła sobie, że brakuje również Allena Severta.

Tego dnia Frances Westgaard cztery razy kąpała się w rzece. Skulona przedzierała się teraz przez gęste zarośla do miejsca, gdzie dziewczęta zostawiały ubrania. Kiedy dorośnie, postanowiła, zostanie nauczycielką tak jak ciocia Linnea. Przy dobrej pogodzie będzie zabierać swoją klasę na takie pikniki przynajmniej raz w tygodniu. Zimą będą gotować zupę, piec króliki na Święto Dziękczynienia, a prażoną kukurydzę przyrządzać, ilekroć przyjdzie im ochota. Mokre spodenki kąpielowe przyssały się do niej jak pijawka. W końcu zdołała je zsunąć na biodra, a potem do kolan, lecz podskakując na jednej

nodze, straciła równowagę i przewróciła się na trawę.

— Hej, Frances, co robisz? — dobiegł ją obłudny głos. Frances zadrżała, daremnie starając się podciągnąć spodenki.

— Przebieram się. Idź stąd, Allen!

Allen wyszedł zza krzaka z ironicznym uśmiechem na ustach.

— A dlaczego mam iść? Przecież to wolny kraj.

Allen przez cały rok nosił w sobie urazę do pani Westgaard i do Frances. Obie wiele razy stawiały go w kłopotliwym położeniu. Nie miał jak odpłacić nauczycielce, ale mógł wyrównać rachunki z tą małą głuptaską.

— Lepiej stąd idź, bo powiem cioci Linnei!

Frances zapamiętale walczyła ze strojem, próbując go zdjąć.

— Naprawdę? — szydził Allen. — A co jej powiesz? Oczy chłopaka przesuwają się po półnagiej Frances, która wstydliwie zasłaniała się rękami.

— Idź stąd! — powtarzała. — Tutaj przebierają się dziewczynki.

Allen zaśmiał się złowrogo.

— Nie lubię cię, Allen! Poskarżę się na ciebie!

— Skarżyłaś na mnie przez cały rok. Przez cały rok wpędzałaś mnie w kłopoty. Może nie, smarkulo?!

— Nie, ja...

— Teraz ci odpłacę, ty głupia gąsko!

Zanim się zorientowała, Allen rzucił się na nią i przewrócił ją na plecy.

— Poskarżę się! — krzyknęła, lecz zatkał jej ręką usta i przycisnął głowę do ziemi.

— Poskarż się, a już ja cię urządzę! — groził. — Piśnij tylko słówko, to następnym razem zrobię coś znacznie gorszego! Teraz chcę tylko popatrzeć.

Frances znów wydała z siebie zduszony krzyk. Biła go i kopała, lecz Allen był starszy i znacznie większy.

— Zamknij się, Frances! Jeśli będziesz wrzeszczeć, wszyscy się tu zbiegną i powiem, że ściągnęłaś przede mną majtki! Wiesz, co się robi z dziewczynami, które ściągają majtki przed chłopakami?

Przerażona Frances umilkła. Allen wcisnął kolano między jej nogi, próbując rozsunąć je siłą, lecz mokre spodenki krępowały kostki. Allenowi w końcu udało się rozewrzeć jej kolana. Przerażona twarz Frances zmieniła kolor na kredowo-biały i tylko czarne, pełne strachu oczy zachowały barwę. Allen przyssał się do niej w tak silnym pocałunku, aż ząb przeciął jej policzek od wewnątrz. Krew. Frances wyrywała się, zapamiętała walcząc o oddech, wreszcie Allen się uniósł, by zadrzeć do góry jej mokrą koszulkę. Krzyknęła znowu. Twarz Allena wykrzywiła się złością.

— Krzyknij jeszcze raz, a pożałujesz, bo wszyscy pomyślą, że robisz tu ze mną brzydkie rzeczy!

Chwycił ją za szyję i zacisnął ręce, klęcząc między jej nogami. Naraz coś go uniosło jak marionetkę i czyjaś pięść wylądowała na jego twarzy.

— Ty obrzydliwy gnoju!

Tym razem pięść trafiła go w splot słoneczny, aż zgiął się w pół, zaraz jednak następny cios go wyprostował, kolejny zaś rzucił na ziemię. Na trawę polała się krew. Nadbiegły dzieci.

— Kristian, w tej chwili przestań! — krzyknęła Linnea. — Przestań!

Allen Severt, obiema rękami trzymając się za krwawiącą twarz, ujrzał nad sobą Kristiana ze wzniesioną pięścią. Libby Severt wpatrywała się w brata z pełnym przerażenia niedowierzaniem.

— Zostaw go, Kristian — włączył się Raymond. — Teraz moja kolej!

— I moja! — dodał Tony, idąc w ślady brata. Gdyby sytuacja nie była taka dramatyczna, widok Tony'ego zaciskającego słabe piastki i prężącego kościste ramiona byłby nawet zabawny.

— Chłopcy! Wystarczy!

— Ten wstrętny wypierdek nie zapomni dnia, kiedy położył łapy na mojej siostrze! — wołał Raymond, powstrzymywany teraz przez Kristiana.

Oddawszy płaczącą Frances w ręce Patricii, Linnea wyprostowała się i stanęła przed trzema chłopcami.— Pilnujcie języka w obecności maluchów i nie podnoście na mnie głosu! — Była rozdygotana, nogi pod nią zmiękły, lecz dobrze to skrywała. — Allen, wstań! — rozkazała. — Idź do szkoły i czekaj na mnie i na Boga! lepiej, żebym cię tam zastała, kiedy wrócę! Patricio, pomóż Frances się wytrzeć i ubrać. Kristian, zapnij koszulę i biegnij do domu po konia dla Raymonda i Frances. Pozostali przebiorą się w suche rzeczy i pozbierają swoje woreczki śniadaniowe.

Zdecydowane i szybkie polecenia Linnei uspokoiły uczniów, ona wszakże jeszcze pół godziny później kipiała z furii, gdy maszerowała ścieżką wiodącą do frontowych drzwi państwa Severtów. Do środka weszła za Libby, Allen podążał na końcu, wycierając krew kapiącą mu z nosa.

— Mamo? — zawołała Libby i po chwili w łukowym wejściu pojawiła się Lillian Severt.

— Allen! — zawołała, podbiegając do syna. — Wielki Boże, co ci się stało?

— Dostał dokładnie to, na co zasłużył — odparła Linnea, po czym zapytała chłodno: — Gdzie pani mąż?

— Jest zajęty w kościele.

— To niech go pani tu sprowadzi.

— Ale twarz Allena...

— Natychmiast!

— Jak pani śmie...

— Natychmiast!

Wściekłość Linnei w końcu skłoniła Lillian do ustępliwości. Przebiegła przez pokój, rzucając przez ramię pełne bólu spojrzenie na krwawiący nos

Allena. Libby stała ze spuszczoną głową. Chwilę później zjawili się oboje Severtowie. Pchnąwszy chłopaka na krzesło z wysokim oparciem, Linnea stanęła nad nim niczym więzienny strażnik. Allen miał spuchniętą twarz, prawe oko tak obrzmiało, że nie mógł go otworzyć.

— Allen, mów! — twardo rozkazała Linnea.

— Nie mogę... boli — wymamrotał, trzymając się za szczękę.

Szturchnęła go mocno.

— Powiedziałam: mów!

Zwiesił głowę i milcząc, wsparł ją na rękach.

— Dobrze, sama opowiem — oświadczyła Linnea, przesywając wzrokiem rodziców Allena. — Państwa syn zaatakował dzisiaj na szkolnym pikniku Frances Westgaard. Ściągnął jej kąpielówki i...

— Nie zrobiłem tego! — krzyknął Allen, zrywając się z krzesła, ale natychmiast chwycił się za szczękę i jęknął z bólu.

— Poszedł za nią tam, gdzie przebierają się dziewczęta, i zaatakował ją. Ściągnął jej kąpielówki i groził, że dopadnie ją znowu i zrobi coś gorszego, jeśli ośmieli się poskarżyć. Kiedyśmy ich znaleźli, przyciskał dziewczynkę do ziemi, trzymając za gardło...

— Nie wierzę! — oświadczyła Lillian Severt, patrząc na Linneę szeroko otwartymi oczami.

— Nie wierzyła mi pani ani ostatnio, ani wcześniej. Co więcej, stwierdziła pani, że winą za złe zachowanie Allena należy obarczyć mnie. Nie przyjęła pani do wiadomości, że jego wyczyny są czymś więcej niż chłopięcymi figlami i że należy go pohamować. Obawiam się, że tym razem nie będzie pani miała wyboru. Cała szkoła była świadkiem tego wydarzenia. Opowiedz to, Libby.

— Nie... on... — wystraszone oczy dziewczynki przebiegały od brata do nauczycielki.

— Nie bój się, Libby — powiedziała Linnea łagodnie. Zrozumiała, że dziewczynka obawia się zemsty brata. — Wiesz, że uchylanie się od mówienia prawdy jest tym samym co kłamstwo, prawda, Libby?

— Ale ja się boję. Allen będzie mi dokuczał, jeśli powiem.

— Allen ci dokucza?! — włączył się wreszcie pastor, podchodząc do córki i biorąc ją za rękę.

— Zawsze mi dokucza, jeśli robię coś, co go złości.

— Martin — przerwała mu żona — jak możesz zajmować się teraz Libby, skoro Allenowi leci krew z nosa i...

— Pozwól jej mówić — zażądał Martin. — Dokucza ci? Jak?

— Szczypie mnie i ciągnie za włosy. I... i powiedział, że zabije moją kotkę. Powiedział, że wleje jej naf... naftę do gar... gardła — przerażona dziewczynka spuściła głowę.

— Co za nedorzeczne...

— Milcz! — krzyknął Martin na żonę. — Postępowałaś z nim po swojemu i teraz mamy skutki! Gdybym już przed laty położył temu kres, nigdy by do tego nie doszło — rzekł ostro, po czym łagodnie zwrócił się do Libby: — A zatem wszystko, co powiedziała pani Westgaard, jest prawdą?

— Tak! — rozplakała się Libby. — Tak! Leżał na Frances i ją dusił, spodenki miała zsunięte i... i... wszyscy to widzieli... A potem Kristian uderzył Allena. Raymond też chciał go zbić, ale pani Westgaard nie pozwoliła. A ja żałuję, że go nie sprął! Żałuję, że Raymond nie dał mu w zęby... bo Allen... Allen jest podły i złośliwy. Ciągłe wszystkim dokucza i przezywa innych, chociaż nic mu zrobili. Dokucza wszystkim, bo jest... nik... nikiem!

— Proszę państwa — odezwała się Linnea — obawiam się, że tym razem reperkusje będą poważne. Zasugeruję kuratorowi Dahlowi, żeby Allena wydalono ze szkoły. Usilnie też proszę o dopilnowanie, żeby Allen nie dokuczał Libby za to, że powiedziała prawdę.

Pani Severt poszarżała na twarzy. Pierwszy raz nie miała nic do powiedzenia w obronie swego beniaminka. Gdy Linnea opuszczała dom Severtów, Allen jęczał z bólu, ale wzbudzał niewiele współczucia.

Poszła prosto do Ulmera i Helen, gdzie się dowiedziała, że Frances leży już w łóżku tulona i kołysana przez siostry i braci. Tuż po Linnei przyszedł również Teodor.

— Kristian opowiedział mi o wszystkim. Co z małą? — zapytał.

W tak naturalny sposób łączyli się w złych chwilach... Bez wahania, bez zbędnych wyjaśnień... Pojawienie się Teddy'ego z Kristianem u boku znów wyzwoliło w Linnei falę łez. Była w napięciu ponad godzinę, a teraz, gdy incydent dobiegł końca i Teddy był tutaj, poczuła się, jakby uszło z niej powietrze.

— Dobrze się czujesz? — zapytał ją Teodor. Dygocząc skinęła głową.

— Tak.

Otworzył ramiona, a ona padła w nie niczym dziecko, które przypada do matki.

— Tak się cieszę, że tu jesteś — szeptała, tuląc się do niego. Koszulę miał mokrą pod pachami, pachniał potem i koźmi, nigdy jednak nie kochała go mocniej ani nie była mu bardziej wdzięczna za wsparcie.

— Tym razem dopadniemy małego sukinsyna — wyszeptał w jej włosy. Rzadko kłął, a już nigdy w obecności Kristiana, toteż Linnea uświadomiła sobie, jak głęboko jest przejęty.— Sprowadziłem powóz. Pomyślałem, że może chcesz pojechać do Dahla.

Uśmiechnęła się czule.

— A jeśli przyjmę twoją pomoc, pomyślisz, że jestem cieplarnianą pannicą?

Na oczach wszystkich zrobił coś, czego przedtem nie uczyniłby nigdy: mocno pocałował ją w usta.

Raymond i Kristian nie dość, że odmówili powrotu do domu, to jeszcze uparli się, że także pojedą, aby zrelacjonować całe wydarzenie. Byli już wystarczająco dorośli, żeby uczestniczyć w tej rozmowie, i nie zamierzali ustąpić, dopóki się nie upewnią, że Allen Severt dostał za swoje.

Chociaż zajęło to resztę dnia, decyzję podjęto jeszcze przed wieczorem. Allen Severt został relegowany ze szkoły i nie wolno mu było uczestniczyć w uroczystości zakończenia roku szkolnego. To, czy wolno mu będzie uczęszczać do szkoły w przyszłym roku, rada szkoły miała rozstrzygnąć na następnym posiedzeniu.

Dzieci szeptały między sobą, że jeśli Allen wróci do szkoły, niewątpliwie będzie nie tylko spokojniejszy, ale i znacznie szczuplejszy, bo pierwszy cios Kristiana złamał mu zuchwę, którą z pewnością trzeba będzie zadrutować na sześć tygodni.

Ceremonia zakończenia roku odbyła się na szkolnym dziedzińcu w ostatnie piątkowe popołudnie maja. Gołębie odprawiały swe kojące nieszpory, a promienie słońca padały skośnie przez kołyszące się liście bawełny, nadając scenerii barwę srebra i złota. Znad okolicznych pól, na których niczym pierwszy zarost na twarzy młodzieńca wschodziła pszenica, napływał zapach urodzajnej ziemi.

Rodzice przyjechali powozami, znów przywożąc z sobą kuchenne krzesła, które ustawili w równych rzędach na ubitej trawie dziedzińca. Cztero- i pięcioletki kręciły się z przodu udając, że mają tyle lat co ich starsi bracia i siostry.

Kristian wygłosił mowę pożegnalną, czyniąc to z powagą, jakiej wymagała chwila. Mówił o wojnie w Europie i o odpowiedzialności młodego pokolenia za zapewnienie pokoju całej ludzkości. Potem dzieci pod kierunkiem Linnei odśpiewały hymn. Kurator Dahl wystąpił z promienną oracją. Kończąc ją, zaskoczył Linneę stwierdzeniem, iż wspaniale kierowała szkołą,

wprowadziła godne uwagi innowacje i wykazywała się wręcz wzorową postawą. Wszystko to doceniono do tego stopnia, kontynuował, że Stanowa Rada Oświatowa przyznała jej nagrodę za zorganizowanie pierwszej oficjalnej „domowej” klasy w szkole tej wielkości w Północnej Dakocie, a także za pracę organizacyjną na rzecz trudu wojennego oraz za zachowanie zimnej krwi w czasie śnieżycy i za roztropność we wcześniejszym zaopatrzeniu szkoły w ratunkowe środki żywnościowe.

— Bez względu na to, co dzieci myślały o rodzynkach jako pożywieniu w sytuacji kryzysowej — dodał z uśmiechem.

Kiedy ucichły śmiechy wśród publiczności, oznajmił, że Stanowa Rada Edukacji wyraża uznanie pani Westgaard za osiągnięcie tego, co nie udało się żadnemu nauczycielowi przed nią: za przekonanie rodziców, aby poszerzyli rok szkolny do pełnych dziewięciu miesięcy zarówno dla dziewcząt, jak i dla chłopców niezależnie od wieku.

Linnea poczuła, że się czerwieni, ale ukryła to, wchodząc na podium. Przebiegając wzrokiem po znajomych twarzach i patrząc wstecz na radości i smutki minionych dziewięciu miesięcy, czuła, że coś ściska ją za gardło. Niewiele było tu osób, z którymi nie byłaby szczerą mówiąc, że je lubi. Równie nieliczni byli ci, którzy nie lubili jej.

— Drodzy przyjaciele... — urwała na chwilę. — Sama nie wiem, od czego zacząć...

Podziękowała im za rok cudownych przeżyć, za ich wsparcie i przyjaźń. Dziękowała za to, że otworzyli przed nią swoje domy i serca, i za to, że jeden z ich domów stał się jej domem. Powiedziała również, że chociaż z wielką przyjemnością wróciłaby jesienią, aby uczyć przez kolejny rok, nie zrobi tego ze względu na własne dziecko. Zapraszała uczniów, by odwiedzali ją latem, i zachęcała do budowania „ogrodów zwycięstwa”. Jesienią, jeśli wojna się jeszcze nie skończy, będą mogli razem z nowym nauczycielem zorganizować

aukcję żniwną.

Na koniec ze ściśniętym gardłem poprosiła o wspólną modlitwę za pokój na świecie i poinformowała, że następnego

dnia Kristian wyjeżdża do punktu zbornego w miejscowości Jefferson Barracks w stanie Missouri, aby ochotniczo wstąpić do armii. Ze łzami w oczach po raz ostatni podziękowała jeszcze wszystkim, po czym poprosiła kuratora Dahla o wręczenie świadectw i dyplomów ukończenia ósmej klasy.

Po oficjalnej części uroczystości raczono się jabłecznikiem i ciasteczkami. Linnei niemal wszyscy powtarzali, że bardzo by chcieli, aby wróciła w przyszłym roku. Zanim z powrotem wniesiono ławki do budynku i ustawiono je pod ścianami, zapadł zmierzch.

Kristian poszedł z Patricią, lecz Nissa i Teodor czekali w powozie.

Stojąc w drzwiach mrocznej teraz klasy Linnea poczuła się tak, jakby zostawiała za sobą część swego serca. Zapach tej sali... Nigdy go nie zapomni. Trochę mdły, trochę stęchły, trochę przypominający spocone głowy... i prawdopodobnie z domieszką nieśmiertelnej woni kapusty z piątkowych zup.

— Gotowa? — zapytał Teodor.

— Chyba tak — odparła. Przyciągnął ją do siebie.

— Będiesz tęsknić, prawda? Ze smutkiem skinęła głową.

— Bardzo tu dorosłam. Wiele przeżyłam.

— Ja też.

— Och, Teddy... — Znalazła jego dłoń i uniosła ją do ust. Tutaj pamięć wciąż przywoływała głosy z nieodległej przeszłości: głosy dzieci, Johna, Kristiana, najemnych żniwiarzy...

— Za sześć lat nasze dziecko będzie chodzić do tej szkoły

— szepnął — a my opowiemy mu o czasach, gdy jego mama była tutaj nauczycielką.

Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

— Wiem, jak bardzo chciałabyś tu wrócić — powiedział.

— I wiem również, że pragniesz tego dziecka.

— Kocham cię, Teodorze Westgaard. — Zarzuciła mu ręce na szyję.

— Ja też cię kocham, panienko — odparł, całując ją w koniuszek nosa.

— Mama czeka.

Spojrzeni na klasę po raz ostatni, po czym pozamykali drzwi i ramię w ramię poszli do powozu.

Noc była bezwietrzna. Wielka Niedźwiedzica jaśniała blaskiem na północnym niebie, a księżyc w trzeciej fazie oświetlał świat jak błękitny ognik. Pierwsze świerszcze rzępoliły już nieharmonijnie z mroków, przerywając w jednej chwili na odgłos kopyt przejeżdżającego konia i natychmiast grając ponownie.

Klacz ze zwieszonym łbem leniwie szła wzdłuż trawiastej miedzy między dwoma polami pszenicy. Kristian jechał na jej ciepłym nagim grzbiecie z rozluźnionymi lejcami w palcach, policzkiem Patricii przytulonym do jego pleców i dłońmi dziewczyny splecionymi na brzuchu. Jechali tak bez celu już niemal godzinę, z niechęcią myśląc o pożegnaniu.

— Powiniennem odwieźć cię do domu. Patricia objęła go mocniej.

— Nie, jeszcze nie.

— Jest późno.

— Jeszcze nie — wyszeptała żarliwie. Pod dłonią czuła bicie jego serca, mocne i pewne, udami jego nogi ocierające się w rytmie końskich kroków.

— Dojechalśmy już prawie do rzeki. — Uchylił się, by nie uderzyła go w twarz gałąź czarnej wierzby.

— Zatrzymaj się na chwilę.

Ściągnął lejce. Klacz posłusznie stanęła natychmiast i zwiesiła łeb.

Siedzieli na jej grzbiecie w milczeniu, wsłuchani w szum wody i rechotanie

żab. Kristian odchylił głowę, aby spojrzeć na gwiazdy, i przez koszulę poczuł ciepły oddech Patricii. Zamknął oczy, splatając jej ręce ze swymi.

— Nie powinniśmy się zatrzymywać. Pocałowała go w ramię.

— Możesz zginąć, Kristianie.

— Nie zamierzam ginąć.

— Ale możesz! Możesz, a wtedy już nigdy cię nie zobaczę.

— Ja też nie chcę wyjeżdżać.

— To dlaczego jedziesz?!

— Nie wiem. Coś mnie gna. Ale zamierzam wrócić i ożenić się z tobą. Poczuję, że Patricia się prostuje.

— Ożenisz się ze mną?

— Myślałem o tym. Nie chcesz?

— Och, naprawdę?...

— Pewnie. — Znowu objęła go w pasie, przez białą bawełnianą koszulę czuł ciepło jej piersi. — A wyszłabyś za mnie?— Oczywiście! Nawet dzisiaj, gdyby to było możliwe. Położyła mu dłonie na udach, na jędrnych, twardych mięśniach. Przerzucił nogę nad łbem klaczy i zsunął się z jej grzbietu.

— Jeszcze nie skończyłaś szkoły — upomniał Patricię. — Może byś najpierw uporała się ze szkołą, co?

— Mam piętnaście lat. Moja babcia w tym wieku była już od roku zameżna.

Twarz Patricii kryła się w cieniu, Kristian wiedział jednak, jaki wyraz mają jej oczy.

— Daj spokój, przejdźmy się.

Chwylił ją w pasie, ona oparła mu ręce na ramionach. Kiedy zsuwała się z konia, ich ciała otarły się o siebie. Zastygli bez ruchu. Wokół rozbrzmiewały dźwięki nocy, serca im biły w jednym rytmie, oddechy były coraz szybsze i cięższe.

— Och, Kristianie, będzie mi cię brakowało.

— Ja też będę za tobą tęsknił.

— Kristianie... — wspięła się na palce, zarzucając mu ręce na szyję, i mocno się przytuliła.

Przywarli do siebie ustami z desperacją, jaką przynoszą tylko pożegnania. Młode ciała naprężyły się w straszliwym pragnieniu zdobycia prawa do siebie przed jutrzejszym rozstaniem. Ramiona chłopca oplotły dziewczynę, język domagał się odpowiedzi, a dłonie zaczęły wędrować po jej ciele, bojąc się utraty jeszcze przed zdobyciem.

Znalazł jej piersi — drobne, ale jędrne. Pieścił ją, narzuciwszy rytm, do którego się dostosowała, wreszcie osunął się na kolana i pociągnął ją za sobą. Gęsta sucha trawa szeleściła pod nimi, kiedy poznawali swoje ciała. Kristian przerwał naraz pieszczoty.

— To jest złe — wyszeptał. Przyciągnęła go ku sobie z powrotem.

— Raz... tylko raz... na wypadek gdybyś nie wrócił.

— To grzech.

— Przeciwno komu?

— O Boże, nie chcę zostawić cię z dzieckiem.

— Nie zostawisz. Och, Kristian, Kristian, kocham cię. Obiecuję, że będę na ciebie czekać... choćby to trwało nie wiadomo ile.

— Patricio... — Nigdy nie sądzili, że ich ciała mogłyby tak do siebie pasować. Położywszy się na boku, pieścił Patricię tu i tam, dokonując prawdziwych odkryć. Była odpowiedzią na tysiące problemów jego świata. — Ja też cię kocham... jesteś taka delikatna... i taka ciepła... i...

Przesuwała dłonie po najbardziej tajemniczych miejscach jego ciała.

— A ty jesteś twardy i gorący...

Rozbierali się wzajemnie, choć z wahaniem i tylko do połowy, potem niezdarne i niepewnie poznawali tajemnice płci. Kiedy się wszakże odnaleźli,

złączyły się również ich dusze zarówno we wspólnej obietnicy, jak i w modlitwie o przyszłość.

— Kocham cię, nie zapomnij o tym — rzekł później u jej drzwi. Patricia szlochala zbyt mocno, by odpowiedzieć. Mogła tylko mocniej się przytulić. — Powiedz mi to jeszcze raz, zanim wyjadę — poprosił zastanawiając się, dlaczego w ogóle tak bardzo pragnął dorosnąć, skoro dorosłość przyniosła mu taki ból, i dlaczego chce stąd wyjechać, skoro tutaj jest wszystko, co kocha.

— Ko... kocham cię... kocham cię, Kristianie. Ujął jej głowę w obie szerokie dłonie.

— Pamiętaj o tym. I módl się za mnie.

— Obie... obiecuję.

Pocałował ją mocno i szybko, po czym błyskawicznie dosiadł konia, żeby znów nie zmienić zdania. I na złamanie karku pogalopował przez letnią noc.

Było tuż po wschodzie słońca. Babcia czekała u wyjściowych drzwi z owiniętymi w pergamin sześcioma kanapkami z krwistym salcesonem.

— Babciu — westchnął, gdy wciskała mu je w ręce — ja tego nie potrzebuję.

— Weź te kanapki — powiedziała zdecydowanie, starając się ukryć drżenie brody. — Z pewnością nikt w armii nie ma pojęcia, jak się robi krwisty salceson... No, pospiesz się i uważaj na tych Szwabów, żebyś mógł wrócić do domu, gdzie jest twoje miejsce.

Siwy koczek spleciony starannie tkwił na swoim miejscu, okulary porządnie trzymały się na nosie, fartuch był czysty i wykrochmalony. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek widział babcie w innym stanie, w każdym razie nie przez te wszystkie lata, jakie przeżyli pod jednym dachem. Ranne słońce rozświetlało delikatny puszek na jej brodzie i zapalało iskry w zwilgotniałych oczach. Kristian uścisnął ją tak mocno, że jęknęła.

— Do widzenia, babciu. Kocham cię.

Nigdy przedtem tego nie powiedział, ale nagle uderzyło go, jak prawdziwe są te słowa.

— Ja też cię kocham, głuptasie. A teraz idź już. Ojciec czeka.

Pojechał do Alamo powozem z Teodorem i Linneą po bokach, trzymając na kolanach kanapki i ciasteczka. W mieście przyglądał się budynkom, jakby widział je po raz pierwszy. Zbyt szybko dotarli na dworzec. Zbyt szybko zakupiony został bilet. I pociąg także zbyt szybko wtoczył się na peron. Zatrzymał się obok nich, więc stali w białych kłębach pary, ze wszystkich sił starając się nie płakać.

Linnea bez potrzeby poprawiała Kristianowi kołnierzyk.

— W walizce masz tyle skarpetek, że starczyłoby dla dwóch. Włożyłam ci też kilka zapasowych chusteczek.

— Dziękuję — powiedział. Objęli się mocno.

— Kochamy cię — wyszeptła. — Trzymaj się.

— Będę na siebie uważał. Muszę wrócić do domu do siostrzyczki albo braciszka.

Kristian oderwał się od niej twarz i obrócił do Teodora. Jezus, Maria... ojciec płacze!

— Tato...

Teodor z bólem na twarzy przygarnął Kristiana do szerokiej mocnej piersi. Kapelusz spadł mu z głowy, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Gdy konduktor dał znak do odjazdu, jeszcze raz uściśnął syna, modląc się, by jego chłopak wrócił cały i zdrowy.

— Uważaj na siebie, chłopcze.

— Obiecuję. Wrócę... Możecie być pewni,

— Kocham cię, synku.

— Ja też cię kocham, tato.

Rozpłakali się obaj, a po chwili jeszcze raz padli sobie w ramiona. Właściwie nigdy się na całowali, aż nagle uświadomili sobie, że mogą już nie mieć takiej okazji. Zanim więc Kristian wsiadł do pociągu, Teodor raz jeszcze pocałował go mocno. Pociąg ruszył ociężale, uwożąc Kristiana, który przez okno machał ręką.

Linnea przycisnęła rękę Teodora do swej piersi, zastanawiając się, co powiedzieć.

— Jedźmy już do domu. Trzeba się zająć pszenicą — rzekł Teodor.

Pszenica... pszenica... zawsze ta pszenica! Tyle że teraz mieli osobisty powód, aby dostarczać ją do Europy.

ROZDZIAŁ 25

Lato ciągnęło się bez końca. Wojnę w Europie przypłaciło życiem pół miliona żołnierzy, niemieckie łodzie podwodne zatapiały cywilne statki i szkunery rybackie u wschodniego wybrzeża Ameryki. W jadalni Westgaardów stanął najnowszy nabytek: lśniąca mahoniową obudową radio Truphonic, wokół którego co wieczór gromadziła się cała rodzina, aby słuchać najnowszych wiadomości z frontu.

Linnea była zaszokowana, kiedy się dowiedziała, że granice wieku poborowych poszerzono, obejmując mężczyzn od osiemnastu do czterdziestu pięciu lat. W owych granicach mieściła się większość znajomych: Lars, Ulmer, Trigg i... Teodor. Na szczęście farmerów zwolniono z obowiązku służby wojskowej, Linnea wszakże uświadomiła sobie nagle, że nawet jej ojciec może być powołany! W kościele, gdzie na sztandarze umieszczono dodatkową błękitną gwiazdę, modliła się teraz jeszcze żarliwiej nie tylko za Kristiana i Billa, ale i o to, by nie powołano do armii jej ojca. Jakże mama by sobie

poradziła, gdyby tato poszedł na wojnę?

Biedna Judith, która z pracą na roli nigdy nie miała do czynienia, uprawiała teraz „ogródek zwycięstwa”, lecz jej listy pełne były narzekań. Nienawidziła każdej chwili spędzonej na kolanach wśród chwastów i gąsienic. Kapusta, uskarżała się Judith, zasmakowała motylom bielinkom i teraz przypomina szwajcarski ser. Zielony groszek dojrzał tak szybko, że absolutnie nikt nie zdołałby się z nim uporać, a pomidory zwiędły. Linnea poradziła mamie, by zostawiła „ogrodki zwycięstwa” innym, a wróciła do tych zajęć wspierających wojenny wysiłek narodu, w których jest dobra. Tymczasem sama uczyła się podstaw ogrodnictwa od Nissy. Razem sadiły, pielęły, zbierały warzywa i owoce, a także robiły przetwory. Linnea nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, ile trudu wymaga słoik złocistych krążków marchewki błyszczących niczym monety pod metalowym wieczkiem. W miarę upływu czasu Linnei coraz ciężiej było pracować. Nie mogła się schylać na grządkach, zbyt długie przebywanie na słońcu sprawiało, że przed oczami tańczyły jej ciemne plamki, a od długiego stania puchły kostki. Straciła też chęć do uprawiania miłości. Nocami, po wysłuchaniu wiadomości budzących ciągły niepokój o los Kristiana, nie mogła ofiarować Teodorowi ukojenia w swoim ciele. Czuła się winna, gdyż właśnie teraz potrzebował tego chwilowego rozluźnienia.

Wciąż lękał się o Kristiana, szczególnie w owych godzinach samotności, gdy tam i z powrotem przemierzał pola za końmi. Mieli od niego wieści: zakończył szkolenie podstawowe, skierowano go do siódmej dywizji dowodzonej przez generała Williama M. Wrighta i jedenastego sierpnia, zaledwie po sześciu tygodniach ćwiczeń na amerykańskiej ziemi, wyjechał do Francji. Czy chłopiec z amerykańskiej farmy, który wcześniej nie miał do czynienia z niczym bardziej bojowym niż spłoszony koń, nawet po dodatkowych ćwiczeniach we Francji może być w tak krótkim czasie

przygotowany do walki?

Pod koniec lata zaś zza oceanu dotarły wieści o kolejnym zagrożeniu, znacznie podstępniejszym niż miotacze ognia i gaz musztardowy. Ten wróg nie wybierał żadnej ze stron. Z taką samą siłą uderzał w Amerykanów, Niemców, Włochów i Francuzów. Z całkowitą bezstronnością powalał bohatera i tchórze, doświadczonych dowódcę i rekruta, każąc im kichać, dygotać w dreszczach i umierać z gorączki w okopach nad Marną i na polach Flandrii.

Tym wrogiem była grypa hiszpanka.

Najpierw wzmogła tylko niepokój o walczących na froncie, kiedy jednak dotarła do Ameryki i zaczęła się rozprzestrzeniać na zachód, stała się wrogiem wszystkich bez względu na płeć i wiek.

Tymczasem Linnea była coraz bardziej ociężała. Spoglądając w lustro wydawała się sobie tak niepociągająca, że nie mogła obwiniać Teodora, iż ostatnio poświęca jej niewiele uwagi. Lubiła chodzić do Clary i trzymać na rękach maleńką Maren, mówiąc sobie, że to będzie jej nagrodą.

Pewnego dnia gdy Maren zasnęła w swym łóżeczku, a Clara rozwałkowała ciasto na bezcukrową szarlotkę, Linnea ciężko usiadła na najbliższym krześle.

— Czuję się jak gruby, szpetny stary hipopotam — westchnęła.

Clara się roześmiała.

— Nie jesteś gruba ani szpetna, a już na pewno nie jesteś stara. Bądź spokojna, każda kobieta czuje się tak pod koniec ciąży.

— Ty też tak się czułaś?

Nawet w zaawansowanej ciąży Clara zawsze wydawała się Linnei promiennie piękna i nigdy nie traciła wesołości.

— Oczywiście. Trigg tylko dokuczał mi trochę bardziej i rozśmieszał, żeby podtrzymać mnie na duchu.

W Linnei duch słabł z dnia na dzień.

— Teddy tego nie robi.

— Ostatnio stał się trochę gderliwy, prawda?

— Gderliwy?! To delikatnie powiedziane...

— Trudno się dziwić, ma tyle na głowie: Kristian, przyjdzie na świat dziecka, a tu jeszcze niedługo omłoty...

— Rzecz nie tylko w tym. W łóżku nawet mnie nie dotyka. Wiem, że na sześć tygodni przed porodem nie możemy nic robić, ale Teodor nawet mnie nie przytula ani... ani nie całuje. Zachowuje się tak, jakby nie mógł mnie znieść.

— Linnea spuściła głowę i zaczęła płakać, co ostatnio robiła z pewną regularnością.

Clara odłożyła wałek do ciasta i wycierając ręce w fartuch, jęła pocieszać bratową.

— To nie twoja wina, Linneo. Mężczyźni po prostu tacy są. Jeśli nie mogą mieć wszystkiego, nie chcą niczego. I robią się wtedy kłótniwi. Teddy zachowuje się jak wszyscy, a twój wygląd nic do tego nie ma.

— Chodzę jak tuczona gęś, wciąż się złościę i... och, Claro... myślę, że Teodor już mnie nie kocha — szlochała.

Clara poklepała przyjaciółkę po drżących ramionach.

— Bzdura, dobrze o tym wiesz. Poczekaj, aż urodzi się dziecko, a sama się o tym przekonasz. Jednakże zanim urodziło się dziecko, zjawił się ktoś, kto mógł poprawić nastrój Teodora i sprawić, że zapomni o chwilowych troskach: Isabelle Lawler.

Gdy jej polowa kuchnia wtoczyła się na dziedziniec, Linnea poczuła się tak, jakby dostała skrętu kiszek. Isabelle była taka jak zawsze: duża, głośna i zmysłowa. Te same rude włosy, ta sama twarz przypominająca talerz budyniu, ten sam rubaszny głos poganiacza mułów. Ze wszystkich kobiet, jakie Linnea kiedykolwiek widziała, wędrowna kucharka była osobą najbardziej odległą od

ideału damy. Nawet nie będąc w ciąży ważyła od Linnei więcej o dobre dwadzieścia kilogramów. Dlaczego więc Teodor uśmiechnął się, gdy tylko ją zobaczył? Jak tylko się pojawiła wraz z ekipą robotników wynajmowanych do młócki, jego zły humor zniknął. Uśmiechał się częściej i śmiał się wraz z nimi, jedząc posiłki w polowej kuchni, tak jak w zeszłym roku. Powiedział, że tego oczekują od niego, zdaniem Linnei wszakże powód był inny.

Na pierwszej zabawie policzyła: cztery razy zatańczył z Isabelle Lawler. Cztery razy! Nie przyglądała się tak uważnie pozostałym kobietom, więc nie zdawała sobie sprawy, że równie często tańczył z Clarą, Nissą i wieloma innymi. Wiedziała tylko, że ilekroć prowadził na parkiet kucharkę, jej zbierało się płacz. Stała z boku, przyglądając się im bacznie, gdy znalazła ją Clara.

— Gorąco tutaj.

— Teddy jest bardzo rozgrzany... właśnie widzę. Zdaje się, że z każdą minutą jest mu goręcej — zauważyła zjadliwie.

Clara zerknęła na tańczącą parę.

— Isabelle? Ależ, kochanie, nie bądź niemądra. Teddy po prostu z nią tańczy, to wszystko.

— Już czwarty raz!

— I co z tego? To nic nie znaczy.

— Powiedz mi, co on w niej widzi? Z takimi zębami mogłaby jeść kukurydzę przez sztachety parkanu, a włosy ma jak stóg siana. Ale odkąd przyjechała, Teddy uśmiecha się częściej niż przez ostatnie dwa miesiące.

— Zawsze jest szczęśliwy w czasie omłotów. Jak wszyscy mężczyźni.

— Jasne. Zatem powiedz mi, ile razy tańczył z nią Trigg? Albo Lars?— Linneo, przesadzasz. Teddy po prostu lubi tańczyć, a wie, że ty się teraz łatwo męczysz.

Linnea tylko zasępiła się jeszcze bardziej.

— Najchętniej bym powiedziała tej rudej beczce tłuszczu, żeby znalazła

sobie własnego męża, a mojego zostawiła w spokoju!

— No cóż, jeśli to ma ci poprawić samopoczucie, czemu tego nie zrobisz?

Na widok łobuzerskiego uśmiechu Clary Linnea mimo woli odpowiedziała tym samym.

— Oczywiście, i sprawić, że wszyscy w promieniu czterdziestu mil zaczną gadać?

— Isabelle przyjeżdża tutaj od... od ilu to już lat?... od pięciu, a może od siedmiu?... Nawet nie pamiętam. A zresztą gdyby cokolwiek było między nimi, nie sądzisz, że ludzie od dawna by o tym mówili?

Linnea uspokoiła się chwilowo, lecz w nocy, gdy Teodor położył się obok niej, natychmiast wyczuła w nim różnicę. Obrócił się na bok, twarzą do niej, i położył dłoń na jej biodrze.

— Chodź... — wyszeptał.

— Teddy, nie możemy...

— Wiem — odparł i uniósł się na łokciu, aby ją pocałować. Pił piwo i jego smak pozostał mu na języku. Przyciągnął ją bliżej, znalazł jej rękę i poprowadził ku nabrziałemu członkowi. Zrozumiała, że był podniecony, zanim się położył do łóżka.

— Czyja to zasługa? — zapytała zraniona.

— Co?

— Pytam, czyja to zasługa... moja czy Isabelle Lawler? Ręka Teodora znieruchomiała. Linnea poczuła, jak się zjeżył.

— Isabelle Lawler?! O co ci chodzi?

— Od tygodni odwracasz się ode mnie w łóżku, a teraz po przetańczeniu z nią całego wieczoru przychodzisz do mnie... gotowy i oczekujesz, że będę cię pieścić?! Jak śmiesz?!

Ze wstrętem zabrała rękę i obróciła się na wznak. On również gniewnie położył się na plecach.

— Isabelle Lawler nie ma z tym nic wspólnego.

— Czyżby?

— Dajże spokój, Linneo, ja z nią tylko tańczyłem.— Cztery razy. Cztery razy, Teodorze! Zachnął się zniecierpliwiony.

— Ech, te ciężarne kobiety... — mruknął, odwracając się do niej tyłem.

Linnea chwyciła go za ramię.

— Nie mów tak do mnie! Zwłaszcza że to twoja zasługa!... Przez cały tydzień krążyłeś wokół niej jak... jak... Hindus, który właśnie zdobył trzynastą żonę!

— Trzynastą... — jęknął Teodor i spojrzał na nią przez ramię. — Śpij już, Linneo. Nie masz powodów do zazdrości. Coś ci się ostatnio przywiduje.

— I przestań wreszcie — uderzyła go w ramię — odwracać się do mnie plecami! Patrz na mnie, bo musimy sobie wszystko powiedzieć! I nie mów, że między tobą a Isabelle Lawler nic nie ma, bo w to nie uwierzę!

Założył ręce za głowę, w milczeniu patrząc w sufit.

— No powiedz! — nalegała, siadając.

— Co mam powiedzieć?

— Co jest między tobą a tą kobietą?

— Już ci mówiłem: nic.

— Ale było, prawda?

— Linneo, masz bujną wyobraźnię.

— Nie traktuj mnie jak dziecko!

— To nie zachowuj się jak dziecko! Powiedziałem, że między mną a tą kobietą nic nie ma.

— Przecież widzę, jak się koło ciebie kręci. Widzę też, że tylko przy tobie nie używa wulgarnych słów. A ty dzisiaj przed zabawą posmarowałeś

sobie włosy brylantyną i nuciłeś.

— Przed każdą zabawą smaruję sobie włosy brylantyną. Naprawdę?
Nigdy wcześniej nie przyglądała się jego

przygotowaniom przed wyjściem na tańce. Z gwałtownym zachnięciem opadła na plecy i naciągnawszy na siebie pościel, szykowała się do zaakceptowania wszystkiego, co powie.

— Możesz mi powiedzieć, Teddy. Obiecuję, że nie będę się złościć — rzekła łagodniej. — Jestem twoją żoną. Mam prawo wiedzieć.

— Linneo, czemu się przy tym upierasz?

— Bo ty wiesz, że byłeś moim pierwszym mężczyzną.

— Wiedziałaś przecież, że w moim życiu była Melinda.

— To co innego. Ona była twoją żoną. Przez chwilę zastanawiał się w milczeniu.

— Załóżmy, że tak, był cały sznur innych kobiet. Co ci z tego przyjdzie, jeśli dowiesz się o tym teraz?

— Między mężem i żoną nie powinno być sekretów.

— Każdy ma prawo do własnych sekretów.

Zabolą ją myśl, że są sprawy, którymi się z nią nie dzieli. Wszak ona dzieliła się z nim wszystkim.

— Co było między tobą a Isabelle? — nalegała.

— Linneo, daj spokój.

— Nie mogę. Żałuję, ale nie mogę.

Przez chwilę leżał cicho i przeczesał ręką włosy, wsuwając je za kark, po czym wydał długie westchnienie.

— Dobrze więc: co roku w okresie młócki wieczorami spotykałem się z Isabelle w jej wozie.

Zazdrość, którą wcześniej czuła Linnea, stała się niczym w porównaniu z gigantycznym ciężarem, jaki teraz spadł jej na piersi.

— Byliście... kochankami?

Teodor wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze i odpowiedział:

— Tak.

Teraz, gdy знаła już prawdę, żałowała, że wywołała wilka z lasu, lecz jakaś przemożna siła pchała ją, by zadać następne pytanie.

— W tym roku też?

— Nie, skądże znowu.

— A w zeszłym?

— Tak — padło po długim milczeniu. Zawrzała w niej złość.

— Przecież znałeś już wtedy mnie!

— Tak — uniósł się na łokciu — ale nie mogliśmy na siebie patrzeć bez gniewu, a ja myślałem, że jesteś dla mnie za młoda i że zalecanie się do nauczycielki mojego syna jest nieprzyzwoite. Uważałem też, że nie podoba ci się mój charakter.

Próbował jej dotknąć, lecz szarpnęła się gniewnie.

— Jak mogłeś! — zawołała z wyrzutem.

Typowo kobiece, pomyślał. Mówi, że nie będzie się złościć, a potem wysuwa pazurki.

— Minęło piętnaście lat od wyjazdu Melindy. Sądziłaś, że nikogo nie było przez cały ten czas?— Ale Isabelle jest taka... taka gruba i nieokrzęsana, i...

— Nic o niej nie wiesz, więc nic nie mów — odparł zdecydowanie.

— Ale jak mogłeś sprowadzić ją tutaj w tym roku i afiszować się z nią pod moim nosem!

— Afiszować się? Wcale się nie afiszuję.

— A cóż innego robicie na moich oczach?

— Jeśli sugerujesz...

— Od miesiąca nawet mnie nie dotykasz i naraz przychodzisz do łóżka podniecony. Cóż więc mam myśleć?

— Gdybyś nie zachowywała się jak dziecko, wiedziałabyś, że żaden mężczyzna przez piętnaście lat nie może... nie wytrzyma bez kobiety.

— Dziecko! Teraz jestem dzieckiem?!

— No cóż, tak się zachowujesz.

— To idź do Isabelle! — Linnea odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka.
— Z takim wyglądem i językiem z pewnością nikt nie weźmie jej za dziecko, prawda?

— Nie chcę Isabelle. Wrócisz do łóżka?

— Nie wróciłabym, nawet gdyby wokół się paliło, a ono było z wody!

— Mów ciszej. Wiesz przecież, że mama nie jest głucha.

— A ty byś nie chciał, żeby mama się dowiedziała o twoich niecznych sprawkach, prawda? — pytała sarkastycznie.

Teodor przesunął rękami po włosach.

— Powinienem wiedzieć, że nie należy ci tego mówić, bo tego nie zniesiesz. Jesteś po prostu za młoda, żeby zrozumieć, iż w życiu nic nie jest wyłącznie czarne lub białe. Isabelle i ja nie robiliśmy nikomu krzywdy. Ona była sama i ja byłem sam. Dawaliśmy sobie to, czego pragnęliśmy. Możesz to zrozumieć?

— Chcę, żeby ta kobieta jutro stąd wyjechała, słyszysz?

— A kto będzie gotował dla robotników? Ty?

— Nie obchodzi mnie, kto będzie się tym zajmować, ale lepiej, żeby nie była to Isabelle Lawler!

— Linneo, wróć do łóżka... gdzie idziesz? Zatrzymała się przy drzwiach na moment.

— Do mojego dawnego pokoju!

— Nie ma mowy! Jesteś moją żoną i będziesz spała w moim łóżku!—

Nie, dopóki Isabelle Lawler się stąd nie wyniesie! Gdy zniknęła, siedział wpatrzony w ciemny otwór drzwi, zastanawiając się, jak to się dzieje, że kobieta może być tak przewrotna. Najpierw mówi, że nie będzie się złościć, potem krzyczy tak, że mogłaby obudzić umarłego, a co więcej — mamę, i wychodzi z pokoju, spodziewając się, że z płaczem za nią pobiegnie i przeprosi. No cóż, na to będzie czekać, aż piekło zamarźnie, bo on nie zrobił niczego, za co musiałby przeproszać! Zeszły rok nie ma nic wspólnego z tym rokiem, a w tym roku tylko tańczył z Isabelle. I jak mogła pomyśleć, że ją zdradzi, bo jest ciężarna i przez dwa miesiące musi się obejść bez żony?

Dotknięty do żywego Teodor leżał na plecach, irytując się w duchu.

I za kogo ta mała złościca się ma, żeby wydawać rozkazy? Isabelle jest świetną kucharką i bez niej znajdą się w nie lada kłopotcie. Będzie gotować aż do końca sezonu, a jeśli Linnei się to nie podoba, może się przenieść na górę! Dzięki temu on się przynajmniej wyśpi, bo nie będzie go budziła, wychodząc co rusz do toalety.

Wielki Boże, te ciężarne kobiety! pomyślał znowu, przewracając się na bok. Nigdy więcej! Jest już za stary, by przez to przechodzić. To jedno dziecko i... koniec! Miał nadzieję, że gdy je urodzi, minie jej drażliwość i życie wróci do normy;

Rano Nissa nie powiedziała na ten temat ani słowa, choć z pewnością w nocy słyszała awanturę przez ścianę i wiedziała, że Linnea spała na górze.

— Ładny poranek — rzekła tylko przy śniadaniu, nie adresując tych słów ani do Teodora, ani do Linnei.

Żadne nie odpowiedziało.

— Prawda, że ładny? — zerknęła na Linneę znad okularów.

— Tak... tak, ładny.

Teodor w milczeniu przemierzył kuchnię z wiadrami mleka.

— Potrzebuję więcej węgla do pieca — oświadczyła Nissa. — Pójdę

więc i odetchnę świeżym powietrzem.

Gdy wyszła, Teodor przyjrzał się Linnei dokładniej. Założyłby się, że płakała w nocy.— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry — odparła, nie patrząc na niego.

— Jak spałaś?

— Jak niemowlę.

— To dobrze. Ja też.

Kłamał. Prawie w ogóle nie spał, gdy nie było jej obok. Miał wilgotne dłonie. Wytarł jedną o spodnie, zamierzając dotknąć jej ramienia, lecz zanim to zrobił, odsunęła się.

— Przepraszam. Muszę się uczesać — oznajmiła i nawet nie rzuciwszy na niego okiem, poszła do sypialni.

W porządku, mała złośnico, rób, jak chcesz. W tym pokoju będzie zimniej niż w igloo Eskimosa, toteż wrócisz, żeby się przytulić. A kucharka zostanie!

I została.

Isabelle była jeszcze przez cały tydzień, choć Linnea nie zauważała Teodora i pierwsza się doń nie odzywała. Do sobotniego wieczoru napięcie w domu wzrosło wręcz horrendalnie. Nissa była jedyną osobą, której noc przynosiła spokojny sen.

W tę sobotę zabawa odbywała się w ich stodole. Przez pierwszą godzinę Teddy i Linnea śmiali się i tańczyli ze wszystkimi tylko nie ze sobą. Teodor wysączył dwa piwa, patrząc na nią znad kufła i myśląc, jak ładnie wygląda w ciąży. Niektóre kobiety w tym stanie sprawiały wrażenie zaniedbanych, ale nie jego żona. Linnea wprost promieniała. Zebrał się w końcu na odwagę, by poprosić ją do tańca, i po kilku minutach ruszył. Zanim do niej dotarł, znów spocily mu się dłonie. Wsunął kciuki za pas i uniósł jedną brew.

— No i co, chcesz zatańczyć? — zagadnął niby to żartobliwie.

Rzuciła mu spojrzenie pełne prawdziwej wyniosłości, po czym znacząco przeniosła wzrok na Isabelle Lawler.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała i odwróciła się z lekko uniesionym nosem.

Tańczył więc z Isabelle. I to więcej niż cztery razy!

Linnea starała się na nich nie patrzeć, lecz Teodor był najlepszym tancerzem w okolicy i każda cząstka jej ciała wprost kipiała zazdrością. Na szczęście Nissa zaproponowała, żeby wyszły.— Chyba przesadziłam z tym domowym winem — powiedziała. — Albo z tańcami. A może z jednym i z drugim. Trochę kręci mi się w głowie. Mogłabyś mnie odprowadzić do domu, Linneo?

Linnea naturalnie spełniła tę prośbę. W połowie drogi Nissę naszło na wspominki.

— Pamiętam, jak pewnego razu mąż przywiózł do domu nowy ręcznie robiony kilim — zaczęła. — Mówię do niego: „Po co kupujesz kilim, skoro sama potrafisz go zrobić? Dlaczego tracisz pieniądze na takie rzeczy?” A on się uśmiecha i mówi, że uznał, iż będzie przyjemniej, jeśli nie będę musiała robić kilimu, tylko po prostu rozłożę go na podłodze. Złościłam się na niego, bo któryś z chłopców, nie pamiętam który, prawie całkiem zdarł buty.

Powinniśmy kupić buty dla dziecka, mówię, zamiast wyrzucać pieniądze na kilimy. Powiedział mi, że tego dnia zobaczył w mieście wdowę z dwojgiem dzieci handlującą kilimami i pomyślał, że jej pomoże, dokonując takiego zakupu — opowiadała Nissa, pociągając nosem. — Pytam więc: „Dlaczego w ogóle rozmawiasz z jakąś wdową?” A on na to, że mogę być jego żoną, ale nie mam prawa mówić mu, z kim może rozmawiać, a z kim nie. Zaczęłam wypytywać, kim jest ta wdowa, i okazało się, że ją znam i że kiedyśmy się z nią parę razy widzieli, mój mąż z nią rozmawiał i świetnie się wtedy bawił. Zaperzyłam się od razu i dalejże się wywiadywać, jak ona sobie radzi bez

meża i gdzie teraz mieszka. Boże, gdybyż on znał odpowiedzi na te wszystkie pytania! Oświadczyłam, że nie chcę tego kilimu, skoro jest od niej! Jeśli dobrze pamiętam, nie rozmawialiśmy wtedy przeszło tydzień. Kilim wprawdzie leżał na podłodze, ale ja zapowiedziałam, że nie postawię na nim stopy, a on że go nie zwinie i nie odwiezie. Jakiś czas później pojechałam do miasta i natknęłam się na nią na ulicy. Miała gruźlicę, bez przerwy kaszłała i wyglądała jak szkielet. Kiedy mnie zobaczyła, powiedziała, jak bardzo jest wdzięczna, że mój mąż kupił od niej ten kilim, bo jednemu z jej synów potrzebna była para butów. Dzięki temu mogła mu je kupić...

Kiedy dotarły do drzwi domu, Nissa zatrzymała się chwilę na schodach i podniosła oczy ku gwiazdom.

— Dowiedziałam się wtedy kilku rzeczy. Dowiedziałam się, że można zranić mężczyznę w samo serce, jeśli oskarża się go wtedy, gdy nie jest winny. Dowiedziałam się też, że niektórzy mężczyźni mają serca ze złota. Złoto nie matowieje, ale... no cóż, jest miękkie. Łatwo się wygina i szczybi. Kobieta musi być bardzo ostrożna, by w takim sercu nie uczynić zbyt wielu szczyb. — Zaśmiała się cicho do siebie, otworzyła drzwi, lecz nie od razu weszła do środka. — Pamiętam, że tego wieczoru przeprosiłam go w końcu, a on położył mnie na tym kilimie i... Ten kilim wciąż gdzieś tu jest. Chyba w skrzyni razem z moją suknią ślubną i łańcuszkiem do zegarka, który splotłam mu z własnych włosów, gdy miałam szesnaście lat. — Potrząsnęła głową i przetarła oko. — Takie patrzenie w gwiazdy sprawia, że człowiekowi jeszcze bardziej kręci się w głowie — stwierdziła, po czym nie oglądając się za siebie weszła do domu. — No cóż, dobranoc, dziecko.

Linnea pozostała z uciskiem w gardle i w piersiach. Spojrzała ku stodole. Żłociste światła jaśniały słabo w jej oknach. Przez noc wędrowały przytłumione dźwięki harmonii i skrzypiec. Idź do niego, zdawały się mówić.

Popatrzyła w przeciwną stronę. Wtulona w krzewy okalające podwórko

duża kuchnia polowa tkwiła tam niczym groźny cień. Księżyc, który wyglądał jak pół plastra złocistego sera, rzucał światło na podwórko, a nocna bryza grała na suchych gałązkach krzewów niczym na bębenkach. Ale to on powinien przeprosić, zdawało się mówić wszystko wokół. To on tańczy z inną kobietą.

Posępna weszła do środka i kolejny raz wspięła się po schodach do swego dawnego pokoju, po czym zziębnięta i samotna wsunęła się pod kołdrę. Każdej nocy oczekiwała, że Teodor do niej przyjdzie. Leżąc wyobrażała sobie, jak bezszelestnie otwiera drzwi, staje w ciemności, a potem klęka obok łóżka, wtula twarz w jej szyję, pieści piersi, brzuch i mówi: „Przepraszam cię, Lin, proszę wróć...”

Jednak minął już tydzień, a on nie przyszedł. A teraz jest tam, na zabawie w stodole, i tańczy z inną kobietą, podczas gdy jego ciężarna żona leży tutaj we łzach. Dlaczego, Teddy, dlaczego?...

Postanowiła, że nie zaśnie, póki tańce się nie skończą i wszyscy nie rozjadą. Wtedy wyrzy przez okno, by zobaczyć, czy Teodor idzie prosto do domu. Jednakże w końcu zapadła w sen i nic nie zobaczyła. Rano obudziła się zaniepokojona. Czuła, że coś się dzieje, w domu panowała bowiem niezwykajna cisza. Nie słyszała nawet brzęku garnków ani trzasku rozgrzewającej się rury pieca. Sięgnęła po zegarek leżący na stoliku. Piętnaście po siódmej. Dlaczego Nissa jeszcze nie wstała? Do mszy zostały niecałe dwie godziny.

Podnosiła się z łóżka, gdy usłyszała kroki na schodach. Nie tracąc czasu na wkładanie szlafroka, szeroko otworzyła drzwi i na podeście natknęła się na Teodora. Miał pociemniałe z niepokoju oczy i potargane włosy.

— Co się stało?

— Mama jest chora.

— Chora? Po winie jeżynowym? — zdziwiła się, idąc za Teodorem po schodach.

— Chyba nie. Ma dreszcze i zatkany nos.

— Dreszcze i zatkany nos? — Linnea dostała gęziej skórki, biegnąc, by dotrzymać kroku Teodorowi. U podnóża schodów chwyciła go za ramię, zmuszając, żeby się zatrzymał. — Bardzo zatkany?

Oczy i policzki Teddy'ego wydawały się zapadnięte.

— Chyba tak.

— Czy to... grypa?

Chwycił ją za rękę i ścisnął mocno.

— Miejmy nadzieję, że nie.

Niestety, przybyły z miasta lekarz potwierdził obawy. Po jego wyjeździe na drzwiach wejściowych przybito czarno-żółte symbole kwarantanny. Teodor i Linnea zostali poinstruowani, że nikomu nie wolno wchodzić do pokoju Nissy bez maseczki zasłaniającej usta i nos. Patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Grypa atakowała żołnierzy w okopach i mieszkańców zatłoczonych miast, lecz nie farmerów w Dakocie Północnej z jej niezmiernymi zasobami czystego powietrza, a już z pewnością nie takie leciwe pracowite pszczołki jak Nissa Westgaard, która tak szybko uwijała się między jednym zajęciem a drugim, że wydawało się, iż żaden zarazek nie zdoła jej dopaść. Nie Niszę, która zaledwie poprzedniego wieczoru piła wino i tańczyła ze swymi synami! Nie Niszę, którą rzadko chwytało nawet zwyczajne przeziębienie!

Oboje się mylili. Nim dzień dobiegł końca, oddech Nissy stał się świszczący, ciałem wstrząsały dreszcze, których nie łagodził podawany regularnie roztwór chininy. Teodor i Linnea patrzyli bezradnie, jak jej stan pogarsza się z chwili na chwilę. Na zmianę czuwali przy jej łóżku, jednakże już pod koniec dnia wydawało się, że toczą przegraną bitwę. Wieczorem usiedli przy kuchennym stole, posepnie wpatrując się w talerze zupy, gdyż żadne nie miało ochoty jeść.

Gdy spotkali się zatrwożonym wzrokiem, ich małżeńskie nieporozumienia okazały się nieważne. Teodor nakrył ręką dłoń żony.

— Tak szybko... — powiedział zduszonym głosem. Obróciła dłoń, tak że ich palce się splotły.

— Wiem.

— A my nic nie możemy zrobić.

— Będziemy nadal obmywać ją gąbką i poić chininą. Może przez noc nastąpi poprawa.

Oboje wszakże czuli, że to tylko pobożne życzenie. Grypa polowała na bardzo leciwych, bardzo słabych i bardzo młodych. Niewielu z tych, którzy się jej nabawili, przeżyło.

Teodor wpatrywał się w ich splecione dłonie, pocierając kciukiem o kciuk Linnei.

— Och, gdybym mógł wywieźć cię stąd gdzieś, gdzie byłabyś bezpieczna!...

— Nic mi nie będzie.

— Ale dziecko...

— Dziecku też nic nie będzie. Teraz nie wolno ci się martwić o nas.

— Masz za sobą długi dzień. Chcę, żebyś odpoczęła.

— Ty też masz za sobą długi dzień.

— Ale ja nie jestem ciężarną kobietą. Proszę, połóż się, dobrze?

— Talerze...

— Zostaw je. Przecież zaraz spadniesz z krzesła. Zaprowadził Linneę do małżeńskiej sypialni, posadził na łóżku, a potem ukląkł, by zdjąć jej buty.

Troskliwość Teodora poruszyła ją. Czowała, że rozpiera ją miłość i obawa o niego. Przeżył stratę ukochanego brata, jego syn poszedł na wojnę, a teraz musi patrzeć, jak umiera mu matka...

Zdjawszy Linnei drugi but, Teodor ujął jej stopę i pieszcząc ją, uniósł

wzrok.

— Linneo, jeśli chodzi o Isabelle... Zamknęła mu usta dłonią.

— To nie ma znaczenia. Byłam głupia, dziecinna i zazdrosna, ty zaś masz teraz dość na głowie, żeby jeszcze martwić się i tym.

— Ale ja...

— Później o tym porozmawiamy... jak Nissa wyzdrowieje. Przytulił ją na chwilę, potem okrył kołdrą i usiadł na brzegu

łóżka. Oparłszy dłonie po obu stronach głowy Linnei, pochylił się i studiował jej twarz, jakby szukał w niej potrzebnej siły.

— Chciałbym cię pocałować... — rzekł wiedząc, że teraz, gdy ich dom nawiedziła grypa, nie może tego zrobić.

— Wiem. Ja też bym chciała.

— Tak bardzo cię kocham.

— Ja też cię kocham. Jak dobrze być z powrotem w naszym łóżku!...

Uśmiechnął się, żałując, że nie może wsunąć się pod kołdrę, przytulić do niej i dłonią kołysać ich poruszające się dziecko. Ale w sąsiednim pokoju była mama, przy której należało czuwać.

— Zaśnij teraz.

— Obudź mnie, gdyby coś się zmieniło.

Skinął głową, przesunął dłonią po jej brzuchu, zgasił lampę i wyszedł.

Nissa umarła trzeciego dnia. Zanim przyjechał wóz z zakładu pogrzebowego, by zabrać jej ciało, spełniły się najgorsze obawy Linnei: grypa zaatakowała Teddy'ego. Została sama, żeby go pielęgnować, płakać z żalu i niepokoić się, zamknięta w domu, nie mając nikogo, kto by ją zluzował w czuwaniu przy łóżku lub pocieszył w smutku. Wyczerpana trzema dobami niemal bez snu i przytłoczona rozpaczą była bliska załamania, gdy dobiegło ją głośne walenie w drzwi i donośny głos Isabelle Lawler:

— Pani Westgaard, to ja!

— Nie może pani wejść! — zawołała Linnea. — Jesteśmy objęci kwarantanną.

Drzwi otworzyły się szeroko i do środka weszła rudowłosa Isabelle.

— Takiemu twardemu bawołowi jak ja nie robi to różnicy. Teraz pani potrzebuje pomocy, więc przychodzę. Boże, dziecinko, sama wyglądasz tak, że grabarz gotów by się pomylić!... Spałaś choć trochę? Jadłaś coś?

— Ja...

— Siadaj — nie dopuszczała jej do głosu Isabelle. — Jak się czuje Ted?

— No... oddech ma nie taki zły.

— To dobrze. Potrafię wpychać w niego chininę tak samo jak ty, ale ty musisz jeszcze myśleć o jego dziecku. Gdybym pozwoliła, żeby coś się stało albo temu dziecku, albo tobie, to obawiam się, że straciłabym posadę kucharki, więc odsuń się, dziewczyno. — Isabelle zrzuciła z ramion ciężką męską marynarkę. Linnea wstała, jakby chciała ją wziąć. — Siadaj, powiedziałam! — mówiła Isabelle. — Musisz się dobrze odżywiać i właśnie ja tego dopilnuję. Jestem najlepszą kucharką po tej stronie pasma Black Hills, więc nie pyskuj, siostrzyczko. Powiedz mi tylko, co trzeba przy nim robić i jak często, a jeśli się boisz, że będę go oglądać całego, to już wcześniej go tak widywałam, a ty o tym wiesz, więc nie będę się rumienić jak uczennica i zasłaniać oczu. A jeśli myślisz o tym, że lecę na twojego męża, cóż... możesz wybić to sobie z głowy. To co było między nami, jest skończone. On nie jest ani trochę zainteresowany kimś takim jak ja... no więc gdzie ta chinina i co byś zjadła?

Isabelle okazała się błogosławieństwem niebios zesłanym Linnei. Otoczyła ją macierzyńską opieką i rozpieszczała bezceremonialnie, równie bezceremonialnie doglądając Teodora. Była najzuchwalszą kobietą, jaką Linnea kiedykolwiek spotkała, lecz właśnie jej otwartość często podtrzymywała na duchu i rozśmieszała Linneę. Isabelle biegała po domu jak huragan z rozwianymi rudymi włosami, a tubalny głos brzmiał donośnie,

nawet gdy szeptała.

Gdy z Teodorem było bardzo źle, obie siedziały przy jego łóżku i o dziwo, Linnea czuła się z tym dobrze, choć wiedziała, że na swój sposób Isabelle kocha Teodora.

— Do cholery, on nie umrze — obwieściła Isabelle — bo ja mu na to nie pozwolę. Musi się opiekować tobą i maleństwem i nie wymiga się od tego obowiązku.

— Chciałabym być równie pewna jak ty.

Inna kobieta wyciągnęłaby w takiej chwili pocieszającą dłoń. Ale nie Isabelle. Ona tylko z jeszcze większym uporem wysunęła do przodu brodę.— Mężczyzna tak szczęśliwy jak on, który niebawem będzie miał dziecko, a także jego młoda żona mają wiele powodów, aby walczyć.

— Teodor... Teodor powiedział ci, że jest szczęśliwy?

— Wszystko mi powiedział. Opowiedział mi o waszej walce i dlaczego sypiasz w oddzielnym pokoju. Bardzo się tym gnębił.

Linnea spuściła wzrok.

— Nie sądziłam, że wszystko ci powie.

Isabelle wychyliła się do przodu, rozsunęła kolana i oparła się na nich łokciami.

— Ted i ja zawsze mogliśmy ze sobą porozmawiać. Linnea nie wiedziała, co powiedzieć. Już nie potrafiła żywić w sobie zazdrości.

Isabelle zapatrzona w Teodora mówiła dalej, cały czas pochylona do przodu w tej męskiej pozie:

— Nie musisz się martwić o to, co Teda i mnie łączyło. Jesteś jeszcze młoda i musisz się wiele dowiedzieć o ludzkich potrzebach. One po prostu muszą być zaspokojone, to wszystko. Nigdy mnie nie kochał, to słowo nie padło z jego ust ani razu. — Wyprostowała się, sięgnęła do kieszeni po tytoń i

zaczęła skręcać sobie papierosa. — Ale jest miłym facetem, cholernie miłym. Nie myśl, że się na tym nie znam... To znaczy, kobieta taka jak ja, no cóż... — Isabelle prychnęła lekceważąco i zapaliła papierosa. Odchyłona do tyłu, oparła skrzyżowane stopy na brzegu materaca i przez chwilę paliła w milczeniu, później powiedziała:

— Jesteś cholernie szczęśliwą kobietą.

Linnea z uwagą spojrzała na Isabelle. Miała brudny fartuch, a brzuch tak wydatny, że wyglądała, jakby była w bardziej zaawansowanej ciąży niż Linnea. Papierosa trzymała po męsku, między kciukiem a palcem wskazującym, po męsku też kołysała się na krześle. Mimo to Linnea była niemal pewna, że w kąciku jej lewego oka dostrzegła łzę.

Impulsywnie położyła dłoń na ramieniu Isabelle. Rudowłosa spojrzała na nią, znowu prychnęła, wetknęła papierosa w zęby, poklepała Linneę po dłoni i ujęła papierosa w palce.

— Wrócisz tu w przyszłym roku, prawda? — zapytała Linnea.

— No pewnie! Będę umierać z ciekawości, co też urodziło się Tedowi.

Siódmego dnia wiedziały, że Teodor przeżyje.

ROZDZIAŁ 26

Leciwi, słabi i najmłodszy... W istocie grypa zwana hiszpanką najpierw atakowała właśnie tych. I właśnie takiego wyboru dokonała w rodzinie Westgaardów. Spośród leciwych zabrała Nissę, wśród słabych upolowała Tony'ego, a jej najmłodszą ofiarą padła Roseanne. Nissa umarła nie wiedząc, że jej wnuczka również zachorowała.

Była to dziwna choroba — na oślep pustoszyła niektóre domy na preriach Dakoty, inne pozostawiając nietknięte. W wyborze tych, których zabierała, nie kierowała się żadną regułą. Opatrzność zaś jakby miała inne plany wobec Teodora i Linnei Westgaardów: Teodor przeżył grypę, tracąc pięć kilogramów na wadze, a Linnei choroba nie tknęła. Pewnego ranka po prostu obudził się z niezmaconym wzrokiem i jasnym umysłem.

Linnea siedziała przy jego łóżku. Zasnawszy na krześle, wyglądała tak, jakby stoczyła tę wojnę w pojedynkę. Otworzył oczy i zobaczył ją — spała z rękami złożonymi na wydatnym brzuchu. Linneo, próbował powiedzieć, ale miał tak sucho w ustach... Przesunął ręką po czole — miał wrażenie, że się łuszczy. Dotknął włosów — wydawały się tłuste. Przejechał palcami po policzku — był szorstki. Zastanawiał się, jaki to dzień. Mama umarła, prawda? A Kristian... czy są od niego wieści? I co z pszenicą?... z dojeniem?... Co z Linneą?...

Dotknął jej kolana. Otworzyła oczy.

— Teddy! Nie śpisz? — położyła mu rękę na czole. — Wyzdrowiałeś!

— Mama... — szepnął. — Pochowano ją tydzień temu. — Przystawiła filiżankę do warg Teodora. Napił się łapczywie, po czym opadł na wznak.

— Jaki dziś dzień?

— Czwartek. Chorujesz od dwóch tygodni.

Dwa tygodnie... Leżał tu dwa tygodnie, a ona go doglądała. Ona i Isabelle. Miał jakieś mgliste wspomnienie opiekującej się nim Isabelle, czy to

jednak możliwe?

— A ty jak się czujesz?

— Ja? Och, świetnie. Przeszłam przez to bez szwanku. A teraz nie pytaj o nic więcej, póki nie dam ci czegoś do jedzenia i nie poczujesz się silniejszy.

Przyniosła mocnego bulionu, a kiedy go wypił, obmyła mu twarz i pomogła się ogolić. Znalazła też chwilkę, żeby się przebrać i uczesać, mimo to widział na jej twarzy skutki długiego czuwania. Kiedy krzątała się, sprzątajac pokój, kazał jej usiąść przy łóżku i odpocząć.

— Masz sińce pod oczami.

— Mało spałam, to wszystko. Ale miałam dobrą pomoc — powiedziała, spuszczać wzrok i mnać w palcach brzeg fartucha.

— Isabelle?

— Tak. Przypominasz sobie?

— Trochę.

— Zignorowała przepisy kwarantanny. Opiekowała się nami. I tobą, i mną.

— I nie zachorowała?

Linnea pokręciła przecząco głową.

— Isabelle jest nie byle jaką kobietą, Teddy — głos Linnei złagodniał, gdy jej spojrzenie napotkało wzrok męża. — Bardzo cię kocha, wiesz o tym.

— Ach...

— Kocha cię. Ryzykowała własne życie, przychodząc tutaj i opiekując się nie tylko tobą, ale i mną, bo wie, że cierpiałbyś, gdyby coś stało się mnie albo dziecku. Wiele jej zawdzięczamy.

— Gdzie teraz jest?

— Śpi w swoim wozie.

— Co z pszenicą?

— Zebrana. Ludzie wynajęci do młócki nie przestali pracować.

— A krowy? Co z dojeniem?

— O to także zadbali. Nie musisz się o nic martwić. Kop mówi, że zostanie, aż poczujesz się dość silny, by znowu wszystkim się zająć.

— Były wiadomości od Kristiana?

— Dwa dni temu przyszedł list. Kristian pisze, że jeszcze nie widział frontu i że ma się dobrze.

— Kiedy to pisał?

— Przeszło trzy tygodnie temu.

Trzy tygodnie, pomyśleli oboje. Ileż pocisków wystrzelono przez trzy tygodnie!... Bardzo by chciała jakoś uspokoić Teodora, cóż jednak mogła powiedzieć? Był blady i wymizerowany. Wzdragła się na myśl, że będzie osobą, która pogłębi jego rozpacz, ale nie było od tego ucieczki. Ująwszy rękę Teodora, obracała luźną teraz obrączkę wokół jego palca.

— Teddy, mam jeszcze złe wieści. Ta grypa...

— Kto? — zapytał wprost Teodor.

— Roseanne i Tony.

— O Boże... — ścisnął jej dłoń i zamknął oczy.

Serce jej pękało na wspomnienie szczebiotu Roseanne i szczupłych ramion Tony'ego. Nie otwierając oczu, Teodor przyciągnął Linneę. Położyła się obok, a on ją objął, czerpiąc z niej siłę.

— Byli tacy mali... Nie zdążyli zakosztować życia... I mama... — Linnea czuła, jak Teodor tłumi płacz w jej włosach. — Była taką dobrą kobietą. Czasami... gdy władczo mną dyrygowała... miałem jej dość, ale nigdy... nigdy nie chciałem, żeby umarła.

— Nie wolno ci czuć się winnym z powodu całkiem ludzkich myśli. Byłeś dla niej dobry, Teddy. Dałeś jej dach nad głową. Wiedziała, że ją kochasz.

— Była dobrym człowiekiem.

Wszyscy byli dobrymi ludźmi, pomyślała Linnea, przytulając Teodora. John, Nissa, dzieci. Stracili tak wielu bliskich... tak wielu. Boże, zachowaj Kristiana.

— Och, Teddy — wyszeptała. — Myślałam, że stracę również ciebie. Z trudem przełknął ślinę.

- JA też się bałem, że stracę ciebie i dziecko. Czasami pragnąłem umrzeć szybko, przed tobą. Kiedy indziej budziłem się, widziałem, że siedzisz przy łóżku, i czułem, że po prostu muszę żyć.

Słyszała mocne bicie jego serca i odmawiała cichą modlitwę dziękczynną za to, że ocalał.

— Myślę, że my i nasze dziecko zostaliśmy ocaleni, żeby trwać, żeby zająć miejsce tych, którzy odeszli — powiedziała.

Epidemia przetoczyła się przez okolicę, niebawem wszakże zaczęły znikać symbole kwarantanny. Westgaardowie pożegnali Isabelle Lawler, która zapowiedziała, że wróci za rok, by zobaczyć dziecko. Po wyjeździe państwa Severtów mieli nowego pastora. Wielebny Helgeson odprawił jedno nabożeństwo żałobne za siedmiu swoich parafian, którzy zmarli, lecz rodziny nie mogły ich pożegnać. Modlono się o pokój i dziękowano Bogu, że gwiazdy na sztandarze w kościele pozostały niebieskie.

Pewnego listopadowego dnia Teodor uszczelniał sianem podstawę domu. Był to typowy, ponury późnojesienny dzień z niewielkim wiatrem. Z krzewów bawełny dawno opadły liście. Wiatr unosił wierzchnią warstwę ziemi i ciskał ją na nogawki kombinezonu Teodora, który raz za razem machał widłami. Zwykle robiono to znacznie wcześniej, tym razem zwłokę spowodowała jego choroba.

Z góry dobiegł go krzyk spóźnionego stada kanadyjskich dzikich gęsi udających się na południe. Teodor przerwał pracę i podniósł wzrok, obserwując ich lot w majestatycznym szyku. Kristian nie musi już latać

samolotami, chociaż leciał jednym, jak pisał w ostatnim liście. Na tę myśl Teodor się uśmiechnął. Jego syn lecący tam w górze, wysoko jak owe gęsi. Do czego zmierza ten świat? Mówiono, że samoloty są rzeczą przyszłości i że po wojnie będą wykorzystywane do czegoś znacznie lepszego niż zabijanie ludzi.

Czy Kristian żyje? Musi. A gdy wróci do domu, czym zechce się zająć? rozmyślał Teodor. Może lotniczym transportem towarów, który jak powiadają, ma przed sobą przyszłość? No cóż, Teodor był teraz zamożnym człowiekiem, wojna podbiła bowiem ceny pszenicy. Nie uchodziło bogacić się na wojnie, ale skoro tak się stało, mógł się podzielić z synem, który na niej walczył. Do licha, Kristian nie chciał być farmerem, ale jeśli wróci do domu, przyrzekł sobie Teodor, nigdy nie będzie go zmuszał do rolnictwa ani...

— Teddy! Teddy! — usłyszał naraz Linneę, która wybiegła z domu, zostawiając szeroko otwarte drzwi. — Teddy, wojna się skończyła!

— Co?

Widły upadły na ziemię, gdy chwycił ją w ramiona.

— Wojna skończona! Taką wiadomość podało radio! O piątej rano podpisano zawieszenie broni!

— Skończona? Naprawdę skończona?

— Tak! Tak! Tak! — powtarzała z radością.

Ruszyli w tan dookoła podwórka. Zaprzężone do wozu wyładowanego sianem kłaczki z wyraźnym zdziwieniem patrzyły na ich radosne wybryki.

Jedna zarżała i Linnea wyrwała się Teodorowi, by pocałować ją w nos, cmoknęła też drugą. Rozpromieniony Teodor chwycił ją i posadził na wozie.

— Musimy być teraz z innymi.

Ledwie ruszyli w drogę, od wschodu dobiegł dźwięk szkolnego dzwonu, a gdy pokonali milę, z zachodu dołączył do niego dzwon kościelny. W połowie drogi do Larsa spotkali Ulmera i Helen. Pozsiadali z wozów, by ścisnąć się, całować i słuchać bicia dzwonów dochodzącego z różnych stron. Gdy

świętowali tak na środku drogi, dołączyli do nich Clara i Trigg z małą Maren płaczącą głośno z powodu niezrozumiałego dla niej tumultu. Zaraz nadciągnęli też inni łącznie z Larsem i Evie oraz starym Tveitem, który właśnie wiózł węgiel.

— Wszyscy zgromadzą się w szkole — przewidywał Ulmer. — Jedźmy tam!

Szkoła istotnie była pełna ludzi, a dzwon wciąż dzwonił. Tłum narastał. Nowy nauczyciel, pan Thorson, obwieścił, że tego dnia lekcje zostają odwołane. Dzieci stały na ławkach i klaskały. Do szkoły przybył też wielebny Helgeson, który poprowadził wspólną modlitwę dziękczynną, a potem świętowanie trwało aż do późnego popołudnia.

Nim rozweselone towarzystwo rozjechało się do domów, śnieg, który czał się przez cały dzień, zaczął padać na dobre, jechali więc wśród unoszonych wiatrem płatków.

O pierwszej w nocy Linneę obudził pierwszy skurcz. Ponieważ nie miała pewności, poczekała na następny, Teodora zaś obudziła dopiero po godzinie.

— Teddy? — potrząsnęła nim delikatnie.

— Co? — oparł się na łokciu. — Czy coś się stało?

— Chyba zaczęły się skurcze.

Ocknął się w jednej chwili, sięgając do jej brzucha.

— Ależ to o miesiąc za wcześnie.

— Wiem. Może za dużo tańczyłam...

— Jak częste są skurcze?

— Co piętnaście minut.

— Co piętnaście... — Wyskoczył z łóżka i zaczął wciągać spodnie. —

Jadę do miasta po lekarza.

— Nie!

— Ale powiedziałaś, że...

— Nie! Spójrz za okno. Nie chcę, żebyś wyjeżdżał w śnieżycę.

Z wnętrza ciemnego pokoju widać było, jak białe jest na dworze. A śnieg nadal sypał.

— Ależ, Linneo...

— Nie. Nie po tym, co się stało z Johnem! To dziecko będzie znało swego ojca!

— Przecież to nie śnieżycy. Po prostu pada śnieg

Z trudem zeszła z łóżka i chwyciła go za rękę, gdy sięgał po koszulę.

— Teddy, damy sobie radę.

Mięśnie Teodora napięły się pod jej dłonią.

— Zwariowałaś?! Nigdy nie odbierałem dziecka.

— Odbierałeś źrebięta, prawda? To nie może zbytnio się różnić.

— Linneo, tracę czas.

— Nie pojedziesz! — przywarła do niego nieustępliwie. Nagle jęknęła:

— Och... Teddy...

— Co się stało?

Przerażony zapalił lampę. Linnea stała z rozstawionymi szeroko stopami, patrząc w dół.

— Coś już wychodzi. Och, nie zostawiaj mnie samej. Wpatrywał się w kałużę u stóp Linnei, jak oszalały myśląc,

co robić. Melinda rodziła wiele godzin, lecz wtedy mama wszystkiego doglądała.

— Odeszły ci wody... To znaczy, że już niedługo...

— Co... co powinnam robić? Ułożył ją na łóżku.

— Odpoczywaj między skurczami, nie walcz z nimi, kiedy nadejdą.

Rozpalę ogień i przyniosę jakiś powróż.

— Powróż?! Och, Teddy, proszę, nie jedź do miasta. My...

— Nie pojedę. — Poczekał chwilę, aż się uspokoi, odgarnął jej włosy z

czoła i pocałował. — Ten sznur będzie dla ciebie, żebyś się go przytrzymała. Zaraz wrócę, dobrze? I obiecuję, że nie pojedę do miasta, ale muszę wyjść do stajni. Zostań tu i rób, jak powiedziałem, kiedy nadejdą bóle.

— Pospiesz się — wyszeptała.

Spieszył się, ale... niech to diabli!... dlaczego wcześniej wszystkiego nie przygotował?! Sądził, że ma jeszcze cały miesiąc, zresztą lekarz zwykle przywoził skórzane pałaki i wysterylizowane narzędzia. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał gotować nożyczki. Te cholerne zimy w Dakocie! A co on zrobi, jeśli wystąpią komplikacje?!

Śnieg szczypał go w policzki, gdy wracał ze stajni z najczystszympowrozem, jaki zdołał znaleźć. Kiedy dotarł do sypialni, Linnea sprawiała wrażenie oszalałej z bólu.

— Są coraz czę... częstsze, Teddy, i... łóżko... łóżko jest całe mokre.

— Kochana, nie denerwuj się. Pościel można przecież wyprać.

Między kolejnymi skurczami rozпалиł ogień, wygotował nożyczki, znalazł sznurek i czysty kocyk dla dziecka oraz wanienkę i ręcznik do pierwszej kąpieli. Uniósł Linneę z łóżka i rozłożył na nim najpierw ceratę, a potem miękki flanelowy koc, na którym rozciągnął świeże czyste prześcieradło. Kiedy na powrót układał Linneę, znowu chwycił ją skurcz, silniejszy niż inne. Jęknęła i zeszywniała. Czuł, jak jej ciało się napina.

— Jak się skończy jakaś następna wojna, proszę tyle nie tańczyć, dobrze, pani Westgaard? — rzekł, gdy skurcz minął.

Uśmiechnęła się drżącymi ustami.

— Chcę czystą koszulę — powiedziała, kiedy wyrównał jej się oddech.

— Jakie to ma teraz znaczenie?

— Nasze dziecko się nie urodzi, jeśli jego matka będzie na sobie miała poplamioną nocną koszulę. Daj mi czystą, Teodorze.

Powiedziała to takim tonem, że wolał się nie sprzeciwiać. Podbiegł do

komody zastanawiając się, skąd ta nagła irytacja, skoro jeszcze przed chwilą słowa nie mogła wykrztusić z bólu. Kobiety... Co mężczyźni naprawdę o nich wiedzą? Brudna koszula została zdjęta, a czystą jeszcze trzymał w dłoniach, gdy chwycił ją kolejny skurcz. Opadła na plecy i wygięła się w łuk. Widział, jak jej brzuch zmienia kształt, kolana się unoszą, a ciało mimowolnie pręży. Pot płynął mu po piersi i wydawało mu się, że czuje ten sam ból, jakiego doświadczała Linnea. Trzęsącymi się dłońmi pomógł jej włożyć czystą białą nocną koszulę.

Nigdy w życiu nie zaciągał węzłów w takim tempie. Przeciął powróż na dwa niemal metrowe kawałki, przywiązał je do metalowych ram w nogach łóżka i zrobił pętle. Kończył drugą, gdy Linnea wykrzyknawszy jego imię tak mocno ścisnęła go za rękę, aż mu zsiniała. Słodki Jezu, te powrozy przetrną jej ciało! Gdy minął skurcz, oboje byli bez tchu.

Teodor pobiegł do kuchni i znalazł dwa grube ręczniki, którymi owinał powrozy. Przysunął nocny stolik, a lampę ustawił obok łóżka. Delikatnie uniósł stopy Linnei i przełożył przez pętle, które następnie przesunął aż za kolana. Lampa rzucała złoty blask na jej białe uda. Uświadomił sobie naraz, jak bezbronna jest kobieta w czasie porodu.

Linnea otworzyła zamglone oczy.

— Nie bój się, Teddy — wyszeptała. — Nie ma czego.

Nie pozostało w niej ani śladu owego strachu, jaki wyczuwał wcześniej. Była spokojna i całkowicie pewna, że poradzi sobie w roli akusзера. Czuł, że kocha ją bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

— Nie boję się — skłamał, czyniąc to po raz pierwszy. Chętnie cierpiałby za nią, gdyby tylko mógł. Ujął jej dłonie i położył na metalowych prętach wezgłowia. — Oszczędzaj siły. Nie rozmawiaj. Krzycz, jeśli chcesz, ale nie rozmawiaj.

— Ale mówienie pozwala mi nie myśleć o... Skrzywiła się i głęboko

wciągnęła powietrze. Z walącym sercem pobiegł na drugi koniec łóżka. Czuł się niepewnie i niezręcznie, a przerażony był jeszcze bardziej niż wtedy, gdy wraz z Johnem ugrzęzli w śnieżycy. Mięśnie Linnei się napięły, powrozy naprężyły. Jęknęła boleśnie, gdy z jej ciała trysnęła strużka krwi. Wpatrywał się w tę czerwień przerażony odpowiedzialnością za doprowadzenie jej do tego cierpienia, przysięgając: nigdy więcej, nigdy więcej...

— No ruszaj... już... — szeptał przez zaciśnięte zęby, jakby dziecko mogło go usłyszeć. Kiedy ból na chwilę zelżał, koszulę miał mokrą od potu.

— Jak się czujesz? — zapytał łagodnie, ocierając jej czoło. Skinęła głową z zamkniętymi oczami.

— Powiedz, kiedy... — zaczęła, ale tym razem ból uniósł jej biodra jeszcze wyżej niż przedtem.

Teodor widział, jak struga czerwieni się poszerza. O Boże, ona umiera! Nie pozwól jej umrzeć! Nie pozwól jej umrzeć! Tak bardzo pragnął coś zrobić, cokolwiek, co by jej pomogło! Podłożył jej ręce pod plecy i pomógł się podnieść.

— No wychodź, wychodź... — mamrotał. — Krzycz, Linneo, krzycz, jeśli chcesz! — zachęcał i naraz to on krzyknął:

— Widzę główkę! — Dreszcz emocji przeszył mu ciało.

— Przyj... jeszcze raz... przyj, Lin... jeszcze...

Przy następnym skurczu dziecko wpadło w jego potężne dłonie. Na dźwięk donośnego pierwszego krzyku Teodor uśmiechnął się tak szeroko jak tylko człowiek może się uśmiechnąć. Chciał powiedzieć Linnei, co się urodziło, lecz nic nie widział przez łzy. Otrząsnął się w końcu i otarł oczy ramieniem.

— Chłopiec! — zawołał uradowany i położył noworodka na brzuchu Linnei.

— Chłopiec... — powtórzyła.

— Z małym różowym siusiaczkiem.

Linnea zaśmiała się i uniosła głowę. Była jednak zbyt słaba, więc opadła z powrotem na poduszkę i tylko palcami odszukała główkę dziecka.

Jakimś cudem Teodor uspokoił się równie nagle jak tornado. Wydawało się, że nigdy w życiu nie był tak sprawny jak w chwili, gdy zawiązywał sznurek na pępowinie i przecinał ją.

— Gotowe. Teraz żyje sam.

Linnea roześmiała się, Teodor wszakże gotów był się założyć, że płacze. Uniósł noworodka i wsunął mu palec do ust, aby oczyścić je ze śluzu.

— Już ssie — powiedział, wzruszony dotykem delikatnego języczka przesuwanego się po jego małym palcu.

— Ma wszystkie palce u rąk i nóg? — zapytała.

— Wszystkie, co do jednego, ale żaden nie jest większy niż kosteczki wróbla.

— Pospiesz się, Teddy — powiedziała słabo. Usuwanie łożyska bolało go niemal tak samo jak ją, był tego

pewien. Brzuch miała miękki i podamy, gdy uciskał go obiema rękami. Jeszcze raz obiecał sobie, że nigdy więcej nie narazi jej na takie cierpienie.

Musiał jeszcze wykapać dziecko. Litości, jak istota ludzka może być taka maleńka, a zarazem tak doskonała? Paznokietki i powieczki tak delikatne, że niemal przezroczyste, nóżki tak cienkie, że bał się je wyprostować, by wytrzeć pod drobnymi kolankami... Owinął syna w czysty flanelowy koczek i ułożył w ramionach Linnei.

— Oto i on, kochana. Jest taki maleńki!...

— John — powiedziała łagodnie na powitanie. — Witaj na świecie, John.

Teodor uśmiechnął się, gdy całowała maleństwo w pofałdowane czółko.

— Jest nawet trochę podobny do naszego Johna, prawda? Oczywiście nie

był. Wyglądał jak wszystkie noworodki: był czerwony i pomarszczony. Mimo to Linnea chętnie się z nim zgodziła.

— I chyba jego usta przypominają usta mamy.

Usta dziecka w niczym nie przypominały ust Nissy, ale Linnea znów się zgodziła.

Teodor usiadł obok Linnei i oboje wpatrywali się w cud, jaki stworzyła ich miłość. Mały John urodzony w rodzinie, która straciła tak wielu swych członków, ucieleśniał nadzieję na nowe życie. Mężczyźnie, który uważał, że jest za stary, by mieć jeszcze dzieci, przyniósł drugą młodość. Kobiecie, która uważała się za zbyt młodą, przyniósł jaśniejącą dojrzałość. Poczęty w czasie wojny, przyniósł z sobą pokój.

Teodor pieścił dziecięcą rączkę swym małym palcem. Zadrżał, kiedy zacisnęła się na nim piąstka syna.

— Żałuję, że go nie zobaczyli — powiedział.

Linnea musnęła dłoń Teodora, tak dużą i mocną w porównaniu z kruchą rączką synka.

— Myślę, że go widzą, Teddy — wyszeptała, patrząc mu w oczy.

— A Kristian... — rzekł Teodor z nadzieją — Kristian go pokocha, prawda?

Linnea skinęła głową.

— Na pewno go pokocha. Spragnionymi ustami ucałował jej skroń.

— Kocham cię. Uśmiechnęła się i zrozumiała głęboki sens spełnienia.

— Ja też cię kocham. I zawsze będę cię kochać. Wsłuchiwali się w wiatr wiejący na prerii i w ciche kwilenie syna. Kotka Johna wśliznęła się do pokoju, chwilę stała, spoglądając ciekawie na całą trójkę, po czym z cichym gardłowym mruzeniem wskoczyła na łóżko, zwinęła się w kłębek i zasnęła na starej kołdrze Nissy.

Swarliwy farmer, który tak niemile powitał na stacji nową nauczycielkę,

siedział teraz, kołysząc w ramionach jej głowę. Zastanawiał się, czy to możliwe, by rozumiała, jak bardzo ją kocha.

— Skłamałem. Bałem się — wyznał.

— Wiedziałam.

— Taki ból... — Pocałował ją w czoło. — To było okropne. Nigdy więcej nie narażę cię na to.

— Owszem, narazisz.

— Nie.

— A ja myślę, że tak.

— Nigdy. Boże, wspieraj. Za bardzo cię Kocham... Zaśmiała się cicho i przesunęła palcami po delikatnych włoskach na głowie małego Johna.

— Następnym razem będzie dziewczynka. Nazwiemy ją Rosie.

— Dziewczynka. Ale...

— Ciii... Chodź, połóż się z nami.

Z dzieckiem w zgięciu ramienia, przesunęła się i zrobiła miejsce dla Teodora. Wyciągnął się na kołdrze i obrócił na bok, jedną rękę podkładając sobie pod głowę, a drugą opiekuńczo obejmując dziecko i Linneę.

Na zewnątrz, gdzieś na prerii, swobodnie biegały konie. Osty zwijały się przed wiatrem. U stóp wiatraka suche, zbrązowiałe pędy powojów wciąż trzymały się mocno, na górze zaś jego łopatki stukały cicho. W bezpiecznym wnętrzu domu pewien mężczyzna i jego żona leżeli przytuleni, patrząc na śpiącego syna, myśląc o nadchodzącej przyszłości, o błogosławieństwach owoców, jakie mieli zbierać, i o życiu, które mieli przeżyć w całej pełni wszystkich minut, dni i lat.